

Arendt Hannah

Eichmann w Jerozolimie
Rzecz o banalności zła

przełożył Adam Szostkiewicz

Spoleczny Instytut Wydawniczy ZNAK
Kraków 1998

Tytuł oryginału:

Eichmann in Jerusalem. A Report on the Banality of Evil The Viking Press, New York 1964 (wyd. 2 poszerzone) (c) 1963, 1964 by Hannah Arendt

Dodatek na s. 388-403 pochodzi z książki: The Jew as Pańah: Jewish Identity and Politics in the Modern Age, ed. Roń Feldman, Grove, 1978

Opracowanie graficzne Witold Siemaszkiewicz

(c) Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Znak, Kraków 1998 ISBN 83-7006-684-4

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1998.

Wydanie II, poprawione.

Druk: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16.

O, Niemcy, [...]
Kto słyszy mowy, dochodzące
z waszych domów, śmieje się.
Lecz kto was zobaczy, chwyta za nóż.

BERTOLT BRECHT (tł. Ryszard Krynicki)

ROZDZIAŁ I

Dom Sprawiedliwości

"Beth Hammishpath" - Dom Sprawiedliwości: na dźwięk tych stów wykrzykniętych całą mocą głosu przez woźnego trybunału podrywamy się na nogi, gdyż zwiastują one przybycie trzech sędziów, którzy - z obnażonymi głowami, ubrani w czarne togi - wchodzą na salę sądową bocznym wejściem, by zająć miejsca na najwyższej ustawionej ławie wysokiego podestu. Po obu stronach stołu, za którym zasiedli, a który niebawem pokryją niezliczone tomy akt oraz ponad półtora tysiąca dokumentów, siedzą sądowi stenografowie. Poniżej sędziów zajmują miejsca tłumacze, których usługi są niezbędne w bezpośredniej wymianie zdań pomiędzy oskarżonym lub jego obrońcą a sądem; w pozostałych wypadkach mówiący po niemiecku podsądny i jego adwokaci śledzić będą tok prowadzonego w języku hebrajskim procesu poprzez równoległą transmisję radiową, wysmienitą w przekładzie na francuski, znośną w języku angielskim, będącą zaś istną farsą w wersji niemieckiej, często całkowicie niezrozumiałej. (Biorąc pod uwagę skrupulatną rzetelność wszystkich technicznych przygotowań do procesu, pozostanie skromną tajemnicą nowo powstałego państwa izraelskiego, w którym wysoki odsetek obywateli wywodzi się z Niemiec, dlaczego nie udało ono znaleźć odpowiedniego tłumacza na jedyny język, jakim mogli się posługiwać oskarżony i jego obrońca. Dawne uprzedzenie wobec Żydów niemieckich - niegdyś bardzo wyraźne w Izraelu - jest już zbyt słabe, by mogło tłumaczyć ten fakt. Jako wyjaśnienie pozostaje jeszcze starsza i wciąż niezwykle potężna "witamina P", jak nazywają Izraelczycy protekcję w sferach rządowych i aparacie biurokratycznym.) Poniżej ławy tłumaczy ustawiono naprzeciwko siebie, w taki sposób, że znajdujące się tam osoby zwrócone są profilem do publiczności, oszkloną kabinę oskarżonego i barierkę dla świadków. Dolną ławę zajmują siedzący plecami do sali prokurator i czterej oskarżyciele posiłkowi, a także obrońca oskarżonego, któremu w ciągu pierwszych tygodni procesu towarzyszył asystent.

Ani przez sekundę nie ma w zachowaniu sędziów niczego teatralnego. Poruszają się w sposób niewystudiowany, trzeźwa i napięta uwaga, tężejąca pod wpływem smutku w miarę jak przysłuchują się opowieściom o cierpieniach, jest naturalna; zniecierpliwienie wywołane zabiegami oskarżyciela, usiłującego przeciągnąć przesłuchania świadków w nieskończoność, jest spontaniczne i żywe, stosunek do obrony może odrobinę przesadnie uprzejmy, tak jakby wciąż pamiętali, że "dr Servatius był niemal całkowicie osamotnionym w tej zaciętej walce prowadzonej w obcym otoczeniu", traktowanie oskarżonego - zawsze bez zarzutu. Jest rzeczą tak bardzo oczywistą, że są to trzej przywoici i uczciwi ludzie, iż wcale nie dziwi, że ani jeden z nich nie uległ owej największej pokusie, by w tej scenerii bawić się w teatr udając, że - wszyscy trzej urodzeni i wykształceni w Niemczech - muszą czekać na tłumaczenie hebrajskie. Przewodniczący składu sędziowskiego Moshe Landau prawie nigdy nie odkłada odpowiedzi do momentu, kiedy tłumacz skończy swoją pracę, często wpada mu w słowo, poprawia i ulepsza przekład, najwyraźniej szczęśliwy, że choć na chwilę może się oderwać od ponurych obowiązków sędziego. Wiele tygodni później, kiedy oskarżony został wzięty w krzyżowy ogień pytań, posunie się nawet do tego, by nakłonić kolegów do prowadzenia dialogu z Eichmannem w ich języku ojczystym: po niemiecku, dając dowód - jeśli ktoś potrzebowałby jeszcze dowodu - że zachował sporą niezależność od aktualnego nastawienia izraelskiej opinii publicznej.

Od samego początku nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to sędzia Landau nadaje ton i dokłada wszelkich, doprawdy wszelkich starań, by nie dopuścić do przekształcenia się rozprawy - pod wpływem uwielbiającego popisy oskarżyciela - w proces pokazowy. Jeśli nie zawsze mu się to udaje, to między innymi po prostu dlatego, że przewod sądowy toczy się na scenie przed publicznością, a zdumiewający okrzyk woźnego rozpoczynający każde posiedzenie wywołuje ten sam skutek co podniesienie kurtyny. Kimkolwiek był autor

projektu tej sali zebrań, mieszczącej się w nowo wybudowanym Beth Ha'am - Domu Ludowym (otoczonym na czas procesu wysokim ogrodzeniem, strzeżonym od dachu po piwnice przez uzbrojoną policję, na dziedzińcu frontowym ustawiono rząd drewnianych baraków, w których wszystkich przybywających poddaje się drobiazgowej rewizji), chodziło mu o teatr z prawdziwego zdarzenia: z parterem i galerią, proscenium i sceną, a także z bocznymi wejściami dla aktorów. Zaiste, ta sala sądowa może być niezłym miejscem do odbycia procesu pokazowego, o jaki chodziło Dawidowi Ben Gurionowi, premierowi izraelskiemu, kiedy postanowił doprowadzić do pojmania Eichmanna w Argentynie i postawienia go przed Sądem Okręgowym w Jeruzolimie, by odpowiedział za rolę, jaką odegrał w "ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej". Bo też Ben Gu-rion, słusznie nazwany "architektem państwa Izrael", pozostaje niewidocznym reżyserem procesu. Nie przybył na ani jedno posiedzenie; w sali sądowej przemawia głosem Gideona Hausnera, prokuratora generalnego, przedstawiciela władz rządowych, który czyni zaiste wszystko, by zadowolić swego zwierzchnika. I jeśli owe usilne starania okazują się - niestety - często niedostateczne, to dlatego, że procesem kieruje człowiek, który służy Sprawiedliwości z takim samym oddaniem, z jakim pan Hausner

służy państwu Izrael. Sprawiedliwość wymaga, ażeby przeciwko podsądnemu wysunięto oskarżenie, by miał on zapewnioną obronę i żeby został osądzony, a także, by wszystkie pozostałe pytania, pozornie donioślejszej wagi -Jak to było możliwe? Dlaczego tak się stało? Dlaczego Żydzi? Dlaczego Niemcy? Jaką rolę odegrały inne narody? W jakim stopniu ponoszą odpowiedzialność Sprzymierzeni? Jak Żydzi mogli przyczynić się poprzez własnych przywódców do swojej zagłady? Czemu szli na śmierć jak owce na rzeź? - pozostały w zawieszeniu. Sprawiedliwość akcentuje znaczenie Adolfa Eichmanna, syna Karla Adolfa Eichmanna, człowieka w szklanej kabinie wybudowanej dla jego bezpieczeństwa: średniego wzrostu, wątłej budowy, w średnim wieku, łysiejącego krótkowidza z nieprawidłowym uzębieniem, który w ciągu całego procesu wyciąga bez przerwy chudą szyję w stronę ławy sędziowskiej (ani raz nie spojrzął na publiczność) i rozpaczliwie, a w znacznej mierze z powodzeniem, usiłuje zachować panowanie nad sobą na przekór nerwowemu tikowi, który z pewnością zawładnął jego wargami na długo przed rozpoczęciem procesu. Przedmiotem rozprawy sądowej są jego czyny, a nie udręki Żydów, naród niemiecki czy ludzkość, nie są nim nawet antysemityzm i rasizm.

Sprawiedliwość zaś, choć to może "abstrakcja" dla ludzi myślących kategoriami Ben Guriona, jest ostatecznie dużo surowszym zwierzchnikiem niż Pan Premier wyposażony w całą swą władzę. Zasadą, jaką kieruje się ten ostatni, jest pobłażliwość, czego nie omieszkął zademonstrować pan Hausner: pozwala ona prokuratorowi na urządzenie konferencji prasowych i udzielanie wywiadów telewizyjnych podczas procesu (relację amerykańską, finansowaną przez korporację Glickmana, przerywają bez przerwy - interes pozostaje interesem - reklamy nieruchomości), a nawet na "spontaniczne" wybuchy gniewu adresowane do sprawozdawców w budynku sądu, bo oskarżyciel ma już powyżej uszu krzyżowych pytań zadawanych

Eichmannowi, który odpowiada na nie samymi kłamstwami. Pobłażliwość ta pozwala na częste rzucanie ukradkowych spojrzeń w stronę publiczności, a także na teatralne chwytliwy znamionujące ponadprzeciętną próżność, która w końcu odnosi tryumf w Białym Domu, kiedy to prezydent Stanów Zjednoczonych przesyła gratulacje z powodu "dobrze spełnionego zadania". Sprawiedliwość na nic podobnego pozwolić nie może. Żąda absolutnego spokoju, dopuszcza raczej smutek niż gniew i nakazuje jak najpilniej wystrzegać się wszelkich przyjemności płynących ze znalezienia się w centrum uwagi publicznej. Wizycie, jaką

wkrótce po zakończeniu procesu złożył w naszym kraju sędzia Landau, nie nadano żadnego rozgłosu, wiedziały o niej jedynie te środowiska żydowskie, które ją zorganizowały.

I choć sędziowie tak bardzo konsekwentnie starali się ukryć w cieniu przed blaskiem reflektorów, to przecież zasiadali tam, na szczycie wysokiego podium, zwrócenie twarzami do publiczności, niczym aktorzy na scenie. Publiczność miała reprezentować cały świat i w ciągu pierwszych tygodni procesu istotnie składała się przede wszystkim z dziennikarzy i autorów związanych z różnymi pismami, którzy tłumnie zjechali do Jerozolimy z czterech stron kuli ziemskiej. Mieli obejrzeć widowisko równie sensacyjne co proces w Norymberdze, tyle że tym razem "głównym tematem była tragedia całego narodu żydowskiego". Albowiem, "jeżeli oskarżamy [Eichmanna] także o zbrodnie przeciwko nie-Żydom [...], to nie dlatego", że je popełnił, "l e c z dlatego, że nie wprowadzamy żadnych podziałów etnicznych". Owo doprawdy zadziwiające zdanie, wygłoszone przez oskarżyciela w jego inauguracyjnym wystąpieniu, okazało się kluczową tezę aktu oskarżenia. „Akt oskarżenia oparty był bowiem na tym, co przecierpeli Żydzi, nie zaś na tym, co popełnił Eichmann.” A według pana Hausnera jest to różnica pozbawiona znaczenia, gdyż "był tylko jeden

11

człowiek, który zajmował się prawie wyłącznie Żydami; którego zadaniem było doprowadzić do ich zagłady; którego rola w instalowaniu haniebnego systemu rządów do tego właśnie się sprowadzała. Tym człowiekiem był Adolf Eichmann". Czyż nie było logiczne, by przedstawić sądowi wszelkie fakty dotyczące męki narodu żydowskiego (które, rzecz jasna, nigdy nie podlegały dyskusji), a następnie poszukać dowodów w ten czy inny sposób wiążących Eichmanna z tym, co się stało? Proces norymberski, w którym podsądnych oskarżono o "popełnienie zbrodni przeciwko obywatelom różnych krajów" nie uwzględnił tragedii Żydów z tej prostej przyczyny, że Eichmanna w Norymberdze nie było.

'Czy pan Hausner naprawdę uważał, że w procesie norymberskim poświęcono by więcej uwagi losowi Żydów, gdyby Eichmann zasiadł na ławie oskarżonych? Wątpię. Jak prawie wszyscy w Izraelu, sądził on, że tylko sąd żydowski może oddać sprawiedliwość Żydom i że wydanie wyroku na wrogów narodu żydowskiego jest sprawą Żydów. Stąd niemal powszechną wrogość wywoływała w Izraelu sama wzmianka o trybunale międzynarodowym, który miałby oskarżyć Eichmanna nie o zbrodnie "przeciwko narodowi żydowskiemu", lecz o zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione na narodzie żydowskim. Stąd osobliwa przechwałka: "Nie wprowadzamy żadnych podziałów etnicznych", która brzmiała mniej osobliwie w Izraelu, gdzie przepisy prawa rabinackiego regulują prywatny status obywateli żydowskich, skutkiem czego żaden Żyd nie może poślubić osoby nie będącej pochodzenia żydowskiego; małżeństwa zawarte za granicą są uznawane, ale dzieci ze związków mieszanych są z punktu widzenia prawa dziećmi nieślubnymi (dzieci pozamałżeńskie, których rodzice są Żydami, są prawowite), a jeśli komuś zdarzy się mieć matkę nie-Żydówkę, nie może zawrzeć związku małżeńskiego, osoby takiej nie można także pochować. Sprawy przybrały jeszcze bardziej skandaliczny obrót po

12

roku 1953, kiedy to znaczną część spraw z zakresu prawa rodzinnego przekazano sądom cywilnym. Kobiety mogą odtąd dziedziczyć majątek i, ogólnie rzecz biorąc, cieszą się tym samym statusem prawnym co mężczyźni. A zatem to wcale nie szacunek dla przekonań religijnych lub potęgi fanatycznie religijnej mniejszości uniemożliwia władzom izraelskim zastąpienie prawa rabinackiego jurysdykcją cywilną w zakresie małżeństw i rozwodów. Wydaje się, że zarówno wierzący, jak i niewierzący obywatele Izraela zgodni są co do tego, że pożądanym jest zakaz zawierania małżeństw mieszanych. Z tego też głównie powodu -jak to

chętnie przyznają przedstawiciele władz izraelskich poza salą sądową - zgodni są oni również co do tego, że niepożądany byłby formalny zapis konstytucyjny, regulujący pod względem prawnym ową kłopotliwą sytuację. ("Przeciwko małżeństwom cywilnym przemawia to, że doprowadziłyby one do rozpadu Domu Izraela, a także odizolowały tutejszych Żydów od Żydów żyjących w diasporze", jak to sformułował niedawno w „Je-wish Frontier” Philip Gillon.) Bez względu na przyczyny musiała zapierać dech naiwność, z jaką oskarżyciel potępił osławione ustawy norymberskie z 1935 roku, zakazujące małżeństw mieszanych i stosunków cielesnych osób pochodzenia żydowskiego z osobami pochodzenia niemieckiego. Lepiej poinformowani korespondenci zdawali sobie sprawę z ironii sytuacji, ale nie wspomnieli o tym w swych relacjach. Uważali, że nie pora pouczać Żydów na temat błędów ich własnych praw i instytucji.

Jeżeli publiczność na procesie miała stanowić reprezentację opinii światowej, a widowisko miało ukazać szeroką panoramę cierpień Żydów, to rzeczywistość nie spełniła oczekiwań ani zamierzeń. Dziennikarze wytrwali nie dłużej niż dwa tygodnie, po czym skład publiczności uległ drastycznej zmianie. Powinna się ona była składać z Izraelczyków, ludzi zbyt młodych, żeby znali tę historię, albo - jak w wypadku Żydów z Dalekiego Wschodu - takich,

13

którzy nigdy o niej nie słyszeli. Proces miał im pokazać, co znaczyło żyć wśród nie-Żydów, i przekonać ich, że tylko w Izraelu Żyd może żyć bezpiecznie i godnie. (Ten sam morał zawierała broszurka dla korespondentów zagranicznych poświęcona izraelskiemu systemowi prawnemu, którą przekazano prasie. Jej autorka, Doris Lankin, przytacza orzeczenie Sądu Najwyższego, mocą którego nakazano dwóm ojcom, którzy "porwali swoje dzieci i sprowadzili je do Izraela" odesłanie ich matkom mieszkającym za granicą i mającym legalne prawo do sprawowania nad nimi opieki. Stało się to-dodaje autorka, tak samo dumna z tego ścisłego przestrzegania litery prawa, jak pan Hausner ze swej gotowości do ścigania zbrodniarza nawet wówczas, gdy jego ofiarami nie byli Żydzi - "mimo faktu, że oddanie dzieci z powrotem pod opiekę matek oznacza wciągnięcie ich do nierównej walki z wrogo nastawionymi elementami diaspory".) Jednakże wśród publiczności nie było prawie w ogóle ludzi młodych i nie składała się ona z Izraelczyków jako odrębnej kategorii Żydów. Salę wypełniali "pozostali przy życiu" - ludzie w średnim wieku i starsi, imigranci z Europy, tacy jak ja, którzy znali na pamięć wszystko, co było do poznania, i którzy nie mieli wcale ochoty na wyciąganie morałów; żeby dojść do własnych wniosków, z pewnością nie potrzebowali oni tego procesu. Świadek ustępował miejsca świadkowi; rósł stos potworności, a oni siedzieli na tej sali i w milczeniu słuchali w obecności innych opowieści, których nie znieśliby na osobności, kiedy trzeba byłoby stanąć twarzą w twarz z opowiadającym. W miarę zaś, jak odslaniała się przed nimi tragedia "współczesnych pokoleń narodu żydowskiego", a retoryka pana Hausnera stawała się coraz bardziej pompatyczna, coraz bledsza i bardziej podobna do widma stawała się postać w szklanej kabinie. Na nic zdało się grożenie palcem - "A tam siedzi potwór winny temu wszystkiemu" - i besztanie: nic nie mogło przywrócić jej do życia.

14

To właśnie teatralny aspekt procesu załamał się pod ciężarem jeżących włosy potworności. Proces sądowy w tym przypomina sztukę teatralną, że punktem wyjścia i dojścia jest w nim sprawca, a nie ofiara. Proces pokazo-wyjeszcze usilniej niż zwyczajny wymaga, aby jasno i przynajmniej w ograniczonym zakresie przedstawić czyny i sposób ich popełnienia. W centrum procesu znajdować się może tylko sprawca czynu - pod tym względem podobny jest on do bohatera sztuki scenicznej - a jeśli cierpi, to musi cierpieć za to,

czego się dopuścił, a nie za cierpienia, jakie sprowadził na innych. Najlepiej wiedział o tym sam przewodniczący składu sędziowskiego, na którego oczach proces zaczął wyradzać się w ociekające krwią przedstawienie, podobne do "pozbawionego steru statku miotanego falami". Jeśli jednak wysiłki, jakie podejmował, by temu zapobiec, kończyły się często porażką, to częściowo winę za owe niepowodzenia ponosiła, o dziwo, obrona, która prawie nigdy nie zakwestionowała żadnych zeznań świadków, nawet najmniej wiążących się ze sprawą i najbardziej błahych. Doktor Servatius, bo tak nieodmiennie zwracano się do niego, był odrobinę śmielszy, jeśli chodzi o przedstawione dokumenty, a najbardziej poruszająca z jego rzadkich interwencji miała miejsce, gdy oskarżyciel włączył do materiałów dowodowych dziennik Hansa Franka, byłego gubernatora generalnego okupowanej Polski, jednego z głównych zbrodniarzy wojennych, powieszzonego w Norymberdze. "Mam tylko jedno pytanie. Czy nazwisko Adolfa Eichmanna, nazwisko oskarżonego, zostało wymienione w tych dwudziestu dziewięciu tomach [w rzeczywistości było ich trzydzieści osiem]? [...] Nazwiska Adolfa Eichmanna nie ma w żadnym z tych dwudziestu dziewięciu tomów. [...] Dziękuję, nie mam pytań".

Tak więc proces nigdy nie zamienił się w teatr, ale przedstawienie, o jakie chodziło Ben Gurionowi, doszło

15

którzy nigdy o niej nie słyszeli. Proces miał im pokazać, co znaczyło żyć wśród nie-Żydów, i przekonać ich, że tylko w Izraelu Żyd może żyć bezpiecznie i godnie. (Ten sam morał zawierała broszurka dla korespondentów zagranicznych poświęcona izraelskiemu systemowi prawnemu, którą przekazano prasie. Jej autorka, Doris Lankin, przytacza orzeczenie Sądu Najwyższego, mocą którego nakazano dwóm ojcom, którzy "porwali swoje dzieci i sprowadzili je do Izraela" odesłanie ich matkom mieszkającym za granicą i mającym legalne prawo do sprawowania nad nimi opieki. Stało się to-dodaje autorka, tak samo dumna z tego ścisłego przestrzegania litery prawa, jak pan Hausner ze swej gotowości do ścigania zbrodniarza nawet wówczas, gdy jego ofiarami nie byli Żydzi - "mimo faktu, że oddanie dzieci z powrotem pod opiekę matek oznacza wciągnięcie ich do nierównej walki z wrogo nastawionymi elementami diaspory".) Jednakże wśród publiczności nie było prawie w ogóle ludzi młodych i nie składała się ona z Izraelczyków jako odrębnej kategorii Żydów. Salę wypełniali "pozostali przy życiu" - ludzie w średnim wieku i starsi, imigranci z Europy, tacy jak ja, którzy znali na pamięć wszystko, co było do poznania, i którzy nie mieli wcale ochoty na wyciąganie morałów; żeby dojść do własnych wniosków, z pewnością nie potrzebowali oni tego procesu. Świadek ustępował miejsca świadkowi; rósł stos potworności, a oni siedzieli na tej sali i w milczeniu słuchali w obecności innych opowieści, których nie znieśliby na osobności, kiedy trzeba byłoby stanąć twarzą w twarz z opowiadającym. W miarę zaś, jak odślaniała się przed nimi tragedia "współczesnych pokoleń narodu żydowskiego", a retoryka pana Hausnera stawała się coraz bardziej pompatyczna, coraz bledsza i bardziej podobna do widma stawała się postać w szklanej kabinie. Na nic zdało się grożenie palcem - "A tam siedzi potwór winny temu wszystkiemu" - i besztanie: nic nie mogło przywrócić jej do życia.

14

To właśnie teatralny aspekt procesu załamał się pod ciężarem jeżących włosy potworności. Proces sądowy w tym przypomina sztukę teatralną, że punktem wyjścia i dojścia jest w nim sprawca, a nie ofiara. Proces pokazo-wyjeszcze usilniej niż zwyczajny wymaga, aby jasno i przynajmniej w ograniczonym zakresie przedstawić czyny i sposób ich popełnienia. W centrum procesu znajdować się może tylko sprawca czynu - pod tym względem podobny jest on do bohatera sztuki scenicznej - a jeśli cierpi, to musi cierpieć za to,

czego się dopuścił, a nie za cierpienia, jakie sprowadził na innych. Najlepiej wiedział o tym sam przewodniczący składu sędziowskiego, na którego oczach proces zaczął wyradzać się w ociekające krwią przedstawienie, podobne do "pozbawionego steru statku miotanego falami". Jeśli jednak wysiłki, jakie podejmował, by temu zapobiec, kończyły się często porażką, to częściowo winę za owe niepowodzenia ponosiła, o dziwo, obrona, która prawie nigdy nie zakwestionowała żadnych zeznań świadków, nawet najmniej wiążących się ze sprawą i najbardziej błahych. Doktor Sewatius, bo tak nieodmiennie zwracano się do niego, był odrobinę śmielszy, jeśli chodzi o przedstawione dokumenty, a najbardziej poruszająca z jego rzadkich interwencji miała miejsce, gdy oskarżyciel włączył do materiałów dowodowych dziennik Hansa Franka, byłego gubernatora generalnego okupowanej Polski, jednego z głównych zbrodniarzy wojennych, powieszzonego w Norymberdze. "Mam tylko jedno pytanie. Czy nazwisko Adolfa Eichmanna, nazwisko oskarżonego, zostało wymienione w tych dwudziestu dziewięciu tomach [w rzeczywistości było ich trzydzieści osiem]? [...] Nazwiska Adolfa Eichmanna nie ma w żadnym z tych dwudziestu dziewięciu tomów. [...] Dziękuję, nie mam pytań".

Tak więc proces nigdy nie zamienił się w teatr, ale przedstawienie, o jakie chodziło Ben Gurionowi, doszło

15

do skutku, a właściwie doszła do skutku "lekcja", która według niego powinna zostać udzielona Żydom i nie-Żydom, Izraelczykom i Arabom, słowem - całemu światu. Owe lekcje, jakie miały płynąć z tego samego przedstawienia, powinny były różnić się w zależności od tego, komu ich udzielano. Ben Gurion nakreślił ich treść, nim jeszcze zaczął się proces. Uczynił to w kilku artykułach, które miały wyjaśnić, dlaczego Izrael uprowadził oskarżonego. Lekcja dla świata nieżydowskiego brzmiała: "Chcemy pokazać całemu światu, w jaki sposób naziści wymordowali miliony ludzi [...] tylko dlatego, że byli Żydami, i milion małych dzieci tylko dlatego, że były to dzieci żydowskie". "Davar", organ prasowy partii Mapai, partii Ben Guriona, sformułował to tak: "Niech opinia światowa przekona się, że odpowiedzialności za zagładę 6 milionów Żydów europejskich nie ponoszą wyłącznie Niemcy nazistowskie". Dlatego - zacytujmy ponownie samego pana Ben Guriona- "chcemy, żeby świat się dowiedział [...] i słusznie się zawstydził". Żydzi z diaspory mieli zapamiętać, że judaizm "liczący cztery tysiące lat, wraz ze swym dziedzictwem duchowym, dążeniami etycznymi i aspiracjami mesjanistycznymi" spotykał się zawsze z "wrogością świata"; że Żydzi zawsze ulegali degeneracji, nim szli na śmierć jak owce i że tylko powstanie państwa żydowskiego umożliwiło Żydom zadanie odwetowego ciosu, co też Izraelczy-cy uczynili podczas wojny o niepodległość, w awanturze sueskiej i niemal codziennych incydentach na niefortunnych granicach Izraela. Jeśli zaś Żydom poza Izraelem trzeba było unaocznic różnicę pomiędzy żydowskim heroizmem a pokorną uległością, to lekcja dla Żydów zamieszkujących Izrael brzmiała następująco: "pokoleniu Izraelczyków wyrosłemu od czasu holocaustu" zagraża niebezpieczeństwo utraty więzi z narodem żydowskim, a tym samym z własną historią. „Jest rzeczą niezbędną, aby nasza młodzież pamiętała, co stało się z narodem żydowskim. Chcemy, żeby znała ona najbardziej tragiczne fak-

16

ty naszej historii". Wreszcie zaś, jednym z motywów postawienia Eichmanna przed sądem było "zdemaskowanie innych nazistów, choćby poprzez ukazanie powiązań, jakie mieli z niektórymi przywódcami arabskimi".

Jeśli tylko tymi motywami chciano by uzasadnić postawienie Eichmanna przed Sądem Okręgowym w Jeruzolimie, to proces musiałby się zakończyć zasadniczo fiaskiem. Pod niektórymi względami płynące zeń wnioski pozbawione były głębszego znaczenia, pod

innymi z pewnością były to wnioski mylące. Dzięki Hitlerowi antysemityzm został zdyskredytowany, może nie na zawsze, ale na pewno na jakiś czas, nie dlatego jednak, że Żydzi zyskali nagle na popularności, tylko dlatego - by użyć słów samego pana Ben Guriona - że większość ludzi "zdała sobie sprawę, iż w naszych czasach antysemityzm może prowadzić do komór gazowych i fabryk mydła". Równie zbyteczna była lekcja udzielona żydowskiej diasporze, której wcale nie trzeba było przekonywać o wrogim nastawieniu świata, powołując się na tragedię, która pociągnęła za sobą śmierć trzeciej części narodu żydowskiego. Diaspora była przekonana o ponadczasowym i uniwersalnym charakterze antysemityzmu. Przekonanie owo stanowiło nie tylko najsilniej oddziałujący od czasów sprawy Dreyfusa element ideologiczny ruchu syjonistycznego, lecz także było przyczyną inaczej nie dającej się wytłumaczyć gotowości Żydów niemieckich do rokowań z władzami hitlerowskimi w pierwszych latach rządów nazistów. To samo przekonanie wywołało groźną w skutkach nieumiejętność odróżnienia wrogów od przyjaciół, przy czym to nie tylko Żydzi niemieccy nie docenili swoich nieprzyjaciół, uważając poniekąd, że wszyscy nie-Żydzi są do siebie podobni. Jeżeli premierowi Ben Gurionowi - w praktyce głowie państwa żydowskiego - chodziło o pogłębienie tego rodzaju "świadomości żydowskiej", nie świadczy to o jego roztropności, gdyż w istocie zmiana tej mentalności stanowi jedno z niezjagodnych założeń pań-

stwowości izraelskiej, która z definicji czyni Żydów narodem wśród innych narodów, krajem wśród innych krajów, państwem wśród innych państw, w oparciu o pluralizm nie pozostawiający już miejsca na przestarzały i sięgający niestety korzeniami w sferę religii podział na Żydów i nie-Żydów.

Kontrast pomiędzy izraelskim heroizmem i pokorną uległością, z jaką Żydzi szli na śmierć - a przybywali punktualnie do miejsc, skąd odchodziły transporty, dobrowolnie udawali się na miejsca egzekucji, sami kopali sobie groby, rozbierali się i układali ubrania w równe stosiki, a potem kładli się ramię przy ramieniu, czekając na wystrzał - mógł się wydawać idealnym tematem, toteż oskarżyciel, który kolejnym świadkom zadawał pytania w rodzaju: Czemuście nie protestowali? Czemu wsiedliście do wagonów? Było was tam 15 tysięcy a strażników było kilkuset - czemuście się nie zbuntowali i nie rzucili do ataku? - rozwodził się nad nim do najdrobniejszych szczegółów. Smutna prawda polega jednak na tym, że zagadnienie zostało źle postawione, ponieważ wszyscy nie-Żydzi zachowywali się tak samo. Szesnaście lat temu były więzień Buchenwaldu David Rousset, znajdując się pod świeżym wrażeniem wypadków, w ten oto sposób mówił o wydarzeniach, jakie rozgrywały się we wszystkich obozach koncentracyjnych: "Warunkiem całkowitego zwycięstwa SS-manów jest to, żeby torturowana ofiara pozwoliła się prowadzić na szafot bez protestów, żeby wyrzekła się siebie do tego stopnia, iż zrezygnuje z własnej tożsamości. Nie dzieje się to bez przyczyny. SS-mani, którym zależy na klęsce ofiary, nie kierują się wyłącznie bezinteresownym sadyzmem. Wiedzą, że system, któremu uda się zniszczyć ofiarę, nim wejdzie na szafot [...], nie ma sobie równych w utrzymaniu całego narodu w stanie niewolnictwa. W uległości. Nie ma nic straszniejszego niż widok istot ludzkich maszerujących kolumnami na śmierć jak automaty" (*Les jours de notre mort*, 1947). Sąd nie uzyskał

odpowiedzi na owo okrutne i głupie pytanie, ale nietrudno byłoby ją znaleźć, gdybyśmy się zastanowili przez parę minut nad losem Żydów holenderskich, którzy w roku 1941 odważyli się zaatakować oddział niemieckiej policji bezpieczeństwa w starej dzielnicy żydowskiej Amsterdamu. W odwecie aresztowano 430 Żydów i zamęczono ich na śmierć, najpierw w Buchenwaldzie, potem w obozie Mauthausen na terenie Austrii. Miesiąc po

miesiącu umierali oni po tysiąc razy - wszyscy co do jednego zazdrościliby swym braciom w Oświęcimiu, a nawet w Rydze czy Mińsku. Wiele jest rzeczy znacznie gorszych niż śmierć, a SS-mani postarali się o to, by żadna z nich nie znalazła się poza obrębem myśli i wyobraźni ich ofiar. Pod tym względem, może w jeszcze bardziej znamienity sposób niż pod innymi względami, celowa próba przedstawienia na procesie tylko żydowskiego aspektu sprawy zniekształcała prawdę, nawet prawdę odnoszącą się do Żydów. Chwała powstania w getcie warszawskim i bohaterstwo nielicznych Żydów, którzy postanowili walczyć, polegały właśnie na tym, że odrzucili oni stosunkowo łatwą śmierć proponowaną im przez nazistów: przed plutonem egzekucyjnym lub w komorze gazowej. Świadkowie zaś zeznający w Jerozolimie, opowiadając o aktach oporu i buntu, jakie zajęły "skromne miejsce w historii holocaustu", raz jeszcze potwierdzili fakt, że tylko bardzo młodzi ludzie potrafili podjąć "decyzję, że nie możemy iść na rzeź jak owce".

Pod jednym względem oczekiwania, jakie pan Ben Gu-rion wiązał z procesem, zostały w jakiejś mierze spełnione: proces istotnie odegrał ważną rolę w zdemaskowaniu innych nazistów i zbrodniarzy, choć nie w krajach arabskich, które otwarcie udzieliły schronienia setkom takich ludzi. Powiązania wielkiego muftiego z nazistami w latach wojny nie były żadną tajemnicą; liczył on, że naziści pomogą mu osiągnąć jakiś rodzaj "ostatecznego rozwiązania" na Bliskim Wschodzie. Toteż gazety w Damaszku i Bejr-

19

18

\

cię, a także w Kairze i w Jordani, nie kryły swej sympatii dla Eichmanna albo ubolewały, iż "nie doprowadził on swego dzieła do końca". Audycja radiowa nadana w Kairze w dniu rozpoczęcia procesu zawierała nawet lekki akcent antyniemiecki: komentator żalił się, że podczas całej wojny nie zdarzyło się ani jeden raz, by "samolot niemiecki przeleciał nad osiedlem żydowskim i zrzucił choćby jedną bombę". Sympatyzowanie nacjonalistów arabskich z nazi-stami jest rzeczą powszechnie znaną, ich motywy są oczywiste - nie potrzeba było Ben Guriona ani procesu, żeby ich "demaskować", bo nigdy się nie ukrywali. Proces wykazał tylko, że wszelkie pogłoski o powiązaniach Eichmanna z Hadż Amin al-Husajnim, byłym muftim Jerozolimy, są bezpodstawne. (Przedstawiono go muftiemu na oficjalnym bankiecie, razem z innymi osobistościami z kierownictwa departamentu.) Mufti utrzymywał ściśle kontakty z niemieckim Ministerstwem Spraw Zagranicznych i z Himm-lerem, ale o tym od dawna wiedziano.

O ile wzmianka Ben Guriona o "powiązaniach nazi-stów z niektórymi przywódcami arabskimi" była pozbawiona sensu, musiało zaskakiwać, że w tym kontekście nie wspomniał on o dzisiejszych Niemczech Zachodnich. Naturalnie, podnosiło na duchu zapewnienie, że "Izrael nie obarcza Adenauera odpowiedzialnością za Hitlera" i że "porządny Niemiec, mimo iż należy do tego samego narodu, który dwadzieścia lat temu przyczynił się do wymordowania milionów Żydów, jest dla nas przyzwoitym człowiekiem". (O przyzwoitych Arabach nie wspomniano.) Niemiecka Republika Federalna, jakkolwiek nie uznała jeszcze Państwa Izrael - przypuszczalnie z obawy, że kraje arabskie mogłyby uznać Niemcy Ulbrichta - w ciągu ostatnich dziesięciu lat wypłaciła Izraelowi 737 milionów dolarów tytułem odszkodowań. Spłaty te zostaną wkrótce zakończone, a Izrael prowadzi obecnie rokowania w sprawie długoterminowej pożyczki od Niemiec Zachodnich. A zatem stosunki pomiędzy oboma krajami,

zwłaszcza zaś osobiste stosunki pomiędzy Ben Gurionem i Adenauerem, układały się dobrze i jeśli w rezultacie procesu części deputowanych do Knesetii (parlament izraelski) udało się wprowadzić pewne ograniczenia w wymianie kulturalnej z Niemcami Zachodnimi, to Ben Gurion z pewnością tego nie przewidział, ani nie liczył się z taką możliwością. Bardziej godne odnotowania jest to, że nie przewidział, a może nie raczył o tym wspomnieć, że pojmanie Eichmańna spowoduje w efekcie podjęcie przez Niemcy pierwszej poważnej próby wytoczenia procesów przynajmniej tym wszystkim, którzy byli bezpośrednio zamieszani w zbrodnię. Centralna Agencja Badań Zbrodni Nazistowskich, założona z opóźnieniem przez państwo zachodniemieckie w roku 1958 i kierowana przez prokuratora Erwina Schiilego, napotkała mnóstwo trudności wywołanych częściowo niechęcią świadków niemieckich do współpracy, częściowo zaś niechęcią sądów lokalnych do wszczynania śledztwa na podstawie materiałów przesłanych z tejże Agencji. Nie chodzi o to, że proces w Jerozolimie dostarczył jakichś nowych a doniosłych dowodów potrzebnych do wykrycia współpracowników Eichmańna, ale wiadomość o sensacyjnym pojmaniu Eichmańna i wytoczonym mu procesie oddziaływała dostatecznie silnie, by skłonić sądy do skorzystania z ustaleń pana Schiilego i pokonać wrodzoną niechęć do poczynienia jakichś kroków w sprawie "morderców wśród nas" w oparciu o uświęcony tradycją zwyczaj wyznaczenia nagród za schwytanie dobrze znanych przestępców.

Rezultaty były oszałamiające. Już w siedem miesięcy po przybyciu Eichmańna do Jerozolimy - i w cztery miesiące przed rozpoczęciem procesu - udało się wreszcie zatrzymać Richarda Baera, następcę Rudolfa Hossa na stanowisku komendanta Oświęcimia. Nastąpiła seria błyskawicznych aresztowań, w wyniku której zatrzymano także większość tzw. Eichmannkomando: Franza Novaka, mieszkającego w Austrii, gdzie pracował jako drukarz,

21

doktora Ottona Hunschego, wykonującego zawód adwokata w Niemczech Zachodnich, Hermanna Krumeja, który został farmaceutą, Gustava Richtera, byłego "doradcę do spraw żydowskich" w Rumunii oraz Williego Zópfa, pełniącego analogiczną funkcję w Amsterdamie. Mimo że obciążające ich materiały opublikowano w Niemczech dawno temu - w książkach i artykułach prasowych - ani jeden z nich nie uznał za konieczne, żeby żyć pod zmienionym nazwiskiem. Po raz pierwszy od zakończenia wojny gazety niemieckie pełne były doniesień o procesach zbrodniarzy nazistowskich, z których każdy był sprawcą masowych mordów (od maja 1960 roku, kiedy to pojmano Eichmanna, można było ścigać sądownie jedynie sprawców zbrodni najpoważniejszych, wszelkie pozostałe przestępstwa podlegały przedawnieniu, którego termin w wypadku morderstwa mijał po dwudziestu latach), natomiast niechęć, z jaką sądy lokalne ścigały ich sprawców, wyrażała się jedynie w niebywale łagodnych wyrokach wymierzonych oskarżonym. (I tak, dr Otto Bradfisch, członek Einsatzgruppen, lotnych jednostek likwidacyjnych SS na Wschodzie, został skazany na dziesięć lat ciężkich robót za wymordowanie 15 tysięcy Żydów, dr Otto Hunsche, doradca prawny Eichmanna, ponoszący osobistą odpowiedzialność za przeprowadzoną w ostatnich dniach wojny deportację blisko 12 tysięcy Żydów węgierskich, z których zabito co najmniej 600, otrzymał karę pięciu lat ciężkich robót, ajoseph Lechthaler, który "zlikwidował" żydowskich mieszkańców Słucka i Smolewicz, został skazany na trzy lata i sześć miesięcy więzienia.) Wśród aresztowanych znaleźli się ludzie o dużym znaczeniu w czasach hitlerowskich, którzy w większości zostali przez sądy niemieckie oczyszczeni z zarzutu popierania hitleryzmu. Jednym z nich był generał SS Karl Wolff, były szef osobistego sztabu Himmlera. Zgodnie z dokumentem przedstawionym na procesie norymberskim w 1946 roku, "z wielką radością" przyjął on wiadomość, że "od dwóch

tygodni pociąg wywozi codziennie po 5 tysięcy członków Narodu Wybranego" z Warszawy do Treblinki, jednego z obozów śmierci na Wschodzie. Innym był Wilhelm Koppe, który początkowo kierował zagazowywaniem w Chełmnie, a potem został następcą Friedricha-Wilhelma Kriige-ra w Polsce. Koppe, jeden z najbardziej wyróżniających się wyższych dowódców SS, którego zadaniem było uczynienie Polski "oczyszczoną z Żydów" (judenrein), był w powojennych Niemczech dyrektorem fabryki czekolady. Niekiedy zapadały wyroki surowe, ale budziły one jeszcze większy niepokój, gdy wymierzano je takim przestępcom, jak Erich von dem Bach-Zelewski, były Obergmppenfihrer SS i generał policji. Był on sądzony w roku 1961 za udział w spisku Róhma (1934) i otrzymał wyrok trzy i pół roku. Ponownie postawiony przed sądem w Norymberdze w roku 1962 za zabicie sześciu komunistów niemieckich w roku 1933, został skazany na dożywotnie więzienie. W obu wypadkach akt oskarżenia nie wspominał o tym, że Bach-Zelewski kierował walką z partyzantami na froncie wschodnim oraz brał udział w masakrach Żydów w Mińsku i Mohylewie. Po cóż sądy niemieckie miałyby wprowadzać "podziały etniczne", skoro zbrodnie wojenne nie są zbrodniami? Bo czyż byłoby możliwe, żeby - niezwykle surowy jak na sądy w powojennych Niemczech - wyrok na Bach-Zelewskiego zapadł dlatego, że jako jeden z bardzo nielicznych doznał on szoku nerwowego po masowych egzekucjach, usiłował uchronić Żydów przed oprawcami z Einsatzgruppen i występował w Norymberdze jako świadek oskarżenia? Jako jedyny spośród ludzi tej kategorii, przyznał się on w roku 1952 publicznie do udziału w masowym mordzie, choć nigdy go o to nie oskarżono.

Należy wątpić, że obecnie sprawy przyjmą inny obrót, choć za rządów Adenauera z sądownictwa usunięto pod presją ponad 140 sędziów i oskarżycieli, a także wielu urzędników policji o bardziej niż przeciętnie kompromitującej przeszłości oraz udzielono dymisji Wolfgangowi

23

22

Immerwahrowi Frankelowi, głównemu oskarżycielowi przy Federalnym Sądzie Najwyższym, jako że wbrew znaczeniu środkowego członu swego nazwiska nie wykazał się zbytnią szczerością, nagabywany o swą nazistowską przeszłość. Ocenia się, że 5 tysięcy spośród 11,5 tysiąca sędziów RFN było czynnych w sądach hitlerowskich. W listopadzie 1962 roku -wkrótce po czystce w sądownictwie i w pół roku po zniknięciu nazwiska Eichmanna z czołówek gazet - w niemal pustej sali sądowej we Flensburgu odbył się od dawna oczekiwany proces Martina Fellenza. Ten były Obergruppenfihrer SS i policji, znany członek Partii Wolnych Demokratów w Niemczech Adenauera, został aresztowany w czerwcu 1960 roku, w kilka tygodni po ujęciu Eichmanna. Oskarżono go o udział i współodpowiedzialność za zamordowanie 40 tysięcy Żydów w Polsce. Po ponad sześciu tygodniach szczegółowych zeznań świadków prokurator zażądał najwyższego wymiaru kary: dożywotnich ciężkich robót. Sąd zaś skazał Fellenza na cztery lata, w poczet których zaliczono mu dwa i pół roku, jakie spędził w więzieniu, oczekując na proces. Tak czy inaczej, proces Eichmanna najbardziej brzemienne następstwa miał w samych Niemczech. Stosunek narodu niemieckiego do własnej przeszłości, nad którym to zagadnieniem od piętnastu lat łamali sobie głowy najlepsi znawcy spraw niemieckich, nie mógł doczekać się lepszej ilustracji: Niemców niewiele to wszystko obchodziło i niespecjalnie przeszkadzała im obecność chodzących na wolności zbrodniarzy, bo prawie wykluczone było, że którykolwiek z nich popełnił zbrodnię dobrowolnie. Gdybyjed-nak opinia światowa - właściwie zaś das Ausland, którym to słowem Niemcy określają zbiorowo wszystkie inne kraje - upierała się

przy żądaniu ukarania wszystkich tych ludzi, z największą ochotą spełniliby to żądanie, przynajmniej do pewnego stopnia.

Kanclerz Adenauer przewidywał kłopoty i dał wyraz obawie, że proces "przywoła znowu wszystkie te okropno-

ści" i wzbudzi na całym świecie kolejną falę uczuć antynie-mieckich, jak się też i stało. Wciągu dziesięciu miesięcy, których potrzebował Izrael na przygotowanie procesu, Niemcy gorączkowo zabezpieczały się przed możliwymi do przewidzenia skutkami, z bezprecedensowym zapalem tropiąc i ścigając sędownie zbrodniarzy nazistowskich przebywających na terenie kraju. W żadnym jednak momencie władze niemieckie ani żaden liczący się odłam opinii publicznej nie wystąpiły z żądaniem ekstradycji Eichmanna, choć wydawałoby się to krokiem oczywistym, jako że każde suwerenne państwo strzeże zazdrośnie prawa do osądzenia przestępców będących jego obywatelami (oficjalne stanowisko rządu Adenauera, zgodnie z którym nie można było tego uczynić, ponieważ pomiędzy Izraelem i Niemcami nie ma żadnych porozumień w sprawie ekstradycji, nie przekonuje; wynikało zeń tylko tyle, że Izraela nie da się zmusić do ekstradycji). Rozumiał to Fritz Bauer, heski prokurator generalny, który wystąpił do rządu federalnego w Bonn z wnioskiem o wszczęcie postępowania ekstradycyjnego. Ale uczucia, jakimi kierował się w tej sprawie pan Bauer, były uczuciami niemieckiego Żyda, których niemiecka opinia publiczna nie podzielała. Wniosek został przez Bonn odrzucony, na dodatek przeszedł on bez echa i nie znalazł najmniejszego poparcia. Inny argument przeciwko ekstradycji, wysunięty przez obserwatorów wysłanych przez rząd zachodniemiecki do Jerozolimy, polegał na tym, że Niemcy zniosły karę śmierci, a zatem nie mogłyby wymierzyć Eichmannowi kary, na jaką zasługiwał. W świetle pobłażliwości zademonstrowanej przez sądy niemieckie wobec nazistowskich sprawców masowych zbrodni, trudno nie dopatrywać się w tym sprzeciwie złej woli. Na pewno bowiem największym ryzykiem politycznym związanym z ewentualnym procesem Eichmanna na terenie Niemiec byłoby to, że sąd mógłby wydać wyrok uniewinniający z braku mens rea, jak w "Rheinischer Merkur" z 11 sierpnia 1961 roku zaznaczył J. J. Jansen.

25

24

Istnieje inny, delikatniejszy, politycznie zaś istotniejszy, aspekt tej sprawy. Co innego wykurzyć z kryjówek zbrodniarzy i morderców, a co innego przekonać się, że zajmują oni poczesne miejsce w życiu publicznym i mają się świetnie, czyli stwierdzić, że we władzach federalnych i państwowych - ogólnie powiedziawszy, na stanowiskach w urzędach publicznych - zasiadają ludzie, którzy zrobili karierę w czasach rządów Hitlera. Prawda, że gdyby ekipa Adenauera była zanadto uczulona na punkcie pełnienia funkcji państwowych przez ludzi z kompromitującą przeszłością nazistowską, nie byłaby może w ogóle zdolna sprawować rządów. Prawda bowiem jest naturalnie dokładnym zaprzeczeniem twierdzenia Adenauera, że naziści stanowili jedynie "stosunkowo mały odsetek" Niemców, podczas gdy "ogromna ich większość niosła ochoczo pomoc swym żydowskim współobywatelom, ilekroć było to możliwe". (Tylko jedna gazeta niemiecka, "Frankfurter Rundschau", postawiła - poniewczasie - oczywiste pytanie: dlaczego tylu ludzi, którzy z pewnością znali na przykład akta prokuratury generalnej, milczało jak zakłęci - i udzieliła sobie jeszcze bardziej oczywistej odpowiedzi: "Ponieważ sami czuli się winni".) Logika procesu Eichmanna, akcentującego zgodnie z koncepcją Ben Guriona sprawy ogólne z uszczerbkiem dla subtelności prawniczych, musiałaby doprowadzić do ujawnienia współudziału wszystkich

niemieckich urzędów i władz w Ostatecznym Rozwiązaniu: wszystkich cywilnych pracowników ministerstw państwowych, sił zbrojnych, włącznie ze sztabem generalnym oraz sfer przemy-słowo-handlowych. Ale mimo że oskarżenie pod przewodem pana Hausnera posunęło się do tego, by powołać na kolejnych świadków ludzi, których zeznania, jakkolwiek ponure i z pewnością prawdziwe, nie miały jednak żadnego albo tylko bardzo luźny - związku z czynami oskarżonego, unikało starannie poruszenia tego bardzo wybuchowego tematu, jakim był niemal powszechny współ-

udział w zbrodni, sięgający daleko poza szeregi członków partii naródowosocjalistycznej. (Jeszcze przed procesem rozeszły się pogłoski, że Eichmann wymienił kilkaset nazwisk czołowych osobistości Republiki Federalnej - swych współpracowników, były one jednak nieprawdziwe. Pan Hausner w swym inauguracyjnym wystąpieniu wspomniął o "wspólnikach Eichmanna, którzy nie byli bandytami, ani nie należeli do świata przestępczego", obiecując przy tym, że "spotkamy się z nimi - a będą to lekarze, prawnicy, uczeni, bankierzy, ekonomiści - w tych instytucjach, które podejmowały decyzję o zagładzie Żydów". Obietnicy nie dotrzymał, bo też dotrzymać jej -w tej formie, w jakiej ją złożył - nie mógł. Nigdy bowiem nie istniały żadne "instytucje podejmujące decyzje" o czymkolwiek, a "odziani w togi dygnitarze ze stopniami naukowymi" nie decydowali nigdy o eksterminacji Żydów, lecz tylko zbierali się, by opracować plan działań niezbędnych dla wcielania w życie rozkazów Hitlera.) Na jeden wypadek tego rodzaju zwrócono wszakże uwagę rządu, mianowicie na sprawę dra Hansa Globkego, jednego z najbliższych doradców Adenauera, który ponad 25 lat temu był współautorem haniebnego komentarza do ustaw norymberskich, nieco zaś później autorem wspaniałego pomysłu, by wszystkim Żydom niemieckim nakazać przybranie na drugie imię Izrael bądź Sara. Ale nazwisko pana Globkego - i tylko to jedno nazwisko - włączyła do akt sprawy toczącej się przed sądem obrona, a i to przypuszczalnie w nadziei, że "nakłoni" rząd Adenauera do wszczęcia postępowania ekstradycyjnego. Pewne jest jedno: były Ministerialrat w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i obecny Staatssekretar w Urzędzie Kanclerskim Adenauera, miał niewątpliwie większe prawo niż eks-mufti Jerozolimy, by zająć miejsce w dziejach cierpień zadanych Żydom przez nazistów.

To bowiem historia - przynajmniej gdy chodzi o stronę oskarżenia - zajęła w tym procesie miejsce centralne.

27

26

"Na ławie oskarżonych zasiadł w tym historycznym procesie nie pojedynczy człowiek, ani nawet nie sam tylko reżim nazistowski, lecz antysemityzm na przestrzeni całych dziejów". Taką tonację ustalił Ben Gurion, a pan Hausner wiernie się jej trzymał, rozpoczynając swą inauguracyjną mowę (trwającą przez trzy posiedzenia) od egipskiego faraona i rozporządzenia Hamana, zgodnie z którym "Żydów należało zniszczyć, pozabijać i zetrzeć z powierzchni ziemi". Następnie zacytował proroka Eze-chiela: "A idąc mimo cię, i widząc cię ku podeptaniu podaną we krwi twojej, ja [Pan] rzekłem ci: Żyj we krwi twojej [...]" (Ez 16,6), wyjaśniając, że słowa te trzeba rozumieć jako "imperatyw stojący przed narodem żydowskim od chwili jego pojawienia się na arenie dziejów". Kiepska to znajomość historii i tania retoryka, co gorsza zaś, podważało to sens postawienia Eichmanna przed sądem, gdyż mogło sugerować, że był on tylko niewinnym wykonawcą jakichś tajemnych wyroków przeznaczenia, a właściwie wypełniał misję antysemityzmu, który był może niezbędny, aby usunąć ze "splamionej krwią drogi, którą kroczy ten naród" przeszkody w wypełnianiu się jego przeznaczenia. Kiedy na jednym z późniejszych posiedzeń sądu profesor Salo W. Baron

z Uniwersytetu Columbia składał zeznania dotyczące nowszej historii Żydów wschodnioeuropejskich, dr Servatius nie zdołał opierać się dłużej pokusie i zadał oczywiste pytanie: "Dlaczego te wszystkie nieszczęścia spadły na naród żydowski?", a także: "Czy świadek nie sądzi, że u podstaw narodowego losu Żydów tkwią motywy irracjonalne? Wykraczające poza ludzką zdolność pojmowania?" Czy nie mamy tu przypadkiem do czynienia z czymś w rodzaju "ducha dziejów, który kieruje ich biegiem [...] bez udziału ludzi?" Czyż pan Hausner nie pozostaje zasadniczo w zgodzie z "doktryną praw historii" - aluzja do Hegla - i czyż nie udowodnił on, że "czyny przywódców nie zawsze wiodą do celu, który pragnęli osiągnąć? [...] W tym przypadku zamie-

rzeniem było zniszczenie narodu żydowskiego. Celu tego nie osiągnięto, powstało natomiast nowe, wspaniale rozwijające się państwo". Ten argument obrony wykazuje z kolei niepokojącą zbieżność z najnowszym antysemitycznym wymysłem z kręgu mędrców Syjonu. Zaledwie kilka tygodni przedtem wiceminister spraw zagranicznych Husajn fikar Sabri z całą powagą oświadczył w egipskim Zgromadzeniu Narodowym, że Hitler nie ponosi winy za masakrę Żydów: padł on ofiarą syjonistów, którzy "zmusili go do popełnienia zbrodni, jakie w końcowym efekcie umożliwiły im osiągnięcie ich celu: utworzenie państwa Izrael". Tyle tylko, że dr Servatius - trzymając się tej samej filozofii historii, którą wyłożył prokurator - rolę, jaką zwykle rezerwowano mędrcom Syjonu, przypisał Historii.

Na przekór intencjom Ben Guriona i wszelkim wysiłkom oskarżycieli, miejsce na ławie oskarżonych zajmował ciągle pojedynczy człowiek, istota z krwi i kości; o ile zaś Ben Guriona "absolutnie nie interesowało, jaki wyrok zapadnie w sprawie Eichmanna", nie sposób zaprzeczyć, że jedynym zadaniem sądu wjerezolimie było właśnie wydanie wyroku.

28

ROZDZIAŁ II

Oskarżony

Otto Adolf, syn Karla Adolfa Eichmanna i Marii Schaf-ferling, pojmany na przedmieściu Buenos Aires wieczorem 11 maja 1960 roku, przewieziony samolotem do Izraela w dziewięć dni później, postawiony przed Sądem Okręgowym wjerezolimie 11 kwietnia 1961 roku, został oskarżony pod piętnastoma zarzutami o to, że "wraz z innymi" popełnił zbrodnie przeciwko narodowi żydowskiemu, zbrodnie przeciwko ludzkości, a także zbrodnie wojenne, w całym okresie sprawowania rządów przez nazistów, a w szczególności w okresie drugiej wojny światowej. Ustawa o karach dla nazistów i osób z nimi współpracujących z roku 1950, na podstawie której był sądzony, stanowi, że "winny popełnienia któregoś [...] z tych przestępstw [...] podlega karze śmierci". Na każdy z tych zarzutów Eichmann odpowiadał: "W rozumieniu aktu oskarżenia -niewinny".

W jakim więc sensie uważał się za winnego? W trakcie długotrwałych przesłuchań oskarżonego -jego zdaniem, "najdłuższych w historii" - ani obrona, ani nawet trzej sędziowie nie raczyli mu zadać tego oczywistego pytania. Jego adwokat Robert Servatius, zamieszkały w Kolonii, wynajęty przez Eichmanna, a opłacany przez rząd izraelski (działający na podstawie precedensu, jaki miał miejsce na procesie norymberskim, gdzie wszystkich pełnomocników obrony opłacał trybunał zwycięskich mocarstw), udzielił na to pytanie odpowiedzi w wywiadzie prasowym: "Eichmann poczuwa się do winy przed Bogiem, a nie przed prawem", ale odpowiedź ta nie znalazła aprobaty u sa-

me go oskarżonego. Obrona z pewnością wolałaby, żeby oświadczył on, iż jest niewinny w tym sensie, że w świetle obowiązującego wówczas nazistowskiego systemu prawnego nie

uczynił niczego złego, gdyż to, o co go oskarżono, to nie były zbrodnie, tylko "akty usankcjonowane przez państwo", nie mogące podpadać pod kompetencje władz sądowych żadnego innego kraju (par in parem imperium non habet); on zaś miał obowiązek im się podporządkować, przy czym - według Servatiusa - za czyny, które popełnił, "otrzymuje się odznaczenia w wypadku zwycięstwa lub idzie się na szubienicę w wypadku przegranej". Poza granicami Izraela (na spotkaniu w bawarskiej Akademii Katolickiej, poświęconemu temu, co "Rheinischer Mer-kur" nazwał "delikatną kwestią możliwości i ograniczeń związanych z podjęciem tematu odpowiedzialności politycznej i historycznej w toku postępowania sądowego"), Servatius posunął się o krok dalej, oświadczając, że "jedyne prawnie uzasadnione zagadnienie z zakresu prawa karnego, związane z procesem Eichmanna, polega na wydaniu wyroku w sprawie Izraelczyków, którzy go porwali, czego jak dotychczas nie uczyniono" - twierdzenie to, nawiasem mówiąc, poniekąd trudno daje się pogodzić z wielokrotnymi i otoczonymi szerokim rozgłosem wypowiedziami Servatiusa w Izraelu, w którym nazwał on przebieg procesu "wielkim osiągnięciem duchowym", oceniając go wyżej aniżeli proces norymberski.

Postawa samego Eichmanna była inna. Przede wszystkim, błędny był zarzut popełnienia masowego mordu: "Z zabijaniem Żydów nie miałem nic wspólnego. Nigdy nie zabiłem żadnego Żyda ani nie-Żyda: nigdy nie zabiłem żadnego człowieka. Nigdy nie wydałem rozkazu zabicia Żyda lub nie-Żyda, ja po prostu tego nie zrobiłem". Później opatrzył to twierdzenie zastrzeżeniem: "Tak się złożyło [...], że ani razu nie musiałem tego zrobić", gdyż dał wyraźnie do zrozumienia, że zabiłby własnego ojca, gdyby otrzymał taki rozkaz. Dlatego wielokrotnie powtarzał,

31

30

że można go było oskarżyć jedynie o "współdział" w zagładzie Żydów, którą wjerezolimie określił jako "jedną z największych zbrodni w dziejach ludzkości". (Stwierdził to już w tak zwanych dokumentach Sassena, czyli w wywiadzie, jakiego udzielił w roku 1955 w Argentynie holenderskiemu dziennikarzowi nazwiskiem Sassen, byłemu SS-manowi, który również uciekał przed wymiarem sprawiedliwości. Wywiad ten - po pojmaniu Eichmanna - został częściowo opublikowany w amerykańskim tygodniku "Life", częściowo zaś w niemieckim "Der Stern".) Obrona zignorowała poglądy samego Eichmanna, za to oskarżenie zmarnowało mnóstwo czasu na nieudane próby udowodnienia, że Eichmann co najmniej raz własnoręcznie dopuścił się zabójstwa (chłopca żydowskiego na Węgrzech), a jeszcze więcej czasu poświęciła - tym razem z lepszym skutkiem - słowom, które podczas rozmowy telefonicznej nagryzmołił na pewnym dokumencie dotyczącym Jugosławii Franz Rademacher, ekspert do spraw żydowskich w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Brzmiały one: "Eichmann proponuje rozstrzelanie". Okazało się, że był to jedyny "rozkaz zabicia" - o ile rzeczywiście nim był - na który istniał choćby strzęp dowodu.

Materiał dowodowy okazał się bardziej wątpliwy, niż wydawało się podczas procesu, na którym sędziowie przyjęli wersję oskarżyciela wbrew kategorycznemu zaprzeczeniu Eichmanna, zaprzeczeniu nieskutecznemu, gdyż zapomniał on "o małym incydencie [zaledwie tysiąc ludzi], który nie był tak bardzo uderzający", jak się wyraził Servatius. Incydent rozegrał się jesienią 1941 roku, w sześć miesięcy od momentu zajęcia Serbii przez Niemców. Od samego początku okupacji armia niemiecka była wystawiona na nękające działania partyzantów. Władze wojskowe postanowiły wówczas rozwiązać za jednym zamachem dwa problemy, nakazując, aby za każdego zabitego żołnierza niemieckiego rozstrzelać stu zakładników

- Żydów i Cyganów. Wprawdzie ani Żydzi, ani Cyganie nie byli partyzantami, ale -jak powiedział zajmujący odpowiedzialne stanowisko cywilne w zarządzie wojskowym Staatsrat Harald Turner - "Żydów już i tak trzymaliśmy w obozach, w końcu to też byli obywatele serbscy, a poza tym mieli zniknąć" (cytat za: Raul Hilberg, *The Destruction of European Jews*, 1961). W obozach, założonych przez generała Franza Bohme, wojskowego gubernatora tego regionu, umieszczono wyłącznie mężczyzn pochodzenia żydowskiego. Ani generał Böhme, ani Staatsrat Turner nie czekali na aprobatę Eichmanna, nim zaczęły rozstrzeliwać tysiącami Żydów i Cyganów. Kłopoty zaczęły się w momencie, gdy Bohme postanowił - bez konsultacji z odpowiednimi władzami SS i policji - deportować wszystkich Żydów ze swego terenu, przypuszczalnie po to, by udowodnić, iż do oczyszczenia Serbii z Żydów nie potrzeba żadnych specjalnych oddziałów wojskowych, działających pod odrębnym dowództwem. Powiadomiono o tym Eichmanna, ponieważ chodziło o deportację, on zaś odmówił zgody, gdyż przeszkadzałyby to w wykonaniu innych planów. To jednak nie Eichmann, tylko Martin Luther z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwrócił Böhmemu uwagę, że "na innych terenach [to znaczy w Rosji] dowódcy wojskowi pozbyli się znacznie większej ilości Żydów i nawet o tym nie wspomnieli". Tak czy inaczej, jeżeli nawet Eichmann istotnie "zapropozował rozstrzeliwanie", to polecił wojskowym, żeby robili dalej swoje, wyjaśniając, że sprawa zakładników znajduje się wyłącznie w ich gestii. Była to naturalnie sprawa armii, gdyż dotyczyła samych mężczyzn. Wcielanie w życie Ostatecznego Rozwiązania na terenie Serbii rozpoczęło się sześć miesięcy później, kiedy to urządzono obławę na kobiety i dzieci i zlikwidowano je w ciężarówkach zamienionych w komory gazowe. Wzięty w krzyżowy ogień pytań, Eichmann wybrał -jak zwykle - najbardziej zawile i najmniej prawdopodobne wyjaśnienie: Rademacherowi po-

32

33

trzebne było poparcie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy - miejsce pracy Eichmanna - dla stanowiska, jakie zajął w tej sprawie, dlatego też sfabrykował on ów dokument. (Sam Rademacher tłumaczył ten incydent dużo bardziej rozumnie na własnym procesie, który toczył się przed sądem zachodniemieckim w roku 1952: "Armia była odpowiedzialna za porządek na terenie Serbii i musiała rozstrzeliwać buntujących się Żydów". Brzmiało to bardziej prawdopodobnie, ale nie odpowiadało prawdzie, bo wiemy - ze źródeł nazistowskich - że Żydzi się nie "buntowali".) O ile trudno było interpretować uwagę poczynioną w rozmowie telefonicznej jako rozkaz, jeszcze trudniej było dać wiarę, że Eichmann był władny wydawać rozkazy generałom armii niemieckiej.

Czyżby więc przyznał się do winy, gdyby oskarżono go o współudział w zbrodni? Możliwe, ale z pewnością poczyniłby istotne zastrzeżenia. Czyny, jakie popełnił, są zbrodnią jedynie z perspektywy teraźniejszej, a on był zawsze szanującym prawo obywatelem, gdyż rozkazy Hitlera, które, rzecz jasna, wykonywał najlepiej jak umiał, posiadały w Trzeciej Rzeszy "moc prawa". (Obrońca mogła być powołana na poparcie tezy Eichmanna na zeznanie jednego z najwytrawniejszych znawców prawa konstytucyjnego Trzeciej Rzeszy, obecnego ministra kultury i oświaty w rządzie bawarskim, Theodora Maunza, który stwierdził w roku 1943, w *Gestalt und Recht der Polizei*, że "rozporządzenie fiihrera [...] jest centralną osią obecnego porządku prawnego".) Ci, którzy powiadają dziś, że Eichmann mógł być postąpić inaczej, albo po prostu nie wiedzą, albo zapomnieli już, jak miały się sprawy. Eichmann nie chciał być jednym z tych, którzy teraz udają, że "zawsze byli przeciw", podczas gdy w rzeczywistości robili bardzo skwapliwie, co im nakazano. Ponieważ jednak czasy się

zmieniają, podobnie jak profesor Maunz, Eichmann "spojrzał na sprawę inaczej". Nie pragnął zaprzeczać, że zrobił to, co zrobił, a nawet zaproponował, by go "publicz-

nie powiesić ku przestrodze wszystkim antysemitów świata". Nie chciał przez to powiedzieć, że czegokolwiek żałuje: "Skrucha - to dobre dla małych dzieci" (sid).

Nawet pomimo znacznych nacisków własnego adwokata nie zmienił stanowiska. Podczas omawiania propozycji Himmlera z roku 1941, by wymienić milion Żydów za 10 tysięcy ciężarówek i roli, jaką pełnił w tym planie Eichmann, zapytano go: "Czy oskarżony w czasie rozmów z przełożonymi dał kiedykolwiek wyraz współczuciu dla Żydów albo stwierdził, że istnieje możliwość udzielenia im pomocy?" Odpowiedź brzmiała: "Złożyłem przysięgę, że będę mówił tylko prawdę. Nie kierowałem się litością, występując z propozycją tej transakcji" - co może byłoby i słuszne, gdyby nie fakt, że to nie Eichmann ją wysunął. W dalszym ciągu nie mijał się on jednak z prawdą, kiedy mówił: "Powody wyjaśniłem dziś rano", a przedstawiały się one następująco: Himmler wydelegował do Budapesztu swojego człowieka, aby zajął się sprawą emigracji Żydów. (Nawiasem mówiąc, zrobił się z tego kwitnący interes: Żydzi mogli wydostać się na wolność za ogromne pieniądze, o czym jednak Eichmann nie wspominał.) Fakt, że "sprawa emigracji znalazła się wówczas w rękach człowieka nie należącego do aparatu policyjnego", wywołał jego oburzenie: "musiałem pomóc w przeprowadzeniu deportacji, a sprawy związane z emigracją, w których uważałem się za eksperta, przekazano człowiekowi przychodzącemu do naszego pionu z zewnątrz. [...] Miałem tego dosyć. [...] Postanowiłem, że muszę coś zrobić, żeby sprawy emigracji znalazły się w moich rękach".

Podczas procesu Eichmann usiłował - najczęściej bez powodzenia - wyjaśnić ów drugi punkt mający uzasadnić, dlaczego nie przyznaje się do winy "w rozumieniu aktu oskarżenia". Akt oskarżenia stwierdzał nie tylko, że działał on z premedytacją, lecz także, że kierował się niskimi pobudkami i miał pełną świadomość zbrodniczego charakteru swych czynów. Co się tyczy niskich pobudek,

35

34

Eichmann był całkowicie przekonany, że nie jest, jak się wyraził, innerer Schweinehund, czyli nędznym łajdakiem z samej swej istoty, zaś co do sumienia, był święcie przekonany, że odczuwałby wyrzuty sumienia jedynie wówczas, gdyby nie wykonał otrzymanego rozkazu, to znaczy nie posłał milionów mężczyzn, kobiet i dzieci na śmierć, czyniąc to z wielką energią i najbardziej pedantyczną starannością. Trzeba przyznać, że trudno było się, z tym nie zgodzić. Pół tuzina psychiatrów uznało go za "normalnego". - "W każdym razie normalniejszego niż ja sam po badaniach, jakim go poddałem!", jak miał ponoć wykrzyknąć jeden z psychiatrów, inny natomiast doszedł do wniosku, że cała konstrukcja psychiczna Eichmanna, jego stosunek do własnej rodziny, żony i dzieci, matki i ojca, braci, sióstr i przyjaciół, jest "nie tylko normalny, ale jak najbardziej pożądany", wreszcie zaś duchowny, który odwiedzał go regularnie w więzieniu po zakończeniu rozprawy apelacyjnej przed Sądem Najwyższym, pokrzepił wszystkich na duchu oświadczwszy, iż Eichmann jest "człowiekiem myślącym bardzo pozytywnie". U podstaw tej komedii znawców duszy tkwił brutalny fakt, że Eichmann absolutnie nie przedstawiał przypadku patologii moralnej, a tym bardziej prawnej. (Niedawne rewelacje pana Hausnera piszącego w "Saturday Evening Post" o rzeczach, których "nie mógł on ujawnić na procesie", stanowią zaprzeczenie informacji udostępnionych nieformalnie w Jerozolimie. Dowiadujemy się teraz, że psychiatrzy uznali rzekomo Eichmanna za człowieka "owładniętego groźnym i nie dającym się zaspokoić pociąganiem do zabijania", o "osobowości

perwersyjnego sadysty". W takim razie powinien on znaleźć się w zakładzie psychiatrycznym.) Co gorsza, nie przedstawiał on również bynajmniej przypadku patologicznej nienawiści do Żydów, fanatycznego antysemityzmu lub poddania się wpływom jakiegokolwiek indoktrynacji. "Osobiście" nie miał nigdy nic przeciwko Żydom, przeciwnie - istniało mnóstwo "oso-

bistych powodów", żeby nie żywił do Żydów nienawiści. Wprawdzie wśród jego najbliższych przyjaciół znajdowali się fanatyczni antysemita - na przykład Laszlo Endre, węgierski sekretarz stanu do spraw politycznych (czyli żydowskich), powieszony w Budapeszcie w roku 1946 -ale według Eichmanna należało to rozumieć mniej więcej w ten sposób, że "niektórzy z jego najlepszych przyjaciół byli antysemitami".

(Niestety - nikt mu nie wierzył. Oskarżyciel nie wierzył mu, bo nie na tym polegało jego zadanie. Pełnomocnik obrony wykazał całkowitą obojętność, gdyż wszystko wskazywało na to, iż w odróżnieniu od Eichmanna nie interesowały go zagadnienia sumienia. A sędziowie mu nie wierzyli dlatego, że byli ludźmi zbyt wielkiej dobroci, a może i dlatego, że pamiętali o samych podstawach swego zawodu, toteż nie mogli zakładać, że osoba "normalna", w pełni władz umysłowych, nie poddana indoktrynacji i nie pozbawiona wszelkich skrupułów, była całkowicie niezdolna do odróżnienia dobra od zła. Woleli oni wyciągnąć ze sporadycznych kłamstw, jakich się dopuszczał, wniosek, że Eichmann to kłamca - i dlatego nie sprostali największemu wyzwaniu moralnemu, a nawet prawnemu, wpisanemu w jego sprawę. Wychodzili z założenia, że oskarżony - tak jak wszyscy "normalni ludzie" - musiał zdawać sobie sprawę ze zbrodniczego charakteru swych czynów, Eichmann zaś był istotnie normalny o tyle, o ile "nie był żadnym wyjątkiem w systemie rządów nazistowskich". Jednak w sytuacji, jaka zapanowała w Trzeciej Rzeszy można się było spodziewać, że jedynie "wyjątki" zareagują "normalnie". Ta prosta oczywistość stawiała sędziów przed dylematem, którego nie umieli ani rozwiązać, ani zignorować. J

Urodził się 19 marca 1906 roku w Solingen, małym niemieckim mieście w Nadrenii, słynącym z wyrabianych tam noży, nożyczek i narzędzi chirurgicznych. W pięćdziesiąt

37

36

cztery lata później, oddając się swej ulubionej rozrywce, jaką było pisanie pamiętnika, przedstawił to pamiętne wydarzenie w następujący sposób: "Dziś, dokładnie po piętnastu latach i jednym dniem od daty 8 maja 1945 roku, zaczynam cofać się myślą do dnia 19 marca 1906 roku, kiedy to o godzinie piątej nad ranem rozpocząłem życie na tym świecie, przyjąwszy postać człowieka". Zgodnie z jego przekonaniem religijnymi, które nie uległy zmianie od czasów nazistowskich (wjeruzolimie określił się jako Gottgläubiger - naziści nazywali w ten sposób tych, którzy zerwali z chrześcijaństwem - i odmówił złożenia przysięgi na Biblię), fakt narodzin przypisywał nosicielowi "Wyższego Sensu", istocie poniekąd tożsamej z "mechanizmem wszechświata", której podlega życie ludzkie, samo w sobie pozbawione "głębszego sensu". (Terminologia dająca sporo do myślenia. Nazwa BogaHoheren Sin-nesträger oznacza w sensie językowym przyznać Mu określone miejsce w hierarchii wojskowej, gdyż naziści zastąpili wojskowy termin Befehlshempfänger - "odbiorca rozkazu" - terminem Befehlsträger - "nosiciel rozkazu" - podkreślając w ten sposób brzemień doniosłej odpowiedzialności, jakie rzekomo spoczywało na tych, którzy mieli rozkaz wykonać. Ponadto Eichmann, jak wszyscy związani z Ostatecznym Rozwiązaniem, był oficjalnie także "nosicielem tajemnic" - Geheimnisträger, co u osoby mającej wysokie mniemanie o sobie na pewno nie było powodem do śmiechu.) Atoli Eichmann, który nie

przejawiał wielkiego zainteresowania metafizyką, zachował wyjątkowo milczenie w kwestii jakichkolwiek bardziej intymnych relacji pomiędzy "Nosicielem Sensu" i "nosicielem rozkazu" i przeszedł do rozważań nad ewentualną drugą przyczyną sprawczą swojej egzystencji - do swych rodziców: "Z pewnością nie wypełniałaby ich tak wielka radość w związku z przyjściem na świat pierworodnego syna, gdyby mogli zobaczyć, jak w godzinie mych narodzin Norna nieszczęścia wplatała już - na złość Nornie pomyślności -

nici bólu i zgryzoty w osnowę mego żywota. Na szczęście jednak nieprzenikniona zasłona zakrywała przed nimi przyszłość".

Nieszczęścia zaczęły się dosyć wcześnie: w czasach szkolnych. Ojciec Eichmanna, początkowo księgowy w Towarzystwie Tramwajów i Elektryczności w Solingen, a od roku 1913 urzędnik tej samej firmy w austriackim Linzu, miał pięcioro dzieci: czterech synów i córkę. Wydaje się, że tylko najstarszy Adolf nie był w stanie ukończyć szkoły średniej, ani nawet otrzymać dyplomu zawodowej szkoły technicznej, w której został wówczas umieszczony. Przez całe życie Eichmann wprowadzał ludzi w błąd co do charakteru swoich "nieszczęść", chowając się za bardziej zaszczytne kłopoty finansowe ojca. W Izraelu jednak, podczas pierwszych spotkań z kapitanem Avnerem Lessem - oficerem śledczym, który spędził z nim około 35 dni i sporządził na podstawie 76 nagranych taśm magnetofonowych maszynopis ich rozmów liczący 3564 strony - był niezwykle pobudzony, przepelniał go entuzjazm z powodu tej wyjątkowej okazji "wyrzucenia z siebie [...] wszystkiego, co wiedział", a tym samym zajęcia miejsca wśród najbardziej chętnych do współpracy oskarżonych, jacy dotąd istnieli. (Jego entuzjazm wkrótce osłabł, choć nigdy nie zgasł całkowicie, wówczas gdy w oparciu o niepodważalne dokumenty postawiono mu konkretne pytania.) Najlepszym dowodem jego bezgranicznego początkowo zaufania, jakim bez reszty obdarzył kapitana Les-sa, było to, że po raz pierwszy w życiu przyznał się do swych młodzieńczych porażek, mimo że musiał zdawać sobie sprawę, iż tym samym zadaje kłam treści kilku istotnych rubryk we wszystkich wypełnionych przez siebie nazistowskich ankietach personalnych.

Cóż, w klęskach Eichmanna nie było nic nadzwyczajnego: ponieważ "nie należał do uczniów najbardziej przykładających się do nauki" - a także, można by dodać, do najzdolniejszych - ojciec zabrał go najpierw ze szkoły śred-

39

38

niej, a potem z zawodowej, na długo przed egzaminami końcowymi. Dlatego zawód, jaki Eichmann wpisywał we wszystkich oficjalnych dokumentach - technik budowlany-miał tyle samo wspólnego z rzeczywistością co twierdzenie, jakoby miejscem jego urodzenia była Palestyna i jakoby mówił płynnie po hebrajsku i żydowsku, co było jeszcze jednym absolutnym kłamstwem, którym uwielbiał raczyć swych kompanów z SS oraz swoje ofiary. Na tej samej zasadzie udawał zawsze, że zwolniono go z pracy w austriackiej spółce Yacuum Oil, ponieważ należał do partii narodowosocjalistycznej. Wersja, z jakiej zwierzył się kapitanowi Lessowi, była mniej drastyczna, choć przypuszczalnie również nieprawdziwa: znalazł się na bruku z powodu bezrobocia, a w owych czasach zwalniano z pracy przede wszystkim kawalerów. (Wyjaśnienie to, mimo że na pozór prawdopodobne, nie może całkowicie zadowalać, gdyż pracę stracił wiosną 1933 roku, kiedy to był już przez dwa okrągłe lata zareczony z Yeroniką vel Verą Liebl, późniejszą swą żoną. Dlaczego się z nią nie ożenił, gdy miał jeszcze dobrą posadę? Pobrali się ostatecznie w marcu 1935 roku, przypuszczalnie dlatego, że w SS, tak samo jak w Yacuum Oil, kawalerom zawsze groziła

utrata pracy, nie mogli oni także uzyskać awansu.) Samochwalstwo zawsze stanowiło, jak widać, jedną z zasadniczych wad charakteru Eichmanna.

Podczas gdy młody Eichmann borykał się z kłopotami w szkole, jego ojciec odszedł z Towarzystwa Tramwajów i Elektryczności i zaczął prowadzić samodzielny interes. Kupił małe przedsiębiorstwo górnicze i skierował swego niewiele obiecującego syna do pracy w tymże przedsiębiorstwie w charakterze zwykłego robotnika, ale tylko do momentu, kiedy znalazł mu posadę w dziale sprzedaży spółki Oberösterreichischen Elektrobau, gdzie Eichmann pozostał przez ponad dwa lata. Miał wówczas 22 lata i pozbawiony był wszelkich perspektyw kariery zawodowej. Jediną rzeczą, jakiej się ewentualnie nauczył, była umie-

jętność sprzedawania. Wydarzenia, jakie wówczas nastąpiły, sam Eichmann nazwał pierwszym przełomem w swoim życiu. I znowu dysponujemy dwiema znacznie różniącymi się wersjami owych wydarzeń. W ręcznie pisanym życiorysie, sporządzonym w roku 1939 w celu uzyskania awansu w SS, opisał je następująco: "W latach 1925-1927 pracowałem jako przedstawiciel handlowy austriackiej spółki Elektrobau. Z własnej woli odszedłem z tego stanowiska, gdyż wiedeńskie Vacuum Oil zaproponowało mi reprezentowanie swoich interesów na terenie Górnej Austrii". Istotne jest tu słowo "zaproponowało", ponieważ zgodnie z tym, co powiedział w Izraelu kapitanowi Lessowi, nikt mu nigdy niczego nie proponował. Jego matka zmarła, kiedy miał dziesięć lat, a ojciec ożenił się powtórnie. Kuzyn ze strony macochy-którego Eichmann nazywał "wujem" - był prezesem austriackiego Automobilklubu i mężem córki pewnego żydowskiego przemysłowca z Czechosłowacji. Wykorzystał on swoją znajomość z naczelnym dyrektorem austriackiej spółki Vacuum Oil - był nim Żyd nazwiskiem Weiss - by uzyskać dla swego pechowego krewnego posadę komiwojażera. Eichmann okazał należną wdzięczność; żydowscy członkowie jego rodziny byli owymi "osobistymi powodami", dla których nie żywił on nienawiści do Żydów. Nawet w latach 1943 i 1944, kiedy Ostateczne Rozwiązanie nabrało pełnego rozmachu, pamiętał o przysłudze: "Górka owego małżeństwa, w świetle ustaw norymberskich pół-Żydówka [...] przyszła mnie prosić o pozwolenie na emigrację do Szwajcarii. Naturalnie spełniłem to życzenie, a tenże wuj przyszedł mnie z kolei prosić o interwencję w sprawie pewnego małżeństwa żydowskiego z Wiednia. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby pokazać, iż osobiście nie żywiłem do Żydów nienawiści, zarówno bowiem matka, jak i ojciec wychowali mnie w duchu ściśle chrześcijańskim, a opinie mojej matki różniły się - dlatego że miała żydowskich krewnych - od opinii panujących w kręgach SS".

41

40

Zadał sobie sporo trudu, by uzasadnić swe stwierdzenie: nigdy nie żywił żadnych złych uczuć wobec swych ofiar, co więcej - nigdy tego faktu nie taił. "Wyjaśniłem to doktorowi Lowenherzowi [prezesowi wiedeńskiej gminy żydowskiej], podobnie jak doktorowi Kastnerowi [wiceprzewodniczącemu organizacji syjonistów w Budapeszcie]; mówiłem to chyba wszystkim, każdemu, kogo znałem, w różnych momentach słyszeli to ode mnie wszyscy. Nawet w szkole podstawowej miałem kolegę, z którym spędzałem wolne chwile. Przychodził do nas do domu. Pochodził z rodziny nazwiskiem Sebba, mieszkającej w Linzu. Gdyśmy po raz ostatni spacerowali po ulicach Linzu, nosiłem już w klapie odznakę partyjną NSDAP, a on wcale nie zwracał na to uwagi". Gdyby Eichmann mniej się popisywał albo gdyby przesłuchujący go oficer policji (który zrezygnował z zadawania krzyżowych pytań, przypuszczalnie dlatego, żeby zapewnić sobie współpracę przesłuchiwanego) był mniej dyskretny, "brak uprzedzeń" oskarżonego ukazałby się nam może od jeszcze innej strony.

Wydaje się, że w Wiedniu - gdzie odniósł takie niesłychane sukcesy w organizowaniu "przymusowej emigracji" Żydów - miał kochankę Żydówkę, "dawną miłość" z Linzu. Rassenschande, utrzymywanie stosunków cielesnych z Żydówkami, było chyba największą zbrodnią, jaką mógł popełnić członek SS. Podczas wojny gwałcenie dziewcząt żydowskich stało się wprawdzie ulubioną rozrywką frontową, ale romans z kobietą pochodzenia żydowskiego był w wypadku wyższego oficera SS czymś absolutnie wyjątkowym. U podstaw wielokrotnie wysuwanych przez Eichmanna gwałtownych oskarżeń pod adresem Juliusa Streichera, obłąkanego i pławiącego się w plugastwie redaktora pisma "Der Sturmer" wraz z jego pornograficznym antysemityzmem, można zatem dopatrzeć się pobudek osobistych, które mogły zarazem stanowić wyraz więcej niż zwyczajowej pogardy, jaką "światły" SS-man powinien

był okazywać wulgarnym namiętnościom pomniejszych bonzów partyjnych.

Pięć i pół roku spędzone w Vacuum Oil należało z pewnością do szczęśliwszych lat w życiu Eichmanna. W czasach powszechnego bezrobocia powodziło mu się całkiem dobrze, mieszkał też nadal z rodzicami, nie licząc wypraw w celach zawodowych. Idylla dobiegła końca w Zielone Świątki 1933 roku: tej daty Eichmann nie mógł nigdy zapomnieć. W rzeczywistości sytuacja pogorszyła się nieco wcześniej. Pod koniec 1932 roku został niespodziewanie - absolutnie wbrew własnej woli - przeniesiony z Linzu do Salzburga: "praca przestała mnie cieszyć, nie lubiłem już sprzedawać ani rozmawiać przez telefon". Podobne wypadki raptownej utraty Arbeitsfreude miały stać się udziałem Eichmanna na przestrzeni całego jego życia. Najgorszy z nich miał miejsce wówczas, gdy dowiedział się o tym, że fiihrer wydał rozkaz "fizycznego unicestwienia Żydów", w czym Eichmann miał odegrać tak doniosłą rolę. To także stało się niespodziewanie: osobiście "nigdy nie wyobrażał sobie [...] rozwiązania przy użyciu przemocy". Swoją reakcję opisał w ten sam sposób: "Wszystko straciło dla mnie wartość, utraciłem całą radość z wykonywanej pracy, całą inicjatywę i zainteresowanie, tak jakbym się doszczętnie wypalił". Gość podobnego stało się w roku 1932 w Salzburgu, a z relacji samego Eichmanna wynika jasno, że zwolnienie z pracy nie mogło być dla niego zbyt wielkim zaskoczeniem, choć nie ma powodów, by wierzyć, że dymisja "bardzo go ucieszyła".

Bez względu na przyczyny, rok 1932 oznaczał w jego życiu punkt zwrotny. W kwietniu tegoż roku zapisał się do partii narodowosocjalistycznej i wstąpił do SS. Stało się to z inicjatywy Ernsta Kaltenbrunnera, młodego adwokata z Linzu, późniejszego szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt, RSHA). Ostatecznie Eichmann znalazł zatrudnienie na stanowisku kierownika Wydziału B-4 w jednym z sześciu departamentów tego

42

43

urzędu - w Departamencie IV, na czele którego stał Hein-rich Müller. Na rozprawie Eichmann sprawiał wrażenie typowego przedstawiciela dolnej klasy średniej, a każde wypowiedziane przez niego lub napisane w więzieniu zdanie jeszcze je dodatkowo wzmacniało. Było to jednak wrażenie mylące, w rzeczywistości był on raczej zdeklasowanym synem solidnej urzędniczej rodziny, na obniżenie zaś jego pozycji społecznej wskazywał fakt, że o ile jego ojciec przyjaźnił się z ojcem Kaltenbrunnera, który także był prawnikiem w Linzu, stosunki pomiędzy synami były dosyć chłodne: Kaltenbrunner wyraźnie uważał Eichmanna za zajmującego niższe miejsce w hierarchii społecznej. Jeszcze przed wstąpieniem do partii i SS Eichmann należał do wielu różnych organizacji, a dzień 8 maja 1945 roku -

oficjalna data pokonania Niemiec - nabrał dlań znaczenia głównie dlatego, że uświadomił sobie wówczas, iż odtąd będzie musiał żyć, nie będąc członkiem tej czy innej organizacji. "Poczułem, że czeka mnie trudne, pozbawione przywódcy, życie pojedynczego człowieka. Nie dostanę od nikogo wytycznych, nikt mi już nie wyda żadnych rozkazów ani poleceń, nie będzie konsultacji w sprawie odnośnych rozporządzeń, słowem, czekało mnie życie, jakiego dotąd w ogóle nie znałem". Kiedy był małym chłopcem, nie interesujący się polityką rodzice zapisali go do YMGA (Stowarzyszenie Męskiej Młodzieży Chrześcijańskiej), skąd przeszedł później do niemieckiego ruchu młodzieżowego (Wandenogel]. W zakończonym niepowodzeniem czteroletnim okresie pobytu w szkole średniej, wstąpił do sekcji młodzieżowej niemiecko-austriackiego stowarzyszenia kombatantów (Jungfrontkämpferband), tolerowanego przez władze austriackie pomimo silnie proniemieckiego i antydemokratycznego nastawienia. Kiedy Kaltenbrunner zaproponował, żeby wstąpił do SS, Eichmann był już prawie członkiem całkiem innego ugrupowania, mianowicie wolnomularskiej loży Schlaraffia - "Stowarzyszenia biznesmenów, lekarzy, aktorów, pracowników państwowych itp., pragnących współ-

nie oddawać się uciechom i zabawie [...]. Każdy członek loży obowiązany był wygłosić co jakiś czas wykład utrzymany w konwencji wyrażenie żartobliwej". Kaltenbrunner wyjaśnił Eichmannowi, że będzie musiał odejść z tego wesołego stowarzyszenia, ponieważ jako nazista nie może być masonem - wyrazu tego Eichmann jeszcze wówczas nie znał. Dokonanie wyboru między SS a Schlaraffia (nazwa pochodzi od Schlaraffenlandu, baśniowej krainy żarłoków i bęcwałów) mogło być niełatwe, ale i tak "usunięto go kopniakiem" ze Schlaraffii, ponieważ popełnił grzech, na którego wspomnienie nawet jeszcze w izraelskim więzieniu oblewał się rumieńcem wstydu: "Wbrew zasadom, w jakich mnie wychowano, odważyłem się - choć byłem najmłodszy wiekiem - zaprosić mych towarzyszy na lampkę wina".

Niczym liść miotany podmuchami historii, przefrunął ze Schlaraffii, bajkowej krainy, w której stoły pokrywały się jadłem w czarodziejski sposób, a pieczone kurczaki same wlatywały do ust, a ściślej z towarzystwa szacownych filistrów ze stopniami naukowymi, zapewnioną karierą i "subtelnym poczuciem humoru" -w szeregi marszowych kolumn Tysiącletniej Rzeszy, która przetrwała dokładnie dwanaście lat i trzy miesiące. W każdym razie nie wstąpił do partii z przekonania, nigdy też nie zdołała go ona przekonać - ilekroć pytano go o powody tej decyzji, powtarzał zawsze te same, żenujące frazesy o traktacie wersalskim i bezrobociu. Jak powiedział przed sądem, polegało to raczej na tym, że "Partia jak gdyby połknęła go wbrew wszelkim oczekiwaniom i bez żadnej wcześniejszej decyzji. Stało się to nagle i bardzo szybko". Nie miał czasu, a tym bardziej szczerego zamiaru, żeby uzyskać odpowiednie informacje; nie znał nawet programu partii, nie czytał nigdy Mein Kampf. Kaltenbrunner zapytał go: "A może byś wstąpił do SS?", a on odpowiedział: "Czemu nie?" Tak właśnie się to odbyło; w tej sprawie nie było prawie nic więcej do dodania.

44

45

Rzecz jasna, nie było to wszystko. Podczas przesłuchania w sądzie Eichmann nie powiedział przewodniczącemu składu sędziowskiego tego, że był ambitnym młodym człowiekiem, który miał powyżej uszu posady komiwojażera, nim jeszcze miało go powyżej uszu Vacuum Oil. Od szarego życia, pozbawionego sensu i logiki, wiatr powiał go w objęcia Historii, czyli - bo tak to rozumiał - w objęcia Ruchu, który wciąż posuwał się naprzód i w którym ktoś podobny do niego - kto w oczach swojej klasy społecznej, swojej rodziny, a więc

i w swoich własnych, nie rokował już żadnych nadziei - mógł jeszcze zacząć wszystko od początku i zrobić jakąś karierę. A jeśli nie zawsze mu się podobało to, co musiał robić (na przykład posyłać ludzi na śmierć w przeładowanych pociągach, zamiast zmuszać ich do emigracji), jeśli zaczął się domyślać, dosyć wcześnie, że cała ta sprawa źle się skończy i Niemcy przegrają wojnę, jeśli nic nie wyszło z planów, do jakich był najbardziej przywiązany (ewakuacja Żydów europejskich na Madagaskar, ustanowienie terytorium żydowskiego w okolicach Niska w Polsce, eksperymentalna budowa instalacji obronnych zabezpieczających jego biuro w Berlinie przed rosyjskimi czołgami) i jeśli, ku swemu najszczerzszemu "ubolewaniu", nigdy nie został awansowany do stopnia wyższego niż Obersturmbannführer SS (odpowiednik podpułkownika) - słowem, jeśli doznawał w życiu ciągłych zawodów (z wyjątkiem roku spędzonego w Wiedniu), pamiętał zawsze, jaka była alternatywa. Nie tylko w Argentynie, gdzie pędził niezbyt miły żywot uchodźcy, ale także na sali sądowej w Jeruzolimie, gdzie mógł być pewny, że utraci życie, wolałby mimo wszystko - gdyby go o to zapytano - zawisnąć na szubienicy w randze Obersturmbannführera a. D. (w stanie spoczynku) niż wieść spokojny i normalny żywot komiwojażera Vacuum Oil.

Początki kariery Eichmanna w nowym zawodzie nie były zbyt obiecujące. Wiosną 1933 roku, kiedy pozosta-

wał bez pracy, partia nazistowska i wszystkie związane z nią organizacje zostały w Austrii zawieszane z powodu dojścia Hitlera do władzy. Nawet jednak bez tego nowego nieszczęścia o karierze w partii austriackiej nie było co mówić: nawet członkowie SS pracowali dalej na swych normalnych stanowiskach; Kaltenbrunner był dalej współnikiem w firmie adwokackiej swego ojca. Toteż Eichmann postanowił pojechać do Niemiec, co było decyzją tym naturalniejszą, że jego rodzina nigdy nie zrezygnowała z niemieckiego obywatelstwa. (Fakt ten odegrał pewną rolę podczas procesu. Dr Servatius zwrócił się do władz zachodniemieckich z prośbą o zażądanie ekstradycji oskarżonego; w przeciwnym razie domagał się pokrycia kosztów obrony. Bonn odmówiło na tej podstawie, że Eichmann nie był obywatelem niemieckim, co było oczywistą nieprawdą.) W Passau, nad granicą niemiecką, raptem przeistoczył się znowu w komiwojażera, a kiedy zgłosił się do lokalnego szefa [partii], zapytał go ochoczo, "czy przypadkiem nie ma jakichś znajomych w bawarskim Vacuum Oil". Cóż, nie pierwszy to raz powracał z jednego etapu swego życia na inny; ilekroć stawał w obliczu oznak świadczących o zdecydowanie nazistowskich poglądach danej osoby - w okresie kiedy mieszkał w Argentynie, a nawet w jerozolimskim więzieniu - tylekroć tłumaczył się "tą samą starą śpiewką (die Alte Tour)". Ale z zapaści w Passau szybko go uleczono. Powiedziano mu, że lepiej będzie, jeśli odbędzie jakiś rodzaj szkolenia wojskowego. "W porządku - pomyślałem sobie - co mi szkodzi zostać żołnierzem?" Bardzo prędko znalazł się w dwu kolejnych bawarskich obozach SS, w Lechfeld i Dachau (z tamtejszym obozem koncentracyjnym nie miał nic wspólnego). Odbywało się w nich szkolenie "legionu austriackiego na wygnaniu". Tak oto do pewnego stopnia został Austriakiem, mimo że posiadał paszport niemiecki. W obozach wojskowych przebywał od sierpnia 1933 roku do września 1934, otrzymał awans do stopnia Scharführera (kaprała)

47

46

i miał mnóstwo czasu, by raz jeszcze zastanowić się, czy rzeczywiście pragnie poświęcić się karierze żołnierskiej. Zgodnie z tym, co sam opowiadał, wyróżnił się w ciągu owych czternastu miesięcy tylko w jednej dziedzinie: w musztrze karnej, którą wykonywał z wielką zawziętością, w duchu gniewnego "dobrze tak mojemu ojcu, że sobie odmrozę ręce, bo czemu

mi nie kupił rękawiczek?". Pomijając jednak tę dość wątpliwą przyjemność, której zawdzięczał swój pierwszy awans, czuł się okropnie: "Nie mogłem wytrzymać monotonii służby wojskowej. Dzień w dzień ciągle to samo, bez przerwyjedno i to samo". I oto, znudzony do szaleństwa, dowiaduje się, że Służba Bezpieczeństwa Reichsführera SS (Himmlerowska Sicherheitsdienst, czyli SD) dysponuje wolnymi miejscami pracy. Natychmiast składa podanie.

ROZDZIAŁ III

Ekspert w kwestii żydowskiej

W roku 1934, kiedy Eichmann otrzymał na swoje podanie odpowiedź pozytywną, SD była stosunkowo skromną przybudówką SS. Zorganizował ją dwa lata wcześniej Heinrich Himmler po to, by pełniła funkcję partyjnej służby wywiadowczej. W roku 1934 szefem SD był Reinhardt Heydrich, były oficer wywiadu marynarki wojennej, którego Gerald Reitlinger nazwał "prawdziwym architektem Ostatecznego Rozwiązania" (w książce *The Final Solution*, 1961). Pierwotne zadanie SD polegało na szpiegowaniu członków partii, co miało zapewnić SS kontrolę nad zawodowym aparatem partyjnym. Z upływem czasu zaczęła spełniać funkcje dodatkowe, przekształcając się w ośrodek informacyjno-badawczy na usługach tajnej policji państwowej, czyli Gestapo. Były to pierwsze kroki na drodze do połączenia SS i policji, do którego doszło jednak dopiero we wrześniu 1939 roku, jakkolwiek Himmler zajmował stanowisko zarazem Reichsführera SS i szefa policji niemieckiej już od roku 1936. Eichmann nie mógł - rzecz jasna - znać przyszłego biegu wydarzeń, ale wydaje się, że kiedy wstępował do SD, jej charakter był mu także nie znany. Jest to całkiem możliwe, bo działalność SD była zawsze objęta ścisłą tajemnicą. W jego wypadku wszystko to okazało się nieporozumieniem i - początkowo - "wielkim rozczarowaniem". "Myślałem, że to jest to, o czym przeczytałem w »Munchener Illustrierte Zeitung«: przejazdem wysokich funkcjonariuszy partyjnych towarzyszyli członkowie ochrony osobistej stojący na stopniach samochodów. [...] Słowem, pomyliłem sobie Służbę Bez-

49

pieczeństwa Reichsführera SS ze Służbą Bezpieczeństwa Rzeszy [...], a nikt nie wyprowadził mnie z błędu, ani niczego mi nie wytłumaczył. Nie miałem bowiem najmniejszego pojęcia, z czym się właściwie zetknąłem". Kwestia, czy mówił prawdę, miała pewien związek z procesem, gdyż trzeba było rozstrzygnąć, czy zajął swe stanowisko dobrowolnie, czy też został zwerbowany. Pomyłkę Eichmanna -jeśli to była pomyłka - da się wytłumaczyć: pierwotnym celem zakładania SS, czyli Schutzstaffeln [drużyn specjalnych] była ochrona przywódców partyjnych.

Ale rozczarowanie przeżywał głównie dlatego, że znowu musiał zaczynać wszystko od początku, że znalazł się z powrotem na samym dole, a jedynym jego pocieszeniem było to, że inni popełnili ten sam błąd. Umieszczono go w wydziale informacji, gdzie pierwsze jego zajęcie polegało na gromadzeniu wszelkich informacji na temat wolnomularstwa (w ideologicznym bałaganie cechującym wczesny hitlerizm masonerię wrzucono do jednego worka z judaizmem, katolicyzmem i komunizmem) i pomocy w organizowaniu muzeum wolnomularstwa. Miał wówczas sporo okazji, żeby dowiedzieć się, co oznacza to dziwne słowo, które rzucił mu w twarz Kaltenbrunner podczas dyskusji o Schlaraffii. (Nawiasem mówiąc, skwapliwość w zakładaniu muzeów upamiętniających wrogów nazizmu była bardzo charakterystyczną cechą tego systemu. Podczas wojny kilka instytucji prowadziło zacieklą rywalizację o zaszczytne prawo zakładania antyżydowskich muzeów i bibliotek. Tej osobliwej manii zawdzięczamy ocalenie wielu wspaniałych skarbów kultury Żydów

europjskich.) Kłopot polegał na tym, że zajęcie było znowu bardzo, bardzo nudne, toteż z wielką ulgą przyjął przeniesienie - po czterech czy pięciu miesiącach wolnomularstwa - do świeżo powstałego wydziału zajmującego się Żydami. Był to prawdziwy początek kariery, która miała zakończyć się przed sądem wjerezolimie.

Był rok 1935: Niemcy, wbrew ustaleniom traktatu wersalskiego, wprowadziły powszechną służbę wojskową i podały do wiadomości publicznej plany ponownego uzbrojenia się, obejmujące stworzenie lotnictwa i floty wojennej. Był to także rok, w którym Niemcy -po wystąpieniu w roku 1933 z Ligi Narodów - prowadziły, bynajmniej nie ciche ani potajemne, przygotowania do zajęcia zde-militaryzowanej strefy Nadrenii. Był to okres pokojowych przemówień Hitlera: "Niemcy potrzebują pokoju i pragną pokoju", "dostrzegamy w Polsce ojczyznę wielkiego, świadomego swej tożsamości narodu", "Niemcy nie zamierzają i nie pragną mieszać się w wewnętrzne sprawy Austrii, nie dążą do jej podporządkowania, ani do Anshlus-su". Przede wszystkim zaś był to rok, w którym reżim hitlerowski zdobył powszechne i niestety autentyczne uznanie w kraju i za granicą, Hitlera zaś wszędzie podziwiano jako wybitnego męża stanu. W samych Niemczech był to okres przemian. Dzięki zakrojonym na ogromną skalę zbrojeniom zlikwidowano bezrobocie, początkowy opór klasy robotniczej został zdławiony, a wrogość reżimu, skierowana najpierw głównie przeciwko "antyfaszystom" -komunistom, socjalistom, lewicowym intelektualistom i Żydom zajmującym ważne stanowiska - nie przekształciła się jeszcze w prześladowania Żydów jako Żydów.

Co prawda, jednym z pierwszych posunięć władz nazistowskich było usunięcie (jeszcze w roku 1933) Żydów ze służby państwowej (w Niemczech zaliczali się do niej wszyscy pracownicy szkolnictwa, od szkół podstawowych do uniwersytetów, a także pracownicy większości gałęzi przemysłu rozrywkowego, włącznie z radiem, teatrami, operą i filharmonią), jak również zamknięcie przed nimi dostępu do urzędów publicznych. Jednakże przedsiębiorstwa prywatne, a także profesje prawnicza i lekarska, pozostały nietknięte aż do roku 1938, choć Żydom zabroniono już przystępować do państwowych egzaminów wstępnych na uniwersytety. Emigracja Żydów odbywała

51

50

się w owych latach niezbyt pospiesznie i w sposób na ogół uporządkowany, a ówczesne ograniczenia utrudniające, ale nie uniemożliwiające, wywóz ich pieniędzy - a przynajmniej znacznej ich części - za granicę dotykały w równym stopniu nie-Żydów i pochodziły jeszcze z czasów Republiki Weimarskiej. Sporadycznie dochodziło do tzw. Einyaktionen, czyli indywidualnych akcji wywierania nacisku na Żydów, by sprzedali posiadany przez siebie majątek po śmiesznie niskich cenach, ale działo się to zwykle w małych miastach, i to rzeczywiście z "indywidualnej", spontanicznej inicjatywy jakichś przedsiębiorczych członków oddziałów szturmowych, tzw. SA-manów, którzy - z wyjątkiem korpusu oficerskiego - rekrutowali się przede wszystkim z nizin społecznych. Prawda, że policja nigdy nie ukrócała tych "ekscesów", ale władze nazistowskie były z tego niezbyt zadowolone, gdyż obniżały one wartość nieruchomości w całym kraju. Emigrantami - pomijając kategorię uchodźców politycznych - byli ludzie młodzi, którzy zdawali sobie sprawę, że w Niemczech nie mają żadnych widoków na przyszłość. A ponieważ prędko zdali oni sobie sprawę, że winnych krajach europejskich również nie mają przyszłości, niektórzy emigranci żydowscy wracali w tym okresie do Niemiec. Kiedy Eich-mannowi zadano pytanie, w jaki sposób godził swoje osobiste uczucia związane z Żydami z deklarowanym jawnie i zażartym

antysemityzmem partii, której był członkiem, odpowiedział przysłowiem: "Nie taki diabeł straszny, jakim go malują". Przysłowie to pojawiło się wówczas na ustach wielu Żydów. Żyli oni w rajku głupców, w którym przez kilka lat nawet Streicher mówił o "prawnym rozwiązaniu problemu żydowskiego". Trzeba było zorganizowanej akcji pogromów z listopada 1938 roku, tak zwanej Kristallnacht, czyli "kryształowej nocy", podczas której rozbito szyby w 7,5 tysiąca sklepów żydowskich i podpalono wszystkie synagogi, żeby ich z owego rajku wypędzić.

Często zapomina się o tym, że osławione ustawy norymberskie wydane jesienią 1935 roku nie przyniosły oczekiwanego skutku. Zeznania złożone przez trzech świadków z Niemiec, byłych działaczy syjonistycznych wysokiego szczebla, którzy opuścili Niemcy na krótko przed wybuchem wojny, pozwalają tylko w bardzo ograniczonym stopniu zorientować się w prawdziwym stanie rzeczy w ciągu pierwszych pięciu lat panowania nazistów. Ustawy norymberskie pozbawiły Żydów praw politycznych, ale nie publicznych: przestali oni być obywatelami Rzeszy (Reichsbürger), ale byli nadal mieszkańcami państwa niemieckiego (Staatsangehörige). Nawet jeśli emigrowali, nie stawali się automatycznie bezpaństwowcami. Stosunki cielesne osób pochodzenia żydowskiego z osobami pochodzenia niemieckiego, a także zawieranie mieszanych związków małżeńskich, były zabronione. Niemki poniżej 45 roku życia nie wolno było zatrudnić w żydowskim gospodarstwie domowym. Spośród tych postanowień tylko ostatnie miało praktyczne znaczenie: pozostałe nadawały jedynie moc prawną panującej de facto sytuacji. Toteż sądzono powszechnie, że ustawy norymberskie stabilizują nowe położenie Żydów w Rzeszy Niemieckiej. Od 30 stycznia 1933 roku byli oni, łagodnie mówiąc, obywatelami drugiej kategorii. Niemal całkowitą ich separację od reszty społeczeństwa osiągnięto w przeciągu kilku tygodni czy miesięcy: przy pomocy terroru, lecz także dzięki postawie patrzącego przez palce otoczenia. "Pomiędzy Żydami i nie-Żydami wyrósł mur", powiedział świadek dr Benno Gohn z Berlina. "Nie przypominam sobie, żebym w czasie moich podróży po całych Niemczech rozmawiał choć raz z chrześcijaninem". Otóż Żydzi sądzili, że ich status prawny został uregulowany i nie grozi im już postawienie poza prawem. Jeśli nie będą się do niczego wtrącać - do czego i tak zostali zmuszeni - będą mogli żyć w spokoju. Reichsvertretung Żydów niemieckich (krajowy związek wszystkich gmin i organizacji, powołany we wrze-

53

52

śniu 1933 roku z inicjatywy gminy berlińskiej, bez żadnych nacisków ze strony nazistów) stwierdził, że intencją ustaw norymberskich było "ustalenie znośnej płaszczyzny stosunków pomiędzy narodem niemieckim i żydowskim". Członek berlińskiej wspólnoty żydowskiej, radykalny syjonista, skomentował to w sposób następujący: "Można żyć pod rządami każdej ustawy. Ale w warunkach, kiedy zupełnie nie wiadomo, co jest dozwolone, a co zakazane, żyć się nie da. Można być pożytecznym i szanowanym obywatelem także wówczas, gdy należy się do mniejszości żyjącej wśród wielkiego narodu" (Hans Lamm, *Über die Entwicklung des deutschen Judentums...*, 1951). Ponieważ zaś Hitler złamał na drodze czystek po spisku Röhma (1934) potęgę SA, oddziałów szturmowych w brązowych koszulach, ponoszących niemal wyłączną odpowiedzialność za wczesne pogromy i akty terroru, a także dlatego, że Żydzi pozostawali w błogiej nieświadomości co do rosnącej potęgi odzianych w czarne koszule oddziałów SS, których członkowie powstrzymywali się początkowo od tego, co Eichmann nazywał pogardliwie "metodami bojówkarzy", sądzili oni powszechnie, że możliwe będzie osiągnięcie jakiegoś modus vivendi, a nawet występowali z

własnymi propozycjami "rozwiązania kwestii żydowskiej". Słowem, w momencie gdy Eichmann rozpoczynał swoje terminowanie w dziedzinie spraw żydowskich, w której cztery lata później został uznany za "eksperta" i kiedy nawiązywał pierwsze kontakty z działaczami żydowskimi, zarówno syjoniści, jak i zwolennicy asymilacji używali w rozmowach wyrażen w rodzaju "wielkie żydowskie odrodzenie duchowe", "wielki twórczy ruch Żydów niemieckich", i nadal wiodli między sobą spory ideologiczne na temat tego, czy pożądana jest emigracja żydowska, jakby zależało to od ich własnych decyzji.

Wyjaśnienia złożone przez Eichmanna w toku śledztwa, dotyczące okoliczności, w jakich otrzymał stanowisko w nowym wydziale - naturalnie zniekształcone, ale

nie pozbawione całkowicie prawdy - dziwnie przypominają ów raj głupców. Na samym początku nowy szef Eichmanna, niejaki von Mildenstein, który wkrótce potem załatwił sobie przeniesienie do Organisation Todt Alberta Speera, gdzie kierował budową autostrad (w odróżnieniu od Eichmanna, był z zawodu rzeczywiście inżynierem), zażądał od niego, aby przeczytał Państwo żydowskie Teodora Herzla, sławnego klasyka syjonizmu. Pod wpływem tej lektury Eichmann nawrócił się od razu na zawsze na syjonizm. Od tamtego momentu, jak sam wciąż powtarzał, myślał on wyłącznie o "rozwiązaniu politycznym" (w przeciwieństwie do "rozwiązania fizycznego"; pierwsze oznaczało wygnanie, drugie eksterminację Żydów) oraz o tym, "w jaki sposób zapewnić Żydom twardy grunt pod stopami". Żeby pomóc w tym przedsięwzięciu, rozpoczął pracę apostołską wśród swych kolegów z SS, wygłaszając wykłady i pisząc broszury. Następnie liźnął trochę hebrajszczyzny, dzięki czemu potrafił przeczytać, zacinając się, gazetę w języku żydowskim, co nie było zbyt wielkim osiągnięciem, ponieważ każdy, kto mówi po niemiecku i posiada znajomość kilkudziesięciu słów hebrajskich, jest w stanie zrozumieć język żydowski, będący zasadniczo dialektem staroniemieckim posługującym się alfabetem hebrajskim. Przeczytał nawet jeszcze książkę: Historia syjonizmu Adolfa Bóhma (podczas procesu mylił ją ciągle z Państwem żydowskim Herzla). Było to chyba spore osiągnięcie, jak na kogoś kto, jak sam twierdził, nie przejawiał nigdy najmniejszej ochoty do czytania czegokolwiek poza gazetami i kto, ku zmartwieniu własnego ojca, nigdy nie sięgnął po książki z domowej biblioteki. Studiując Bóhma, poznawał schemat organizacyjny ruchu syjonistycznego, włącznie ze wszystkimi jego ugrupowaniami, organizacjami młodzieżowymi i różnymi programami. Było to jeszcze za mało, aby został "autorytetem", ale wystarczyło, żeby otrzymał funkcję oficjalnego szpiega w zakresie działalności syjonistycznej. Warto za-

55

54

uważyć, że cała jego znajomość spraw żydowskich dotyczyła niemal wyłącznie syjonizmu.

Pierwsze kontakty Eichmanna z działaczami żydowskimi - z których wszyscy byli znanymi syjonistami z wieloletnim stażem - przyniosły mu całkowite zadowolenie. Powodem, dla którego tak bardzo zafascynowała go "kwestia żydowska", był, jak wyjaśnił, jego własny "idealizm". Ci Żydzi, w odróżnieniu od zwolenników asymilacji, którymi zawsze pogardzał, oraz w odróżnieniu od żydowskich ortodoksów, którzy go nudzili, byli - tak jak on - "idealistami". Zgodnie z wyobrażeniem Eichmanna, "idealista" jest człowiek, który nie tylko wierzy w jakąś "ideę", nie kradnie i nie przyjmuje łapówek, lecz ponadto żyje dla swojej idei, dlatego też nie może zostać przedsiębiorcą -i gotowy jest poświęcić dla niej wszystko, a zwłaszcza wszystkich. Kiedy Eichmann mówił oficerowi śledczemu, że wysłałby na śmierć własnego ojca, gdyby tego odeń zażądano, nie chodziło mu tylko o to, żeby podkreślić, jak

bardzo związany był rozkazami i jak bardzo gotów im się podporządkować. Chciał przez to także pokazać, jakim był zawsze "idealistą". Absolutny "idealista" ma naturalnie, tak jak wszyscy ludzie, osobiste uczucia i emocje, ale nigdy nie pozwoli, żeby przeszkadzały mu one w działaniu, jeśli doszłoby do konfliktu między nimi a jego "idea". Największym "idealistą" spośród Żydów, z jakimi zetknął się Eichmann, był dr Rudolf Kastner, z którym prowadził rokowania podczas deportacji Żydów węgierskich. Osiągnęli porozumienie, na mocy którego Eichmann miał zezwolić na "nielegalny" wyjazd kilku tysięcy Żydów do Palestyny (eskorta pociągu składała się w istocie z niemieckich policjantów) w zamian za "ład i porządek" w obozach, skąd Żydów wywożono setkami tysięcy do Oświęcimia. Owych kilka tysięcy Żydów uratowanych dzięki temu porozumieniu - znaleźli się wśród nich ludzie wybitni i członkowie syjonistycznego ruchu młodzieżowego - stanowiło, wedle wyrażenia Eichmanna, "naj-

lepszy materiał biologiczny". Eichmann był przekonany, że dr Kastner poświęcił swych rodaków w imię "idei" i że tak powinno być. Sędzia Benjamin Halevi, jeden z trzech sędziów na procesie Eichmanna, przewodniczył rozprawie sądowej przeciwko Kastnerowi w Izraelu, na której Kastner musiał się bronić przed zarzutem współpracy z Eichmannem i innymi wysokimi funkcjonariuszami nazistowskimi. Zdaniem Halewiego, Kastner "sprzedał duszę diabłu". Kiedy zaś sam diabeł znalazł się na ławie oskarżonych, okazało się, że jest on "idealistą", a także - choć może trudno w to uwierzyć - że j est całkiem niewykluczone, iż ten, który sprzedał własną duszę, też był "idealistą".

Na długo przed tymi wszystkimi wydarzeniami Eichmann miał po raz pierwszy okazję zastosować w praktyce wiadomości nabyte podczas terminowania. Po Anschlussie (czyli wcieleniu Austrii do Rzeszy), w marcu 1938 roku, wysłano go do Wiednia, żeby zorganizował tam emigrację zupełnie dotąd nie znanego w Niemczech rodzaju. W Niemczech bowiem aż do jesieni 1938 roku podtrzymywano fikcję, jakoby Żydom, którzy tego pragną, pozwalano - a nie zmuszano ich do tego - aby opuścili kraj. Jedną z przyczyn, dla których Żydzi niemieccy wierzyli w tę fikcję, był program NSDAP, sformułowany w roku 1920, który wraz z konstytucją weimarską dzielił tę osobliwość losu, że nigdy nie został oficjalnie unieważniony; Hitler oświadczył nawet, że 25 punktów tego programu "nie podlega zmianie". W świetle późniejszych wydarzeń, antysemickie postanowienia programu były istotnie łagodne: Żydzi nie mogli być pełnoprawnymi obywatelami, nie wolno im było zajmować stanowisk państwowych, należało im zamknąć dostęp do pracy dziennikarskiej, a wszystkich tych, którzy otrzymali obywatelstwo niemieckie po 2 sierpnia 1914 roku -data wybuchu I wojny światowej - miano denaturalizować, czyli podlegali oni ekspulsji. (Znamienne, że denaturalizację przeprowadzo-

56

57

no natychmiast, ale hurtowa ekspulsja około 15 tysięcy Żydów, których z dnia na dzień wypędzono przez granicę polską do Zbąszynia - gdzie bezzwłocznie umieszczeni zostali w obozach - odbyła się dopiero w pięć lat później, kiedy nikt się jej już nie spodziewał.) Funkcjonariusze nazistowscy nigdy nie brali poważnie programu partii; szczylicili się przynależnością do ruchu - który odróżniali od partii - a ruchu nie mógł krępować żaden program. Nawet jeszcze przed dojściem nazistów do władzy, owych 25 punktów stanowiło wyłącznie ustępstwo wobec systemu wielopartyjnego, a także wobec tych ewentualnych wyborców, którzy byliby na tyle staroświeccy, żeby pytać o program partii, na którą zamierzali głosować. Jak mogliśmy się przekonać, Eichmann nie był obciążony takimi

pożałowania godnymi nawykami; a kiedy oświadczył przed sądem wjerezolimie, że nie znał programu Hitlera, najprawdopodobniej mówił prawdę: "Program partii nie miał znaczenia; człowiek wiedział, w co się angażuje". Natomiast Żydzi byli na tyle staroświeccy, że znali 25 punktów na pamięć i w nie wierzyli; wszystko zaś, co stało w sprzeczności z legalnym wprowadzeniem programu partii w życie, tłumaczyli zazwyczaj "rewolucyjnymi wybrykami" niedyscyplinowanych jej członków.

To jednak, co wydarzyło się w marcu 1938 roku w Wiedniu, było czymś całkowicie innym. Zadanie postawione przed Eichmannem określono jako "przymusową emigrację", a znaczenie tych słów odpowiadało dokładnie ich treści: wszyscy Żydzi, bez względu na ich wolę, a także obywatelstwo, mieli zostać zmuszeni do emigracji - w zwyczajnym języku nazywa się to wygnaniem. Ilekroć Eichmann wracał myślą do tych dwunastu lat swego życia, wyróżniał ów rok spędzony w Wiedniu na stanowisku szefa ośrodka do spraw emigracji Żydów austriackich jako najpomyślniejszy i najbardziej owocny w całym tym okresie. Trochę wcześniej otrzymał awans do stopnia oficerskiego: został Untersturmführerem, czyli porucznikiem

i otrzymał pochwałę za swoją "rozległą wiedzę na temat metod organizacyjnych i ideologii przeciwników żydowskich". Misja wiedeńska była jego pierwszym ważnym zadaniem: ważyły się losy jego dość wolno dotąd rozwijającej się kariery. Z pewnością szalenie mu zależało, żeby wypaść dobrze, ale też i odniósł spektakularny sukces: w ciągu ośmiu miesięcy Austrię opuściło 45 tysięcy Żydów, podczas gdy w tym samym okresie z Niemiec wyjechało ich nie więcej niż 19 tysięcy. W przeciągu niecałych osiemnastu miesięcy Austria została "oczyszczona" z blisko 150 tysięcy ludzi, stanowiących około połowę Żydów austriackich, spośród których wszyscy opuścili kraj "zgodnie z prawem"; już po wybuchu wojny udało się uciec jeszcze około 60 tysiącom. Jak tego dokonał? Zasadniczy pomysł, który to wszystko umożliwił, nie był naturalnie jego, lecz niemal na pewno zawierała go pewna dyrektywa Heydricha, gdyż to właśnie on wysłał Eichmanna do Wiednia. (Eichmann uchylał się od jasnego stwierdzenia autorstwa, ale pośrednio się do niego przyznawał, natomiast władze izraelskie, trzymające się z uporem fantastycznej - jak to określił biuletyn Instytutu Yad Yashem - tezy o "wszechogarniającej odpowiedzialności Adolfa Eichmanna", a także jeszcze mniej wiarygodnego "założenia, że za tym wszystkim krył się jeden [tzn. Eichmanna] umysł", pomogły mu znacznie przystroić się w cudze piórka, co zresztą bardzo odpowiadało jego skłonnościom.) Ów pomysł, jak tłumaczył Heydrich na naradzie z Göringiem w dniu poprzedzającym Kristallnacht, był prosty i dość oryginalny: "Za pośrednictwem gminy żydowskiej zdobyliśmy od bogatych Żydów, którzy chcieli emigrować pewną sumę pieniędzy. Wpłacając tę kwotę, a także pewną dodatkową sumę w obcych walutach, umożliwili oni wyjazd Żydom biednym. Problem nie polegał na tym, żeby doprowadzić do wyjazdu Żydów bogatych, tylko na tym, żeby się pozbyć żydowskiego motłochu". Tego "problemu" Eichmann nie rozwiązał. Dopiero po zakończeniu

59

58

procesu holenderski Państwowy Instytut Dokumentacji Wojennej podał do wiadomości, że Erich Rajakowitsch - "światny prawnik" - którego Eichmann, zgodnie ze złożonymi przez siebie zeznaniami, "zatrudnił w związku z kwestiami prawnymi, jakimi zajmowano się w centralnych urzędach do spraw emigracji Żydów w Wiedniu, Pradze i Berlinie", był pomysłodawcą "funduszu emigracyjnego". Nieco później, w kwietniu 1941 roku, Rajakowitsch został wysłany przez Heydricha do Holandii, aby "zorganizował tam centralny

ośrodek mogący służyć za wzór »rozwiązania kwestii żydowskiej« we wszystkich okupowanych krajach Europy".

Mimo to pozostało jeszcze wiele problemów, które można było rozwiązać jedynie w toku operacji i niewątpliwie Eichmann, po raz pierwszy w życiu, odkrył w sobie pewne szczególne kwalifikacje. Były dwie rzeczy, które umiał robić dobrze, lepiej niż inni: umiał organizować i umiał negocjować. Natychmiast po przybyciu do Wiednia przystąpił do rokowań z przedstawicielami gminy żydowskiej. Musiał ich najpierw uwolnić z więzień i obozów koncentracyjnych, jako że "rewolucyjny zapal" w Austrii, znacznie przewyższający wczesne "wybryki" w Niemczech, doprowadził do uwięzienia praktycznie wszystkich czołowych osobistości żydowskich. Po tym doświadczeniu Eichmann nie potrzebował przekonywać działaczy żydowskich o potrzebie emigrowania. Oni sami natomiast poinformowali go o ogromnych trudnościach, z którymi trzeba się będzie uporać. Oprócz problemu finansowego - już "rozwiązanego" - główna trudność polegała na liczbie dokumentów, jakie każdy emigrant musiał zgromadzić przed opuszczeniem kraju. Każdy z nich zachowywał ważność tylko przez czas ograniczony, toteż ważność pierwszego wygasała zwykle na długo przed uzyskaniem ostatniego. Gdy tylko Eichmann pojął mechanizm działania - a właściwie niedziałania - całej sprawy, "narodził się z samym sobą" i "wpadł na pomysł, który mógł chyba zado-

wolić obie strony". Wymyślił "coś w rodzaju taśmy montażowej, gdzie na początku wystawia się pierwszy dokument, potem następne, a produktem końcowym jest paszport". Można to było urzeczywistnić, jeśli wszystkich urzędników zainteresowanych tą sprawą - z Ministerstwa Finansów, ludzi od podatku dochodowego, policję, gminę żydowską itd. - zmieściłoby się pod jednym dachem i zmusiło do wykonywania swej pracy na miejscu, w obecności petenta, który nie musiałby już biegać od urzędu do urzędu i któremu zaoszczędzono by przypuszczalnie niektórych upokarzających szykan, a także wydatków związanych z łapówkami. Gdy wszystko było gotowe, a taśma montażowa działała gładko i szybko, Eichmann "zaprosił" działaczy żydowskich z Berlina na inspekcję. Byli przerażeni: "Przypomina to fabrykę, w której pracują automaty, albo młyn zbożowy, połączony z jakąś piekarnią. Jednymi drzwiami wchodzi Żyd, który ma jeszcze jakiś majątek, fabrykę, sklep albo konto w banku. W tym budynku przechodzi on od lady do lady, od biura do biura, i wychodzi drugimi drzwiami bez żadnych pieniędzy, bez żadnych praw, tylko z paszportem, w którym napisano: »Musisz opuścić ten kraj w ciągu dwóch tygodni. Inaczej pójdziesz do obozu koncentracyjnego«".

Jest to naturalnie prawdziwy opis całej procedury, ale opis niepełny. Żydzi bowiem nie mogli zostać "bez żadnych pieniędzy", po prostu dlatego, że w tamtym okresie żaden kraj nie przyjąłby ich bez pieniędzy. Musieli posiadać - posiadali - Yorzeigegeld, czyli taką sumę pieniędzy, która pozwoliłaby im otrzymać wizę i przejść przez kontrolę graniczną kraju przyjmującego imigrantów. Potrzebowali zatem określonej kwoty w walutach obcych, których Rzesza nie miała wcale zamiaru marnować na Żydów. Potrzeby tej nie mogły zaspokoić żydowskie konta bankowe w obcych krajach, z których korzystanie i tak było bardzo utrudnione, ponieważ ich posiadanie było od dawna nielegalne. Dlatego Eichmann wysłał działaczy ży-

60

61

dowskich za granice z zadaniem uzyskania funduszy od wielkich organizacji żydowskich. Fundusze te gmina żydowska sprzedała następnie przyszłym emigrantom ze znacznym

zyskiem: jednego dolara sprzedawano na przykład za 10-20 marek, podczas gdy cena rynkowa wynosiła 4 marki 20 fenigów. To w ten głównie sposób gmina uzyskała nie tylko pieniądze niezbędnie potrzebne ubogim Żydom i ludziom nie mającym kont zagranicznych, lecz także fundusze, których potrzebowała w swojej bardzo szeroko zakrojonej działalności. Eichmannowi nie udało się sfinalizować tych transakcji bez napotkania na znaczne sprzeciwy ze strony niemieckich władz finansowych, zarówno Ministerstwa, jak i Skarbu Państwa, które nie mogły przecież nie dostrzegać, że te operacje oznaczają dewaluację marki.

Samochwalstwo było wadą, która doprowadziła Eichmanna do zguby. Było czystą fanfaronadą, kiedy oświadczył swym ludziom pod sam koniec wojny: "Wskoczę do grobu ze śmiechem, bo fakt, że mam na sumieniu śmierć 5 milionów Żydów [lub "wrogów Rzeszy", bo zawsze twierdził, że mówił w ten sposób], daje mi olbrzymią satysfakcję". Nie wskoczył, a jeśli miał cokolwiek na sumieniu, to wcale nie masowy mord, tylko -jak się okazało - policzek wymierzony kiedyś doktorowi Josefowi Löwenherzowi, prezesowi wiedeńskiej gminy żydowskiej, który później został jednym z jego ulubionych Żydów. (Przeprosił go przed swymi współpracownikami, ale ten incydent wciąż nie dawał mu spokoju.) Twierdzenie, jakoby uśmiercił 5 milionów Żydów-tyle mniej więcej wyniosły straty, jakie naród żydowski poniósł wskutek połączonych wysiłków wszystkich nazistowskich instytucji i władz - było absurdalne, o czym doskonale wiedział. Powtarzał jednak to obciążające stwierdzenie aż do znudzenia każdemu, kto tylko chciał go słuchać - nawet po dwunastu latach, w Argentynie - ponieważ "doznawał uczucia niezwyklego zachwyty na myśl, że właśnie w ten sposób schodzi ze sce-

ny". (Były radca ambasady Horst Grell, występując jako świadek obrony, powiedział w zeznaniach, że jego zdaniem Eichmann - poznał go na Węgrzech - przechwalał się. Musiało to być rzeczą oczywistą dla wszystkich, którzy słyszeli, jak wysuwa on swe absurdalne twierdzenie.) Niczym innym jak przechwałką było stwierdzenie, że to rzekomo on "wymyślił" system gettowy i "wpadł na pomysł" wywiezienia wszystkich Żydów na Madagaskar. Getto w Terezynie (Theresienstadt), do którego "ojcostwa" przyznawał się Eichmann, powstało w kilka lat po wprowadzeniu systemu gettowego na okupowanych obszarach Europy Wschodniej, a założenie specjalnego getta dla pewnych uprzywilejowanych kategorii ludzi było - tak jak system gettowy- "pomysłem" Heydricha. Wydaje się, że plan madagaskarski "narodził się" w gabinetach niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Swój wkład do tego planu zawdzięczał Eichmann, jak się okazało, doktorowi Löwenherzowi, swemu ulubieńcowi, którego zwerbował do sformułowania "kilku zasadniczych koncepcji" przetransportowania po wojnie około 4 milionów Żydów - rzekomo do Palestyny, bo projekt madagaskarski był ściśle tajny. (W konfrontacji z przedstawionym na procesie raportem Löwenherza, Eichmann nie zakwestionował jego autorstwa; był to jeden z nielicznych momentów, kiedy wyglądał na autentycznie zakłopotanego.) W ostatecznym rozrachunku Eichmann został schwytany dlatego, że kierowała nim nieprzeparta potrzeba udawania kogoś ważnego - "dość miał losu anonimowego wędrowca błakającego się po świecie". W miarę upływu czasu potrzeba ta musiała się nasilać, nie tylko dlatego, że nie miał żadnego zajęcia, które uważałby za godziwe, lecz także dlatego, że okres powojenny otoczył go tak wielką, a niespodziewaną "sławą".

Samochwalstwo jednak to wada pospolita, natomiast bardziej specyficzną, a także donioślejszą w skutkach skazą charakteru Eichmanna było to, że absolutnie nie był

on zdolny do popatrzenia na cokolwiek z punktu widzenia innego człowieka. Skaza ta nigdzie nie narzuca się z większą oczywistością niż w jego relacji na temat epizodu wiedeńskiego. On, jego ekipa oraz Żydzi "doskonale się rozumieli", ilekroć zaś pojawiały się jakieś trudności, działacze żydowski biegli do niego, żeby "zrzucić kamień z serca", "wyżalić się przed nim" i "poprosić o pomoc". Żydzi "pragnęli" emigrować, a on, Eichmann, był tam po to, aby im pomóc, bo tak się złożyło, że akurat w tym samym czasie władze nazistowskie wyraziły pragnienie ujrzenia Rzeszy "oczyszczonej z Żydów" (judenrein). Oba te pragnienia zbiegły się ze sobą, a on, Eichmann, mógł "zadowolić obie strony". Na procesie nie ustąpił ani odrobinę, co się tyczy tego fragmentu relacji, choć zgodził się, że dziś, gdy "czasy się tak bardzo zmieniły", Żydzi niekoniecznie muszą się bardzo kwapić do wspomnienia owego "wzajemnego zrozumienia", on zaś nie chciał "ranić ich uczuć".

Niemieckojęzyczna wersja nagranych na taśmie przesłuchań w śledztwie, przeprowadzonych od dnia 29 maja 1960 roku do 17 stycznia 1961 roku (na każdej stronie widnieją poprawki i akceptacja Eichmanna) stanowi prawdziwą kopalnię złota dla psychologa, byle tylko był na tyle mądry, żeby rozumieć, iż rzeczy straszne mogą być nie tylko zabawne, lecz wręcz komiczne. Całego ich komizmu nie da się oddać w angielszczyźnie, ponieważ polega on na heroicznych zmaganiach Eichmanna z językiem niemieckim, nieodmiennie kończących się jego klęską. Przykładem tego komizmu może być moment, kiedy mówi on - w wielu miejscach - o "uskrzydłonych słowach" (geflugelte Worte - niemiecki kolokwializm oznaczający sławne cytaty z klasyki), mając na myśli obiegowe powiedzenia (Redensarten) lub slogany (Schlagworte). Innym przykładem owego komizmu był moment, gdy podczas drobiazgowego przesłuchania w sprawie dokumentów Sassena - prowadzonego przez głównego sędziego po niemiecku - użył on wyrażenia "skontrolować" (kon-

64

trağ geben), co miało dowodzić, że nie uległ naciskom Sassena próbującego ożywić tok jego relacji. Sędzia Landau, najwyraźniej ignorant w tajnikach gry w karty, nie zrozumiał, a Eichmann nie był w stanie wyrazić tego w jakikolwiek inny sposób. Mgliście uświadamiając sobie defekt, który musiał mu dokuczać nawet w czasach szkolnych - chodzi o lekką afazję - Eichmann przeprosił sąd, mówiąc: „Język urzędowy (Amtssprache) to jedyny język, jakiego używam”. Rzecz jednak w tym, że język urzędowy stał się jego mową dlatego, że doprawdy nie był w stanie wypowiedzieć jednego zdania, które nie byłoby komunalem. |Czy to te komunale uznali psychiatrzy za tak bardzo "normalne" i "pożądane"? Czy to jest owo "pozytywne myślenie", którego duchowny spodziewa się po ludziach oddanych jego duchowej władzy? Najlepsza sposobność wykazania owych pozytywnych cech swego charakteru nadarzyła się Eichmannowi wówczas, gdy młody oficer policji odpowiedzialny za jego komfort umysłowy i psychiczny wręczył mu jako lekturę dla relaksu egzemplarz Lolity. Po dwóch dniach Eichmann zwrócił mu książkę, wyraźnie oburzony: "Ależ to książka szkodliwa dla zdrowia" - Dos ist aber ein sehr unerjreuliches Buch, oświadczył strażnikowi.) Właściwie sędziowie mieli rację, gdy na koniec powiedzieli oskarżonemu, że wszystko, co mówił, było "pustosłowiem" - z tym jednak, że uważali, iż pustka jego słów była sfingowana, a oskarżony chciał w ten sposób ukryć inne swoje myśli, odrażające, ale nie pozbawione treści. Wydaje się, że przypuszczeniu temu przeczy uderzająca konsekwencja, z jaką Eichmann - pomimo swej dość kiepskiej pamięci - powtarzał słowo w słowo te same obiegowe zwroty lub frazesy własnego autorstwa (ilekroć udało mu się zbudować własne zdanie, powtarzał je tak długo, aż stało się nic nie znaczącym komunalem), gdy tylko nawiązywał do jakiegoś ważnego dla siebie incydentu lub wydarzenia. Spisując wspomnienia w Argentynie czy wjerozolimie, a także składając wyja-

65

śnienia oficerowi śledczemu albo sędziom, mówił zawsze jedno i to samo, używając tych samych słów. Im dłużej się go słuchało, tym wyraźniej było widać, że istnieje ścisły związek pomiędzy jego niezdolnością do mówienia a jego niezdolnością do myślenia, mianowicie myślenia z pozycji innego człowieka. Nie można się było z nim porozumieć, nie dlatego, że kłamał, lecz dlatego, że otaczał go mur najlepiej zabezpieczający przed słowami i obecnością innych, a zatem przed samą rzeczywistością.

Tak więc, w konfrontacji z trwającą przez siedem miesięcy rzeczywistością przesłuchań prowadzonych przez żydowskiego policjanta, Eichmann nie zawahał się ani odrobinę przed wyjaśnieniem mu w szczegółach, i to wielokrotnie, dlaczego nie zdołał uzyskać w SS wyższego stopnia: nie była to jego wina. Zrobił wszystko, co można było zrobić, poprosił nawet o przeniesienie do czynnej służby wojskowej: "Ruszaj na front, powiedziałem sobie, a ranga Standartenfuhrera [pułkownika] nadejdzie prędzej". Tymczasem przed sądem stwierdził coś przeciwnego; że mianowicie poprosił rzekomo o przeniesienie dlatego, że pragnął uniknąć swych obowiązków mordercy. Jednakże nie upierał się bardzo przy tym twierdzeniu, nie skonfrontowano go zaś, o dziwo, z tym, co opowiedział kapitanowi Lessowi. Oświadczył mu bowiem, że spodziewał się, iż otrzyma nominację na członka Einsatzgruppen, lotnych brygad egzekucyjnych działających na Wschodzie, ponieważ w momencie ich formowania - w marcu 1941 roku - jego biuro było "martwe": emigracja już się zakończyła, a deportacje jeszcze się nie zaczęły. Jego największą ambicją było w sumie uzyskanie stanowiska szefa policji w jakimś niemieckim mieście - i znowu nic z tego nie wyszło. Stronice wypełnione jego zeznaniami podczas przesłuchań sprawiają tak komiczne wrażenie dlatego, że Eichmann posługuje się zawsze tonem człowieka, który jest przekonany, że opowieść o jego pechowych losach wzbudzi "normalne, ludzkie" współczucie. "Wszystkie moje poczyna-

nią i plany kończyły się zawsze porażką, nie wiodło mi się nie tylko w sprawach osobistych, lecz również moje trwające latami próby zdobycia dla Żydów kawałka miejsca na Ziemi spełzły na niczym. Nie wiem czemu, ale na wszystko jak gdyby padł zły urok. Nad wszystkimi moimi pragnieniami, zamiarami i planami ciążyło jakieś fatum, które nie pozwoliło się im spełnić. Zewsząd spotykały mnie same zawody". Kiedy kapitan Less spytał go o zdanie w kwestii pewnych obciążających i być może kłamliwych zeznań złożonych przez byłego pułkownika SS, Eichmann wykrzyknął, jękając się raptem z gniewu: "Dziwi mnie ogromnie, że ten człowiek mógł w ogóle posiadać stopień Standartenfuhrera SS, doprawdy dziwię się temu! To absolutnie nie do pojęcia. Nie znajduję po prostu słów". Nigdy nie mówił tych rzeczy tonem wyzywającym, jak gdyby nawet przed sądem chciał bronić norm, których trzymał się w dotychczasowym życiu. Słowa takie jak "SS", "kariera" czy "Himmler" (którego nazwisko opatrywał zawsze przydługim tytułem oficjalnym: Reichsfuhrer SS i szef Policji Niemieckiej, mimo że bynajmniej nie należał do jego admiratorów), wyzwały w nim mechanizm niepodatny na najmniejsze zmiany. Obecność kapitana Lessa, Żyda niemieckiego, po którym absolutnie nie można się było spodziewać, by mógł myśleć, że osiągnięcie kolejnych szczebli kariery w SS zależało od wysokich walorów moralnych jego członków - ani na moment nie zablokowała działania tego mechanizmu.

Niekiedy komedia przekształcała się w czystą potworność, przybierając postać opowieści-przypuszczalnie zupełnie prawdziwych - których makabryczny humor bez trudu przewyższa wszelkie fantazje surrealistów. Jedną z takich opowieści, przytoczoną przez Eichmanna podczas śledztwa, dotyczy nieszczęsnego radcy handlowego Stor-fera z Wiednia, jednego z przedstawicieli gminy żydowskiej. Eichmann otrzymał telegram od Rudolfa Hossa, komendanta Oświęcimia, informujący o przybyciu Storfe-

ra, który chciał się pilnie zobaczyć z Eichmannem. "Pomyślałem sobie: no dobrze, ten człowiek zawsze zachowywał się przyzwoicie, więc nie będzie to strata czasu [...]. Pojadę tam sam i zobaczę, o co mu chodzi. Idę do Ebnera [szefa wiedeńskiego Gestapo], a on mówi tak (pamiętam to dosyć słabo): Szkoda, że to taka niezdara, ukrywał się i próbował uciec, czy coś takiego. Policja go aresztowała i wysłała do obozu koncentracyjnego. Zgodnie z rozkazem Reichsführera [Himmlera], jeżeli ktoś dostał się do obozu, to nie mógł się już z niego wydostać. Nie dało się nic zrobić, ani dr Ebner, ani ja, ani w ogóle nikt nie mógł na to nic poradzić. Pojechałem do Oświęcimia i poprosiłem Hossa, żeby pozwolił mi zobaczyć się ze Storferem. »Tak, tak [powiedział Hoss], on jest w którejś brygadzie robo-czej«. No i odbyłem normalne, ludzkie spotkanie ze Storferem. Wyżalił się przede mną. Powiedziałem do niego: »No i co, przyjacielu [fa, mein lieberguter Storfer], ależ mamy potwornego pecha!« Dodałem także: »Niech pan posłucha: naprawdę nie mogę panu pomóc, bo zgodnie z rozkazem Reichsführera stąd nikt nie może się wydostać. Nie mogę pana wyciągnąć. Dr Ebner też nie. Dowiedziałem się, że pan popełnił błąd: ukrył się pan, czy też chciał pan zwać, a przecież akurat pan nie musiał tego robić«. [Eichmann chciał przez to powiedzieć, że Storfer, będąc działaczem żydowskim, nie podlegał deportacji.] Nie pamiętam, co mi odpowiedział. A potem spytałem, jak mu się wiedzie. A on na to, tak, zastanawiał się, czy nie mógłby zostać zwolniony od obowiązku pracy. To była ciężka praca. Ja potem powiedziałem do Hossa: »Może Storfer nie musi pracować?« Ale Hoss odpowiedział: »Tu wszyscy pra-cują«. To ja na to: »Dobra, mówię, to ja wystawię mu taki papierek, że Storfer ma zamiatać zwirowane ścieżki - tam były takie wąskie ścieżki wysypane żwirem - i że ma prawo siadać z miotłą na ławce«. A Storfera spytałem: »Czy to panu odpowiada, Storfer? Czy tak będzie dobrze?« Bardzo się z tego ucieszył i uścisnęliśmy sobie rękę, a potem

dostał miotłę i usiadł sobie na ławce. Sprawilo mi wielkie wewnętrzne zadowolenie, że przynajmniej mogłem się zobaczyć z człowiekiem, z którym przepracowałem wspólnie tyle lat i że mogliśmy sobie porozmawiać". W sześć tygodni po tym normalnym ludzkim spotkaniu Storfer już nie żył: wszystko wskazuje na to, że zginął nie w komorze gazowej, lecz od kuli.

Czy mamy tu do czynienia z podręcznikowym przykładem złej wiary, oszukańczego samozakłamania połączonego ze skandaliczną głupotą? A może jest to po prostu przykład organicznie niezdolnego do skrucy zbrodniarza (w swoich syberyjskich wspomnieniach Dostojewski pisze, że wśród dziesiątków morderców, gwałcicieli i rabusiów ani razu nie napotkał człowieka, który przyznałby się do złego uczynku), który nie potrafi zdobyć się na obiektywną ocenę rzeczywistości, ponieważ jego zbrodnie stanowią jej integralny składnik? Przypadek Eichmanna różni się jednak od przypadku pospolitego przestępcy, mogącego skutecznie bronić się przed rzeczywistością świata nieprzestępczego jedynie w wąskich ramach swej szajki. Eichmannowi wystarczyło przywołać przeszłość, by utwierdził się w przekonaniu, że nie kłamie i nie oszukuje siebie, bo pomiędzy nim a światem, w którym kiedyś żył, panowała idealna harmonia. Niemieckie społeczeństwo zaś liczące 80 milionów ludzi broniło się przed rzeczywistością i nagimi faktami przy użyciu dokładnie tych samych sposobów: takim samym samookłamywaniem się, tymi samymi oszustwami i głupotą, jakie można było później odnaleźć w mentalności Eichmanna. Owe kłamstwa zmieniały się z roku na rok, często były z sobą sprzeczne, a ponadto przybierały niekoniernie tę samą postać w różnych odłamach hierarchii partyjnej czy też wśród ogółu społeczeństwa. Ale praktyka samooszukiwania się stała się tak powszechna, zyskując niemal rangę moralnego warunku przetrwania, że nawet dziś, po osiemnastu la-

tach od upadku systemu hitlerowskiego, gdy prawie cała konkretna treść kłamstw tego systemu uległa zapomnieniu, trudno niekiedy oprzeć się wrażeniu, że zakłamanie stało się integralną częścią niemieckiego charakteru narodowego. Podczas wojny kłamstwem najskuteczniej oddziałującym na cały naród niemiecki było hasło "walki o przeznaczenie narodu niemieckiego" (der Schicksalskampf des deutschen Volkes), ukute przez Hitlera lub Goebbelsa. Ułatwiała ono samookłamywanie się z trzech względów: po pierwsze, sugerowało, iż wojna nie jest wojną, po drugie, wynikało zeń, że początek tej walce dało przeznaczenie, a nie Niemcy, a po trzecie, że walka ta była dla Niemców sprawą życia lub śmierci, toteż stanęli oni przed alternatywą: albo unicestwią swych wrogów, albo sami zostaną unicestwieni.

Zdumiewająca gotowość Eichmanna - zarówno w Argentynie, jak i w Jerozolimie - do przyznania się do własnych zbrodni wynikała w niniejszym stopniu z jego własnej przestępczej skłonności do oszukiwania samego siebie, bardziej zaś z atmosfery metodycznego zakłamania, jaka panowała powszechnie - i przy powszechnej akceptacji - w Trzeciej Rzeszy. "Oczywiście", że odegrał rolę w eksterminacji Żydów, oczywiście, że , jeśli by ich nie odtransportował, nie znaleźliby się w rękach oprawców". "Do czego się tu - pytał - »przyznawać«?" Otóż, mówił dalej, "chciałby się pojednać z dawnymi wrogami" - pragnienie owo podzielał nie tylko z Himmlerem, który dał mu wyraz w ostatnim roku wojny, czy z przywódcą Frontu Pracy, Robertem Leyem (który - nim popełnił samobójstwo w Norymberdze - zaproponował stworzenie "komitetu pojednania" składającego się z nazistówodpowiedzialnych za masakrę i ocalałych Żydów), lecz także - rzecz niewiarygodna - z wielu zwykłymi Niemcami, którzy, jak słyszano, wyrażali się w identyczny sposób pod koniec wojny. Ten skandaliczny frazes nie został im już podyktowany z góry: wszedł do potocznego obiegu samo-

rzutnie i był tak samo oderwany od rzeczywistości, jak inne frazesy, którymi żył ten naród przez dwanaście lat. Nietrudno też sobie wyobrazić ów "niezwykły zachwyty", jakiego doznawała wypowiadająca go osoba w chwili, gdy spływał z jej ust.

Umysł Eichmanna był po brzegi wypełniony takimi formułkami. Okazało się, że na jego pamięci nie można wcale polegać, gdy chodzi o rzeczywiste wydarzenia. W rzadkiej chwili irytacji sędzieja Landau zapytał oskarżonego: "A co właściwie pan pamięta?" (jeśli nie pamięta pan treści rozmów na konferencji w Wannsee, która miała za przedmiot różne metody eksterminacji Żydów) Z odpowiedzi Eichmanna wynikało oczywiście, że dość doBrze pamięta on przełomowe momenty swojej kariery, ale że niekoniecznie zbiegają się one z punktami zwrotnymi w historii zagłady Żydów, właściwie zaś z punktami zwrotnymi całych dziejów?(Miał zawsze kłopoty z przypomnieniem sobie dokładnej daty wybuchu wojny lub agresji na Rosję.) Istotne jest jednak to, że nie zapomniął ani jednego ze swych powiedzeń, które w tym czy innym momencie pozwalały mu doznać "uczucia zachwyty". To dlatego za każdym razem, kiedy sędziowie usiłowali apelować do j e go sumienia, napotykali "zachwyty", przekonując się ku swemu oburzeniu, a także zaniepokojeniu, że Eichmann dysponował rozmaitymi, wprawiającymi go w zachwyty frazesami w odniesieniu do każdego okresu swego życia i każdej czynności. W jego umyśle nie istniała sprzeczność pomiędzy zdaniem: "Wskoczę do grobu ze śmiechem" - zdaniem odpowiednim w momencie zakończenia wojny - a słowami: "Chętnie powieszę się publicznie ku przestrodze wszystkich antysemitów na

świecie", które to zdanie - w całkiem odmiennych warunkach - pełniło dokładnie tę samą funkcję: wprawiało go w zachwyt.

Te zwyczaje Eichmanna powodowały w czasie procesu spore trudności, mniejsze może dla samego Eichmanna, większe natomiast dla ludzi, którzy przybyli, aby go

71

70

postawić w stan oskarżenia, zapewnić mu obronę, osądzić go, a także dla tych, którzy przybyli, by zdać z tego procesu relację. Mimo wszystko, niezbędnym było, by potraktować go serio, i właśnie na tym polegała wielka trudność, chyba że szukało się najłatwiejszego rozwiązania dylematu, jaki przedstawiały nie dająca się wyrazić potworność czynów i niezaprzeczalna śmieszność człowieka, który je popełnił. Rozwiązaniem owym było uznanie go za sprytnego, wyrachowanego kłamcę, którym Eichmann na pewno nie był. Jego własny sąd w tej sprawie daleki był od umiarkowania: „Jednym z nielicznych darów, jakie otrzymałem od losu, jest zdolność do ogarnięcia prawdy, w tej przynajmniej mierze, w jakiej zależy to ode mnie”. Przypisał on sobie ów dar, nim jeszcze oskarżyciel postanowił obciążyć go zbrodniami, których Eichmann nie popełnił. W chaotycznych notatkach, jakie sporządził w Argentynie, przygotowując się do rozmowy z Sassenem, kiedy - jak to nawet wówczas podkreślił - "dysponował jeszcze pełną wolnością fizyczną i psychiczną" - wystąpił z niesamowitym ostrzeżeniem pod adresem "przyszłych historyków, którzy powinni zdobyć się na tyle obiektywizmu, żeby nie zboczyć z ścieżki prawdy, która została tu utrwalona". Niesamowitym dlatego, że każda linijka tych gryzmołów świadczy o całkowitej ignorancji w odniesieniu do wszystkiego, co nie wiązało się bezpośrednio, pod względem technicznym i biurokratycznym, z jego funkcją, oraz o nadzwyczaj zawodnej pamięci.

Wbrew wszystkim wysiłkom oskarżenia, każdy mógł się przekonać, że ten człowiek nie jest "potworem", jednak doprawdy trudno się było oprzeć wrażeniu, że jest błaznem. Ponieważ zaś wrażenie takie miałoby fatalny skutek dla całego przedsięwzięcia, zresztą dość trudno byłoby się przy nim upierać ze względu na cierpienia, jakie wraz z podobnymi sobie zadał on milionom ludzi - jego najgorsze błazeństwa przeszły niemal nie zauważone i prawie wcale nie wspomniano o nich w relacjach

z procesu. Cóż można począć z człowiekiem, który oświadcza najpierw, kładąc na to wielki nacisk, że jedno, czego się nauczył w swym zmarnowanym życiu, to to, żeby nigdy nie składać żadnych przysięg ("Dziś żaden człowiek, żaden sędzia nie mógłby mnie namówić do powiedzenia czegokolwiek pod przysięgą, do złożenia pod przysięgą jakichkolwiek zeznań. Odmawiam, odmawiam ze względów moralnych. Doświadczenie nauczyło mnie bowiem, że jeśli człowiek jest wierny przysiędze, któregoś dnia musi ponieść konsekwencje. Obiecałem sobie raz na zawsze, że żaden sędzia na świecie ani żadna władza nie zdoła mnie nigdy zmusić, żebym przysięgał, żebym złożył zeznania pod przysięgą. Nie zrobię tego z własnej woli i nikt nie potrafi mnie do tego zmusić"), po czym, kiedy powiedziano mu wyraźnie, że jeśli chciałby składać zeznania we własnej obronie, może "uczynić to pod przysięgą albo bez przysięgi", oświadcza wówczas bez chwili namysłu, że wolałby zeznawać pod przysięgą? Co począć z człowiekiem, który wielokrotnie, manifestacyjnie rozemocjonowanym tonem, zapewnia sąd, tak jak przedtem zapewniał oficera śledczego, że najgorszą rzeczą, jaką mógłby uczynić, byłaby próba uniknięcia rzeczywistej odpowiedzialności, walka o ocalenie własnej głowy i prośba o ułaskawienie - po czym, opierając się na o wskazówkach obrońcy, kieruje do sądu własnoręcznie napisaną prośbę o ułaskawienie?

W wypadku Eichmanna chodziło zawsze o zmienne nastroje, dlatego ilekroć umiał odszukać w pamięci - na przykład pod wpływem chwili -jakiś odpowiedni do swego aktualnego nastroju podniosły frazes, zadawał się nim od razu, nie troszcząc się bynajmniej o jakikolwiek pozór logiki. Jak się przekonamy, ten okropny dar pocieszania się wyświechtanymi frazesami nie opuścił go nawet w godzinie śmierci.

72

ROZDZIAŁ IV

Pierwsze rozwiązanie: wypędzenie

Gdyby to był zwykły proces, podczas którego oskarżyciel i obrońca prowadzą z sobą zacieklą walkę o ustalenie faktów i oddanie sprawiedliwości obu stronom, można by teraz przejść do wersji obrony i stwierdzić, czy groteskowa relacja Eichmanna na temat jego wiedeńskiej działalności nie zawiera więcej prawdy niż się na pierwszy rzut oka wydaje, oraz czy zniekształcania przez niego rzeczywistości nie da się wytłumaczyć czymś więcej aniżeli tylko kłamstwami pojedynczego człowieka. Fakty, które miały zaprowadzić Eichmanna na szubienicę, zostały ustalone "ponad wszelką wątpliwość" na długo przed rozpoczęciem procesu, wszystkim badaczom nazizmu były one doskonale znane. Dodatkowe fakty, które usiłowało ustalić oskarżenie, zostały wprawdzie uwzględnione w orzeczeniu sądowym, z pewnością jednak musiałyby one wzbudzić "pewne wątpliwości", gdyby obrona należała na szersze wykorzystanie przedstawionego przez siebie materiału dowodowego w toku postępowania. Toteż każda relacja dotycząca sprawy Eichmanna - w odróżnieniu być może od procesu Eichmanna - będzie niepełna, jeśli nie poświęci się trochę uwagi pewnym dobrze znanym faktom, które dr Servatius mimo to wołał pominąć milczeniem.

Odnosi się to zwłaszcza do mętnej ideologii i ogólnych poglądów Eichmanna na tak zwaną "kwestię żydowską". Zeznając przed sądem, oświadczył on przewodniczącemu składowi orzekającego, że w Wiedniu "traktował Żydów jako przeciwników, w stosunku do których trzeba było znaleźć jakieś wzajemnie uczciwe i wzajemnie możliwe do przy-

74

jęcia rozwiązanie. [...] Wyobrażałem sobie, że rozwiązanie to będzie polegało na zapewnieniu im gruntu pod nogami, tak że będą mieli swoje własne miejsce na Ziemi, swoją własną ojczyznę. Pracowałem na rzecz tego rozwiązania z radością. Współdziałałem w jego osiągnięciu z ochotą i radością, gdyż było to jednocześnie rozwiązanie, które akceptowały pewne ruchy wśród samego narodu żydowskiego, a ja uważałem, że jest to najodpowiedniejsze rozwiązanie tej sprawy". To było prawdziwym powodem, dla którego wszyscy "dobrze się rozumieli", a ich praca "opierała się na zasadzie wzajemnej korzyści". Choć może nie wszyscy Żydzi to rozumieli, w ich interesie było wydostanie się z kraju: "Trzeba było im pomóc, trzeba było pomóc tym działaczom w ich pracy i ja im pomogłem". Jeśli działacze żydowscy byli "idealistami", to znaczy syjonistami, odnosił się do nich z szacunkiem, "traktował ich jak partnerów", wysłuchiwał wszystkich ich "życzeń, zażaleń i próśb o poparcie", dotrzymywał swych "obietnic", na ile było to możliwe - "Ludzie skłonni są dziś o tym zapominać". Kto jak nie Eichmann uratował setki tysięcy Żydów? Cóż innego, jeśli nie jego wielki zapał i talenty organizacyjne pozwoliły im uciec na czas? Prawda, że nie był w stanie przewidzieć wówczas nadciągającego Ostatecznego Rozwiązania, ale uratował ich-jest to "faktem". (W wywiadzie udzielonym podczas rozprawy syn Eichmanna opowiedział reporterom amerykańskim dokładnie to samo. Była to widocznie rodzinna legenda.)

W pewnym sensie można zrozumieć, dlaczego adwokat Eichmanna nie uczynił niczego, by podeprzeć jego wersję stosunków łączących go z syjonistami. Eichmann stwierdził - podobnie jak uczynił to wcześniej w rozmowie z Sassenem - że "nie przyjął swojej misji z obojętnością wołu pędzonego do stajni", że różnił się bardzo od swoich kolegów, którzy nigdy "nie przeczytali podstawowego dzieła (to znaczy Państwa żydowskiego Herzla), nie

75

przestudiowali tej książki i nie pochłonęli jej z wielkim zainteresowaniem", wobec czego "nie mieli wewnętrznego stosunku do swojej pracy". Byli oni "zwykłymi urzędnikami", dla których o wszystkim decydowały "paragrafy, rozkazy i których nic poza tym nie interesowało", słowem - byli oni dokładnie takimi samymi "trybikami", jak - według twierdzenia obrony - sam Eichmann. Jeśli miało to oznaczać tylko bezwarunkowe posłuszeństwo wobec nakazów fuhrera, wówczas wszyscy z nich byli "trybikami" - nawet Himmler, jak stwierdza w swej relacji jego masażysta, Felix Kersten, nie powitał Ostatecznego Rozwiązania z wielkim entuzjazmem, Eichmann zaś zapewniał oficera śledczego, że jego szef, Heinrich Müller, nigdy nie zaproponowałby czegoś tak "brutalnego" jak "likwidacja fizyczna". Rozumie się, że w oczach Eichmanna teoria trybików była całkiem niedorzeczna. Z pewnością nie był tak ważną postacią, jaką próbował go uczynić pan Hausner; przecież nie był Hitlerem. Nie dorównywał też w istocie ważnością - co się tyczy kwestii żydowskiej - Müllerowi, Heydrichowi czy Himmlerowi: nie był megalomanem. Nie był jednak także kimś tak mało ważnym, jak życzyłaby tego sobie obrona.

Straszne zniekształcenie przez Eichmanna rzeczywistości można tłumaczyć potwornościami, z jakimi się wiązało, w zasadzie jednak sytuacja w pohitlerowskich Niemczech przedstawiała się dosyć podobnie. Na przykład Franz Joseph Strauss, były minister obrony, występował podczas niedawnej kampanii wyborczej przeciwko Willy'emu Brandtowi, obecnemu burmistrzowi Berlina Zachodniego, który jednak przebywał w czasach Hitlera na uchodźstwie w Norwegii. W odniesieniu do pana Brandta Strauss zadał pytanie, któremu nadano szeroki rozgłos i które najwyraźniej zdobyło wielkie uznanie: "Co pan robił przez te dwanaście lat poza granicami Niemiec? My wiemy, co robiliśmy w naszym kraju". Uszło mu to zupełnie bezkarnie, nikt nawet nie mrugnął, nie mówiąc już o tym, żeby

ktos przypomniał członkowi rządu bońskiego, że istotnie dobrze wiadomo, co też takiego robili w Niemczech Niemcy w owych latach. Tę samą "naiwność" można odnaleźć w przypadkowej uwadze poczynionej niedawno przez pewnego szanowanego i godnego szacunku niemieckiego krytyka literackiego, który przypuszczalnie nie był nigdy członkiem partii. Recenzując pracę omawiającą literaturę w Trzeciej Rzeszy, napisał on, że jej autor zajął miejsce wśród "tych intelektualistów, którzy bez jednego wyjątku opuścili nas z chwilą rozpanoszenia się barbarzyństwa". Autorem tym był naturalnie Żyd, który został wypędzony przez nazistów i właśnie opuszczony przez nie-Żydów w rodzaju pana Heinza Beckmanna z "Rheinischer Merkur". Swoją drogą, sam wyraz "barbarzyństwo", tak często używany dziś przez Niemców na określenie czasów hitlerowskich, jest zniekształceniem rzeczywistości. Brzmi to tak, jakby Żydzi i niemieccy intelektualiści uciekli z kraju, bo był już dla nich za mało "subtelny".

Natomiast Eichmann, mimo że był o wiele mniej subtelny niż mężowie stanu i krytycy literaccy, mógł być przytoczyć niezaprzeczalne fakty na poparcie swojej wypowiedzi, gdyby miał trochę lepszą pamięć lub gdyby pomógł mu obrońca. Albowiem "nie da się zaprzeczyć, że na początkowych etapach swej polityki żydowskiej narodowi socjaliści uważali za

stosowne zajęcie stanowiska prosy-jonistycznego" (Hans Lamm), a to właśnie podczas owych początkowych etapów Eichmann pobierał swoje nauki na temat Żydów. Nie był bynajmniej osamotniony w traktowaniu owego "prosyjonizmu" serio, sami Żydzi niemieccy uważali, że wystarczy, jeśli przekreślą "asymilację", rozpoczynając nowy proces "deasymilacji", toteż napływali gromadnie w szeregi ruchu syjonistycznego. (Nie istnieją żadne godne zaufania statystyki dotyczące tych wydarzeń, ale szacuje się, że nakład syjonistycznego tygodnika "Die Jiidische Rundschau" wzrósł w ciągu pierwszych miesięcy rządów Hitlera z około 5-7 tysięcy do blisko

76

77

40 tysięcy egzemplarzy. Wiadomo także, że organizacje gromadzące fundusze na cele syjonistów uzyskały w latach 1935-1936 trzykrotnie większe wpływy - od znacznie zmniejszonej i zubożalej ludności żydowskiej - niż w latach 1931-1932.) Nie musiało to oznaczać, że Żydzi chcieli emigrować do Palestyny. Była to raczej kwestia dumy: "Noś z dumą Żółtą Gwiazdę", jak brzmiało najpopularniejsze w tamtych latach hasło, wymyślone przez Roberta Weltscha, naczelnego redaktora „Jiidische Rundschau”, wyrażające ogólną atmosferę emocjonalną owego czasu. Polemiczne ostrze tego hasła, sformułowanego w odpowiedzi na "Dzień bojkotu" (1 kwietnia 1933) -a więc na ponad sześć lat przed faktycznym zmuszeniem Żydów do noszenia sześcioramiennej żółtej gwiazdy na białym tle - wymierzone było w "asymilacjonistów" i wszystkich tych, którzy nie chcieli pogodzić się z "rewolucyjnym biegiem wydarzeń" i "nie nadążali nigdy za duchem czasu" (die ewig Gestrigen). O hasle tym przypomnieli - mocno poruszeni - na procesie świadkowie z Niemiec. Zapomnieli dodać, że sam Robert Weltsch, wybitny dziennikarz, powiedział kilka lat temu, iż nigdy nie upowszechniłby tego hasła, gdyby mógł przewidzieć rozwój wypadków.

Całkiem jednak niezależnie od wszelkich haseł i kłótni ideologicznych, do praktyki ówczesnego życia codziennego należał fakt, że tylko syjoniści mieli jakąś szansę na rokowania z władzami niemieckimi z tej prostej przyczyny, że ich główny adwersarz po stronie żydowskiej - Centralny Związek Obywateli Niemieckich Wyznania Mojżeszowego, do którego należało wówczas 95% zorganizowanych Żydów niemieckich - uznał w dokumentach za swoje główne zadanie "walkę z antysemityzmem", a zatem stał się raptem organizacją z definicji "wrogą państwu" i byłby z pewnością prześladowany - a nie był - gdyby tylko ośmielił się prowadzić działalność, jakiej można było od niego oczekiwać. W pierwszych latach po

78

objęciu władzy przez Hitlera syjonistom wydawało się, że oznacza ono przede wszystkim "całkowitą klęskę koncepcji asymilacyjnych". Toteż syjoniści mogli przynajmniej przez pewien czas angażować się w pozbawioną w jakiejś mierze charakteru przestępczego współpracę z władzami nazistowskimi, gdyż i oni sądzili, że "deasymilacja" w połączeniu z emigracją do Palestyny młodzieży żydowskiej (a także - mieli nadzieję - kapitału) byłaby "obustronnie uczciwym rozwiązaniem". W owym czasie wiele niemieckich osobistości oficjalnych wyznawało ten sam pogląd i wydaje się, że sformułowania takie były na porządku dziennym aż do samego końca. Pewien niemiecki Żyd, który przeżył Terezyn, stwierdza w liście, że wszystkie kluczowe stanowiska w kontrolowanym przez nazistów Reichsuereinigung zajmowali syjoniści (podczas gdy autentycznie żydowski Reichsvertretung składał się zarówno z syjonistów, jak niesyjonistów), ponieważ według nazistów syjoniści byli "przyzwoitymi" Żydami, bo również myśleli kategoriami "narodowymi". Co prawda,

żaden liczący się nazista nie powiedział nigdy niczego podobnego publicznie - propagandę hitlerowską cechował od samego początku zajadły, całkowicie jednoznaczny i nieprzejednany antysemityzm, w ostatecznym zaś obrachunku liczyło się tylko to, co ludzie pozbawieni wciąż doświadczenia w obcowaniu z tajnikami rządów totalitarnych zywali mianem "czystej propagandy". W owych początkowych latach istniało porozumienie -wysoce zadowolające obie strony - pomiędzy władzami nazistowskimi a żydowską Agencją Palestyńską, znane pod nazwą Ha'avarah (Porozumienie transferowe), na mocy którego osoba emigrująca do Palestyny mogła dokonać tam transferu swych pieniędzy w formie towarów niemieckich i wymienić je po przybyciu na funty. Rychło stało się to jedynym legalnym sposobem, w jaki Żyd mógł wywieźć z sobą swoje własne pieniądze (alternatywa polegała wówczas na założeniu zablokowanego konta, które można było zlikwidować za

79

granicy jedynie ponosząc stratę sięgającą od 50 do 95%). Skutek był taki, że w latach trzydziestych, kiedy to Żydzi amerykańscy, zadawszy sobie mnóstwo trudu, zorganizowali bojkot produktów niemieckich, Palestyna zarzucona była wszelkiego rodzaju towarami z etykietą "Made

in Germany".

Dla Eichmanna większe znaczenie mieli emisariusze z Palestyny, którzy spotykali się z Gestapo i SS z własnej inicjatywy, a nie na polecenie syjonistów niemieckich albo Żydowskiej Agencji Palestyńskiej. Przybywali w celu uzyskania pomocy dla nielegalnej imigracji Żydów na teren rządzonej przez Brytyjczyków Palestyny. Gestapo zaś i SS pomocy tej udzielały. Prowadzili oni rokowania z Eich-mannem w Wiedniu i donosili w raportach, że był "grzeczny", "nie należał do typu wrzaskliwców", a nawet oddał im do dyspozycji gospodarstwa rolne i różne urzędnia umożliwiające założenie obozów szkolenia zawodowego dla przyszłych imigrantów. ("W jednym wypadku wypędził grupę zakonnice z pewnego klasztoru, aby młodzi Żydzi mieli gdzie uczyć się rolnictwa", w innym "załatwił specjalny pociąg i obstawę funkcjonariuszy nazistowskich", aby grupa emigrantów, udająca się rzekomo do syjonistycznych farm szkoleniowych w Jugosławii, mogła bezpiecznie przekroczyć granicę.) Zgodnie ze sporządzoną przy "wszechstronnej i ofiarnej współpracy wszystkich najważniejszych osób" relacją Jona i Dawida Kimche (The Secret Roads: The "Illegd" Migration of a People, 1938-1948, London 1954), owi Żydzi z Palestyny posługiwali się językiem nie całkiem różnym od języka Eichmanna. Do Europy wysłały ich wspólnoty osiadłe w Palestynie i nie zajmowali się oni akcją ratunkową: "To nie była ich sprawa". Chcieli wyselekcjonować "odpowiedni materiał", głównym zaś ich wrogiem - w okresie poprzedzającym plan zagłady - nie byli ci, którzy czynili niemożliwym życie Żydów w starych krajach, w Niemczech lub Austrii, lecz ci, którzy zagrażali im dostęp do nowej ojczyzny.

80

Wrogiem tym była z pewnością Wielka Brytania, a nie Niemcy. W istocie byli oni w stanie pertraktować z władzami nazistowskimi na płaszczyźnie niemal partnerskiej - co było niemożliwe w wypadku Żydów miejscowych - ponieważ cieszyli się protektoratem władzy mandatowej. Należeli przypuszczalnie do pierwszych Żydów, którzy mówili otwarcie o wzajemnych korzyściach, z pewnością zaś byli pierwszymi Żydami, jacy otrzymali pozwolenie na "wybranie młodych pionierów żydowskich" spośród Żydów przebywających w obozach koncentracyjnych. Rzecz jasna, nie zdawali sobie sprawy ze złowrogich skutków tych pertraktacji, które skrywała przyszłość, lecz i oni uważali poniekąd, iż jeśli chodzi o sprawę selekcji Żydów mających ocaleć, powinni jej dokonać sami Żydzi. To właśnie ten zasadniczy błąd w ocenie doprowadził ostatecznie do sytuacji, w której pominięta przy

selekcji przeważająca większość Żydów stanęła w obliczu dwóch wrogów: władz nazistowskich i władz żydowskich. O ile chodzi o epizod wiedeński, niedorzeczne twierdzenie Eichmanna, jakoby uratował on życie setek tysięcy Żydów - wysmiane na sali sądowej -znajduje osobliwe wsparcie w wyważonej opinii historyków żydowskich, braci Kimche: "W ten sposób rozpoczął się ów z pewnością najbardziej paradoksalny epizod w całym okresie hitleryzmu: człowiek, który miał przejść do historii jako jeden z największych oprawców narodu żydowskiego, stanął w szeregu czynnych działaczy na rzecz uratowania Żydów europejskich".

Kłopot Eichmanna polegał na tym, że nie przypominał sobie choćby najbardziej mgliście żadnego faktu, który mógłby przytoczyć na poparcie swej niewiarygodnej opowieści, natomiast jego wykształcony adwokat prawdopodobnie nawet nie wiedział, że było coś, co warto sobie przypomnieć. (Dr Servatius mógł być wezwać w charakterze świadków obrony byłych pracowników Aliyah Beth - tak nazywała się organizacja zajmująca się nielegalną imigracją do Palestyny - na pewno pamiętali oni

81

Eichmanna, a mieszkaj ą obecnie w Izraelu.) Pamięć Eich-manna funkcjonowała jedynie w odniesieniu do rzeczy mających bezpośredni wpływ na jego karierę. Tak więc pamiętał wizytę, jaką złożył mu w Berlinie działacz z Palestyny, który opowiedział mu o życiu w kibucu i którego Eichmann zaprosił dwukrotnie na obiad, bo wizyta zakończyła się formalnym zaproszeniem do Palestyny, gdzie Żydzi mieli mu pokazać kraj. Był zachwycony. Żadnemu funkcjonariuszowi nazistowskiemu nie udało się pojechać do "dalekiego obcego kraju", on zaś otrzymał pozwolenie na odbycie podróży. Sąd doszedł do wniosku, że Eichmann został wysłany "w misji szpiegowskiej", co niewątpliwie było prawdą, ale nie przeczy temu, co opowiedział policji. (Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem. Eichmann - w towarzystwie dziennikarza ze swego wydziału, niejakiego Herberta Hagena - dotarł do Egiptu, gdzie władze brytyjskie odmówiły mu zezwolenia na wjazd do Palestyny. Eichmann twierdził, że "człowiek z Hagany" - żydowska organizacja wojskowa, która stała się załącznikiem armii izraelskiej - przybył do Kairu na spotkanie z nimi. To, co im powiedział, stało się tematem "całkowicie negatywnego raportu", który polecili mu napisać przełożeni dla potrzeb propagandy. Raport został niezwłocznie opublikowany.) Poza drobnymi triumfami tego rodzaju, Eichmann przypominał sobie wyłącznie nastroje i powiedzonka, jakie w związku z nimi wymyślał. Podróż do Egiptu odbył w roku 1937, jeszcze nim zaczął działać w Wiedniu, z Wiednia zaś pamiętał tylko ogólną atmosferę i to, że przeżywał tam chwile wielkiego "zachwytu". Biorąc pod uwagę zdumiewające mistrzostwo, z jakim nie rezygnował z nastrojów i wyrażających je frazesów, ilekroć nie dało się ich dłużej pogodzić z nowym okresem wymagającym innych nastrojów i innych "zachwycających" zwrotów - a zademonstrował to mistrzostwo wielokrotnie podczas śledztwa - trudno oprzeć się pokusie, by uznać w jego szczerość, gdy nazwał czasy wiedeńskie idyllą. Ponieważ

82

zarówno jego myślom, jak uczuciom całkowicie brakowało jakiegokolwiek logiki, szczerości owej nie może postawić pod znakiem zapytania nawet fakt, że ów rok, który spędził w Wiedniu - od wiosny 1938 do marca 1939 roku -przypadł na moment, kiedy reżim hitlerowski wycofał się ze swego dotychczasowego nastawienia prosyjonistyczne-go. W naturze ruchu nazistowskiego leżała ciągła zmiana, z każdym mijającym miesiącem ulegał on dalszej ra-dykalizacji, ale jedną z głównych cech charakterystycznych jego członków stanowiła skłonność do pozostawania pod względem psychologicznym zawsze o krok za ruchem: dotrzymanie mu kroku sprawiało im wielką trudność, czy też - by użyć częstego wyrażenia Hitlera - nie potrafili oni "przeskoczyć własnego cienia".

Bardziej jednak niż wszelkie fakty obiektywne, obciążała Eichmanna jego zawodna pamięć. W Wiedniu byli pewni Żydzi, których pamiętał doskonale - dr Lówenherz i radca handlowy Storfer - nie byli to jednak owi emisariusze z Palestyny, którzy mogliby wesprzeć jego relację. Josef Lówenherz, który napisał po wojnie bardzo ciekawe wspomnienia o swoich pertraktacjach z Eichmannem (był to jeden z niewielu nowych dokumentów ujawnionych podczas procesu; częściowo przedstawiono go Eichmannowi, który stwierdził, że w pełni zgadza się z jego zasadniczymi tezami) - był pierwszym działaczem żydowskim, który zdołał przekształcić całą gminę żydowską w instytucję na usługach władz nazistowskich. Był także jednym z bardzo niewielu działaczy tego rodzaju, który za swe usługi otrzymał nagrodę: pozwolono mu zostać w Wiedniu aż do końca wojny, kiedy to wyemigrował do Anglii, stamtąd zaś do Stanów Zjednoczonych. Zmarł wkrótce po ujęciu Eichmanna, w roku 1960. Losy Storfera -jak widzieliśmy- ułożyły się mniej szczęśliwie, ale z pewnością nie z winy Eichmanna. Storfer zastąpił emisariuszy z Palestyny, którzy zanadto się uniezależnili, a zadanie, jakie przydzielił mu Eichmann, polegało na organizo-

83

waniu pewnej liczby nielegalnych transportów Żydów do Palestyny bez pomocy syjonistów. Storfer nie był syjonistą i nie wykazywał żadnego zainteresowania sprawami żydowskimi przed wkroczeniem nazistów do Austrii. Mimo to, przy pomocy Eichmanna, udało mu się wydostać około 3,5 tysiąca Żydów z Europy, w roku 1940, gdy połowa kontynentu europejskiego znajdowała się pod okupacją hitlerowską. Wydaje się, że dołożył wszelkich starań, by postawić jasno sprawę z Żydami palestyńskimi. (Prawdopodobnie to miał na myśli Eichmann, kiedy swą opowieść o Storferze w Oświęcimiu uzupełnił zagadkową uwagą: "Storfer nigdy nie zdradził judaizmu, nawet jednym słowem, na pewno nie on".) Trzecim Żydem, którego Eichmann nie omieszkiał przywołać w związku ze swą przedwojenną działalnością, był dr Paul Epstein, kierujący w Berlinie emigracją w ostatnich latach istnienia Reichsvereinigung, czyli ustanowionej przez nazistów centralnej organizacji żydowskiej, której nie należy mylić z autentycznie żydowskim Reichsvertretung, rozwiązany w lipcu 1939 roku. Eichmann wyznaczył doktora Epsteina do pełnienia funkcji iudenalectera (starszego żydowskiego) w Te-rezinie, gdzie został on zastrzelony w 1944 roku.

Innymi słowy, j edynymi Żydami, j akich pamiętał Eichmann, byli ci, którzy znajdowali się pod jego wyłączną władzą. Zapomniał nie tylko o emisariuszach z Palestyny, lecz także o swych wcześniejszych znajomych berlińskich, których znał dobrze w okresie, gdy zajmował się jeszcze działalnością wywiadowczą i nie miał żadnej władzy wykonawczej. Nigdy nie wspominał na przykład o doktorze Fran-zu Meyerze, byłym członku Komitetu Wykonawczego niemieckiej Organizacji Syjonistycznej, który zjawił się na procesie w charakterze świadka oskarżenia i zeznawał na temat swych kontaktów z oskarżonym w latach 1936- 1939. W pewnej mierze dr Meyer potwierdził relację samego Eichmanna: w Berlinie działacze żydowscy mogli "występować z zażaleniami i żądaniem" - istniał jakiś

84

rodzaj współpracy. Niekiedy - mówił Meyer - "przychodziliśmy o coś poprosić, a czasami on domagał się czegoś od nas". W owym czasie Eichmann "autentycznie nas słuchał i szczerze starał się zrozumieć sytuację", jego zachowanie było "całkiem poprawne" - "zazwyczaj zwracał się do mnie przez »pan« i podsuwał krzesło". Ale w lutym 1939 roku wszystko się zmieniło. Eichmann wezwał przywódców Żydów niemieckich do Wiednia, aby wyjaśnić im nowe metody "przymusowej emigracji". I oto siedział przed nimi w wielkiej sali na parterze pałacu Rothschildów, możliwy rzecz jasna do rozpoznania, ale całkiem zmieniony: "Powiedziałem od razu przyjaciółom, że nie wiem, czy przyszedliśmy na spotkanie

z tym samym człowiekiem. Tak straszliwa była zmiana. [...] Miałem przed sobą człowieka, który zachowywał się jak pan życia i śmierci. Przywitał nas gniewem i grubiaństwami. Nie pozwolił nam zbliżyć się do swojego biurka. Musieliśmy stać". Oskarżyciel i sędziowie byli zgodni co do tego, że w osobowości Eichmanna zaszła autentyczna i trwała przemiana w momencie, gdy awansował na stanowisko wyposażone we władzę wykonawczą. Proces wykazał jednak, że i w tym okresie miewał on "zapaści" i że sprawy nigdy nie przedstawiały się tak prosto. Jeden ze świadków zeznawał na temat rozmowy, jaką odbył z Eichmannem w Te-rezinie w marcu 1945 roku, podczas której Eichmann wykazał ponownie żywe zainteresowanie sprawami syjonistów: świadek ten należał do syjonistycznej organizacji młodzieżowej i posiadał dokument uprawniający do wjazdu na teren Palestyny. Rozmowa została "przeprowadzona w bardzo miłej atmosferze, cechowała się życzliwością i szacunkiem". (Obrona, o dziwo, nigdy nie wspomniała o zeznaniach tego świadka.)

Bez względu na wszelkie wątpliwości związane ze zmianą osobowości Eichmanna w Wiedniu, nominacja ta oznaczała z pewnością prawdziwy początek j ego kariery. W latach 1937-1941 awansował on czterokrotnie: wciągu

85

czternastu miesięcy z rangi Untersturmführera podniesiony został do stopnia Hauptsturmführera (czyli z podporucznika do kapitana), po upływie półtora roku został Obersturmbannführerem (podpułkownikiem). Stało się to w październiku 1941 roku, niedługo po wyznaczeniu mu tej roli w Ostatecznym Rozwiązaniu, która miała zaprowadzić go przed Sąd Okręgowy w Jerozolimie. Wówczas - ku swemu wielkiemu zmartwieniu - "utknął" (tak to interpretował): w wydziale, w którym pracował, nie istniała możliwość uzyskania wyższego stopnia. Ale o tym nie mógł wiedzieć w okresie tamtych trzech lat, podczas których piął się szybciej i wyżej niż kiedykolwiek przewidywał. W Wiedniu wykazał swój zapał i odtąd cieszył się uznaniem nie tylko jako ekspert "w kwestii żydowskiej", w zawiłościach żydowskich organizacji i stronnictw syjonistycznych, lecz także jako "autorytet" w sprawach emigracji i ewakuacji, a także "mistrz" znający sposoby przesiedlania ludzi. Chwila największego triumfu Eichmanna nadeszła niedługo po Kństallnacht, w listopadzie 1938 roku, kiedy Żydzi niemieccy zapalali gwałtownym pragnieniem ucieczki. Goring - przypuszczalnie z inicjatywy Heydri-cha - postanowił powołać w Berlinie ogólnoniemiecki Ośrodek do spraw Emigracji Żydów. W liście zawierającym jego dyrektywy wymienione zostało wiedeńskie biuro Eichmanna jako model do wykorzystania przy zakładaniu urzędu centralnego tego typu. Naczelnikiem biura berlińskiego miał zostać nie Eichmann, lecz jego wielce potem przezeń podziwiany szef Heinrich Miiller, kolejne odkrycie Heydricha. Heydrich zabrał go właśnie ze stanowiska zwykłego urzędnika policji bawarskiej (nie należał nawet do partii) i przeniósł do Gestapo w Berlinie, ponieważ uchodził za autorytet w dziedzinie radzieckiego systemu policyjnego. Dla Mullera był to także początek kariery, mimo że musiał zacząć od stosunkowo drobnych zadań. (Nawiasem mówiąc, Miiller, w przeciwieństwie do Eichmanna, niezbyt skory do przechwałek

86

i znany ze swego "sfinksowego sposobu bycia", zdołał rozpułnąć się całkowicie we mgle. Nikt nie zna miejsca jego pobytu, choć krążą pogłoski, że Niemcy Wschodnie skorzystały z usług owego eksperta od policji rosyjskiej.)

W marcu 1939 roku Hitler wkroczył do Czechosłowacji i ustanowił protektorat niemiecki na obszarze Czech i Moraw. Eichmann został natychmiast wyznaczony do założenia w Pradze następnego ośrodka emigracyjnego dla Żydów. "Początkowo byłem niezbyt zadowolony, że muszę opuścić Wiedeń, bo jak człowiek zorganizuje takie biuro i widzi, że wszystko toczy się gładko i działa jak należy, to nie ma ochoty rezygnować". Praga istotnie okazała się poniekąd

rozczarowaniem, gdyż - choć system był ten sam co w Wiedniu - "działacze czeskich organizacji żydowskich przybyli do Wiednia, a ludzie z Wiednia do Pragi, tak że nie musiałem w ogóle interweniować. Model wiedeński został po prostu skopiowany i przeniesiony do Pragi. W związku z tym cała rzecz nabrała automatycznie rozpędu". Ośrodek praski był jednak znacznie mniejszy i "muszę z przykrością powiedzieć, że nie było tam ludzi tego kalibru i tak energicznych jak dr Lówenherz". Ale owe poniekąd osobiste powody do niezadowolenia były mało ważne w porównaniu z piętrzącymi się trudnościami innego, obiektywnego rodzaju. W ciągu zaledwie kilku lat setki tysięcy Żydów opuściły swe strony ojczyste, miliony zaś czekały na swoją kolej, gdyż oficjalne deklaracje rządów Polski i Rumunii nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, iż władze tych krajów także pragną się pozbyć zamieszkujących tam Żydów*. Rządy te

* Rząd polski rzeczywiście skłaniał się od 1935 r. ku programowi rozwiązania kwestii żydowskiej przez emigrację. W odpowiedzi na interpelację szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego gen. Skwarczyńskiego i Koła OZN w sejmie premier gen. Składkowski złożył w grudniu 1938 r. oświadczenie, iż "rząd jest zgodny z poglądami interpelantów, że dla rozwiązania kwestii żydowskiej w Polsce jednym z najważniejszych środków jest wyraźne zmniejszenie liczby Żydów przez emigrację". Nie podjęto jednak żadnych konkretnych kroków dla

87

nie widziały powodów, dla których świat miałby się oburzyć, gdyby poszły w ślady "wielkiego i kulturalnego narodu". (Jak ogromny był ów rezerwuar potencjalnych uchodźców, pokazała konferencja zwołana latem 1938 roku w celu rozwiązania problemu Żydów niemieckich w oparciu o wspólną akcję rządów różnych krajów. Zakończyła się ona całkowitym fiaskiem i bardzo zaszkodziła Żydom niemieckim.) Szlaki emigracji zamorskiej zostały wówczas zablokowane, podobnie jak wcześniej wyczerpały się możliwości ucieczki na obszarze Europy i nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach - gdyby wojna nie pokrzyżowała jego planów - Eichmann nie byłby w stanie powtórzyć w Pradze swego wiedeńskiego "cudu". Wiedział o tym doskonale; rzeczywiście stał się ekspertem w sprawach emigracji i nie można było od niego oczekiwać, że powita swoje nowe zadanie z wielkim entuzjazmem. We wrześniu 1939 roku wybuchła wojna; w miesiąc później Eichmann został odwołany do Berlina, gdzie zastąpił Miillera na stanowisku szefa Ośrodka do spraw Emigracji Żydów. Rok wcześniej byłby to prawdziwy awans, ale teraz chwila była niekorzystna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł już dłużej myśleć o rozwiązaniu kwestii żydowskiej w kategoriach przymusowej emigracji; pomijając już trudności z przemieszczaniem ludzi z kraju do kraju w czasie wojny, wraz z podbojem Polski Rzeszy przybyło dodatkowo od 2 do 2,5 miliona Żydów. Prawdą jest, że rząd nazistowski wciąż jeszcze chciał wypuścić "swych" Żydów (rozkaz wstrzymujący wszelką emigrację wydany został dopiero w dwa lata później, je-wzmożenia emigracji. Na odwrót, w praktyce emigracja Żydów z Polski załamała się właśnie po 1935 r. i była szczególnie mało liczna w latach 1937-1939. Dotyczyło to zwłaszcza emigracji do Palestyny (spadek z 24,8 tyś. w 1935 r. do 2,5 tyś. w 1938 r.). Wynikało to z trudności w przyjeździe Żydów do Palestyny, stawianych przez mandatowe władze brytyjskie oraz powszechnie stosowanych ograniczeń nni-gracyjnych w innych krajach, kierowanych jednak na ogół ze szczególną ostrością przeciw imigracji Żydów. (Przyp. Jerzy Holzer).

88

sienią 1941 roku), a jeśli nawet podjęto już jakąś decyzję o Ostatecznym Rozwiązaniu, nie wydano jednak żadnych konkretnych rozkazów, choć Żydów koncentrowano już w gettach na Wschodzie i choć padali już oni od kul Ein-satzgruppen. Byłoby rzeczą całkiem normalną,

gdyby emigracja - nawet najprzemysłniej zorganizowana w Berlinie w oparciu o zasadę "taśmy montażowej" - umarła śmiercią naturalną. Eichmann opisał ten proces jako "wyrywanie zęba [...] przy, że tak powiem, bierności obu stron. Strony żydowskiej - dlatego, że doprawdy trudno było mówić o uzyskaniu jakichkolwiek możliwości emigracji, a jeśli chodzi o naszą stronę, dlatego, że nie było żadnego ruchu w interesie, nikt nie przychodził ani nie wyjeżdżał. No i siedzieliśmy w tym ogromnym gmachu ziejącym pustką". Gdyby sprawa żydowska, jego specjalność, miała dalej sprowadzać się do emigracji, z pewnością rychło utraciłby posadę.

ROZDZIAŁY

Drugie rozwiązanie: koncentracja

Dopiero z chwilą wybuchu wojny - 1 września 1939 roku - reżim hitlerowski nabrał jawnie totalitarnego i zbrodniczego charakteru. Jednym z najważniejszych kroków w tym kierunku - z organizacyjnego punktu widzenia - był dekret podpisany przez Himmlera, scalający Służbę Bezpieczeństwa SS, do której Eichmann należał od roku 1934, a która była instytucją partyjną, z regularną państwową policją bezpieczeństwa, w skład której wchodziła tajna policja państwowa, czyli Gestapo. W wyniku tej fuzji powstał Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), którego pierwszym szefem był Reinhardt Heydrich. Po jego śmierci w roku 1942 funkcję tę objął stary znajomy Eichmanna z Linzu, dr Ernst Kaltenbrunner. Wszyscy funkcjonariusze policji, nie tylko z Gestapo, lecz także policji kryminalnej i porządkowej, otrzymali stopnie SS odpowiadające ich poprzednim rangom, bez względu na to, czy należeli do partii. Oznaczało to, że z dnia na dzień najważniejszy z pionów dawnej służby państwowej został wcielony do najbardziej radykalnego odłamu hierarchii nazistowskiej. O ile wiem, nikt nie zaprotestował ani nie złożył dymisji. (Mimo że Himmler, szef i założyciel SS, był od roku 1936 również szefem policji niemieckiej, oba te aparaty były od siebie oddzielone.) RSHA był zresztą tylko jednym z dwunastu głównych urzędów SS, z których najważniejszymi były - w ówczesnym układzie - Główny Urząd Policji Porządkowej z generałem Kurtem Dalwege na czele, mający za zadanie "ześrodkowa-nie" Żydów, oraz Główny Urząd Administracji i Gospo-

90

darki (SS-Wirtschafts-Verwaltungshauptamt, czyli WVHA), kierowany przez Oswalda Pohla, zarządzający obozami koncentracyjnymi, w późniejszym zaś okresie "ekonomiczną" stroną eksterminacji.

Owo "rzeczowe" podejście - mówienie o obozach koncentracyjnych w kategoriach "administracji" i o obozach zagłady w kategoriach "gospodarki" - było typowe dla mentalności ludzi z SS. Eichmann jeszcze na procesie był z niego bardzo dumny. W oparciu o tę "rzeczowość" (Sachlichkeit) SS dystansowało się od "emocjonalnych" typów w rodzaju Streichera, owego "pozbawionego realizmu durnia", a także od niektórych "teutońsko-germańskich bonzów partyjnych, którzy zachowywali się tak, jakby ubrani byli w skóry i rogi". Eichmann bardzo podziwiał Heydricha, bo wcale mu się nie podobały takie nonsensy. Nie żywił także sympatii do Himmlera, między innymi dlatego, że Reichsführer SS i Szef Policji Niemieckiej - choć był zwierzchnikiem wszystkich głównych urzędów SS - pozwalał sobie "w każdym razie dość długo ulegać wpływom podobnych bzdur". Jednakże podczas procesu to nie oskarżony, emerytowany SS-Obersturmbannführer, miał uzyskać nagrodę za "rzeczowość", tylko dr Servatius, kołoński prawnik od podatków i działalności handlowo-przemysłowej, który nigdy nie wstąpił do partii nazistowskiej, a który mimo to udzielił sądowi lekcji na temat tego, co znaczy "nie powodować się emocjami" - lekcji, jakiej nigdy nie zapomną ci, którzy jej wysłuchali. Doszło do tego - a był to jeden z niewielu wielkich momentów całego procesu - podczas krótkiego ustnego wystąpienia obrony, po którym sąd

ogłosił czteromiesięczną przerwę na sporządzenie wyroku. Servatius oświadczył, że oskarżony jest niewinny w świetle zarzutów przypisujących mu odpowiedzialność za "gromadzenie szkieletów, sterylizację, zabijanie gazem i podobne kwestie medyczne". Wówczas sędzia Halevi przerwał mu: "Doktorze Servatius, rozumiem, że pan się przejęczył mówiąc, że za-

91

bijanie gazem było kwestią medyczną". Na co Servatius -odpowiedział: "Byk" kwestią medyczną, ponieważ przygotowali je lekarze. Chodziło o zabijanie, a zabijanie to też kwestia medyczna." I może po to, żeby mieć absolutną pewność, że sędziowie w Jerozolimie zapamiętają raz na zawsze, w jaki sposób Niemcy - zwyczajni Niemcy, nie zaś byli członkowie SS lub nawet partii nazistowskiej - mogą jeszcze dzisiaj zapatrywać się na czyny, które w innych krajach określa się mianem zbrodni - powtórzył to zdanie w swoich "Uwagach o wyroku pierwszej instancji", przygotowanych na rozprawę rewizyjną przed Sądem Najwyższym; stwierdził ponownie, że to nie Eichmann, tylko jeden z jego podwładnych, Rolf Günther, "zajmował się zawsze kwestiami medycznymi". (Dr Servatius jest dobrze zorientowany w "kwestiach medycznych" w Trzeciej Rzeszy. W Norymberdze bronił on doktora Karla Brandta, osobistego lekarza Hitlera, pełnomocnika do spraw "higieny i zdrowia" i szefa programu eutanazji.)

Każdy z głównych urzędów SS był na czas wojny podzielony na departamenty i wydziały, RSHA składał się z siedmiu głównych departamentów. Departament IV był urzędem Gestapo, a na jego czele stał Gruppenführer (generał-major) Heinrich Müller, którego ranga odpowiadała tej, jaką posiadał w policji bawarskiej. Jego zadaniem była walka z "wrogami państwa", podzielonymi na dwie kategorie: wydział IV A zajmował się "wrogami" podejrzanymi o komunizm, sabotaż, liberalizm i zamachy skrytobójcze, a wydział IV B - "sektami", czyli katolikami, protestantami, masonami (to stanowisko pozostało nie obsadzone) oraz Żydami. Każdą z owych kategorii zajmowało się w ramach wydziału osobne biuro oznaczone cyfrą arabską. Eichmann otrzymał w roku 1941 nominację na stanowisko w komórce RSHA znanej pod kryptonimem IV B 4. Ponieważ okazało się, że jego bezpośredni zwierzchnik - naczelnik wydziału IV B - nie istnieje, w rze-

92

czywistości przełożonym Eichmanna był zawsze Müller. Zwierzchnikiem Müllera był Heydrich, później Kaltenbrunner - obaj byli podkomendnymi Himmlera, a ten otrzymywał rozkazy bezpośrednio od Hitlera.

Niezależnie od dwunastu Urzędów Głównych, Himmler stał na czele całkiem odrębnej struktury organizacyjnej, która także odegrała ogromną rolę w urzeczywistnieniu Ostatecznego Rozwiązania. Była nią sieć wyższych dowódców SS i policji, którzy mieli pod swoją komendą terytorialne jednostki organizacyjne; łańcuch podległości służbowej nie wiązał ich z RSHA - odpowiadali bezpośrednio przed Himmlerem, zawsze też przewyższali stopniem Eichmanna i jego podwładnych. Einsatzgruppen natomiast podporządkowane były Heydrichowi i RSHA, co naturalnie nie oznacza, że Eichmann musiał mieć z nimi cokolwiek wspólnego. Dowódcy Einsatzgruppen również byli wyżsi rangą od Eichmanna. Pod względem technicznym i organizacyjnym Eichmann nie zajmował zbyt wysokiej pozycji, jego stanowisko stało się tak istotne tylko dlatego, że kwestia żydowska - z powodów czysto ideologicznych - z każdym dniem, tygodniem i miesiącem wojny zyskiwała coraz większe znaczenie, aż w latach klęski - począwszy od roku 1943 - urosła do rozmiarów zgoła niewiarygodnych. Gdy tak się stało, jego biuro było wciąż jeszcze oficjalnie jedyną instytucją zajmującą się wyłącznie "wrogami żydowskimi", w rzeczywistości jednak utracił on swój monopol, gdyż w owym momencie wszystkie urzędy i pionki organizacyjne państwa i partii,

armii i SS, zajęte były "rozwiązywaniem" owego problemu. Nawet jeśli skupimy uwagę wyłącznie na maszynie policyjnej, pomijając wszystkie inne instytucje, uzyskamy obraz absurdalnie pogmatwany, ponieważ będziemy musieli dodać do Einsatzgruppen i korpusu dowódczego wyższych oficerów SS i policji - Inspektorów Policji Bezpieczeństwa oraz Służbę Bezpieczeństwa. Każdy z tych pionów posiadał odrębną strukturę podległości służbowej kończącą się osta-

93

tecznie na Hirnmlerze, były one jednak wzajemnie równoprawne i żadna z osób wchodzących w skład jednego pionu nie podlegała wyższemu od siebie funkcjonariuszowi innego pionu. Trzeba przyznać, że oskarżenie z największą trudnością poruszało się w tym labiryncie równoległych instytucji, a musiało się przezeń przedzierać, ilekroć usiłowało ustalić konkretną odpowiedzialność Eichmanna. (Gdyby proces odbył się w chwili obecnej, zadanie to byłoby znacznie łatwiejsze, jako że Raul Hil-berg, w swej książce *The Destruction of the European Jews* zdołał przedstawić pierwszy wyrazisty opis tej niesamowicie skomplikowanej maszyny zagłady.)

Trzeba także pamiętać, że wszystkie te organa, skupiające ogromną władzę, prowadziły z sobą zażartą rywalizację, co absolutnie nie pomogło ich ofiarom, ponieważ ich ambicją było zawsze to samo: zabić możliwie jak najwięcej Żydów. Ów duch rywalizacji, który rzecz jasna rozbudzał w każdym ogromną lojalność wobec własnej instytucji, nie zginął wraz z końcem wojny, tyle tylko, że działał teraz na odwrót. Pragnieniem każdego funkcjonariusza stało się "oczyszczenie z zarzutów" własnej instytucji kosztem wszystkich pozostałych. Takiego też wyjaśnienia udzielił Eichmann w konfrontacji ze wspomnieniami Rudolfa Hossa, komendanta Oświęcimia, w których oskarżał on Eichmanna o rzeczy, jakich ten ostatni nigdy -jak twierdził - nie popełnił i popełnić nie mógł. Bez większych oporów przyznał on, że Hoss nie miał żadnych osobistych powodów, by obarczać go czynami, których się nie dopuścił, jako że byli z sobą w stosunkach zgoła przyjacielskich. Obstawał jednak - daremnie - przy twierdzeniu, że Hoss pragnął oczyścić z zarzutów własną instytucję - Główny Urząd Administracji i Gospodarki -i dlatego zrzucił całą winę na RSHA. Goś podobnego wydarzyło się w Norymberdze, gdy wielu oskarżonych urządziło przyprawiające o mdłości przedstawienie, obwiniając siebie nawzajem, ale żaden z nich nie obwinał

94

Hitlera! Mimo to, nie robili tego wyłącznie po to, żeby ocalić własną głowę kosztem drugich. Podsądni, którzy tam się znaleźli, reprezentowali całkiem odrębne organizacje, których wzajemna nienawiść sięgała daleko w przeszłość i była głęboko zakorzeniona. Dr Hans Glob-ke, którego poznaliśmy wcześniej, usiłował oczyścić z zarzutów swoje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych kosztem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kiedy zeznawał w Norymberdze jako świadek oskarżenia. Eichmann natomiast usiłował zawsze "kryć" Miillera, Heydricha i Kal-tenbrunnera, choć ten ostatni bynajmniej nie traktował go dobrze. Niewątpliwie jeden z podstawowych błędów rzeczowych strony oskarżającej w Jerozolimie polegał na tym, że w zbyt poważnym stopniu oparła się ona na zaprzysiężonych (lub nie) zeznaniach byłych wysokich funkcjonariuszy nazistowskich, żyjących lub nieżyjących. Oskarżenie nie dostrzegło - być może nie można było tego po nim oczekiwać - mocno wątpliwej wartości tych doku-mentów jako źródła ustalenia faktów. Nawet wyrok sądu w części będącej oceną obciążających zeznań innych zbrodniarzy nazistowskich, uwzględnił fakt, że (by posłużyć się słowami jednego ze świadków obrony) "w dobie procesów o zbrodnie wojenne istniał zwyczaj, by na ile to tylko możliwe obciążać winą nieobecnych i uważanych za zmarłych".

W momencie gdy Eichmann objął swą nową posadę w Wydziale IV RSHA, stał nadal przed niepokojącym dylematem: z jednej strony "przymusowa emigracja" była oficjalną formułą rozwiązania kwestii żydowskiej, z drugiej zaś emigracja była już niemożliwa. Po raz pierwszy (i prawie ostatni) odkąd wstąpił do SS, okoliczności zmusiły go do przejęcia inicjatywy i sprawdzenia, czy przypadkiem w jego umyśle "nie narodzi się jakiś pomysł". Zgodnie z wersją, jaką przedstawił podczas śledztwa, poszczęściło mu się i wpadł na trzy pomysły. Przyznał, że wszystkie trzy spełzły na niczym. Wszelkie próby, jakie podej-

95

mował w życiu, niezmiennie kończyły się fiaskiem - ostateczny cios spadł na niego w Berlinie, kiedy musiał "porzucić" swą prywatną twierdzę, nim zdołał ją wypróbować na rosyjskich czołgach. Wciąż same zawody: nie było nigdy większego pechowca. Źródłem nie kończących się zmartwień było w jego mniemaniu to, że jemu ani jego ludziom nie dano nigdy chwili spokoju. Wszystkie instytucje państwowe i partyjne domagały się swego udziału w "rozwiązaniu", skutkiem czego wyrastała zewsząd istna armia "ekspertów do spraw żydowskich", którzy tratowali się nawzajem w wyścigu o zajęcie pierwszego miejsca w dziedzinie, na której zupełnie się nie znali. Wobec tych ludzi Eichmann odczuwał najgłębszą pogardę, częściowo dlatego, że byli to nowicjusze, częściowo dlatego, że próbowali się na tym wzbogacić i często udawało się im zdobyć spory majątek w okresie swojej pracy, częściowo zaś dlatego, że byli ignorantami, nie przeczytali nawet jednej czy dwóch "podstawowych książek".

Okazuje się, że natchnieniem trzech marzeń Eichman-na były owe "podstawowe książki", lecz wyszło także na jaw, że dwa spośród trzech jego pomysłów nie były wcale jego autorstwa, a co do trzeciego-cóż, "już sam nie wiem, czy powstał on w głowie Stahleckera [który był jego zwierzchnikiem w Wiedniu i w Pradze], czy też w mojej, w każdym razie powstał". Ten ostatni pomysł był chronologicznie pierwszy: chodzi o "pomysł z Niskiem"; fiasko, jakim się zakończył, stanowiło dla Eichmanna najlepszy dowód fatalnych skutków mieszania się innych do jego planów. (Winowajcą był w tym przypadku Hans Frank, gubernator generalny okupowanej Polski.) Chcąc zrozumieć ten plan, musimy pamiętać, że po podboju Polski a przed niemieckim atakiem na Rosję, terytorium państwa polskiego zostało zajęte przez Niemcy i Rosję. Część niemiecka obejmowała obszary zachodnie, które wcielono do Rzeszy oraz tzw. strefę wschodnią, w tym Warszawę, pod nazwą Generalnego Gubernatorstwa.

96

Strefa wschodnia traktowana była tymczasem jako terytorium okupowane. Ponieważ rozwiązanie kwestii żydowskiej polegało w tym okresie wciąż jeszcze na "przymusowej emigracji", mającej na celu "oczyszczenie" Rzeszy z Żydów, było oczywiste, że Żydów polskich zamieszkujących przyłączone terytoria, zepchnie się -wraz z Żydami pozostałymi w innych częściach Rzeszy - do Generalnej Guberni, której bez względu na jej status, nie uważano z pewnością za część Rzeszy. Nie później niż w grudniu 1939 roku rozpoczęła się akcja ewakuacji w kierunku wschodnim, w wyniku której około miliona Żydów - 600 tysięcy z obszarów wcielonych i 400 tysięcy z Rzeszy - zaczęło napływać do Generalnej Guberni.

Jeśli wersja, jaką na temat przedsięwzięcia z Niskiem przedstawił Eichmann, była prawdziwa - a nie ma powodów, żeby mu nie wierzyć -albo on (co jest bardziej prawdopodobne), albo jego zwierzchnik praski i wiedeński, Brigadeführer (generał brygady) Franz Stahlecker, musieli przewidzieć bieg wypadków na parę miesięcy wcześniej. Ów doktor Stahlecker - Eichmann dbał by tytułować go w ten sposób - był, jego zdaniem, wspaniałym człowiekiem, wykształconym, bardzo rozumnym, "wolnym od wszelkiej nienawiści i szowinizmu"; w Wiedniu na przykład wymieniał z działaczami żydowskimi

uściski dłoni. W półtora roku później - wiosną 1941 roku - ów wykształcony dżentelmen został mianowany komendantem Ein-satzgruppe A i zdołał wymordować - w przeciągu niecałego roku (sam zginął podczas akcji w 1942 roku) - 250 tysięcy Żydów, jak dumnie raportował samemu Himmlerowi, mimo że szefem Einsatzgruppen, czyli jednostek policji, był naczelnik Policji Bezpieczeństwa i SD, to znaczy Reinhardt Heydrich. To jednak wydarzyło się później, teraz natomiast - we wrześniu 1939 roku - kiedy armia niemiecka posuwała się jeszcze w głąb terytorium Polski, Eichmann i dr Stahlecker zaczęli się "prywatnie" zastanawiać, w jaki sposób Służba Bezpieczeństwa mogła-

97

by zapewnić sobie wpływy na Wschodzie. Potrzebny im był "możliwie jak największy obszar na terenie Polski, który wydzieliliby się na autonomiczne państwo żydowskie w formie protektoratu. [...] To mogłoby być rozwiązanie". I oto z własnej inicjatywy, bez niczyich rozkazów, wyruszają na rekoniesans. Udali się do okręgu radomskiego, nad rzekę San, niedaleko od granicy rosyjskiej, gdzie ujrzeli "rozległy obszar, wsie, place targowe, miasteczka" i "powiedzieli sobie: tego nam właśnie potrzeba, czemu nie miałyby się przesiedlić dla odmiany Polaków, skoro wszędzie przesiedla się ludzi". Byłoby to "rozwiązanie kwestii żydowskiej" - Żydzi znaleźliby twarde grunty pod stopami - w każdym razie na pewien czas.

Z początku wszystko zapowiadało się świetnie. Pojechali do Heydricha, który wyraził zgodę i kazał im działać. Tak się złożyło - mimo że Eichmann zupełnie o tym w Jerozolimie zapomniał - że ich projekt pasował doskonale do globalnego planu rozwiązania kwestii żydowskiej, jaki posiadał Heydrich na ówczesnym etapie. 21 września 1939 roku zwołał on naradę "naczelników wydziałów" RSHA, a także dowódców Einsatzgruppen (działających już w Polsce), na której wydane zostały ogólne dyrektywy na najbliższą przyszłość: koncentracja Żydów w gettach, powołanie rad starszyny żydowskiej, oraz deportacja wszystkich Żydów na teren Generalnej Guberni. Eichmann uczestniczył w tej naradzie w charakterze założyciela "żydowskiego ośrodka emigracyjnego": dowodził tego przedstawiony na procesie protokół odnaleziony przez Biuro 06 policji izraelskiej w waszyngtońskim Archiwum Narodowym. A zatem działania podjęte przez Eichmanna i Stahleckera oznaczały w praktyce li tylko konkretny plan wprowadzenia w życie dyrektyw Heydricha. Następnie zaś tysiące ludzi, głównie z Austrii, deportowano w chaotyczny sposób w ten głuchy zakątek świata, który, jak im wyjaśnił pewien oficer SS - Erich Rajakowitsch, późniejszy szef deportacji Żydów holenderskich - "führer obiecał

98

Żydom na ich nową ojczyznę. Nie ma gdzie mieszkać, nie ma domów. Jeśli sobie zbudujecie, będziecie mieli dach nad głową. Nie ma wody, wszystkie okoliczne studnie są zarażone chorobami, cholerą, dyzenterią, tyfusem. Jeśli wywierciecie studnie i znajdziecie wodę, będziecie mieli wodę". Jak widać, "wszystko wyglądało wspaniale", z tym że SS wyгнаło część Żydów z owego rajy i wepchnęło ich za granicę rosyjską, natomiast inni zachowali przytomność umysłu i uciekli sami. Wówczas jednak - skarżył się Eichmann - "zaczęły się utrudnienia ze strony Hansa Franka", którego zapomnieli o wszystkim powiadomić, choć był to "jego" teren. "Frank poskarżył się w Berlinie i zaczęła się straszna przepychanka. Frank chciał rozwiązać problem swoich Żydów bez niczyjej pomocy. Nie chciał w swojej Generalnej Guberni ani jednego Żyda więcej. Wszyscy, którzy dotąd przybyli, mieli natychmiast zniknąć". I rzeczywiście zniknęli. Niektórzy zostali nawet repatriowani, co nie zdarzyło się nigdy przedtem ani potem, a ci, którzy powrócili do Wiednia, otrzymali w aktach policyjnych adnotację: "Powrócił ze szkolenia zawodowego" - było to osobliwe cofnięcie się na prosyjonistyczny etap ruchu.

Gorącą chęć Eichmanna, żeby zdobyć jakiś teren dla "swoich" Żydów, można najlepiej zrozumieć w kategoriach jego własnej kariery. Plan "Nisko" narodził się w okresie jego błyskawicznych awansów, i jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że Eichmann widział siebie w roli przyszłego generalnego gubernatora, niczym Hans Frank w Polsce, albo przyszłego protektora, takiego jak Heydrich w Czechosłowacji, jakiegoś "państwa żydowskiego". Z kompletnego fiaska całego przedsięwzięcia musiał jednak wyciągnąć odpowiednie wnioski co do możliwości i potrzeby działań "prywatnych". Ponieważ zaś wraz ze Stahleckerem działał on w ramach dyrektyw Heydricha i za jego wyraźną zgodą, owa bezprecedensowa repatriacja Żydów - stanowiąca doraźnie jawną porażkę policji

99

i SS - musiała go także nauczyć, że stale rosnąca potęga jego instytucji nie oznaczała jeszcze wszechwładzy, a ministerstwa państwowe oraz inne instytucje partyjne były niezłe przygotowane do walki o zachowanie swych malejących wpływów.

Drugą próbą, jaką podjął Eichmann w celu "postawienia Żydów na twardym gruncie", był projekt madagaskarski. Ów plan ewakuowania 4 milionów Żydów europejskich na tę francuską wyspę, położoną u południowo-wschodnich wybrzeży Afryki - tubylcza ludność tej wyspy liczyła 4 miliony 370 tysięcy ludzi, a jej powierzchnia wynosiła 227 678 mil kwadratowych łączy gruntów - powstał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, po czym trafił do RSHA, ponieważ -jak się wyraził dr Martin Luther, kierujący sprawami żydowskimi na Wilhelmstrasse -jedynie policja "dysponowała doświadczeniem i urządzeniami technicznymi niezbędnymi dla przeprowadzenia masowej ewakuacji Żydów i zapewniającymi kontrolę osób ewakuowanych". "Państwem żydowskim" miał zarządzać gubernator policyjny podległy Himmlerowi. Sam projekt miał osobliwą historię. Eichmann, któremu Madagaskar mylił się z Ugandą, twierdził zawsze, jakoby "marzył o tym samym, co żydowski autor koncepcji państwa żydowskiego, Teodor Herzl", prawda jednak była taka, że owo marzenie znane było wcześniej. Początkowo roił je rząd polski, który w roku 1937 zadał sobie sporo trudu, by rozpatrzyć ów projekt, stwierdzając ostatecznie, że nie sposób przetransportować blisko 3 miliony Żydów polskich tak, by przeżyli oni tę podróż.* Nieco później snuł owo marzenie francuski minister spraw zagra-

* Tego rodzaju stwierdzenie rządu polskiego nie jest znane. W 1937 r. Polska za zgodą Francji rozpatrywała możliwości emigracji żydowskiej do kolonii francuskiej, Madagaskaru. W pracach odpowiedniej komisji brali udział żydowscy eksperci. Z raportu komisji wynikały wnioski o bardzo ograniczonych możliwościach takiej emigracji i jej wysokich kosztach. W końcu 1937 całą sprawę po cichu odłożono do akt. (Przyp. Jerzy Holzer).

100

nicznych Georges Bonnet, którego skromniejszy plan przewidywał wywiezienie przebywających we Francji 200 tysięcy Żydów zagranicznych do francuskich kolonii. W roku 1938 odbył on nawet w tej sprawie konsultacje ze swym niemieckim odpowiednikiem, Joachimem von Ribbentropem. W każdym razie latem 1940 roku, kiedy emigracja, którą dotąd zajmował się Eichmann, całkowicie zamarła, polecono mu opracować szczegółowy plan ewakuacji 4 milionów Żydów na Madagaskar. Wydaje się, że pracy nad tym projektem poświęcił on znaczną część swego czasu, aż do momentu napaści na Rosję, która nastąpiła w rok później. (4 miliony to uderzająco niska liczba, jak na "oczyszczenie z Żydów" całej Europy. Na pewno nie obejmowała ona 3 milionów Żydów polskich, których masakrę, jak powszechnie wiadomo, rozpoczęto od pierwszych dni wojny.) Wydaje się mało prawdopodobne, aby ktokolwiek z wyjątkiem Eichmanna i niektórych innych, mniej ważnych osobistości, potraktował cały ten plan serio, gdyż - pomijając fakt, że wiadomo było, iż owe tereny są nieodpowiednie, nie mówiąc już o tym, że przecież były one posiadłością Francji -

wiązał się on z koniecznością zdobycia środków transportu dla 4 milionów ludzi w wirze toczącej się wojny i w momencie, gdy brytyjska marynarka wojenna sprawowała kontrolę nad Atlantykiem. Plan madagaskarski miał służyć wyłącznie jako parawan, za którym można było prowadzić przygotowania do fizycznej eksterminacji wszystkich Żydów zachodnioeuropejskich (parawan taki nie był wcale potrzebny w wypadku Żydów polskich!). Jego wielka zaleta w odniesieniu do armii wyszkolonych antysemitów, którzy mimo swych usilnych starań pozostawali zawsze o krok za fiihrerem, polegała na tym, że oswajał on wszystkich zainteresowanych z założeniem wstępnym, w myśl którego w grę wchodziła tylko całkowita ewakuacja z Europy: ustawodawstwo specjalne, "deasymilacja" i getta - to wszystko byłoby niewystarczające. Gdy w rok później oświadczone, że plan

101

madagaskarski jest już "przestarzały", wszyscy byli przygotowani pod względem psychologicznym, a właściwie logicznym, do następnego kroku: skoro nie istnieje obszar, na który można by przeprowadzić "ewakuację", jedynym "rozwiązaniem" jest eksterminacja.

Rzecz nie w tym, że Eichmann - objawiający prawdę przyszłym pokoleniom - w ogóle nie domyślał się istnienia takich niesamowitych planów. Przedsięwzięcie ma-dagaskarskie zakończyło się fiaskiem z powodu braku czasu, a czas został roztrwoniony za przyczyną nie kończących się przeszkód ze strony innych urzędów. W Jerozolimie zarówno policja, jak i sąd usiłowały wyrwać go z błogostanu. Przedstawiono mu dwa dokumenty dotyczące wyżej wspomnianej narady z 21 września 1939 roku. Jeden z nich, przekazany dalekopisem list Heydricha zawierający dyrektywy adresowane do Einsatzgruppen, wprowadzał po raz pierwszy rozróżnienie na "cel ostateczny, wymagający dłuższego czasu", który należało uważać za "ściśle tajny" oraz "etapy prowadzące do osiągnięcia tego ostatecznego celu". Wyrażenie "ostateczne rozwiązanie" jeszcze się nie pojawia, milczy też na temat znaczenia "terminu "cel ostateczny". Dlatego Eichmann mógł rzeczywiście twierdzić, że owym "ostatecznym celem" był jego projekt madagaskarski, który wędrował wówczas po wszystkich niemieckich urzędach; masowa ewakuacja, skoncentrowanie wszystkich Żydów było bowiem niezbędnym "etapem" wstępnym. Ale Eichmann przeczytawszy uważnie ten dokument, powiedział natychmiast, że jest przekonany, iż "cel ostateczny" mógł wyłącznie oznaczać "eksterminację fizyczną", w konkluzji zaś stwierdził, że "ta zasadnicza myśl była już mocno zakorzeniona w umysłach przywódców wysokiego szczebla lub ludzi na samym szczycie". Mogło to być istotnie prawdą, wówczas jednak musiałby przyznać, że projekt madagaskarski był niczym innym jak mistyfikacją. Cóż, tego nie powiedział; nigdy nie zmienił swej opowieści o Madagaskarze i prawdopo-

dobnie zmienić jej po prostu nie mógł. Było bowiem tak, jak gdyby miał ją utrwaloną w pamięci na jakiejś innej taśmie, a właśnie ta jego zapisana na taśmach pamięć okazała się odporna na wszelkie argumenty rozumu, informacje i przebłycki intuicji.

Pamięć przekazała mu informację, że w okresie pomiędzy wybuchem wojny (w przemówieniu na forum Reichs-tagu, 30 stycznia 1939 roku, Hitler wygłosił "przepowiednię", że wojna doprowadzi do unicestwienia rasy żydowskiej w Europie) a napaścią na Rosję w działaniach przeciwko Żydom zachodnio- i środkowoeuropejskim zapanował zastój. Go prawda nawet wówczas rozmaite instytucje w Rzeszy i na terenach okupowanych robiły, co mogły, żeby zlikwidować "przeciwnika żydowskiego", nie istniała jednak jakaś jednolita polityka w tej dziedzinie. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby każdy urząd miał swoje własne "rozwiązanie", które wolno mu było wprowadzać w życie lub zastosować w ramach rywalizacji z innymi urzędami. Rozwiązaniem Eichmanna było państwo policyjne, a do tego potrzebne mu było terytorium sporej wielkości. Wszystkie jego "wysiłki spełzły na niczym z powodu braku zrozumienia ze strony zainteresowanych", a także "rywalizacji", kłótni,

swarów, jak również dlatego, że "wszyscy walczyli o pierwszeństwo". A potem było już za późno; wojna z Rosją "wybuchła nagle, jak grom z jasnego nieba". Był to koniec jego marzeń, gdyż oznaczała ona "kres fazy poszukiwań rozwiązania, odpowiadającego interesom obu stron". We wspomnieniach napisanych przez siebie w Argentynie uzmysłowił on sobie także, że był to "koniec ery, w której istniały prawa, rozporządzenia i rozkazy regulujące sposób traktowania poszczególnych Żydów". Jak sam pisze, było to także coś więcej - był to koniec jego kariery i choć może brzmieć to nieco szaleńczo - zważywszy na jego obecną "sławę" - nie sposób zaprzeczyć, że miał w tym jakąś rację. Instytucja bowiem, w jakiej pracował, która zarówno w warunkach "przymuso-

103

102

wej emigracji", jak też w "marzeniach" o rządonym przez nazistów państwie żydowskim, była najwyższą władzą we wszystkich sprawach dotyczących Żydów, "zeszła teraz na drugi plan, jeśli chodzi o Ostateczne Rozwiązanie kwestii żydowskiej, bo wszelkie inicjatywy przekazywano odtąd innym jednostkom organizacyjnym, pertraktacje prowadził inny Główny Urząd, na czele którego stał były Reichsführer SS i Szef Policji Niemieckiej". Owymi "innymi jednostkami organizacyjnymi" były ekipy morderców działające na tyłach armii na Wschodzie. Ich specjalne zadanie polegało na dokonywaniu rzezi miejscowej ludności, a zwłaszcza Żydów. Innym głównym urzędem było natomiast WVHA, którym kierował Oswald Pohl. Eichmann musiał się zwracać do tego urzędu, ilekroć chciał się dowiedzieć, jakie jest ostateczne miejsce przeznaczenia każdego transportu Żydów. Decydowała o tym "zdolność wchłaniania" rozmaitych urzędów do uśmiercania, a także popyt na pracę niewolniczą w licznych przedsiębiorstwach przemysłowych, które uznały za opłacalne tworzenie swoich filii w pobliżu niektórych obozów zagłady. (Poza mało istotnymi przedsiębiorstwami przemysłowymi SS, tak znane firmy niemieckie, jak IG Farben, Krupp Werke i Siemens-Schuckert Werke założyły swoje zakłady w Oświęcimiu, a także w okolicy obozów śmierci w Lubelskiem. Współpraca pomiędzy SS a przedsiębiorcami układała się znakomicie; komendant Oświęcimia, Hoss, mówił w zeznaniach o bardzo serdecznych stosunkach łączących go z przedstawicielami IG Farben. Jeśli chodzi o warunki wykonywania pracy, to wydaje się oczywiste, że koncepcja polegała na zabijaniu przez pracę ponad siły. Hilberg podaje, że zginęło co najmniej 25 tysięcy spośród około 35 tysięcy Żydów pracujących w jednym z zakładów IG Farben.) Co do Eichmanna, chodziło o to, że ewakuacja i deportacja przestały już być ostatnimi etapami "rozwiązania". Jego wydział zszedł do roli czysto służebnej. Nic więc dziwnego, że odczuwał "gorycz i rozczarowanie",

gdy projekt madagaskarski powędrował do szuflady. Jedyłą pociechą był dla niego awans do stopnia Obersturmbannführera, który uzyskał w październiku 1941 roku.

Ostatnia próba zrobienia czegoś na własną rękę, jaką przypomniał sobie Eichmann, miała miejsce we wrześniu 1941 roku, w trzy miesiące po agresji na Rosję. Działo się to wkrótce po objęciu przez Heydricha, który pozostał nadal szefem policji i Służby Bezpieczeństwa, funkcji protektora Czech i Moraw. Dla uczczenia tego wydarzenia zwołał on konferencję prasową, na której przyrzekł, że w ciągu ośmiu tygodni "oczyści z Żydów" Protektorat. Po konferencji omówił tę sprawę z ludźmi, od których zależało, czy będzie można dotrzymać owej obietnicy: z Fran-zem Stahleckerem, ówczesnym szefem Służby Bezpieczeństwa w Pradze i podsekretarzem stanu, Karlem Her-mannem Frankiem, który wkrótce po śmierci Heydricha zastąpił go na stanowisku Reichsprotektora. Eichmann uważał Franka za grubianina i żydożercę "typu Streichera nie mającego żadnego pojęcia o rozwiązaniach

politycznych"; za przykład "pijanego władzą autokraty, który wydaje tylko rozkazy i polecenia". Poza tym jednak konferencja była bardzo udana. Heydrich po raz pierwszy pokazał się od "bardziej ludzkiej strony", przyznając -ł rozbijającą szczerością, że "dał się ponieść językowi", co "nie stanowiło wielkiego zaskoczenia dla tych, którzy go znali" - Heydrich był bowiem "człowiekiem ambitnym i impulsywnym", który "nieraz żałował, że nie zdołał w porę ugryźć się język". Tak więc Heydrich powiedział: "Napytałem biedy, i nie wiem, co robić". Wówczas Eichmann odpowiedział: „Jeśli nie może się pan wycofać z pańskiej deklaracji, jest tylko jedno wyjście. Trzeba znaleźć odpowiednie miejsce, do którego przeniesie się wszystkich Żydów żyjących obecnie na terenie Protektoratu w rozproszeniu". (Czyli rodzaj żydowskiej ojczyzny, gdzie zgromadzeni zostaliby wygnańcy żyjący w diasporze.) Wtedy to Frank - ów żydożerca typu Streichera - wystąpił niestety

105

104

z konkretną propozycją, żeby owym miejscem dla Żydów uczynić Terezin. Wówczas Heydrich, być może także pijany władzą, wydał po prostu rozkaz natychmiastowej ewakuacji miejscowej ludności czeskiej z Terezina, żeby zrobić tam miejsce dla Żydów.

Eichmanna wysłano celem dokonania oględzin. Wielkie rozczarowanie: owo ufortyfikowane czeskie miasteczko nad Ohrzą okazało się znacznie za małe. W najlepszym wypadku mogło być obozem przejściowym dla pewnej liczby spośród 90 tysięcy Żydów zamieszkujących Czechy i Morawy. (Dla około 50 tysięcy Żydów czeskich Terezin stał się istotnie obozem przejściowym w drodze do Oświęcimia; szacuje się, że dalszych 20 tysięcy znalazło się w Oświęcimiu bezpośrednio.) Wiemy z lepszych źródeł niż zawodna pamięć Eichmanna, że w planach Heydricha Terezin pełnił od samego początku rolę specjalnego getta dla pewnych uprzywilejowanych kategorii Żydów - głównie, choć nie wyłącznie niemieckich: żydowskich działaczy, ważnych osobistości, kombatantów z wysokimi odznaczeniami, inwalidów wojennych, Żydów z małżeństw mieszanych oraz Żydów niemieckich powyżej 65 roku życia (stąd nazwa potoczna Altersghetto). Miasteczko okazało się za małe nawet dla tych kategorii Żydów, w roku zaś 1943, czyli mniej więcej w rok po założeniu getta, rozpoczęło się jego "rozrzędzenie" czy też "rozładowywanie" (Auflockerung), będące sposobem łagodzenia panującego tam przepełnienia. Odbywało się to przy pomocy transportów do Oświęcimia. Pod jednym wszakże względem pamięć nie zawiodła Eichmanna. Terezin był istotnie jedynym obozem koncentracyjnym, który nie znalazł się we władaniu WVHA, lecz do końca znajdował się w rękach Eichmanna. Jego komendanci pochodzili spośród jego podwładnych i zawsze byli od niego niżsi stopniem; był to jedyny obóz, nad którym przynajmniej częściowo sprawował on tę władzę, jaką przypisywał mu wje-rozolimie oskarżyciel. Pamięcią Eichmanna, przeskaku-

jącego z wielką łatwością ponad latami - opowiadając o Terezinie przesłuchującemu go oficerowi śledczemu, wyprzedził o dwa lata bieg wydarzeń - nie rządził z pewnością porządek chronologiczny, nie była ona jednak po prostu zawodna. Przypominała magazyn wypełniony budzącymi ludzką ciekawością historiami najgorszego rodzaju. Kiedy cofnął się myślami do okresu w Pradze, przypomniał sobie okoliczności, w których dopuszczono go przed oblicze wielkiego Heydricha, który pokazał się wówczas od "bardziej ludzkiej strony". Kilka przesłuchań później wspominał o wyprawie do Bratysławy, gdzie znalazł się akurat w momencie zamachu na Heydricha. Pamiętał tyle, że przybył tam na zaproszenie Saño Macha, ministra spraw wewnętrznych w powołanym przez nazistów marionetkowym rządzie słowackim. (Wśród katolickich członków owego silnie antysemitckiego rządu Mach

reprezentował niemiecką wersję antysemityzmu; nie zgadzał się na robienie wyjątków dla Żydów ochrzczonych i był jedną z osób ponoszących główną odpowiedzialność za masowe deportacje Żydów słowackich.) Eichmann pamiętał o tym, ponieważ nie zdarzyło mu się otrzymać zaproszenia od członka rządu; był to zaszczyt. Eichmann zapamiętał Macha jako człowieka miłego, swobodnego w obejściu, który zaprosił go na partię kręgli. Czyżby rzeczywiście nie miał w środku wojny nic innego do roboty w Bratysławie, jak tylko rozegrać partię kręgli z ministrem spraw wewnętrznych? Nie, pojechał do Bratysławy wyłącznie w tym celu: pamiętał wszystko doskonale - grę w kręgle, trunki podane akurat w momencie, gdy nadeszła wiadomość o zamachu na Heydricha. W cztery miesiące później, 55 taśm dalej, kapitan Less, izraelski oficer śledczy, powrócił do tego tematu, a Eichmann opowiedział całą tę historię w niemal identyczny sposób, dodając, że "nigdy nie zapomni" owego dnia, ponieważ jego "przełożony zginął wówczas w zamachu". Tym razem jednak przedstawiono mu dokument stwierdzający, że wysłano go do

106

107

Bratysławy, aby omówił "bieżące działania związane z ewakuacją Żydów słowackich". Natychmiast przyznał się do pomyłki: „Jasne, jasne. Był rozkaz z Berlina. Nie wysłali mnie tam, żebym sobie pograł w kręgle”. Czyżby dwukrotnie skłamał, i to z wielką konsekwencją? Bynajmniej. Ewakuacja i deportacja Żydów stały się czynnością rutynową - w pamięci utkwiła mu gra w kręgle, gościna u ministra, wiadomość o zamachu na Heydricha. Było też charakterystyczną cechą jego pamięci, że absolutnie nie mógł sobie przypomnieć, w którym roku rozegrały się owe pamiętne wydarzenia, kiedy to czescy patrioci zastrzelili "kata".

Gdyby pamięć Eichmanna funkcjonowała lepiej, zapewne w ogóle przemilczałby historię z Terezinem. Wszystko to działo się bowiem w momencie, gdy minęła pora "rozwiązań politycznych", a rozpoczęła się era "rozwiązania fizycznego". Działo się to wówczas, gdy -jak przyznał się dobrowolnie w innym kontekście - poinformowano go już o rozkazie fiihrera nakazującym Ostateczne Rozwiązanie. "Oczyszczenie z Żydów" w terminie, w jakim Heydrich obiecał dokonać tego w Czechach i na Morawach, mogło oznaczać jedynie koncentrację i deportację do miejsc, skąd łatwo można byłoby przetransportować Żydów do ośrodków uśmiercania. To, że Terezin miał ostatecznie służyć innym celom, a mianowicie pełnić funkcję pokazową wobec świata zewnętrznego - było to jedyne getto, do którego dopuszczono przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża - było inną sprawą, jedną z tych, o których Eichmann nie miał wówczas prawie żadnego pojęcia i które zresztą wykraczały całkowicie poza jego kompetencje.

ROZDZIAŁ VI

Rozwiązanie ostateczne: - eksterminacja

22 czerwca 1941 roku Hitler dokonał agresji na Związek Radziecki. W sześć czy osiem tygodni później Eichmann został wezwany do biura Heydricha w Berlinie. 31 lipca Heydrich otrzymał list od marszałka Rzeszy Hermanna Göringa, naczelnego dowódcy sił powietrznych, premiera pruskiego, pełnomocnika do spraw Planu Czteroletniego, a także - co nie mniej ważne - zastępcy Hitlera w aparacie państwowym (w odróżnieniu od partyjnego). List ów nakazywał Heydrichowi przygotowanie "globalnego rozwiązania [Gesamtlosung] kwestii żydowskiej w europejskiej strefie wpływów niemieckich", a także przedstawienie "ogólnego

rozwiązania [Endlösung] kwestii żydowskiej". W momencie gdy Heydrich otrzymał te instrukcje, "przygotowywał już od dłuższego czasu -jak wyjaśnił w liście do naczelnego dowództwa armii, datowanym 6 listopada 1941 - ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego, które to zadanie zostało mu powierzone przed laty" (Reitlinger), a od początku wojny z Rosją kierował masowymi mordami dokonywanymi na Wschodzie przez Einsatzgruppen.

Heydrich rozpoczął rozmowę z Eichmannem od "krótkiej wypowiedzi na temat emigracji" (która praktycznie uległa zahamowaniu, mimo że formalny rozkaz Himmlera zakazujący wszelkiej emigracji Żydów oprócz przypadków wyjątkowych, został przez niego osobiście wydany dopiero kilka miesięcy później), następnie zaś oświadczył: "»F i i h r e r zarządził fizyczną likwidację Z y d ó w«. Po czym wbrew swoim zwyczajom, po wy-

109

powiedzeniu tych słów milczał dłuższą chwilę, jak gdyby chciał sprawdzić wrażenie, jakie wywarły. Pamiętam to do dziś. W pierwszej chwili nie zdołałem zrozumieć znaczenia tego, co powiedział, bo użył tak starannie dobranych słów, dopiero potem zrozumiałem i zachowałem milczenie, bo nie było nic więcej do powiedzenia. Nigdy bowiem nie przyszło mi do głowy coś podobnego: rozwiązanie przy użyciu przemocy. W tym momencie utraciłem wszystko: wszelką przyjemność, jakiej dostarczała mi praca, wszelką inicjatywę, wszelkie zainteresowanie: wszystkiego mi się odechciało. A potem dodał jeszcze: »Eichmann, niech pan jedzie do Lublina zobaczyć się z Glo-bocnikiem [jeden z podległych Himmlerowi wyższych dowódców SS i policji na terenie Generalnej Guberni]; Reichsführer [Himmler] wydał mu już odpowiednie rozkazy - niech pan zobaczy, co zdołał do tej pory. Zdaje się, że wykorzystuje rosyjskie okopy przeciwczołgowe do likwidacji Żydów«. Ciągle to pamiętam, bo nie zapomnę tego do końca życia, nie zapomnę tych zdań, które wypowiedział podczas tej rozmowy, która dobiegała już końca". W rzeczywistości - o czym Eichmann pamiętał jeszcze w Argentynie, ale zapomniał w Jerozolimie, co mu mocno zaszkodziło, bo miało to związek z kwestią zakresu jego własnych kompetencji w rzeczywistej akcji zagłady - Heydrich powiedział coś więcej: oświadczył Eichmannowi, że całość przedsięwzięcia "znalazła się w kompetencji Głównego Urzędu SS do Spraw Gospodarki i Administracji" a więc nie RSHA - a także, iż oficjalnym kryptonimem eksterminacji będzie "Ostateczne Rozwiązanie

Eichmann nie należał bynajmniej do pierwszych ludzi, których poinformowano o zamiarach Hitlera. Przekonaliśmy się, że Heydrich pracował w tym kierunku już od dłuższego czasu, przypuszczalnie od początku wojny, Himmler zaś utrzymywał, jakoby poinformowano go o tym "rozwiązaniu" (przeciwko któremu rzekomo zapro-

testował) zaraz po klęsce Francji, latem 1940 roku. Nie później jak w marcu 1941 roku - około sześciu miesięcy przed rozmową, jaką Eichmann odbył z Heydrichem - "w wyższych sferach partyjnych nie było tajemnicą, że ma się odbyć eksterminacja Żydów", o czym mówił zeznający w Norymberdze Yiktor Brack, pracownik kancelarii fiihrera. Ale Eichmann -jak na próżno usiłował wyjaśnić w Jerozolimie - nie należał nigdy do wyższych sfer partyjnych, nie mówiono mu nigdy więcej, niż powinien był wiedzieć, aby móc wykonywać swe określone, ograniczone zadania. Prawdą jest, że był jednym z pierwszych ludzi w niższym aparacie, których poinformowano o owej "ściśle tajnej" sprawie, objętej nadal ścisłą tajemnicą nawet

wówczas, gdy wieść o niej rozeszła się już szeroko po wszystkich urzędach partyjnych i państwowych, po wszystkich przedsiębiorstwach wykorzystujących pracę niewolniczą, a także po całym korpusie oficerskim (jeśli nie jeszcze szerzej) sił zbrojnych. Owej tajności przyświecał jednak pewien cel praktyczny. Osoby, które poinformowano w wyraźny sposób o rozkazie fiihrera nie były już li tylko "nosicielami rozkazów", ale awansowały na "nosiciele tajemnic" i wymagano od nich złożenia specjalnej przysięgi. (Członkowie Służby Bezpieczeństwa, do której Eichmann należał od roku 1934, składali w każdym razie przysięgę o zachowaniu tajemnicy.)

Ponadto wszelka korespondencja dotycząca tej sprawy podporządkowana była sztywnym "regułom językowym" i z wyjątkiem raportów od Einsatzgruppen rzadko można natrafić na dokumenty, w których występują tak jednoznacznie brzmiące słowa, jak "eksterminacja", "likwidacja", czy "egzekucja". Obowiązującymi kryptonimami zabijania były wyrazy "ostateczne rozwiązanie", "ewakuacja" (Aussiedlung) oraz "specjalne traktowanie" (Sonderbehandlung). Deportacja - chyba że w grę wchodzili Żydzi kierowani do Terezina, owego "getta starców" dla uprzywilejowanych Żydów, wówczas nazywało się to

111

110

"zmianą miejsca pobytu" - otrzymała nazwę "przesiedlenia" (Umsiedlung) bądź "robót na Wschodzie" (Arbeitsein-satzim Osten). Chodziło o to, że Żydzi istotnie byli okresowo przenoszeni z getta do getta, pewien zaś ich procent wykorzystywano czasowo do robót. W okolicznościach szczególnych niezbędne było poczynienie drobnych zmian reguł językowych. I tak na przykład pewien wysoki urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych wystąpił z propozycją, by w korespondencji z Watykanem określać zabijanie Żydów mianem "radykalnego rozwiązania", była to propozycja pomysłowa, gdyż katolicki marionetkowy rząd słowacki, u którego interweniował Watykan, z punktu widzenia nazistów był "za mało radykalny" w swym antyżydowskim ustawodawstwie: popełnił mianowicie "podstawowy błąd", wyłączając spod niego Żydów ochrzczonych. "Nosiciele tajemnic" mogli posługiwać się nie zaszyfrowanym językiem wyłącznie między sobą i jest mało prawdopodobne, by się nim posługiwali na co dzień, przy wykonywaniu swych katowskich obowiązków - w każdym razie na pewno nie w obecności stenografów i innych członków personelu pomocniczego. Bez względu na wszelkie inne powody, dla których mogły powstać owe językowe reguły, okazały się one niezwykle pomocne w utrzymaniu porządku i umiaru w działalności rozmaitych mocno zróżnicowanych służb, których harmonijna współpraca miała dla sprawy znaczenie podstawowe. Na dodatek sam termin "reguła językowa" (Sprachregelung) był kryptonimem oznaczającym to, co w normalnym języku nazwano by kłamstwem. Kiedy bowiem "nosiciela tajemnic" wysyłano na spotkanie z kimś przybywającym ze świata zewnętrznego - na przykład tak jak Eichmanna, którego wysłano do getta terezińskiego, by oprowadził po nim przedstawicieli szwajcarskiego Międzynarodowego Czerwonego Krzyża - otrzymał on, prócz swych rozkazów, także "regulę językową", która w tym wypadku polegała na opowiedzeniu zagranicznym gościom pragnącym również

112

odwiedzić obóz koncentracyjny Bergen-Belsen kłamstwa o panującej tam rzekomo epidemii tyfusu. W tym systemie językowym nie chodziło wcale o to, żeby ludzie nie wiedzieli, co właściwie robią, lecz o to, by nie dopuścić do zrównania tego z ich dawną "normalną" wiedzą o tym, czym jest zbrodnia i kłamstwo. Wielka podatność Eichmanna na

frazesy i chwytliwe powiedzenia, w połączeniu z nieumiejętnym posługiwaniem się normalnym językiem, czyniły go naturalnie idealnym użytkownikiem "reguł językowych".

System ten nie był jednak niezawodnym środkiem zabezpieczającym przed rzeczywistością, jak się miał o tym Eichmann rychło przekonać. Pojechał do Lublina na spotkanie z Brigadeführerem, Odilo Globocnikiem, byłym Gau-leiterem Wiednia - nie po to jednak, wbrew twierdzeniom oskarżyciela, aby "przekazać mu osobiście tajny rozkaz fizycznej eksterminacji Żydów", o którym Globocnik wiedział z pewnością wcześniej niż Eichmann - toteż użył wyrażenia "Ostateczne Rozwiązanie" niejako w charakterze hasła pozwalającego zidentyfikować jego osobę. (Z podobnym twierdzeniem, wykazującym, jak bardzo pogubiło się oskarżenie w biurokratycznym labiryncie Trzeciej Rzeszy, wystąpiło ono wobec Rudolfa Hossa, komendanta Oświęcimia. On także miał rzekomo otrzymać rozkaz fiihrera za pośrednictwem Eichmanna. Przynajmniej na temat tej pomyłki zabrała głos obrona, twierdząc, że "nie ma na to wystarczających dowodów". Sam Hoss zeznał na własnym procesie, że otrzymał rozkazy bezpośrednio od Himmlera, w czerwcu 1941 roku, i dodał, że Himmler poinformował go, iż Eichmann omówi z nim pewne "szczegóły". Szczegóły te - o czym Hoss pisze w swoich wspomnieniach - dotyczyły użycia gazu. Eichmann gwałtownie temu zaprzeczał. Prawdopodobnie miał rację, bo wszystkie inne źródła kwestionują relację Hossa. Wynika z nich, że ustne lub pisemne rozkazy dotyczące eksterminacji szły zawsze przez WVHA, a wydawali je szef

113

tegoż urzędu, Obergruppenführer Oswald Pohl, bądź Briga-deführer Richard Gliicks, bezpośredni przełożony Hossa. (Go się tyczy wątpliwej wiarygodności zeznań Hossa, por. także: R. Pendorf, Morder und Ermordete, 1961.) Z gazem zaś Eichmann nie miał w ogóle nic wspólnego. "Szczegóły", które omawiał z Hósem podczas składanych mu regularnie wizyt, dotyczyły obozowej mocy uśmiercania - liczby transportów, jakie obóz zdolny był tygodniowo przyjąć - a może także planów jego rozbudowy.) Globocnik przyjął Eichmanna z wielką uprzejmością i oprowadził go po Lublinie wraz z pewnym podwładnym. Doszli do drogi prowadzącej w głąb lasu, po jej prawej stronie stał zwykły budynek zamieszkały przez robotników. Na powitanie wyszedł im kapitan Policji Porządkowej (być może sam Kriminalkomissar Christian Wirth, który kierował techniczną stroną zagazowania "nieuleczalnie chorych" w Niemczech, prowadzonego pod nadzorem kancelarii fiihrera), który zaprowadził ich w stronę kilku drewnianych domków i - "schrypniętym głosem wulgarnego prostaka" - przystąpił do objaśniania, "jak wszystko pięknie pourzą-dzał, bo silnik wyjęty z rosyjskiej łodzi podwodnej zacznie pracować, a gaz wypełni ten budynek i otruje Żydów. Dla mnie było to też potworne. Taki twardy nie jestem, żeby wytrzymać coś takiego bez żadnej reakcji. [...] Gdyby mi kazano teraz popatrzeć na otwartą ranę, absolutnie bym nie potrafił. Taki już jestem i dlatego bardzo często mówiono mi, że nie mógłbym być lekarzem. Pamiętam dobrze, że wyobraziłem sobie to wszystko i wtedy naszła mnie fizyczna słabość, jakbym przeżył jakiś wielki wstrząs. Goś takiego może się zdarzyć każdemu, a potem odczuwa się jakby taką wewnętrzną drżączkę".

No cóż, miał i tak szczęście, bo widział tylko przygotowania do przyszłych komór gazowych Treblinki, jednego z sześciu położonych na Wschodzie obozów zagłady, w których uśmiercono paręset tysięcy ludzi. Niedługo potem, jesienią tegoż roku, jego bezpośredni przełożony Miiller

wysłał go na inspekcję ośrodków eksterminacji na zachodnich obszarach Polski, wcielonych do Rzeszy i nazwanych Warthegau. Obóz zagłady mieścił się w Kulm (Chełmno), gdzie w roku 1944 wymordowano 300 tysięcy Żydów z całej Europy, "przesiedlonych" najpierw do getta łódzkiego. Praca szła tu na pełnych obrotach, tylko technika była inna:

zamiast komór gazowych używano specjalnych ciężarówek. Oto co ujrzał Eichmann: Żydom znajdującym się w wielkim pomieszczeniu kazano się rozebrać; podjechała ciężarówka, która zatrzymała się tuż przed wejściem do pomieszczenia, a nagim Żydom kazano wejść do środka. Po zamknięciu drzwi ciężarówka odjechała. "Nie umiem powiedzieć [ilu Żydów weszło do środka], bo wcale nie patrzyłem. Nie mogłem, nie mogłem, miałem dość. Te przeraźliwe krzyki i... byłem za bardzo podenerwowany i tak dalej; powiedziałem o tym później Miille-rowi, któremu składałem raport. Niewiele miał korzyści z tego raportu. Pojechałem potem za ciężarówką i zobaczyłem najokropniejszą rzecz, jaką widziałem w życiu. Ciężarówka podjechała w stronę otwartego rowu, otwarto drzwi i wyrzucono trupy, które były jak żywe, takie gładkie były te ciała. Wrzucono je do rowu. Mam wciąż przed oczami obraz jakiegoś cywila, który wyrывa zęb kleszczami. Wówczas się wycofałem: wskoczyłem do auta i nie odezwałem się więcej. Po tym wszystkim mogłem godzinami siedzieć obok mojego kierowcy, nie zamieniając z nim jednego słowa. Miałem serdecznie dosyć. Byłem wykończony. Pamiętam tylko, że jakiś lekarz w białym kitlu powiedział mi, żebym popatrzył przez otwór w ciężarówce, kiedy żywi byli jeszcze w środku. Odmówiłem. Nie mogłem. Musiałem wyjechać".

Wkrótce miał zobaczyć coś jeszcze potworniejszego. Stało się to wówczas, gdy został wysłany do Mińska na Białorusi, znów przez Miillera, który powiedział mu: "W Mińsku mordują Żydów w ten sposób, że ich rozstrzelują. Chcę, żeby pan zdał mi raport z tego, jak się to od-

115

114

bywa". Pojechał więc. W pierwszej chwili wyglądało na to, że ma szczęście, bo w momencie, gdy przybył na miejsce, "było już prawie po wszystkim", z czego bardzo się ucieszył. "Było tylko kilku młodych snajperów, którzy celowali do czaszek trupów leżących w wielkim rowie". Ujrzał jednak "a to mi całkiem wystarczyło, kobietę z rękami wyciągniętymi do tyłu, wtedy kolana się pode mną ugięły i uciekłem stamtąd". Podczas jazdy powrotnej wpadł na pomysł, żeby zatrzymać się we Lwowie; myśl była dobra, gdyż w owym austriackim niegdyś mieście "zobaczył pierwszy miły widok po tych potwornościach, a mianowicie dworzec kolejowy zbudowany dla uczczenia sześćdzieści-ścieciolecia panowania Franciszka Józefa", czyli epoki, dla której Eichmann miał zawsze "uwielbienie", bo tyle miłych rzeczy słyszał o niej w domu rodzinnym. Opowiadano mu także o korzystnej pozycji społecznej i przyzwoitych zarobkach, jakimi cieszyli się w owych czasach krewni jego macochy (dawał do zrozumienia, że chodzi mu o krewnych żydowskich). Widok dworca kolejowego odegnał od niego wszelkie straszne myśli; budynek zapamiętał w najdrobniejszych szczegółach, włącznie z wrytą datą jubileuszu. Lecz to właśnie w cudownym Lwowie popełnił Eichmann wielki błąd. Złożył wizytę miejscowemu komendantowi SS, któremu oświadczył: "To straszne, co się tu u was dzieje. Z młodych ludzi robi się sadystów. Jak można robić coś takiego? Tak po prostu walić do kobiet i dzieci? Nie może tak być. Nasi ludzie oszaleją albo zachorują umysłowo, sami nasi". Pech chciał, że we Lwowie robili dokładnie to samo co w Mińsku, a gospodarz niezmiernie się ucieszył, że będzie mógł to i owo Eichmannowi pokazać, choć próbował się on grzecznie od tego wymówić. Ujrzał zatem kolejny "straszny widok: był tam zasypany już rów; spod warstwy ziemi tryskała fontanna krwi. Gość takiego widziałem pierwszy raz w życiu. Miałem powyżej uszu swojej misji i wróciłem do Berlina, gdzie zdałem sprawozdanie Gmpfenfuhrerowi Miillerowi".

Ale na tym nie koniec. Choć Eichmann powiedział mu, że jest "za mało odporny" na takie widoki, że nigdy nie był żołnierzem ani nie walczył na froncie, że nigdy nie widział akcji i że nie może spać i miewa senne koszmary, Miiller w jakieś dziewięć miesięcy później wysłał go ponownie na Lubelszczyznę, gdzie entuzjasta Globocnik ukończył tymczasem przygotowania. Eichmann stwierdził, że to, co ujrzał tym razem, było najpotworniejszą rzeczą, jaką widział w życiu. Po przybyciu na miejsce nie mógł go rozpoznać; po drewnianych domkach nie zostało śladu. Ten sam mężczyzna o wulgarnym głosie zaprowadził go natomiast na stację kolejową z tablicą "Treblin-ka". Wyglądała tak samo jak pierwsza lepsza niemiecka stacja kolejowa: te same budynki, znaki, zegary, urządzenia-idealna imitacja. "Na ile tylko było to możliwe, trzymałem się z tyłu, żeby tego wszystkiego nie oglądać. Ale jednak zobaczyłem kolumnę nagich Żydów, wypełniających wielkie pomieszczenie, gdzie ich zagazowano. Zamordowano ich, jak mi powiedziano, przy użyciu czegoś, co nazywało się cyjanowodorem".

Rzecz w tym, że Eichmann widział niewiele. Prawda, że wielokrotnie odwiedzał Oświęcim, największy i najstraszniejszy obóz śmierci, lecz położony na Górnym Śląsku Oświęcim, zajmujący powierzchnię 18 mil kwadratowych, nie był bynajmniej tylko obozem zagłady. Było to również ogromne przedsiębiorstwo, liczące do 100 tysięcy wszelkiego rodzaju więźniów, w tym także nie-Żydów, oraz osoby wykonujące pracę niewolniczą, które to kategorie nie podlegały zagazowaniu. Łatwo było ominąć urządzenia do zabijania, a Hoss, z którym Eichmann pozostawał w bardzo przyjaznych stosunkach, oszczędzał mu ponurych widoków. W istocie nie wziął on nigdy udziału w masowych rozstrzelaniach ani nie oglądał czynności gazowania, jak również nie obserwował poprzedzającej ją w Oświęcimiu selekcji osób zdolnych do pracy-przeciętnie zaliczano do nich około 25% każdego transportu. Wi-

116

117

dział akurat tyle, żeby zdawać sobie w pełni sprawę ze sposobu funkcjonowania maszyny zagłady: wiedział, że istnieją dwie metody zabijania - rozstrzelanie i gazowanie. Wiedział również, że rozstrzeliwań dokonują Ein-satzgruppen, a zagazowanie odbywa się w obozach, w komorach albo w jadących ciężarówkach. Wiedział wreszcie, że w obozach podjęto wymyślne środki ostrożności, aby zwodzić ofiary do samego końca.

Taśmy policyjne, których urywki cytowałam, odtworzono podczas dziesiątego z wszystkich 121 posiedzeń, w dziewiątym dniu tego trwającego prawie dziewięć miesięcy procesu. Żadnemu ze słów wypowiedzianych przez oskarżonego dziwnie nierealnym głosem dobiegającym z magnetofonu - nierealnym podwójnie, bo ciało, do którego należał ów głos, było obecne, lecz samo przedstawiało osobliwie nierealny widok, przesłonięte grubymi taflami szkła - nie zaprzeczył ani on sam, ani jego obrońca. Dr Servatius nie zgłosił zastrzeżeń, wspominał tylko, że "później, gdy obrona zabierze głos", on także przedstawi sądowi pewne fragmenty zeznań złożonych przez oskarżonego podczas śledztwa - nie uczynił tego nigdy. Wydaje się, że obrona mogła zabrać głos od razu, ponieważ postępowanie dowodowe przeciwko oskarżonemu na tym "historycznym" procesie najwyraźniej dobiegło końca, a oskarżenie sformułowało swoje zarzuty. Fakty składające się na sprawę Eichmanna, obejmujące jego działalność - mimo że nie we wszystkim pokrywały się one z życzeniami strony oskarżającej - nie były nigdy kwestionowane. Ustalone zostały na długo przed rozpoczęciem rozprawy, a Eichmann wielokrotnie je potwierdził. Jak sarn_tg przyznał przy różnych okazjach, było tego aż jtdatdo^ żeby go powiesić. („Jeszcze panu za mało?" - zapytał

kiedyś oficera śledczego, który usiłował mu przypisać uprawnienia, jakich Eichmann nigdy nie posiadał.) Ponieważ jednak zajmował się transportami, a nie zabi-

janiem, pozostawała nadal kwestia-przynajmniej w sensie formalno-prawnym - tego, czy wiedział, co robi. Istniała również kwestia dodatkowa: czy był w stanie dokonać właściwej oceny potworności swych czynów, a zatem, czy ponosił odpowiedzialność prawną, niezależnie od faktu, że pod względem medycznym był osobą normalną. Otóż na oba te pytania udzielono odpowiedzi twierdzącej: widział miejsce, do którego kierowano transporty i przeżył wstrząs, odchodząc niemal od zmysłów. Sędziowie, zwłaszcza zaś sędzia przewodniczący, wracali ciągle do ostatniego, najbardziej kłopotliwego pytania: czy mordowanie Żydów pozostawało w zgodzie z jego sumieniem? Było to jednak pytanie natury moralnej, a odpowiedź nie mogła mieć znaczenia pod względem prawnym.

Z chwilą ustalenia faktów dotyczących sprawy, powstały jednak dwie dalsze kwestie prawne. Po pierwsze: czy można go było uwolnić od odpowiedzialności za popełnione zbrodnie - możliwość taką stwarzał rozdział X ustawy, na podstawie której był sądzony - gdyż dopuścił się swych czynów "w zamiarze uratowania się od groźby natychmiastowej śmierci"? Po drugie zaś - czy mógł powołać się na okoliczności łagodzące, zgodnie z rozdziałem XI tejże ustawy, w którym zostały one wyliczone - twierdząc, że "dołożył wszelkich starań, aby zmniejszyć skutki popełnionego przestępstwa" i "zapobiec skutkom groźniejszym niż faktycznie powstałe"? Rozdziały X i XI pochodzącej z roku 1950 Ustawy o nazistach i osobach z nimi współpracujących sformułowano naturalnie z myślą o "kolaborantach" żydowskich. Złożone z Żydów Sonder-kommando (oddziały specjalne) uczestniczyły wszędzie w eksterminacji. Dopuszczały się one czynów zbrodniczych "w zamiarze uratowania się od groźby natychmiastowej śmierci", a żydowskie rady starszych współdziałały z nazistami dlatego, że ich członkowie sądzili, iż uda im się uniknąć "skutków groźniejszych niż faktycznie powstałe". Zeznania, jakie złożył sam Eichmann, dostarczały

119

118

odpowiedzi na oba pytania - odpowiedzi zdecydowanie negatywnej. Prawda, że kiedyś stwierdził on, że jedyną alternatywą było w jego wypadku samobójstwo, ale było to kłamstwo, bo wiemy, jak zaskakująco łatwo i bez narażania się na poważne konsekwencje członkowie oddziałów eksterminacyjnych mogli porzucić swe zajęcie. Eichmann nie upierał się jednak przy swoim twierdzeniu, nie chciał, by traktować je dosłownie. Dokumenty norymberskie "nie odnotowują ani jednego wypadku poniesienia przez członka SS kary śmierci za odmowę uczestnictwa w egzekucji" (Herbert]ager, Betrachtungen z.um Eich-mann-Prozess, [w:] "Kriminologie und Strafrechtsreform", z. 3/4, 1962). Na samym zaś procesie przedstawiono zeznania świadka obrony, von dem Bach-Zelewskiego, który oświadczył: "Istniała możliwość uniknięcia przydziału przez złożenie podania o przeniesienie. Ściśle biorąc, w pojedynczych przypadkach, należało się liczyć z poniesieniem kary dyscyplinarnej, ale zagrożenie życia nigdy nie wchodziło w grę". Eichmann wiedział dobrze, że jego sytuacja nie przypominała bynajmniej klasycznego dylematu żołnierza, którego "sąd polowy może skazać na rozstrzelanie za odmowę wykonania rozkazu, a sędzia cywilny i ławnicy mogą posłać na szubienicę za to, że ów rozkaz wykonał" - by posłużyć się formułą Diceya, zawartą w jego słynnym dziele Law of the Constitution -choćby dlatego, że jako członek SS nie podlegał nigdy jurysdykcji sądów wojskowych: stanąć mógł tylko przed trybunałem SS i policji. W swym ostatnim wystąpieniu na sali sądowej Eichmann przyznał, że mógł się być wycofać pod tym czy innym pretekstem, jak czynili to inni. Sądził zawsze, że takie posunięcie

byłoby "niedopuszczalne" i nawet na sali sądowej nie uważał tego za rzecz "godną podziwu", gdyż w praktyce równało się ono przeniesieniu na inną, dobrze płatną posadę. Powojenne opowieści o jawnym nieposłuszeństwie były wyssane z palca: "W tamtych warunkach takie zachowanie było niemożliwe. Nikt nie za-

chowywał się w ten sposób". Było to "nie do pomyślenia". Gdyby mianowano go komendantem obozu zagłady, tak jak jego przyjaciela Hossa, musiałby popełnić samobójstwo, bo nie potrafił zabijać. (Hoss, nawiasem mówiąc, popełnił w młodości morderstwo. Zabił niejakiego Waltera Kadowa, człowieka, który wydał Eo Schlagetera - terrorystę z Nadrenii, którego naziści uczynili później bohaterem narodowym - okupacyjnym władzom francuskim, a sąd niemiecki skazał go na pięć lat więzienia. W Oświęcimiu Hoss nie musiał naturalnie zabijać.) Było jednak mało prawdopodobne, żeby Eichmannowi miano zaproponować podobne stanowisko, gdyż ci, którzy wydawali rozkazy, "wiedzieli doskonale, do jakiej granicy może się posunąć dana osoba". Nie, nie znalazł się w obliczu "groźby natychmiastowej śmierci", a ponieważ z wielką dumą oświadczył, że zawsze "spełniał swoje obowiązki" i wykonywał wszystkie rozkazy, jak wymagała tego złożona przezeń przysięga - dołożył, rzecz jasna, wszelkich starań, aby zawsze pogorszyć, nie zaś złagodzić "skutki popełnionego czynu". Jedynymi "okolicznościami łagodzącymi", na jakie się powołał, było to, że starał się, "na ile to tylko było możliwe, unikać niepotrzebnych komplikacji" przy wykonywaniu swego zadania. Pomijając już kwestię prawdziwości tego twierdzenia, a także i ten fakt, że nawet jeśli byłoby ono zgodne z prawdą, to i tak w tym konkretnym przypadku byłoby to zdecydowanie za mało jak na okoliczności łagodzące - twierdzenie owo jest nie do utrzymania, gdyż "unikanie niepotrzebnych komplikacji" wchodziło w zakres otrzymywanych przez niego rutynowych dyrektyw.

Tak więc w momencie, gdy zamilkła taśma magnetofonowa, wyrok śmierci, nawet z prawnego punktu widzenia, był rzeczą przesądzoną, wyjąwszy tę ewentualność, że wymiar kary mógłby być łagodniejszy dla czynów popełnionych na rozkaz zwierzchników (możliwość taką przewiduje rozdział XI wspomnianej ustawy), ale ewen-

121

120

tualność ta była bardzo mało realna ze względu na potworność zbrodni. (Trzeba pamiętać, że obrona powoływała się nie na rozkazy zwierzchników, lecz na "akty państwowe", wnosząc na tej podstawie o uniewinnienie: taktyki tej dr Servatius próbował już bez powodzenia w Norymberdze, gdzie bronił Fritza Sauckela, pełnomocnika do spraw zatrudnienia w Góringowskim Urzędzie Planu Czteroletniego, który ponosił odpowiedzialność za wymordowanie dziesiątków tysięcy Żydów pracujących w Polsce i został powieszony w 1946 roku. "Akty państwowe", które niemieckie prawoznawstwo określa jeszcze wymowniejszym mianem *gerichtsjeire* \ubjustizloseHoheitsakte, polegają na "sprawowaniu suwerennej władzy" [E. G. S. Wadę, w: "British Year Book of International Law", 1934], a zatem zostają całkowicie wyłączone poza sferę prawa, podczas gdy wszelkie rozkazy i polecenia - przynajmniej w teorii - podlegają nadal kontroli sądowej. Jeżeli czyny popełnione przez Eichmanna były aktami państwowymi, wówczas nikt spośród jego zwierzchników, a najmniej Hitler, głowa państwa, nie mógłby odpowiadać przed jakimkolwiek sądem. Teoria "aktów państwowych" tak znakomicie pasowała do ogólnej filozofii doktora Servatiusa, że może trudno się dziwić, iż ponownie spróbował po nią sięgnąć, dziwić natomiast może to, że nie wrócił do rozkazów zwierzchników jako okoliczności łagodzącej po odczytaniu orzeczenia, a przed ogłoszeniem wyroku.) Była to

może chwila, w której wolno się było cieszyć, że nie jest to zwykły proces, w trakcie którego trzeba odrzucić jako nieistotne lub pozbawione związku ze sprawą wszelkie oświadczenia nie mające znaczenia dla toku postępowania sądowego. Rzeczą bowiem nie przedstawiała się tak prosto, jak sobie wyobrażali ludzie stanowiący prawa, i jeśli pod względem prawnym było to mało istotne, to politycznie było rzeczą szalenie ciekawą przekonać się, ile czasu potrzebuje przeciętny człowiek, żeby pokonać swą wrodzoną odrazę do zbrodni i co właściwie się z nim dzieje,

odkąd dochodzi do tego punktu. Przypadek Adolfa Eichmanna udziela na te pytania odpowiedzi, która nie mogłaby być jaśniejsza i bardziej precyzyjna.

We wrześniu 1941 roku, wkrótce po swej pierwszej oficjalnej wizycie w ośrodkach uśmiercania na Wschodzie, Eichmann - zgodnie z "życzeniem" Hitlera, który nakazał Himmlerowi możliwie jak najszybsze "oczyszczenie Rzeszy z Żydów" - zorganizował pierwszą serię masowych deportacji z Niemiec i Protektoratu. Pierwszy transport liczył 20 tysięcy Żydów z Nadrenii oraz 5 tysięcy Cyganów. Wiązało się z nim dziwne wydarzenie. Otóż Eichmann, który nigdy nie podejmował samodzielnych decyzji, zawsze bardzo pilnował, żeby być "krytym" przez rozkazy i -jak tego dowiodły zeznania dobrowolnie złożone przez praktycznie wszystkich jego współpracowników -który nie zdradzał najmniejszej ochoty do wysuwania własnych propozycji, domagając się zawsze "dyrektyw" - "po raz pierwszy i zarazem ostatni" podjął wówczas inicjatywę sprzeczną z rozkazami: zamiast wysłać tych ludzi na terytorium Rosji, do Rygi lub Mińska, gdzie natychmiast zostaliby rozstrzelani przez Einsatzgruppen, skierował ów transport do getta łódzkiego, w którym -jak o tym wiedział - nie poczyniono jeszcze żadnych przygotowań do eksterminacji, choćby dlatego, że człowiek zarządzający tym gettem, niejaki Regierungspräsident Ubelhór, znalazł sposób na czerpanie znacznych dochodów od "swoich" Żydów. (Getto łódzkie powstało najwcześniej i najpóźniej zostało zlikwidowane. Ci spośród znajdujących się w nim Żydów, którzy nie zmarli na skutek chorób albo wycieńczenia, przetrwali aż do lata 1944 roku.) Decyzja ta przysporzyła Eichmannowi sporych kłopotów. Getto było przepełnione, a Herr Ubelhór nie miał wcale ochoty przyjmować nowo przybyłych, nie był też w stanie zapewnić im środków do życia. Rozsierdził się do tego stopnia, że poskarżył się Himmlerowi, iż Eichmann oszukał go wraz

123

122

ze swymi ludźmi przy użyciu "sztuczek handlarzy końmi, jakich nauczył się od Cyganów". Himmler, a także Heydrich, wzięli Eichmanna w obronę, a cały incydent puszczono rychło w niepamięć. Zapomniał o nim przede wszystkim sam Eichmann, który nie wspominał o nim ani podczas śledztwa, ani nigdzie w swoich wspomnieniach. Kiedy stanął za barierką dla świadków, aby odpowiedzieć na pytania własnego obrońcy, który przedstawił mu stosowne dokumenty, upierał się przy twierdzeniu, że miał "wybór": "Tu po raz pierwszy i ostatni miałem wybór. [...] Mogłem wybrać Łódź. [...] Jeśli w Łodzi wystąpiłyby jakieś trudności, trzeba byłoby posłać tych ludzi jeszcze dalej na Wschód. A ponieważ byłem świadkiem przygotowań, postanowiłem zrobić wszystko co w mojej mocy, żeby za wszelką cenę wysłać tych ludzi do Łodzi". Obrońca usiłował wyprowadzić z tego wniosek, że Eichmann ratował Żydów, ilekroć tylko mógł to uczynić, co było oczywistą nieprawdą. Oskarżyciel, który przesłuchiwał później Eichmanna w związku z tym samym incydentem, pragnął dowiedzieć, że oskarżony osobiście decydował o miejscu przeznaczenia wszystkich transportów, a zatem od niego zależało, czy dany transport czekała, czy też nie czekała zagłada, co również nie było prawdą. Wyjaśnienie samego Eichmanna, zgodnie z którym nie

zignorował on rozkaz, a tylko skorzystał z możliwości "wyboru", również miało się z prawdą, gdyż -jak o tym dobrze wiedział -w Łodzi wystąpiły trudności, a rozkaz, jaki otrzymał, brzmiał krótko: miejsce przeznaczenia - Mińsk lub Ryga. Mimo że Eichmann zupełnie o tym zapomniał, był to z pewnością jedyny wypadek, kiedy istotnie spróbował ratować Żydów. W trzy tygodnie później odbyło się wszelako w Pradze spotkanie - zwołane przez Heydricha - na którym Eichmann oświadczył, że "w obozach służących do przetrzymywania [rosyjskich] komunistów [tę kategorię więźniów przeznaczono do natychmiastowej likwidacji przez Einsatzgruppen] można także umieścić Żydów".

Poinformował również, że "doszedł do porozumienia" w tej sprawie z miejscowymi komendantami. Na spotkaniu omówiono także kłopoty w Łodzi i podjęto ostatecznie decyzję o wysłaniu 50 tysięcy Żydów z Rzeszy (to znaczy z terenów obejmujących również Austrię, Czechy i Morawy) do ośrodków, w których działały Einsatzgruppen, czyli do Rygi i Mińska. Możliwe zatem, że moglibyśmy odpowiedzieć na pytanie sędziego Landaua - a zajmowało ono naczelną rolę w umysłach wszystkich niemal obserwatorów procesu - czy Eichmann miał sumienie: owszem, miał i funkcjonowało ono w sposób zgodny z oczekiwaniami mniej więcej przez okres czterech tygodni, po czym zaczęło funkcjonować w sposób dokładnie przeciwny.

Ale nawet w czasie owych kilku tygodni, kiedy jego sumienie funkcjonowało normalnie, czyniło to w dość osobliwie wytyczonych ramach. Trzeba pamiętać, że na wiele tygodni przed poinformowaniem go o rozkazie fiihre-ra, Eichmann wiedział o eksterminacyjnej działalności Einsatzgruppen na Wschodzie; wiedział, że tuż za linią frontu dokonuje się masowych egzekucji wszystkich funkcjonariuszy rosyjskich ("komunistów"), całej polskiej inteligencji oraz wszystkich miejscowych Żydów. Co więcej, w lipcu tegoż roku, na kilka tygodni przed zawezwaniem go do Heydricha, Eichmann otrzymał od pewnego SS-mana z Warthegau memoriał, stwierdzający, że "w ciągu nadchodzącej zimy nie będzie już możliwe dalsze żywienie Żydów" i poddający mu w związku z tym pod rozwagę sugestię, że "być może najbardziej humanitarnym rozwiązaniem byłaby jakaś szybsza likwidacja Żydów niezdolnych do pracy. Byłoby to w każdym razie bardziej do przyjęcia, niż pozwolić im umrzeć z głodu i wycieńczenia". W dołączonym do memoriału liście adresowanym do "Szanownego Towarzysza Eichmanna", autor stwierdzał, że "choć brzmi to czasem niewiarygodnie, jest to praktycznie całkiem możliwe". Stwierdzenie to dowodzi, że o wiele bardziej "niewiarygodny" rozkaz fiihrera nie był jesz-

125

124

cze znany autorowi, ale list ten dowodzi także, w jak wielkim stopniu panująca atmosfera sprzyjała wydaniu tego rozkazu. Eichmann nigdy nie wspominał o tym liście i przypuszczalnie nie doznał wcale szoku po jego otrzymaniu. Zawarta w nim propozycja dotyczyła bowiem jedynie miejscowych Żydów, nie zaś Żydów pochodzących z Rzeszy lub któregośkolwiek kraju zachodnioeuropejskiego. Sumienie Eichmanna buntowało się nie na myśl o zagładzie, lecz na myśl o zagładzie Żydów niemieckich. ("Nigdy nie zaprzeczałem, że wiedziałem, iż Einsatzgruppen otrzymały rozkaz zabijania, nie wiedziałem jednak, że Żydzi ewakuowani z Rzeszy mieli zostać potraktowani w ten sam sposób. Tego nie wiedziałem".) Tak samo miała się sprawa z sumieniem niejakiego Wilhelma Kubego, weterana partyjnego i komisarza generalnego okupowanej Rosji, który wpadł w oburzenie, gdy w Mińsku pojawili się Żydzi niemieccy odznaczeni Krzyżem Żelaznym. Ich także należało "potraktować specjalnie". Ponieważ Kubę był bardziej elokwentny niż Eichmann, jego słowa mogą nam

lepiej przybliżyć obraz tego, co działo się w głowie Eichmanna, kiedy odczuwał wyrzuty sumienia: "Na pewno nie jestem mięczakiem i gotów jestem pomóc w rozwiązaniu kwestii żydowskiej - pisał Kubę do swego przełożonego w grudniu 1941 roku - ale ludzie wywodzący się ze środowiska naszej kultury są z pewnością czymś innym niż ze-zwierzęcone hordy tubylców". Sumienie tego rodzaju, buntujące się -jeśli się w ogóle buntowało - przeciwko mordowaniu ludzi "ze środowiska naszej kultury", przetrwało upadek nazizmu. Wśród Niemców uparcie krążą dzisiaj "błędne informacje", zgodnie z którymi mordowano "tylko" Ostjuden - Żydów wschodnioeuropejskich.

Na taki sposób myślenia, rozróżniający zagładę narodu "prymitywnego" i "cywilizowanego", naród niemiecki nie miał też monopolu. Harry Mulisch przytacza następujące pytania, jakie przysły mu na myśl w związku z zeznaniami złożonymi przez profesora Salo W. Barona do-

tyczącymi dorobku duchowego i kulturalnego narodu żydowskiego. "Gdy zagłada Żydów byłaby mniejszym złem, gdyby byli oni narodem pozbawionym kultury, takim jak na przykład również poddani eksterminacji Cyganie? Gdy Eichmanna sądzi się jako mordercę istot ludzkich, czy jako niszczyciela kultury? Gdy wina mordercy istot ludzkich zwiększa się dlatego, że zniszczona przy okazji zostaje również kultura?" Kiedy zwrócił się z tymi pytaniami do prokuratora generalnego, okazało się, że "on [Hau-sner] uważa, że tak, ja zaś myślę przeciwnie, że nie". Ileż umiemy sobie zadać trudu, by odsunąć od siebie ten problem, pogrzebać kłopotliwe pytanie razem z przeszłością, ilustruje niedawno nakręcony film pod tytułem Dr Stran-gelou, w którym osobliwy miłośnik bomby atomowej -prawda, że ucharakteryzowany na nazistę - wysuwa propozycję, by wybrać około 100 tysięcy osób, które miałyby przeżyć nadciągającą zagładę w schronach podziemnych. Kim mieliby być owi szczęśliwcy? Eudźmi z najwyższym ilorazem inteligencji!

Owego zagadnienia sumienia - jakże kłopotliwego wjerzopolimie - naziści bynajmniej nie stracili z pola widzenia. Przeciwnie, zważywszy na fakt, że uczestnicy spisku antyhitlerowskiego z lipca 1944 niezwykle rzadko wspominali w korespondencji bądź oświadczeniach przygotowanych na wypadek, gdyby zamach na życie Hitlera zakończył się powodzeniem, o masowych rzeziach na Wschodzie - można pokusić się o wniosek, że naziści znacznie przeceniali znaczenie tego problemu. Możemy tu pominąć wczesny etap niemieckiej opozycji przeciwko Hitlerowi, kiedy była ona jeszcze wyłącznie antyfaszystowskim ruchem lewicowym, z zasady nie przywiązującym żadnego znaczenia do kwestii moralnych, a tym bardziej do prześladowań Żydów, w czym dopatrywano się jedynie "odwrócenia uwagi" od walki klasowej, jaka zdaniem lewicy określała charakter całej sceny politycznej. Ponadto cała ta opozycja niemal zupełnie zniknęła w omawianym

126

127

okresie - zniszczył ją potworny terror bojówkarzy SA w obozach koncentracyjnych i kazamatkach Gestapo, zachwiało pełne zatrudnienie możliwe dzięki zbrojeniom, zdemoralizowała taktyka komunistów wstępujących w szeregi partii hitlerowskiej w celu odegrania w niej roli "konja trojańskiego". Resztki owej opozycji, jakie utrzymały się na początku wojny - niektórzy przywódcy związkowi, garstka intelektualistów należących do "bezdomej lewicy", którzy nie wiedzieli i nie mogli wiedzieć, czy stoi za nimi jakakolwiek siła -uzyskały znaczenie wyłącznie za sprawą spisku, który doprowadził do 20 lipca. (Nie wolno, rzecz jasna, mierzyć siły niemieckiego ruchu oporu ilością osób, jakie przeszły przez obozy koncentracyjne. Przed wybuchem wojny więźniowie tych obozów należeli do wielkiej

liczby kategorii, spośród których wiele nie miało nic wspólnego z jakimkolwiek rodzajem oporu: znajdowali się wśród nich ludzie całkowicie "niewinni", na przykład Żydzi, osobnicy "aspołeczni" w rodzaju zatwardziały kryminalistów i homoseksualistów, naziści, którym udowodniono takie czy inne przestępstwo etc. Podczas wojny obozy zapełniły się bojownikami ruchu oporu z całej okupowanej Europy.)

Większość spośród lipcowych spiskowców była w przeszłości nazistami lub zajmowała wysokie stanowiska w Trzeciej Rzeszy. Zarzewiem ich sprzeciwu nie była sprawa żydowska, lecz fakt, że Hitler prowadził przygotowania do wojny, a także niezliczone konflikty i kryzysy sumienia, jakie ich zadręczały prawie wyłącznie w związku z problemem zdrady stanu i złamaniem przysięgi lojalności względem Hitlera. Stanęli ponadto w obliczu dylematu istotnie nierozwiązywalnego: w dniach tryumfów Hitlera uważali oni, że nie mogą nic zrobić, bo naród ich nie zrozumie, w latach zaś klęsk ponoszonych przez Niemcy największym przerażeniem napawała ich bajka o kolejnym "ciosie w plecy". Do ostatniego momentu najbardziej troszczyli się o to, w jaki sposób można by zapobiec

chaosowi i odsunąć niebezpieczeństwo wojny domowej. Rozwiązanie polegało na tym, że Sprzymierzeni powinni wykazać się "rozsądkiem" i ogłosić "moratorium" do czasu przywrócenia porządku, a więc także odzyskania przez armię niemiecką zdolności stawienia oporu. W najdrobniejszych szczegółach orientowali się oni w tym, co działo się na Wschodzie, nie ma jednak żadnych wątpliwości co do tego, że nikt z nich nie odważył się nawet pomyśleć, że najlepszym, co w tej sytuacji mogłoby się Niemcom przydarzyć, byłaby jawna rewolta i wojna domowa. Na czynny opór zdobyła się w Niemczech głównie prawica, zważywszy jednak na postawę zajętą w przeszłości przez niemieckich socjaldemokratów, wolno wątpić, czy sytuacja uległaby wielkiej zmianie, gdyby lewica odegrała wśród spiskowców większą rolę. Jest to tak czy owak problem czysto akademicki, albowiem podczas wojny nie istniał żaden "zorganizowany socjalistyczny ruch oporu", jak słusznie podkreśla historyk niemiecki Gerhard Ritter.

W rzeczywistości sytuacja była równie prosta, jak beznadziejna: przeważająca większość narodu niemieckiego wierzyła w Hitlera - nawet po napaści na Rosję i rozpoczęciu wojny na dwa fronty, czego się lękano; nawet po przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych, właściwie nawet po Stalingradzie, zdradzie Włoch i lądowaniu we Francji. Naprzeciwko owej zwartej masy stała nieokreślona liczba izolowanych jednostek doskonale zdających sobie sprawę z katastrofy narodowej i moralnej; niektórzy z nich mogli nawet znać się pomiędzy sobą i wzajemnie sobie ufać; zawiązywały się między nimi przyjaźnie; sporadycznie wymieniali też z sobą opinie, nie stworzyli jednak żadnego planu ani nie dążyli do buntu. Była wreszcie owa grupa ludzi, znanych później pod nazwą spiskowców, nie zdołali oni jednak nigdy dojść z sobą do porozumienia w jakiegokolwiek kwestii, nawet w kwestii spisku. Ich przywódcą był Garl Friedrich Goerdeler, były burmistrz Lipska, który pod rządami nazistów pełnił przez

128

129

trzy lata funkcję inspektora cen, dość wcześnie jednak, bo w roku 1936, złożył rezygnację. Opowiadał się za powołaniem monarchii konstytucyjnej, a Wilhelm Leuschner, przedstawiciel lewicy, były przywódca związkowy i socjalista, zapewnił go o "masowym poparciu". W Kreisa-uer Kreis - pod wpływem Helmuta von Moltkego - dawano sporadycznie wyraz ubolewaniom, że praworządność "jest obecnie deptana", głównym jednak celem tego środowiska było pojednanie obu Kościołów chrześcijańskich i koordynacja ich

"świętej misji w świeckim państwie", czemu towarzyszyło opowiedzenie się za ustrojem federalnym. (Bankructwu politycznemu całego ruchu oporu od roku 1933 poświęcona jest dobrze udokumentowana i bezstronna rozprawa doktorska George'a K. Romose-ra, mająca wkrótce ukazać się drukiem.)

W miarę rozwoju działań wojennych i coraz wyraźniej-szego zbliżania się klęski, różnice polityczne powinny były tracić na znaczeniu, sprawą naglącą stawało się zaś polityczne działanie, wydaje się wszakże, że i tu rację ma Gerhard Ritter: "Gdyby nie determinacja [hrabiego Clau-sa von] Stauffenberga, ruch oporu ugrzązłby w mniej lub bardziej beznadziejnej bezczynności". Tym, co łączyło tych ludzi, było to, że widzieli oni w Hitlerze "oszusta", "dyletanta", który "wbrew radom ekspertów poświęcał całe armie", "szaleńca" i "demoną", "wcielenie wszelkiego zła", co w kontekście niemieckim oznaczało zarazem coś mniej i coś więcej niż nazwanie go "zbrodniarzem i głupcem", co niekiedy czynili. Posiadanie jednak tego rodzaju opinii o Hitlerze w owym późnym okresie "nie wykluczało bynajmniej przynależności do SS lub partii czy też zajmowania stanowiska w rządzie" (Fritz Hesse), pozwoliło zatem pozostać w kręgu spiskowców sporej liczbie osób, które same były głęboko uwikłane w zbrodnie reżimu, jak na przykład hrabia Helldorf, ówczesny szef policji berlińskiej, który miał zostać naczelnikiem całej policji niemieckiej, gdyby zamach stanu zakończył się powo-

dzeniem (zgodnie z jednym z wykazów przyszłych ministrów, sporządzonym przez Goerdelera) albo jak Arthur Nebe z RSHA, były dowódca jednej z lotnych brygad egzekucyjnych na Wschodzie! Latem 1943 roku, kiedy kierowany przez Himmlera program eksterminacji osiągnął punkt szczytowy, Goerdeler upatrywał w Himmlerze i Goebbelsie potencjalnych sprzymierzeńców, "gdyż obaj zdawali sobie sprawę, że Hitler doprowadzi ich do zguby". (Himmler stał się istotnie "potencjalnym sprzymierzeńcem" - choć nie Goebbels - i został szczegółowo poinformowany o ich planach; przystąpił do akcji przeciwko spiskowcom dopiero po ich klęsce.) Cytuję tu brulion listu Goerdelera do marszałka polnego von Klugego, ale owych dziwnych sojuszy nie sposób wytłumaczyć "względami taktycznymi", nieodzownymi w stosunku do dowódców armii, gdyż to właśnie Kluge i Rommel wydali "rozkaz specjalny nakazujący likwidację obu potworów" [Himmlera i Göringę] (Ritter) - niezależnie od tego, że biograf Goerdelera, Ritter, utrzymuje, iż cytowany wyżej list "stanowi najbardziej namiętny wyraz jego nienawiści do reżimu hitlerowskiego".

Nie ma wątpliwości co do tego, że ci ludzie, którzy sprzeciwili się Hitlerowi -jakkolwiek z opóźnieniem - zapłacili za to swym życiem i skonali w najstraszliwszych męczarniach; odwaga wielu z nich godna jest podziwu, nie natchnęło ich jednak do niej moralne oburzenie lub wiedza o tym, do jakich cierpień zmuszani byli inni ludzie; pobudką ich działania było prawie wyłącznie przekonanie o nadciągającej klęsce i upadku Niemiec. Nie chodzi przy tym o to, by zaprzeczać, że niektórych z nich - na przykład hrabiego Yorka von Wartenburga - pchnęła początkowo do politycznej opozycji "buntownicza agitacja przeciwko Żydom norymberskim w roku 1938" (Ritter). W tymże jednak miesiącu stanęły w płomieniach synagogi, cała zaś ludność sprawiała wrażenie jakby sparaliżowanej strachem: podpalono domy Boże, a ludzie

130

131

pobożni tak samo jak zabobonni lękali się zemsty Boga. Konsternację wyższego korpusu oficerskiego wzbudził wprawdzie tak zwany "rozkaz o komisarzach" Hitlera wydany w maju 1941 roku, kiedy to jego członkowie dowiedzieli się, że podczas nadchodzącej kampanii

rosyjskiej wszystkich funkcjonariuszy władz sowieckich i naturalnie wszystkich Żydów należy po prostu wymordować. W kołach tych istniało, rzecz jasna, pewne zatroskanie tym, że -jak pisał Goerdeler - "na obszarach okupowanych oraz w odniesieniu do Żydów stosuje się praktykę likwidacji istot ludzkich oraz prześladowań religijnych [...], co na zawsze odcisnie się ciężkim brzemieniem na naszej historii". Wydaje się wszakże, iż nie przyszło im nigdy na myśl, że oznaczało to coś więcej - i coś bardziej przerażającego - niż to, że "niesłuchanie utrudni nam to nasze położenie [w rokowaniach o traktat pokojowy ze Sprzymierzonymi]", lub że było to "plamą na honorze Niemiec" i podkopywało morale żołnierzy. "Cóż oni u diabła zrobili z dumnych żołnierzy wojen wyzwoleniczych [z Napoleonem w 1814 roku] i Wilhelma I [podczas wojny prusko-francuskiej w roku 1870]!" - wykrzyknął Goerdeler usłyszawszy relację SS-mana, który "opowiadał z nonszalancją, iż »nie należało do zbytnej przyjemności ostrzeliwanie z karabinów maszynowych rowów wypchanych tysiącami Żydów i zasypywanie ziemią drgających jeszcze ciał«". Nie przyszło im też na myśl, że podobne potworności mogą mieć jakiś związek z wysuwaniem przez Sprzymierzonych żądaniem bezwarunkowej kapitulacji, którego nie omieszkali poddać krytyce jako "przejawu nacjonalizmu" i "braku rozsądku", wywołanego ślepą nienawiścią. W roku 1943, gdy ostateczna klęska Niemiec była rzeczą niemal całkowicie pewną, a nawet jeszcze później, uważali nadal, że mają prawo rokować z przeciwnikiem "jak równy z równym" o "pokój na uczciwych warunkach", choć dobrze wiedzieli, jak niesprawiedliwa i niczym nie sprowokowana była wojna rozpętana

przez Hitlera. Jeszcze większe zdumienie budzą kryteria, jakie zastosowali względem "sprawiedliwego pokoju". Goerdeler formułował je wielokrotnie w licznych memoriałach: "przywrócenie granic państwowych z roku 1914 [co oznaczało aneksję Alzacji i Lotaryngii] z dodaniem Austrii i Ziemi Sudeckiej", nadto - "zapewnienie Niemcom przywództwa na kontynencie", a może i odzyskanie południowego Tyrolu!

Wiemy również z przygotowanych przez nich oświadczeń, w jaki sposób zamierzali przedstawić swoje stanowisko narodowi. Istnieje na przykład projekt proklamacji skierowanej do armii, autorstwa generała Ludwiga Becka, który miał objąć funkcję szefa państwa; w proklamacji tej rozvodzi się on nad "zatwardziałością, nieporadnością i brakiem umiaru" władz hitlerowskich oraz nad ich "butą i zarozumiałością". Ale sedno sprawy - "największa niegodziwość" reżimu - polegało na tym, że na-ziści chcieli "obarczyć kierownictwo sił zbrojnych odpowiedzialnością" za zbliżającą się klęskę; Beck uzupełnił to uwagą, że dopuszczono się zbrodni "będących plamą na honorze narodu niemieckiego i szkodzących dobrej opinii, jaką cieszył się on w oczach świata". Co zaś miano uczynić zaraz po likwidacji Hitlera? Armia niemiecka miała walczyć dalej "aż do uzyskania gwarancji honorowego zakończenia wojny" - co oznaczało aneksję Alzacji-Lotaryngii, Austrii i Sudetów. Istnieją doprawdy przekonujące powody, by zgodzić się z surową oceną tych ludzi sformułowaną przez niemieckiego pisarza Friedricha P. Reck-Malleczewena, który został zamordowany w obozie koncentracyjnym w przeddzień upadku III Rzeszy i nie uczestniczył w antyhitlerowskim spisku. W swym niemal zupełnie nieznanym Dzienniku pogrążonego w rozpacz (Tage-buch eines Yerzjuueifelten, 1947) zanotował on na wieść o nieudanej próbie zamachu na życie Hitlera - którą to wiadomość przyjął naturalnie ze smutkiem - słowa następujące: "Trochę za późno, panowie, którzyście stworzyli tego

arcyniszczyciela Niemiec i gnali za nim póki wszystko szło niby dobrze, którzy [...] bez wahania składaliście każdą przysięgę, jakiej zażądano i sami sprowadziliście się do rzędu godnych pogardy pacholków tego zbrodniarza ponoszącego winę za wymordowanie setek tysięcy ludzi, obarczonego szlochem i przekleństwami całego świata -otoście go teraz zdradzili. [...] Teraz, gdy bankructwa nie sposób już dłużej ukrywać, zdradzili dom, który się zawalił, aby zapewnić sobie polityczne alibi - uczynili to ci sami ludzie, którzy wyparli się wszystkiego, co przeszkadzało im sięgnąć po władzę".

Nie ma żadnych dowodów i jest rzeczą nieprawdopodobną, że Eichmann nawiązał kiedykolwiek osobisty kontakt z ludźmi 20 lipca, wiemy też, że nawet w Argentynie uważał on ich nadal za zdrajców i łajdaków. Gdyby wszakże miał być jakąkolwiek sposobność zapoznania się z "oryginalnymi" pomysłami Goerdelera w odniesieniu do kwestii żydowskiej, niewykluczone, iż w jakiejś mierze by się z nimi zgodził. Goerdeler proponował wprowadzić "wypłacenie Żydom niemieckim odszkodowania za poniesione przez nich straty i złe traktowanie" - było to w roku 1942, kiedy nie chodziło wyłącznie o Żydów niemieckich i kiedy Żydów zagazowywano, a nie tylko źle traktowano i obrabowywano; pozajednak tego rodzaju kwestiami technicznymi przemyślał on również o czymś bardziej konkretnym, mianowicie o "trwałym rozwiązaniu", które pozwoliłoby "wybawić [wszystkich Żydów europejskich] od owego niestosownego położenia, jakim jest sytuacja narodu mniej lub bardziej niechętnie »goszczone-go« w Europie". (W żargonie Eichmanna nazywało się to "daniem im pod stopy twardego gruntu".) W tym celu Goerdeler postulował "niepodległe państwo w jakimś kraju kolonialnym" - w Kanadzie lub w Ameryce Południowej - na wzór Madagaskaru, o którym z pewnością słyszał. Poczynił jednak pewne ustępstwa - nie wszyscy Żydzi mieli być wygnani. Podobnie jak władze nazistow-

skie, które wprowadziły początkowo kategorie Żydów uprzywilejowanych, gotów był "nie pozbawiać obywatelstwa niemieckiego tych Żydów, którzy mogli przedstawić dowody szczególnych ofiar poniesionych w zbrojnej służbie dla Niemiec, bądź wywodzili się z rodzin o dawnych tradycjach". Bez względu na znaczenie "trwałego rozwiązania kwestii żydowskiej", jakie proponował Goerdeler, nie było ono specjalnie "oryginalne" -jak nazwał je profesor Ritter, jeszcze w roku 1954 pełen podziwu dla swego bohatera - Goerdeler zaś znalazłby mnóstwo "potencjalnych sprzymierzeńców" opowiadających się za tą częścią jego programu również w szeregach partii, a nawet SS.

W cytowanym wyżej liście do marszałka von Klugego Goerdeler odwoływał się do jego "głosu sumienia". Chodziło mu wszakże wyłącznie o to, że nawet generał powinien zrozumieć, iż "dalsze prowadzenie wojny bez widoków na zwycięstwo stanowi jawną zbrodnię". Na podstawie zgromadzonych materiałów dowodowych można jedynie wyciągnąć wnioski, że po sumieniu we właściwym znaczeniu tego słowa ślad w Niemczech zaginął, i to do tego stopnia, że ludzie prawie całkiem o nim zapomnieli, przestawszy zdawać sobie sprawę, że świat zewnętrzny nie podziela owej zdumiewającej "nowej hierarchii niemieckich wartości". Ściśle biorąc, prawda przedstawia się nieco inaczej. Byli bowiem w Niemczech ludzie, którzy od samego początku rządów hitlerowskich zdecydowanie sprzeciwili się Hitlerowi; liczba ich nie jest znana-może było ich sto tysięcy, może wiele więcej, a może znacznie mniej - ich głosu bowiem nigdy nie usłyszano. Napotkać ich można było wszędzie, we wszystkich warstwach społeczeństwa, zarówno wśród ludzi prostych, jak i wykształconych, we wszystkich ugrupowaniach, być może nawet w szeregach NSDAP. Garstka tych ludzi znana była opinii publicznej - na przykład wspomniany wcześniej Reck-Malleczewen czy filozof Kar l Jaspers. Niektórzy byli ludź-

mi prawdziwie i głęboko pobożnymi, jak ów znany mi z opowiadania rzemieślnik, który wolał zniszczyć swój niezależny byt i zostać zwykłym robotnikiem fabrycznym niż dopełnić "drobnej formalności" i wstąpić do partii nazistowskiej. Była też garstka tych, którzy przysięgę traktowali serio i woleli zrezygnować na przykład z kariery naukowej niż przysięgać na nazwisko Hitlera. Liczniejszą grupę stanowili robotnicy - zwłaszcza berlińscy - oraz socjalistyczni intelektualiści, którzy starali się pomóc znanym sobie Żydom. Było wreszcie owych dwóch wiejskich chłopców, o których opowiada Giinther Weisenborn w książce *Der lautlose Aufstand* (1953); wcielono ich do SS pod koniec wojny, oni zaś nie wyrazili na to zgody; skazano ich na śmierć, a w dniu egzekucji napisali w ostatnim liście do swych rodzin: "Wolimy umrzeć niż mieć na sumieniu takie potworności. Wiemy, czym musi się zajmować SS". Położenie tych ludzi, którzy praktycznie biorąc nie zrobili niczego, było całkowicie odmienne od sytuacji spiskowców. Ich zdolność odróżniania dobra od zła nie doznała szwanku, nigdy też nie doznali oni "kryzysu sumienia". Ludzie tego pokroju mogli znajdować się również wśród członków ruchu oporu, z pewnością jednak w szeregach spiskowców nie występowali oni wcale liczniej niż wśród ogółu ludności. Nie byli ani bohaterami, ani świętymi, przez cały czas zachowywali milczenie. Tylko jeden jedyny raz - a był to pojedynczy gest rozpaczy-ów całkowicie izolowany i niemy odłam zmanifestował publicznie swą obecność: było to wówczas, gdy dwoje studentów uniwersytetu monachijskiego - rodzeństwo Scholl - rozpowszechniło pod wpływem swego nauczyciela Kurta Hubera słynne ulotki, w których Hitler został wreszcie nazwany tym, czym był - "mordercą milionów".

Jeśli jednak zbada się treść dokumentów i deklaracji przygotowanych przez przedstawicieli tak zwanych "innych Niemiec", którzy rnieli zastąpić Hitlera, gdyby spisek 20 lipca zakończył się powodzeniem - można tylko

zdumieć się rozmiarami przepaści dzielącej nawet tych ludzi od reszty świata. Jak inaczej wytłumaczyć złudzenia Goerdelera bądź fakt, że to akurat Himmler - ale i Ribbentrop - zaczęli w ciągu ostatnich miesięcy wojny snuć rojenia o nowej wspaniałej roli negocjatorów ze Sprzymierzonymi w imieniu pokonanych Niemiec. O ile zaś Ribbentrop z pewnością był po prostu człowiekiem głupim, o tyle Himmlera można uważać za kogokolwiek, tylko nie za głupca.

Himmler był najbardziej utalentowanym w rozwiązywaniu problemów sumienia członkiem hierarchii nazistowskiej. Był on autorem haseł w rodzaju słynnej dewizy SS, zaczerpniętej z przemówienia Hitlera do SS-manów w roku 1931, "mój honor to wierność" - autorem owych frazesów, które Eichmann nazywał "skrzydlatymi słowami", a sędziowie - "pustosłowiem"; puszczał je w obieg -o czym wspominał Eichmann - "pod koniec każdego roku", zapewne jako dodatek do premii na Boże Narodzenie. Eichmann zapamiętał tylko jedno z takich haseł i ciągle je powtarzał: "Tych bojów przyszłe pokolenia nie będą musiały ponownie staczać", czyniąc w ten sposób aluzję do "bojów" staczanych z kobietami, dziećmi, starcami i innymi "darmozjadami". Oto niektóre inne slogany tego rodzaju zaczerpnięte z przemówień Himmlera do komendantówEinsatzgruppen oraz wyższych dowódców SS i Policji: „Jesteśmy twardzi, bo wytrzymaliśmy do końca, nie tracąc przy tym - z wyjątkiem sytuacji wywołanych ludzką słabością - przyzwoitości. Ta karta naszych dziejów nie doczekała się nigdy swego dziejopisa i nigdy się go nie doczeka"; "Rozkaz rozwiązania kwestii żydowskiej był najstraszniejszym rozkazem, jaki kiedykolwiek otrzymała jakaś organizacja"; "Zdajemy sobie sprawę z tego, że oczekujemy od was rzeczy »nadmudzkich«, »nadmudzko nieludzkich«. Można powiedzieć tylko tyle, że ich oczekiwania nie doznały zawodu. Warto jednak odnotować, że Himmler prawie nigdy nie usiłował dokonywać uza-

sadnień ideologicznych, a jeśli próbę taką podejmował, szybko o tym zapomniano. W umysłach owych ludzi, którzy stali się zbrodniarzami, załęgło się po prostu przekonanie, że uczestniczą oni w jakichś historycznych, wspaniałych i absolutnie wyjątkowych wydarzeniach ("wielkie zadanie, które przychodzi raz na dwa tysiące lat"), którym z tego właśnie powodu niełatwo sprostać. Jest to istotne, ponieważ ci zbrodniarze nie byli sadystami ani mordercami z natury. Przeciwnie, podjęto systematyczne wysiłki celem pozbycia się wszystkich tych osobników, którzy czerpali fizyczną przyjemność ze swego zajęcia. Żołnierzy Einsatzgruppen rekrutowano ze zbrojnych oddziałów SS, czyli formacji wojskowej, której konto nie było wcale bardziej obciążone zbrodniami niż konto jakiegokolwiek zwykłej formacji wchodzącej w skład armii niemieckiej, a ich dowódców wybierał Heydrich spośród elity SS posiadającej tytuły naukowe. Problem polegał zatem na tym, jak przezwyciężyć u tych ludzi nie tyle wyrzuty sumienia, ile raczej zwierzęcą litość, którą odczuwają wszyscy normalni ludzie w obliczu cierpień fizycznych. Sztuczka, jakiej użył Himmler - który najwyraźniej sam był dotknięty tymi instynktownymi reakcjami - była bardzo prosta i przypuszczalnie niezwykle skuteczna: polegała ona na zwróceniu owych instynktownych odruchów niejako w przeciwną stronę i skierowaniu ich przeciwko sobie. Tak więc zamiast wykrzyknąć: Cóż za potworne rzeczy zrobiłem tym ludziom! - zbrodniarze ci potrafili powiedzieć: Cóż za potworne rzeczy musiałem oglądać, wykonując swe obowiązki. Jak ciężkie było brzemie na moich ramionach! Gdy chodzi o pomysłowe slogany Himmlera, ułomna pamięć Eichmanna mogła stanowić wskazówkę, że istniały także inne, bardziej skuteczne sposoby rozwiązania problemu sumienia. Na czołowe miejsce wysuwał się wśród nich -jak słusznie powiedział Hitler - ten prosty fakt, że toczyła się wojna. Eichmann powracał z uporem do "odmiennego osobistego podejścia do śmierci" - w sy-

tuacji, gdy "wszędzie widzi się trupy", a na możliwość własnej śmierci reaguje się z obojętnością: "Było dla mnie nieważne, czy zginiemy dziś, czy dopiero jutro. Bywało też, że przeklinaliśmy ranek, który zastawał nas wciąż żywych". Szczególnie skutecznym owej atmosferze oczekiwania na gwałtowną śmierć był fakt, że Ostateczne Rozwiązanie - w późniejszej fazie - nie było dokonywane metodą rozstrzeliwań, czyli przy użyciu przemocy, lecz w fabrykach uśmiercania gazem, od samego początku ściśle związanych z "programem eutanazji", zarządzonym przez Hitlera w pierwszych tygodniach wojny i stosowanym w odniesieniu do osób umysłowo chorych aż do agresji na Rosję. Program eksterminacji, rozpoczęty jesienią 1941 roku, biegł niejako dwoma, całkowicie od siebie różnymi, torami. Jeden tor wiódł do komór gazowych, drugi zaś do Einsatzgruppen, których działalność na tyłach armii, szczególnie na terenie Rosji, usprawiedliwiano działaniami partyzanckimi przeciwnika, choć ofiarą Einsatzgruppen nie padali bynajmniej wyłącznie Żydzi. Oprócz prawdziwych partyzantów, zajmowały się one funkcjonariuszami rosyjskimi, Cyganami, osobnikami z marginesu społecznego, chorymi psychicznie oraz Żydami. Żydów zaliczono do "potencjalnych wrogów", i to niestety na wiele tygodni przed tym, nim to dotarło do świadomości Żydów rosyjskich, a wówczas było już za późno. (Starsze pokolenie pamiętało I wojnę światową, kiedy to wojska niemieckie witano jako wyzwolicieli. Ani młodzi, ani starzy ludzie nie słyszeli nic o tym, "jak potraktowano Żydów w Niemczech czy choćby w Warszawie" - byli "wyjątkowo źle poinformowani", jak czytamy w raporcie wywiadu niemieckiego z terenu Białorusi [Hilberg]. Jeszcze większe zdumienie budzi fakt, że nawet przybywający na te tereny Żydzi niemieccy żywili niekiedy złudzenia, iż znaleźli się tam w

charakterze "pionierów" Trzeciej Rzeszy.) Owe lotne jednostki egzekucyjne, których istniało zaledwie cztery, każda w sile jednego batalionu, liczące ogółem nie więcej niż

139

138

trzy tysiące ludzi, potrzebowały niezbędnie współdziałania ze strony sił zbrojnych i wsparcie takie otrzymywały. W rzeczy samej stosunki pomiędzy nimi układały się zwykle "znakomicie", w niektórych zaś wypadkach były one "serdeczne" (herzlich). Generałowie wykazywali "zadziwiająco właściwy stosunek do Żydów": nie tylko przekazywali Żydów w ręce Einsatzgruppen, ale używali często własnych ludzi - zwykłych żołnierzy - do pomocy w masakrze. Hilberg szacuje, że ogólna liczba zamordowanych w ten sposób Żydów sięga 1,5 miliona, ale nie było to wynikiem rozkazu fuhrera nakazującego fizyczną zagładę całej ludności żydowskiej. Był to rezultat wcześniejszego rozkazu, który Hitler wydał Himmlerowi w marcu 1941 roku, nakazującego przygotowanie SS i policji "do wypełnienia specjalnych obowiązków na terenie Rosji".

Można ustalić, że rozkaz fuhrera nakazujący unicestwienie wszystkich - nie tylko rosyjskich czy polskich - Żydów sięga dużo dalszej przeszłości, choć został wydany później. Pochodził on nie z RSHA, ani z żadnego innego urzędu Heydricha czy Himmlera, lecz z kancelarii fuhrera, osobistego urzędu Hitlera. Urząd ten nie miał nic wspólnego z wojną i nigdy nie korzystał z pretekstu potrzeb wojskowych. Wielka zasługa Geralda Reitlingera, autora książki *The Final Solution*, polega między innymi na tym, że udowodnił on - w oparciu o materiały dokumentalne nie nasuwające żadnych wątpliwości - iż program eksterminacji w komorach gazowych na Wschodzie zrodził się z nazistowskiego planu eutanazji. Należy ubolewać, że podczas procesu Eichmanna, tak pieczołowicie dbającego o "prawdę historyczną", nie zwrócono uwagi na to rzeczywiste powiązanie. Rzuciłoby ono trochę światła na szeroko dyskutowaną kwestię, czy Eichmann - pracownik RSHA - był zamieszany w *Gasgeschichten*. Odpowiedź twierdząca jest mało prawdopodobna, choć niezależnie od wszystkiego, mógłby tu wchodzić w grę przypadek jednego z jego podwładnych, Rolfa Giinthera. Dla

140

przykładu, Globocnik, który zbudował w okolicach Lublina instalacje do zagazowywania, a którego Eichmann odwiedzał, nigdy nie zwracał się do Himmlera lub jakichkolwiek władz policyjnych czy SS, ilekroć potrzebował większego personelu - pisał wówczas do Yiktora Bracka, pracownika kancelarii fuhrera, ten zaś przekazywał prośbę Himmlerowi.

Pierwsze komory gazowe zbudowano w roku 1939, wprowadzając w życie dekret Hitlera, datowany 1 września tegoż roku, w którym czytamy, że "osobom nieuleczalnie chorym można przyznać śmierć z łaski". (To prawdopodobnie właśnie ten "medyczny" rodowód zagazowywania legł u podstaw owej zdumiewającej opinii doktora Servatiusa, że uśmiercanie gazem należy uważać za "kwestię medyczną".) Sama idea była znacznie starsza. Już w roku 1935 Hitler oświadczył Przywódcy Lekarzy Rzeszy, Gerhardowi Wagnerowi, że "jeśli wybuchnie wojna, zajmie się on rozwiązaniem problemu eutanazji, bo w czasie wojny jest to łatwiejsze do wykonania". Dekret został natychmiast wprowadzony w życie w stosunku do chorych psychicznie i w okresie od grudnia 1939 roku do sierpnia 1941 roku zabito przy użyciu tlenu węgla około 50 tysięcy Niemców w zakładach leczniczych, gdzie - dokładnie tak samo, jak odbywało się to później w Oświęcimiu -pomieszczeniom do uśmiercania nadano wygląd sal natryskowych i łazienek. Program się nie powiódł. Było

rzeczą niemożliwą utrzymać gazowanie w tajemnicy przed ludnością niemiecką; zewsząd rozległy się protesty ludzi, którzy, jak widać, nie zdołali jeszcze wyrobić sobie "rzeczowego" spojrzenia na istotę medycyny i zadań lekarza. Gazowanie na Wschodzie - lub, by użyć języka nazistów, "humanitarny sposób" zabijania polegający na "przyznaniu ludziom śmierci z łaski" - rozpoczęło się niemal tego samego dnia, kiedy zostało ono przerwane w Niemczech. Ludzi, którzy zatrudnieni byli przy programie eutanazji w Niemczech, wysłano wówczas na Wschód, by zbudowa-

141

li nowe urządzenia do eksterminacji całych narodów. Wywodzili się oni bądź z kancelarii Hitlera bądź też z Wydziału Zdrowia Rzeszy i dopiero teraz znaleźli się w administracyjnej władzy Himmlera.

Żadna z rozmaitych "reguł językowych", starannie obmyślonych w celu wprowadzenia w błąd i ukrycia prawdy, nie wpłynęła w sposób bardziej rozstrzygający na mentalność zabójców niż ów pierwszy wojenny dekret Hitlera, w którym wyraz "zamordować" zastąpiono wyrażeniem "przyznać śmierć z łaski". Eichmann, zapytany przez oficera śledczego, czy dyrektywa nakazująca unikać "niepotrzebnych komplikacji" nie była odrobinę ironiczna, skoro przeznaczeniem ludzi, których dotyczyła, była i tak pewna śmierć - nawet nie zrozumiał pytania, tak mocno było w jego umyśle zakorzenione przekonanie, że niewybaczalnym grzechem jest nie zabijanie ludzi, lecz zadawanie niepotrzebnego bólu. Na procesie zdradzał on niewątpliwe oznaki szczerzego oburzenia, ilekroć świadkowie opowiadali o okrucieństwach i potwornościach SS-manów - ani sąd jednak, ani publiczność nie zdołała dostrzec owych oznak, gdyż jego wysiłki, aby przede wszystkim zachować panowanie nad sobą, utwierdziły sędziów i publiczność w błędnym przekonaniu, że jest człowiekiem obojętnym, którego "nic nie zdoła poruszyć". I jeśli jakieś oskarżenie wywołało w nim kiedykolwiek prawdziwe poruszenie, nie był nim zarzut, że posłał na śmierć miliony ludzi, tylko oskarżenie o to, że zbił kiedyś na śmierć pewnego żydowskiego chłopca (sąd oddalił ów zarzut, którego autorem był jeden ze świadków). Wprawdzie Eichmann posyłał także ludzi na teren działania Einsatzgrup-pen, które "nie przyznawały śmierci z łaski", tylko dokonywały rozstrzeliwań - ale przypuszczalnie odczuł ulgę, gdy w późniejszej fazie całej operacji rozstrzeliwanie stało się już zbędne, bo wydajność komór gazowych stale rosła. Z pewnością uważał również, że nowa metoda dowodziła decydującej poprawy w podejściu władz nazistow-

142

skich do Żydów, ponieważ na samym początku programu gazowania stwierdzono wyraźnie, że dobrodziejstwo eutanazji zastrzeżone jest dla prawdziwych Niemców. W miarę rozwoju działań wojennych, kiedy wszędzie szalała gwałtowna i straszna śmierć - na froncie rosyjskim, na pustyniach Afryki, we Włoszech, na plażach Francji, w ruinach miast niemieckich - ośrodki gazowania w Oświęcimiu, Chełmnie, Majdanku, Bełżcu, Treblince i Sobiborze musiały istotnie wydawać się zakładami "Fundacji Opieki", jak nazwali je eksperci od śmierci z łaski. Ponadto, począwszy od stycznia 1942 roku, na Wschodzie działały także ekipy eutanazyjne niosące "pomoc rannym uwięzionym w lodach i śniegu" i choć zabijanie rannych żołnierzy również było "ściśle tajne", wiedziało o nim wielu ludzi, a z pewnością wykonawcy Ostatecznego Rozwiązania.

Wskazywano wielokrotnie, że gazowanie psychicznie chorych musiano w Niemczech przerwać z powodu protestu mieszkańców, a także nielicznych dostojników kościelnych, takie same protesty nie rozległy się jednak, gdy przestawiono ów program na gazowanie Żydów, mimo że niektóre ośrodki uśmiercania gazem położone były na ówczesnym terenie Rzeszy, a wokół nich również zamieszkiwała ludność niemiecka. Protesty te wystąpiły

wszakże na początku wojny; całkiem niezależnie od skutków "edukacji w sprawach eutanazji", stosunek do "bezbolesnej śmierci przez zagazowanie" uległ najprawdopodobniej zmianie w toku wojny. Jest to rzecz trudna do udowodnienia; nie istniały żadne dokumenty, które by to potwierdzały, gdyż całe przedsięwzięcie otoczone było tajemnicą, żaden zaś ze zbrodniarzy wojennych nie uczynił na ten temat najmniejszej wzmianki, i to włącznie z podsąd-nymi na procesie lekarzy w Norymberdze, którzy sypali cytatami z międzynarodowej literatury przedmiotu. Możliwe, że nie pamiętali oni, jaki był nastrój opinii publicznej, kiedy dokonywali swych mordów, być może nie zada-

143

li sobie trudu, by się tego dowiedzieć, gdyż sądzili - błędnie - że ich "obiektywne i naukowe" podejście przerastało znacznie wartość opinii zwykłych ludzi. Jednakże garść doprawdy bezcennych relacji, jakie odnajdujemy w dziennikach z czasu wojny, prowadzonych przez ludzi godnych zaufania, którzy w pełni uświadamiali sobie fakt, że ich sąsiedzi nie podzielają już przeżywanego przez nich szoku - ocalała z moralnej katastrofy całego narodu.

Wspomniany wcześniej Reck-Malleczewen opowiada o "przywódczyni", która latem 1944 roku przybyła do Bawarii, aby przemówieniami dodać wigoru miejscowym chłopom. Nie zamierzała marnować czasu na opowieści o "tajnej broni" i zwycięstwie, ale szczerze skonstatowała możliwość klęski, czym jednak żaden porządny Niemiec nie powinien się martwić, gdyż fiihrer "w swej wielkiej dobroci przygotował dla całego narodu niemieckiego łagodną śmierć przez zagazowanie na wypadek niepomyślnego rezultatu wojny". Autor dodaje od siebie: "O nie, ja nie zmyślam, ta cudowna dama nie była złudzeniem, widziałem ją na własne oczy: dobiegająca czterdziestki kobieta o pożółkłej skórze i oczach obłąkanej. [...] Jaka była reakcja? Gzy ci bawarscy bauerzy wrzucili ją przynajmniej do pobliskiego jeziora, żeby ostudzić jej zapał, z jakim rwała się do umierania? Nic podobnego. Rozeszli się do domów, kręcąc głowami".

Następna historia wiąże się jeszcze ściślej z tematem, gdyż jej bohater nie był nigdy "przywódcą", a może nawet nie należał do partii. Wydarzyło się to w Królewcu, w Prusach Wschodnich, czyli na przeciwległym krańcu Niemiec, w styczniu 1945 roku, na kilka dni przed zbombardowaniem miasta przez Rosjan, którzy zajęli jego ruiny oraz całą prowincję. Historię tę opowiada w swym Ostpreussisches Tagebuch (1961) hrabia Hans von Lehns-dorff. Pozostał on wmieście, by jako lekarz opiekować się rannymi żołnierzami, których nie udało się ewakuować. Wezwano go do jednego z punktów, gdzie groma-

dzili się uciekinierzy z prowincji, zajętej już przez Armię Czerwoną. Tam zagadnęła go pewna kobieta, od lat cierpiąca na żylaki, która chciała się teraz poddać leczeniu, ponieważ miała na to czas. "Próbuję jej wytłumaczyć, że ważniejsze jest, aby uciekła z Królewca i odłożyła leczenie na później. Dokąd chce się pani udać? - pytam. Nie umie odpowiedzieć, wie jednak, że wszyscy zostaną przewiezieni w głąb Rzeszy. A potem, ku mojemu zaskoczeniu, dodaje jeszcze: »Ro s j a n i e nigdy nas nie dostaną. Fiihrer nigdy na to nie pozwoli. Prędeż nas zagazuje«. Rozglądam się ukradkiem, ale wygląda na to, że wszyscy uważają te słowa za całkiem normalne". W historii tej, jak w większości historii prawdziwych, jakby czegoś brakuje. Powinien rozleć się jeszcze jeden głos, najlepiej kobiecy, który po ciężkim westchnieniu odpowiedziałby na to: Ze też tyle dobrego, drogiego gazu zmarnowano na Żydów!

144

ROZDZIAŁ VII

Konferencja w Wannsee, czyli Poncjusz Piłat

W dotychczasowej relacji na temat sumienia Eichmanna opierałam się na materiałach, o których on sam zapomniał. W jego własnej wersji wydarzeń do przełomu doszło nie cztery tygodnie, ale cztery miesiące później, to jest w styczniu 1942 roku, na konferencji Staatssekretare (podsekretarzy stanu), by posłużyć się określeniem nazi-stów, czyli na konferencji w Wannsee, jak się to zwykle dziś określa, gdyż Heydrich zaprosił uczestniczących w niej dżentelmenów do pewnej willi na noszącym taką nazwę przedmieściu Berlina. Jak wskazuje oficjalna nazwa tej konferencji - spotkanie owo stało się konieczne, ponieważ, jeśli Ostateczne Rozwiązanie miałoby zostać zastosowane w całej Europie, potrzebne było z pewnością coś więcej niż milczące przyzwolenie aparatu państwowego Rzeszy, a mianowicie - czynna współpraca wszystkich ministerstw i służb państwowych. Sami ministrowie - w dziewięć lat po dojściu Hitlera do władzy-byli w komplecie członkami partii o długim stażu: ci, którzy w początkowym stadium hitleryzmu tylko się do niego "do-stroili", zresztą całkiem gładko, musieli ustąpić miejsca innym. Mimo to tylko nieliczni z nich cieszyli się pełnym zaufaniem, gdyż bardzo niewielu zawdzięczało swoje kariery wyłącznie nazistom, tak jak Heydrich czy Himmler. Ci zaś, którzy zawdzięczali-jak Joachim von Ribbentrop, kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, były sprzedawca szampana - byli najczęściej ludźmi zgoła przeciętnymi. Problem nabierał jednak znacznie większej ostrości w odniesieniu do wyższych rangą pracowników pań-

146

stwowych, znajdujących się tylko szczebel niżej od ministrów, gdyż tych ludzi będących kręgosłupem każdej administracji państwowej nie można było łatwo zastąpić innymi, Hitler zaś tolerował ich tak samo jak Adenauer, chyba że byli całkowicie skompromitowani. Toteż podsekretarze stanu oraz eksperci prawni i inni zatrudnieni w rozmaitych ministerstwach częstokroć nie byli nawet członkami partii, a obawy Heydricha, czy zdoła on uzyskać ze strony tych ludzi czynną pomoc w masowych mordach, były całkiem zrozumiałe. Eichmann sformułował to w ten sposób, że Heydrich "spodziewał się wielkich trudności". No cóż - nie mógł się bardziej pomylić.

Celem narady było skoordynowanie wszelkich działań związanych z wprowadzeniem w życie Ostatecznego Rozwiązania. Dyskusja skupiła się początkowo wokół "skomplikowanych zagadnień prawnych", takich jak traktowanie pół- i ćwierć-Zydów - powinno się ich zabić, czy też tylko poddać sterylizacji? Następnie poddano szczerej dyskusji "różne rodzaje możliwych rozwiązań problemu", co oznaczało różne metody zabijania i tu także uczestnicy wykazali "nadzwyczaj dobre zrozumienie". Ostateczne Rozwiązanie przyjęte zostało z "niezwykłym entuzjazmem" przez wszystkich obecnych, a zwłaszcza przez doktora Wilhelma Stuckarta, podsekretarza w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, który znany był z dość powściągliwego stosunku do "radykalnych" pociągnięć partii, wedle zaś zeznań doktora Hansa Globkego, złożonych w Norymberdze, był zagorzałym zwolennikiem praworządności. Wystąpiły jednak pewne trudności. Podsekretarzjo-sef Buhler, osoba numer dwa w hierarchii władzy na terenie Generalnej Guberni, przyjął z przerażeniem perspektywę ewakuacji Żydów z Zachodu na Wschód, ponieważ oznaczało to wzrost liczby Żydów w Polsce i zaproponował, by odłożyć ewakuację aż do momentu "rozpoczęcia Ostatecznego Rozwiązania w Generalnej Guberni, gdzie nie istniały problemy związane z transportem".

147

Dżentelmeni z Ministerstwa Spraw Zagranicznych wystąpili ze starannie opracowanym memoriałem, wyrażającym "pragnienia i koncepcje MSZ, dotyczące całkowitego rozwiązania kwestii żydowskiej w Europie", na który to memoriał nikt nie zwrócił większej uwagi. Sedno

sprawy tkwiło w tym -jak słusznie zauważył Eichmann - że członkowie rozmaitych odgałęzień aparatu państwowego nie tylko wyrażali swoje opinie, lecz także występowali z konkretnymi propozycjami. Spotkanie trwało nie dłużej niż godzinę czy półtorej, następnie zaś podano alkohole i uczestnicy zjedli wspólny obiad. Odbył się zatem "małeńki towarzyski bankiet", mający na celu zacieśnienie niezbędnych kontaktów osobistych. Dla Eichmanna była to niezwykle istotna okazja, gdyż pierwszy raz znalazł się on w towarzystwie tylu "ważnych osobistości". Z pewnością był wśród obecnych najniższy rangą i zajmowaną pozycją towarzyską. To on rozesłał zaproszenia i przygotował materiały statystyczne (rojące się zresztą od błędów) dla zagajającego obrady Heydricha - trzeba będzie zabić 11 milionów Żydów, co jest przedsięwzięciem nie pozbawionym rozmachu - później zaś miał sporządzić protokół. Krótko mówiąc, pełnił funkcję sekretarza konferencji. Z tej właśnie racji pozwolono mu, po odejściu dygnitarzy, usiąść przy kominku wraz ze swym szefem Mullerem i Heydrichem - to wtedy "po raz pierwszy w życiu widział palącego i pijącego Heydricha". Nie rozmawiali "o sprawach zawodowych, tylko zażywali odpoczynku po wielogodzinnej pracy", odczuwając przy tym wielką satysfakcję i będąc - zwłaszcza Heydrich - w znakomitych nastrojach.

Dzień, w którym odbyła się owa konferencja, wrył się w pamięć Eichmanna jeszcze z jednego powodu. Choć dokładał on wszelkich starań, by przyczynić się do osiągnięcia Ostatecznego Rozwiązania, wciąż jednak żywił pewne wątpliwości co do "tak krwawego rozwiązania z zastosowaniem przemocy" - wątpliwości te zostały teraz roz-

148

wiane. "Na naradzie zabrały głos najważniejsze osoby, papież Trzeciej Rzeszy". Mógł się oto przekonać na własne oczy i uszy, że nie tylko Hitler, nie tylko Heydrich czy "sfinks" Miiller, nie samo SS albo partia, ale elita zacnych pracowników służby państwowej walczy i konkuruje z sobą o zaszczyt przewodzenia w tej "krwawej" operacji. "W tym momencie doznałem jakby odczucia Poncjusza Piłata, bo poczułem się wolny od wszelkiej winy". Kimże był Eichmann, by ferować wyroki? Kimże był, żeby "snuć własne przemyślenia w tej sprawie"? Cóż, nie jego pierwszego - ani ostatniego - zniszczyła własna skromność.

W wersji przedstawionej przez Eichmanna ciąg dalszy miał przebieg mniej więcej gładki, nabierając rychło charakteru działań rutynowych. Eichmann szybko został ekspertem w dziedzinie "przymusowej ewakuacji", tak jak przedtem był ekspertem od "przymusowej emigracji". Kraj po kraju Żydzi musieli się rejestrować, zmuszono ich do noszenia żółtej gwiazdy, co miało ułatwić ich identyfikację, gromadzono ich w jednym miejscu i deportowano, transporty zaś kierowano do któregoś z ośrodków zagłady na Wschodzie, w zależności od ich wydajności w danym momencie. Po przybyciu pociągu wyładowanego Żydami do takiego ośrodka, dokonywano selekcji osób zdolnych do pracy - polegającej często na obsłudze maszyny śmierci - wszystkich pozostałych natychmiast zabijano. Zdarzały się komplikacje, ale drobne. Ministerstwo Spraw Zagranicznych pozostawało w kontakcie z władzami krajów okupowanych lub sprzymierzonych z nazi-stami, wywierając na nie nacisk w kwestii deportacji zamieszkałych tam Żydów, a także po to - bo i tak mogło się zdarzyć - by zapobiec odbywaniu przez nie ewakuacji na Wschód w sposób chaotyczny, pozbawiony planu i nie uwzględniający zdolności wchłaniania ośrodków zagłady. (W ten sposób zapamiętał to Eichmann, w rzeczywistości sprawa nie przedstawiała się tak prosto.) Eksperci prawni opracowali projekt ustaw niezbędnych do pozba-

149

wienia ofiar przynależności państwowej. Było to ważne z dwóch względów: uniemożliwiało indagację jakiegokolwiek kraju w sprawie losu deportowanych, państwu zaś, którego byli rezydentami, pozwalało na konfiskatę ich majątku. Ministerstwo Finansów oraz

Bank Rzeszy poczyniły zabiegi ułatwiające przyjęcie niezliczonych łupów z terenu całej Europy, włącznie z zegarkami i złotymi zębami, które co do jednego sortowano w Reichsbanku, a następnie przekazywano pruskiej mennicy państwowej. Ministerstwo Transportu dostarczało niezbędnych wagonów kolejowych - najczęściej towarowych - nie przerywając dostaw nawet w okresie wielkiego niedoboru taboru kolejowego, a także dołożyło starań, aby pociągi deportacyjne kursowały według planu, nie kolidując z innymi rozkładami jazdy. Żydowskie rady starszych były informowane przez Eichmanna lub jego podwładnych, ilu Żydów potrzeba do wypełnienia każdego pociągu i sporządzały listy deportowanych. Żydzi rejestrowali się, wypełniali niezliczone formularze, odpowiadali na wielostronicowe kwestionariusze dotyczące posiadanego przez nich majątku, co miało umożliwić tym łatwiejsze jego zagarnięcie, następnie zaś gromadzili się w wyznaczonych miejscach zbiórki i wsiadali do pociągu. Na nielicznych, którzy usiłowali się ukryć albo uciec, specjalna policja żydowska urządzała obławy. Na ile orientował się Eichmann, nikt nie protestował ani nie odmawiał współpracy. Immerzu fahren hier die Leute zu ihrem eigenen Begrabnis ("Dzień po dniu wyruszali stąd ludzie na własny pogrzeb") -jak to sformułował pewien żydowski świadek wydarzeń w Berlinie w roku 1943.

Sama tylko uległość nie wystarczyłaby nigdy ani do pokonania ogromnych trudności związanych z całą operacją, która wkrótce objęła cały obszar okupowanej przez nazistów lub sprzymierzonej z nimi Europy, ani też do uspokojenia sumień jej wykonawców, którzy bądź co bądź

150

wychowani zostali na przykazaniu "Nie zabijaj" i znali biblijny werset: "Zabiłeś i zostaniesz osądzony", nadzwyczaj trafnie przytoczony w orzeczeniu Sądu Okręgowego w Jeruzolimie. "Wir śmierci" (określenie Eichmanna), jaki ogarnął Niemcy po ogromnych stratach poniesionych pod Stalingradem - dywanowe bombardowanie miast niemieckich, jakim szablonowo uzasadniał mordowanie osób cywilnych, również w Niemczech stanowiące stereotypowe uzasadnienie masakry -ów "wir" sprawiający, że częścią codziennych doświadczeń stały się widoki inne wprawdzie niż potworności, o jakich opowiadano w Jeruzolimie, ale nie mniej okropne, mógł się być przyczynić do osłabienia, a właściwie całkowitego zaniku sumienia, gdyby jakiegokolwiek sumienie jeszcze w owym momencie się ostało. Zebrane materiały dowodzą jednak, że było inaczej. Machina zagłady została zaplanowana i doprowadzona do doskonałości w najmniejszych szczegółach na długo przedtem, nim same Niemcy doświadczyły na sobie okropności wojny, a jej skomplikowana biurokracja funkcjonowała z tą samą nie słabnącą precyzją zarówno w latach łatwych zwycięstw, jak i w okresie ostatnim, wieszczącym rychłą klęskę. Dezercje z szeregów elity rządzącej, a przede wszystkim spośród członków wyższego korpusu oficerskiego SS, nie miały prawie w ogóle miejsca na początku, kiedy to ludzie mogli mieć jeszcze sumienie. Dały one znać o sobie dopiero wówczas, gdy stało się oczywiste, że Niemcy przegrają wojnę. Wypadki dezercji nie były nadto nigdy wystarczająco doniosłe, aby spowodować zacięcie się mechanizmu zbrodni. Polegały one na indywidualnych aktach nie litości, lecz korupcji, a pobudką do nich nie były wyrzuty sumienia, tylko chęć zachowania pewnej sumy pieniędzy lub pewnych znajomości na nadchodzące ponure czasy. Rozkaz Himmlera, wydany jesienią 1944 roku, nakazujący przerwanie eksterminacji i rozbiórkę urządzeń w fabrykach śmierci, miał swoje źródło w jego nedorzecznym, acz szczerym prze-

151

konaniu, że mocarstwa sprzymierzone potrafią docenić ten zobowiązujący gest. Oświadczył on niezbyt o tym przekonanemu Eichmannowi, że zdoła w ten sposób wynegocjować Hubertusburger-Frieden, co stanowiło aluzję do traktatu pokojowego z

Hubertusburga, kończącego w roku 1763 prowadzoną przez króla pruskiego Fryderyka II wojnę siedmioletnią; układ ten pozwolił Prusom zatrzymać - mimo przegranej wojny - Śląsk.

Wedle oświadczenia Eichmanna, czynnikiem, który odegrał największą rolę w uspokojeniu jego sumienia, był po prostu fakt, że nie spotkał on nikogo, absolutnie nikogo, kto byłby przeciwko Ostatecznemu Rozwiązaniu. Jedyne wyjątek, z jakim się ze tknął-o czym wspominał kilkakrotnie - musiał wyrzucić na nim głębokie wrażenie. Zdarzył się on na Węgrzech, podczas gdy Eichmann pertraktował z doktorem Kastnerem w sprawie oferty Himmlera, który obiecywał uwolnienie miliona Żydów w zamian za 10 tysięcy ciężarówek. Kastner, najwyraźniej zachęcony tym, że sprawy przybierają nowy obrót, poprosił Eichmanna, żeby zatrzymał on "oświęcimski młyn śmierci", na co Eichmann odrzekł, że uczyniłby to z "największą przyjemnością" (herzlich gem), ale - niestety- leży to całkowicie poza jego kompetencjami, a także kompetencjami jego zwierzchników. Tak było rzeczywiście. Nie oczekiwał on naturalnie od Żydów, że będą podzielali powszechny entuzjazm z powodu własnej zagłady, oczekiwał jednak czegoś więcej niż uległości - oczekiwał mianowicie - a jego oczekiwania spełniły się w stopniu nadzwyczajnym - współdziałania. Była to "naturalnie podstawa" wszelkiej jego działalności, podobnie jak działało się to w okresie wiedeńskim. Gdyby nie pomoc Żydów w pracy administracyjnej i działaniach policji -jak wspominałam, wyłapanie wszystkich Żydów berlińskich było wyłącznym dziełem policji żydowskiej - zapanowałby kompletny chaos bądź też doszłoby do poważnego obciążenia niemieckiej siły roboczej. Toteż instalowaniu rządów

152

quislingowskich na okupowanych terytoriach towarzyszyło zawsze zorganizowanie jakiejś centralnej instytucji żydowskiej, a jak się później przekonamy, tam, gdzie nazistom nie powiodło się stworzenie marionetkowego rządu, nie udało im się także pozyskać współpracy Żydów. O ile jednak członkowie rządów typu quislingowskiego pochodzili zazwyczaj z partii opozycyjnych, członkami rad żydowskich byli z reguły cieszący się uznaniem miejscowi przywódcy żydowscy, którym naziści nadawali ogromną władzę, aż do chwili, gdy i ich także deportowano do Terezi-na lub Bergen-Belsen, jeśli pochodzili akurat z Europy Środkowej czy Zachodniej, albo do Oświęcimia, jeśli wywodzili się ze wspólnot żydowskich w Europie Wschodniej.

Dla Żydów rola, jaką przywódcy żydowscy odegrali w unicestwieniu własnego narodu, stanowi niewątpliwie najczarniejszy rozdział całej tej ponurej historii. Wiedzano o niej wcześniej, ale wszystkie związane z nią podniosłe i nikczemne szczegóły po raz pierwszy wy dobył na jaw dopiero Raul Hilberg, o którego książce *The Destruction of the European Jews* wspominałam wcześniej. W kwestii współdziałania nie było żadnych różnic pomiędzy wysoce zasymilowanymi społecznościami Żydów środkowo- i zachodnioeuropejskich a mówiącymi po żydowsku masami na Wschodzie. Zarówno w Amsterdamie, jak w Warszawie, w Berlinie tak samo jak w Budapeszcie można było mieć pewność, że funkcjonariusze żydowscy sporządzą wykazy imienne wraz z informacjami o majątku, zagwarantują uzyskanie od deportowanych pieniędzy na pokrycie kosztów ich deportacji i eksterminacji, będą aktualizować rejestr opróżnionych mieszkań, zapewnią pomoc własnej policji w chwytaniu i ładowaniu Żydów do pociągów, na koniec zaś - w ostatnim geście dobrej woli - przekażą nietknięte aktywa gminy żydowskiej do ostatecznej konfiskaty. Rozprowadzali żółte gwiazdy, niekiedy zaś - na przykład w Warszawie - "sprzedaż opasek zamieniła

153

się w normalny interes: oprócz zwykłych płóciennych można było zakupić wymyślne zmywalne opaski z plastyku". Na podstawie inspirowanych, ale nie dyktowanych przez

nazistów manifestów, które funkcjonariusze ci ogłaszali, możemy się przekonać-jeszcze dzisiaj -jak wielką rozkosz sprawiała im nowo pozyskana władza: "Centralna Rada Żydowska otrzymała prawo wyłącznego dysponowania wszelkimi dobrami duchowymi i materialnymi Żydów - a także wszelką żydowską siłą roboczą" - czytamy w pierwszym obwieszczeniu rady budapeszteńskiej. Wiemy, jak czuli się funkcjonariusze żydowscy, kiedy przekształcili się w narzędzie mordy - czuli się jak kapitanowie, "których okrętom groziło zatonięcie, a mimo to zdołali bezpiecznie dopłynąć do portu, wyrzuciwszy znaczną część cennego ładunku", albo jak wybawcy, którzy "za cenę stu ofiar uratowali tysiąc ludzi, za cenę tysiąca - dziesięć tysięcy". Prawda była jeszcze bardziej ponura. Działający na Węgrzech dr Kastner uratował na przykład dokładnie 1684 osoby za cenę około 476 tysięcy ofiar.

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby odbierać od funkcjonariuszy żydowskich przysięgę o zachowaniu tajemnicy. Z własnej woli stali się oni "nosicielami tajemnicy", już to po to, by zagwarantować spokój i zapobiec panice -tak było w wypadku doktora Kastner a -bądź też ze względów "humanitarnych" - na przykład dlatego, że "żyć w oczekiwaniu śmierci przez zagazowanie byłoby jeszcze trudniej" - tak było w wypadku doktora Leo Baecka, byłego naczelnego rabina Berlina, który zarówno w opinii Żydów, jak i nie-Żydów uchodził za "żydowskiego fiñre-ra". Podczas procesu Eichmanna jeden z zeznających świadków wskazał na skutki podobnego "humanitaryzmu": ludzie dobrowolnie zgłaszali się na deportację z Terezina do Oświęcimia, a tych, którzy usiłowali powiedzieć im prawdę, nazywali "obłąkanymi". Doskonale pamiętamy twarze żydowskich przywódców z czasów hitlerowskich, poczynając od Ghaima Rumkowskiego, prezesa

154

Rady Żydowskiej w Łodzi, zwanego Chaimem I, który wprowadził do obiegu banknoty noszące jego podpis oraz znaczki pocztowe ze swoją podobizną i kazał się wozić zdezelowaną kareta, poprzez Leo Baecka, człowieka wykształconego, dobrze ułożonego, który sądził, że policjanci żydowscy będą "łagodniejsi i bardziej przydatni" i "uczynią męki znośniejszymi" (gdy w istocie byli oni, rzecz jasna, brutalniejsi i trudniej przekupni, bo mieli o wiele więcej do stracenia), kończąc na garstce tych, którzy popełnili samobójstwo, jak choćby Adam Czerniaków, prezes warszawskiej Rady Żydowskiej, który nie był rabinem, tylko niewierzącym, mówiącym po polsku żydowskim inżynierem, a mimo to nie zapomniał - jak widać - rabi-nackiej maksymy: "Niechby cię zabili, lecz nie posuwaj się poza ustaloną granicę".

Było niemal całkiem oczywiste, że strona oskarżenia - tak bardzo dbająca o to, by nie stawiać ekipy Adena-uera w kłopotliwej sytuacji - miała podczas procesu wje-rozolimie za zadanie uniknięcie wydobycia tego rozdziału historii żydowskiej na widok publiczny, a nawet jeszcze mocniejsze i bardziej wydatne usprawiedliwienie tego przemilczenia. Trzeba jednak tutaj o tym wspomnieć, gdyż tłumaczy to pewne inaczej niewytłumaczalne luki dokumentacyjne w tej - ogólnie rzecz biorąc - ponad potrzebę udokumentowanej sprawie. Sędziowie wymienili jeden przykład tego rodzaju, mianowicie brak książki H. G. Adlera pt. Theresienstadt 1941-1945 (1955), którą oskarżenie, z niejakim zakłopotaniem, uznało za "autentyczną i opartą na niepodważalnych źródłach informacji". Powód tego pominięcia był jasny. Książka opisuje szczegółowo, jak Rada Żydowska Terezina - otrzymawszy od SS kilka ogólnych wytycznych, ustalających liczbę, wiek, płeć, zawód i kraj pochodzenia osób przeznaczonych do wysyłki - układała wzbudzające trwogę "listy transportowe". Argumenty oskarżenia byłyby słabsze, gdyby zostało ono zmuszone do stwierdzenia, że wytypowaniem osób

155

przeznaczonych na stracenie zajmowała się - z nielicznymi wyjątkami - administracja żydowska. Wiceprokurator generalny Ya'akov Baror, odpowiadając na pytanie sądu, pośrednio wskazał na ten aspekt sprawy, mówiąc: "Staram się wydobyć te rzeczy, które w jakiś sposób odnoszą się do oskarżonego, nie zniekształcając jednocześnie całości obrazu". Uwzględnienie książki Adlera zniekształciłoby istotnie ów obraz całości. Zaprzeczyłaby ona zeznaniom w sprawie Terezina złożonym przez głównego świadka, który twierdził, jakoby Eichmann osobiście dokonywał selekcji poszczególnych osób. Ale jeszcze ważniejsze jest to, że ogromnie ucierpiałaby wówczas ogólna wizja nakreślonego przez oskarżyciela wyraźnego podziału na prześladowców i ofiary. Rozumie się, że prokurator generalny nie ma obowiązku udostępniania materiałów dowodowych nie będących poparciem tego aktu oskarżenia. Jest to zwykle zadaniem obrony i trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego dr Servatius, który zauważył mniej istotne sprzeczności w zeznaniach, nie skorzystał z tak łatwo dostępnej i powszechnie znanej dokumentacji. Mógł być wskazać na fakt, że Eichmann, zaraz po zamienieniu się z eksperta w sprawach emigracji w eksperta w sprawach "ewakuacji", wyznaczył swych dawnych żydowskich współpracowników w branży emigracyjnej - doktora Paula Epsteina, który kierował emigracją w Berlinie, oraz rabina Murnelsteina, który zajmował to samo stanowisko w Wiedniu - "żydowskimi starszymi" w Terezynie. Pozwoliłoby to lepiej ukazać atmosferę, w jakiej Eichmann prowadził swoją działalność, niż uczyniły to nieprzyjemne, a często jawnie oszczercze wywody na temat przysięg lojalności i cnoty bezwarunkowego posłuszeństwa.

Zeznania pani Gharlotty Salzberger, dotyczące Terezina, na które powoływałam się wyżej, pozwoliły nam spojrzeć choćby przelotnie na ów pominięty fragment tego, co oskarżyciel ustawicznie określał mianem "obrazu ogólnego".

Sędziemu przewodniczącemu nie podobał się ani ten termin, ani ów obraz. Kilkakrotnie oświadczył on prokuratorowi generalnemu, że "nie zajmujemy się tutaj kreśleniem obrazów" i że istnieje "akt oskarżenia, który stanowi ramy naszego procesu", sąd zaś "posiada własny pogląd na temat rozprawy, opierający się na akcie oskarżenia", natomiast "oskarżenie musi dostosować się do ustaleń sądu" - były to godne podziwu napomnienia proceduralne, z których żadne nie znalazło posłuchu. Oskarżenie nie tylko je zlekceważyło, ale zrobiło coś jeszcze gorszego: po prostu uchyliło się od pokierowania powołanymi przez siebie świadkami - lub też, ilekroć sędziowie zbytnio nalegali, oskarżenie rzucało na chybił trafił kilka przypadkowych pytań - efekt zaś był taki, że świadkowie zachowywali się niczym mówcy na mityngu pod przewodnictwem prokuratora generalnego, który przedstawiał ich publiczności, nim zajęli miejsce na mównicy. Pozwalano im mówić niemal tak długo, jak chcieli, rzadko zaś zdarzało się, że zadano im jakieś konkretne pytanie.

Ta atmosfera nie tyle procesu pokazowego co wiecu, na którym kolejni mówcy dwoją się i troją, żeby wprawić publiczność w ekscytację, dała szczególnie znać o sobie, kiedy oskarżenie wezwało kolejnych świadków zeznających na temat powstania w getcie warszawskim oraz stawienia oporu w Wilnie i Kownie, a więc spraw nie mających najmniejszego związku ze zbrodniami oskarżonego. Zeznania tych osób mogły wnieść do procesu nowe elementy, gdyby dotyczyły działalności rad żydowskich, które odegrały tak doniosłą i złowieszczą rolę w heroicznych zmaganiach Żydów. Wzmianki na ten temat naturalnie pojawiały się, ale świadkowie mówiący o SS-manach i ich pomocnikach zaznaczali, że do tej ostatniej kategorii zaliczali "policję żydowską, która była narzędziem zarówno w rękach nazistowskich morderców, jak ijudenratu" i aż nadto ochoczo rezygnowali z "rozwodzenia się" nad tym aspektem swoich opowieści, kierując rozważania na rolę

odegraną przez prawdziwych zdrajców, których było niewielu i którzy byli "ludźmi anonimowymi, nieznanymi ogółowi Żydów", w rodzaju tych, od których "ucierpiał każdy podziemny ruch oporu walczący z nazistami". (W czasie gdy zeznawali ci świadkowie, publiczność na sali sądowej znowu się zmieniła; składała się teraz z "ki-bucników", czyli mieszkańców izraelskich osiedli wspól- r. notowych, do których należeli mówiący.) Najuczciwsza i najbardziej przejrzysta była relacja Cywii Lubetkin Gukierman, dziś kobiety chyba czterdziestoletniej, wciąż jeszcze bardzo pięknej, całkowicie wyzbytej sentymentalizmu bądź pobłażania sobie. Przedstawiła ona fakty w sposób uporządkowany, zachowując przy tym dużą pewność w tym, o czym chciała mówić. Z prawnego punktu widzenia zeznania tych świadków były nieistotne - pan Hausner ani raz nie powołał się na nie w swym ostatecznym wystąpieniu - z tym tylko wyjątkiem, że stanowiły one dowód ścisłych kontaktów bojowników żydowskich z uczestnikami polskiego i rosyjskiego podziemnego ruchu oporu. Pomijając fakt, że zaprzeczało to innym zeznaniom ("Mieliśmy przeciwko sobie całą ludność"), mogło to być użyteczne dla obrony, ponieważ dostarczało o wiele lepszego uzasadnienia totalnej rzezi osób cywilnych niż powtarzane przez Eichmanna twierdzenie, że "Weizman wypowiedział w 1939 roku wojnę Niemcom". (Był to czysty nonsens. Chaim Weizmann powiedział -na zakończenie ostatniego przed wojną kongresu syjonistycznego - tylko tyle, że wojna prowadzona przez demokratyczne kraje Zachodu "jest naszą wojną, a ich walka jest naszą walką". Tragedia -jak to słusznie podkreślił Hausner - polegała właśnie na tym, że naziści nie uznali Żydów za przeciwników wojennych, ponieważ gdyby uznali, Żydzi ocaleliby w obozach jenieckich lub dla internowanych.) Gdyby dr Servatius poruszył tę kwestię, oskarżenie musiałyby przyznać, jak żałośnie nieliczne były owe grupy ruchu oporu, jak były niesłychanie słabe i właści-

158

wie nieszkodliwe, a także -wjak małym stopniu reprezentowały one ogół ludności żydowskiej, która w pewnym momencie wystąpiła przeciwko nazistom z bronią w ręku.

Prawna nieistotność wszystkich tych pochłaniających mnóstwo czasu zeznań była od początku żenująco jasna, ale nietrudno było także odgadnąć polityczny zamysł towarzyszący włączeniu tych zeznań do procesu przez rząd izraelski. Pan Hausner (albo pan Ben Gurion) pragnął przypuszczalnie wykazać, że opór stawiali wyłącznie syjoniści, jak gdyby ze wszystkich Żydów tylko syjoniści wiedzieli, że jeśli nie można uratować życia, to jednak warto uratować godność, jak się wyraził Icchak Gukierman, oraz że najgorszą rzeczą, jaka może się w takich warunkach przydarzyć człowiekowi, jest pozostać do końca osobą "niewinną", do którego to wniosku prowadziła wyraźnie treść zeznań pani Gukierman. Owe "polityczne" intencje spełzły jednak na niczym, bo świadkowie zeznawali prawdę, stwierdzając przed sądem, że wszystkie żydowskie organizacje i partie miały swój udział w ruchu oporu, a zatem rzeczywisty podział nie był podziałem na syjonistów i nie-syjonistów, lecz na ludzi zorganizowanych i nie zorganizowanych, a nawet - co jeszcze ważniejsze - na młodych i starszych wiekiem. Wprawdzie uczestnicy ruchu oporu stanowili mniejszość, maleńką mniejszość, lecz w zaistniałej sytuacji "było cudem -jak podkreślił jeden z nich -że owa mniejszość w ogóle istniała".

Niezależnie od rozważań natury prawniczej, samo pojawienie się byłych bojowników żydowskiego ruchu oporu w charakterze świadków przyjęto z zadowoleniem. Rozwiała ono unoszące się nad salą sądową widmo powszechnej kolaboracji, dławiącą i zatrutą atmosferę otaczającą Ostateczne Rozwiązanie. Dobrze znany fakt, że w rzeczywistości zadanie uśmiercania w ośrodkach zagłady spoczywało zwykle w rękach ekip złożonych z Żydów,

został w stu procentach potwierdzony przez świadków oskarżenia - włącznie z tym, że członkowie owych brygad obsłu-

159

giwali komory gazowe i krematoria, wrywali złote zęby i obcinali zwłokom włosy z głowy, kopali groby, następnie zaś zasypywali je ziemią, aby usunąć ślady masowych mordów, a żydowscy specjaliści zbudowali komory gazowe w Terezynie, gdzie żydowska "autonomia" posunięta była tak daleko, że nawet kat był Żydem. Ale to wszystko było tylko potworne, nie stanowiło jednak problemu moralnego. Selekcję i klasyfikację osób przeznaczonych do pracy w obozach przeprowadzało SS, wykazując szczególną predylekcję do ludzi ze świata przestępczego - tak czy inaczej, mogła to być selekcja jedynie najgorszego elementu ludzkiego. (Potwierdzało się to zwłaszcza w Polsce, gdzie naziści wymordowali jednocześnie znaczną część żydowskiej inteligencji oraz intelektualistów i osoby wykonujące wolne zawody narodowości polskiej, co - nawiasem mówiąc - kontrastowało wyraźnie z polityką nazi-stów w Europie Zachodniej, gdzie raczej oszczędzali oni wybitnych Żydów, aby wymienić ich za internowanych cywilnych obywateli niemieckich bądź jeńców wojennych; Bergen-Belsen był początkowo obozem dla "Żydów do wymiany".) Problem moralny zawierał się w tym, na ile prawdziwy był opis Eichmanna dotyczący współdziałania Żydów, nawet w warunkach stworzonych przez Ostateczne Rozwiązanie: "Sformowanie Rady Żydowskiej [w Terezynie] oraz podział zadań do wykonania pozostawiono dyskrekcji Rady, z wyjątkiem wyznaczenia prezesa, czyli ustalenia, kto ma być prezesem, co oczywiście zależało od nas. Jednakże wyznaczenie prezesa nie miało formy decyzji arbitralnej. Działaczy, z którymi utrzymywaliśmy stały kontakt, trzeba było traktować z wielką ceremonią. Nie wydawało się im rozkazów po prostu dlatego, że jeśli najważniejszym z nich powiedziałoby się, co mają robić w formie »musisz«, wcale nie ułatwiłoby to pracy. Jeżeli dana osoba nie lubi tego, co robi, całe przedsięwzięcie na tym ucierpi. [...] Staraliśmy się, jak mogli, żeby uczynić wszystko możliwie znośnym". Nie ulega wątpli-

wości, że się starali - rzecz w tym, jak mogło im się to udać.

Tak więc najpoważniejszą luką w "ogólnym obrazie" było pominięcie tych świadków, którzy złożyliby zeznania dotyczące współpracy pomiędzy nazistami i władzami żydowskimi. Oznaczało to brak sposobności, żeby zadać i takie proste pytanie: "Dlaczego współpracowaliście w dziele zniszczenia własnego narodu, ostatecznie zaś przyczyniając się także do własnej zagłady?" Jedynym świadkiem, zajmującym ważne miejsce w jednym zjudenratów, był Pinchas Freudiger, niegdysiejszy baron Philip von Freudiger, pochodzący z Budapesztu. W trakcie składania przezeń zeznań doszło do jedyne go poważnego incydentu na sali sądowej: publiczność zaczęła krzyczeć na świadka po węgiersku i żydowsku, a sąd musiał ogłosić przerwę. Freudiger - ortodoksyjny Żyd zachowujący się z dużym dostojeństwem - był wstrząśnięty: "Są tu ludzie, którzy mówią, że nie kazano im uciekać. Przecież 50% tych, którzy uciekli, zostało schwytyanych i zamordowanych" - podczas gdy ten sam los spotkał 99% tych, którzy nie uciekli. "Dokąd mieli się udać? Dokąd mieli uciekać?" - ale on sam uciekł do Rumunii, bo był bogaty i pomógł mu Wisliceny. "Co mieliśmy robić?" Odpowiedzi na to pytanie udzielił sam przewodniczący sądu: "To chyba nie jest odpowiedzią na zadane pytanie" - pytanie pochodzące od publiczności, a nie od sędziów.

w

Kwestię współpracy sąd poruszył dwukrotnie. Sędzia Icchak Raveh uzyskał od jednego ze świadków- uczestnika ruchu oporu - potwierdzenie faktu, że "policja żydowska" była "narzędziem w ręku zbrodniarzy", jak również tego, że „Judenraty prowadziły politykę współpracy z nazistami". Natomiast sędzia Halevi stwierdził na podstawie przesłuchań Eichmanna, że naziści uważali tę współpracę za "kamień węgielny" swej polityki żydowskiej.

Pytanie jednak, zadawane przez oskarżyciela każdemu kolejnemu świadkowi, prócz zeznających na procesie bo-

161

160

jowników ruchu oporu, które brzmiało tak bardzo naturalnie dla wszystkich nie orientujących się w rzeczywistym tle procesu; pytanie "Dlaczego się nie buntowaliście?" pełniło w istocie funkcję zasłony dymnej kryjącej owo pytanie, którego nie zadano. Toteż w efekcie końcowym stało się tak, że wszystkie odpowiedzi na pytanie postawione przez pana Hausnera powołanym przezeń świadkom, stanowiły znacznie mniej niż "prawdę, całą prawdę i tylko prawdę". To prawda, że naród żydowski jako całość nie był zorganizowany, nie posiadał terytorium, rządu ani armii, jest także prawdą, że kiedy było to najbardziej potrzebne, nie posiadał własnego rządu na uchodźstwie reprezentującego go wobec Sprzymierzonych (żydowska Agencja Palestyńska pod przewodnictwem doktora Weizmana była w najlepszym razie nędzną namiastką), zapasów ukrytej broni ani wyszkolonej wojskowo młodzieży. Gała prawda przedstawiała się jednak tak, że istniały wówczas żydowskie organizacje, partie i instytucje charytatywne o zasięgu zarówno lokalnym, jak i międzynarodowym. Wszędzie, gdzie żyli Żydzi, istnieli uznani przywódcy żydowscy, i to właśnie oni, niemal bez wyjątku, współdziałali w ten czy inny sposób, z takiej czy innej przyczyny, z nazistami. Gała prawda przedstawia się tak, że gdyby naród żydowski był istotnie nie zorganizowany i pozbawiony przywództwa, zapanowałby chaos, a na Żydów spadłby ogrom nieszczęść, ale liczba ofiar z pewnością nie sięgnęłaby od 4,5 do 6 milionów ludzi. (Według obliczeń Freudigera mogła się uratować mniej więcej połowa, gdyby nie trzymano się zaleceń rad żydowskich. Jest to naturalnie ocena jedynie szacunkowa, dziwnie jednak pokrywająca się z wiarygodnymi raczej liczbami, jakie mamy z Holandii, a zawdzięczam je doktorowi L. de Jongowi, dyrektorowi holenderskiego Państwowego Instytutu Dokumentacji Wojennej. W Holandii, gdzie Joodsche Raad, podobnie jak wszystkie władze holenderskie, bardzo szybko stała się "narzędziem nazistów", deportowano do obo-

zów zagłady 103 tysiące Żydów, około 5 tysięcy wysłano zaś do Terezina w zwykły sposób, to jest przy współpracy Rady Żydowskiej. Z obozów śmierci zdołało powrócić jedynie 519 Żydów. W porównaniu z tą liczbą ocalało 10 tysięcy spośród 20-25 tysięcy Żydów, którzy wymknęli się nazistom - co oznaczało, że i Radzie Żydowskiej - i zeszli do ukrycia, a więc znów 40-45%. Przeważająca większość Żydów wysłanych do Terezina wróciła do Holandii.)

Zatrzymałam się nad tym rozdziałem całej historii, którego proces jerozolimski nie zdołał przedstawić opinii światowej w jego rzeczywistych wymiarach, ponieważ rozdział ten pozwala w najbardziej uderzający sposób wnikać w istotę moralnej katastrofy wywołanej przez nazistów w szacownych społeczeństwach Europy - nie tylko w Niemczech, ale prawie we wszystkich krajach, nie tylko u prześladowców, lecz także u ofiar. W przeciwieństwie do innych ludzi wchodzących w skład ruchu nazistowskiego, Eichmanna zawsze onieśmiało "lepszemu towarzystwu", a uprzejmość okazywana przezeń mówiącym po niemiecku działaczom żydowskim w dużej mierze wynikała ze świadomości, że styka się z ludźmi zajmującymi wyższą niż on pozycję społeczną. Nie był wcale tym, co jeden ze świadków nazwał Landsknechtatur, nie był najemnikiem, który pragnął uciec na teren, gdzie nie obowiązują żaden Dekalog i gdzie można sobie pohulać. Do samego końca Eichmann żarliwie wierzył w sukces, który wedle jego wyobrażeń stanowił główną normę obowiązującą w "lepszemu towarzystwie". Typowe są uwagi dotyczące Hitlera, jakie zawarł w swym ostatnim słowie -

zgodził się, żeby jego kompan Sassen "wymazał" je z relacji, jaką wspólnie sporządzili. Powiedział mianowicie, że Hitler "mógł się całkowicie mylić, ale jedno nie podlega dyskusji: potrafił zapewnić sobie awans z kaprała armii niemieckiej na fiihrera liczącego prawie 80 milionów ludzi narodu. [...] Sam ten sukces był dla mnie dowodem, że powinienem podporządkować się temu człowiekowi". Jego sumie-

163

162

nie zaiste doznało uspokojenia, gdy zobaczył, z jakim zapałem i skwapliwością "lepszemu towarzystwu" reagowało tak samo jak on. Nie musiał "zatykać uszu na głos sumienia", jak wyrażono się w orzeczeniu, nie dlatego, iżby sumienia nie posiadał, lecz dlatego, że jego sumienie przemawiało "godnym głosem" - głosem szacownego społeczeństwa, którego był członkiem.

Eichmann powoływał się na to, że nic nie słyszał o głosach, które obudziłyby w nim sumienie; zadanie oskarżenia polegało na tym, by udowodnić, że tak nie było - że rozlegały się głosy, których mógł być posłuchać i że bez względu na to wykonywał swą pracę z gorliwością wykraczającą daleko poza nakazy obowiązku. Taka też była prawda, z tym że - choć może się to wydawać dziwne - zapał, z jakim dokonywał zbrodni, nie pozostawał całkowicie bez związku z dwuznacznym charakterem wypowiedzi ludzi, którzy w różnych momentach usiłowali go powściągnąć. Wspomnijmy tu tylko przelotnie tak zwaną "wewnętrzną emigrację" niemiecką, czyli ludzi zajmujących nierzadko nawet wysokie stanowiska w Trzeciej Rzeszy. Po zakończeniu wojny utrzymywali oni przed samymi sobą, a także przed całym światem, że pozostawali zawsze w "wewnętrznej opozycji" wobec panującego reżimu. Rzecz nie w tym, czy mówili prawdę, chodzi raczej o to, że w przesiąkniętej tajemniczością atmosferze hitleryzmu żadnej tajemnicy nie strzeżono równie skutecznie, co owego zjawiska "wewnętrznej opozycji". Biorąc pod uwagę panujący w czasach hitlerowskich terror, jest to całkowicie zrozumiałe; pewien dość dobrze znany "wewnętrzny emigrant", który na pewno przeświadczony był o własnej szczerości, powiedział mi kiedyś, że "zewnątrznie" ludzie jego pokroju musieli - chcąc ustrzec swą tajemnicę - sprawiać wrażenie jeszcze bardziej zaprzysięgłych nazistów niż zwykli naziści. (Nawiasem mówiąc, może to tłumaczyć, dlaczego nieliczne znane nam protesty przeciwko programowi eksterminacji wyszły nie od do-

wódców armii, ale od starych członków partii.) Toteż jedyny możliwy sposób życia w Trzeciej Rzeszy, który pozwalał nie postępować tak jak naziści, polegał na tym, żeby się w ogóle nie ujawniać: "Wycofanie się z istotnego uczestnictwa w życiu publicznym" stanowiło w istocie jedyne kryterium pozwalające mierzyć stopień indywidualnej odpowiedzialności, jak zauważył w niedawno wydanej książce pt. *Political Justice* (1961) Otto Kirchheimer. Jeśli określenie to miało posiadać jakikolwiek sens, mianem "emigranta wewnętrznego" można było określić kogoś, kto żył jak "wyrzutek z własnego narodu wśród wierzących ślepo tłumów", jak wskazał profesor Hermann Jahrreiss w złożonym przed Trybunałem Norymberskim "Oświadczeniu skierowanym do wszystkich obrońców oskarżonych". Albowiem w sytuacji braku wszelkich organizacji opozycja była istotnie "całkowicie pozbawiona sensu". To prawda, że istnieli Niemcy, którzy przeżyli dwanaście lat otoczeni "powszechną obojętnością", ale ich liczba była bardzo skromna, nie znaleźli się też wśród nich członkowie ruchu oporu. W ostatnich latach slogan o "wewnętrznej emigracji" (samo to określenie jest ewidentnie dwuznaczne, ponieważ może ono oznaczać zarówno emigrację w głąb zakamarków własnej duszy, jak i sposób postępowania przypominający emigranta)

nabrał odcienia żartobliwego. Złowieszczy dr Otto Bradfisch, który kierował, wchodząc w skład jednej z Einsatzgruppen, wymordowaniem co najmniej 15 tysięcy ludzi, powiedział przed sądem niemieckim, że był zawsze "wewnętrznie przeciwny" temu, co robił. Zapewne śmierć 15 tysięcy ludzi była mu potrzebna do uzyskania alibi w oczach "prawdziwych hitlerowców". (Tego samego argumentu użył przed sądem polskim - choć z dużo mniejszym powodzeniem - były gau-leiter Okręgu Warty Artur Greiser: za popełnione przezeń zbrodnie, za które został powieszony w 1946 roku, ponosiła odpowiedzialność wyłącznie jego "dusza urzędowa" - "dusza prywatna" zawsze była im przeciwna.)

164

165

O ile Eichmann mógł istotnie nie zetknąć się nigdy z "wewnętrznym emigrantem", z pewnością znał dobrze wielu spośród tych licznych urzędników państwowych, którzy dziś utrzymują, jakoby pozostali na swoich stanowiskach wyłącznie po to, by sprawy przybrały "łagodniejszy" obrót, a także dlatego, by uniemożliwić "prawdziwym hitlerowcom" zajęcie ich miejsca. Wspomnieliśmy o słynnym przypadku doktora Hansa Globkego, podsekretarza stanu, a od roku 1953 kierownika działu osobowego w zachodniemieckim Urzędzie Kanclerskim. Był on jedynym pracownikiem państwowym tej kategorii, o jakim wspomniano na procesie, dlatego warto chyba poświęcić nieco uwagi jego "łagodzącej" działalności. Przed dojściem Hitlera do władzy dr Globke był zatrudniony w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie ujawnił dość przedwczesne zainteresowanie kwestią żydowską. To on wydał pierwsze zarządzenie nakazujące przedstawienie "dowodu aryjskiego pochodzenia" w wypadku osób ubiegających się o zmianę nazwiska. Ów okólnik z grudnia 1932 roku - rozesłany w momencie, gdy dojście Hitlera do władzy nie było jeszcze rzeczą pewną, lecz bardzo prawdopodobną - w osobiwy sposób zapowiadał "ściśle tajne dekrety", to znaczy typowe dla totalitaryzmu metody rządzenia w oparciu o ustawy nie podawane do wiadomości publicznej. Hitler wprowadził te metody znacznie później, powiadamiając odbiorców, że "niniejsze rozporządzenia nie są przeznaczone do opublikowania". Jak już wspomniałam, dr Globke interesował się nazwiskami, a ponieważ prawdą jest, że jego komentarz do ustaw norymberskich z roku 1935 był znacznie surowszy niż wcześniejsza interpretacja Rassenschande autorstwa eksperta do spraw żydowskich w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, doktora Bernharda Lösenera (wieloletniego członka partii) - można mu wręcz zarzucić, że za jego przyczyną sytuacja uległa większemu pogorszeniu niż pod rządami "prawdziwych hitlerowców". Nawet jednak gdyby-

śmy się zgodzili, że miał najlepsze intencje, trudno doprawdy byłoby wskazać, co mianowicie mógł w istniejących okolicznościach uczynić w celu polepszenia sytuacji. Niedawno wszakże pewna niemiecka gazeta, włożywszy sporo trudu w poszukiwania, dostarczyła odpowiedzi na to intrygujące pytanie. Redakcja natrafiła na dokument, podpisany swego czasu przez doktora Globkego, nakładający na czeskie narzeczone żołnierzy niemieckich obowiązek dostarczenia swoich fotografii w kostiumach kąpielowych w celu uzyskania zezwolenia na zawarcie związku małżeńskiego. A oto komentarz doktora Globkego: "Dzięki temu poufnemu zarządzeniu trwający od trzech lat skandal został poniekąd załagodzony", do momentu bowiem interwencji Globkego czeskie narzeczone musiały dołączyć do podania zdjęcia, na których były całkiem nagie.

Dr Globke - zgodnie ze swymi wyjaśnieniami w Norymberdze - miał to szczęście, że pracował pod zwierzchnictwem innego "łagodziciela", Staatssekretara (podsekretarza stanu) Wilhelma Stuckarta, którego poznaliśmy jako aktywnego uczestnika konferencji w Wannsee.

Ła-godzicielska działalność Stuckarta obejmowała pół-Ży-dów, których proponował poddać sterylizacji. (Sąd norymberski, nie dysponujący protokołami z narady w Wannsee, dał wiarę twierdzeniu Stuckarta, że nie miał pojęcia o programie eksterminacji, dlatego też wymierzył mu karę obejmującą czas, jaki już odsiedział. Niemiecki sąd denazyfikacyjny ukarał go grzywną 500 marek i uznał za "nominalnego członka partii" [Mitlaufer], mimo że sędziowie musieli wiedzieć przynajmniej tyle, że Stuckart należał do "starej gwardii" partyjnej i wcześniej wstąpił do SS jako członek honorowy.) Opowieść o łagodzicielach w hitlerowskich urzędach należy z pewnością do powstałych po wojnie bajek - możemy je zignorować tak samo jak głosy, które mogły dotrzeć do sumienia Eich-manna.

167

166

Problem owych głosów nabrał doniosłości w momencie pojawienia się przed sądem w Jerozolimie duchownego protestanckiego Heinricha Griibera, który przybył na rozprawę w charakterze jedyne go niemieckiego (a także, z wyjątkiem sędziego Michaela Musmanno ze Stanów Zjednoczonych A. P., jedyne go nie będące go Żydem) świadka oskarżenia. (Niemieccy świadkowie obrony zostali od razu wykluczeni, ponieważ groziłoby im aresztowanie i postawienie w stan oskarżenia na mocy tejsamej ustawy obowiązującej w Izraelu, na podstawie której sądzony był Eichmann.) Superintendent Griiber należał do małej liczebnie i pozbawionej politycznego znaczenia grupy osób, które sprzeciwiały się Hitlerowi ze względów zasadniczych nie zaś nacjonalistycznych, a których stanowisko w kwestii żydowskiej było absolutnie jednoznaczne. Zapowiadało się, że będzie wspaniałym świadkiem, ponieważ kilkakrotnie pertraktował z Eichmannem, samo zaś jego pojawienie się na sali sądowej stanowiło swoistą sensację. Niestety, złożone przez niego zeznania były mgliste; po upływie wielu lat nie mógł sobie przypomnieć, kiedy rozmawiał z Eichmannem, co gorsza - na jakie tematy. Dobrze pamiętał tylko tyle, że kiedyś zwrócił się do Eichmanna z prośbą o wysłanie na Węgry transportu pra-śnego chleba na święto Paschy. Pamiętał także podróż, jaką odbył do Szwajcarii, aby zdać swym przyjaciołom--chrześcijanom relację z powagi sytuacji i nalegać na stworzenie większych możliwości emigracji. (Pertraktacje te musiały się odbyć przed wprowadzeniem w życie Ostatecznego Rozwiązania, które zbiegło się z dekretem Him-mlera wstrzymującym wszelką emigrację; miały one miejsce przypuszczalnie przed agresją na Rosję.) Otrzymał praśne pieczywo, a także dojechał bezpiecznie do Szwajcarii i wrócił. Kłopoty zaczęły się później - w momencie rozpoczęcia deportacji. Pastor Griiber wraz z grupą duchownych protestanckich interweniował najpierw jedynie w "sprawie osób rannych podczas I wojny światowej oraz

tych, które otrzymały wysokie odznaczenia wojskowe, a także w sprawie podeszłych wiekiem i wdów po poległych podczas I wojny światowej". Te kategorie osób pokrywały się z kategoriami ludzi wyjętych pierwotnie spod ustawodawstwa antyżydowskiego przez samych nazistów. Griibe-rowni oświadczone wówczas, że jego działalność jest "sprzeczną z polityką rządu", ale nie wyrządzono mu żadnej krzywdy. Wkrótce potem pastor Griiber dokonał jednak czynu zaiste niezwykle go: spróbował dotrzeć do obozu koncentracyjnego Gurs, położone go na południu Francji, w którym rząd Vichy internował - prócz żydowskich uchodźców z Niemiec - około 7,5 tysiąca Żydów z Bade-nii i okręgu Saary, przeszmyglowanych przez Eichmanna przez granicę niemiecko-francuską jesienią 1940 roku. Zgodnie z posiadanymi przez pastora Griibera informacjami, los tych Żydów był jeszcze gorszy niż Żydów deportowanych do Polski. W związku z tą eskapadą pastor Griiber został aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym najpierw w Sachsenhausen, a następnie w

Da-chau. (Podobny los spotkał księdza katolickiego, proboszcza katedry świętej Jadwigi w Berlinie, Bernarda Lich-tenberga; ośmielił się on nie tylko odprawiać publicznie modły za wszystkich Żydów - ochrzczonych i nieochrzczonych - co było znacznie bardziej niebezpieczne niż interwencje w "szczególnych przypadkach" - lecz także zażądał, aby pozwolono mu towarzyszyć Żydom w drodze na Wschód. Zmarł w obozie koncentracyjnym.)

Jeśli pominąć zawarte w zeznaniach pastora Griibera dowody na istnienie "innych Niemiec", nie przyczynił się on zbytnio do wzrostu prawnego bądź historycznego znaczenia procesu. Sypał jak z rękawa określeniami dotyczącymi Eichmanna, porównując go do "bryły lodu", "granitu", nazywając Landsknechtatur i "cyklistą" (współczesne wyrażenie niemieckie oznaczające człowieka, który kłania się usłudze swoim przełożonym, a rozdaje kopniaki podwładnym). Żadne z tych określeń nie dowodziło, że-

169

168

by pastor Griiber był szczególnie utalentowanym psychologiem, nie mówiąc już o tym, że epitetowi "cyklisty" przeczyły zebrane materiały dowodowe, z których wynikało, że Eichmann zachowywał się przyzwoicie w stosunku do swoich podwładnych. W każdym razie były to interpretacje i konkluzje tego rodzaju, jakich w normalnej sytuacji żaden sąd nie wzięby pod uwagę, wjerezolimie jednak uwzględniono je w orzeczeniu końcowym. Gdyby nie one, zeznania pastora Griibera mogłyby wesprzeć argumentację obrony, gdyż Eichmann nie udzielił nigdy Griibero-wi jednoznacznej odpowiedzi, nakazując mu zawsze przyjść ponownie, bo musi poprosić o dalsze instrukcje. Co ważniejsze, dr Servatius przynajmniej raz przejął inicjatywę, zadając świadkowi wyjątkowo trafne pytanie: "Czy starał się pan oddziaływać na oskarżonego? Czy jako duchowny spróbował pan odwołać się do jego uczuć, czy apelował pan do jego sumienia, mówiąc, że jego zachowanie stoi w sprzeczności z zasadami moralnymi?" Rzecz jasna, nasz bardzo dzielny pastor nie uczynił niczego podobnego, a jego odpowiedź brzmiała mocno kłopotliwie. Odrzekł mianowicie, że "od słów bardziej liczą się czyny" i że "same słowa byłyby bezużyteczne". Operował frazesami nie mającymi nic wspólnego z rzeczywistą sytuacją, w której "same słowa" byłyby czynami-w sytuacji, w której jego obowiązkiem było, być może, sprawdzić, na ile "bezużyteczne" są słowa. Uraczył nas dokładnie takimi samymi frazesami, jakie sędziowie przy innej okazji określili mianem "pustej gadaniny".

Jeszcze trafniejsze niż pytanie doktora Servatiusa było to, co w ostatnim słowie powiedział Eichmann na temat tego epizodu: "Nikt - powtórzył - nie przyszedł do mnie, nikt mnie nie zganiał za cokolwiek w wypełnianych przeze mnie obowiązkach. Nawet pastor nie twierdzi, że tak postąpił". Następnie zaś dodał: "Pastor Griiber przyszedł do mnie, żeby spróbować złagodzić cierpienie, ale nie zgłosił właściwie zastrzeżeń co do samych obowiązków, jakie

wykonywałem". Z zeznań pastora wynika, że starał się on nie tyle o "złagodzenie cierpienia", ile o uwolnienie od nich tych kategorii osób, jakie wcześniej wyraźnie określili sami naziści. Żydzi niemieccy od samego początku zaakceptowali te kategorie bez protestu. Owa akceptacja uprzywilejowania pewnych kategorii ludzi - Żydów niemieckich w odróżnieniu od Żydów polskich, komitantów i Żydów z odznaczeniami w odróżnieniu od zwykłych Żydów, rodzin, których przodkowie urodzili się w Niemczech w odróżnieniu od obywateli niedawno naturalizowanych itd. - stanowiła początek moralnego upadku cieszącej się poważaniem społeczności żydowskiej. (Biorąc pod uwagę fakt, że obecnie sprawy te traktuje się często w ten sposób, jakby istniało jakieś prawo natury ludzkiej powodujące, że w

obliczu zagłady każdy musi utracić swą godność, pozwolimy sobie przypomnieć postawę francuskich kombatantów pochodzenia żydowskiego, którym rząd zaproponował te same przywileje. Odrzekli wówczas: "Uroczyście oświadczamy, że odrzucamy wszelkie nadzwyczajne korzyści, jakie moglibyśmy czerpać z naszego statusu byłych wojskowych" ["American Jewish Yearbook" 1945]). Zbyteczne dodawać, że sami naziści nigdy nie traktowali tych rozróżnień serio; dla nich Żyd był Żydem, ale podział na owe kategorie odgrywał do samego końca pewną rolę, gdyż pomagały one w uspokojeniu nieco zaniepokojonej ludności niemieckiej: przecież to tylko polscy Żydzi podlegali deportacji, tylko ludzie, którzy wymigiwali się od służby wojskowej itd. Dla tych, którzy nie chcieli zamykać oczu, od początku musiało być jasne, że "ogólnie przyjęta praktyka polegała na tolerowaniu niektórych wyjątków, aby tym łatwiej zachować zasadę ogólną" (jak w pouczającym artykule o Żydach i nie-Żydach w okupowanej przez nazistów Holandii napisał Louis de Jong).

Katastrofalne pod względem moralnym w owej akceptacji uprzywilejowanych kategorii ludzi było to, że każdy, kto domagał się, aby w jego przypadku uczynić "wyjątek",

170

171

pośrednio uznawał samą zasadę. Najwyraźniej jednak nigdy nie dotarło to do świadomości owych "porządnych ludzi" - zarówno Żydów, jak i nie-Żydów, którzy zajmowali się tymi wszystkimi "szczególnymi przypadkami", zasługującymi ewentualnie na uprzywilejowane potraktowanie. Rozmiary, w jakich nawet prześladowani Żydzi zaakceptowali normy Ostatecznego Rozwiązania nigdzie może nie rzucają się bardziej w oczy niż w tak zwanym Raporcie Kastnera, (Dostępnym w języku niemieckim pod tytułem Der Kastner-Bericht über Eichmanns Menschen-handel in Ungarn, 1961). Nawet po zakończeniu wojny Kastner szczycił się tym, że udało mu się uratować "wybitnych Żydów" - kategorię tę naziści wprowadzili oficjalnie w roku 1942 -jak gdyby i on był zdania, iż rozumiało się samo przez się, że sławny Żyd miał większe prawo do życia niż przeciętny. Przyjęcie na siebie takiej "odpowiedzialności" - pomaganie nazistom w próbach wyszukiwania "sławnych" ludzi wśród anonimowego tłumu, bo do tego się to sprowadzało - "wymagało większej odwagi niż zajrzenie w oczy śmierci". O ile jednak żydowscy i nieżydowscy obrońcy koncepcji "szczególnych przypadków" mogli nie uświadamiać sobie swego mimowolnego współdziałania w zbrodni, owo pośrednie uznanie zasady zapowiadającej śmierć dla wszystkich przypadków nie będących "szczególnymi" musiało być rzeczą zupełnie oczywistą dla ludzi, którzy trudnili się mordowaniem. Z pewnością mieli oni bowiem przynajmniej takie wrażenie, że na mocy kierowanych do nich próśb o zrobienie wyjątku, a także na mocy tego, iż sporadycznie próśby te respektowali i dzięki temu zaskarbiali sobie wdzięczność - zdołali przekonać swych oponentów o słuszności tego, co robili.

Go więcej, zarówno pastor Grier, jak i sąd jerozolimski grubo się mylili, przypuszczając, że próśby o wyjątkowe traktowanie pochodziły wyłącznie od przeciwników panującego systemu. Przeciwnie, jak wyraźnie stwierdził

to Heydrich podczas konferencji w Wannsee, utworzenie Terezina jako getta dla kategorii osób uprzywilejowanych spowodowało napływające zewsząd bardzo liczne interwencje. Terezin stał się później miejscem, które pokazywano gościom zagranicznym, i służył do wprowadzania w błąd świata zewnętrznego. Nie to było jednak pierwotną racją jego istnienia. Potworne akcje "rozrzedzające", regularnie przeprowadzane w tym "raju" - "różniącym się od innych obozów tak jak dzień od nocy", jak słusznie zauważył Eichmann -

były niezbędne, ponieważ zawsze brakowało miejsca dla wszystkich uprzywilejowanych. Z dyrektywy wydanej przez Ernsta Kaltenbrunera, szefa RSHA, wiemy zaś, że "dokładano szczególnych starań, aby nie dopuścić do deportacji Żydów mających powiązania i liczące się stosunki w świecie zewnętrznym". Innymi słowy, "mniej wybitnych" Żydów poświęcano stale na rzecz tych, których zniknięcie na Wschodzie doprowadziłoby do nieprzyjemnych dociekań. Owe "stosunki w świecie zewnętrznym" dotyczyły niekoniecznie osób mieszkających poza granicami Niemiec - według Himmlera "każdy z 80 milionów Niemców znał jakiegoś przyzwoitego Żyda. Jasne, że pozostali to świnię, ale akurat ten jeden Żyd to człowiek bardzo wartościowy" (Hilberg). Mówiono, że sam Hitler znał osobiście 340 "bardzo wartościowych Żydów" - którym nadał status całkowicie równoprawny ze statusem Niemców bądź też przyznał im przywileje pół-Zydów. Tysiące pół-Zydów zwolniono od wszelkich ograniczeń, czym można by wytłumaczyć rolę odgrywaną przez Heydricha i Hansa Franka w SS oraz rolę feldmarszałka Erharda Milcha w lotnictwie Göringa, wiedziano bowiem powszechnie, że Heydrich i Milch byli pół-Zy-dami, natomiast generalny gubernator Polski był przypuszczalnie stuprocentowym Żydem. (Dwaj tylko spośród głównych zbrodniarzy wojennych okazali skrucę w obliczu śmierci: Heydrich, konający dziewięć dni wskutek ran zadanych mu przez czeskich patriotów, oraz Frank w no-

173

172

rymberskiej celi śmierci. Fakt ten stanowi niewielką pociechę, gdyż trudno oprzeć się wrażeniu, że żalowali oni nie popełnionych przez siebie zbrodni, tylko tego, iż zdradzili naród, z którego się wywodzili.) Jeżeli interwencje na rzecz "wybitnych" Żydów pochodziły od ludzi "wybitnych", często kończyły się powodzeniem. I tak na przykład Sven Hedin, jeden z najzagorzalszych wielbicieli Hitlera, interweniował w sprawie znanego geografa, profesora Philipppsona z Bonn, "żyjącego w uwłaczających godności warunkach w Terezynie". W liście skierowanym do Hitlera Hedin zagroził, że "jego stosunek do Niemiec będzie zależał od losu Philipppsona" - w rezultacie (opieram się na książce H. G. Adlera na temat Terezina) pana Philipppsona przeniesiono natychmiast do lepszego mieszkania.

W dzisiejszych Niemczech pojęcie "wybitnych" Żydów nie zostało jeszcze zapomniane. O ile nie wspomina się już kombatantów i innych grup uprzywilejowanych, nadal kosztem wszystkich pozostałych wyraża się ubolewanie z powodu losu "sławnych" Żydów. Istnieje niemała grupa ludzi - zwłaszcza wśród elity kulturalnej - którzy wciąż wyrażają publicznie żal z powodu zmuszenia Einsteina do opuszczenia Niemiec, nie zdając sobie przy tym sprawy z tego, że o wiele większą zbrodnią było zastrzelenie z za rogu małego Hansa Cohna, mimo że wcale nie był on geniuszem.

ROZDZIAŁ VIII

Obowiązki szanującego prawo obywatela

A zatem Eichmann miał sporo okazji, by czuć się jak Pon-cjusz Piłat, w miarę zaś upływu miesięcy i lat w coraz mniejszym stopniu musiał odczuwać cokolwiek. Sprawy wyglądały tak a nie inaczej - w kraju obowiązywało takie a nie inne prawo, oparte na rozkazie fiihrera; wszystko co robił, odpowiadało - na tyle, na ile potrafił to ocenić - zachowaniu szanującego prawo obywatela. Wypełniał swoje obowiązki, jak wielokrotnie powtarzał podczas śledztwa i na sali sądowej; był posłuszny nie tylko rozkazom, lecz także prawu. Eichmann miał niejasne poczucie, że to rozróżnienie może mieć istotne znaczenie, ale ani obrona, ani sędziowie nie poruszyli tej kwestii. Zużyte liczmany "rozkazów z góry" w przeciwieństwie do "aktów państwowych" krążyły z rąk do rąk; nadawały one ton całej

dyskusji na ten temat podczas procesów norymberskich wyłącznie dlatego, że stwarzały złudzenie, iż to, co absolutnie bezprecedensowe, można osądzić na podstawie precedensów i odpowiadających im norm.

Po Eichmannie - człowieku obdarzonym dość miernym intelektem - z pewnością najmniej można się było spodziewać, że będzie akurat tą osobą na sali sądowej, która zakwestionuje powyższe rozróżnienie i wystąpi z własną, nowatorską koncepcją. Albowiem oprócz tego, że wykonywał on to, co uważał za obowiązki szanującego prawo obywatela, spełniał także otrzymane rozkazy - dbając zawsze o to, żeby być "krytym" - aż popadł w kompletną dezorientację i skończył na tym, że raz podkreślał zalety, to znów wady ślepego posłuszeństwa, czyli -jak

175

sam je określił - "posłuszeństwa trupów" (Kadaver-gehorsam).

Pierwszy przeblysł mglistej świadomości Eichmanna, że cała sprawa była czymś więcej niż tylko kwestią wypełnienia przez żołnierza rozkazów, których intencja i istota są ewidentnie zbrodnicze - pojawił się podczas śledztwa, kiedy to nagle oświadczył on z wielkim naciskiem, że przez całe życie trzymał się Kaniowskich pouczeń moralnych, zwłaszcza zaś Kaniowskiej definicji obowiązku. Była to na pozór deklaracja skandaliczna, a także niezrozumiała, gdyż filozofia moralna Kanta tak ściśle wiąże się z ludzką władzą sądenia, wykluczającą ślepe posłuszeństwo. Oficer prowadzący śledztwo nie nalegał na szczegółowe wyjaśnienie, ale sędzia Raveh - czy to powodowany ciekawością, czy też oburzeniem, że Eichmann ośmielił się przywołać nazwisko Kanta w związku z popełnionymi przez siebie zbrodniami - postanowił zapytać o to oskarżonego. Ku powszechnemu zaskoczeniu Eichmann przytoczył prawie bezbłędnie definicję imperatywu kategorycznego: "Wspominając Kanta, miałem na myśli to, że zasada kierująca moją wolą musi być zawsze taka, żeby mogła stać się zasadą prawa powszechnego" (nie odnosi się to do kradzieży ani mordu, ponieważ trudno sobie wyobrazić złodzieja lub mordercę, którzy chcieliby żyć w systemie prawnym przyznającym innym ludziom prawo do obrabowania lub zamordowania ich samych). W toku dalszych wyjaśnień powiedział, że czytał Krytykę praktycznego rozumu. Dodał jeszcze, że od momentu, kiedy otrzymał polecenie wprowadzenia w życie Ostatecznego Rozwiązania, przestał żyć wedle zasad Kanta; że zdawał sobie z tego sprawę, a pocieszał się myślą, iż nie jest już "panem własnych czynów" i nie może "niczego zmienić". Nie zdobył się już jednak na to, żeby stwierdzić przed sądem, że w owym "okresie zbrodni zalegalizowanych przez państwo", jak sam go teraz nazwał, nie tylko wyrzekł się Kaniowskiej formuły jako nie znaj-

dującej już zastosowania, lecz także wypaczył jej sens, nadając jej lakę olo posiać: Postępuj tak, jakby zasada twojego działania była identyczna jak zasada prawodawcy, bądź prawa obowiązującego w tym kraju. Eichmannowi mogło też być znane sformułowanie "imperatywu kategorycznego Trzeciej Rzeszy" aulorstwa Hansa Franka: "Postępuj w laki sposób, żeby Hiller - gdyby znał Iwoją działalność -udzielił jej swojej aprobaty" (Die Technik des Staates, 1942). Dodajmy dla ścisłości, że wszelkie podobne sformułowania odbiegały całkowicie od intencji Kanta; przeciwnie - Kant twierdził zawsze, że każdy człowiek slaje się prawodawcą w momencie przystąpienia do działania: korzystając ze swego "praktycznego rozumu", człowiek ustalił zasady, które mogą i powinny slanowić zasady prawa. Nie ulega jednak wątpliwości, że mimowolne zniekształcenie, jakiego dopuścił się Eichmann, odpowiada lemu, co sam nazwał kanlyzmem "do domowego użyl-ku dla maluczkich". W owej wersji do użylku domowego, z całego Kania zoslaje jedynie poslulal, by człowiek uczynił coś więcej niż podporządkował się prawu; by wykroczył poza sam lylko wymóg posluszestwa i ułozsamił własną wolę z zasadą ikwiącą u podslaw prawa - ze źródłem, z

klórego prawo wypływa. W filozofii Kania źródłem lym był rozum praktyczny; w Eichmannowskim kantyzmie do użytku domowego była nim wola fihrera. Przerażającą pedanterię cechującą urzeczywislnianie Oslaleczne-go Rozwiązania, pedanterię sprawiającą na obserwatorze uderzające wrażenie typowo niemieckiej bądź też kojarzącą się nieodparcie z idealnym biurokratą, w znacznej mierze można przypisać owemu osobliwemu wyobrażeniu - islolnie bardzo powszechnemu w Niemczech - że szacunek dla prawa oznacza, nie lylko podporządkowanie się prawu, lecz lakże postępowanie w taki sposób, jakby się było twórcą praw, klórym się podporządkowuje. Stąd przekonanie, że rzeczą absolutnie nieodzowną jest wykroczenie poza nakaz obowiązku.

177

176

Bez względu na rolę, jaką Kant mógł odegrać w tworzeniu się mentalności "maluczkich", nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pod jednym względem Eichmann istotnie postępował według pouczeń Kanta: prawo jest prawem, i nie może być żadnych wyjątków. WJerozolimie przyznał się on do uczynienia jedynie dwóch wyjątków od tej zasady w czasach, gdy "każdy z 80 milionów Niemców znał jakiegoś przyzwoitego Żyda": udzielił pomocy pewnemu krewnemu pochodzenia półżydowskiego oraz pewnemu żydowskiemu małżeństwu z Wiednia, w którego sprawie interweniował wuj Eichmanna. Ten brak konsekwencji wciąż go niepokoił i kiedy podczas przesłuchań zadano mu pytanie na ten temat, przyjął postawę jawnie obronną: stwierdził, że "wyznał swoje grzechy" przełożonym. Owo nieprzejednanie, z jakim podchodził do wykonywania swoich zbrodniczych obowiązków, obciążało go w oczach sędziów bardziej niż cokolwiek innego, dającego się zrozumieć. Ale w jego własnych oczach właśnie nieprzejednanie usprawiedliwiała go, gdyż stłumiło wszelkie resztki głosu sumienia, jakie mogły się w nim jeszcze odzywać. Żadnych wyjątków - oto dowód, że zawsze postępował wbrew własnym "skłonnościom", płynącym z pobudek uczuciowych bądź interesownych i zawsze wykonywał swój "obowiązek".

Wykonywanie "obowiązku" doprowadziło go w końcu do otwartego konfliktu z rozkazami zwierzchników. W ciągu ostatniego roku wojny w ponad dwa lata od konferencji w Wannsee, doznał po raz pierwszy wstrząsu sumienia. W miarę zbliżania się klęski, stanął w obliczu oporu ze strony ludzi z własnych szeregów, którzy coraz bardziej stanowczo walczyli o robienie wyjątków, w końcu zaś o zrezygnowanie z Ostatecznego Rozwiązania. Nadszedł wówczas moment, kiedy zawiodła go własna ostrożność i ponownie zaczął przejawiać inicjatywę - zorganizował na przykład pierwsze marsze Żydów z Budapesztu do granicy austriackiej po zniszczeniu przez bom-

bardowania Sprzymierzonych systemu transportu. Było to jesienią 1944 roku i Eichmann wiedział, że Himmler wydał rozkaz rozmontowania urządzeń do uśmiercania w Oświęcimiu - gra dobiegła końca. Mniej więcej w tym samym czasie Eichmann odbyłjedną ze swych nielicznych rozmów z Himmlerem, w czasie której ten ostatni miał rzekomo krzyknąć do niego: "Skoro dotąd zajmował się pan cały czas likwidowaniem Żydów, to od tej chwili, bo tak rozkazuję, będzie się pan opiekował Żydami, będzie pan ich niańką. Przypominam panu, że to ja, a nie Grup-penfuhrer Miiller ani pan, założyłem w 1933 roku RSHA; to ja tu rozkazuję!" Jedynym świadkiem, który potwierdził tę relację, był budzący wielkie wątpliwości pan Kurt Becher; Eichmann zaprzeczył, że Himmler krzyczał na niego, nie zaprzeczył jednak, że podobna rozmowa się odbyła. Niemożliwe, by Himmler wypowiedział dokładnie takie słowa, bo z pewnością wiedział, że datą powstania RSHA był rok 1939 a nie 1933, a jego twórcą był właściwie Heyd-rich, działający z upoważnienia Himmlera. Coś w

tym rodzaju musiało się jednak zdarzyć, Himmler wydawał wówczas na lewo i prawo rozkazy, by Żydów dobrze traktować - stanowili oni jego "najpewniejszą lokatę" - dla Eichmanna zaś musiało to być wstrząsające przeżycie.

Ostatni kryzys sumienia rozpoczął się u Eichmanna w marcu 1944 roku, kiedy wysłano go na Węgry - Armia Czerwona posuwała się wówczas przez Karpaty w kierunku granicy węgierskiej. Węgry przystąpiły do wojny po stronie Hitlera w roku 1941, nie po co innego, jak tylko żeby uzyskać dodatkowe terytoria od swych sąsiadów: Słowacji, Rumunii i Jugosławii. Rząd węgierski prowadził już wcześniej politykę jawnego antysemityzmu, wówczas zaś rozpoczął deportowanie wszystkich Żydów - bezpieczeństwa znajdujących się na świeżo zagarniętym obszarze. (Niemal we wszystkich krajach akcja wymierzona przeciwko Żydom rozpoczęła się od osób pozbawionych

179

178

przynależności państwowej.) Rozpoczęte deportacje nie mieściły się wcale w ramach Ostatecznego Rozwiązania, właściwie zaś kolidowały ze szczegółowo opracowanymi planami, których realizację wówczas przygotowywano (zgodnie z nimi Europę miano "przeczesać od Zachodu po Wschód"), toteż Węgry nie miały bynajmniej pierwszeństwa w ustalonym porządku działań. Policja węgierska przegnała bezpieczeństwa Żydów na najbliższe tereny Rosji, a niemieckie władze okupacyjne zaprotestowały przeciwko ich przybyciu; wówczas Węgrzy przyjęli z powrotem kilka tysięcy osób zdolnych do pracy, pozostali Żydzi zostali zaś rozstrzelani przez żołnierzy węgierskich pod kierunkiem jednostek policji niemieckiej. Admirał Horthy, faszystowski dyktator Węgier, nie chciał jednak posuwać się ani kroku dalej - prawdopodobnie w wyniku hamującego wpływu Mussoliniego i faszystów włoskich - wskutek czego w ciągu następnych lat Węgry - nieco podobnie jak Włochy - stały się dla Żydów przystanią, dokąd udawało się niekiedy uciec nawet uchodźcom z Polski i Słowacji. Przyłączenie nowych terytoriów oraz napływ uchodźców spowodowały, że liczba Żydów na Węgrzech wzrosła z około 500 tysięcy przed wybuchem wojny do około 800 tysięcy w roku 1944, kiedy pojawił się tam Eichmann.

Wiemy dziś, że bezpieczeństwo owych 300 tysięcy nowo przybyłych na Węgry Żydów zależało przede wszystkim od tego, czy Niemcy będą się ociągali z podjęciem odrębnej akcji, ograniczonej ilościowo, mniej zaś od gotowości Węgrów do udzielania azylu. W roku 1942 pod presją niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych (które nigdy nie omieszkło dać sojusznikom Niemiec jasno do zrozumienia, że kamieniem probierczym ich lojalności wobec Rzeszy była nie przydatność w wygranu wojny, lecz w "rozwiązaniu kwestii żydowskiej"). Węgry zwróciły się do Niemiec z propozycją przekazania im wszystkich uchodźców żydowskich. MSZ zamierzało potraktować tę

ofertę jako krok we właściwym kierunku, ale Eichmann zgłosił zastrzeżenia: sądził, że ze względów technicznych "lepiej będzie poczekać, aż Węgry będą gotowe potraktować w ten sam sposób Żydów węgierskich"; zbyt kosztowne byłoby "uruchomienie całej maszyny ewakuacji" tylko dla tej jednej kategorii osób, czyli "bez poczynienia postępu w rozwiązaniu problemu żydowskiego na Węgrzech". Otóż w roku 1944 Węgry były "gotowe", gdyż 19 marca dwie dywizje armii niemieckiej rozpoczęły okupację kraju. Wraz z wojskiem przybyli nowy pełnomocnik Rzeszy, SS-Standartenführer dr Edmund Yeesenmayer, człowiek Himmlera w MSZ oraz SS-Obergruppenführer Otto Winkelmann, członek korpusu wyższych oficerów SS i policji, a zatem człowiek podległy bezpośrednio Himmlerowi. Trzecim funkcjonariuszem SS przybyłym na Węgry był Eichmann, ekspert w dziedzinie ewakuacji i

deportacji Żydów podlegający rozkazom Miillera i Kaltenbrun-nera z RSHA. Sam Hitler rozwiał wszelkie wątpliwości co do znaczenia, jakie miało przybycie owych trzech dżentelmenów; w sławnej rozmowie, jaką odbył z Horthym jeszcze przed okupacją Węgier, powiedział mu, że "Węgry nie podjęły dotąd kroków niezbędnych dla uregulowania kwestii żydowskiej" i zarzucił mu, że "nie dopuścił do masakry Żydów" (Hilberg).

Zadanie Eichmanna było oczywiste. Całe jego biuro zostało przeniesione do Budapesztu (z punktu widzenia kariery oznaczało to "degradację"), by mógł dopilnować, iżby wszystkie "niezbędne kroki" zostały podjęte. Nie miał żadnych złych przeczuc w związku z nadciągającymi wydarzeniami. Najbardziej obawiał się oporu ze strony Węgrów, z którym by sobie nie poradził, bo brakowało mu ludzi, a także znajomości miejscowych realiów. Okazało się, że obawy te pozbawione były podstaw. Węgierska żandarmeria aż nadto chętnie przystąpiła do niezbędnych działań, a nowo mianowany sekretarz stanu, któremu powierzono kierowanie sprawami politycznymi (żydowski-

180

181

mi) w węgierskim ministerstwie spraw wewnętrznych, Laszlo Endre, okazał się człowiekiem "dobrze zorientowanym w problematyce żydowskiej" i Eichmann, który się z nim bardzo zaprzyjaźnił, mógł z nim spędzać znaczną część swego wolnego czasu. Wszystko "szło jak z płatka", jak sam powtarzał, ilekroć wspominał ów epizod; nie wystąpiły najmniejsze trudności. Chyba że - oczywiście - nazwiemy trudnościami drobne i nieliczne różnice pomiędzy jego rozkazami a pragnieniami jego nowych przyjaciół. I tak na przykład, prawdopodobnie dlatego, że Armia Czerwona zbliżała się od wschodu, Eichmann wydał polecenie, aby "przeczesać kraj od wschodu na zachód", co oznaczało, że Żydów z Budapesztu nie będzie się ewakuować w ciągu pierwszych tygodni lub miesięcy operacji - zasmuciło to bardzo Węgrów, którzy chcieli zacząć "oczyszczanie z Żydów" od swojej stolicy. (Spełnienie "marzeń" Eichmanna pociągnęło za sobą niebywały koszmar dla Żydów: nigdzie indziej nie deportowano i nie zgładzono tak wielkiej liczby ludzi w przeciągu tak krótkiego czasu. W niecałe dwa miesiące wysłano z Węgier 147 pociągów wiozących w zaryglowanych wagonach towarowych 434.351 ludzi - po stu w wagonie - a komory gazowe w Oświęcimiu ledwie zdołały się uporać z tym gigantycznym tłumem.)

Trudności wyniknęły z czego innego. Aż trzech ludzi, nie zaś jeden, otrzymało rozkazy przyczynienia się do "rozwiązania problemu żydowskiego"; każdy z nich należał do innego pionu i zajmował miejsce winnej strukturze dowodzenia. Technicznie biorąc, Winkelmann był zwierzchnikiem Eichmanna, ale wyżsi dowódcy SS i policji nie podlegali rozkazom RSHA, do którego należał Eichmann. Natomiast Yeessenmayer, pracownik MSZ, był niezależny od nich obu. Tak czy inaczej, Eichmann, który ich nienawidził, odmówił przyjmowania wydawanych przez nich rozkazów. Jednak sprawcą największych kłopotów był ktoś czwarty - człowiek, któremu Himmler

powierzył "misję specjalną" wjedynym kraju Europy, gdzie wciąż jeszcze przebywała spora liczba Żydów, zajmujących na dodatek liczącą się pozycję ekonomiczną. (Szacowano, że na ogólną liczbę 110 tysięcy węgierskich przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych 40 tysięcy znajdowało się w rękach żydowskich.) Tym człowiekiem był Obersturmbannjuhrer, późniejszy Standartenfuhrer, Kurt Becher.

Becher - stary wróg Eichmanna - który jest obecnie dobrze prosperującym kupcem w Bremie, został, o dziwo, powołany przez obronę na świadka. Z oczywistych powodów nie mógł przybyć do Jerozolimy i został przesłuchany u siebie w Niemczech. Złożone przezeń

zeznania trzeba było odrzucić, ponieważ dużo wcześniej pokazano mu pytania, na które miał odpowiedzieć później pod przysięgą. Wielka szkoda, że nie mogło dojść do konfrontacji Eichmanna z Becherem, i to nie tylko ze względów prawnych. Konfrontacja taka doprowadziłaby do ujawnienia kolejnego fragmentu "ogólnego obrazu" - fragmentu posiadającego, nawet z prawnego punktu widzenia, istotne znaczenie. Zgodnie z relacją samego Beche-ra, powodem, dla którego wstąpił do SS, było to, że "od roku 1932 do dnia dzisiejszego zajmowałem się czynnym uprawianiem jazdy konnej". Trzydzieści lat temu sport ten uprawiały w Europie jedynie wyższe warstwy społeczne. W roku 1934 instruktor Bechera namówił go do wstąpienia do pułku kawalerii SS; w owym czasie była to najwłaściwsza rzecz, jaką mógł zrobić człowiek pragnący zarazem przyłączyć się do "ruchu" i uszanować swoją pozycję społeczną. (Nie podano nigdy innego możliwego powodu, dla którego Becher położył w swych zeznaniach nacisk na jazdę konną: trybunał norymberski wykluczył Reiter-SS z listy organizacji przestępczych.) Na początku wojny Becher pełnił czynną służbę frontową, ale nie w szeregach armii, tylko w zbrojnych oddziałach SS, jako oficer łącznikowy do kontaktów z dowództwem Wehrmach-

183

182

tu. Wkrótce opuszcza front i zostaje głównym dostawcą koni dla wydziału kadr SS; zajęcie to pozwoliło mu zdobyć niemal wszystkie istniejące wówczas odznaczenia.

Becher Utrzymywał, jakoby został wysłany na Węgry wyłącznie w celu zakupienia 20 tysięcy koni dla SS. Jest to niemożliwe, bo zaraz po przybyciu przystąpił do uwieńczonych dużym powodzeniem pertraktacji z kierownikami wielkich przedsiębiorstw żydowskich. Jego stosunki z Himmlerem układały się znakomicie - mógł się z nim widywać, ilekroć tego zapragnął. Cel jego "misji specjalnej" był całkiem jasny. Miał uzyskać kontrolę nad ważniejszymi przedsiębiorstwami żydowskimi poza plecami rządu węgierskiego, oferując w zamian ich właścicielom możliwość swobodnego opuszczenia kraju oraz znaczną kwotę pieniędzy w walutach obcych. Najważniejszą transakcję zawarł z kartelem stalowniczym Manfreda Weissa - gigantycznym przedsiębiorstwem zatrudniającym 30 tysięcy pracowników, którego produkcja obejmowała zarówno samoloty, ciężarówki i rowery, jak konserwy, szpilki i igły. W wyniku transakcji licząca 45 osób rodzina Weissa wyemigrowała do Portugalii, pan Becher natomiast stanął na czele przedsiębiorstwa. Eichmann przyjął wiadomość o tym Schweinerei z oburzeniem: zawarta umowa narażała na szwank dobre stosunki, jakie miał z Węgrami liczącymi, rzecz jasna, na zagarnięcie mienia żydowskiego skonfiskowanego na terenie ich własnego kraju. Miał pewne powody, żeby być oburzonym, gdyż dobijanie tego rodzaju targów stało w sprzeczności z normalną polityką nazistów, cechującą się wielką hojnością. Za pomoc w rozwiązaniu kwestii żydowskiej na terenie któregośkolwiek kraju, Niemcy nie żądali wcale mienia żydowskiego, a tylko pokrycia kosztów deportacji i eksterminacji Żydów. Koszty te różniły się znacznie w poszczególnych krajach - Słowacy mieli podobno zapłacić od 300 do 500 reichsmarek za każdego Żyda, Chorwaci zaledwie 30, Francuzi 700, a Belgowie 250. (Wydaje się, że nie za-

placił nikt oprócz Chorwatów.) Na Węgrzech, kiedy wojna wkroczyła już w ostatnią fazę, Niemcy zażądali zapłaty w naturze - w formie dostaw żywności do Rzeszy, w ilości odpowiadającej temu, co trzeba byłoby przeznaczyć na wyżywienie deportowanych Żydów.

Afera Weissa stanowiła zaledwie początek, z punktu widzenia Eichmanna sprawy miały przybrać znacznie gorszy obrót. Becher był urodzonym człowiekiem interesu, tam zaś gdzie Eichmann dostrzegał tylko ogromne problemy organizacyjne i administracyjne, Becher

widział niemal nieograniczone możliwości zrobienia pieniędzy. Jediną przeszkodą, na jaką natrafił, była ciasnota umysłowa służalców typu Eichmanna, którzy brali na serio swoje obowiązki. Plany Obersturmbannführera Bechera doprowadziły wkrótce do ścisłej współpracy z prowadzącym akcję ratunkową doktorem Rudolfem Kastnerem. (To przemawiając na jego korzyść zeznaniom, jakie Kast-ner złożył później w Norymberdze, zawdzięczał Becher wolność. Gest ów miał doktora Kastnera kosztować życie: został zabity przez dwóch ocalałych z katastrofy węgierskich Żydów, w Izraelu, w marcu 1957 roku, w kilka miesięcy po unieważnieniu przez izraelski Sąd Najwyższy sensacyjnego orzeczenia, jakie wydał sędzia Benjamin Halevi z Jerozolimskiego Sądu Okręgowego, stwierdzając, iż Kastner, oskarżony o współpracę z nazistami na terenie Węgier, "zaprzedał własną duszę diabłu".) Umowy, jakie Becher zawierał za pośrednictwem Kastnera, były o wiele prostsze niż skomplikowane rokowania z magnatami przemysłu i handlu - polegały one na ustaleniu ceny za życie każdego Żyda, który miał się uratować. Cena była przedmiotem wielu targów i wydaje się, że w pewnym momencie Eichmann wziął także udział we wstępnych rozmowach na ten temat. Znamienne, że zaproponował cenę najniższą - zaledwie 200 dolarów za Żyda - nie dlatego, rzecz jasna, że chciał uratować więcej Żydów, lecz po prostu dlatego, że nie potrafił myśleć z roz-

184

185

machem. Ostatecznie ustalono, że cena wyniesie 1000 dolarów, i faktycznie grupa licząca 1684 Żydów - w jej skład wchodziła także rodzina doktora Kastnera - opuściła Węgry, udając się do obozu wymiany w Bergen-Bel-sen, skąd na koniec dotarła do Szwajcarii. Wokół sfinalizowania podobnej transakcji, dzięki której Becher i Himmler spodziewali się otrzymać 20 milionów franków szwajcarskich od organizacji charytatywnej Żydów amerykańskich JOINT, z przeznaczeniem na zakup wszelkiego rodzaju towarów, krzatali się wszyscy, aż do momentu oswobodzenia Węgier przez wojska radzieckie; nie doszła ona jednak do skutku.

Nie ulega wątpliwości, że działalność Bechera cieszyła się pełną aprobatą Himmlera i że stała ona w najostrejszej sprzeczności z dawnymi, "radykalnymi" rozkazami, które wciąż docierały do Eichmanna za pośrednictwem Miillera i Kaltenbrunnera, jego bezpośrednich zwierzchników z RSHA. Eichmann uważał ludzi pokroju Bechera za skorumpowanych, ale korupcja nie bardzo mogła być powodem kryzysu jego sumienia, bo choć był on najwyraźniej niepodatny na pokusy tego rodzaju, to przecież w owym czasie od wielu już lat musiał być świadkiem korupcji wśród otaczających go ludzi. Trudno sobie wyobrazić, żeby nie wiedział, iż jego przyjaciel i podwładny Hauptsturmführer Dieter Wisliceny już w roku 1942 przyjął 50 tysięcy dolarów od żydowskiego komitetu pomocy w Bratysławie za opóźnienie deportacji ze Słowacji, choć nie jest to całkiem niemożliwe. Z pewnością jednak musiał mu być znany fakt, że Himmler -jesienią 1942 roku - usiłował sprzedać pozwolenie na wyjazd Żydom słowackim w zamian za taką sumę obcych dewiz, która pokryłaby koszty sformowania nowej dywizji SS. Otóż na Węgrzech w roku 1944 sprawa wyglądała inaczej, nie dlatego, że Himmler zajął się "interesami", ale dlatego, że robienie interesów stało się teraz oficjalną linią działania, przestało zaś być korupcją.

Początkowo Eichmann próbował włączyć się do gry i uczestniczyć w niej zgodnie z nowymi zasadami; na tym polegał jego udział w legendarnych pertraktacjach w sprawie "krwi za towary" - milion Żydów za 10 tysięcy ciężarówek dla idącej w rozsypkę armii niemieckiej - zainicjowanych z pewnością nie przez niego. Sposób, w jaki wyjaśniał w Jerozolimie rolę, jaką odegrał w tej sprawie, pokazywał jasno, jak ją niegdyś uzasadniał przed samym sobą: to

niezbędne z wojskowego punktu widzenia przedsięwzięcie miało mu przynieść dodatkową korzyść w postaci nowej doniosłej roli do odegrania w branży emigracyjnej. Nigdy jednak nie przyznał się przypuszczalnie przed sobą do tego, że piętrzące się wszędzie trudności z każdym dniem zwiększały prawdopodobieństwo, iż wkrótce utraci swoją posadę (jak się rzeczywiście stało w kilka miesięcy później), chyba że udałoby mu się znaleźć jakieś solidne oparcie w toczącym się wszędzie wokół niego wyścigu o władzę. Kiedy plan zawarcia owej transakcji wymiennej zakończył się łatwym do przewidzenia fiaskiem, było już powszechnie wiadome, że Himmler - mimo swych ciągłych wahań wywołanych głównie uzasadnionym fizycznym lękiem przed Hitlerem - postanowił położyć kres całemu Ostatecznemu Rozwiązaniu, nie zważając na korzyści materialne ani na potrzeby wojskowe i nie mogąc się powołać na cokolwiek z wyjątkiem złudzeń, jakie roił na temat przyszłej swej roli człowieka, który przyniesie Niemcom pokój. To właśnie wtedy powstało "umiarkowane skrzydło" SS, składające się z ludzi, którzy byli na tyle głupi, żeby sądzić, iż morderca, który jest w stanie udowodnić, że nie zabił tylu ludzi, ilu mógł być zabić, posiada wspaniałe alibi, a także z osób na tyle inteligentnych, by przewidzieć, iż zbliża się powrót do "normalnej sytuacji", w której pieniądze i odpowiednie znajomości będą miały znowu pierwszorzędne znaczenie.

Eichmann nigdy nie przyłączył się do owego "umiarkowanego skrzydła"; należy też wątpić, czy zostałby doń

186

187

dopuszczony, gdyby o to zabiegał. Rzecz nie tylko w tym, że był zbyt gruntownie skompromitowany, a także - za przyczyną swych stałych kontaktów z działaczami żydowskimi - zbyt dobrze znany: był także zanadto prymitywny dla owych dobrze wykształconych "dżentelmenów" z wyższej klasy średniej, wobec których do samego końca żywił uczucie najgwałtowniejszej nienawiści. Był zdolny do wysłania na śmierć milionów ludzi, ale nie potrafił mówić na ten temat we właściwy sposób, nie otrzymawszy "reguły językowej". W Jerozolimie - nie mając żadnych reguł do dyspozycji - opowiadał swobodnie o "zabijaniu" i "mordach", o "zbrodniach zalegalizowanych przez państwo". Nazywał rzeczy po imieniu, w przeciwieństwie do adwokatów, którzy nieraz dali dowód poczucia wyższości swej pozycji społecznej względem Eichmanna. (Asystent Servatiusa, dr Dieter Wechtenbruch - uczeń Carla Schmitta, który uczestniczył w procesie w ciągu kilku pierwszych tygodni, następnie wyjechał do Niemiec celem zebrania zeznań od świadków obrony, po czym pojawił się znowu w sierpniu, na początku ostatniego tygodnia rozprawy - chętnie rozmawiał z reporterami poza salą sądową, sprawiając wrażenie, jak gdyby mniej był zszokowany zbrodniami Eichmanna, bardziej zaś jego brakiem gustu i wykształcenia. "To miernota - powiedział - będziemy się głowić, jak go z tego wyciągnąć" [wie wir das Wurstchen uber die Runden bringen]. Sam Servatius oświadczył-jeszcze przed rozpoczęciem procesu - że jego klient ma mentalność "zwykłego listonosza".)

Gdy Himmler zamieniał się w "umiarkowanego", Eichmann sabotował jego polecenia z odwagą, najaką go było stać, zawsze jednak w ten sposób, żeby nie opuszczało go wrażenie, iż jest "kryty" przez swoich bezpośrednich zwierzchników. „Jak Eichmann śmie sabotować rozkazy Himmlera?” - chodziło w tym wypadku o wstrzymanie pieszych marszów, jesienią 1944 roku - spytał kiedyś Kastner Wisliceny'ego. Odpowiedź brzmiała: "Prawdopo-

dobnie ma pod ręką jakiś telegram. Miiller i Kaltenbrunner na pewno go kryją". Całkiem możliwe, że Eichmann miał jakiś chaotyczny plan zlikwidowania Terezina przed nadejściem Armii Czerwonej, choć jedynym źródłem wiadomości na ten temat są wątpliwej wartości

zeznania Dietera Wisliceny'ego (który na miesiące, a może nawet na lata przed zakończeniem wojny, zaczął sobie starannie preparować alibi kosztem Eichmanna; przedstawił je potem sądowi w Norymberdze, gdzie wystąpił jako świadek oskarżenia, ale nic mu to nie pomogło, gdyż został wydany Czechosłowacji, następnie zaś osądzony i stracony w Pradze, gdzie nie miał żadnych znajomości i gdzie nie mogły mu pomóc pieniądze). Inni świadkowie twierdzili, że to Rolf Günther, człowiek Eichmanna, był autorem tego planu, oraz że było dokładnie na odwrót, jako że istniał pisemny rozkaz Eichmanna, żeby pozostawić to getto nietknięte. Jakkolwiek było, nie ulega wątpliwości, że nawet w kwietniu 1945 roku, kiedy praktycznie wszyscy stali się całkiem "umiarkowani", Eichmann, korzystając z wizyty, jaką złożył w Terezynie pan Paul Dunand ze szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, utrwalił w dokumentach, że osobiście nie aprobuje nowej linii postępowania względem Żydów, jaką narzucił Himmler.

Tak więc było bezspornym, że Eichmann przez cały czas dokładał wszelkich starań celem urzeczywistnienia Ostatecznego Rozwiązania. Problem polegał jedynie na tym, czy istotnie dowodziło to jego fanatyzmu i bezgranicznej nienawiści do Żydów, a także na tym, czy okłamał policję i popełnił krzywoprzysięstwo, twierdząc przed sądem, że zawsze wypełniał otrzymane rozkazy. Żadne inne wytłumaczenie nie przyszło sędziom do głowy, tak bardzo starali się oni zrozumieć oskarżonego i traktować go z powagą oraz w sposób promieniujący autentycznym humanitaryzmem, z czym zetknął się przypuszczalnie po raz pierwszy w swym życiu. (Dr Wechtenbruch powiedział sprawozdawcom, że Eichmann "odczuwał wielkie zaufa-

189

188

nie do sędziego Landaua", tak jakby Landau potrafił wszystko posegregować - tłumacząc owo zaufanie występującą u Eichmanna potrzebą autorytetu. Bez względu na źródło owego zaufania, uwidocznili się ono w ciągu całego procesu; tym także można wytłumaczyć tak wielkie "rozczarowanie", jakie wywołał u Eichmanna wyrok -humanitaryzm uznał on błędnie za oznakę słabości.) Fakt, że owi trzej ludzie nigdy nie zdołali go zrozumieć, może świadczyć o ich "dobroci", o ich niewzruszonej i odrobinę staroświeckiej wierze w moralne podwaliny swojej profesji. Smutna bowiem i bardzo niewygodna prawda polegała w tym wypadku prawdopodobnie na tym, że to nie fanatyzm, lecz właśnie sumienie skłoniło Eichmanna do zajęcia nieprzejednanego stanowiska w ciągu ostatniego roku wojny, podobnie jak trzy lata wcześniej skłoniło go ono na krótko do działania w przeciwnym kierunku. Eichmann wiedział, że rozkazy Himmlera stoją w sprzeczności z rozkazem fiihrera. Nie była mu do tego potrzebna znajomość jakichkolwiek rzeczywistych szczegółów, choć szczegóły takie przemówiłyby na j e go korzyść: jak to podkreślili w toku postępowania przed Sądem Najwyższym oskarżyciele, kiedy Hitler dowiedział się od Kaltenbrunn-nera o pertraktacjach w sprawie wymiany Żydów za ciężarówki, "podkopało to ogromnie w jego oczach pozycję Himmlera". Zaledwie zaś na kilka tygodni przed przerwaniem przez Himmlera eksterminacji w Oświęcimiu, Hitler - najwyraźniej nie wiedząc o jego najnowszych posunięciach - wysłał Horthy'emu ultimatum stwierdzające, iż "oczekuje, że rząd węgierski podejmie obecnie bez dalszej zwłoki działania przeciwko Żydom w Budapeszcie". Kiedy rozkaz Himmlera nakazujący przerwanie ewakuacji Żydów węgierskich dotarł do Budapesztu, Eichmann zagroził - zgodnie z telegramem wysłanym przez Yeeseimayera - że "będzie zabiegał o zmianę decyzji u fiihrera"; w wyroku uznano, że ten telegram "obciąża go bardziej niż zeznania stu świadków".

Eichmann przegrał w prowadzonej przez siebie walce z "umiarkowanymi" pod przewodnictwem Reichsführera SS i szefa policji niemieckiej. Pierwsza zapowiedź jego klęski przyszła w styczniu 1945 roku, kiedy to Obersturmbannführer Kurt Becher otrzymał awans do stopnia Standartenführera, czyli do rangi, o jakiej Eichmann marzył przez całą wojnę. (Jego opowieść, że w swojej jednostce organizacyjnej nie miał możliwości dosłużenia się wyższego stopnia, była tylko częściowo prawdziwa, mógł bowiem zostać szefem Wydziału IV B, zamiast zajmować stanowisko w sekcji IV B 4, wówczas zaś automatycznie uzyskiwałby awans. Prawda przedstawiała się w ten sposób, że ludziom w rodzaju Eichmanna, wywodzącym się z członków szeregowych, nie pozwalano nigdy awansować do stopnia wyższego niż podpułkownik, chyba że na froncie.) Również w styczniu 1945 roku Węgry zostały oswojone, Eichmanna zaś odwołano do Berlina. Tymczasem Himmler mianował j ego wroga Bechera Reichssoonderkommissarem zarządzającym wszystkimi obozami koncentracyjnymi, a Eichmann został przeniesiony ze stanowiska osoby zajmującej się "sprawami żydowskimi" na pozbawione wszelkiego znaczenia stanowisko urzędnika do "walki z Kościołami", o których zresztą niczego nie wiedział. Błyskawiczne tempo jego upadku podczas ostatnich miesięcy wojny stanowi najbardziej wymowną oznakę najgłębszej słuszności twierdzenia Hitlera, który w kwietniu 1945 roku oświadczył w swym berlińskim bunkrze, że na SS nie można już dłużej polegać.

W Jerozolimie, stojąc w obliczu dokumentów dowodzących jego niezwyklej wierności wobec Hitlera i rozkazu fuhrera, Eichmann usiłował kilkakrotnie tłumaczyć, że w czasach Trzeciej Rzeszy "słowa fuhrera miały moc prawa" (Fuhrerworte haben Gesetzeskraft), co oznaczało między innymi i to, że rozkaz pochodzący bezpośrednio od Hitlera nie musiał mieć formy pisanej. Usiłował wyjaśnić, że właśnie dlatego nie prosił nigdy o pisemny rozkaz Hitle-

190

191

ra (nigdy nie natrafiono na żaden tego rodzaju dokument odnoszący się do Ostatecznego Rozwiązania, prawdopodobnie dokumenty takie w ogóle nie istniały), żądał natomiast przedstawienia mu pisemnych rozkazów Himmlera. Ścisłe biorąc, taki stan rzeczy był zgoła niewiarygodny i napisano całe biblioteki niezwykle "uczonych" komentarzy prawniczych wykazujących jednomyślnie, że s ł o w a fuhrera, jego ustne wypowiedzi, stanowiły podstawę prawa obowiązującego w Niemczech. W ramach takiego systemu "prawnego", każdy rozkaz sprzeczny z literą bądź duchem słów wypowiedzianych przez Hitlera, był z definicji bezprawny. Sytuacja Eichmanna wykazywała zatem bardzo przykre podobieństwo do owej często przytaczanej sytuacji żołnierza, który działając w ramach normalnego systemu prawnego odmawia wykonania rozkazów stojących w sprzeczności z jego zwyczajnym poczuciem praworządności, czyli rozkazów, jakie może on uznać za przestępcze. Obfita literatura na ten temat opiera tu swoje wywody na dwuznacznym zwykle rozumieniu słowa "prawo", które w tym kontekście oznacza czasami prawo danego kraju - czyli prawo istniejące, stanowiące - czasami zaś prawo przemawiające rzekomo w duszach wszystkich ludzi identycznym głosem. Powoływanie się na jednoznaczny głos sumienia - bądź też, by użyć jeszcze bardziej mglistego języka prawników, na "powszechne poczucie człowieczeństwa" (Oppenheim-Lauterpacht w dziele *International Law*, 1952) -nie tylko uznaje problem za rozwiązany, ale także oznacza umyślne pominięcie kluczowych zjawisk moralnych, prawnych i politycznych naszego stulecia.

Wszelako o charakterze działalności Eichmanna przesądziło nie tylko jego przekonanie, że Himmler wydaje teraz rozkazy "zbrodnicze". Owym elementem osobistym, jaki wchodził

w grę, nie był jednak z pewnością fanatyzm, lecz autentyczny, "bezgraniczny i pozbawiony umiaru podziw dla Hitlera" (jak to ujął jeden ze świadków obro-

ny) - człowieka, który "z kaprała stał się kanclerzem Rzeszy". Stratą czasu byłyby próby ustalenia, co było w nim silniejsze - podziw dla Hitlera, czy też usilne postanowienie, aby pozostać lojalnym obywatelem Trzeciej Rzeszy, kiedy Niemcy legły już w gruzach. Oba motywy ponownie odegrały rolę pod sam koniec wojny, kiedy znalazł się w Berlinie i ku swemu gwałtownemu oburzeniu ujrzał, że wszyscy dokoła wykazali tyle przytomności umysłu, by podjąć starania o załatwienie sobie fałszywych dokumentów przed nadejściem Rosjan lub Amerykanów. W kilka tygodni później również Eichmann zaczął podróżować pod przybranym nazwiskiem, ale wówczas Hitler już nie żył, a "prawo krajowe" nie istniało, on zaś -jak sam podkreślił - nie był już związany złożoną niegdyś przysięgą. Różnica bowiem pomiędzy przysięgą składaną przez członków SS, a przysięgą wojskową polegała na tym, że ta pierwsza obowiązywała ich wyłącznie w stosunku do Hitlera, a nie Niemiec.

Kwestii sumienia Adolfa Eichmanna, rzeczywiście skomplikowanej, ale bynajmniej nie będącej wyjątkiem, nie da się wcale porównać z przypadkiem generałów niemieckich, z których jeden, zapytany w Norymberdze: „Jak to się stało, że wszyscy otoczeni szacunkiem generałowie mogli z tak bezwzględą lojalnością służyć zbrodniarzowi”, odpowiedział, iż "do zadań żołnierza nie należy występowanie w roli sędziego względem swego najwyższego dowódcy. Niech to uczyni historia lub Bóg w niebiosach". (Słowa generała Alfreda Jodła, powieszono go w Norymberdze.) Eichmann, człowiek z pewnością dużo mniej inteligentny i pozbawiony solidniejszego wykształcenia, zdawał sobie w każdym razie mgliście sprawę z tego, że to nie rozkaz, ale prawo zamieniało ich wszystkich w zbrodniarzy. Różnica pomiędzy rozkazem a słowami fuhrera polegała na tym, że te ostatnie posiadały ważność nie ograniczoną czasem ani przestrzenią, co stanowiło zasadniczą cechę tego pierwszego. To także było

193

192

prawdziwą przyczyną, dla której w następstwie wydania przez fuhrera rozkazu przystąpienia do Ostatecznego Rozwiązania, spłynęła istna lawina przepisów i rozporządzeń przygotowanych przez ekspertów i doradców w dziedzinie prawa, a nie tylko przez aparat administracyjny - ów rozkaz, przeciwnie niż zwykłe rozkazy, potraktowany został niczym prawo. Zbyteczne dodawać, że cały związek z tym aparat prawny -nie będący bynajmniej li tylko przejawem niemieckiej pedanterii i skrupulatności - przyczynił się bardzo skutecznie do nadania całej sprawie zewnętrznych pozorów legalności.

Podobnie zaś jak w krajach cywilizowanych zakłada się, że głos sumienia mówi każdemu "Nie zabijaj", mimo że naturalne pragnienia i skłonności człowieka mogą niekiedy mieć morderczy charakter, tak samo państwo Hitlera domagało się, aby głos sumienia powiedział wszystkim: "Zabijaj", choć organizatorzy rzezi wiedzieli doskonale, że mordowanie jest sprzeczne z normalnymi pragnieniami i skłonnościami większości ludzi. Zło w Trzeciej Rzeszy utraciło tę cechę, po której większość ludzi je rozpoznaje - przestało być pokusą. Wielu Niemców i wielu na-zistów - przypuszczalnie przeważająca ich większość -musiała odczuwać pokusę żeby n i e mordować, n i e grabić, n i e przypatrywać się obojętnie, jak ich sąsiedzi idą na zagładę (bo oczywiście wiedzieli, że Żydów wywozi się na zagładę, choć ponure szczegóły mogły być wielu z nich nieznane) i żeby nie przyjąć współnictwa w tych wszystkich zbrodniach przez czerpanie z nich korzyści. Bógjed-nak świadkiem, że nauczyli się opierać tym pokusom.

ROZDZIAŁ IX

Deportacje z Rzeszy: Niemcy, Austria i Protektorat

W okresie pomiędzy konferencją w Wannsee w styczniu 1942 roku, kiedy to Eichmann poczuł się niewinnym jak Poncjusz Piłat i umył ręce, a rozkazami Himmlera z lata i jesieni 1944 roku, kiedy za plecami Hitlera wycofywano się z Ostatecznego Rozwiązania, jak gdyby dokonana rzeź była niczym więcej niż pożałowania godną pomyłką - Eichmanna nie trapiły żadne wyrzuty sumienia. Jego myśli zaprzętała bez reszty natrafiająca na coraz większe trudności praca organizatora i administratora działającego nie tylko w wirze wojny światowej, lecz także - co było dlań ważniejsze - wśród niezliczonych intryg i walk o strefy wpływów pomiędzy różnymi organami państwa i partii, które trudniły się "rozwiązaniem kwestii żydowskiej". Głównymi rywalami Eichmanna byli wyżsi dowódcy SS i policji, którzy znajdowali się pod bezpośrednią komendą Himmlera, mieli do niego łatwy dostęp i zawsze przewyższali Eichmanna rangą. Do tego dochodziło Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które pod kierownictwem nowego podsekretarza stanu doktora Martina Luthera, protegowanego Ribbentropa (Luther podjął w 1943 roku próbę usunięcia Ribbentropa drogą wymyślonej intrygi; nie powiodło mu się i zginął w obozie koncentracyjnym. Jego następcą został radca poselstwa Eberhard von Thadden, występujący na procesie jerozolimskim jako świadek obrony), przejawiało wielką aktywność w kwestiach żydowskich. Sporadycznie wydawało ono rozkazy deportacji, których wykonaniem mieli się zająć jego zagraniczni przedstawiciele, którzy woleli z powodów prestiżowych

195

działać za pośrednictwem wyższych dowódców SS i policji. Następnie - dowódcy armii na okupowanych terytoriach wschodnich, którzy woleli rozwiązywać problemy "na miejscu", co oznaczało rozstrzelanie, podczas gdy wojskowi w krajach zachodnich ociągali się zawsze ze współpracą i wykorzystywaniem swoich oddziałów do urządzania obław na Żydów. Na koniec zaś w grę wchodził gau-leiterzy czyli regionalni namiestnicy, z których każdy pragnął jako pierwszy obwieścić, że podległe mu terytorium jest "oczyszczone z Żydów"; niekiedy przystępowali oni do akcji deportacyjnej z własnej inicjatywy.

Eichmann musiał koordynować wszystkie te "wysiłki", aby wprowadzić jakiś ład do tego, co określił mianem "kompletnego chaosu", charakteryzującego się tym, że "każdy wydawał własne rozkazy" i "robił, co mu się żywnie podobało". W istocie udało mu się - choć nigdy całkowicie - zdobyć kluczową pozycję w całej tej operacji, ponieważ jego urząd dostarczał środków transportu. Według zeznań doktora Rudolfa Mildnera, szefa gestapo na Górnym Śląsku (gdzie był położony Oświęcim), a później szefa policji bezpieczeństwa na terenie Danii, występującego w Norymberdze jako świadek oskarżenia - rozkazy o deportacji, wydawane na piśmie przez Himmlera, otrzymywał Kaltenbrunner, szef RSHA, który powiadamiał o nich Miillera, naczelnika Gestapo, bądź Wydział IV RSHA; ten zaś przekazywał rozkazy ustnie swemu referentowi w IV B 4, czyli Eichmannowi. Himmler wydawał także rozkazy lokalnym wyższym dowódcom SS i policji, informując o nich Kaltenbrunnera. Rozstrzygnięcie takich zagadnień, jak: co trzeba zrobić z deportowanymi Żydami, ilu z nich powinno się zgładzić, a ilu oszczędzić do ciężkich robót - należało również do Himmlera. Jego rozkazy dotyczące tych kwestii szły do WVHA Pohla, skąd przekazywano je Richardowi Gliicksowi, inspektorowi obozów koncentracyjnych oraz obozów zagłady, który z kolei rozsyłał je komendantom poszczególnych obozów.

Oskarżyciele zlekceważyli owe dokumenty z procesów norymberskich, ponieważ zaprzeczały ich tezie o niesłychanej władzy skupionej w rękach Eichmanna. Obrona wspomniała o zeznaniach Mildnera, ale bez większego skutku. Sam Eichmann-po "konsultacjach z Poliakovem i Reitlingerem" - sporządził siedemnaście wielobarwnych plansz, które w małym stopniu przyczyniły się do lepszego zrozumienia skomplikowanej maszyny biurokratycznej Trzeciej Rzeszy, jakkolwiek poczynione przezeń ogólne stwierdzenie - "wszystko podlegało bez przerwy ustawicznym zmianom, jak rwący strumień" - brzmi przekonująco dla badacza totalitaryzmu, gdyż zdaje on sobie sprawę, iż monolityczność tej formy rządzenia jest mitem. Mimo to przypominał sobie mgliście, jak jego własni ludzie, doradcy w sprawach żydowskich ze wszystkich okupowanych i półniezawisłych krajów, przysyłali mu raporty wyliczające akcje "w ogóle możliwe do podjęcia w praktyce" i jak następnie przygotowywał "raporty, które były później aprobowane lub odrzucane", a także jak Miiller wydawał wówczas swoje polecenia. "W praktyce mogło to oznaczać, że propozycja, która nadeszła z Paryża lub Hagi, wracała w dwa tygodnie później do Paryża lub Hagi w formie dyrektywy zaaprobowanej przez RSHA". Pozycję Eichmanna można porównać z funkcją najważniejszego pasa transmisyjnego w całej operacji, ponieważ to on decydował zawsze, ilu Żydów można lub trzeba było przetransportować z danego obszaru, a jego biuro umożliwiało ostateczne dotarcie transportu do miejsca przeznaczenia, choć nie ono miejsce to ustalało. Ale trudności z synchronizacją odjazdów i przyjazdów, nie kończące się utarczki mające na celu uzyskanie dostatecznej liczby wagonów od władz kolejowych i Ministerstwa Transportu, ustalenie rozkładów jazdy i skierowanie pociągów do ośrodków o "odpowiedniej zdolności wchłaniania", zgromadzenie dostatecznej liczby Żydów we właściwym czasie, ażeby "nie marnować" podstawio-

197

196

nych wagonów; zapewnienie współpracy ze strony władz okupowanych lub sprzymierzonych w dokonywaniu aresztowań, przestrzeganie zasad i rozporządzeń dotyczących różnych kategorii Żydów, które formułowane były oddzielnie dla każdego kraju i podlegały ustawicznym zmianom - wszystko to stało się działaniem rutynowym, którego szczegóły Eichmann zapomniał na długo przed doprowadzeniem go przed sąd wjerezolimie.

To, co dla Hitlera - wyłącznego i działającego w pojedynkę potajemnego autora Ostatecznego Rozwiązania (żaden spisek, jeśli był to spisek, nie potrzebował nigdy mniej spiskowców i więcej wykonawców) - stanowiło jeden z zasadniczych celów wojny, którego realizacji przyznano absolutne pierwszeństwo, bez względu na okoliczności natury wojskowej bądź ekonomicznej, a co dla Eichmanna było pracą, której towarzyszyła codzienna rutyna oraz momenty wzlotów i upadków - stało się dla Żydów całkiem dosłownie końcem świata. Od setek lat przywykli oni do pojmowania swej historii - słusznie lub niesłusznie-w kategoriach długiej opowieści o cierpieniach, mniej więcej w ten sam sposób, w jaki opisał je w swej początkowej mowie na procesie główny oskarżyciel. U podstaw takiej postawy kryło się jednak z dawien dawna przekonanie o ostatecznym zwycięstwie, wyrażone w słowach Am Yisrael Chai - naród Izraela będzie żył: pojedynczy Żydzi, całe żydowskie rodziny mogą stracić życie w wyniku pogromów, całe gminy mogą zostać starte z powierzchni ziemi, ale naród przetrwa. Nigdy dotąd Żydzi nie stanęli w obliczu ludobójstwa. Go więcej, dawna pociecha przestała już skutkować, przynajmniej na terenie Europy Zachodniej. Od czasów starożytnego Rzymu, to znaczy od początku historii Europy, Żydzi na dobre i złe, uczestnicząc w chwilach jej niedoli i świetności, należeli do europejskiej wspólnoty narodów.

Ale w ciągu ostatnich 150 lat były to głównie chwile dobre, świetność zaś przejawiała się przy tak licznych okazjach, że uznali

ten stan rzeczy za regułę, stąd też owa wiara w ostateczne przetrwanie narodu nie miała już większego znaczenia dla wielkich odłamów społeczności żydowskiej, których członkowie tak samo nie umieli sobie wyobrazić życia żydowskiego poza ramami cywilizacji europejskiej, jak nie byli w stanie roztoczyć przed sobą obrazu Europy "oczyszczonej z Żydów".

Ów koniec świata, choć miał przebieg bardzo monotony, przybrał prawie tyle samo różnych form i postaci, ile było krajów Europy. Nie stanowi to niespodzianki dla historyka, któremu nieobce są dzieje formowania się narodów europejskich i powstania systemu państw narodowych, okazało się jednak wielkim zaskoczeniem dla nazi-stów, szczerze przekonanych, że antysemityzm może odegrać rolę wspólnego mianownika jednoczącego całą Europę. Był to kolosalny błąd, za który przyszło drogo zapłacić. Okazało się rychło, że w praktyce, choć może nie w teorii, istnieją wielkie różnice pomiędzy antysemitami z różnych krajów. [...] Właściwej nienawiści do Żydów brakowało przede wszystkim narodom skandynawskim (wyjątkiem byli Knut Hamsun i Sven Hedin) blisko spokrewnionym wedle nazistów z Germanami.

Koniec świata rozpoczął się naturalnie w Rzeszy niemieckiej, która obejmowała wówczas nie tylko Niemcy, lecz także Austrię, Protektorat Czech i Moraw oraz zabrane Polsce jej tereny zachodnie. Na tym ostatnim obszarze, zwanym przez Niemców Warthegau, Żydów wysiedlano wraz z Polakami w kierunku wschodnim od momentu rozpoczęcia wojny. Działo się to w ramach pierwszej wielkiej akcji przesiedleńczej na Wschodzie - orzeczenie Sądu Okręgowego wjerezolimie określiło ją mianem "zorganizowanej wędrówki ludów" - natomiast Polaków pochodzenia niemieckiego (Volksdeutsche) przenoszono na Zachód - "z powrotem do Rzeszy". Himmler, występujący jako Komisarz Rzeszy do Spraw Umacniania Żywiotu Niemieckiego, powierzył Heydrichowi kwe-

199

198

stię owej "emigracji i ewakuacji", a w styczniu 1940 roku powstał pierwszy oficjalny wydział Eichmanna w RSHA -referat IV D 4. Mimo że funkcja ta miała stać się administracyjną odskocznią do jego późniejszej posady w referacie IV B 4, praca, jaką wykonywał tu Eichmann, była zaledwie rodzajem przyuczenia do zawodu, okresem przejściowym pomiędzy zmuszaniem ludzi do emigracji, czym zajmował się dawniej, a zadaniem na przyszłość, czyli deportacją. Po raz pierwszy zajął się deportacjami jeszcze nie w ramach Ostatecznego Rozwiązania - działo się to przed oficjalnym rozkazem Hitlera. Z perspektywy wydarzeń późniejszych, można uznać tę działalność za rodzaj sprawdzianu, eksperyment z zagłada. Pierwszą taką wprawką była deportacja 1300 Żydów ze Szczecina, przeprowadzona w ciągu jednej nocy, 13 lutego 1940 roku. Był to pierwszy przypadek deportacji Żydów niemieckich, a Heydrich zarządził ją pod pretekstem "istnienia pilnej potrzeby wykorzystania zajmowanych przez nich mieszkań do celów związanych z gospodarką wojenną". W sposób szczególnie brutalny wyekspediowano ich w okolice Lublina. Następną deportacją miała miejsce jesienią tegoż roku: wszystkich Żydów z Badenii i okręgu Saary -około 7,5 tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci - wywieziono, jak już wcześniej wspomniałam, na teren nieokupowanej Francji, co stanowiło nie lada sztuczkę, ponieważ rozejm francusko-niemiecki nie zawierał żadnych ustaleń, z których miałyby wynikać, że Francja Petaina może pełnić rolę śmietnika dla Żydów. Eichmann musiał osobiście

towarzyszyć transportowi, ażeby przekonać francuskiego naczelnika granicznej stacji kolejowej, że chodzi o "transport wojskowy".

Obie operacje cechował absolutny brak późniejszych drobiazgowych przygotowań "prawnych". Nie wydano jeszcze żadnych ustaw pozbawiających Żydów ich obywatelstwa w momencie deportacji z Rzeszy; zamiast niezliczonych formularzy, jakie Żydzi musieli wypełniać w ra-

mach procedury konfiskaty ich mienia, Żydzi szczecińscy podpisali po prostu ogólny akt zrzeczenia się wszelkich pretensji do wszystkiego, co posiadali. Widać wyraźnie, że celem owych pierwszych deportacji nie było sprawdzenie aparatu administracyjnego. Chodziło raczej o sprawdzian natury ogólnopolitycznej: czy uda się zmusić Żydów do tego, by bez żadnego uprzedzenia, w środku nocy poszli o własnych siłach na zatrąkę, niosąc z sobą swoje walizki; jaka będzie reakcja ich sąsiadów, gdy rankiem zastaną puste mieszkania, wreszcie zaś - co nie mniej ważne - w wypadku Żydów badenkich, jak rząd obcego kraju zareaguje na niespodziewany prezent w postaci kilku tysięcy żydowskich "uchodźców". Wedle oceny naziistów, sprawdzian wypadł bardzo pomyślnie. W Niemczech doszło do kilku interwencji na rzecz "przypadków szczególnych" - na przykład na rzecz poety Alfreda Momberta, wywodzącego się z kręgu Stefana Georgego; Mombertowi pozwolono wyjechać do Szwajcarii - ale trudno sobie wyobrazić bardziej obojętną reakcję ogółu ludności. (Przypuszczalnie to właśnie wtedy Heydrich uświadomił sobie, jak istotne znaczenie ma oddzielenie Żydów ustosunkowanych od anonimowej masy i podjął decyzję - za zgodą Hitlera - o założeniu Terezina i Bergen-Belsen.) We Francji poszło jeszcze lepiej: rząd Vichy umieścił wszystkich (7,5 tysiąca) Żydów z Badenii w osławionym obozie koncentracyjnym w Gurs, u stóp Pirenejów, zbudowanym pierwotnie z myślą o żołnierzach Republiki Hiszpańskiej, a przeznaczonym od maja 1940 roku dla tak zwanych refugies provenant d'Allemagne, którzy w znakomitej większości byli oczywiście Żydami. (Kiedy przystąpiono do realizacji Ostatecznego Rozwiązania we Francji, wszystkich więźniów obozu w Gurs wywieziono do Oświęcimia.) Naziści, przejawiający zawsze wielką skłonność do uogólnień, sądzili, że zdołali wykazać, iż Żydzi są wszędzie "elementem niepożądanym", a każdy nie-Żyd to rzeczywisty bądź potencjalny antysemita. Czemuż więc

200

201

miałoby komukolwiek przeszkadzać, że podejną do tego problemu w sposób "radikalny"? Znajdując się ciągle pod wpływem tych zwodniczych uogólnień, Eichmann nie przestawał się żalić w Jerozolimie, że żaden kraj nie przejawiał gotowości do przyjęcia Żydów i że stanowiło to wyłączny powód wszelkich nieszczęść. (Tak jakby owe społeczeństwa zorganizowane europejskie państwa narodowe mogły zareagować inaczej, gdyby nagle zwała się na nie jakakolwiek inna grupa obcokrajowców, przybywających hordami bez paszportów, bez grosza przy duszy i najmniejszej znajomości języka!) Jednakże, ku ciągłemu zaskoczeniu hitlerowskich funkcjonariuszy, nawet zdeklarowani antysemita z obcych krajów nie zdradzali ochoty do tego, żeby być "konsekwentnymi", wykazując przy tym pożałowania godną skłonność do unikania "radikalnych" posunięć. Niewielu z nich dało temu równie szczerzy wyraz, jak pewien pracownik ambasady hiszpańskiej w Berlinie - "Gdybyż można było mieć pewność, że nie zostaną zlikwidowani" - powiedział on w odniesieniu do około 600 Żydów pochodzących z Hiszpanii, którzy otrzymali paszporty hiszpańskie, choć nigdy nie mieszkali w tym kraju, a których rząd generała Franco bardzo chętnie przekazałby jurysdykcji niemieckiej - jednak przeważająca większość tych ludzi myślała dokładnie takimi katego-

riami.

Po pierwszych eksperymentach nastąpił zastój w dziedzinie deportacji - widzieliśmy już, jak Eichmann wykorzystał ów okres przymusowej bezczynności na zabawianie się rojeniami o Madagaskarze. Jednak w marcu 1941 roku, w czasie przygotowań do wojny z Rosją, otrzymał nagle kierownictwo nowej podsekcji, właściwie zaś kierowaną przez niego podsekcję przemianowano z emigracyjno-ewakuacyjnej na zajmującą się sprawami żydowskimi i ewakuacją. Odtąd, mimo że nie poinformowano go jeszcze o Ostatecznym Rozwiązaniu, powinien był zdać sobie sprawę nie tylko z tego, że emigracja nieodwołalnie do-

biegła końca, lecz także z tego, że jej miejsce zająć ma deportacja. Eichmann nie należał jednak do ludzi wyłapujących aluzje, a ponieważ nikt nie oświadczył mu jeszcze nic odmiennego, myślał nadal kategoriami okresu emigracji. Toteż na spotkaniu z przedstawicielami MSZ, w październiku 1940 roku, na którym przedstawiono propozycję, żeby pozbawić obywatelstwa wszystkich Żydów niemieckich przebywających za granicą, Eichmann wyraził wobec niej energiczny sprzeciw, twierdząc, że takie "posunięcie mogłoby oddziaływać na inne kraje, które w chwili obecnej są wciąż gotowe otworzyć swe wrota przed imigrantami żydowskimi i przyznać im wizy wjazdowe". Nigdy nie wychodził myślami poza wąskie ramy wszelkich obowiązujących w danym momencie ustaw i dekrétów, a lawina nowych antysemitycznych aktów prawnych spadła na Żydów zamieszkałych w Rzeszy dopiero po oficjalnym przekazaniu rozkazu Hitlera o przystąpieniu do Ostatecznego Rozwiązania jego wykonawcom. Postanowiono równocześnie, że Rzeszy należy przyznać absolutne pierwszeństwo i jak najszybciej "oczyścić z Żydów" jej terytorium. Aż dziw, że wykonanie tego zadania zabrało jednak dwa lata. Wstępne rozporządzenia - które wkrótce posłużyły za wzór wszystkim innym krajom - obejmowały: 1) wprowadzenie żółtej gwiazdy (1 września 1941 roku), 2) zmianę w ustawie o obywatelstwie, stanowiącą, iż Żyda nie można uważać za obywatela niemieckiego, jeżeli mieszka poza granicami Rzeszy (skąd oczywiście należało go deportować), 3) dekret, zgodnie z którym mienie Żydów niemieckich pozbawionych obywatelstwa podlegało w całości konfiskacie na rzecz Rzeszy (25 listopada 1941 roku). Przygotowania wstępne zwieńczyło porozumienie zawarte pomiędzy Ottonem Thierackiem, ministrem sprawiedliwości i Himmlerem, na mocy którego ten pierwszy zrzekł się jurysdykcji nad "Polakami, Rosjanami, Żydami oraz Cyganami" na rzecz SS, gdyż "Ministerstwo Sprawiedliwości jedynie w niewielkim stopniu może się przy-

203

202

czynić do eksterminacji [sic] tych narodów". (Warto zwrócić uwagę na ten nazywający rzeczy po imieniu język listu datowanego w październiku 1942 roku, jaki minister sprawiedliwości przesłał Martinowi Bormannowi, szefowi Kancelarii NSDAP.) Nieco odmiennie dyrektywy trzeba było wydać w odniesieniu do osób deportowanych do Te-rezina, ponieważ -jako że Terezin leżał na terytorium Rzeszy - deportowani tam Żydzi nie stawali się automatycznie bezpaństwowcami. W wypadku owych "kategorii uprzywilejowanych" dawna ustawa z roku 1933 pozwalała władzom na konfiskatę mienia wykorzystywanego w działalności "wrogiej wobec państwa i narodu". Ten rodzaj konfiskaty stał się zwyczajem w wypadku więźniów politycznych umieszczanych w obozach koncentracyjnych i choć Żydzi nie zaliczali się do tej kategorii osób - wszystkie obozy koncentracyjne na terenie Niemiec i Austrii zostały "oczyszczone z Żydów" do jesieni 1942 roku - wystarczyło tylko jedno dodatkowe rozporządzenie, wydane w marcu 1942 roku, żeby uznać wszystkich

deportowanych Żydów za "wrogów narodu i państwa". Naziści odnosili się do wydawanych przez siebie aktów prawnych z wielką powagą i choć w rozmowach między sobą używali określeń "getto Terezin" lub "getto starców", oficjalnie zaklasyfikowano Terezin do obozów koncentracyjnych, jedynymi zaś ludźmi, którzy o tym nie wiedzieli - nie chciano ranić ich uczuć, bo owo "miejsce pobytu" zarezerwowane zostało dla "przypadków szczególnych" - byli więźniowie. Żeby zaś mieć pewność, że umieszczeni tam Żydzi nie nabiorą podejrzeń, berlińskiemu Związkwowi Żydowskiemu (Reichsvereinigung) nakazano podpisywać z każdym poszczególnym deportowanym umowę o "obranii miejsca pobytu" w Terezynie. Sygnatariusz przekazywał całe swoje mienie Związkwowi Żydowskiemu, w zamian za co Związek zapewniał mu dożywotnio mieszkanie, wyżywienie, odzież, opiekę medyczną. A kiedy ostatni funkcjonariusze Reichsvereinigung sami powędrowali do Tere-

204

zina, znaczną ilość pieniędzy znajdującą się wówczas w skarbcu Związku Rzesza po prostu skonfiskowała.

Organizacją i koordynacją wszystkich deportacji z zachodu na wschód zajmował się Eichmann i jego współpracownicy z sekcji IV B 4 w RSHA. Tego faktu nigdy nie poddawano w wątpliwość podczas procesu. Ale żeby załadować Żydów do pociągów, Eichmannowi potrzebna była pomoc zwykłych formacji policyjnych - na terenie Niemiec strzegła pociągów i rozstawiała na posterunkach konwojentów Policja Porządkowa, na Wschodzie zaś oczekiwała na przyjęcie transportów w miejscach przeznaczenia i przekazywała więźniów władzom ośrodków zagłady Policja Bezpieczeństwa (której nie należy mylić z Himmlerowską Służbą Bezpieczeństwa, SD). Sąd jerozolimski posługiwał się listą "organizacji przestępczych" ustaloną w Norymberdze, co oznaczało, że nie padła żadna wzmianka ani o Policji Porządkowej, ani o Policji Bezpieczeństwa, mimo że w momencie procesu aktywny współdziałał tych formacji w urzeczywistnianiu Ostatecznego Rozwiązania był już obficie udokumentowany. Nawet jednak gdyby wszystkie formacje policyjne zostały dodane do owych czterech organizacji uznanych za "przestępcze" - to jest wyższy aparat NSDAP, Gestapo, SD i SS - rozróżnienie poczynione w Norymberdze i tak nie odpowiadałoby i nie dałoby się zastosować w rzeczywistości Trzeciej Rzeszy. W istocie bowiem nie istniała w Niemczech ani jedna organizacja lub instytucja publiczna, która by - przynajmniej podczas wojny - nie uwikłała się w działalność i transakcje o charakterze przestępczym.

Od momentu rozwiązania kłopotliwej kwestii interwencji na rzecz pewnych osób - rozwiązaniem tym było założenie Terezina - "radykalne" i "ostateczne" rozwiązanie napotykało dwie przeszkody. Pierwszą był problem pół-Żydów, których "radykałowie" chcieli deportować razem z Żydami stuprocentowymi, a "umiarkowani" wysterylizować - bo zgoda na zabicie pół-Żydów oznaczała wyrzeczenie się "niemieckiej połowy krwi płynącej w ich ży-

205

łach", jak się wyraził na konferencji w Wannsee Stuckart z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. (W rzeczywistości nie podjęto nigdy żadnych decyzji co do Mischlingów, czyli Żydów, którzy wstąpili w mieszane związki małżeńskie; "las trudności" - określenie Eichmanna - otaczał ich i chronił, przede wszystkim zaś ich nieżydowscy krewni, a także i ten deprymujący fakt, że nazistowscy lekarze - wbrew wszystkim swym obietnicom - nigdy nie wynaleźli szybkiego sposobu masowej sterylizacji.) Drugim problemem była obecność w Niemczech kilku tysięcy Żydów z obcych krajów, których nie można było pozbawić posiadanego przez nich obywatelstwa w drodze deportacji. Kilkuset Żydów amerykańskich i angielskich internowano i przetrzymywano z myślą o wymianie, ale metody traktowania

obywateli państw neutralnych bądź sprzymierzonych z Niemcami są na tyle interesujące, że warto je odnotować, tym bardziej że odegrały pewną rolę w procesie. Właśnie w związku z tymi ludźmi oskarżono Eichmanna o przejawianie przesadnej gorliwości w zabiegach o to, by nie wymknął mu się ani jeden Żyd. Gorliwość tę podzielali z nim -jak powiada Reitlinger - "zawodowi biurokraci z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, traktujący uniknięcie przez garstkę Żydów tortur i powolnej śmierci jako sprawę najwyższej wagi", z którymi Eichmann musiał się konsultować we wszystkich tego rodzaju wypadkach. Co się tyczy Eichmanna, najprostszym i najbardziej logicznym rozwiązaniem była dla niego deportacja wszystkich Żydów, bez względu na posiadane przez nich obywatelstwo. Zgodnie z wytycznymi konferencji w Wannsee, która przypadła na okres największych triumfów Hitlera, Ostateczne Rozwiązanie miało objąć wszystkich Żydów europejskich - liczbę ich szacowano na 11 milionów - a o sprawach takich, jak obywatelstwo czy suwerenne prawa państw sojusznicznych i neutralnych nawet nie wspomniano. Nawet jednak w najpomysłniejszym okresie wojny Niemcy musiały zapewnić sobie wszę-

dzie współpracę i dobrą wolę czynników lokalnych, toteż tych formalnych drobiazgów nie można było lekceważyć. Zadanie znalezienia wyjścia z owego "lasu trudności" powierzono doświadczonym dyplomatom z MSZ, najprzemysłniejsze rozwiązania polegały na wykorzystaniu Żydów zagranicznych przebywających na terytorium Niemiec do sprawdzenia ogólnej atmosfery panującej w ich ojczystych krajach. Metoda, jaką się posłużono, była prosta, acz poniekąd subtelna, z pewnością zaś wykraczała daleko poza zdolności intelektualne i zmysł polityczny Eichmanna. (Potwierdził to dokumentalny materiał dowodowy. Listy w tych sprawach kierowane przez jego departament do MSZ nosiły podpisy Kaltenbrunnera bądź Miillera.) MSZ informował listownie władze innych krajów, że w Rzeszy niemieckiej odbywa się proces "oczyszczania z Żydów", wobec czego zachodzi pilna konieczność wezwania Żydów będących obywatelami obcych państw do ich krajów ojczystych, w przeciwnym razie zostaną objęci działaniami antyżydowskimi. Z tego ultimatum wyczytać można było więcej, niż by się wydawało. Żydzi zagraniczni byli z reguły naturalizowanymi obywatelami swoich krajów, albo też - co gorsza - byli w istocie bezpaństwowcami, którzy uzyskali jednak, w oparciu o bardzo wątpliwe metody, paszporty skutkujące dopóty, dopóki ich właściciele przebywali za granicą. Dotyczyło to zwłaszcza krajów Ameryki Łacińskiej, których konsulowie nie kryli się wcale ze sprzedażą paszportów Żydom; szczęśliwi posiadacze takich paszportów dysponowali wszelkimi prawami, włącznie z pewną formą ochrony konsularnej, z wyjątkiem prawa wjazdu do własnej "ojczyzny". Stąd też ultimatum MSZ miało na celu uzyskanie od obcych rządów zgody na objęcie Ostatecznym Rozwiązaniem przynajmniej tych Żydów, którzy jedynie nominalnie byli obywatelami swoich krajów. Czyż nie było logiczne przypuszczenie, że rząd nie zdradzający wielkiej ochoty do przyznania azylu kilkuset lub kilku tysiącom

207

206

Żydów, którzy w żadnym wypadku nie mogli liczyć na uzyskanie prawa stałego pobytu na podlegającym temu rządowi terenie - że rząd taki najprawdopodobniej nie zgłosi poważniejszych zastrzeżeń, kiedy nadejdzie dzień, w którym rozpocznie się wypędzanie i eksterminacja całej społeczności żydowskiej? Może i było to logiczne, ale nie było rozsądne, jak się wkrótce przekonamy.

30 czerwca 1943 roku - znacznie później, niż spodziewał się Hitler - ogłoszono Rzesze, czyli Niemcy, Austrię i Protektorat, za "oczyszczonej z Żydów" Judenrein. Nie są znane

dokładne liczby deportowanych z tego obszaru Żydów, wiemy jednak, że z 265 tysięcy ludzi, którzy - według statystyk niemieckich - zostali przeznaczeni do deportacji bądź deportowani w okresie do stycznia 1942 roku - ocalało bardzo niewiele, może kilkuset, najwyżej kilku tysiącom udało się ukryć i dotrzeć do zakończenia wojny. Najlepszą ilustracją niezwyklej łatwości, z jaką uspokojono sumienie współziomków Żydów, może być oficjalne uzasadnienie deportacji, zawarte w okólniku wydanym przez Kancelarię Partii jesienią 1942 roku: "Leży w naturze rzeczy, że te pod pewnymi względami bardzo trudne problemy można rozwiązać z korzyścią dla trwałego bezpieczeństwa naszego narodu jedynie zachowując n i e-ugiętą twardość serca" (rucknichtsloser Hdrte) [moje podkreślenie - H. A.].

ROZDZIAŁ X

Deportacje z Europy Zachodniej: Francja, Belgia, Holandia, Dania, Włochy

"Nieugiętą twardość serca", ową cechę otaczaną przez władców Trzeciej Rzeszy najwyższą estymą, określa się często w powojennych Niemczech - celujących w sposób iście genialny w nienazywaniu do końca tego, co wiąże się z ich nazistowską przeszłością-jakoungut (niedobrą), jak gdyby ludziom obdarzonym tą cechą można było zarzucić jedynie pożałowania godne niestosowanie się w działaniu do wymogów chrześcijańskiego miłosierdzia. Tak czy inaczej, ludzie posyłani przez Eichmanna do innych krajów w charakterze "doradców do spraw żydowskich" - włączani w skład oficjalnych przedstawicielstw dyplomatycznych, sztabów wojskowych bądź lokalnych komend Policji Bezpieczeństwa - wybierani byli bez wyjątku dlatego, że w najwyższym stopniu posiadali tę właśnie zaletę. Wydaje się, że początkowo, w okresie pomiędzy jesienią 1941 i zimą 1942 roku, główne ich zadanie polegało na nawiązaniu właściwych stosunków z innymi oficjalnymi osobistościami niemieckimi na terenie krajów, o których mowa, zwłaszcza zaś z ambasadami Niemiec w formalnie suwerennych państwach oraz z komisarzami Rzeszy na terytoriach okupowanych; w obu wypadkach wystąpił trwały konflikt w kwestii jurysdykcji w sprawach żydowskich.

W czerwcu 1942 roku Eichmann zawiązywał swych doradców z Francji, Belgii i Holandii, aby opracować plany deportacji z tych krajów. Rozkaz Himmlera przyznawał rancji absolutne pierwszeństwo w operacji "przechesywania Europy z Zachodu na Wschód", po części z powodu wielkiego znaczenia owego nationparexcellence, po czę-

209

ści zaś dlatego, że rząd Ylchy wykazywał rzeczywiście zdumiewające "zrozumienie" problemu żydowskiego i z własnej inicjatywy wprowadził bardzo rozbudowane ustawodawstwo antyżydowskie - powołał nawet specjalny Departament Spraw Żydowskich, którym kierował najpierw Xavier Yallant, nieco później zaś Darquier de Pellepoix, obaj znani antysemitami. Na zasadzie przyzwolenia na francuską odmianę antysemityzmu, ściśle powiązaną z silnie szowinistyczną ksenofobią rozpowszechnioną we wszystkich warstwach społeczeństwa francuskiego, akcja miała się zacząć od Żydów zagranicznych. Ponieważ zaś od roku 1942 ponad połowę przebywających we Francji Żydów zagranicznych stanowili bezpaństwowcy - uchodźcy i emigranci z Rosji, Niemiec, Austrii, Polski, Rumunii i Węgier - czyli z krajów, które znalazły się pod okupacją niemiecką lub wprowadziły ustawodawstwo antyżydowskie przed wybuchem wojny - postanowiono rozpocząć od deportacji Żydów bezpaństwowych, których liczbę szacowano na 100 tysięcy. (Ogólna liczba Żydów zamieszkujących we Francji wynosiła wówczas dobrze ponad 300 tysięcy. W roku 1939, przed napływem fali uchodźców z Belgii i Holandii wiosną 1940 roku, wynosiła ona około 270 tysięcy, z czego co najmniej 170 tysięcy stanowili Żydzi zagraniczni lub za granicą

urodzeni.) 50 tysięcy spośród nich miano jak najszybciej ewakuować ze strefy okupowanej i z Francji Petainowskiej. Było to spore przedsięwzięcie, wymagające nie tylko aprobaty rządu Vichy, lecz także czynnej współpracy policji francuskiej, która miała wykonać zadanie spełniane w Niemczech przez Policję Porządkową. Początkowo nie wystąpiły jakiegokolwiek trudności, gdyż -jak to ujął Pierre Laval pełniący pod rządami marszałka Petaina funkcję premiera - "Żydzi zagraniczni byli we Francji zawsze problemem", wobec czego "rząd francuski wyraził zadowolenie z faktu, że zmiana stosunku Niemiec do tej kategorii osób stworzyła Francji możliwość pozbycia się ich". Należy dodać, że Laval i Pe-

tain myśleli o przesiedleniu owych Żydów na Wschód, nie wiedzieli jeszcze, co oznacza słowo "przesiedlenie".

Uwaga sądu jerozolimskiego skupiła się zwłaszcza na dwóch incydentach, które wydarzyły się latem 1942 roku, w kilka tygodni po rozpoczęciu całej operacji. Pierwszy dotyczył transportu, który powinien był opuścić Bordeaux w dniu 15 lipca; termin ten został odwołany, ponieważ w Bordeaux udało się znaleźć jedynie 150 bezpiecznych Żydów - zbyt mało, żeby wypełnić pociąg uzyskany przez Eichmanna przy sporych trudnościach. Bez względu na to, czy Eichmann dostrzegł w tym pierwszą oznakę wskazującą, że rzecz może się okazać nie taka łatwa, jak wszyscy sądzili - faktem jest, że wpadł w wielką ekscytację, tłumacząc swym podwładnym, że to "sprawa prestiżu", nie w oczach Francuzów, a Ministerstwa Transportu, które mogło wyrobić sobie błędny pogląd na skuteczność działania jego aparatu. Dodał również, że gdyby podobny incydent się powtórzył, będzie "zmuszony zastanowić się, czy z Francji nie należy w ogóle zrezygnować, jeśli chodzi o akcję ewakuacyjną". W Jerozolimie potraktowano tę groźbę nadzwyczaj poważnie, upatrując w niej dowód potęgi Eichmanna -jeśli zechciał, mógł "zrezygnować" z Francji. W rzeczywistości była to typowa dla Eichmanna groteskowa przechwałka, mająca dowodzić jego "władzy kierowniczej", z pewnością jednak nie będąca "dobrym świadectwem [...] pozycji, jaką zajmował w oczach swych podwładnych", z tym tylko wyjątkiem, że zagroził im jawnie utratą bardzo wygodnych w czasie wojny posadek. O ile jednak incydent w Bordeaux był farszą, o tyle drugi z nich stał się punktem wyjścia jednej z najbardziej przerażających spośród licznych opowieści, od których podnoszą się włosy na głowie, przedstawionych w Jerozolimie. Była to opowieść o czterech tysiącach dzieci odebranych rodzicom, którzy znajdowali się już w drodze do Oświęcimia. Dzieci zatrzymano we francuskim punkcie zbiorczym, obozie koncentracyjnym w Drancy i 10 lip-

211

210

ca przedstawiciel Eichmanna na Francję, Hauptsturmführer Theodor Dannecker, zatelefonował do niego z pytaniem, co z nimi zrobić. Eichmann potrzebował dziesięciu dni na podjęcie decyzji; wreszcie odtelefonował Danneckera, że "jak tylko będzie można wznowić transporty do Generalnej Guberni, uruchomi się także transporty dzieci". Dr Servatius podkreślił, że cały incydent wykazał w istocie, że "o doborze osób, o które chodzi, nie decydował ani oskarżony, ani nikt z pracowników jego komórki". Nikt jednak nie wspomniał niestety ani słowem o tym, że Dannecker poinformował Eichmanna, iż sam Laval osobiście zaproponował, żeby dzieci poniżej szesnastego roku życia objąć deportacjami. Oznaczało to, że ów ponury epizod nie był nawet wynikiem jakichś odgórnych "rozkazów", lecz porozumienia wynegocjowanego na najwyższym szczeblu pomiędzy Francją i Niemcami.

Latem i jesienią 1942 roku deportowano do Oświęcimia 27 tysięcy bezpaństwowych Żydów - 18 tysięcy z Paryża i 9 tysięcy z Francji Vichy. Wtedy to, kiedy w całej Francji pozostało około 70 tysięcy bezpaństwowych Żydów, Niemcy popełnili swój pierwszy błąd. Przekonani, że Francuzi tak już przywykli do deportowania Żydów, że nie zrobi im to różnicy - zwrócili się z prośbą o zezwolenie na objęcie akcją również Żydów francuskich, co po prostu ułatwi sprawy administracyjne. Wywołało to skutek absolutnie przeciwny: Francuzi z uporem odmawiali przekazania "swoich" Żydów w ręce niemieckie. Himmler zaś, dowiedziawszy się o zaistniałej sytuacji - nie od Eichmanna zresztą, ani od nikogo z jego ludzi, ale od jednego z wyższych dowódców SS i policji - natychmiast ustąpił i obiecał oszczędzić Żydów francuskich. Ale wówczas było już za późno. Pierwsze pogłoski o "przesiedleniu" dotarły do Francji, a choć francuscy antysemita, a także nie-antysemita nie mieli nic przeciwko temu, żeby zagraniczni Żydzi osiedlili się gdzieś indziej, nawet oni nie chcieli zostać współnikami masowej zbrodni. Toteż Francuzi

odmówili wówczas podjęcia kroku, który ochoczo rozważali jeszcze całkiem niedawno, mianowicie cofnięcia na-turalizacji przyznanej Żydom po roku 1927 (bądź 1933), co otwarłoby przed dodatkowymi 50 tysiącami Żydów perspektywę deportacji. Zaczęli również do tego stopnia mnożyć nie kończące się przeszkody w odniesieniu do deportacji Żydów bezpaństwowych i wszystkich pozostałych, że z ambitnych planów wysiedlenia Żydów z Francji trzeba było właściwie "zrezygnować". Dziesiątki tysięcy bezpaństwowców ukryły się, podczas gdy dalsze tysiące uciekły na okupowane przez Włochów Lazurowe Wybrzeże, gdzie Żydom - bez względu na ich pochodzenie - nie groziło niebezpieczeństwo. Latem 1943 roku, kiedy Niemcy uznano za Judenrein, a Sprzymierzeni wylądowali na Sycylii, deportowano nie więcej niż 52 tysiące Żydów, z pewnością mniej niż 20% liczby ogólnej, spośród których nie więcej niż 6 tysięcy posiadało obywatelstwo francuskie. Do "specjalnego potraktowania" nie przeznaczono nawet żydowskich jeńców wojennych przebywających w niemieckich obozach dla internowanych żołnierzy armii francuskiej. W kwietniu 1944 roku, na dwa miesiące przed wylądowaniem Sprzymierzonych we Francji, znajdowało się w tym kraju jeszcze 250 tysięcy Żydów, z których wszyscy przeżyli do końca wojny. Okazało się, że kiedy naziści napotkali zdecydowany opór, zabrakło im ludzi i woli dalszego okazywania "twardości". W rzeczywistości było tak-jak się później przekonamy-że nawet członkowie Gestapo i SS łączyli w sobie bezwzględność z miękkością.

Na spotkaniu berlińskim w lipcu 1942 roku liczby osób przeznaczonych do natychmiastowej deportacji z Belgii i Holandii były stosunkowo niskie, przypuszczalnie z powodu wysokiej ich liczby ustalonej dla Francji. W najbliższej przyszłości miano schwytać i deportować nie więcej niż 10 tysięcy Żydów belgijskich i 15 tysięcy holenderskich.

212

213

W obu wypadkach liczby te później znacznie podwyższono, prawdopodobnie z powodu trudności, jakie napotkano w operacji na terenie Francji. Pod pewnymi względami sytuacja w Belgii była nietypowa. Krajem rządziły wyłącznie niemieckie władze wojskowe, a policja - co podkreśla raport rządu belgijskiego dostarczony sądowi - "nie miała takiego wpływu na inne sektory administracji niemieckiej, jakim cieszyła się ona gdzie indziej". (Gubernator Belgii, generał Aleksander von Falkenhausen, zamieszany był w spisek przeciwko Hitlerowi z lipca 1944 roku.) Miejscowi kolaboranci pojawili się na dodatek wyłącznie we Flandrii, nie było ich prawie wcale pośród mówiących po francusku Wallonów, a zatem nie było ich w Brukseli. Policja belgijska nie współpracowała z Niemcami, a po belgijskich kolejarzach nie

należało się nawet spodziewać, że zostawią w spokoju pociągi z deportowanymi. Znajdowali sposoby, by pozostawić drzwi wagonów nie zaryglowane albo urządzić zasadzki, dzięki czemu Żydzi mogli się ratować. Najbardziej nietypowa była struktura ludności żydowskiej. Przed wybuchem wojny znajdowało się w Belgii 90 tysięcy Żydów, spośród których około 30 tysięcy stanowili uciekinierzy z Niemiec, pozostałe 50 tysięcy pochodziło z innych krajów europejskich. Do końca 1940 roku blisko 40 tysięcy Żydów uciekło z Belgii, a wśród 50 tysięcy tych, którzy zostali, znajdowało się najwyżej 5 tysięcy urodzonych w tym kraju obywateli belgijskich. Co więcej, wśród uciekinierów znaleźli się wszyscy ważniejsi przywódcy żydowscy, których przeważająca większość i tak pochodziła z zagranicy, toteż nie powstała rada żydowska rejestrująca Żydów, co stanowiło jeden z najistotniejszych warunków ich pojmania. Przy takim powszechnym "braku zrozumienia", nie dziwi fakt, że nigdy nie deportowano ani jednego Żyda belgijskiego. Jednak Żydów bezpieczeństwa-w większości dopiero co przybyłych z Czech, Polski, Rosji i Niemiec - można było łatwo rozpoznać, natomiast niezwykle trudno było ich

ukryć w tym małym, całkowicie uprzemysłowionym kraju. Do końca 1942 roku wysłano 15 tysięcy do Oświęcimia, a do jesieni 1944 roku, czyli do momentu wyzwolenia Belgii przez Sprzymierzonych, wymordowano ich ogółem 25 tysięcy. Eichmann miał jak zwykle swego belgijskiego "doradcę", wydaje się jednak, że nie przejawiał on w tych operacjach zbyt dużej aktywności. Ich przeprowadzeniem zajęła się ostatecznie administracja wojskowa, działająca pod rosnącą presją MSZ.

Podobnie jak praktycznie we wszystkich innych krajach, deportacje z Holandii rozpoczęły się od Żydów bezpieczeństwa, którzy w tym wypadku składali się wyłącznie z uciekinierów niemieckich. Przedwojenny rząd holenderski uznał ich oficjalnie za osoby "niepożądane". Na ogólną liczbę 140 tysięcy Żydów w tym kraju około 35 tysięcy stanowili Żydzi z zagranicy. Odmienne niż Belgia, Holandia otrzymała administrację cywilną, w odróżnieniu zaś od Francji nie miała własnego rządu, ponieważ członkowie gabinetu, wraz z rodziną królewską, zbiegli do Londynu. Ów mały naród zdany był na łaskę i niełaskę Niemców i SS. "Doradcą" Eichmanna był w Holandii niejaki dr Willi Zöpf (niedawno aresztowany w Niemczech; o wiele bardziej "zasłużony" doradca francuski, pan Dannecker przebywa nadal na wolności), ale najwyraźniej miał on bardzo niewiele do powiedzenia, a jego działalność sprowadzała się do utrzymania korespondencji z Berlinem. Deportacjami i wszystkim, co się z nimi wiązało, kierował Erich Rajakowitsch, były doradca prawny w Wiedniu i Pradze, przyjęty do SS za rekomendacją Eichmanna. W kwietniu 1941 roku wysłał go do Holandii Heydrich, bezpośrednio zaś podlegał on nie RSHA w Berlinie, lecz miejscowemu szefowi Służby Bezpieczeństwa w Hadze, doktorowi Wilhelmowi Harstenowi, który z kolei był podkomendnym wyższego dowódcy SS i policji Ober-gruppenfuhrera Hansa Rautera i jego asystenta do spraw żydowskich, Ferdynanda aus der Fiintena. (Dwaj ostatni

215

214

zostali wyrokiem sądu holenderskiego skazani na śmierć; Rautera stracono, ale Fiintenowi zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie, rzekomo wskutek interwencji Adenauera.) Również Harsten stanął przed sądem w Holandii, został skazany na 12 lat więzienia i zwolniony w roku 1957, po czym wstąpił do służby państwowej jako pracownik rządu bawarskiego. Władze holenderskie rozpatrują możliwość wystąpienia na drogę sądową przeciwko Rajakowitschowi mieszkającemu, jak się wydaje, w Szwajcarii lub we Włoszech. Wszystkie te szczegóły wyszły na jaw w zeszłym roku w związku z opublikowaniem

dokumentów holenderskich i relacji E. Jacoba, holenderskiego korespondenta szwajcarskiej gazety "Basler National-zeitung". Oskarżenie wjerzolimie wystąpiło z twierdzeniem - częściowo dlatego, że za wszelką cenę starało się nadać Eichmannowi większe znaczenie, a częściowo dlatego, że się doprawdy pogubiło w labiryncie niemieckiej biurokracji - że wszyscy ci oficerowie wykonywali rozkazy Eichmanna. Wyżsi dowódcy SS i policji otrzymywali jednak rozkazy bezpośrednio od Himmlera i jest mało prawdopodobne, że Rajakowitsch otrzymywał wówczas nadal rozkazy od Eichmanna, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę przyszły rozwój wydarzeń w Holandii. Orzeczenie Sądu - nie wdając się w polemikę - spokojnie sprostowało wielką liczbę pomyłek oskarżycieli, chyba zresztą nie wszystkie - przedstawiając ciągłą walkę o władzę, jaka toczyła się pomiędzy RSHA i korpusem wyższych oficerów SS i policji - "uporczywe, wieczne, nie kończące się negocjacje", jak określał je Eichmann. Sytuacja zaistniała w Holandii wzbudzała szczególną irytację Eichmanna, bo sam Himmler najwyraźniej osłabiał jego pozycję, nie wspominając o tym, że gorliwość owych dwóch panów rezydentów - Rautera i Fiintena - przysparzała mu ogromnych trudności w ustaleniu rozkładu jazdy jego własnych transportów, wystawiając na pośmiewisko berliński "ośrodek koordynacyjny" i jego istotne znaczenie.

I tak, zaraz na początku, zamiast 15 deportowano 20 tysięcy Żydów, na pracującym zaś dla Eichmanna panu Zópfie - który ustępował znacznie rangą, jak i pozycją wszystkim innym obecnym - niemal wymuszono przyspieszenie tempa deportacji w 1943 roku. Konflikty kompetencyjne na tym tle miały prześladować Eichmanna bez przerwy; daremnie tłumaczył on wszystkim, którzy zechcieli go słuchać, że byłoby "sprzeczne z rozkazem Reichsjührera SS [tzn. Himmlera], a także nielogiczne, gdyby na tym etapie problemem żydowskim miały się zająć inne władze". Do ostatniego starcia w Holandii doszło w roku 1944 - tym razem, dla zachowania jednakowego charakteru działań, próbował interweniować nawet Kaltenbrunner. W Holandii oszczędzono pochodzących z Hiszpanii Żydów sefardyjskich, choć Żydów tego samego pochodzenia posyłano do Oświęcimia z Salonik. Orzeczenie sądu popełniało błąd, występując z tezą, że RSHA "zwyciężyło w tym sporze": Bóg jeden wie, dlaczego około 3 70 Żydów sefardyjskich pozostawiono w Amsterdamie w spokoju.

Powód, dla którego Himmler wolał działać w Holandii za pośrednictwem wyższych oficerów SS i policji, był prosty. Ludzie ci posiadali dobrą znajomość tego kraju, a problem, jaki stwarzała ludność holenderska, nie był bynajmniej łatwy. Holandia była jedynym krajem w całej Europie, gdzie studenci zastrajkowali przeciwko usunięciu profesorów pochodzenia żydowskiego i gdzie doszło do fali strajków w odpowiedzi na pierwszą deportację Żydów do niemieckich obozów koncentracyjnych, mimo że operacja ta, w przeciwieństwie do deportacji do obozów zagłady, miała wyłącznie karny charakter i odbyła się na długo przed objęciem Holandii Ostatecznym Rozwiązaniem. (Niemcy -jak zaznacza de Jong - czegoś się nauczyli. Odtąd "prześladowania odbywały się nie przy pomocy pałek nazistowskich [...], lecz dekretów ogłaszanych w »Verordeningenblad« [...] które »Joodsche Week-

216

217

blad« zmuszony był przedrukowywać". Zaprzestano łapanek policyjnych na ulicach, a ludność przestała strajkować.) Jednakże ową szeroko rozpowszechnioną wrogość wobec posunięć antyżydowskich oraz względną odporność narodu holenderskiego na antysemityzm, trzymały w ryzach dwa czynniki, których oddziaływanie okazało się ostatecznie dla Żydów

zgubne w skutkach. Po pierwsze, w Holandii istniał bardzo silny ruch nazistowski, któremu można było powierzyć wykonanie takich policyjnych operacji, jak łapanie Żydów, wyszukiwanie ich kryjówek itd. Po drugie, miejscowi Żydzi przejawiali bardzo silną skłonność do dystansowania się od Żydów nowo przybyłych, co było prawdopodobnie skutkiem bardzo nieprzychylnego stosunku rządu holenderskiego do uciekinierów z Niemiec, a przypuszczalnie także dlatego, że w Holandii, tak jak we Francji, antysemityzm ześrodkował się na Żydach z zagranicy. Sprawilo to, że nazistom udało się względnie łatwo sformować Radę Żydowską (Joodsche Raad), żywiącą przez długi czas przeświadczenie, że ofiarą deportacji padną wyłącznie Żydzi z Niemiec i innych krajów. Pozwoliło to również SS-manom uzyskać - prócz pomocy policji holenderskiej - pomoc policyjnych formacji żydowskich. Doprowadziło to do tragedii nie mającej analogii w żadnym z krajów zachodnich - można ją porównać jedynie z zagładą Żydów polskich, którzy znaleźli się w zupełnie odmiennej i od początku całkowicie beznadziejnej sytuacji. Choć w przeciwieństwie do Polski postawa narodu holenderskiego pozwoliła wielkiej liczbie Żydów zejść do ukrycia - ocalało spośród nich 20-25 tysięcy, co jest cyfrą bardzo wysoką jak na tak mały kraj -jednak niezwykle wielu spośród ukrywających się Żydów zostało w końcu wytropionych, niewątpliwie dzięki wysiłkom zawodowych i przygodnych donosicieli. Do lipca 1944 roku deportacje objęły 113 tysięcy Żydów, z których przeważającą większość wywieziono do położonego pod Lublinem obozu w Sobiborze, w którym nigdy nie dokonywano selekcji osób

zdolnych do pracy. Trzy czwarte wszystkich Żydów żyjących w Holandii straciło życie, około dwóch trzecich spośród zamordowanych stanowili miejscowi Żydzi holenderscy. Ostatnie transporty wysłano jesienią 1944 roku, kiedy patrole Sprzymierzonych dotarły już do granic Holandii. Spośród 10 tysięcy Żydów, którzy ocaleli w ukryciu, około 75% pochodziło z zagranicy - odsetek świadczący o tym, jak bardzo Żydzi holenderscy nie chcieli liczyć się z rzeczywistością.

Pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Martin Luther ostrzegł na konferencji w Wannsee przed wielkimi trudnościami w krajach skandynawskich, przede wszystkim w Norwegii i Danii. (Szwecja nie była okupowana, a Finlandia, mimo że brała udział w wojnie po stronie państw Osi, była jedynym krajem, w którym naziści nawet nie próbowali poruszyć kwestii żydowskiej. Ten zaskakujący wyjątek uczyniony dla Finlandii-Żydów było tam około 2 tysięcy - można chyba tłumaczyć wielkim podziwem Hitlera dla Finów, których być może nie chciał on wystawiać na pogróżki i upokarzający szantaż.) Luther zaproponował tymczasową rezygnację z ewakuacji ze Skandynawii, co było całkiem oczywiste w wypadku Danii, gdyż kraj ten zachował suwerenną władzę i traktowany był jako neutralny aż do jesieni 1943 roku, mimo że - tak samo jak w Norwegii - w kwietniu 1940 roku wdarły się tam wojska niemieckie. W Danii nie istniał żaden liczący się ruch faszystowski bądź nazistowski, toteż nie było kolaborantów. Jednakże w Norwegii Niemcy zdołali pozyskać entuzjastycznych zwolenników, wszak to nazwiskiem Yidkuna Quislinga, przywódcy prohitlerowskiej i antysemickiej partii norweskiej, określono zjawisko znane później pod nazwą "rządu quislingowskiego". Zasadniczy trzon 1700 Żydów norweskich stanowili bezpaństwowcy-uciekiniery z Niemiec. Zostali oni pojmami i internowani w wyniku kilku błyskawicznych akcji przepro-

218

219

wadzonych w październiku i listopadzie 1942 roku. Kiedy Eichmann wydał rozkaz deportowania ich do Oświęcimia, niektórzy z ludzi Quislinga ustąpili z rządu. Nie musiało to

stanowiąc zaskoczenia dla pana Luthera i MSZ, jednak rzeczą znacznie poważniejszą i z pewnością całkowicie nieoczekiwaną było to, że Szwecja zaoferowała natychmiast wszystkim prześladowanym azyl, a nawet obywatelstwo szwedzkie. Dr Ernst von Weizsacker, podsekretarz stanu w MSZ, odmówił rozważenia tej propozycji, ale i tak odniosła ona pożądany skutek. Wydostać się nielegalnie z jakiegoś kraju jest zawsze stosunkowo łatwo, natomiast niepodobna prawie przybyć do miejsca ucieczki bez pozwolenia i wprowadzić w błąd władze imi-gracyjne. Toteż udało się przesmuglować do Szwecji około 900 osób, trochę ponad połowę małej norweskiej społeczności żydowskiej.

Jednak dopiero w Danii przekonali się Niemcy, jak bardzo były uzasadnione obawy MSZ. Historia Żydów duńskich jest jedyna w swoim rodzaju, a zachowanie Duńczyków i ich rządu stanowiło wyjątek wśród wszystkich krajów europejskich, bez względu na to, czy były pod okupacją, współdziałały z Osią, czy też zachowały neutralność i rzeczywistą suwerenność. Trudno oprzeć się pokusie, by polecić przestudiowanie tej historii wszystkim tym politologom, którzy pragną dowiedzieć się czegoś na temat ogromnego potencjału możliwości tkwiących w działaniach nie sięgających po przemoc i w oporze wobec przeciwnika dysponującego ogromną przewagą środków przymusu. Trzeba stwierdzić, że niemało innych państw europejskich cechował brak właściwego "rozumienia problemu żydowskiego", większość z nich była rzeczywiście przeciwna rozwiązaniom "radykałnym" i "ostatecznym". Podobnie jak Dania, również Szwecja, Włochy i Bułgaria okazały się niepodatne na antysemityzm, lecz spośród trzech narodów, jakie znalazły się w niemieckiej strefie wpływów, jedynie Duńczycy ośmielili się powiedzieć głoś-

220

no swym niemieckim panom, co o tym myślą. Włochy i Bułgaria sabotowały rozkazy niemieckie i prowadziły zawiłą grę, opartą na obłudzie i chytrych; dzięki niezwykle pomysłowym wybiegom kraje te zdołały uratować swoich Żydów, ale nigdy nie zakwestionowały samej polityki antyżydowskiej. Duńczycy postąpili zupełnie inaczej. Gdy Niemcy zaczęli ich, dość zresztą ostrożnie, sondować w kwestii wprowadzenia żółtego znaku rozpoznawczego, oświadczyli po prostu, że pierwszą osobą, jaka zacznie go nosić, będzie król Danii, a członkowie rządu duńskiego dali wyraźnie do zrozumienia, że podjęcie jakichkolwiek posunięć antyżydowskich spowoduje ich natychmiastowe ustąpienie z zajmowanych stanowisk. Rozstrzygające znaczenie miał w całej tej sprawie fakt, że Niemcom nie udało się nawet wprowadzić niezwykle istotnego rozróżnienia na Duńczyków pochodzenia żydowskiego, których było około 6400 i żydowskich uciekinierów z Niemiec, którzy w liczbie 1400 osób znaleźli w tym kraju azyl jeszcze przed wybuchem wojny, a potem zostali uznani przez władze niemieckie za bezpaństwowców. Ta negatywna reakcja musiała bezgranicznie zaskoczyć Niemców, ponieważ wydawało się rzeczą całkowicie "nielogiczną", żeby rząd występował w obronie ludzi, którym kategorycznie odmówił przyznania obywatelstwa, a nawet wydania zezwoleń na pracę. (Pod względem prawnym przedwojenna sytuacja uchodźców w Danii przypominała trochę sytuację we Francji, z tym że panująca powszechnie wśród pracowników państwowych Trzeciej Rzeszy korupcja pozwoliła za łapówki lub dzięki "znajomościom" uzyskać Żydom dokumenty naturalizacyjne, a przeważająca większość przebywających we Francji uchodźców mogła pracować nielegalnie, bez pozwolenia. Ale Dania, podobnie jak Szwajcaria, nie była krajem, który by sobie nie poradził w opałach.) Duńczycy wytłumaczyli wszakże władzom niemieckim, że ponieważ bezpaństwowi uchodźcy nie posiadają już obywatelstwa niemieckiego, naziści nie

221

mogą żądać ich wydania bez zgody Duńczyków. Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy status bezpaństwowca okazał się bezcenny, choć oczywiście to nie dzięki niemu

samemu uratowali się Żydzi, lecz przeciwnie - dzięki temu, że rząd duński postanowił ich bronić. W związku z tym nie udało się przeprowadzić wstępnych posunięć, tak istotnych w owej biurokracji zbrodni, a operację trzeba było odłożyć aż do jesieni 1943 roku.

Później zaś wydarzyło się coś iście zdumiewającego; w porównaniu z tym, co działo się w innych krajach europejskich, zapanował kompletny chaos. W sierpniu 1943 roku - po załamaniu się ofensywy niemieckiej w Rosji, kapitulacji Afrika Korps w Tunezji i wylądowaniu Sprzymierzonych we Włoszech - rząd szwedzki anulował zawarte przez siebie w roku 1940 porozumienie z Niemcami, na mocy którego wojska niemieckie miały prawo przemarszu przez całą Szwecję. Wówczas robotnicy duńscy doszli do wniosku, że mogą odrobinę przyspieszyć bieg wypadków. W stocznich duńskich wybuchły zamieszki: dokerzy odmówili naprawy statków niemieckich, następnie zaś przystąpili do strajku. Niemiecki komendant wojskowy ogłosił stan wyjątkowy i wprowadził ustawodawstwo wojenne, Himmler zaś uznał, że nadszedł stosowny moment do zajęcia się kwestią żydowską, której "rozwiązanie" od dawna odwlekano. Nie wziął jednak w rachubę tego, że - całkiem niezależnie od oporu Duńczyków - funkcjonariusze niemieccy mieszkający od lat w tym kraju nieco się zmienili. Mało, że generał von Hannecken - komendant wojsk niemieckich - odmówił przekazania swych oddziałów do dyspozycji pełnomocnika Rzeszy, doktora Wenera Besta; również specjalne jednostki SS (Ein-satzkommandos) stacjonujące w Danii bardzo często - wedle zeznań złożonych przez Besta w Norymberdze - sprzeciwiały się "krokom, których wykonanie nakazywały im czynniki centralne". Nawet samemu Bestowi, wieloletniemu gestapowcowi i byłemu doradcy prawnemu Hey-

222

dricha, a także autorowi sławnej wówczas książki o policji, który współpracował z władzami wojskowymi Paryża, ku pełnemu zadowoleniu swych przełożonych - nie można już było ufać, choć wolno wątpić, czy Berlin uświadomił sobie kiedykolwiek stopień, w jakim nie można było na nim polegać. Tak czy inaczej, od samego początku było rzeczą jasną, że sprawy nie układają się dobrze, a Eichmann wysłał do Danii jednego z najlepszych swych ludzi - Rolfa Giinthera, któremu nikt nie mógł kiedykolwiek zarzucić, że brak mu wymaganej "bezlitosnej twardości". Wizyta Giinthera nie wywarła na jego kopenhaskich kolegach żadnego wrażenia, a von Hannecken odmówił teraz nawet wydania dekretu nakazującego wszystkim Żydom stawienia się do pracy.

Best pojechał do Berlina i uzyskał obietnicę, że wszyscy Żydzi duńscy zostaną wysłani do Terezina, bez względu na kategorię, do jakiej ich zaliczono - z punktu widzenia nazistów stanowiło to bardzo istotne ustępstwo. Noc 1 października wyznaczono na schwytanie i natychmiastową wywózkę - statki czekały już w porcie - a ponieważ nie można było liczyć na pomoc Duńczyków, Żydów ani też wojsk niemieckich stacjonujących w Danii, przybyły z Niemiec oddziały policji, które miały prowadzić przeszukiwanie dom po domu. W ostatniej chwili Best oświadczył policjantom, że nie wolno im się włamywać do mieszkań, ponieważ wówczas mogłaby interweniować policja duńska, nie chodziło zaś o to, by wdać się w otwartą walkę z Duńczykami. Toteż policja niemiecka mogła schwytać tylko tych Żydów, którzy dobrowolnie otworzyli drzwi. Dokładnie 477 osób - na ogólną liczbę wynoszącą wówczas 7800 - było w domu i zechciało wpuścić ich do środka. Na kilka dni przed feralną datą niemiecki urzędnik spedycyjny, Georg F. Duckwitz, przekupiony prawdopodobnie przez samego Besta, wyjawiał cały plan przedstawicielom rządu duńskiego; ci z kolei poinformowali pospiesznie kierownictwo gminy żydowskiej. W odróżnieniu

223

od przywódców żydowskich w innych krajach, wchodzące w skład owego kierownictwa osoby zakomunikowały otrzymaną informację publicznie w synagogach podczas

nabożeństw noworocznych. Żydzi mieli dość czasu, aby opuścić swe mieszkania i znaleźć kryjówkę, o co w Danii było bardzo łatwo, gdyż - zacytuję orzeczenie sądu - "wszystkie odłamy społeczeństwa duńskiego, od króla po zwykłych obywateli", przejawiały gotowość przyjęcia Żydów.

Może musieliby pozostać w ukryciu aż do końca wojny, gdyby nie błogosławieństwo, jakim okazało się dla Duńczyków sąsiedztwo Szwecji. Uznano za rozsądne, by przenieść Żydów do Szwecji i dokonano tego przy pomocy Juńskiej floty rybackiej. Koszty transportu ludzi pozbawionych środków finansowych - wynoszące około 100 dołków od osoby - pokryli głównie zamożni Duńczycy. Tę wyczyn zdumiewa może bardziej niż wszystkie inne, bo działało się to w czasie, gdy Żydzi płacili za własną deportację, a najbogatsi z nich oddawali majątek za pozwolenie na wyjazd (w Holandii, na Słowacji, później zaś na Węgrzech), dając łapówki przedstawicielom władz lokalnych, bądź też prowadząc "legalne" pertraktacje z SS-mafiami, którzy przyjmowali tylko twardą walutę i żądali za i pozwolenie wyjazdu - w Holandii - od 5 do 10 tysięcy dolarów od osoby. Nawet tam, gdzie Żydzi spotkali się z autentycznym współczuciem i szczerą chęcią pomocy, musieli za to płacić, a dla ludzi ubogich szansę uratowania się równe były zeru.

Większą część października trwało przeprowianie wszystkich Żydów przez liczący od 5 do 15 mil szerokości akwen, jaki dzieli Danię od Szwecji. Szwedzi przyjęli 5919 uchodźców, z których co najmniej tysiąc pochodziło z Niemiec. Żydów półkwi było 1310, a nie-Żydów, którzy weszli w związek małżeński z osobami pochodzenia żydowskiego - 686. (Prawie połowa Żydów duńskich pozostała na miejscu i przetrwała do końca wojny w ukryciu.) Żydorn spoza Danii powiodło się lepiej niż kiedykolwiek

dotąd: wszyscy otrzymali pozwolenia na pracę. Kilkuset Żydów, których zdołała aresztować policja niemiecka, przewieziono w komplecie do Terezina. Byli to ludzie starzy bądź biedni, którzy nie zostali na czas zawiadomieni, bądź też nie potrafili zrozumieć sensu otrzymanej wiadomości. Deportowani cieszyli się w getcie większymi przywilejami niż jakakolwiek inna grupa przebywających tam Żydów, ponieważ instytucje duńskie oraz osoby prywatne nie ustawały w robieniu "hałasu" w ich sprawie. Zmarło 48 osób, co nie jest liczbą zbyt wysoką, zważywszy przeciętny wiek w tej grupie. Kiedy było po wszystkim, Eichmann sformułował wyważoną opinię, że "z rozmaitych przyczyn akcja przeciwko Żydom w Danii zakończyła się fiaskiem", natomiast dr Best oświadczył przenikliwie, że "celem operacji nie było schwytanie większej liczby Żydów, lecz oczyszczenie z nich Danii, a ten cel został osiągnięty".

Pod względem politycznym i psychologicznym najbardziej interesujący aspekt całej tej sprawy stanowi być może rola odegrana przez władze niemieckie w sprawie - ewidentne sabotowanie rozkazów, jakie otrzymały one z Berlina. Jest to jedyny znany nam wypadek napotkania przez nazistów otwartego oporu miejscowego społeczeństwa, w wyniku czego zmienili oni, jak się zdaje, swoje nastawienie. Sami przestali już uważać zagłady całego narodu za rzecz oczywistą. Napotkali opór płynący z pobudek ideowych, a ich "twardość" stopniała jak masło na słońcu, zaczęli nawet okazywać pierwsze, bardzo nieśmiałe, oznaki odwagi. To, że ideał "twardości" - nie licząc może garstki na pół zidiociałych nikczemników - był tylko samooszu-kańczym mitem, pod którym kryło się przemożne dążenie do konformizmu za wszelką cenę, ujawniło się z całą wyrazistością podczas procesów w Norymberdze, gdzie podsądni oskarżali i zdradzali się nawzajem, zapewniając opinię światową, że "zawsze byli przeciwko" lub utrzymując - tak jak uczynił to później Eichmann - jakoby

zwierzchnicy "nadużyli" ich najlepszych talentów. (W Jerozolimie Eichmann oskarżył "tych u władzy" o to, że nadużyli jego "posłuszeństwa". "Poddany dobrego rządu ma szczęście, poddany złego rządu ma pecha. Ja szczęścia nie miałem"). Atmosfera zmieniła się, a choć zdecydowana większość spośród tych ludzi musiała zdawać sobie sprawę z oczekującej ich śmierci, ani jeden z nich nie ośmielił się bronić ideologii nazistowskiej. Werner Best twierdził w Norymberdze, jakoby odgrywał zawile podwójną rolę i że to dzięki niemu władze duńskie zostały ostrzeżone o nadciągającej katastrofie; tymczasem materiał dowodowy wykazał, że przeciwnie - sam zaproponował on w Berlinie operację duńską, ale oskarżony tłumaczył się, że był to wyłącznie element prowadzonej przez niego gry. Został wydany Danii i otrzymał tam wyrok śmierci. Odwołał się jednak od wyroku ze skutkiem zaskakująco pozytywnym: z powodu przedstawienia "nowych dowodów" zamieniono mu wyrok na karę pięciu lat więzienia, z którego wkrótce został zwolniony. Najwidoczniej udało mu się przekonać sąd duński, że istotnie robił, co tylko mógł.

Włochy były jedynym rzeczywistym sojusznikiem Niemiec w Europie traktowanym przez Rzeszę po partner-sku. Niemcy respektowały także suwerenność państwową tego kraju. Sojusz ten opierał się też na bardzo ścisłej współpracy interesów łączącej owe dwa zbliżone, jeśli nie identyczne systemy sprawowania władzy. Jest również prawdą, że Mussolini cieszył się swego czasu wielkim podziwem w środowisku niemieckich nazistów. W momencie jednak, gdy wybuchła wojna, a Włochy z niejakim ociąganiem przyłączyły się do działań niemieckich, wszystko to należało już do przeszłości. Naziści mniemali, że więcej ich łączy ze stalinowską wersją komunizmu niż z faszyzmem włoskim, Mussolini nie darzył nigdy Niemiec wielkim zaufaniem ani nie podziwiał zbyt Hitlera.

O tym wszystkim wiedziało jednak wąskie grono wysoko wtajemniczonych, zwłaszcza w Niemczech, a głębokich i zasadniczych różnic pomiędzy totalitaryzmem a faszystowskimi formami ustrojowymi świat nigdy do końca nie zrozumiał. W niczym też nie ujawniły się one wyraźniej niż w podejściu do kwestii żydowskiej.

Przed zamachem stanu Badoglio wiecie 1943 roku i zajęciem przez Niemców Rzymu i północnych Włoch Eichmann i jego ludzie nie uzyskali prawa działania w tym kraju. Stanęli natomiast w obliczu sposobu, w jaki Włosi nie przystąpili do żadnych rozwiązań na okupowanych przez siebie obszarach Francji, Grecji i Jugosławii, ponieważ prześladowani Żydzi ustawicznie uciekali właśnie do tej strefy, wiedząc, że mogą tam liczyć na tymczasowy azyl. Sabotowanie przez Włochy Ostatecznego Rozwiązania przyjęło poważne rozmiary na szczeblach znacznie wyższych od szczebla Eichmanna - głównie z powodu wpływu Mussoliniego na inne europejskie rządy faszystowskie: Petainowski we Francji, Horthy'ego na Węgrzech, Antonescu w Rumunii, a nawet na rząd generała Franco w Hiszpanii. Jeśli Włochy mogły sobie pozwolić na nie-mordowanie "swoich" Żydów, niemieckie kraje satelickie mogły spróbować uczynić to samo. Toteż Dóme Sztojai, premier węgierski narzucony przez Niemców Horthy'emu, dowiadywał się zawsze - gdy chodziło o posunięcia wymierzone w Żydów - czy te same rozporządzenia znajdują zastosowanie we Włoszech. Szef Eichmanna, Gmpfenjuhrer Miiller, wystosował w tej sprawie długi list do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w którym wszystko to szczegółowo uwypuklił, ale dżentelmeni z MSZ niewiele mogli w tym wypadku zrobić, bo zawsze natrafiali na ten sam subtelnie zawoalowany opór, na te same obietnice i te same przypadki ich niespełnienia. Sabotaż był tym bardziej irytujący, że dokonywano go jawnie, nieomal z drwiną. Obietnice dawał sam Mussolini lub któryś z wysokich urzędników państwowych, ilekroć

zaś generałowie zwyczajnie ich nie spełnili, Mussolini usprawiedliwiał to ich "odmienną formacją intelektualną". Hitlerowcy tylko sporadycznie spotkali się z przypadkami jawnej odmowy, takimi jak oświadczenie generała Roatty, że wydanie Żydów z terenów okupowanych przez Włochów w Jugosławii odpowiednim władzom niemieckim, byłoby "nie do pogodzenia z honorem Armii Włoskiej".

Znacznie gorzej bywało, gdy Włosi wypełniali niejako swoje obietnice. Przykładem mogą być wydarzenia, jakie miały miejsce po wylądowaniu Sprzymierzonych we francuskiej Afryce Północnej, kiedy to Niemcy zajęli całą Francję z wyjątkiem położonej na południu włoskiej strefy okupacyjnej, gdzie przebywało bezpiecznie około 50 tysięcy Żydów. W wyniku silnej presji niemieckiej powołano wówczas włoski Komisariat do Spraw Żydowskich, którego funkcja polegała wyłącznie na zarejestrowaniu wszystkich przebywających na tym obszarze Żydów i usunięciu ich z nad Morza Śródziemnego. 22 tysiące Żydów istotnie schwytano i przeniesiono w głąb strefy okupowanej przez Włochów, a efekt tej operacji - wedle Reitlingera - był taki, że "tysiąc wywodzących się z warstwy najuboższej Żydów zamieszkiwało w najlepszych hotelach Isere i Sabaudii". Eichmann wysłał wtedy Aloisa Brunnera, jednego z najbardziej bezwzględnych spośród swoich ludzi, do Nicei i Marsylii, nim jednak przybył on na miejsce, policja francuska zniszczyła wszystkie listy zarejestrowanych Żydów. Jesienią 1943 roku, kiedy Włochy wypowiedziały wojnę Niemcom, wojska niemieckie dotarły wreszcie do Nicei, a Eichmann osobiście pośpieszył na Lazurowe Wybrzeże. Powiedziano mu tam - a on w to uwierzył - że od 10 do 15 tysięcy Żydów ukrywa się na terenie księstwa Monaco (zamieszkiwanego wówczas przez około 25 tysięcy ludzi; to małe państewko zmieściłoby się - jak zauważono w "New York Times Magazine" - całkiem swobodnie w nowojorskim Central Parku). RSHA wszczęło

w związku z tą informacją akcję dochodzeniową. Zakrawa to na typowo włoski dowcip. Żydów już tam w każdym razie nie było - uciekli do samych Włoch, a ci, którzy ukrywali się w okolicznych górach, przedostali się do Szwajcarii lub Hiszpanii. To samo powtórzyło się, kiedy Włosi musieli opuścić okupowaną przez nich strefę w Jugosławii - Żydzi wyruszyli wraz z armią włoską i znaleźli schronienie w Fiume.

Element farsy występował zawsze nawet w najpoważniejszych próbach, jakie przedsięwzięły Włochy w celu dostosowania się do swego najpotężniejszego przyjaciela i sojusznika. Gdy Mussolini wprowadził - pod presją niemiecką - ustawodawstwo antyżydowskie pod koniec lat trzydziestych, wyliczył zwykle kategorie osób wyłączonych spod jego działania - kombatantów, Żydów posiadających wysokie odznaczenia itp. - dodał jednak kategorię nową, mianowicie byłych członków partii faszystowskiej, wraz z ich rodzicami i dziadkami, żonami i dziećmi oraz wnukami. Nie są mi znane żadne statystyki związane z tą sprawą, ale skutek musiał być taki, że wyłączenia objęły ogromną większość Żydów włoskich. Nie było prawie żadnej rodziny żydowskiej, której przynajmniej jeden członek nie należał do partii faszystowskiej, gdyż działo się to w czasach, kiedy Żydzi - tak samo jak Włosi - od prawie dwudziestu już lat garnęli się masowo do ruchu faszystowskiego, jako że pracę w aparacie państwowym mogli otrzymać jedynie członkowie tegoż ruchu. Tych zaś niewielu Żydów, którzy występowali przeciwko faszyzmowi z pobudek ideowych - jak przede wszystkim socjaliści i komuniści - nie było już w kraju. Nawet zdeklarowani antysemitami sprawiali wrażenie jakby niezdołnych do poważnego potraktowania całej sprawy; Roberto Farinacci, przywódca włoskiego ruchu antysemitycznego, zatrudnił żydowską sekretarkę. Coś takiego działo się wprawdzie również i w Niemczech; Eichmann wspominał - a nie ma powodów, by mu nie wierzyć - że Żydzi znajdowali się nawet

wśród szeregowych członków SS, choć fakt żydowskiego pochodzenia takich ludzi jak Heydrich, Milch, Hans Frank i in. był sprawą ściśle poufną - wiedziała o tym jedynie garstka ludzi, podczas gdy we Włoszech działo się to jawnie i jakby w otoczce naiwności. Klucz do tej zagadki stanowiło oczywiście to, że Włochy należały do tych krajów europejskich, gdzie posunięcia wymierzone w Żydów były zdecydowanie niepopularne, gdyż -jak to ujął Ciano - "stwarzały problem, który na szczęście nie istniał".

Asymilacja - owo mocno nadużywane słowo - była we Włoszech faktem całkiem realnym; miejscowa społeczność żydowska liczyła nie więcej niż 50 tysięcy ludzi, a jej historia sięgała czasów Imperium Rzymskiego. Asymilacja ta nie była ideologią - czymś, w co należało uwierzyć - tak jak we wszystkich krajach niemieckojęzycznych, ani też mitem lub oczywistym samooszukiwaniem, jak działo się to zwłaszcza we Francji. Faszyzm włoski podjął próbę - czyniąc to po to, by nie dać się prześcignąć pod względem "bezwzględnej twardości" - pozbycia się Żydów obcych, bezpieczeństwa, przed wybuchem wojny. Próba ta powiodła się dlatego słabo, że drobniejsi urzędnicy włoscy nie przejawiali zbyt wielkiej ochoty do nabrania "twardości", kiedy zaś stało się to sprawą życia lub śmierci - pod pretekstem korzystania z prerogatywy własnej niezawisłości odmówili oni pozbycia się tej kategorii ludności żydowskiej. Zamiast tego Żydzi ci zostali umieszczeni w obozach włoskich, gdzie byli zupełnie bezpieczni aż do zajęcia kraju przez Niemców. Zachowanie takie trudno tłumaczyć wyłącznie warunkami obiektywnymi - nieistnieniem "kwestii żydowskiej" - ponieważ owi obcokrajowcy z pewnością stanowili we Włoszech pewien problem, tak samo jak w każdym europejskim państwie narodowym, opartym na etnicznej i kulturowej jednorodności społeczeństwa. To, co w Danii było wynikiem autentycznej świadomości politycznej, głęboko utrwalonego zrozumienia obowiązków i wymogów stojących przed obywatelami

niezawisłego państwa - "dla Duńczyków [...] kwestia żydowska miała charakter polityczny, a nie humanitarny" (Leni Yahil) - we Włoszech stanowiło rezultat niemal odruchowego powszechnego humanitaryzmu cechującego cywilizowany naród o długiej historii.

Humanitaryzm włoski przeszedł ponadto próbę terroru, jakiemu przez ostatnie półtora roku wojny poddany został naród. W grudniu 1943 roku niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwróciło się z oficjalną prośbą o pomoc do szefa Eichmanna, Miillera: "W związku z opieszałością wykazywaną w ciągu ostatnich miesięcy przez przedstawicieli władz włoskich przy wprowadzaniu w życie posunięć antyżydowskich zalecanych przez Duce, Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważa, iż wystąpiła pilna potrzeba przejęcia przez przedstawicieli władz niemieckich nadzoru nad realizacją tych postanowień". Wówczas to osławieni mordercy Żydów z terenu Polski, tacy jak Odilo Globocnik z podlubelskich obozów zagłady, zostali wysłani do Włoch; nawet szefem administracji wojskowej został nie człowiek armii, lecz były gubernator polskiej Galicji - Gruppenfuhrer Otto Wachter. Żarty się skończyły. Biuro Eichmanna rozesłało swym filiom okólnik zalecający natychmiastowe objęcie "niezbędnymi posunięciami" Żydów posiadających obywatelstwo włoskie; pierwszy cios miał ugodzić 8 tysięcy Żydów rzymskich, których aresztowaniem miały się zająć oddziały policji niemieckiej, ponieważ na policji włoskiej nie można było polegać. Zostali na czas ostrzeżenia - nierzadko przez starych faszystów - i 7 tysięcy uciekło. Niemcy, ustępując jak zwykle w obliczu oporu, zgodzili się wówczas, żeby Żydów włoskich - nawet jeśli nie

należeli do kategorii wyłączonych - nie obejmować deportacjami, a jedynie ze-środkować w obozach na terenie Włoch; w wypadku Włoch miało to być "rozwiązanie" wystarczająco "ostateczne". Około 35 tysięcy Żydów w północnych Włoszech zostało schwytych i umieszczonych w obozach koncen-

231

230

tracyjnych w pobliżu granicy austriackiej. Wiosną 1944 roku, kiedy Armia Czerwona zajęła Rumunię, a Sprzymierzeni znajdowali się na przedpolach Rzymu, Niemcy złamali przyrzeczenie i rozpoczęli wysyłkę Żydów z Włoch do Oświęcimia -wywieziono około 7,5 tysiąca ludzi, z których wróciło nie więcej niż 600. Mimo wszystko, liczba ta wynosiła znacznie mniej niż 10% wszystkich Żydów mieszkających wówczas we Włoszech.

ROZDZIAŁ XI

Deportacje z Bałkanów: Jugosławia, Bułgaria, Grecja, Rumunia

Dla tych, którzy śledzili wywody oskarżenia i przeczytali uzasadnienie wyroku, przetwarzające bałamutny i zagmatwany "obraz ogólny", zaskoczeniem było to, że nigdzie nie wspomniano o ostrym rozgraniczeniu kontrolowanych przez nazistów terytoriów ciągnących się na wschód i na południowy wschód od systemu państw narodowych w Europie Środkowej i Zachodniej. Zamieszkiwany przez ludność mieszaną pas rozciągający się od Bałtyku na północy po Adriatyk na południu, cały ów obszar znajdujący się dziś w przeważającej większości za żelazną kurtyną, obejmował wówczas tak zwane państwa sukcesyjne, powołane do istnienia przez zwycięskie mocarstwa po I wojnie światowej. Nowym porządkiem politycznym zostały objęte liczne grupy etniczne znajdujące się od stuleci pod panowaniem Cesarstwa Rosyjskiego na północy, Cesarstwa Austro-Węgierskiego na południu i Imperium Tureckiego na południowym wschodzie. Wyłonione w ten sposób państwa narodowe nawet w niewielkim stopniu nie przypominały pod względem jednorodności etnicznej starych państw europejskich, służących im za wzór organizacji politycznej. W rezultacie każdy z tych krajów zamieszkiwały wielkie grupy etniczne, odnoszące się z silną wrogością do panującego systemu rządów, gdyż na ich własnych zawiedzionych aspiracjach narodowych skorzystali zaledwie odrobinę liczniejsi sąsiedzi. Jeśli trzeba było jakiegokolwiek dowodu politycznej niestabilności owych świeżo stworzonych państw, znakomitym przykładem była Czechosłowacja. Kiedy w marcu 1939 roku Hitler wkro-

233

czyłdo Pragi, entuzjastyczne powitanie zgotowali mu nie tylko Niemcy sudeccy, lecz także Słowacy, których "oswobodził", oferując im "niezawisłe" państwo. Dokładnie to samo wydarzyło się później w Jugosławii, gdzie większość serbską-rządzącą uprzednio krajem-potraktowano jako wrogów, natomiast mniejszość chorwacką obdarzono własnym rządem narodowym. Nadto, ponieważ ludność na tych terenach znajdowała się w stanie fluktuacji, nie istniały żadne naturalne bądź historyczne granice, te zaś, które wytyczono na mocy traktatów w Trianon i Saint-Germain, cechowała zupełna arbitralność. Toteż Węgry, Rumunię i Bułgarię udało się pozyskać jako sojuszników Osi za cenę hojnego powiększenia ich terytoriów, natomiast Żydom z tych nowo przyłączonych terytoriów odmawiano zawsze przyznania obywatelstwa. Automatycznie stawali się bezpaństwowcami, w związku z czym

czekał ich ten sam los, co uchodźców z Europy Zachodniej: z reguły pierwsi podlegali deportacji i zlikwidowaniu.

Załamaniu uległ w owych latach również wymyślony system traktatów o prawach mniejszości, w oparciu o który państwa Ententy żywiły płonną nadzieję na rozwiązanie problemu, jakiego w politycznych ramach państwa narodowego rozwiązać się nie dało. Żydzi stanowili oficjalnie uznaną mniejszość we wszystkich państwach sukcesyjnych; status ten nie został im narzucony, lecz był wynikiem zgłoszonych roszczeń oraz rokowań przeprowadzonych przez ich własnych delegatów na konferencję pokojową w Wersalu. Oznaczało to istotny punkt zwrotny w historii żydowskiej, ponieważ po raz pierwszy Żydom zachodnioeuropejskim, czyli zasymilowanym, nie przyznano prawa do występowania w imieniu całego narodu żydowskiego. Ku zaskoczeniu, a czasem także wielkiemu niezadowoleniu, wykształconych na modłę zachodnią żydowskich "notabli", okazało się, że przeważająca większość tego narodu pragnie jakiejś formy autonomii społecznej i kulturalnej, choć nie politycznej. Pod względem

prawnym status Żydów wschodnioeuropejskich był identyczny jak każdej innej mniejszości, ale pod względem politycznym - co miało znaczenie rozstrzygające - stanowili oni jedyną na tym obszarze grupę etniczną, nie posiadającą własnej "ojczyzny", to znaczy terytorium, na którym stanowiliby większość ludności. Mimo to nie żyli w takim samym rozproszeniu jak ich rodacy w Europie Zachodniej i Środkowej, o ile zaś - przed Hitlerem - nazwać Żyda po imieniu było tam oznaką antysemityzmu, o tyle Żydów wschodnioeuropejskich zarówno wróg, jak i przyjaciel uważał za odrębny naród. Miało to poważne konsekwencje dla statusu tych Żydów żyjących na Wschodzie, którzy się zasymilowali - ich położenie było zupełnie odmienne niż na Zachodzie, gdzie asymilacja w tej czy innej formie stanowiła regułę. Duża liczebnie grupa Żydów należących do klasy średniej - tak typowa dla Europy Zachodniej i Środkowej - nie istniała na Wschodzie. Jej miejsce zajmowała cienka warstwa rodzin z wyższej klasy średniej, które w istocie należały do klas rządzących, stopień zaś ich asymilacji - za sprawą pieniędzy czy małżeństw mieszanych - ze społeczeństwem nieżydowskim był nieporównywalnie większy niż większości Żydów na Zachodzie.

Wśród pierwszych krajów, w których wykonawcy Ostatecznego Rozwiązania stanęli w obliczu tej sytuacji, znalazło się marionetkowe państwo Chorwacji, ze stolicą w Zagrzebiu. Rząd chorwacki pod kierownictwem doktora Ante Pavelicia bardzo ostrożnie wprowadził ustawodawstwo antyżydowskie w trzy tygodnie po swym powstaniu, a kiedy zwrócono się doń z zapytaniem, co zrobić z kilkoma tuzinami Żydów chorwackich przebywających w Niemczech, odpowiedział, iż "wysoko ceniłby sobie przysługę w formie deportacji na Wschód". Minister spraw wewnętrznych Rzeszy zażądał, aby oczyścić kraj z Żydów do końca lutego 1942 roku, a Eichmann wysłał Haupt-sturmjuhrera Franza Abromeita do pomocy niemieckiemu

234

235

attache policyjnemu w Zagrzebiu. Deportacjami zajęli się sami Chorwaci, przede wszystkim członkowie silnego ruchu faszystowskiego, czyli ustaszowcy; za każdego deportowanego Żyda Chorwacja płaciła nazistom 30 marek. W zamian za to Chorwaci otrzymywali całe mienie osób objętych deportacją. Pozostawało to w zgodzie z oficjalnie wyznawaną przez Niemców "zasadą terytorialną", odnoszącą się do wszystkich krajów europejskich, na mocy której państwo wchodziło w posiadanie majątku wszystkich

złodzonych Żydów, jacy przebywali na jego terytorium, bez względu na obywatelstwo. (Naziści bynajmniej nie zawsze respektowali "zasadę terytorialną"; istniało mnóstwo sposobów jej obejścia, ilekroć warte to było zachodu. Niemieccy przemysłowcy i handlowcy mogli dokonywać zakupów bezpośrednio od Żydów przed ich deportacją, a Einsatzstab Rosenberga, początkowo upoważniony do konfiskat wszelkich hebraików i judaików na rzecz niemieckich ośrodków badawczych, rozciągnął wkrótce swą działalność na cenne meble i dzieła sztuki.) Pierwotnego nieprzekraczalnego terminu wyznaczonego na luty 1942 roku nie udało się dochować, ponieważ Żydzi mieli możliwość ucieczki z Chorwacji na obszary okupowane przez Włochów, ale po zamachu Badoglio przybył do Zagrzebia inny człowiek Eichmanna, Hermann Krumei, i do jesieni 1943 roku 30 tysięcy Żydów zostało deportowanych do ośrodków zagłady.

Dopiero wówczas Niemcy zdali sobie sprawę, że kraj nie został jeszcze oczyszczony z Żydów. W pierwszej wersji ustaw antyżydowskich spostrzegli osobliwy paragraf przyznający tytuł "honorowych Aryjczyków" wszystkim Żydom, którzy wnieśli wkład w "sprawę chorwacką". Liczba tych Żydów naturalnie poważnie wzrosła w przeciągu ostatnich lat. Innymi słowy, osoby bardzo zamożne, które dobrowolnie rozstały się ze swoim majątkiem, zostały wyłączone spod działania ustawy. Co ciekawsze, wywiad SS (pod kierownictwem Sturmbannführera Wilhelma

Hottla, który został najpierw powołany w charakterze świadka obrony wjerezolimie, ale którego zeznanie wykorzystano następnie oskarżenie) ustalił, że żony prawie wszystkich członków kliki rządzącej Chorwacją, włącznie z szefem rządu i przywódcą ustaszowców, były pochodzenia żydowskiego. Licząca 1,5 tysiąca grupa Żydów, jacy przeżyli na tym obszarze - czyli 5%, zgodnie z raportem rządu Jugosławii - składała się wyłącznie z osób mocno zasymilowanych i nadzwyczaj zamożnych. Ponieważ zaś odsetek Żydów zasymilowanych szacowano często właśnie na około 5%, nasuwa się kuszący wniosek, że na Wschodzie asymilacja -jeśli tylko była w ogóle możliwa - stwarzała o wiele większą szansę przeżycia niż na pozostałym obszarze Europy.

Całkiem inaczej przedstawiała się sytuacja na terytorium sąsiedniej Serbii, gdzie okupacyjne wojska niemieckie musiały niemal od samego początku toczyć swoistą wojnę partyzancką, dającą się porównać jedynie z tym, co działo się w Rosji za linią frontu. Wspomniałam wcześniej o pojedynczym incydencie łączącym Eichmanna z likwidacją Żydów serbskich. W orzeczeniu stwierdzono, że "zasady wydawania rozkazów dotyczących Żydów serbskich nie stały się dla sądu całkiem jasne", co można wyjaśnić tym, że biuro Eichmanna nie miało z tym terenem nic wspólnego, gdyż nie przeprowadzano tam żadnych deportacji Żydów. "Problem" w całości rozwiązano na miejscu. Pod pretekstem egzekucji zakładników wziętych w walce z partyzantami, żołnierze niemieccy rozstrzelali męską część populacji żydowskiej, kobiety i dzieci przekazano w ręce komendanta Policji Bezpieczeństwa, niejakiego doktora Emanuela Schafera, protegowanego Heydricha, ten zaś wymordował je w samochodach do zagazowywania. W sierpniu 1942 roku Staatsrat Harald Turner, szef działu cywilnego przy zarządzie wojskowym, poinformował z dumą, że Serbia jest "jedynym krajem,

237

236

w którym rozwiązano zarówno problem Żydów, jak i Cyganów". Samochody do gazowania odjechały z powrotem do Berlina. Szacuje się, że 5 tysięcy Żydów przyłączyło się do partyzantów: była to jedyna możliwość ocalenia.

Po wojnie Schafer stanął przed niemieckim sądem cywilnym. Za zagazowanie 6280 kobiet i dzieci otrzymał wyrok sześciu i pół lat więzienia. Wojskowy gubernator Serbii, generał Franz Böhme, popełnił samobójstwo, ale radca Turner został wydany władzom Jugosławii i otrzymał wyrok śmierci. Ciągłe powtarza się ta sama historia: ci, którzy uniknęli procesu w Norymberdze i nie zostali wydani władzom kraju, na których terytorium popełnili zbrodnie - nie stanęli nigdy przed sądem bądź też znaleźli u niemieckiego wymiaru sprawiedliwości możliwie największe "zrozumienie". Przypomina się niestety Republika Weimarska, której specjalnością było darowanie win przestępcom politycznym, o ile morderca należał do któregoś z zajadle antyrepublikańskich ugrupowań prawicy.

Ze wszystkich krajów bałkańskich Bułgaria miała najwięcej powodów do wdzięczności dla nazistowskich Niemiec, z racji znacznego powiększenia swego terytorium, dokonanego kosztem Rumunii, Jugosławii i Grecji. Mimo to Bułgaria nie okazywała wdzięczności - ani jej rząd, ani naród nie przejawiał dostatecznej miękości, pozwalającej wprowadzić w życie politykę "bezlitosnej twardości". Uwidoczniło się to nie tylko przy okazji kwestii żydowskiej. Monarchia bułgarska nie musiała się martwić miejscowym ruchem faszystowskim - ratnicami - ponieważ był on słaby liczebnie i pozbawiony wpływów politycznych, parlament zaś cieszył się nadal wielkim szacunkiem i harmonijnie współpracował z królem. Bułgaria odważyła się przeto odmówić wypowiedzenia wojny Rosji i nigdy nie wysłała nawet czysto symbolicznych oddziałów "ochotniczych" na front wschodni. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że ów naród zamieszkujący w strefie o mieszanej ludności, gdzie wśród wszystkich grup etnicznych sze-

rzył się antysemityzm, podniesiony na długo przed pojawieniem się Hitlera do rangi oficjalnej polityki rządowej - nie posiadał najmniejszego "zrozumienia" problemu żydowskiego. Prawdą jest, że armia bułgarska zgodziła się na deportację wszystkich Żydów - było ich około 15 tysięcy - z terenów anektowanych, które znalazły się pod zarządem wojskowym i zamieszkane były przez ludność nastawioną antysemitcko; wątpliwe jednak, czy armia wiedziała, jakie było rzeczywiste znaczenie "przesiedlenia na Wschód". Nieco wcześniej - w styczniu 1941 roku - rząd zgodził się także wydać niewielką liczbę rozporządzeń antyżydowskich, ale z nazistowskiego punktu widzenia posunięcia te były po prostu śmieszne: około 6 tysięcy mężczyzn zmobilizowano do robót, zwalniając od tego obowiązku wszystkich Żydów ochrzczonych niezależnie od daty przyjęcia chrztu - co spowodowało istną epidemię konwersji; dalszych 5 tysięcy Żydów - na ogólną ich liczbę wynoszącą około 50 tysięcy - objęto specjalnymi przywilejami, w odniesieniu zaś do lekarzy i ludzi interesu pochodzenia żydowskiego wprowadzono numerus clausus, kształtował się on dość wysoko, gdyż został obliczony na podstawie odsetka Żydów zamieszkujących w miastach, a nie ogólnej ich liczby w całym kraju. Po wprowadzeniu w życie powyższych posunięć przedstawiciele władz bułgarskich oświadczyli publicznie, że stabilizacja, jaka teraz nastąpiła, zadowala wszystkich. Naziści stanęli najwyraźniej przed koniecznością nie tylko uświadomienia Bułgarów, jakie wymagania wiążą się z "rozwiązaniem problemu żydowskiego", lecz także pouczenia ich, że stabilizacji prawnej nie da się pogodzić z ruchem totalitarnym.

Władze niemieckie musiały w jakimś stopniu przewidywać czekające je trudności. W styczniu 1942 roku Eichmann skierował do Ministerstwa Spraw Zagranicznych list, w którym stwierdzał, że "istnieją dostateczne możliwości przyjęcia Żydów z Bułgarii"; proponował, aby zwró-

cię się w tej sprawie do rządu bułgarskiego i zapewniał MSZ, że sofijski attache policyjny "zajmie się techniczną stroną deportacji". (Ów attache też nie przejawiał chyba wielkiego zapału do swej pracy, bo niedługo potem Eichmann wysłał z Paryża do Sofii jednego ze swych ludzi, Theodora Danneckera, w charakterze "doradcy".) Warto zwrócić uwagę, że list ten zawierał treść dokładnie przeciwną niż meldunek wysłany przez Eichmanna kilka miesięcy wcześniej do Serbii, stwierdzający, że urządzenia potrzebne do przyjęcia Żydów nie są jeszcze dostępne i nie istnieje możliwość deportacji nawet Żydów z Rzeszy. Przyznanie pierwszorzędного znaczenia "oczyszczeniu" Bułgarii z Żydów można tłumaczyć jedynie tym, że Berlin uzyskał informacje, z których wynikało jasno, iż wymagany jest wielki pośpiech, jeśli plan ma się w ogóle powieść. W związku z tym ambasada niemiecka zwróciła się do Bułgarów, dopiero jednak w sześć miesięcy później podjęli oni pierwszy krok zmierzający w stronę "radykalnych" posunięć - wprowadzili nakaz noszenia żydowskiego znaku rozpoznawczego. Nawet jednak i to okazało się dla nazi-stów wielkim rozczarowaniem. Przede wszystkim -jak pośpiesznie odnotowali w raportach - znak ten miał tylko rozmiary "bardzo małej gwiazdki", a po drugie, większość Żydów po prostu go nie nosiła, po trzecie zaś - osoby noszące go spotykały się z "tak licznymi objawami sympatii ze strony wprowadzonej w błąd ludności, że właściwie były dumne ze swej gwiazdy", jak informował w liście do MSZ z listopada 1942 roku Walter Schellenberg, szef kontrwywiadu RSHA. Wówczas rząd bułgarski anulował ów dekret. Pod ogromną presją Niemców władze bułgarskie podjęły ostatecznie decyzję o wygnaniu wszystkich Żydów sofijskich na tereny wiejskie, posunięcie to nie było jednak z pewnością tym, czego oczekiwali Niemcy, gdyż w rezultacie zamiast koncentracji Żydzi ulegli rozproszeniu. Akcja wysiedleńcza stanowiła ważny punkt zwrotny w całej sytuacji, ponieważ mieszkańcy Sofii próbowali naj-

pierw zatrzymać udających się na dworzec kolejowy, a następnie urządzili demonstrację przed pałacem królewskim. Niemcy uznali błędnie, że to car Borys ponosi główną odpowiedzialność za uratowanie Żydów bułgarskich: jest wysoce prawdopodobne, że zamordowali go agenci wywiadu niemieckiego. Ale ani śmierć monarchy, ani przybycie - w początkach 1943 roku - Danneckera nie zmieniły w niczym sytuacji, gdyż zarówno parlament, jak ludność opowiedziały się wyraźnie po stronie Żydów. Dan-neckerowi udało się dojść do porozumienia z bułgarskim komisarzem do spraw żydowskich w kwestii deportacji 6 tysięcy "czołowych Żydów" do Treblinki, w rzeczywistości jednak ani jeden z nich nie opuścił kraju. Samo porozumienie warte jest odnotowania, gdyż dowodzi, że nazi-ści nie żywili najmniejszej nadziei na pozyskanie przywódców żydowskich do swych własnych celów. Naczelnym rabinem Sofii był nieosiągalny, jako że schronienia udzielił mu metropolita Sofii Stefan, który oświadczył publicznie, że "Bóg określił los Żydów, a ludzie nie mają prawa męczyć ich i prześladować" (Hilberg) -było to znacznie więcej, niż kiedykolwiek uczynił Watykan. Na koniec, w Bułgarii wydarzyło się to samo, co później miało wydarzyć się w Danii - miejscowi funkcjonariusze niemieccy stracili pewność siebie i nie można już było na nich polegać. Było to prawdą zarówno w odniesieniu do attache policyjnego, członka SS, do którego obowiązków należało wyłapywanie i aresztowanie Żydów, jak i w wypadku ambasadora Niemiec w Sofii Adolfa Beckerlego, który w czerwcu 1943 roku informował MSZ, że sytuacja jest beznadziejna, bo "Bułgarzy zbyt długo żyli w koegzystencji z Ormianami, Grekami i Cyganami, by docenić znaczenie problemu żydowskiego". Była to oczywiście wierutna bzdura, ponieważ to samo można by mutatis mutandis powiedzieć o wszystkich krajach wschodniej i południowo-wschodniej Europy. To również Beckerle poinformował RSHA - tonem wyraźnie poirytowanym - że nic się już

nie da zrobić. W rezultacie ani jeden bułgarski Żyd nie został deportowany, ani też nie zmarł nienaturalną śmiercią, w sierpniu zaś 1944 roku, wraz z nadejściem Armii Czerwonej, ustawodawstwo antyżydowskie zostało uchylone.

Nie spotkałam się z żadną próbą wyjaśnienia postawy Bułgarów -postawy wyjątkowej wśród ludów zamieszkujących ów mieszany etnicznie rejon Europy. Przychodzi jednak na myśl bułgarski komunista Georgi Dymitrow, który przebywał w Niemczech w momencie dojścia nazi-stów do władzy i którego postanowili oni oskarżyć o Reichs-tagsbrand, tajemniczy pożar, jaki wybuchł w gmachu berlińskiego Parlamentu 27 stycznia 1933 roku. Dymitrow stanął przed niemieckim Sądem Najwyższym; skonfrontowany z Göringiem, przesłuchiwał go, jakby kierował postępowaniem sądowym i to dzięki niemu trzeba było uniewinnić wszystkich oskarżonych oprócz van der Lub-bego. Postawę Bułgara podziwiał cały świat, nie wyłączając Niemiec. Krążyło wówczas powiedzenie: "W Niemczech pozostał jeszcze jeden człowiek, a jest nim pewien Bułgar".

Grecja, okupowana na północy przez Niemców, a na południu przez Włochów, nie przedstawiała szczególnych problemów, a zatem mogła czekać w kolejce do "oczyszczenia z Żydów". W lutym 1943 roku dwaj specjaliści Eich-manna, Hauptsturmbannführer Dieter Wisliceny i Alois Brunner, przybyli w celu przygotowania deportacji Żydów z Salonik, gdzie skupiono dwie trzecie Żydów greckich, około 55 tysięcy ludzi. Działo się to "w ramach planu Ostatecznego Rozwiązania kwestii żydowskiej w Europie", jak stwierdzał akt nominacyjny wystawiony im przez Wydział IV B 4. W ścisłej współpracy z niejakim Kriegsverwaltungs-ratem doktorem Maxem Mertenem, przedstawicielem wojskowej administracji tego obszaru, powołali oni natychmiast -jak to było w zwyczaju - miejscową Radę Zy-

dowską, na której czele stanął rabin Koretz. Wisliceny, który stał na czele Sonderkommandojudenangelegenheiten w Salonikach, wprowadził obowiązek noszenia żółtej gwiazdy, obwieszczając rychło, że żadne wyjątki nie będą tolerowane. Dr Merten skoncentrował całą ludność żydowską na terenie getta, skąd można ją było łatwo przetransportować, bo znajdowało się ono w pobliżu stacji kolejowej. Jedyną kategorię uprzywilejowaną stanowili Żydzi z paszportami zagranicznymi oraz -jak zwykle - personeljudenratu, w sumie nie więcej niż paręset osób, które ostatecznie trafiły do obozu w Bergen-Belsen. Jedyna droga ucieczki prowadziła na południe, gdzie Włosi - tak jak gdzie indziej - odmawiali wydania Żydów w ręce niemieckie, ale okres bezpieczeństwa w strefie włoskiej trwał krótko. Nastawienie społeczeństwa greckiego było w najlepszym wypadku obojętne, niektóre zaś oddziały partyzanckie odnosiły się do całej operacji wręcz z "aprobatą". W ciągu dwóch miesięcy cała społeczność żydowska została deportowana; pociągi do Oświęcimia wyruszały prawie codziennie, wioząc od 2 do 2,5 tysiąca Żydów w wagonach towarowych. Jesienią tegoż roku - po upadku armii włoskiej - doprowadzono do końca ewakuację około 13 tysięcy Żydów z południowej części Grecji, włącznie z Atenami i wyspami należącymi do Grecji.

W Oświęcimiu wielu Żydów greckich zatrudnionych było w tak zwanych komandach śmierci obsługujących komory gazowe i krematoria; pozostawali oni przy życiu jeszcze w roku 1944, kiedy nastąpiła eksterminacja Żydów węgierskich i likwidacja getta łódzkiego. Pod koniec lata tegoż roku, kiedy rozeszła się pogłoska o mającym wkrótce nastąpić przerwaniu zagazowywania i rozbiórce urządzeń, wybuchł jeden z bardzo niewielu buntów, do jakich w ogóle doszło na terenie obozów zagłady; komanda śmierci były bowiem

przekonane, że teraz one zostaną wymordowane. Bunt zakończył się całkowitą klęską: ocalał tylko jeden świadek wydarzeń.

243

Mogłoby się wydawać, że obojętność Greków na los greckich Żydów poniekąd trwała jeszcze po wyzwoleniu kraju. Dr Merten -występujący dziś jako świadek obrony na procesie Eichmanna - utrzymuje, niezbyt logicznie, jakoby zarazem o niczym nie wiedział, a jednocześnie ratował Żydów od losu, z którego nie zdawał sobie sprawy. Po wojnie powrócił spokojnie do Grecji w charakterze przedstawiciela pewnego biura podróży. Został aresztowany, lecz wkrótce zwolniono go i pozwolono na powrót do Niemiec. Jego przypadek jest poniekąd wyjątkowy, ponieważ procesy zbrodniarzy wojennych wszędzie poza terenem Niemiec kończyły się zawsze surowymi wyrokami. Natomiast z pewnością wyjątkowy był charakter zeznań, jakie złożył on w Berlinie w obecności przedstawicieli zarówno obrony, jak i oskarżenia. Twierdził, że Eichmann bardzo się przysłużył dla prób uratowania około 20 tysięcy kobiet i dzieci z Salonik, a winą za całe zło obarczył Wislicenego. W końcu wyznał jednak, że zanim zaczął składać zeznania, zwrócił się do niego brat Eichmanna, adwokat z Linzu, a także niemiecka organizacja byłych członków SS. Sam Eichmann wszystkiemu zaprzeczył: nigdy nie był w Salonikach i nie zetknął się nigdy z usłużnym doktorem Mertenem.

Eichmann twierdził niejednokrotnie, że jego talenty organizacyjne, koordynacja akcji ewakuacyjnych i deportacyjnych osiągnięta przez jego referat - dopomogły w istocie jego ofiarom, czyniąc ich los lepszym. Skoro w ogóle trzeba to było zrobić - argumentował - lepiej było zrobić to w sposób uporządkowany. Podczas procesu nikt - nawet obrońcy - nie zwrócił uwagi na to stwierdzenie, gdyż wydawało się oczywiste, że można je zaliczyć do tej samej kategorii, co powtarzane przezeń z uporem absurdalne przekonanie, iż dzięki "przymusowej emigracji" uratował życie setkom tysięcy Żydów. A jednak, w świetle tego, co wydarzyło się w Rumunii, zaczynają nas ogar-

244

niać wątpliwości. Tu także panował kompletny chaos, odmienny wszakże od chaosu w Danii, gdzie nawet gestapowcy zaczęli sabotować rozkazy z Berlina; w Rumunii nawet SS-manów ogarniało zaskoczenie, czasami zaś przerażenie, na widok potworności towarzyszących dokonywanym na gigantyczną skalę spontanicznym pogromom w starym stylu; nierzadko interweniowali, aby uratować Żydów przed istną rzezią, gdyż akcja likwidacyjna miała się odbywać w sposób, jaki uważali za bardziej cywilizowany.

Twierdzenie, że Rumunia była najbardziej antysemitycznym krajem przedwojennej Europy, nie będzie wcale przesadą. Nawet w XIX wieku antysemityzm stanowił fakt niezbity - w roku 1878 wielkie mocarstwa podjęły - na podstawie traktatu berlińskiego - próbę interwencji i skłonienia rządu rumuńskiego do uznania zamieszkujących ten kraj Żydów za obywateli rumuńskich, choćby i drugiej kategorii. Próba nie powiodła się; pod koniec zaś I wojny światowej wszyscy Żydzi rumuńscy - z wyjątkiem kilkuset rodzin sefardyjskich i garstki Żydów pochodzących z Niemiec - posiadali nadal status obcokrajowców przebywających na terenie Rumunii. Trzeba było całej potęgi państw Ententy, by w ciągu toczących się rokowań pokojowych "przekonać" rząd rumuński do przyjęcia traktatu o mniejszościach i przyznania obywatelstwa członkom mniejszości żydowskiej. Z tego ustępstwa wobec opinii światowej wycofano się w latach 1937 i 1938, kiedy to Rumuni - ufni w potęgę hitlerowskich Niemiec - nabrali przekonania, że mogą sobie pozwolić na odrzucenie traktatu o mniejszościach, gdyż ogranicza on ich "suwerenność" oraz pozbawia obywatelstwa około 225 tysięcy Żydów, w przybliżeniu jedną czwartą ogólnej liczby ludności żydowskiej. W dwa lata później, w sierpniu 1940 roku, na kilka miesięcy przed przystąpieniem Rumunii do wojny po stronie

Hitlera, marszałek Ion Antonescu, szef nowych dyktatorskich rządów Żelaznej Gwardii, oświadczył,

245

że wszyscy Żydzi rumuńscy - oprócz kilkuset rodzin posiadających obywatelstwo rumuńskie sprzed traktatów pokojowych są bezpaństwowcami. W tymże miesiącu wprowadził on najsurowsze w całej Europie - nie wyłączając Niemiec - ustawodawstwo antyżydowskie. Kategorie uprzywilejowane-weterani wojenni i Żydzi, którym nadano obywatelstwo rumuńskie przed rokiem 1918 - objęły nie więcej niż 10 tysięcy ludzi, czyli niewiele ponad 1% całej tej grupy osób. Nawet Hitler zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, że Rumunia prześcignie Niemcy i w sierpniu 1941 roku, w kilka tygodni po wydaniu przez siebie rozkazu przystąpienia do Ostatecznego Rozwiązania, skarżył się Goebbelsowi, iż "taki Antonescu poczyną sobie w tych sprawach o wiele radykalniej niż my dotąd". Rumunia przystąpiła do wojny w lutym 1941 roku, a Legion Rumuński zaczął się liczyć jako siła militarna w zbliżającej się inwazji na Rosję. W samej Odessie żołnierze rumuńscy zapisali na swoim koncie masakrę 60 tysięcy ludzi. W przeciwieństwie do rządów innych krajów bałkańskich, rząd rumuński posiadał od samego początku bardzo dokładne informacje o masakrach Żydów na Wschodzie, a żołnierze rumuńscy, nawet po odsunięciu Żelaznej Gwardii od władzy, latem 1941 roku przystąpili do planowych rzezi i deportacji, przy których "zmały nawet wyczyny Żelaznej Gwardii w Bukareszcie" w styczniu tegoż roku, a których potworność przerasta wszystko, co można wyczytać w rojących się od okrucieństw kronikach owego czasu (Hilberg). Deportacje w stylu rumuńskim polegały na wtłoczeniu 5 tysięcy ludzi do wagonów towarowych i wożeniu ich w pociągu po całym kraju bez żadnego planu i celu przez wiele dni, aż nie umarli z braku tlenu; ulubionym uzupełnieniem tych akcji likwidacyjnych było wystawianie zwłok Żydów na widok publiczny w sklepach rzeźniczych. Również okrucieństwa rumuńskich obozów koncentracyjnych założonych i kierowanych przez samych Rumunów, ponieważ

246

deportacja na Wschód była praktycznie niewykonalna, były bardziej wyrafinowane i potworniejsze niż wszystko, co wiemy na ten temat o obozach niemieckich. Gdy Eichmann zwyczajowo wysłał do Bukaresztu doradcę do spraw żydowskich Hauptsturmführera Gustava Richtera, ten napisał w raporcie, że Antonescu chce obecnie wyekspediować 110 tysięcy Żydów do "dwóch puszczy za rzeką Bug", to znaczy na zajęty przez Niemców teren rosyjski, celem likwidacji. Niemcy byli przerażeni i zewsząd posypały się interwencje: od dowódców armii, z Rosenbergowskiego Ministerstwa Okupowanych Terytoriów Wschodnich, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie, od ministra przy rządzie bukareszteńskim Manfreda von Killingera -ten ostatni, były wysoki oficer SA, osobisty przyjaciel Róhma, a przeto osobnik podejrzany dla SS, był przypuszczalnie szpiegowany przez Richtera, który "doradzał" mu w sprawach żydowskich. Jednakże w tej kwestii wystąpiła pomiędzy nimi całkowita zgodność. Eichmann osobiście błagał MSZ - w liście z kwietnia 1942 roku - aby zapobiegło ono owym chaotycznym i przedwczesnym usiłowaniom Rumunów pragnących "pozbyć się Żydów" na tym etapie. Należało ich przekonać, że "ewakuacja Żydów niemieckich, która jest już w pełnym toku" ma pierwszeństwo, w konkluzji zaś zagroził "wprowadzeniem do akcji Policji Bezpieczeństwa".

Bez względu na to, jak bardzo ociągali się Niemcy z przyznaniem Rumunii bardziej uprzywilejowanego miejsca w Ostatecznym Rozwiązaniu niż pierwotnie przewidywał to plan dotyczący wszystkich krajów bałkańskich, musieli coś postanowić, jeśli nie chcieli, żeby sytuacja pogorszyła się i zamieniła w krwawy chaos, a choć Eichmannowi sformułowana przezeń pogrożka o użyciu Policji Bezpieczeństwa mogła się ogromnie podobać - formacja ta

nie była szkolona akurat z myślą o ratowaniu Żydów. Toteż w połowie sierpnia - do którego to momentu Rumuni wymordowali blisko 300 tysięcy Żydów bez żad-

247

nej pomocy niemieckiej - Ministerstwo Spraw Zagranicznych zawarło z Antonescu porozumienie stwierdzające, że "ewakuacja Żydów z Rumunii przeprowadzona zostanie przez jednostki niemieckie", Eichmann zaś zaczął pertraktacje z koleją niemiecką celem uzyskania takiej ilości wagonów, która pozwoliłaby przetransportować 200 tysięcy Żydów do lubelskich obozów zagłady. W momencie jednak gdy wszystko było gotowe, a ogromne ustępstwa zostały poczynione, Rumuni wykonali nagłą woltę. Niczym grom z jasnego nieba, pojawił się w Berlinie list od cieszącego się zaufaniem pana Richtera: marszałek Antonescu zmienił decyzję; według raportu ambasadora Killingerera, marszałek pragnął się teraz pozbyć Żydów w "dogodniejszy sposób". Niemcy nie wzięli pod uwagę tego, że Rumunia była nie tylko krajem o nieprzeciętnie wysokim odsetku pospolitych morderców, lecz także najbardziej skorumpowanym państwem w całych Bałkanach. Masakrom towarzyszył rozkwit handlu wyłączeniami spod ustaw antyżydowskich, wszystkie gałęzie biurokracji, na szczeblu tak krajowym, jak i lokalnym, uprawiały z wielką ochotą ów dochodowy proceder. Specjalnością rządu były ogromne podatki, nakładane na chybił trafił na niektóre grupy lub na całą społeczność żydowską. Kiedy zaś okazało się, że Żydów można sprzedawać zagranicą za twardą walutę, Rumuni stali się najzagorzalszymi zwolennikami emigracji Żydów - po 1300 dolarów za osobę. W ten to sposób Rumunia zaczęła być jednym z niewielu kanałów, jakimi podczas wojny płynęła fala emigracji żydowskiej do Palestyny. W miarę zaś, jak zbliżała się Armia Czerwona, Antonescu stał się jeszcze bardziej "umiarkowany" - gotów był teraz wypuścić Żydów bez jakiegokolwiek rekompensaty.

Interesujące jest to, że Antonescu, od początku do końca, nie był wcale "radykalniejszy" od nazistów (jak sądził Hitler), ale po prostu wyprzedzał zawsze o krok bieg wydarzeń w Niemczech. Pierwszy pozbawił wszystkich Ży-

248

dów obywatelstwa i rozpoczął bez najmniejszego wstydu jawne masakry na wielką skalę w chwili, gdy naziści zajęci byli jeszcze pierwszymi eksperymentami próbnymi. Na pomysł sprzedaży Żydów wpadł ponad rok wcześniej, nim Himmler zaproponował "krew za ciężarówkę", na koniec zaś - tak samo jak Himmler - odwołał wszystko, niczym żart. W sierpniu 1944 roku Rumunia skapitulowała przed Armią Czerwoną, Eichmanna zaś - specjalistę w dziedzinie ewakuacji - wysłano w te pędy do Rumunii, żeby ratował "etnicznych Niemców". Bez powodzenia. Około połowa z 850 tysięcy Żydów rumuńskich ocalała, znaczna ich część - paręset tysięcy - trafiła do Izraela. Nie wiadomo, ilu Żydów pozostaje obecnie w Rumunii. Wszyscy zbrodniarze rumuńscy zostali w krótkim czasie straceni, a Killinger popełnił samobójstwo, nim mógł się dostać w ręce Rosjan, jedynie emerytowany Hauptsturmführer Richter, który co prawda nie miał nigdy możliwości przystąpienia do czynu, wiódł spokojny żywot w Niemczech aż do roku 1961, kiedy to został spóźnioną ofiarą procesu Eichmanna.

ROZDZIAŁ XII

Deportacje z Europy Środkowej: Węgry i Słowacja

Węgry, wspomniane wcześniej w związku z kłopotliwą kwestią Eichmannowskiego sumienia, były zgodnie z konstytucją królestwem bez króla. Krajem, choć nie miał on dostępu do morza i nie posiadał floty wojennej ani handlowej, rządził - a właściwie sprawował urząd namiestnika nie istniejącego króla- admirał, regent czy też Reichs-verweser Miklos von Horthy. Jedynym widomym znakiem monarchii była obfitość Hofrde, czyli radców nie

istniejącego dworu. Głowa Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego była onegdaj zarazem królem Węgier, bliżej zaś czasów współczesnych - po roku 1806 - naddu-najską kaiserlich-konigliche Monarchie władali - nadając jej nieco chwiejną spoistość - Habsburgowie, będący zarazem cesarzami (Kaiser) Austrii i królami Węgier. W roku 1918 cesarstwo Habsburgów rozpadło się na państwa sukcesyjne. Austria stała się wówczas republiką żywiącą nadzieje na Anschluss, czyli połączenie z Niemcami. Otto von Habsburg znalazł się na wygnaniu, a zagorzali nacjonałiści madziarscy nigdy by go nie zaakceptowali na tronie węgierskim; autentyczna monarchia węgierska nie przechowała się zresztą nawet w pamięci historycznej. To też sam tylko admirał Horthy wiedział, czym - w sensie przyjętych ogólnie form ustrojowych - były właściwie

Węgry.

Za pozorami królewskiego majestatu kryło się dziedzictwo w postaci feudalnej struktury społecznej, połączonej z większą nędzą bezrolnych chłopów i większym bogactwem, w jakie opływała garść arystokratycznych

250

rodów (będących w dosłownym sensie właścicielami kraju) - niż gdziekolwiek indziej na tych dotkniętych ubóstwem obszarach tworzących ojczyznę pasierbów Europy. To właśnie owo tło nie rozwiązanych zagadnień społecznych i ogólnego zacofania nadawało budapeszteńskiej socjocie ową specyficzną aurę, jak gdyby Węgrzy stanowili grupę ludzi tak długo karmiących się własnymi złudzeniami, że utracili wszelkie poczucie niezborności. Na początku lat trzydziestych, pod wpływem faszyzmu włoskiego, powstał na Węgrzech silny ruch faszystowski -tak zwani strzałokrzyżowcy - a w roku 1938, naśladowując Włochy, kraj ten wprowadził pierwsze ustawy antyżydowskie. Mimo znacznych wpływów węgierskiego Kościoła katolickiego, owe regulacje prawne objęły Żydów ochrzczonych, którzy dokonali konwersji po roku 1919, zaś w trzy lata później nawet tych, którzy zmienili wyznanie jeszcze przed tą datą. Pomimo to, nawet wówczas gdy totalny antysemityzm, oparty na przesłankach rasowych, stał się oficjalną linią działania rządu, jedenastu Żydów nadal zasiadało w wyższej izbie parlamentu, a Węgry były jedynym państwem Osi, jakie wysłało wojska żydowskie - liczące 130 tysięcy żołnierzy formacji pomocniczych, ale w mundurach węgierskich - na front wschodni. Te sprzeczności można wytłumaczyć tym, że Węgrzy -wbrew swojej oficjalnej polityce -jeszcze mocniej niż inne kraje akcentowali różnice pomiędzy Żydami miejscowymi i Ostjuden, między "zmadziaryzowanymi" Żydami "Węgier trianońskich" (powstałych, tak jak pozostałe państwa sukcesyjne, w wyniku traktatu w Trianon), a tymi, którzy zamieszkiwali terytoria świeżo przyłączone. Rząd nazistowski Niemiec respektował suwerenność Węgier aż do marca 1944 roku, skutkiem czego kraj ten stał się dla Żydów wyspą bezpieczeństwa oblaną przez "ocean zagłady". O ile jest rzeczą zrozumiałą, że w obliczu nadciągającej przez Karpaty Armii Czerwonej i rozpaczliwych usiłowań rządu węgierskiego, który za przy-

251

kładem Włoch zabiegał o zawarcie z Rosjanami odrębnego rozejmu - rząd niemiecki podjął decyzję o okupacji Węgier, o tyle aż trudno uwierzyć, by na tym etapie rozgrywki wciąż jeszcze "nakazem dnia" mogło być "zmierzenie się z problemem żydowskim", którego "likwidacja" stanowiła "niezbędny warunek udziału Węgier w wojnie", jak w raporcie do MSZ pisał w grudniu 1943 roku Yeesen-mayer. "Likwidacja" bowiem tego "problemu" wiązała się z koniecznością ewakuacji 800 tysięcy Żydów oraz szacowanych na 100-150 tysięcy Żydów ochrzczonych.

W każdym razie, jak wcześniej napisałam, z powodu wielkiego znaczenia i pilności sprawy, w marcu 1944 roku przybywa do Budapesztu Eichmann wraz z całym swym

sztabem, którego zebranie nie było trudne, bo wszędzie indziej zadanie zostało wykonane. Ze Słowacji i Grecji wezwał Wisliceny'ego i Brunnera, Abromeita z Jugosławii, Danneckera z Paryża i Bułgarii, Siegfrieda Seidla z Te-rezina, gdzie pełnił funkcję komendanta, z Wiednia zaś Hermanna Krumeya, który został jego zastępcą na Węgrzech. Z Berlina sprowadził wszystkich ważniejszych członków swej ekipy. Rolfa Giinthera, pełniącego obowiązki jego pierwszego zastępcy, Franza Novaka, oficera do spraw deportacji, oraz Ottona Hunschego, eksperta prawnego. Sondereinsatzkommando Eichmanna (Specjalna Jednostka Operacyjna Eichmanna) składało się zatem z około 10 ludzi plus kilku pracowników biurowych, w momencie gdy zainstalowano swą kwaterę w Budapeszcie. Jeszcze w dniu przybycia Eichmann zaprosił przywódców żydowskich na wieczorną konferencję, zamierzając przekonać ich o potrzebie stworzenia Rady Żydowskiej, za której pośrednictwem jego ludzie mogliby wydawać swe rozkazy, w zamian za co członkowie Rady otrzymaliby pełnię władzy nad wszystkimi Żydami na Węgrzech. W tym czasie i miejscu była to sztuka nie lada. W tym okresie "cały świat wiedział już, co w praktyce oznacza deportacja", jak wyraził się nuncjusz papieski; Żydzi budapesz-

252

teńscy mieli ponadto "wyjątkową okazję śledzenia losu żydostwa europejskiego. Wiedzieliśmy doskonale, czym zajmowały się Einsatzgruppen. Wiedzieliśmy aż za dużo na temat Oświęcimia", zeznawał w Norymberdze dr Kastner. Z pewnością potrzeba było czegoś więcej niż rzekomych "zdolności hipnotycznych" Eichmanna, żeby przekonać kogokolwiek, że naziści będą przestrzegać uświęconego rozróżnienia na Żydów "zmaszaryzowanych" i wschodnich. Samookłamywanie się musiało urosnąć do rangi prawdziwego kunsztu, by przywódcy Żydów węgierskich mogli uwierzyć w tym akurat momencie, że "tutaj to się stać nie może" - Jakże by mogli wysłać Żydów węgierskich poza Węgry?" - i żeby nie przestali w to wierzyć nawet wówczas, gdy rzeczywistość codziennie zadawała kłam tej wierze. Na to, jak do tego doszło, rzuca snop światła jeden z najbardziej błędnych wniosków wypowiedzianych zza bariery dla zeznających świadków: przyszli członkowie Centralnego Komitetu Żydowskiego (bo tak nazwano Radę Żydowską na Węgrzech) dowiedzieli się z sąsiedniej Słowacji, że Wisliceny, prowadzący z nimi wówczas pertraktacje, chętnie przyjmuje pieniądze, lecz dowiedzieli się także, że pomimo wszelkich łapówek "deportował on wszystkich Żydów słowackich [...]". Pan Freudiger wyciągnął z tego taki oto wniosek: "Zrozumiałem, że trzeba koniecznie znaleźć sposób nawiązania stosunków z Wislicenym".

Najchytrzejsza sztuczka, jaką zastosował Eichmann w czasie owych trudnych pertraktacji, polegała na tym, że postarał się o to, aby on i jego ludzie zachowywali się tak, jakby byli skorumpowani. Potraktowany z wyszukaną kurtuazją prezes gminy żydowskiej Hofrat Samuel Stern, członek Tajnej Rady Horthy'ego zgodził się objąć kierownictwo Rady Żydowskiej. Wraz z innymi członkami Rady poczuł się uspokojony, gdy zwrócono się do nich z prośbą o dostarczenie maszyn do pisania i luster, bielizny damskiej i wody kolońskiej, oryginalnych płócien Wat-

253

teau oraz ośmiu pianin - mimo że Hauptsturmführer No-vak, któremu je przywieziono, uprzejmie odesłał siedem sztuk, komentując to słowami: "Ależ panowie! Nie zamierzałem otworzyć składu fortepianów! Chciałem tylko pograć na pianinie". Eichmann złożył osobiście wizytę w Bibliotece i Muzeum Żydowskim, zapewniając wszystkich, że podjęte kroki mają wyłącznie charakter przejściowy. Korupcja zaś, będąca początkowo sfingowaną sztuczką, okazała się rychło czymś zgoła realnym, choć nie przybrała formy, jakiej spodziewali się Żydzi. Nigdzie indziej Żydzi nie wydali tyle pieniędzy bez jakichkolwiek rezultatów. Dziwny pan Kastner wyraził to w ten sposób: "Żyd, który drży o życie swoje i swojej rodziny, traci

wszelkie poczucie wartości pieniądza" (sic!). Na procesie potwierdziły to zeznania wspomnianego wcześniej Philipa von Freudigera, a także zeznania Joela Branda, reprezentującego konkurencyjną organizację żydowską na Węgrzech - Syjonistyczny Komitet Pomocy i Ratunku. W kwietniu 1944 roku Krumej otrzymał od Freudigera co najmniej 250 tysięcy dolarów, a Komitet Ratunku zapłacił 20 tysięcy dolarów za sam przywilej spotkania się z Wislicem i kilku ludźmi z kontrwywiadu SS. Podczas spotkania każdy z obecnych Niemców otrzymał dodatkową łapówkę w kwocie tysiąca dolarów, a Wisliceny wystąpił ponownie z tak zwanym "Planem Europa", który zaproponował daremnie w 1942 roku. Zgodnie z owym planem Himmler miał być rzekomo gotowy oszczędzić wszystkich Żydów z wyjątkiem zamieszkujących Polskę za okup w wysokości 2 czy 3 milionów dolarów. W oparciu o tę propozycję - od dawna już nieaktualną - Żydzi zaczęli wówczas płacić raty Wislicenemu. Na owej ziemi istnej obfitości załamał się nawet "idealizm" Eichmanna. Oskarżyciele - mimo że nie mogli udowodnić, iż Eichmann czerpał korzyści materialne ze swego procederu - słusznie zwrócili uwagę na jego wysoką stopę życiową w Budapeszcie, gdzie stać go było na zamieszkanie w jednym z najdroższych

254

hotelu, na szofera, który obwoził go wielką limuzyną (niezapomniany prezent od jego późniejszego wroga, Kurta Bechera), na polowania i przejażdżki konne i gdzie opływał we wszelkie nieznane sobie przedtem luksusy, korzystając z protektoratu swych nowych przyjaciół w rządzie węgierskim.

W kraju istniała jednak dość liczna grupa Żydów, których przywódcy w mniejszym stopniu oddawali się auto-iluzjom. Ruch syjonistyczny był na Węgrzech zawsze wyjątkowo silny, ówczesną zaś jego reprezentację stanowił świeżo stworzony Komitet Pomocy i Ratunku (Vaadat Ezra va Hazalah), który utrzymując ścisły kontakt z Agencją Palestyńską, pomagał uchodźcom z Polski, Słowacji, Jugosławii i Rumunii. Komitet pozostawał w stałej łączności z Połączonym Amerykańskim Komitetem Rozdzielnictwa (JOINT), który finansował jego działalność; Komitet Ratunku był także w stanie sprowadzić pewną liczbę Żydów - legalnie lub nie - do Palestyny. Kiedy katastrofa spadła ostatecznie na ich własny kraj, ludzie ci zajęli się podrabianiem "chrześcijańskich papierów", czyli świadectw chrztu, których posiadaczom łatwiej było zejść do podziemia. Przywódcy syjonistyczni wiedzieli, że kimkolwiek by byli, byli przede wszystkim wyjętymi spod prawa - odpowiednio do tego też i postępowali. Joel Brand, ów niefortunny emisariusz, któremu przypadło w udziale przedstawienie -w wirze działań wojennych -Sprzymierzonym propozycji Himmlera sugerującego, że wyda im milion żywych Żydów w zamian za 10 tysięcy ciężarówek, był jednym z czołowych działaczy Komitetu Pomocy i Ratunku. Do Jerozolimy przybył on w celu złożenia zeznań na temat swych kontaktów z Eichmannem, tak samo jak jego niegdysiejszy konkurent na Węgrzech - Philip von Freudiger. O ile Freudiger, którego Eichmann akurat wcale sobie nie przypominał, opowiedział o brutalnym traktowaniu, z jakim spotykał się podczas tych kontaktów, zeznania Branda w znacznej mierze potwierdziły

255

właściwie relację samego Eichmanna dotyczącą jego rokowań z syjonistami. "Żydowski idealista" Brand został poinformowany, że będzie z nim rozmawiał "idealista niemiecki" - oto dwaj godni szacunku wrogowie spotykają się jak równy z równym podczas chwili przerwy w toczącym się boju. Eichmann powiedział do niego: "Możliwe, że jutro znajdziemy się znów na polu bitwy". Była to naturalnie tragifarsa, ale wynika z niej, że słabość, jaką miał Eichmann do wzniosłych sentencji pozbawionych rzeczywistego znaczenia, nie była pozą wymyśloną specjalnie na proces jerozolimski. Co ciekawsze, nie sposób nie zauważyć, że na spotkaniu z syjonistami ani Eichmann, ani żaden z członków Sonder Einsatzkommando nie

sięgnął po taktykę wierutnych kłamstw, z jakiej korzystali oni na użytek panów z Rady Żydowskiej. Zawieszono zostały nawet obowiązujące "reguły językowe": prawie zawsze rzeczy nazywano po imieniu. Ponadto, ilekroć w grę wchodziły pertraktacje w poważnych sprawach - w kwestii sumy pieniędzy, za jaką można byłoby nabyć pozwolenie wyjazdu, w kwestii "Planu Europa" czy wymiany żywych ludzi za ciężarówki - nie tylko Eichmann, ale i wszyscy zainteresowani: Wisliceny, Becher, panowie z kontrwywiadu, z którymi Joel Brand zwykł był się spotykać codziennie rano w kawiarni, uważali za oczywistość zwrócenie się do syjonistów. Działo się tak dlatego, że Komitet Pomocy i Ratunku dysponował niezbędnymi kontaktami międzynarodowymi i mógł łatwiej zdobyć obce dewizy, natomiast członkowie Rady Żydowskiej nie mieli żadnego oparcia, prócz więcej niż wątpliwej protekcji regenta Horthy'ego. Stało się także jasne, że syjonistyczni działacze węgierscy uzyskali większe przywileje niż tymczasowy zazwyczaj immunitet chroniący przed aresztowaniem i deportacją, jaki przyznawano członkom Rady Żydowskiej. Syjoniści mieli praktycznie pełną swobodę poruszania się, zwolniono ich od obowiązku noszenia żółtej gwiazdy, otrzymali pozwolenie na wizyty w obozach kon-

256

centracyjnych na terenie Węgier, a nieco później dr Kast-ner, założyciel Komitetu Pomocy i Ratunku, mógł nawet odbyć podróż po nazistowskich Niemczech wyposażony w dokumenty tożsamości nie stwierdzające nigdzie jego żydowskiego pochodzenia.

Zorganizowanie Rady Żydowskiej było dla Eichmanna - przy doświadczeniu, jakiego nabył w Wiedniu, Pradze i Berlinie - zwykłą formalnością, która zajęła mu nie więcej niż dwa tygodnie. Problem polegał tylko na tym, czy będzie sam w stanie zapewnić sobie w operacji na tak wielką skalę pomoc władz węgierskich. Była to dla niego sytuacja nowa. W normalnym trybie rzeczy załatwiliby to za niego przedstawiciele MSZ, w tym wypadku - nowo mianowany pełnomocnik Rzeszy, dr Edmund Yeesenma-yer, któremu Eichmann przysłałby "doradcę do spraw żydowskich". Sam Eichmann wyraźnie nie przejawiał ochoty do odegrania roli doradcy, jako że stanowisko to zajmowali wszędzie ludzie w randze najwyżej Hauptsturmführera (kapitana), podczas gdy on posiadał o dwa stopnie wyższą rangę Obersturmbannführera (podpułkownika). Jego największym sukcesem na Węgrzech było to, że zdołał nawiązać własne kontakty. W grę wchodziło głównie trzech ludzi - Easzlo Endre, z racji swego antysemityzmu, który nawet Horthy nazywał "chorobliwym", mianowany niedługo wcześniej sekretarzem stanu nadzorującym sprawy polityczne (żydowskie) w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych; Laszlo Baky, zajmujący również stanowisko podsekretarza w MSZ szef policji węgierskiej oraz oficer policji, podpułkownik Ferenczy, kierujący bezpośrednio deportacjami. Zapewniwszy sobie ich pomoc, Eichmann mógł mieć pewność, że wszystko-wydanie niezbędnych rozporządzeń oraz koncentracja Żydów z prowincji - odbędzie się w "błyskawicznym tempie". W Wiedniu odbyła się specjalna narada z przedstawicielami niemieckich kolei państwowych, ponieważ w grę wchodziło przewiezienie blisko pół miliona ludzi. Komendant Oświę-

257

cimnia Hoss, poinformowany o planach za pośrednictwem swego przełożonego, generała Richarda Glicksa z WVHA, nakazał wybudowanie nowej bocznicy kolejowej doprowadzającej wagony na odległość kilku metrów od krematoriów. Liczba komand śmierci obsługujących komory gazowe wzrosła z 224 do 860 - poczyniono więc wielkie przygotowania pozwalające zabić od 6 do 12 tysięcy ludzi dziennie. W maju 1944 roku, gdy zaczęły przybywać pierwsze transporty, wyselekcjonowano bardzo niewielu "zdolnych do pracy" mężczyzn; garstka ta pracowała w oświęcimskiej fabryce zapalników Kruppa. (Macierzyste zakłady Kruppa, Berthawerk, ściągały żydowską siłę roboczą, skąd się tylko

dało; robotnicy ci przebywali tam w warunkach jeszcze gorszych niż te, jakie panowały w brygadach roboczych w obozach zagłady.)

Cała operacja na Węgrzech trwała mniej niż dwa miesiące i została nagle przerwana na początku lipca. Dzięki syjonistom opinia światowa była o niej lepiej poinformowana niż o którymkolwiek pozostałym rozdziale tragedii narodu żydowskiego, na Horthy'ego zaś posypała się lawina protestów z państw neutralnych i Watykanu. Nuncjusz papieski uznał wszakże za stosowne wyjaśnić, że protest Watykanu nie zrodził się z "fałszywie rozumianego współczucia" - wyrażenie to stanie się chyba trwałym pomnikiem wpływu, jaki na mentalność najwyższych dostojników Kościoła wywarły ciągle konszachty i wola zawarcia kompromisu z ludźmi głoszącymi ewangelię "bezlitosnej twardości". Przykład kroków, jakie należało podjąć w praktyce, raz jeszcze dała Szwecja, przyznając Żydom prawo wjazdu na swoje terytorium, Szwajcaria zaś, Hiszpania i Portugalia poszły w jej ślady, tak że ostatecznie około 33 tysięcy Żydów mieszkało w specjalnych domach w Budapeszcie, mając zapewnioną ochronę państw neutralnych. Sprzymierzeni otrzymali i podali do wiadomości publicznej listę znanych sobie 70 osób ponoszących główną odpowiedzialność za zbrodnię, a Roosevelt wysłał

258

ultimatum, w którym zagroził, że "los Węgier będzie inny niż wszystkich krajów cywilizowanych [...], o ile deportacje nie zostaną przerwane". Na dowód, że nie są to czcze słowa, 2 lipca dokonano niezwykle gwałtownego nalotu bombowego na Budapeszt. Naciskany zewsząd Horthy wydał rozkaz przerwania deportacji, jednym zaś z najbardziej obciążających Eichmanna dowodów jego winy był dość ewidentny fakt, że nie podporządkował się on owemu rozkazowi "starego durnia", tylko deportował - w połowie lipca - następne 1,5 tysiąca Żydów znajdujących się w położonym pod Budapesztem obozie koncentracyjnym. Aby uniemożliwić działaczom żydowskim powiadomienie Horthy'ego, zwołał do swego biura członków owych dwóch żydowskich ciał przedstawicielskich, a dr Hunsche przetrzymywał ich tam pod różnymi pretekstami, dopóki nie dowiedział się, że transport opuścił terytorium Węgier. W Jerozolimie Eichmann absolutnie nie mógł sobie przypomnieć tego epizodu i choć sędziowie byli "przekonani, że oskarżony doskonale pamięta swoje zwycięstwo nad Horthym", należy w to wątpić, ponieważ w oczach Eichmanna Horthy nie był wcale wybitną osobistością.

Wydaje się, że był to ostatni pociąg, jaki wyruszył z Węgier w kierunku Oświęcimia. W sierpniu 1944 roku Armia Czerwona znalazła się w Rumunii, a Eichmann został tam wysłany w swej skazanej na niepowodzenie misji. Kiedy wrócił na Węgry, reżym Horthy'ego znalazł dość odwagi, by zażądać wycofania komanda Eichmanna, sam zaś Eichmann zwrócił się do Berlina z prośbą o pozwolenie na powrót dla niego i jego ludzi, gdyż "stali się zbędni". Berlin jednak nie zrobił niczego podobnego i, jak się okazało, miał słuszość, bo w połowie października sytuacja raz jeszcze uległa gwałtownej zmianie. Podczas gdy Rosjanie znajdowali się nie dalej niż 100 mil od Budapesztu, nazistom udało się obalić rząd Horthy'ego i wyznaczyć przywódcę strzałokrzyżowców Ferencza Szalasięgo na stanowisko głowy państwa. Do Oświęcimia nie moż-

259

na już było wysłać następnych transportów, bo urządzenia do eksterminacji miały wkrótce zostać rozmontowane, jednocześnie zaś Niemcy odczuwały jeszcze bardziej rozpaczliwy brak rąk do pracy. Wówczas to Yeessenmayer, pełnomocnik Rzeszy, przystąpił do rokowań z węgierskim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych w sprawie pozwolenia na wysłanie 50 tysięcy Żydów - mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat oraz kobiet poniżej 40 - do Rzeszy. W swym raporcie dodawał, że Eichmann liczy na wysłanie dalszych 50 tysięcy.

Ponieważ sieć kolejowa była już zniszczona, doprowadziło to w rezultacie do pieszych marszów z listopada 1944 roku, przerwanych dopiero na rozkaz Himmlera. Uczestnikami tych marszów byli Żydzi zatrzymywani na chybił trafił przez policję węgierską, bez względu na zwolnienie spod działania ustaw, jakie w owym momencie przysługiwało wielu zatrzymanym, a także bez względu na granicę wieku sprecyzowaną w rozporządzeniach. Eskortujący maszerujących strzałokrzyżowcy dokonywali rabunków i traktowali Żydów z krańcową brutalnością. Rzecz dobiegła końca. Z liczącej początkowo 800 tysięcy ludzi społeczności żydowskiej około 160 tysięcy pozostało jeszcze w budapeszteńskim getcie - prowincja była już Judenrein - z tej zaś liczby dziesiątki tysięcy padły ofiarą spontanicznych pogromów. 13 lutego 1945 roku Węgry skapitulowały przed Armią Czerwoną.

Wszyscy główni współwinni masakry Żydów węgierskich stanęli przed sądem, zostali skazani na śmierć i straceni. Żaden z niemieckich inicjatorów zbrodni - oprócz Eichmanna - nie zapłacił więcej niż kilkoma latami więzienia.

Słowacja, podobnie jak Chorwacja, była wynalazkiem niemieckiego MSZ. Słowacy przybywali do Berlina na rokowania w sprawie swej "niepodległości" jeszcze przed zajęciem - w marcu 1939 roku - Czechosłowacji przez Niemców. Obiecali wówczas Goringowi, że w podejściu do kwe-

260

stii żydowskiej będą się wiernie trzymać przykładu Niemiec. Działo się to jednak zimą roku 1938/39, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o czymś takim, jak Ostateczne Rozwiązanie. Ów mały kraj, zamieszkały przez liczącą 2,5 miliona biedną ludność chłopską i 90 tysięcy Żydów, był prymitywny, zacofany i głęboko katolicki. Rządził nim wówczas katolicki duchowny, ksiądz Józef Tiso. Nawet słowacki ruch faszystowski - gwardia Hlinki - był z pozoru katolicki, a zajadły antysemityzm owych klerykalnych faszystów czy też faszystowskich klerykałów różnił się tak stylem, jak i treścią od ultranowoczesnego rasizmu ich niemieckich mistrzów. W rządzie słowackim zasiadał tylko jeden nowoczesny antysemita, Saňo Mach, minister spraw wewnętrznych i bliski przyjaciel Eichmanna. Wszyscy pozostali członkowie rządu byli chrześcijanami - lub za takich się uważali - podczas gdy naziści byli z zasady oczywiście tak samo antychrześcijańscy, jak antyżydowscy. Chrześcijańskość Słowaków oznaczała nie tylko, że czuli się oni zobowiązani do akcentowania uważanego przez nazistów za "przestarzałe" rozróżnienia na Żydów ochrzczonych i nie ochrzczonych, lecz także i to, że całe to zagadnienie ujmowali oni w kategoriach średniowiecznych. "Rozwiązanie" polegało dla nich na wypędzeniu Żydów i przywłaszczeniu sobie ich majątku, ale nie na systematycznej "eksterminacji", choć sporadyczne zabójstwa im nie przeszkadzały. Największym "grzechem" Żydów nie było to, że należeli do obcej "rasy", lecz to, że byli bogaci. Żydzi słowaccy nie byli bardzo zamożni wedle kryteriów zachodnich, kiedy jednak 52 ich tysiącom nakazano złożyć deklaracje majątkowe, gdyż posiadali mienie wartości powyżej 200 dolarów i okazało się, że ogólna wartość ich majątku wynosi 100 milionów dolarów - każdy z nich musiał wydawać się Słowakom uosobieniem Kre-

zusa.

W ciągu pierwszych osiemnastu miesięcy swej "niepodległości" Słowacy zabrali się pilnie do rozwiązania

261

kwestii żydowskiej na swój własny sposób. Większe przedsiębiorstwa żydowskie przekazali w ręce nie-Żydów, wprowadzili kilka ustaw antyżydowskich, mających zdaniem Niemców te "zasadniczą wadę", że czyniły wyjątek dla Żydów ochrzczonych, którzy zmienili wyznanie przed rokiem 1918; opracowali plany stworzenia gett "na wzór Generalnej Guberni" oraz zmobilizowali Żydów do pracy przymusowej. Bardzo wcześnie, bo we

wrześniu 1940 roku, przysłano im doradcę do spraw żydowskich - Haupt-sturmführera Dietera Wisliceny'ego, niegdyś zwierzchnika Eichmanna i jego kolegę w Służbie Bezpieczeństwa (Eich-mann bardzo go podziwiał i swemu najstarszemu synowi nadał imię Dieter), teraz zaś równego mu rangą. Wisli-ceny wszedł w skład poselstwa niemieckiego w Bratysławie. Nie był żonaty, nie mógł więc dalej awansować, toteż w rok później Eichmann przewyższał go już rangą i został jego przełożonym. Eichmann sądził, że z tego powodu Wisliceny miał do niego żal, co przynajmniej częściowo mogło tłumaczyć, dlaczego złożył w Norymberdze tak bardzo obciążające Eichmanna zeznania, a nawet zaproponował, że odnajdzie jego kryjówkę. Było to jednak rozumowanie wątpliwe. Wisliceny'emu zależało prawdopodobnie jedynie na uratowaniu własnej skóry, był człowiekiem całkowicie innego pokroju niż Eichmann. Należał do wykształconej warstwy SS, żył wśród ksiązek i płyt, Żydzi węgierscy tytułowali go "baronem" - ogólnie biorąc, dużo bardziej interesowały go pieniądze niż zabiegi wokół własnej kariery, toteż był jednym z pierwszych SS-manów, u których wystąpiły przejawy "umiarkowania".

W ciągu owego początkowego okresu na Słowacji nie wydarzyło się wiele więcej, dopóki w marcu 1942 roku nie pojawił się w Bratysławie Eichmann, by przeprowadzić pertraktacje w sprawie ewakuacji 20 tysięcy "młodych i zdolnych do ciężkiej pracy" Żydów. W miesiąc później na spotkanie z premierem Yojtechem Tuką przybywa sam Heydrich i nakłania go do wyrażenia zgody na wysiedle-

262

nie na Wschód wszystkich Żydów, włącznie z tymi, którzy zmieniwszy wyznanie, byli dotąd wyłączeni spod działania ustawodawstwa antyżydowskiego. Rząd, na którego czele stał duchowny, nie zatroszczył się bynajmniej o skorygowanie "podstawowej wady", jaką było motywowane religijnie rozróżnienie na chrześcijan i Żydów, gdy powiadomiono go, że "Niemcy nie wysunęli żadnych roszczeń do majątku żydowskiego, żądają tylko zapłacenia 500 Reichsmarek za każdego przyjętego przez nich Żyda". Przeciwnie, rząd słowacki zażądał od niemieckiego MSZ dodatkowych gwarancji, że "Żydzi usunięci ze Słowacji i przyjęci przez Niemców pozostaną na zawsze na wschodnich terytoriach i nigdy nie uzyskają możliwości powrotu do Słowacji". Finalizując owe pertraktacje na najwyższym szczeblu, Eichmann złożył po raz drugi wizytę w Bratysławie - zbiegła się ona z zamachem na Heydricha. Do końca czerwca 1942 roku policja słowacka deportowała 52 tysiące Żydów do ośrodków zagłady na terenie Polski. W kraju pozostało jeszcze około 35 tysięcy Żydów, którzy należeli do kategorii wyjętych początkowo spod ustawodawstwa antyżydowskiego: byli to konwertyci i ich rodzice, przedstawiciele niektórych zawodów, młodzież z brygad pracy przymusowej, niewielka grupa przedsiębiorców. Właśnie wówczas, gdy przeważająca większość Żydów została już "przesiedlona", bratysławskiemu żydowskiemu Komitetowi Pomocy i Ratunku - organizacji bliźniaczej w stosunku do węgierskiego komitetu syjonistycznego - udało się przekupić Wisliceny'ego, który obiecał zwolnić tempo deportacji, a także zaproponował tak zwany "Plan Europa", z którym wystąpił potem ponownie w Budapeszcie. Mało prawdopodobne, by Wisliceny zajmował się kiedyś cokolwiek prócz czytania ksiązek i słuchania muzyki, no i naturalnie brania wszystkiego, co się dało. Jednak to właśnie wtedy Watykan poinformował duchowieństwo katolickie o rzeczywistym znaczeniu wyrazu "przesiedlenie". Od tego momentu -jak donosił

263

w raporcie dla berlińskiego MSZ niemiecki ambasador Hans Elard Ludin - deportacje stały się bardzo niepopularne, a rząd słowacki zaczął wywierać na Niemców presję w celu uzyskania pozwolenia na wizytację ośrodków "przesiedleńczych" - ani Wisliceny, ani Eichmann pozwolenia takiego wydać, rzecz jasna, nie mogli, jako że "przesiedlonych" Żydów

nie było już wśród żyjących. W grudniu 1943 roku dr Edmund Yeesenmayer przybył do Bratysławy, by spotkać się z samym ks. Tiso. Przysłał go Hitler, który rozkazał mu wyraźnie, aby nakłonił Tisę do "zejścia z obłoków" (Fraktur mit ihm reden). Tiso obiecał umieszczenie od 16 do 18 tysięcy nienawróconych Żydów w obozach koncentracyjnych oraz stworzenie specjalnego obozu dla około 10 tysięcy Żydów ochrzczonych, nie zgodził się jednak na deportację. W czerwcu 1944 roku Yeesenmayer - tym razem pełnomocnik Rzeszy na Węgrzech - pojawił się ponownie i zażądał, aby pozostałych w kraju Żydów objąć operacjami węgierskimi. Tiso ponownie odmówił.

W sierpniu 1944 roku, kiedy Armia Czerwona była już blisko, wybuchło na Słowacji prawdziwe powstanie, Niemcy zaś przystąpili do okupacji kraju. Wisliceny przebywał już wtedy na Węgrzech i przypuszczalnie nie cieszył się już zaufaniem. RSHA wysłał do Bratysławy Aloisa Brun-nera, ażeby aresztował i deportował resztę Żydów. Brun-ner dokonał najpierw aresztowań i deportacji działaczy Komitetu Pomocy i Ratunku, następnie zaś - tym razem przy pomocy jednostek SS - deportował kolejne 12-14 tysięcy ludzi. 4 kwietnia 1945 roku, w momencie wkroczenia Rosjan do Bratysławy, na Słowacji przebywało może 20 tysięcy Żydów ocalałych z zagłady.

ROZDZIAŁ XIII•••,-

Ośrodki zagłady na Wschodzie

Przez Wschód naziści rozumieli ogromny obszar obejmujący Polskę, kraje nadbałtyckie i okupowane terytorium Rosji. Obszar ten dzielił się na cztery jednostki administracyjne: Warthegau (Okręg Warty) obejmujący zachodnie regiony Polski przyłączone do Rzeszy, którymi zarządzał Gauleiter Arthur Greiser; Ostland, w skład którego wchodziły Litwa, Łotwa i Estonia oraz bliżej nie określony obszar Białorusi, siedzibą władz okupacyjnych tego regionu była Ryga; Generalną Gubernię na terenach Polski centralnej, zarządzaną przez Hansa Franka oraz Ukrainę nadzorowaną przez Ministerstwo Okupowanych Terytoriów Wschodnich, na którego czele stał Alfred Ro-senberg. O tych krajach była mowa na początku aktu oskarżenia, uzasadnienie zaś wyroku zajęło się nimi na samym końcu.

Nie ulega wątpliwości, że zarówno oskarżyciele, jak i sędziowie mieli doskonałe powody do podjęcia decyzji przeciwnych. Wschód stanowił główną scenę udręki Żydów, złowieszczy punkt docelowy wszystkich deportacji, miejsce skąd nie można już było uciec, gdzie liczba tych, którzy ocalili, rzadko przekraczała 5%. Wschód był ponadto głównym przed wojną obszarem w Europie zamieszkiwanym przez ludność żydowską - ponad 3 miliony Żydów żyło w Polsce, 260 tysięcy w krajach nadbałtyckich, ponad połowa z szacowanych na 3 miliony Żydów rosyjskich mieszkała na Białorusi, Ukrainie i na Krymie. Oskarżycieli interesowały przede wszystkim cierpienia narodu żydowskiego oraz "rozmiary ludobójstwa" na nim

265

dokonanego, było więc logiczne, że od tego zaczęli, by następnie zająć się ustaleniem konkretnej odpowiedzialności, jaką za to istne piekło na ziemi można było obarczyć oskarżonego. Kłopot polegał na tym, że materiał dowodowy odnoszący się do działalności Eichmanna na Wschodzie był "skąpy", co tłumaczono faktem, że archiwa Gestapo, w szczególności zaś archiwa sekcji Eichmanna, zostały zniszczone przez nazistów. Owa skąpość dokumentacji dowodowej dostarczyła oskarżycielom przypuszczalnie pożądanego pretekstu do wezwania nie kończącego się łańcucha świadków zeznających na temat wypadków na Wschodzie, jakkolwiek z pewnością nie był to jedyny powód takiego postępowania. Oskarżenie -jak o tym napomknięto podczas procesu, wyczerpująco

przedstawiono jednak dopiero później, w specjalnym Biuletynie wydanym w kwietniu 1962 roku nakładem Yad Yashem, instytutu izraelskiego gromadzącego materiały dotyczące czasów nazistowskich - znalazło się pod znaczną presją ze strony ocalałych z zagłady Izraelczyków, którzy stanowili obecnie około 20% ludności tego kraju. Całe ich tłumy napłynęły spontanicznie do osób kierujących procesem, a także do Yad Yashem, któremu oficjalnie zlecono przygotowanie części dokumentacyjnego materiału dowodowego - z propozycją wystąpienia w charakterze świadków. Najgorsze przypadki "wybujałej fantazji", ludzie, którzy "widzieli Eichmanna w różnych miejscach, gdzie nigdy nie był", zostali wyeliminowani, ale 56 "świadków cierpień narodu żydowskiego" -jak ich nazwały władze sądowe - stanęło ostatecznie przy barierce, zamiast - jak początkowo planowano - 15-20 "świadków naświetlających tło wydarzeń". Na ogólną liczbę 121 sesji sądu 23 poświęcono wyłącznie "tłu", co oznacza, że w praktyce nie wiązały się one wcale ze sprawą. Choć sędziowie ani obrona prawie nigdy nie poddali świadków oskarżenia wnikliwemu przesłuchaniu, w orzeczeniu wyroku nie uwzględniono żadnych dowodów związanych z Eichman-

266

nem, o ile nie uzyskały one dodatkowych potwierdzeń z innych źródeł. (Toteż sędziowie nie zgodzili się oskarżyć Eichmanna o zamordowanie żydowskiego chłopca na Węgrzech, ani o podżeganie do Kristallnacht w Niemczech i Austrii, o której planach z pewnością nic wówczas nie wiedział, wjerozolimie zaś okazało się, że wie o niej znacznie mniej niż każdy zorientowany badacz tamtych czasów. Nie oskarżyli go także o zamordowanie 93 dzieci z Lidie, deportowanych po zabiciu przez zamachowców Heydricha do Łodzi, ponieważ "w świetle posiadanych przez nas dowodów, nie jest rzeczą całkowicie pewną, że zostały one zamordowane". Nie obciążono go również odpowiedzialnością za haniebną działalność Jednostki nr 1005 -o jakiej mówiły "najbardziej przerażające fragmenty całego materiału dowodowego przedstawionego przez oskarżycieli" - której zadanie polegało na otwieraniu masowych grobów na Wschodzie i pozbywaniu się trupów w celu zatarcia wszelkich śladów masakry. Dowodził nią Stan-dartenfuhrer Paul Blobel, który-jak sam zeznał w Norymberdze - otrzymywał rozkazy od Miillera, szefa Wydziału IV RSHA. Nie oskarżono go wreszcie o potworne warunki, w jakich podczas ostatnich miesięcy wojny odbywały się ewakuacje pozostałych przy życiu Żydów z obozów zagłady do niemieckich obozów koncentracyjnych, zwłaszcza do Bergen-Belsen.) Główny trzon zeznań świadków naświetlających tło, dotyczących warunków panujących w polskich gettach, pracy przymusowej, praktyk stosowanych w różnych obozach zagłady i w ogóle prób eksterminacji poprzez pracę - nie został nigdy zakwestionowany. Przeciwnie, prawie wszystko, o czym mówiono w tych zeznaniach, było już wcześniej znane. Jeśli występowało w nich w ogóle nazwisko Eichmanna, był to dowód oparty na pogłosce, a zatem pozbawiony jakiegokolwiek wartości prawnej. Zeznania wszystkich świadków, którzy "widzieli na własne oczy", załamywały się, ilekroć zadano im jakieś pytanie, w wyroku zaś stwierdzono, że "punkt cięż-

267

kości działań Eichmanna znajdował się w samej Rzeszy, w Protektoracie oraz w krajach położonych na zachodzie, północnym południu i południowym wschodzie Europy, a także w Europie środkowej" - czyli wszędzie oprócz Wschodu. Czemu więc sąd nie zrezygnował z tych przesłuchań ciągnących się tygodniami i miesiącami. Umawiając tę kwestię, autorzy uzasadnienia wyroku przyjęli postawę nieco obronną, na koniec zaś przedstawili wyjaśnienie dziwnie sprzeczne wewnętrznie: "Oskarżony me przyznał się do żadnego z zarzutów postawionych mu w akcie oskarżenia", przeto sędziowie nie mogli odrzucić dowodów związanych z faktycznym tłem sprawy . Oskarżony wszakże nie zaprzeczył nigdy faktom

przedstawionym w akcie oskarżenia, zaprzeczył jedynie, że ponosi za nie odpowiedzialność w rozumieniu aktu oskar-

W istocie sędziowie stanęli w obliczu bardzo przykre-go dylematu. Na samym początku procesu dr Sewatms zakwestionował bezstronność sądu, bo był zdania, że żaden Żyd nie spełnia wymagań pozwalających mu sędzie wykonawców Ostatecznego Rozwiązania. Przewodniczący sądu odparł na to: Jesteśmy zawodowymi sędziami, przywykłymi do ustalania wartości przedstawionych nam dowodów, wykonywania naszej pracy przed oczami opinii publicznej, a także podlegającymi publicznej krytyce [...]. Sąd rozpatrujący daną sprawę składa się z istot ludzkich istot z krwi i kości, doznających uczuć i postrzegających zmysłami, prawo wszakże nakazuje nam powściągnąć owe uczucia i zmysły. Inaczej bowiem nigdy merdałoby się znaleźć sędziego, który mógłby rozpatrywać jakąś sprawę kryminalną mogącą wzbudzić jego odrazę. [...] Nie da się zaprzeczyć, że wspomnienie nazistowskiego holocau-stl porusza głęboko każdego Żyda, kiedy jednak prowadzimy ten przewód sądowy, naszym obowiązkiem jest powściągnąć owo poruszenie, i temu obowiązkowi uczynimy zadość". Pięknie, tyle tylko, że doktorowi Servatms-

268

wi mogło chodzić o to, iż Żydzi nie byli w stanie zrozumieć we właściwy sposób problemu, jaki stwarzała ich obecność pośród narodów świata, a zatem nie potrafili należycie ocenić "ostatecznego rozwiązania" tegoż problemu. Ironia sytuacji polegała jednak na tym, że gdyby istotnie skłaniał się on ku takiemu argumentowi, można by mu było odpowiedzieć, że oskarżony, jak sam wielokrotnie powtarzał z naciskiem w swych zeznaniach, całą swą wiedzę na temat kwestii żydowskiej zaczerpnął od żydowskich autorów syjonistycznych - z "podstawowych dzieł" Teodora Herzla i Adolfa Bóhma. Któż zatem, jeśli nie owi trzej ludzie, którzy od wczesnej młodości byli syjonistami, nadawał się lepiej na jego sędziów?

Tak więc to nie ze względu na oskarżonego, lecz ze względu na świadków naświetlających tło sprawy, nabrał ostrości i stał się kłopotliwy fakt, że sędziowie byli Żydami i pochodzili z kraju, gdzie co piąty mieszkaniec był ocalałym z zagłady. Pan Hausner zgromadził "tragiczne mnóstwo" ofiar cierpień żydowskich, a każdej z tych osób szalenie zależało, by nie zmarnować tej wyjątkowej sposobności; każda była przekonana, że należy się jej dzień na wystąpienie przed obliczem sądu. Sędziowie mogliby - i tak też uczynili - spierać się z oskarżycielem na temat rozumności a nawet stosowności wykorzystywania okazji "nakreślenia ogólnego obrazu", ilekroć jednak świadek zajmwszy swoje miejsce przystąpił do zeznań, istotnie trudno było mu przerwać, nakłaniając go, by się streszczał, a to "ze względu na szacunek dla świadka oraz ze względu na sprawy, o jakich mówił", jak to ujął sędzia Landau. Bo jakimże prawem - na płaszczyźnie ludzkiej - miałoby sędziowie nie dopuścić tych ludzi do wystąpienia przed sądem? I któż ośmieliłby się - na płaszczyźnie ludzkiej - kwestionować prawdziwość szczegółów ich zeznań, gdy stojąc "za barierką dla świadków odslaniali wnętrze swego serca", choćby to, co musieli z siebie wyrzucić, należało uznać jedynie za "produkty uboczne procesu"?

269

Istniała trudność dodatkowa. W Izraelu, tak samo jak w większości innych krajów, obowiązuje domniemanie niewinności osoby stojącej przed sądem, dopóki jej wina nie zostanie udowodniona. Jednak w wypadku Eichmanna było to oczywistą fikcją. Gdyby nie stwierdzono jego winy - winy nie ulegającej najmniejszej wątpliwości jeszcze zanim znalazł się wjerezolimie - Izraelczycy nigdy nie pragnęliby i nigdy nie odważyliby się go ująć. Wyjaśniając w liście do prezydenta Argentyny z dnia 3 czerwca 1960 roku powody popełnienia przez Izrael "formalnego naruszenia prawa argentyńskiego", premier Ben Gurion napisał, że to "Eichmann był organizatorem masowego mordu [6 milionów ludzi], którego

gigantyczna skala nie ma precedensu w całej Europie". W przeciwieństwie do zwykłego aresztowania w związku z normalną sprawą kryminalną, przy którym podejrzenie winy powinno okazać się uzasadnione, choć tylko w granicach rozsądnych podejrzeń - reszta jest zadaniem przyszłej rozprawy sądowej - bezprawne aresztowanie Eichmanna mógł usprawiedliwiać i usprawiedliwił w oczach świata jedynie fakt, że wynik procesu dało się bezpiecznie przewidzieć. I oto okazało się, że rolę, jaką Eichmann odegrał w Ostatecznym Rozwiązaniu, szalenie wyolbrzymiono - częściowo z powodu jego własnych przechwałek, a po części dlatego, że oskarżeni w procesie norymberskim i w innych powojennych procesach usiłowali oczyścić się z zarzutów j ego kosztem, a głównie dlatego, że pozostawał w bliskim kontakcie z działaczami żydowskimi, ponieważ był jedynym funkcjonariuszem niemieckim uchodzącym za "eksperta w sprawach żydowskich" i niczym więcej. Oskarżyciele, którzy oparli swą argumentację na cierpieniach ani odrobinę nie wyolbrzymionych, zupełnie niepotrzebnie wyolbrzymili ową i tak wyolbrzymioną rolę - tak przynajmniej mogło się wydawać do momentu wydania przez sąd apelacyjny wyroku, w którym czytamy: "Faktem jest, że wnoszący apelację nie otrzymywał wcale żadnych »rozkazów

z góry«. Sam był swoim zwierzchnikiem i sam wydawał wszelkie rozkazy w sprawach dotyczących Żydów". Tak właśnie brzmiał argument oskarżycieli, którego nie przyjęli sędziowie Sądu Okręgowego, zaakceptował zaś w pełni - choć był to niebezpieczny nonsens - Sąd Apelacyjny. (Opierał się on głównie na zeznaniach sędziego Micha-ela A. Musmanno, autora książki *Ten Days to Die* [1950], byłego członka trybunału norymberskiego, który przybył z Ameryki, by zeznawać jako świadek oskarżenia. Pan Musmanno zasiadał jako sędzia na procesach pracowników administracji obozów koncentracyjnych oraz członków lotnych jednostek likwidacyjnych na Wschodzie; o ile zaś nazwisko Eichmanna pojawiło się w toku postępowania sądowego, o tyle on wymienił je w wydawanych przez siebie orzeczeniach wyroku tylko raz. Podczas procesu norymberskiego prowadził wszakże w więzieniu rozmowy z oskarżonymi. Tam też usłyszał od Ribbentropa, że Hitler nie zrobiłby nic złego, gdyby nie dostał się pod wpływ Eichmanna. Otóż pan Musmanno nie uwierzył we wszystko, co mu powiedziano, lecz uwierzył w to, że Eich-mannowi jego misję powierzył sam Hitler i że jego władza "pochodziła stąd, iż przemawiał ustami Himmlera i Heydricha". Kilka sesji później jako świadek oskarżenia wystąpił na procesie pan Gustave M. Gilbert, profesor psychologii na Uniwersytecie Long Island i autor *Dziennika norymberskiego* (*Nuremberg Diary*, 1947). Zachował on większą ostrożność niż sędzia Musmanno, którego poznał z oskarżonymi w Norymberdze. Gilbert powiedział w zeznaniach, że "w owym czasie [...] Eichmann [...] nie cieszył się większym uznaniem u głównych nazistowskich zbrodniarzy wojennych", a także że nazwisko Eichmanna, którego obaj uważali za zmarłego, nie padło podczas rozmowna temat zbrodni wojennych, jakie Gilbert odbył z Musmanno.) Toteż sędziowie Sądu Okręgowego, którzy spostrzegli wyolbrzymienia, jakich dopuściło się oskarżenie i nie mieli zamiaru czynić Eichmanna zwierzchni-

271

270

kiem Himmlera ani inspiratorem Hitlera, znaleźli się w sytuacji zmuszającej ich do obrony oskarżonego. Zadanie to, niezależnie od tego, że nie było przyjemne, nie miało żadnego wpływu na orzeczenie ani na wyrok, gdyż "prawna i moralna odpowiedzialność osoby wydającej na śmierć swą ofiarę, nie jest w naszym mniemaniu mniejsza, a nawet może być większa niż odpowiedzialność tego, kto ofiarę zabija".

Wyjście, jakie z tych wszystkich trudności znaleźli sędziowie, polegało na kompromisie. Orzeczenie uzasadniające wyrok składa się z dwóch części, z których znacznie obszerniejsza zawiera przytoczenie aktu oskarżenia. Sędziowie dali dowód zasadniczo odmiennego podejścia, zaczynając od Niemiec, a kończąc na Wschodzie, oznaczało to bowiem, że postanowili skupić się na popełnionych czynach, a nie na cierpieniach Żydów. Udzielając oczywistej odprawy oskarżeniu, stwierdzili wyraźnie, że cierpienia na tak ogromną skalę "przekraczają możliwości ludzkiego zrozumienia", stanowiąc temat dla "wielkich pisarzy i poetów", a sala sądowa nie jest dla nich właściwym miejscem, natomiast czyny i motywy ich popełnienia nie wykraczają poza możliwość zrozumienia i osądzenia. Posunęli się nawet do stwierdzenia, że swoje ustalenia oparli na własnych wyobrażeniach, ale bo też istotnie straciliby orientację, gdyby nie ogrom pracy, jaką w związku z tym wykonali. Poznali gruntownie zawiłości biurokratycznych schematów nazistowskiej machiny zagłady, aby zrozumieć, jakie miejsce zajmował w niej oskarżony. W przeciwieństwie do wstępnej mowy pana Hau-snera, opublikowanej już w formie książkowej, orzeczenie końcowe mogło z pożytkiem studiować osoby interesujące się historią tego okresu. Orzeczenie końcowe, tak doskonale wolne od taniej retoryki, unicestwiłoby całkowicie akt oskarżenia, gdyby sędziowie nie uznali za konieczne obciążyć Eichmanna w pewnym stopniu odpowiedzialnością za zbrodnie popełnione na Wschodzie, niez-

272

leżnie od zbrodni głównej, do której się przyznał - tej mianowicie, że z pełną świadomością tego co robi posyłał ludzi na śmierć.

Cztery były główne punkty sporne. Po pierwsze kwestia uczestnictwa Eichmanna w masowej rzezi dokonywanej na Wschodzie przez Einsatzgruppen, powołane przez Heydricha podczas spotkania odbytego w marcu 1941 roku, na którym Eichmann był obecny. Ponieważ jednak dowódcami Einsatzgruppen byli członkowie intelektualnej elity SS, podczas gdy w szeregach tych formacji znaleźli się kryminaliści bądź też zwykli żołnierze skierowani tam karnie - nie istniała możliwość zaciągu ochotniczego - Eichmanna można było łączyć z tą istotną fazą Ostatecznego Rozwiązania tylko w tym sensie, że otrzymywał on od oprawców raporty, które streszczał następnie na użytek swych zwierzchników. Raporty te - mimo że "ściśle tajne" - były powielane i trafiały do 50-70 rozmaitych instytucji w Rzeszy, z których każda miała naturalnie swego Oberregierungsrate streszczającego je dla swych przełożonych. Na domiar wszystkiego istnieją zeznania sędziego Musmanno, w których twierdził on, że Walter Schellenberg - autor projektu porozumienia między Heydrichem i feldmarszałkiem Walterem von Brauchitsch reprezentującym dowództwo wojskowe, w którym ustalono, że Einsatzgruppen będą się cieszyć całkowitą swobodą "realizacji swych planów w odniesieniu do ludności cywilnej", to znaczy całkowitą swobodą jej mordowania - powiedział mu podczas rozmowy w Norymberdze, że Eichmann "nadzorował te operacje", a nawet "osobiście nimi kierował". Sędziowie - "ze względu na ostrożność" - nie chcieli zaufać nie potwierdzonym enuncjacom Schellenberga i oddalili ten materiał dowodowy. Schellenberg musiał mieć bardzo niskie mniemanie o sędziach trybunału norymberskiego i ich zdolności przedarcia się przez labirynty struktury administracyjnej Trzeciej Rzeszy. Ostatecznie więc z całego materiału dowodowego pozostało tylko to, z cze-

273

go wynikało, iż Eichmann był dobrze poinformowany o tym, co działo się na Wschodzie, czego zresztą nikt nie kwestionował, orzeczenie zaś końcowe zawierało o dziwo wniosek, że takie dowody wystarczą, by uznać jego udział w tych działaniach za stwierdzony.

Za drugą kwestią sporną, związaną z deportacjami Żydów z gett w Polsce do niedalekich ośrodków zagłady, przemawiało więcej. "Logiczne" bowiem było przypuszczenie, że ekspert w dziedzinie transportów działał na terytorium Generalnej Guberni. Wiemy jednak z wielu źródeł, że transportem na całym tym obszarze kierowali wyżsi dowódcy SS i policji, ku wielkiemu zresztą niezadowoleniu Hansa Franka, który ustawicznie skarżył się w swym dzienniku na wtrącanie się innych w tę sprawę, nie wymieniając wszakże nigdzie nazwiska Eichmanna. Zeznający jako świadek obrony oficer do spraw transportowych Eichmanna, Franz Novak, potwierdził wersję Eichmanna: sporadycznie musieli, rzecz jasna, prowadzić pertraktacje z dyrekcją Ostbahnu, czyli Kolei Wschodnich, ponieważ trzeba było skoordynować transporty z Europy Zachodniej z operacjami lokalnymi. (Wisliceny zdał w Norymberdze zadowolającą relację na temat tych transakcji. Novak kontaktował się zwykle z Ministerstwem Transportu, które z kolei musiało uzyskać od armii prawo przejazdu, ilekroć pociąg wjeżdżał na teren działań wojennych. Armia mogła sprzeciwić się transportom. Wisliceny nie powiedział jednak rzeczy chyba ciekawszej: otóż Armia korzystała z prawa sprzeciwu jedynie w początkowym okresie wojny, kiedy trwała ofensywa wojsk niemieckich; w roku 1944, kiedy deportacje z Węgier zablokowały drogi odwrotu całym armiom niemieckim pierzchającym w panicznej ucieczce, nie zgłoszono już żadnych sprzeciwów.) Kiedy wszakże - tytułem przykładu - w roku 1942 przeprowadzono ewakuację getta warszawskiego w tempie 5 tysięcy ludzi na dzień, sam Himmler pertraktował z władzami kolejowymi, Eichmann natomiast i jego ludzie nie

274

brali w nich żadnego udziału. Orzeczenie końcowe oparło się ostatecznie na zeznaniach pewnego świadka na procesie Hossa, stwierdzającego, że niektórzy Żydzi z terenu Generalnej Guberni przybyli do Oświęcimia wraz z Żydami z Białegostoku, miasta polskiego włączonego do niemieckich Prus Wschodnich, a zatem znajdującego się w jurysdykcji Eichmanna. Nawet jednak w Okręgu Warty, czyli na terytorium Rzeszy, to nie RSHA, tylko Gau-leiter Greiser kierował eksterminacją i deportacjami. I choć w styczniu 1944 roku Eichmann odwiedził getto w Łodzi - największe na Wschodzie i najdłużej istniejące - i tym razem sam Himmler był tym, kto w miesiąc później przybył na spotkanie z Greiserem i wydał rozkaz likwidacji łódzkiego getta. Jeżeli nie zgodzimy się z absurdalnym twierdzeniem oskarżycieli, jakoby Eichmann był inspiratorem rozkazów Himmlera, sam fakt wysyłania przez Eichmanna Żydów do Oświęcimia nie dowodzi bynajmniej, że wszyscy Żydzi, którzy się tam znaleźli, zostali wysłani przez niego. Zważywszy na jego usilne zaprzeczenia oraz całkowity brak dowodów potwierdzających - wnioski, do jakich dochodzi w tej kwestii orzeczenie końcowe, stanowią niestety przypadek in dubio contra reum.

Trzecią kwestią wymagającą rozpatrzenia była odpowiedzialność Eichmanna za to, co działo się w obozach zagłady, nad którymi, zdaniem oskarżycieli, sprawował on rozległą władzę. Dowodem wysokiego stopnia niezależności i uczciwości sędziów jest to, że odrzucili oni wszelkie nagromadzone zeznania świadków dotyczące tej sprawy. Argument, jakim się przy tym kierowali, jest niepodważalny i dowodzi, że przejawiali rzeczywiste zrozumienie całej sytuacji. Zaczęli od wyjaśnienia, że w obozach istniały dwie kategorie Żydów - tak zwani "Żydzi z transportów" (Transportjuden) - tych była przeważająca większość - którzy nawet w opinii nazistów nie popełnili nigdy żadnego przestępstwa, oraz Żydzi "zatrzymani ze względów bezpieczeństwa" (Schutzhaftjuden), wysłani do

275

niemieckich obozów koncentracyjnych z powodu naruszenia jakichś przepisów. Zgodnie z totalitarną zasadą skierowania pełnego terroru na "niewinnych", wiodło im się znacznie gorzej niż pozostałym, choćby nawet wysłano ich na Wschód w celu "oczyszczenia z Żydów"

niemieckich obozów koncentracyjnych. (Oto słowa pani Rai Kagan, znakomicie zeznającej na temat Oświęcimia: "Wielki paradoks Oświęcimia polegał na tym, że sprawców przestępstw kryminalnych traktowano lepiej niż innych". Nie stawali do selekcji i z reguły ocaleli.) Eichmann nie miał nic wspólnego z Schutzhaftjuden, ale stanowiący jego specjalność Transportjuden byli z definicji przeznaczeni na śmierć, prócz 25% nadzwyczaj silnych fizycznie osób, które w części obozów mogły zostać wyselekcjonowane do pracy. Jednakże w wersji przedstawionej w orzeczeniu końcowym kwestii tej wcale nie poruszono. Eichmann wiedział oczywiście, że ogromną większość jego ofiar czeka śmierć, ale ponieważ selekcji do pracy dokonywali na miejscu lekarze SS, a listy deportowanych ustalały zwykle rady żydowskie w krajach macierzystych lub Policja Porządkowa, nigdy zaś Eichmann lub jego podwładni - w rzeczywistości nie leżało wcale w jego kompetencji określenie, kto ma zginąć, a kto żyć. Mógł o tym w ogóle nie wiedzieć. Istotne było to, czy Eichmann kłamał mówiąc: "Nie zabiłem ani jednego Żyda, tak samo zresztą jak i nie-Zyda. [...] Nie wydałem nigdy rozkazu zabicia Żyda, ani nie-Żyda". Oskarżyciele, nie mogąc wyobrazić sobie autora masowych mordów, który sam nikogo nie zabił (a w tym konkretnym przypadku nie miałby przypuszczalnie nawet odwagi, żeby zabić), usiłowali ciągle udowodnić, że Eichmann osobiście dopuścił się mordów.

W ten sposób dochodzimy do czwartej i ostatniej kwestii związanej z zakresem władzy Eichmanna na obszarach wschodnich - do kwestii jego odpowiedzialności za warunki życia w gettach, za niewymowne udręki, jakie znosili tam Żydzi i wreszcie za ich ostateczną likwidację,

276

stanowiącą przedmiot zeznań przeważającej większości świadków. Również w tym wypadku Eichmann o wszystkim doskonale wiedział, nie łączyło się to jednak w żaden sposób z jego działalnością. Oskarżyciele podjęli mozolną próbę udowodnienia, że było inaczej - w oparciu o to, że sam Eichmann przyznawał, iż wielokrotnie musiał podejmować decyzje - zgodne z ustawicznie zmieniającymi się rozporządzeniami - dotyczące losu Żydów będących obywatelami obcych krajów, którzy utknęli w Polsce. Była to, jak stwierdził, sprawa "wagi państwowej" łącząca się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i "wykraczająca poza horyzont" władz lokalnych. W odniesieniu do tej kategorii Żydów występowały we wszystkich urzędach niemieckich dwie różne tendencje: "radykałna", ignorująca wszelkie różnice - Żyd jest Żydem i tyle - oraz "umiarkowana", której zwolennicy uważali, że lepiej będzie Żydów tego rodzaju "zamrozić" w celu wymiany. (Autorem pojęcia Żydów do wymiany był chyba Himmler. Po przystąpieniu Ameryki do wojny napisał on - w grudniu 1942 roku - do Miillera, że "wszystkich Żydów mających wpływowych krewnych w Stanach Zjednoczonych należy umieścić w specjalnym obozie [...] i pozostawić przy życiu". Dodał także, iż "tacy Żydzi są dla nas bezcennymi zakładnikami. Myślę o liczbie 10 tysięcy".) Zbyteczne mówić, że Eichmann należał do "radykałów", sprzeciwiał się czynieniu wyjątków ze względów administracyjnych czy też "idealistycznych". Ale kiedy w kwietniu 1942 roku napisał w liście do MSZ, że "w przyszłości obywatele obcych krajów zostaną objęci takimi samymi działaniami, jak te, które Policja Bezpieczeństwa podjęła na terenie getta warszawskiego", gdzie przedtem starannie wyluskiwano Żydów z paszportami zagranicznymi - nie występował bynajmniej jako decyzyjodawca "działający w imieniu RSHA" na Wschodzie i z pewnością nie miał wówczas "władzy wykonawczej". Tym bardziej zaś nie można mu przypisywać posiadania władzy czy kompeten-

277

cji tego rodzaju na tej podstawie, że Heydrich czy Himmler korzystali czasem z jego pośrednictwa, aby przekazać niektóre rozkazy miejscowym dowódcom.

W pewnym sensie prawda w tej sprawie przedstawiała się gorzej, niż przypuszczali sędziowie w Jeruzolimie. Zgodnie z wywodami orzeczenia końcowego, centralny nadzór nad realizacją Ostatecznego Rozwiązania sprawował - nie mając żadnych ograniczeń terytorialnych - Heydrich, przeto Eichmann, jego główny zastępca w tej dziedzinie, ponosił wszędzie tę samą odpowiedzialność. Było to prawdą w odniesieniu do ogólnych ram Ostatecznego Rozwiązania, jednak mimo że Heydrich - ze względu na potrzebę koordynacji działań - zaprosił na konferencję w Wannsee przedstawiciela generalnego gubernatora Hansa Franka, podsekretarza doktora Josefa Bihle-ra - Ostateczne Rozwiązanie nie dotyczyło w rzeczywistości okupowanych terytoriów wschodnich z tej prostej przyczyny, że los zamieszkujących je Żydów był od początku przesądzony. Hitler podjął decyzję o wymordowaniu Żydów polskich nie w maju czy czerwcu 1941 roku, ale we wrześniu 1939, o czym sędziowie wiedzieli z zeznań złożonych w Norymberdze przez Erwina Lahousena, pracownika niemieckiego kontrwywiadu: "Hitler podjął decyzję o wymordowaniu Żydów polskich już we wrześniu 1939 roku". (Dlatego też nakaz noszenia gwiazdy Dawida wprowadzono na terenie Generalnej Guberni zaraz po wkroczeniu wojsk okupacyjnych, w listopadzie 1939 roku, podczas gdy w Rzeszy niemieckiej wprowadzono go dopiero w roku 1941, w momencie Ostatecznego Rozwiązania.) Dysponowali oni także protokołami ze wspomnianej wcześniej narady, jaką 21 września 1939 roku odbył Heydrich z dowódcami lotnych jednostek eksterminacyjnych biorących udział w agresji na Polskę, na której to naradzie Eichmann wciąż jeszcze w randze tylko Haupt-sturmfuhrera był obecny jako przedstawiciel Berlińskiego Ośrodka do spraw emigracji Żydów; druga taka narada

278

odbyła się 30 stycznia 1940 roku i poświęcona została "kwestiom ewakuacji i przesiedlenia". Na obu spotkaniach omówiono los ogółu ludności zamieszkującej terytoria okupowane, czyli "rozwiązanie" "kwestii" zarówno polskiej, jak i żydowskiej.

Już wówczas osiągnięto znaczne postępy w "rozwiązaniu problemu polskiego" - sprawozdanie stwierdzało, że pozostało przy życiu nie więcej niż 3% członków "polskiej elity politycznej", w celu zaś "unieszkodliwienia owych trzech procent", ludzi tych należało zesłać do obozów koncentracyjnych. Reprezentujących klasę średnią inteligentów polskich miano zarejestrować i aresztować - "nauczycieli, duchownych, ziemian, legionistów, powracających oficerów etc." - natomiast "nieokrzesanymi Polakami" zamierzano uzupełnić zasoby niemieckiej siły roboczej, wykorzystując ich jako "wędrownych robotników", których należało "ewakuować". "Cel jest następujący: Polak musi zostać wiecznym wędrownym robotnikiem sezonowym, miejscem jego stałego pobytu należy uczynić okręg krakowski". Żydzi mieli zostać skoncentrowani w ośrodkach miejskich i "zamknięci w gettach, gdzie można byłoby łatwo ich kontrolować, a następnie w wygodny sposób stamtąd ewakuować". Terytoria wschodnie włączone do Rzeszy - tak zwany Okręg Warty, Prusy Zachodnie, Gdańsk, województwo poznańskie i Górny Śląsk - miano natychmiast oczyścić z wszystkich Żydów; wraz z 30 tysiącami Cyganów wywieziono ich pociągami towarowymi do Generalnej Guberni. Występujący w charakterze "komisarza Rzeszy do spraw umocnienia rasy niemieckiej" Himmler wydał na koniec rozkaz przeprowadzenia ewakuacji z owych świeżo przyłączonych do Rzeszy terytoriów sporej liczby ludności polskiej. Wprowadzenie w życie tej "zorganizowanej wędrowki ludów", jak nazywają orzeczenie sądu, zlecono Eichmannowi jako szefowi referatu IV D 4 w RSHA, zajmującego się sprawami "emigracji i ewakuacji". (Trzeba pamiętać, że owa "negatywna polityka de-

279

mograficzna" nie miała bynajmniej nic z improwizacji w następstwie niemieckich zwycięstw na Wschodzie. Jej zarys zawierało już ogłoszone w listopadzie 1937 roku tajne

przemówienie Hitlera do członków Naczelnego Dowództwa - zob. tzw. protokół Hóssbacha. Hitler podkreślił, że odrzuca wszelkie wyobrażenia dotyczące podboju obcych krajów, żąda natomiast "pustej przestrzeni" (polk-loser Raum) na Wschodzie, gdzie będą osiedlani Niemcy. Jego audytorium - Blomberg, Fritsch i Raeder oraz inni - wiedziało doskonale, że taka "pusta przestrzeń" nie istnieje, zatem musiało również wiedzieć, że zwycięstwo Niemiec na Wschodzie automatycznie pociągnie za sobą "ewakuację" całej miejscowej ludności. Na owym spotkaniu - odbytym prawie dwa lata przed wydaniem przez fuhrera rozkazu Ostatecznego Rozwiązania - zajęto się ogółem ludności mieszkającej na Wschodzie: Polakami, stwierdzając, że pozostało jeszcze około 3% polskiej "elity politycznej", a polskie "warstwy nieokrzeseane" należy wykorzystać jako niewykwalifikowanych pracowników sezonowych, nim się ich ewakuuje; polskimi Żydami, których należy zgromadzić w gettach, później zaś "ewakuować", oraz Żydami niemieckimi, których wysłać na Wschód w pociągach towarowych wraz z 30 tysiącami Cyganów. Podkreślono wyraźnie, że wszystkie te posunięcia są wstępnymi krokami zmierzającymi do celu ostatecznego, jakim było "całkowite oczyszczenie", nie wolno jednak dopuścić do masowych rozstrzeliwań. Wydaje się, że dowódcy wojskowi zaprotestowali przeciwko masakrom osób cywilnych, Heydrich zaś doszedł do porozumienia z Naczelnym Dowództwem Wehrmachtu, w którym przyjęto jako zasadę "zrobienie raz na zawsze porządku" z Żydami, polską inteligencją, duchowieństwem katolickim i ziemiaństwem, ustalając przy tym, że ze względów praktycznych - to znaczy z powodu ogromnej skali operacji mającej na celu "zrobienie porządku" z 2 milionami Żydów - na początku trzeba przeprowadzić koncentrację Żydów w gettach. Plan ten pozosta-

280

wał w ścisłym związku z tajnym przemówieniem Hitlera wygłoszonym w 1937 roku do Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, w którym naszkicował on swój projekt stworzenia na Wschodzie "pustej przestrzeni" dla potrzeb osadnictwa niemieckiego. Posunięcia przeciwko Żydom wschodnim były nie tylko rezultatem antysemityzmu, lecz także integralną częścią globalnej polityki "demograficznej", w efekcie której Polaków czekałby w wypadku zwycięstwa Niemiec ten sam los co Żydów: ludobójstwo. Nie są to wcale spekulacje: Polaków w Niemczech zmuszano do noszenia identyfikującej ich litery P w miejsce gwiazdy, jaką nosili Żydzi, a jak przekonaliśmy się wcześniej, był to zawsze pierwszy środek, po jaki sięgała policja, przystępując do akcji eksterminacyjnej.

Spośród dokumentów przedstawionych na procesie szczególne zainteresowanie budzi list ekspresowy wysłany po wrześniowym spotkaniu do dowódców lotnych jednostek likwidacyjnych. Dotyczy on jedynie "kwestii żydowskiej na terytoriach okupowanych" i wprowadza rozróżnienie na "cel ostateczny", który należy zachować w tajemnicy, oraz służące jego osiągnięciu "kroki wstępne". Do kroków tych zalicza się w owym liście koncentrację Żydów w pobliżu kolejowych szlaków komunikacyjnych. Znamienne, że w liście nie występuje wyrażenie "ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej"; "cel ostateczny" oznaczał zapewne zagładę Żydów polskich, co z pewnością nie było niczym nowym dla obecnych na naradzie: nowym elementem było jedynie to, że Żydzi mieszkający na obszarach świeżo przyłączonych do Rzeszy mieli zostać ewakuowani do Polski, stanowiło to bowiem istotnie pierwszy etap operacji zmierzającej do uczynienia Niemiec "oczyszczonymi z Żydów" (judenrein), czyli pierwszy etap Ostatecznego Rozwiązania.

Co się tyczy Eichmanna, z dokumentów wynika jasno, że nawet na tym etapie nie miał on nic wspólnego z wydarzeniami na Wschodzie. Jego rola sprowadzała się do

281

roli eksperta do spraw "transportu" i "emigracji"; na Wschodzie niepotrzebny był żaden "ekspert do spraw żydowskich", nie wymagano żadnych specjalnych "dyrektyw" i nie istniały

tam żadne uprzywilejowane kategorie. Nawet członków rad żydowskich mordowano natychmiast po ostatecznej likwidacji gett. Nie istniały żadne wyjątki, los bowiem, jaki wyznaczono ludziom wykonującym niewolniczą pracę, stanowił jedynie inny, bardziej powolny rodzaj śmierci. Toteż biurokracja żydowska, której przypisano w owych administracyjnych masakrach tak kluczowe znaczenie, że bezzwłocznie powoływano instytucje "Żydowskich Rad Starszych", nie odegrała żadnej roli w schwytaniu i koncentracji Żydów. Gały ten epizod zwiastował kres początkowych dzikich masowych egzekucji na tyłach armii. Wydaje się, że dowódcy Wehrmachtu protestowali przeciwko rzeziom osób cywilnych i że Heydrich doszedł do porozumienia z Naczelnym Dowództwem, wprowadzając zasadę "zrobienia gruntownego porządku" z Żydami, polską inteligencją, duchowieństwem katolickim i ziemiaństwem, ustalając zarazem, że z uwagi na skalę operacji, która miała doprowadzić do "zrobienia porządku" z dwoma milionami Żydów, należało ich najpierw skoncentrować w gettach. Innymi słowy, jeśli Eichmann nie miał prawie nic wspólnego z tym, co stało się z Żydami w Polsce, w krajach nadbałtyckich, na Białorusi i Ukrainie, to dlatego, że na tym obszarze nie potrzeba było żadnego "eksperta do spraw żydowskich", nie wymagano żadnych specjalnych "dyrektyw" dotyczących ewakuacji i eksterminacji i nigdy nie brano pod uwagę możliwości wprowadzenia podziału na Żydów uprzywilejowanych i resztę. Z zasady likwidowano nawet członków rad żydowskich. Wyjątków nie było, bo los, jaki przeznaczono ludziom wykonującym niewolniczą pracę, był tylko innym, powolniejszym rodzajem śmierci.

Gdyby sędziowie oczyścili Eichmanna całkowicie z zarzutów związanych z owymi nie kończącymi się a budzą-

282

ROZDZIAŁ XIV

Materiał dowodowy i świadkowie

W ciągu ostatnich tygodni wojny biurokracja SS zajmowała się głównie podrabianiem dokumentów tożsamości i niszczeniem stosów dokumentów świadczących o trwającej przez 6 lat systematycznej akcji zagłady. Wydziałowi, w którym pracował Eichmann, powiodło się lepiej niż innym, bo spalił swe archiwum, co naturalnie nie było wielkim sukcesem, całą korespondencję kierował on bowiem do innych instytucji państwowych i partyjnych, których archiwa dostały się w ręce Sprzymierzonych. Pod dostatkiem było dokumentów zawierających historię Ostatecznego Rozwiązania, większość z nich znana już była z procesów norymberskich i późniejszych. Historię tę potwierdzały zaprzysiężone i nie zaprzysiężone oświadczenia, złożone zazwyczaj przez świadków i oskarżonych na wcześniejszych procesach, częstokroć zaś przez osoby już nie żyjące. (Wszystkie te materiały, a także pewna liczba zeznań opartych na poszlakach, zostały dopuszczone w charakterze materiału dowodowego na podstawie XV Rozdziału Ustawy, w oparciu o którą sądzono Eichman-na; rozdział ten stanowi, że sąd "może odstąpić od zasad postępowania dowodowego", o ile "sformułuje na piśmie powody odstąpienia".) Dokumentację dowodową uzupełniały zeznania złożone przed sądami w Niemczech, Austrii i Włoszech przez 16 świadków, którzy nie przyjechali do Jerozolimy, ponieważ prokurator generalny oświadczył, że "zamierza wytoczyć im proces sądowy o zbrodnię przeciwko narodowi żydowskiemu". Na pierwszym posiedzeniu sądu stwierdził on wprawdzie, że „jeśli obrońcy

284

dysponują ludźmi gotowymi przybyć w charakterze świadków, nie będzie stwarzał przeszkód i zamykał im drogi", później jednak odmówił przyznania tym osobom gwarancji bezpieczeństwa. (Przyznanie tych gwarancji leżało całkowicie w gestii rządu, ściganie za przestępstwa z Ustawy o karach dla nazistów i osób z nimi współpracujących nie jest obligatoryjne.) Było mało prawdopodobne, żeby którykolwiek z owych szesnastu panów przybył kiedyś do Izraela - siedmiu z nich znajdowało się w więzieniu, chodziło więc o kwestię czysto techniczną, mającą wszakże spore znaczenie. Pozwoliło to bowiem odrzucić twierdzenie Izraela, jakoby sąd izraelski był -przynajmniej w sensie technicznym - "najodpowiedniejszym do przeprowadzenia procesu wykonawców Ostatecznego Rozwiązania", ponieważ w tym kraju "dokumenty i świadkowie występują liczniej niż gdziekolwiek indziej"; żądanie zaś, by traktować zebrane dokumenty w specjalny sposób, było nieprzekonujące, ponieważ izraelski instytut pamięci narodowej Yad Yashem powstał stosunkowo późno i w niczym nie przewyższał innych archiwów tego typu. Szybko wyszło na jaw, że Izrael jest jedynym krajem na świecie, gdzie nie można wysłuchać świadków obrony i gdzie niektórzy świadkowie oskarżenia -ci, którzy złożyli wyjaśnienia na wcześniejszych procesach - nie mogą zostać szczegółowo przesłuchani przez obronę. Sprawa była tym poważniejsza, że oskarżony i jego adwokat istotnie "nie byli w stanie uzyskać własnej dokumentacji obrończej". (Dr Servatius przedłożył 110 dokumentów - oskarżenie natomiast 1500 - z tych pierwszych jednak tylko niecały tuzin pochodził od obrony, w większości były to wyjątki z książek Poliakova i Reitlingera, wszystkie zaś pozostałe - oprócz 17 plansz naszkicowanych przez Eichmanna - wybrane zostały z obfitego materiału zebranego przez oskarżycieli i policję izraelską. Obronie dostały się, jak widać, okruchy ze stołu bogacza.) W rzeczywistości nie miała ona "środków ani czasu", by poprowadzić sprawę

285

we właściwy sposób, nie dysponowała także "światowymi archiwami i instrumentami sprawowania władzy". Ten sam zarzut wysunięto przeciwko procesom norymberskim, na których nierówność statusu oskarżycieli i obrońców jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Główną przeszkodą w pracy obrony -tak samów Norymberdze, jak i Jerozolimie - było to, że nie dysponowała ona ekipą rutynowanych pracowników badawczych, którzy przedarliby się przez gąszcz dokumentów, odnajdując wszystko, co mogłoby się przydać do sprawy. Nawet dziś, w osiemnaście lat po wojnie, nasza znajomość ogromnego materiału archiwalnego, jaki pozostał po reżimie nazistowskim, opiera się w znacznej mierze na wyborze przygotowanym dla potrzeb oskarżycieli.

Nikt nie uświadamiał sobie rozstrzygającego znaczenia, jakie miał dla obrony ów mankament lepiej niż dr Servatius, który był w Norymberdze jednym z obrońców posiłkowych. Fakt ten czyni kwestię odpowiedzi na pytanie, dlaczego właśnie on zaoferował swe usługi, jeszcze bardziej intrygującą. Sam Sewatius odpowiedział na to pytanie, że była to dla niego "sprawa czysto zawodowa" i że chciał "zarobić trochę pieniędzy", ale w oparciu o doświadczenia wyniesione z Norymbergi musiał przecież wiedzieć, że suma, jaką zapłacił mu rząd izraelski - 20 tysięcy dolarów, sam tyle zażądał - była groteskowo niska, mimo że od rodziny Eichmanna z Linzu otrzymał dodatkowo 15 tysięcy marek. Na to, że zapłacono mu za mało, zaczął się uskarżać niemal w pierwszym dniu procesu, wkrótce też stwierdził otwarcie, że ma nadzieję, iż będzie mógł sprzedać wszelkie "pamiątniki", które Eichmann napisze w więzieniu "z myślą o przyszłych pokoleniach". Pomijając kwestię stosowności tego rodzaju transakcji handlowych, doznał srogiego rozczarowania, gdyż władze izraelskie skonfiskowały wszystko, co Eichmann napisał podczas pobytu w więzieniu. (Materiały te znajdują się obecnie w Archiwum Narodowym.) W okresie pomiędzy

zamknięciem przewodu sądowego w sierpniu a ogłoszeniem wyroku w grudniu Eichmann napisał swego rodzaju "książkę", którą obrona zgłosiła w charakterze "nowego dowodu rzeczowego" w postępowaniu rewizyjnym przed sądem apelacyjnym, choć książka ta dowodem takim naturalnie nie była.

Jeśli chodzi o stanowisko oskarżonego, sąd mógł się oprzeć na szczegółowych wyjaśnieniach, jakie złożył on izraelskiemu oficerowi śledczemu, uzupełnionych przez liczne pisane ręcznie notatki, które dołączył on w ciągu trwających jedenaście miesięcy przygotowań do procesu. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że wyjaśnienia owe miały charakter dobrowolny; znakomita ich większość nie powstała nawet w związku z jakimikolwiek pytaniami. Eichmannowi przedstawiono 1600 dokumentów, niektóre z nich musiał on widzieć wcześniej, bo jak się okazało, zostały mu pokazane w Argentynie podczas rozmów z Sassenem, które pan Hausner nie bez racji nazwał "próbą kostiumową". Poważnie zajął się on nimi jednak dopiero w Jerozolimie, kiedy zaś przystąpił do składania zeznań, stało się wkrótce jasne, że nie marnował czasu: teraz posiadł już umiejętność interpretacji dokumentów, czego nie potrafił jeszcze podczas śledztwa, i to w stopniu wyższym niż jego adwokat. Zeznania złożone przez Eichmanna przed sądem okazały się najistotniejszym materiałem dowodowym w sprawie. obrońca kazał mu zająć miejsce dla świadków składających zeznania 20 czerwca, podczas siedemdziesiątego piątego posiedzenia sądu i przesłuchiwał go niemal bez przerwy przez czternaście posiedzeń, to jest do 7 lipca. Tego samego dnia, na osiemdziesiątym ósmym posiedzeniu, do przesłuchania Eichmanna przystąpili oskarżyciele. Trwało ono kolejnych siedemnaście posiedzeń i zakończyło się 20 lipca. Odnotowano kilka incydentów: pewnego razu Eichmann zagroził w stylu moskiewskim, że "wszystko ujawni", innym zaś razem poskarżył się, że "wymuszono na nim zeznania",

286

287

zwykle jednak zachowywał całkowity spokój, a groźby, że odmówi odpowiedzi na dalsze pytania, nie traktował poważnie. Sędziemu Haleviemu oświadczył, że "bardzo się cieszy z możliwości odsiania prawdy od kłamstw, jakimi obrzucano go w ciągu piętnastu lat" i że jest bardzo dumny z tego, iż stanowi przedmiot śledztwa trwającego dłużej niż wszystkie inne. Po krótkim przesłuchaniu, trwającym niecałe jedno posiedzenie, jakiemu poddał go ponownie jego adwokat, do badania Eichmanna przystąpiła trójka sędziów, którzy w ciągu dwóch i pół krótkiego posiedzenia wydobyli z niego więcej, niż zdołała to uczynić strona oskarżenia w ciągu siedemnastu sesji.

Eichmann składał zeznania od 20 czerwca do 24 lipca - w sumie trzydzieści trzy i pół posiedzenia. Niemal dwukrotnie więcej, bo sześćdziesiąt dwa na ogólną liczbę stu dwudziestu jeden posiedzeń, poświęcono na zeznania stu świadków oskarżenia opowiadających - kraj za krajem - o oglądanych potwornościach. Składanie przez nich zeznań trwało od 24 kwietnia do 12 czerwca, cały zaś czas pomiędzy poszczególnymi posiedzeniami sądu przeznaczono na przygotowanie dokumentów, podyktowanych w większości do protokołu przez prokuratora generalnego. Protokoły czynności procesowych przekazywano codziennie prasie. Z kilku tylko wyjątkami wszyscy świadkowie byli obywatelami Izraela; wybrano ich spośród setek kandydatów. (Dziewięćdziesięciu spośród nich przeżyło w ścisłym sensie tego słowa: udało im się ocaleć, mimo że przebywali w różnych formach nazistowskiej niewoli.) O ileż mądrzej byłoby oprzeć się całkowicie tego rodzaju naciskom (do pewnego stopnia tak się stało, ponieważ żaden z potencjalnych świadków wymienionych w napisanej w oparciu o materiały dostarczone przez dwóch izraelskich dziennikarzy i opublikowanej w roku 1960 książce

Quentina Reynolds pt. Minister of Death - nie został wezwany do składania zeznań) i odszukać tych, którzy nie zgłosili się na ochotnika! Jakby na dowód tego, oskarże-

nie powołało na świadka pewnego pisarza, dobrze znanego po obu stronach Atlantyku pod pseudonimem "KZ-nika"

- żargonowe określenie więźnia obozu koncentracyjnego

-jako autora kilku książek o Oświęcimiu, opowiadających o zamtach, homoseksualistach i innych "ciekawiących ludzi rzeczach". Rozpoczął on, tak jak to czynił wielokrotnie podczas występów publicznych, od wyjaśnienia powodów, dla których posługiwał się takim nazwiskiem. Oświadczył, że nie jest to "pseudonim literacki". "Muszę nosić takie imię dopóty, dopóki świat nie ocknie się po ukrzyżowaniu narodu [...], podobnie jak po ukrzyżowaniu jednego człowieka ocknęła się ludzkość". W dalszym ciągu poczynił mały wypad w domenę astrologii, wspominając o gwiazdzie "wpływającej na nasz los w ten sam sposób, w jaki gwiazda oświęcimskich prochów spoglądająca w stronę naszej planety wysyła ku niej swe promienie". Kiedy zaś doszedł do "nadmaturalnych mocy władających Naturą", dzięki którym pozostał dotąd przy życiu, i po raz pierwszy zrobił pauzę, żeby zaczerpnąć oddechu - nawet pan Hausner poczuł, że trzeba jakoś zareagować na takie "zeznania" i w sposób bardzo nieśmiały, bardzo uprzejmy, przerwał mu słowami: "Może zechciałby pan odpowiedzieć na kilka moich pytań?" W tym samym momencie również sędzia przewodniczący postanowił skorzystać z okazji: "Panie Dinoor [bo tak brzmiało mało prawdopodobne nazwisko, które świadek podał, jako prawdziwe], bardzo pana proszę, niech pan posłucha pana Hausnera i mnie". W odpowiedzi rozczarowany i chyba głęboko dotknięty świadek zemdlął i nie powiedział już nic więcej.

Był to co prawda przypadek wyjątkowy, ale jeśli stanowił on wyjątek potwierdzający regułę normalności, to nie potwierdzał on reguły prostoty lub umiejętności narracyjnych, nie mówiąc już o rzadkiej zdolności odróżnienia wydarzeń, jakie miały miejsce w życiu opowiadającego więcej niż szesnaście, a niekiedy i dwadzieścia lat temu - od rzeczy, które wyczytał, usłyszał lub wymyślił od tamte-

289

288

go momentu. Trudnościom tym nie sposób było zaradzić, ale nie umniejszała ich predylekcja oskarżycieli do świadków cieszących się pewnym rozgłosem, spośród których wielu opublikowało książki na temat własnych przeżyć, teraz zaś opowiadali oni o tym, co wcześniej opisali lub o czym opowiadali po wielekroć. Korowód rozpoczęło -była to chybiona próba zachowania porządku chronologicznego - ośmiu świadków z Niemiec, ludzi całkiem przytomnych, nie należących jednak do tych, którzy "ocalili": byli to wysokiego szczebla działacze żydowscy w Niemczech, obecnie zaś wybitne osobistości izraelskiego życia publicznego; wszyscy opuścili Niemcy przed wybuchem wojny. Następnie zeznawało pięciu świadków z Pragi, a potem zaledwie jeden świadek z Austrii, na temat którego to kraju oskarżenie przedstawiło cenną relację nie żyjącego doktora Lówenherza, pisaną w czasie wojny i wkrótce po jej zakończeniu. Po jednym świadku przybyło z Francji, Holandii, Danii, Norwegii, Luksemburga, Włoch, Grecji i Rosji radzieckiej, dwóch z Jugosławii, po trzech z Rumunii i Słowacji, a trzynastu z Węgier. Ale gros świadków-pięćdziesiąt trzy osoby - pochodziło z Polski i Litwy, więc stamtąd, gdzie kompetencje i władza Eichmanna równały się prawie zeru. (Jedynymi krajami, o których świadkowie nie opowiedzieli w swych zeznaniach, były Bułgaria i Belgia.) Wszystkie te osoby były świadkami "naświetlającymi tło", podobnie jak szesnastka mężczyzn i kobiet mówiących przed sądem o Oświęcimiu

(dziewięcioro), Treblince (czworo) oraz Chełmnie i Majdanku. Inaczej miała się rzecz ze składającymi zeznania na temat Terezina, getta dla ludzi w podeszłym wieku, położonego na terytorium Rzeszy, jedyne obozu, w którym władza Eichmanna była istotnie znaczna. O Terezynie zeznawało czterech świadków, a o obozie wymiany w Bergen-Belsen -jedna osoba.

Pod koniec owej procesji "prawo świadków do mówienia o wszystkim" -jak napisano w podsumowującym ze-

znania Biuletynie Yad Yashem - było już tak mocno ugruntowane, że prośba pana Hausnera, który podczas siedemdziesiątego trzeciego posiedzenia zwrócił się do sądu o udzielenie zgody na "uzupełnienie przedstawionego przez siebie obrazu", miała charakter czysto formalny, a sędzia Landau, który jeszcze mniej więcej pięćdziesiąt posiedzeń wcześniej tak usilnie sprzeciwiał się owemu "nakreśleniu obrazu", zgodził się teraz od razu na wystąpienie przed sądem byłego członka Brygady Żydowskiej, jednostki wojskowej złożonej z Żydów palestyńskich, wchodzącej w skład brytyjskiej 8 Armii w czasie ostatniej wojny. Ów ostatni świadek oskarżenia, pan Aharon Ho-ter-Yishai, obecnie prawnik w Izraelu, otrzymał zadanie koordynacji wszelkich poszukiwań ocalałych Żydów europejskich, prowadzonych pod auspicjami organizacji Aliyah Beth działającej na rzecz nielegalnej imigracji do Palestyny. Żydzi ci rozproszeni byli wśród około 8 milionów wysiedleńców z całej Europy, tworzących płynną masę ludzką, której repatriację Sprzymierzeni pragnęli przeprowadzić możliwie jak najszybciej. Istniała groźba, że także Żydzi powrócą do dawniejszych miejsc zamieszkania. Pan Hoter-Yishai opowiedział o powitaniu zgotowanym jemu i jego towarzyszom, gdy przedstawili się jako członkowie "walczącego narodu żydowskiego" i dodał, że "wystarczyło narysować gwiazdę Dawida na kartce papieru i przypiąć ją do miotły", by owi ludzie otrząsnęli się z groźnej apatii graniczącej ze śmiertelnym wycieńczeniem. Opowiedział także o tym, jak niektórzy z nich "powędrowali z obozów dla wysiedleńców do ojczyzny" po to tylko, by znaleźć się znowu w innym obozie, gdyż "ojczyzną" było na przykład polskie miasteczko, gdzie spośród 6 tysięcy zamieszkujących je przedtem Żydów ocalało piętnastu, a z tej piętnastki ocalonych czterech zamordowali zaraz po ich powrocie Polacy*. Na koniec opisał próby,

* Tego typu informacje muszą być uważane za tendencyjne, co sama autorka zaznacza poniżej (przyp. wyd.).

291

290

jakie podjął wraz z innymi, by uprzedzić akcje repatriacyjną Sprzymierzonych; wspominał przy tym, że często przybywał za późno: "W Terezynie znajdowało się 32 tysiące ocalałych. Po kilku tygodniach znaleźliśmy ich tam tylko 4 tysiące. Około 28 tysięcy wróciło lub zostało zmuszonych do powrotu. Jeśli chodzi o owe 4 tysiące, to spośród nich nikt oczywiście nie wrócił do miejsca, skąd pochodził, bo wskazana im została właściwa droga" - to znaczy droga prowadząca do ówczesnej Palestyny, która wkrótce potem stała się Państwem Izrael. Zeznania te miały może bardziej niż wszystkie inne posmak propagandy, a sposób w jaki przedstawiono w nich fakty, zaiste wprowadzał w błąd. W listopadzie 1944 roku, po odejściu z Terezina ostatniego transportu do Oświęcimia, pozostało tam zaledwie około 10 tysięcy więźniów. W lutym 1945 roku przybyło dalszych 6-8 tysięcy Żydów z małżeństw mieszanych, których naziści wysłali do Terezina w momencie, gdy cały niemiecki system transportu uległ już całkowitemu załamaniu. Wszyscy pozostali Żydzi -w przybliżeniu 15 tysięcy-napłynęli do Terezina w otwartych wagonach towarowych bądź pieszo w kwietniu 1945 roku, już po przejściu obozu przez Czerwony Krzyż. Byli to ludzie, którzy przeżyli

Oświęcim, członkowie brygad pracy, wywodzący się głównie z Polski i Węgier. Gdy 9 maja 1945 roku obóz został oswobodzony przez Rosjan, liczni Żydzi czescy, którzy przebywali w Terezynie od początku, wyruszyli natychmiast w drogę powrotną do swych domów, jako że znajdowali się we własnej ojczyźnie. W momencie uchylecia przez Rosjan spowodowanej epidemii kwarantanny, zdecydowana większość Żydów opuściła obóz z własnej inicjatywy. Resztki, na jakie natrafili emisariusze z Palestyny, musiały zatem składać się z ludzi niezdolnych do powrotu z rozmaitych przyczyn - chorych, starych, osamotniałych niedobitków, którzy nie wiedzieli, dokąd się udać. A przecież pan Hoter-Yishai wypowiedział prawdę elementarną: ludzie, którzy przeżyli

getta i obozy, którzy uszli z życiem z koszmaru absolutnej beznadziei i opuszczenia - którym cały świat stał się jakby dżunglą, a oni wydani zostali na jego pastwę - pragnęli tylko jednego: udać się tam, gdzie nie ujrzą więcej żadnego nie-Zyda. Emisariuszy narodu żydowskiego w Palestynie potrzebowali ci ludzie po to, by usłyszeć, iż mogą - legalnie lub nie, za wszelką cenę i we wszelki sposób - jechać i spotkają się z serdecznym przyjęciem. Nie trzeba ich było przekonywać.

Tak więc z rzadka zdarzały się chwile, gdy odczuwało się radość z przegranej sędziego Landaua, a po raz pierwszy moment taki nadszedł, zanim jeszcze zaczęła się sędziowska batalia. Pierwszy wezwany przez pana Hausne-ra świadek naświetlający tło nie wyglądał bowiem wcale na ochotnika. Był to starzec noszący tradycyjne nakrycie głowy, drobny, kruchy, z rzadkimi siwymi włosami i z brodą, trzymający się bardzo prosto. W pewnym sensie jego nazwisko było "sławne" i można było zrozumieć powody, dla których oskarżenie chciało zacząć od niego kreślenie ogólnego obrazu. Był to Zindel Grynszpan, ojciec Hersz-la Grynszpana, który 7 listopada 1938 roku, mając 17 lat, wszedł do ambasady niemieckiej w Paryżu i zastrzelił jej trzeciego sekretarza, młodego Legationsrata Ernsta von Ratha. Zabójstwo to wywołało w efekcie falę pogromów w Niemczech i Austrii - znaną pod nazwą Kristallnacht (9 listopada) - będącą w istocie preludium Ostatecznego Rozwiązania, z której przygotowaniem Eichmann nie miał wszakże nic wspólnego. Motywy czynu Grynszpana nie zostały nigdy do końca wyjaśnione, a jego brat, którego oskarżenie również zaważowało na świadka, ociągał się wyraźnie z mówieniem na ten temat. Sąd uznał za rzecz oczywistą, że był to akt zemsty za wypędzenie około 15 tysięcy polskich Żydów, w tym rodziny Grynszpana, z terytorium Niemiec w ostatnich dniach października 1938 roku, ale wiadomo powszechnie, że jest to wytłumaczenie mało prawdopodobne. Herszci Grynszpan był psycho-

293

292

pata, niezdolnym do ukończenia szkoły, który od lat włóczył się po Paryżu i Brukseli, skąd go wydalono. Adwokat broniący go przed sądem francuskim wystąpił z jakąś zawiłą historią o związkach homoseksualnych, Niemcy zaś, którym Grynszpan został później wydany, nigdy nie postawili go przed sądem. (Istnieją pogłoski, że przeżył on wojnę, co byłobyjeszcze jednym potwierdzeniem "oświęcimskiego paradoksu": uratowali się żydowscy przestępcy kryminalni.) Von Rath był wyjątkowo nieodpowiednią ofiarą - śledziło go Gestapo z powodu jego jawnie antynazistowskich zapatrywań i sympatii do Żydów; historię o jego homoseksualizmie sfabrykowało prawdopodobnie także Gestapo. Niewykluczone, że Grynszpan stał się nieświadomym narzędziem agentów Gestapo w Paryżu, którym mogło zależeć na upieczeniu dwóch pieczeni przy jednym ogniu - stworzyć pretekst do pogromów w Niemczech i pozbyć się przeciwnika reżimu nazistowskiego - choć nie rozumieli oni, że muszą się zdecydować najedno albo na drugie: nie mogą pomawiać von Ratha o

utrzymywanie zabronionych stosunków homoseksualnych z żydowskimi chłopcami, czyniąc zeń jednocześnie męczennika i ofiarę "światowego żydostwa".

Jest w każdym razie faktem, że jesienią 1938 roku rząd polski podjął decyzję o pozbawieniu obywatelstwa wszystkich Żydów polskich przebywających na terenie Niemiec z dniem 29 października. Prawdopodobnie władze polskie dysponowały informacją, że rząd niemiecki zamierza wydalić tę grupę Żydów do Polski i chciały temu zapobiec*.

* Informacja nie jest ścisła. Dekret prezydenta Mościckiego przewidywał możliwość pozbawienia obywatelstwa polskiego osób przebywających zagranicą, które w ciągu 5 lat nie wykazały się więzami łączącymi je z Polską lub z polską emigracją. W praktyce miało to rzeczywiście dotyczyć przede wszystkim części mieszkających w Niemczech Żydów - obywateli polskich w wypadku ich przymusowego wysiedlenia z Niemiec. Rząd polski, który propagował emigrację Żydów z Polski jako jeden ze środków rozładowania masowego bezrobocia, pragnął w ten sposób skłonić Niemcy do zaniechania przyniu-

Należy bardzo wątpić, czy ludzie tacy jak pan Zindel Grynszpan w ogóle wiedzieli o podjęciu tej decyzji. Do Niemiec przybył on w roku 1911, mając 25 lat. W Hanowerze otwiera sklep spożywczy, tam też przychodzi wkrótce na świat ośmioro jego dzieci. W roku 1938, gdy padł nań złowrogi cień zagłady, mieszkał w Niemczech od 27 lat i tak jak wielu innych nie zadał sobie nigdy trudu, by wymienić dokumenty i wystąpić z prośbą o naturalizację. Teraz zaś przybył ze swoją opowieścią, starannie odpowiadając na pytania oskarżyciela; mówił jasno i dobitnie, bez ozdobników, przy użyciu minimum słów.

"27 października 1938 roku, w czwartek, wieczorem o godzinie ósmej, przyszedł do nas policjant i powiedział, że mamy się stawić w XI komisariacie. »Pójdziemy od razu - dodał - Nie zabierajcie niczego, tylko wasze paszpor-ty«. I Grynszpan poszedł wraz z rodziną: synem, córką i żoną. Po przybyciu na komisariat ujrzeli "mnóstwo ludzi. Niektórzy siedzieli, niektórzy stali, jeszcze inni płakali. Policjanci krzyčeli: »Podpisywać, podpisywać, podpisywać!« [...] Musiałem podpisać, wszyscy podpisywali. Jeden z nas nie podpisał, nazywał się chyba Gershon Sil-ber, za karę musiał stać 24 godziny w kacie. Zabrali nas do koncertowej [...], gdzie znajdowali się ludzie z całego miasta, około 600 osób. Trzymali nas tam do piątku wieczorem, około 24 godzin, tak, do piątku wieczorem. [...] Następnie załadowali nas do aut policyjnych, do więźniarek, mniej więcej po 20 ludzi do każdej i zawieźli na stację kolejową. Na ulicach było czarno od ludzi krzyčących: »Juden raus do Palestyny!« [...] Zawieźli nas pociągiem do

sowego wysiedlenia. Dekret wchodził w życie 29.10.1938 r. Dzień wcześniej władze niemieckie wypędziły około 15 tyś. Żydów- obywateli polskich. Wprawdzie wygnańców przetrzymano kilka tygodni na granicy polskiej, głównie w barakach w Zbąszyniu, jednakże potem ze względów politycznych i humanitarnych zdecydowano się nie realizować postanowień dekretu, zezwolono wygnańcom na wjazd do Polski i korzystanie z praw obywatelskich. (Przyp. Jerzy Holzer).

295

294

T

Neubenschen, przy granicy niemiecko-polskiej. Przybyliśmy tam w szabas, o 6 rano. Nadjeżdżały tam pociągi ze wszystkich kierunków: z Lipska, Kolonii, Diisseldorfu, Essen, Biederfeldu, Bremy. Razem było nas tam około 12 tysięcy. [...] To był szabas, 29

października [...]. Na granicy zostaliśmy poddani rewizji; jeśli ktoś miał przy sobie więcej niż 10 marek, to nadwyżkę mu zabierano. Takie było prawo niemieckie: nie wolno było wywieźć z Niemiec więcej niż 10 marek. Niemcy mówili do nas: »Nie przywieźliście ze sobą więcej, kiedy przyjechaliście tutaj, to nie możecie więcej wywieźć«. Odległość mniej więcej jednej mili od granicy polskiej musieli przejść pieszo, bo Niemcy zamierzali przemyścić ich na terytorium Polski. "SS-mani okładali nas pejciami, bili maruderów, droga spłynęła krwią. Wrywali nam z rąk walizki, traktowali nas niesłychanie brutalnie, po raz pierwszy zetknąłem się u Niemców z takim zezwierzęczeniem. Krzyczeli do nas: »Biegiem! Biegiem!« Zostałem uderzony i wpadłem do rowu. Syn pomógł mi wstać i powiedział: »Niech ojciec biegnie, bo go zamordują!« Do granicy polskiej pierwsze dotarły kobiety. Polacy o niczym nie wiedzieli. Wezwali polskiego generała i kilku oficerów, którzy obejrzeni nasze dokumenty i przekonali się, że mamy polskie obywatelstwo i specjalne paszporty. Postanowiono nas wypuścić. Zabrali nas do wioski zamieszkaanej przez około 6 tysięcy ludzi, a nas było 12 tysięcy. Padał gęsty deszcz, ludzie mdleli: wszędzie widziało się starych mężczyzn i stare kobiety. Wielka była nasza udręka. Nie było pożywienia, nie jedliśmy od czwartku [...]. Zabrano ich do obozu wojskowego i umieszczono w "stajniach, bo gdzie indziej nie było miejsca. [...] To było chyba drugiego dnia naszego pobytu w Polsce. Pierwszego dnia przyjechała ciężarówka z chlebem z Poznania, to było w niedzielę. Wtedy też napisałem list do Francji [...], do syna: »Nie pisz już do Niemiec, jesteście w Zbąszyniu«".

Opowiadanie tej historii zajęło nie więcej niż 10 minut, kiedy dobiegła końca - owa opowieść o bezsensow-

nym, niepotrzebnym zniszczeniu 27 lat w ciągu niecałej doby- nie sposób było się oprzeć absurdalnej myśli: każdy, absolutnie każdy człowiek powinien mieć prawo do jednego dnia w sądzie. Choćby po to, by przekonać się - w trakcie nie kończących się późniejszych posiedzeń-jak trudną rzeczą jest opowiadanie i że -w każdym razie poza kierującą się zasadą transformacji domeną poezji - wymaga ono czystości duszy, nie odbitej w zwierciadle refleksji niewinności serca i umysłu, jaką posiadają jedynie sprawiedliwi. Nie znalazł się nikt, kto przedtem lub potem dorównałby kryształowej uczciwości Zindla Grynsz-pana.

Nie można twierdzić, że zeznania Grynszpana przypominały choćby w przybliżeniu tak zwany "dramatyczny moment". Moment taki nastąpił jednak w kilka tygodni później, i to całkiem nieoczekiwanie, gdy sędzia Lan-dau dokonywał niemal rozpaczliwej próby dostosowania toku rozprawy do obowiązującego normalnie postępowania sądu w sprawie kryminalnej. Miejsce dla świadków zajął Aba Kowner - "poeta i pisarz" - który nie tyle składał zeznania, co przemawiał do publiczności ze swobodą człowieka nawykłego do wystąpień publicznych i nie znoszącego, gdy mu przerywają z sali. Sędzia przewodniczący poprosił go, by mówił zwięźle, co Kownerowi nie przypadło naturalnie do gustu, a pan Hausner, który wystąpił w obronie swego świadka, usłyszał w odpowiedzi, że nie może "uskarżać się na brak cierpliwości ze strony sądu", co z kolei nie spodobało się oskarżycielowi. W owej lekko napiętej sytuacji świadek wymienił akurat nazwisko Antona Schmidta, feldfebla, czyli sierżanta armii niemieckiej - nazwisko, które mogło być znane zebranej w sądzie publiczności, gdyż parę lat wcześniej Yad Yashem opublikował relację Schmidta, w swym hebrajskojęzycznym Biuletynie, przedrukowaną następnie przez niektóre gazety w języku żydowskim wychodzące w Ameryce. An-ton Schmidt był dowódcą patrolu, który zbierał w Polsce

żołnierzy niemieckich odciętych od swych macierzystych jednostek. Wykonując tę funkcję, zetknął się z członkami żydowskiego podziemia, wśród nich z panem Kownerem, a także pomagał żydowskim partyzantom, zaopatrując ich w podrobione dokumenty i pojazdy wojskowe. Najważniejsze zaś, że "nie robił tego dla pieniędzy". Trwało to pięć miesięcy, od października 1941 roku do marca 1942, kiedy to Antona Schmidta aresztowano i stracono. (Oskarżenie zaprezentowało tę opowieść, ponieważ Kowner oświadczył, iż po raz pierwszy usłyszał nazwisko Eichman-na od Schmidta, który opowiedział mu o plotkach krążących w armii a głoszących, że to Eichmann "to wszystko zorganizował".)

Nie był to bynajmniej jedyny wypadek, kiedy wspomniano o pomocy z zewnątrz, od środowisk nieżydowskich. Sędzia Halevi zapytywał świadków: "Czy Żydzi otrzymywali jakąś pomoc?" z tą samą regularnością, z jaką oskarżenie pytało: "Dlaczego nie podnieśliście buntu?" Odpowiedzi brzmiały rozmaicie i nie miały charakteru rozstrzygającego: "Gała ludność była przeciwko nam"; Żydów ukrytych przez rodziny chrześcijańskie "można było policzyć na palcach jednej ręki", może 5 czy 6 na ogólną liczbę 13 tysięcy. Ogólnie jednak sytuacja w Polsce przedstawiała się, o dziwo, lepiej niż w jakimkolwiek innym kraju wschodnioeuropejskim. (Jak już wspomniałam, nie składano zeznań na temat Bułgarii.) Pewien Żyd, ożeniony z Polką i mieszkający obecnie w Izraelu, zeznał, że jego żona ukrywała go wraz z dwunastoma innymi Żydami w ciągu całej wojny; inny miał z czasów przedwojennych przyjaciela-chrześcijanina, do którego uciekł z obozu i który mu pomógł, później zaś został stracony za pomoc udzielaną Żydom. Jeden ze świadków stwierdził, że polskie podziemie zaopatrywało wielu Żydów w broń i uratowało tysiące dzieci żydowskich, umieszczając je u polskich rodzin. Ryzyko było ogromne: opowiedziano o całej polskiej rodzinie wymordowanej w najbrutalniejszy

sposób za przyjęcie pod dach sześciolatniej dziewczynki żydowskiej. Wzmianka o Schmidcie była jednak pierwszą i ostatnią relacją tego rodzaju dotyczącą Niemca, jedyny inny bowiem incydent wiążący się z Niemcem odnotowany został wyłącznie w dokumencie: pewien oficer armii udzielił pośrednio pomocy, sabotując pewne rozkazy policji; nic mu się nie stało, sprawę jednak uznano za wystarczająco poważną, by wspomnieć o niej w korespondencji Himmlera z Bormannem.

W ciągu owych kilku minut, jakie Kownerowi zajęła jego opowieść o pomocy uzyskanej od niemieckiego sierżanta, na sali sądowej panowała głęboka cisza, tak jakby zgromadzeni postanowili spontanicznie uczcić tradycyjnymi dwiema minutami milczenia pamięć człowieka o nazwisku Anton Schmidt. Podczas zaś owych dwóch minut, będących jakby snopem światła, który wytrysnął nagle w sercu nieprzeniknionych i niezgłębionych ciemności, jedno wydawało się absolutnie pewne: jakże inaczej wyglądałoby dziś wszystko na tej sali sądowej, w Izraelu, w Niemczech, w całej Europie, a może i na całym świecie, gdyby można było usłyszeć więcej takich opowieści.

Można oczywiście podać powody, dla których jest ich tak rozpaczliwie mało, i wielokrotnie to czyniono. Przedstawię istotę tych wyjaśnień, posługując się słowami zaczerpniętymi ze wspomnień wojennych - zaliczyć je można do owych niewielu subiektywnie szczerych książek tego rodzaju - opublikowanych w Niemczech. Peter Bamm, niemiecki lekarz wojskowy, który odbywał służbę na froncie rosyjskim, opowiada w *Die unsichtbare Flagge* (1952) o wymordowaniu Żydów sewastopolskich. Zgromadzili ich "tamci", czyli lotne jednostki likwidacyjne SS, które autor odróżnia od zwykłych żołnierzy, wypisując peany na temat przyzwoitości tych ostatnich; Żydów umieszczono w odizolowanej części byłego obozu GPU przylegającej do kwater oficerów, gdzie stacjonowała jednostka Bam-ma. Następnie zmuszono ich do wejścia do ciężarówki

zamienionej w ruchomą komorę gazową, w której umierali po kilku minutach, po czym kierowca wywoził trupy za miasto i wyrzucał je do rowów przeciwczołgowych. "Wiedzieliśmy o tym. Nie zrobiliśmy nic. Każdy, kto by poważnie zaprotestował albo podjął jakieś działania przeciwko jednostce likwidacyjnej, zostałby aresztowany w ciągu 24 godzin i zniknąłby bez śladu. Perfidia współczesnych systemów totalitarnych polega między innymi na tym, że nie pozwalają, by ich przeciwnicy umarli wspaniałą, dramatyczną śmiercią męczenników za swoje przekonania. Możliwe, że wielu spośród nas zgodziłoby się na taką śmierć. Państwo totalitarne każe pograżyć się swym przeciwnikom w anonimowym milczeniu. Jest rzeczą pewną, że każdy, kto ośmieliłby się ponieść śmierć zamiast tolerować milcząco zbrodnie, złożyłby swe życie w daremnej ofercie. Nie znaczy to, że ofiara taka byłaby pozbawiona moralnego sensu. Tyle tylko, że byłaby praktycznie bezużyteczna. Nikt z nas nie był dogłębnie przekonany, że moglibyśmy ponieść tego rodzaju praktycznie bezużyteczną ofiarę w imię wyższego sensu moralnego". Zbyteczne dodawać, że autor nie uświadamia sobie, iż tak bardzo podkreślana przez niego "przyzwoitość" jest pusta, jeśli brakuje jej "wyższego sensu moralnego".

Lecz daremność powszechnego szacunku - albowiem w takich okolicznościach przyzwoitość jest niczym więcej niż ogólnym szacunkiem - nie wynikała w sposób oczywisty z przykładu, jakiego dostarczył sierżant Anton Schmidt. Wskazał raczej na fatalny błąd w samym rozumowaniu, na pierwszy rzut oka sprawiającym wrażenie tak nieubłagane przekonującego. To prawda, że totalitaryzm usiłuje stworzyć owe strefy zapomnienia, w których mają zniknąć wszelkie czyny, dobre i złe, tak samo jednak jak gorączkowe usiłowania nazistów próbujących od czerwca 1942 roku usunąć wszelki ślad po masakrach - przy pomocy kremacji, palenia zwłok w otwartych grobach, przy użyciu materiałów wybuchowych, miotaczy

ognia i maszyn do kruszenia kości - były skazane na klęskę, podobnie też wszelkie próby "pograżenia przeciwników w anonimowym milczeniu" są daremne. Strefy zapomnienia nie istnieją. Nic, co ludzkie nie jest tak doskonałe, a na świecie żyje po prostu zbyt wielu ludzi, by zapomnienie mogło stać się faktem. Przynajmniej jeden człowiek zawsze utrzyma się przy życiu i zda relację. Nic przeto nie może być nigdy "praktycznie bezużyteczne" - w każdym razie w dłuższej perspektywie. Dla dzisiejszych Niemiec byłoby rzeczą o wielkim znaczeniu praktycznym, nie tylko ze względu na ich prestiż międzynarodowy, lecz także ze względu na ich nieprzyjemnie pogmatwaną sytuację wewnętrzną, gdyby istniało więcej podobnych relacji. Wniosek bowiem, jaki z nich płynie, jest prosty i powszechnie zrozumiały. W kategoriach politycznych brzmi tak, że przeważająca większość ludzi ugnie się przed rządami terroru, ale niektórzy się nie ugną, podobnie jak nauka płynąca z doświadczeń krajów, którym zaproponowano Ostateczne Rozwiązanie, jest taka, że to "mogło się zdarzyć" prawie wszędzie, a jednak nie wszędzie się z d a r żyło. W kategoriach zaś ludzkich wniosek brzmi tak, że niczego więcej nie trzeba, ani też niczego więcej nie można z sensem postulować, by na naszej planecie wciąż jeszcze dało się żyć po ludzku..

Ostatnie miesiące wojny spędził Eichmann na bezczynnym oczekiwaniu w Berlinie, izolowany przez szefów innych wydziałów RSHA, którzy codziennie spożywali wspólnie obiad w tym samym budynku, gdzie mieściło się jego biuro, ale ani razu nie zaprosili go do stołu. Zajmował się swymi instalacjami obronnymi, by być gotowym do "ostatniej bitwy" o Berlin, w ramach zaś swych obowiązków służbowych składał jeszcze sporadyczne wizyty w Terezynie, po którym oprowadzał delegatów Czerwonego Krzyża. Im to akurat zwierzył się z przyjętej przez Himmlera nowej "ludzkiej linii postępowania" wobec Żydów, która polegała także i na tym, żeby "następnym razem" za wszelką cenę zorganizować obozy koncentracyjne "na wzór angielski". W kwietniu 1945 roku Eichmann przeprowadził ostatnią z rozmów z Himmlerem, który polecił mu wybrać "od stu do dwustu wybitnych Żydów z Terezina", przewieźć ich do Austrii i umieścić w hotelach jako "zakładników" w mających się odbyć rokowaniach z Eisen-howerem. Wydaje się, że Eichmannowi w ogóle nie przyszło do głowy, iż jest to polecenie absurdałne. Wyruszył w drogę "z zalem w sercu, bo musiał porzucić swoje instalacje obronne", ale do Terezina nigdy nie dotarł, ponieważ wszystkie drogi zostały zablokowane przez nadciągające wojska rosyjskie. Wylądował natomiast w Alt-Aussee, w Austrii, w miejscu, gdzie schronił się Kalten-brunner. Kaltenbrunner, którego "wybitni Żydzi" Himmlera absolutnie nie interesowali, rozkazał Eichmannowi zorganizować oddział do walki partyzanckiej w gó-

rach austriackich. Eichmann zareagował z najwyższym entuzjazmem: "Znowu znalazło się coś, co warto było robić, zadanie, które mi bardzo odpowiadało". W momencie jednak, kiedy zgromadził około setki mniej lub bardziej nieodpowiednich ludzi, z których większość nie miała dotąd karabinu w ręce, i zawładnął arsenałem porzuconej broni wszelkiego rodzaju - otrzymał najświeższy rozkaz Himmlera: "Zakazuje się otwierać ogień do Anglików i Amerykanów". To był koniec. Odesłał swych ludzi do domów i przekazał małą kasetkę z papierowymi pieniędzmi i monetami ze złota swemu zaufanemu doradcy prawnemu, Regierungsratowi Hunschemu: "Pomyślałem sobie, że ponieważ jest to człowiek zajmujący odpowiedzialne stanowisko w służbie państwowej, będzie we właściwy sposób zarządzał funduszem i odnotuje wszystkie wydatki [...], sądziłem bowiem, że pewnego dnia trzeba się będzie rozliczyć".

Na tym musiał Eichmann zakończyć swą autobiografię, którą opowiedział dobrowolnie oficerowi śledczemu. Zajęło to zaledwie kilka dni, wypełniając nie więcej niż 315 na ogólną liczbę 3564 stron spisanych z magnetofonu. Zamierzał mówić dalej i z pewnością opowiedział resztę policji, ale władze sądowe - z różnych przyczyn - postanowiły nie dopuścić żadnych zeznań dotyczących czasów po zakończeniu wojny. W oparciu wszakże o zaprzysiężone zeznania z Norymbergi, a zwłaszcza dzięki wielce kontrowersyjnym niedyskrecjom, jakich dopuścił się były izraelski pracownik państwowy, Moshe Pearlman, którego książka *The Capture of Adolf Eichmann* została wydana w Londynie na miesiąc przed rozpoczęciem procesu - można wypełnić lukę w opowieści. Relacja pana Pearlmana oparta została wyraźnie na materiałach z Biura 06, czyli komórki policyjnej kierującej przygotowaniem do procesu. (Własna wersja pana Pearlmana brzmiała tak, że ponieważ wystąpił on ze służby państwowej trzy tygodnie przed porwaniem Eichmanna, napisał swą książkę jako "osoba pry-

303

302

watna"-jest to mało przekonujące, gdyż policja izraelska musiała wiedzieć o planowanej akcji na kilka miesięcy przed jego wystąpieniem ze służby.) Książka wywołała w Izraelu

pewne zakłopotanie, nie tylko dlatego, że pan Pearlman ujawnił przedwcześnie informacje na temat ważnych dokumentów oskarżenia i stwierdził, że władze sądowe postanowiły już uznać zeznania Eichmanna za niewiarygodne; ale dlatego, że rzetelna relacja dotycząca schwywania Eichmanna w Buenos Aires była naturalnie ostatnią rzeczą, jakiej opublikowania by sobie życzyły.

Opowieść przedstawiona przez pana Pearlmana była znacznie mniej ekscytująca niż rozmaite pogłoski, na których opierały się wcześniejsze relacje na ten temat. Eichmann nie przebywał nigdy na Bliskim czy Środkowym Wschodzie, nie miał żadnych powiązań z jakimkolwiek krajem arabskim, nigdy nie przyjechał do Niemiec z Argentyny, nigdy nie odwiedził żadnego innego kraju Ameryki Łacińskiej, nie odgrywał żadnej roli w powojennej działalności nazistów ani w ich organizacjach. Pod koniec wojny usiłował raz jeszcze porozmawiać z Kaltenbrunnerem, przebywającym ciągle w Alt-Aussee i udającym od-ludka, ale jego były szef nie miał wcale ochoty go przyjąć, bo "według niego ten człowiek nie miał już żadnych szans". (Szansę Kaltenbrunniera też nie były znakomite - został powieszony w Norymberdze.) Wkrótce potem Eichmann został zatrzymany przez żołnierzy amerykańskich i umieszczony w obozie dla SS-manów. W trakcie licznych przesłuchań nie zdołano ustalić jego prawdziwej tożsamości, choć była ona znana niektórym jego współwięźniom. Zachował ostrożność i nie pisał do rodziny, pozwalając jej sądzić, że nie żyje. Żona Eichmanna usiłowała uzyskać świadectwo zgonu, ale bez skutku, bo okazało się wówczas, że jedynym "naocznym świadkiem" śmierci jej męża jest jej szwagier. Została bez środków do życia, ale rodzina Eichmanna z Linzu utrzymywała ją i trójkę jej dzieci.

W listopadzie 1945 roku rozpoczęły się w Norymberdze procesy głównych zbrodniarzy wojennych, wówczas też z niepokojącą regularnością zaczęło się pojawiać nazwisko Eichmanna. W styczniu 1946 roku wystąpił jako świadek oskarżenia Wisliceny, składając obciążające Eichmanna zeznania, wówczas to Eichmann zdecydował, że lepiej będzie się ulotnić. Uciekł z obozu, w czym pomogli mu więźniowie, i udał się na Lieneburską Pustą, około 50 mil na południe od Hamburga, gdzie brat jednego z jego współtowarzyszy obozowych zatrudnił go jako drwala. Pod nazwiskiem Ottona Heningera przebywał tam przez cztery lata i przypuszczalnie śmiertelnie się nudził. Na początku 1950 roku udało mu się nawiązać kontakt z ODESSĄ, tajną organizacją byłych SS-manów, w maju zaś tegoż roku został przerzucony z Austrii do Włoch, gdzie pewien franciszkanin, który dobrze wiedział, z kim ma do czynienia, zaopatrzył go w paszport uchodźczy na nazwisko Richarda Klementa i wyekspediował do Buenos Aires. Do Argentyny przybył w połowie lipca i bez najmniejszych trudności uzyskał dokumenty tożsamości oraz pozwolenie na pracę jako Ricardo Klement, katolik, kawaler, bezpieczeństwa, lat 37 - o siedem mniej niż w rzeczywistości.

Nadal zachowywał ostrożność, ale napisał już własnoręcznie do żony, informując ją, że "wuj jej dzieci" żyje. Wykonywał różne dorywcze prace - ekspedienta, robotnika w pralni i na fermie króliczej - wszystkie kiepsko płatne, ale latem 1952 roku sprowadził żonę i dzieci. (Pani Eichmann uzyskała paszport niemiecki w Zurychu, mimo że przebywała wówczas w Austrii, wystawiony na jej prawdziwe nazwisko, jako "rozwiedziona" z niejakim Eichmannem. Jak do tego doszło, jest nadal tajemnicą, kartoteka zaś z jej podaniem zniknęła z konsulatu niemieckiego w Zurychu.) Po jej przybyciu do Argentyny Eichmann zdobył pierwszą stałą pracę - w fabryce Mercedesa-Ben-za w Suarez, na przedmieściach Buenos Aires, gdzie za-

trudniony był początkowo jako mechanik, a później jako brygadzysta; kiedy zaś urodził mu się czwarty syn, ponownie poślubił swą żonę, występując pod nazwiskiem Klement. Jest to jednak mało prawdopodobne, ponieważ noworodek został zarejestrowany jako Ricardo Francisco (przypuszczalnie w hołdzie dla franciszkanina) Klement Eichmann, a był to tylko jeden z licznych śladów pozostawionych z upływem lat przez Eichmanna, dotyczących jego prawdziwej tożsamości. Wydaje się wszakże, że Eichmann rzeczywiście powiedział swoim dzieciom, że jest bratem Adolfa Eichmanna, choć musiałyby one być raczej mało rozgarnięte, by w to uwierzyć, jako że dobrze znały swych dziadków i wujów w Linzu. Najstarszy syn, który miał 9 lat, kiedy ostatni raz widział ojca, powinien był w każdym razie rozpoznać go w siedem lat później w Argentynie. Na dodatek argentyńska karta tożsamości pani Eichmann nie została nigdy wymieniona (figurowało na niej nazwisko: Yeronika Liebl de Eichmann), a w nekrologach prasowych z roku 1959, po śmierci macochy Eichmanna, oraz z roku 1960, po śmierci jego ojca, nazwisko pani Eichmann znalazło się wśród żywych, co zaprzeczało wszelkim opowieściom o rozwodzie i drugim małżeństwie. Na początku 1960 roku - kilka miesięcy przed pojmaniem - Eichmann ukończył wraz ze starszymi synami budowę prymitywnego domu z cegieł na jednym z ubogich przedmieść Buenos Aires - brak było elektryczności i bieżącej wody-w którym zamieszkał z rodziną. Musieli być bardzo biedni, a życie Eichmanna musiało być koszmarem, którego nie mogły kompensować nawet dzieci, gdyż wykazywały "absolutny brak zainteresowania zdobyciem wykształcenia i nie próbowały nawet rozwijać swych rzekomych talentów".

Jedyną kompensatę stanowiły dla Eichmanna nie kończące się rozmowy z członkami licznej kolonii nazistowskiej, którym chętnie wyjawiał on swą tożsamość. Doprowadziło to ostatecznie do spotkania z dziennikarzem ho-

lenderskim Willemem S. Sassenem, byłym członkiem zbrojnych oddziałów SS, który podczas wojny zamienił obywatelstwo holenderskie na paszport niemiecki, później zaś został skazany zaocznie na śmierć w Belgii za zbrodnie wojenne. Przygotowując się do tego spotkania, Eichmann sporządził obszerne notatki; rozmowy zostały nagrane na taśmę, a następnie przeredagowane przez Sassena, który je znacznie upiększył. Notatki sporządzone własnoręcznie przez Eichmanna zostały odnalezione i dołączone w charakterze dowodu do materiałów procesowych, w odróżnieniu od wersji Sassena. Wersja ta ukazała się w formie skróconej najpierw w niemieckim magazynie ilustrowanym "Der Stern" (w lipcu 1960 roku), a następnie -w listopadzie i grudniu -w tygodniku "Life" jako seria artykułów. Sassen jednak-najwyraźniej za zgodą Eichmanna - zaproponował ten materiał korespondentowi "Time/Life" w Buenos Aires cztery lata wcześniej i nawet jeśli jest prawdą, że nazwisko Eichmanna zostało usunięte, zawartość nie mogła pozostawiać żadnych wątpliwości co do pierwotnego źródła informacji. Prawda polega na tym, że Eichmann wielokrotnie podejmował próby wyrwania się ze swej anonimowości, toteż musi raczej dziwić, że izraelskie tajne służby potrzebowały kilku lat - aż do sierpnia 1959 roku - by dowiedzieć się, że Adolf Eichmann mieszka w Argentynie pod nazwiskiem Ricardo Klement. Izrael nigdy nie ujawnił swych źródeł informacji, obecnie zaś co najmniej pół tuzina osób twierdzi, jakoby znalazły Eichmanna, natomiast "dobrze poinformowane koła" w Europie powtarzają z uporem, że to wywiad rosyjski przekazał tę wiadomość. Bez względu na stan faktyczny, zagadka nie polega na tym, jak udało się odkryć kryjówkę Eichmanna, tylko raczej na tym, jak udało się nie odkryć jej wcześniej - pod warunkiem, rzecz jasna, że Izraelczycy istotnie prowadzili latami swoje poszukiwania. To zaś - w świetle faktów - wydaje się wątpliwe.

Żadnych wątpliwości nie nasuwa wszakże tożsamość sprawców ujęcia. Wszelkim spekulacjom na temat prywatnych "mścicieli" zaprzeczył na samym początku sam Ben Gurion, który 23 maja 1960 roku oznajmił szalejącemu z radości Knessetowi, że Eichmann został "odnaleziony przez tajne służby Izraela". Dr Servatius, próbując -•usilnie i bez powodzenia powołać na świadków zarówno przed sądem okręgowym, jak i apelacyjnym Zvi Tohara, głównego pilota samolotu E1-A1, którym przewieziono Eichmanna do Izraela oraz Yad Shimoniego, przedstawiciela tejże linii lotniczej w Argentynie - przypomniał owo oświadczenie Ben Guriona; prokurator generalny odpowiedział replikując, że premier "stwierdził tylko tyle, iż Eichmann został odszukany przez służby tajne", nie przyznał jednak, że został on również porwany przez agentów rządowych. Cóż, w rzeczywistości było chyba na odwrót: pracownicy tajnych służb nie "znaleźli" go, tylko go zgarnęli, przeprowadzwszy najpierw kilka wstępnych sprawdzianów, które pozwoliły im nabrać pewności, że otrzymane przez nich informacje były prawdziwe. Ale nawet tego nie wykonano z wielką wprawą, bo Eichmann dobrze wiedział, że jest śledzony: "Powiedziałem to już, chyba kilka miesięcy temu, gdy zapytano mnie, czy wiedziałem, że mnie odszukano, przedstawiłem także dokładnie powody [mianowicie w tych fragmentach zeznań złożonych podczas śledztwa, które nie zostały udostępnione prasie], dla których tak uważałem [...]. Dowiedziałem się, że pewni ludzie wypytywali w miejscu mego zamieszkania o możliwość nabycia nieruchomości itd., itp. w celu założenia fabryki maszyn do szycia - było to całkiem niemożliwe, gdyż nie było tam elektryczności ani wody. Poinformowano mnie także, że ludźmi tymi byli Żydzi z Ameryki Północnej. Mogłem bez trudu się ulotnić, ale nie uczyniłem tego. Żyłem tak samo jak dotąd, zdając się na bieg wydarzeń. Z moimi dokumentami i referencjami mogłem bez żadnych trudności znaleźć zatrudnienie. Ale nie chciałem".

Dowodów na to, że pragnął on znaleźć się w Izraelu i stanąć tam przed sądem, było więcej niż ich ujawniono w Jeruzolimie. Adwokat Eichmanna musiał naturalnie podkreślić fakt, że koniec końców jego klient został porwany i "sprowadzony do Izraela w sprzeczności z zasadami prawa międzynarodowego", gdyż umożliwiło to obronie zakwestionowanie prawa sądu do ścigania oskarżonego i choć ani oskarżyciele, ani sędziowie nie przyznali nigdy, że porwanie było "aktem państwowym", to równocześnie nigdy temu nie zaprzeczyli. Argumentowali w ten sposób, że pogwałcenie prawa międzynarodowego odnosiło się jedynie do Argentyny i Izraela, a nie do praw pod-sądnych. Pogwałcenie owo zostało "naprawione" we wspólnym oświadczeniu obu rządów, wydanym 3 sierpnia 1960 roku i stwierdzającym, że "postanowiły one uznać za załatwiony incydent wywołany w następstwie działania obywateli izraelskich, stanowiącego pogwałcenie podstawowych praw państwa argentyńskiego". Sąd doszedł do wniosku, że nie miało znaczenia, czy owi Izraelczycy działali na zlecenie rządu czy też jako osoby prywatne. Obrona ani sąd nie wspomniały jednak o tym, że Argentyna nie zrezygnowałaby tak usłużnie ze swych praw, gdyby Eichmann był obywatelem argentyńskim. Żył on tam pod przybranym nazwiskiem, a zatem pozbawił się prawa do ochrony rządowej, w każdym razie jako Ricardo Klement (urodzony 23 maja 1913 w Bolzano, w południowym Tyrolu, jak stwierdzała jego argentyńska karta tożsamości), mimo że określił się jako osoba "narodowości niemieckiej". Nigdy też nie wystąpił o wątpliwe prawo azylu - co z pewnością niewiele by mu pomogło - gdyż Argentyna, jakkolwiek w istocie przyznała azyl wielu znanym zbrodniarzom nazistowskim, przystąpiła jednak do konwencji międzynarodowej, stwierdzającej, że sprawcom zbrodni przeciwko ludzkości "nie przysługuje miano przestępców politycznych". Wszystko to nie czyniło Eichmanna bezpaństwowcem, nie pozbawiało go w sensie praw-

nym obywatelstwa niemieckiego, dostarczało jednak Republice Federalnej Niemiec dogodnego pretekstu do uchylecia się od ochrony przysługującej normalnie jej obywatelom za granicą. Innymi słowy, pomimo wielu stronic prawniczych wywodów, opartych na tyłu precedensach, że w końcu odnosiło się wrażenie, iż jednym z najczęstszych sposobów dokonania aresztowania jest porwanie, nic innego jak tylko faktyczna bezpaństwowość Eichman-na pozwoliła postawić go przed sądem jerozolimskim. Choć Eichmann nie był ekspertem w dziedzinie prawa, powinien był to dostrzec, wiedział bowiem z własnego doświadczenia zawodowego, że robić, co się komu żywnie podoba, można tylko z bezpaństwowcami - Żydów trzeba było najpierw pozbawić obywatelstwa, dopiero potem można ich było wymordować. A jeśli nie miał wcale ochoty zastanawiać się nad takimi subtelnościami - gdyż było fikcją, że na swój proces przybył do Izraela dobrowolnie -to stworzył mniej trudności niż ktokolwiek przewidywał. Właściwie żadnych.

Dnia 11 maja 1960 roku, o godzinie 18.30, Eichmann wyskoczył jak co dzień z autobusu, którym wracał z pracy; wówczas to został schwytyany przez trzech mężczyzn, w niecałą minutę wtłoczony do czekającego auta, które zawiozło go do wcześniej wynajętego domu na odległym przedmieściu Buenos Aires. Nie skorzystano z narkotyków, sznura ani kajdanek. Eichmann zorientował się natychmiast, że ma do czynienia z zawodowcami, jako że nie zastosowano wobec niego żadnej zbędnej przemocy - nie doznał najmniejszego szwanku. Na pytanie, kim jest, odpowiedział błyskawicznie: Ich bin Adolf Eichmann, dodając niespodzianie: "Wiem, że znajduję się w rękach Izra-elczyków". (Wyjaśnił później, że przeczytał w jakiejś gazecie, iż Ben Gurion wydał rozkaz, by go odnaleźć i schwytać.) W ciągu ośmiu dni, przez które Izraelczycy oczekiwali na samolot linii E1-A1, mający zawieźć ich wraz z więźniem do Izraela, Eichmann pozostawał przywiązany do

łóżka, co stanowiło jedyny aspekt całej sprawy, na który się uskarżał, drugiego zaś dnia swej niewoli został poproszony o stwierdzenie na piśmie, że nie ma nic przeciwko temu, by sądził go sąd izraelski. Oświadczenie takie było już, rzecz jasna, przygotowane, on miał je tylko podpisać. Jednakże, ku zaskoczeniu wszystkich, nalegał, że napisze własny tekst, w którym -jak można wywnioskować z następnych linijek - wykorzystał prawdopodobnie pierwsze zdanie przygotowanego oświadczenia: „Ja, niżej podpisany Adolf Eichmann, oświadczam niniejszym z własnej i nieprzymuszonej woli, że ponieważ ujawniona została moja prawdziwa tożsamość, rozumiem całkowicie, że nie mają już sensu dalsze próby uniknięcia kary. Niniejszym wyrażam więc gotowość udania się do Izraela i stanięcia przed prawomocnym trybunałem sądowym. Jest rzeczą oczywistą i zrozumiałą, że otrzymam pomoc prawną [do tego miejsca powtarzał prawdopodobnie tekst oryginalny] i że spróbuję spisać fakty dotyczące ostatnich lat mojej działalności publicznej na terenie Niemiec, bez żadnych upiększeń, po to, by przyszłe pokolenia miały prawdziwy obraz wydarzeń. Deklarację tę sporządzam z własnej, nieprzymuszonej woli, a nie w związku z otrzymanymi obietnicami, ani nie z powodu gróźb. Pragnę się w końcu pojednać z samym sobą. Ponieważ mogę nie pamiętać wszystkich szczegółów i mieszać fakty, proszę o udzielenie mi pomocy w formie oddania do dyspozycji dokumentów i zeznań świadków, które pomogłyby mi w mych usiłowaniach ustalenia prawdy". Podpisano: "Adolf Eichmann, Buenos Aires, w maju 1960 roku". (Dokument ten, choć niewątpliwie autentyczny, pod jednym względem jest osobliwy: brak na nim dziennej daty podpisania. Brak ów rodzi podejrzenie, że list napisany został nie w Argentynie, tylko w Jeruzolimie, dokąd Eichmann przybył 22 maja. List ten mniej był potrzebny na procesie, choć oskarżenie nie omieszkalo dołączyć go do dowodów, nie nadając mu jednak istotnego znaczenia, bardziej zaś do przeka-

zanej rządowi Argentyny pierwszej oficjalnej noty wyjaśniającej Izraela, do której też został natychmiast załączony. Servatius, zadając Eichmannowi w sądzie pytanie na temat tego listu, nie wspomniał o owym osobliwym datowaniu, sam Eichmann zaś również nie bardzo mógł o tym wspomnieć, ponieważ, indagowany przez swego adwokata, potwierdził - acz z niejakim ociąganiem - że złożył to oświadczenie pod presją, będąc przywiązany do łóżka na przedmieściu Buenos Aires. Oskarżyciel, który był przecież dobrze zorientowany, nie przesłuchiwał go szczegółowo w tej kwestii, kierując się najwyraźniej przekonaniem, że im mniej się powie na ten temat, tym lepiej.) Pani Eichmann powiadomiła policję argentyńską o zaginięciu męża, nie ujawniając wszakże jego prawdziwej tożsamości, toteż nie zarządzono kontroli stacji kolejowych, szos i lotnisk. Izraelczycy mieli szczęście, bo nigdy nie udałoby im się wyciągnąć Eichmanna z Argentyny w dziesięć dni po jego pojmaniu, gdyby policja została należycie zaalarmowana.

Eichmann w dwojaki sposób uzasadnił swą zdumiewającą współpracę z władzami sądowymi. W Argentynie - wiele lat przed ujęciem - napisał, że anonimowość ogromnie go męczy, im więcej zaś czytał na swój temat, tym większe go musiało ogarniać zmęczenie. Drugie uzasadnienie, które podał w Izraelu, brzmiało bardziej dramatycznie: "Mniej więcej półtora roku temu [tj. wiosną 1959 roku], dowiedziałem się od pewnego znajomego, który właśnie powrócił z podróży do Niemiec, że część młodzieży niemieckiej ogarnęło jakieś poczucie winy [...]. Fakt istnienia tego kompleksu winy był dla mnie tak samo ważnym punktem zwrotnym, jak, powiedzmy, lądowanie na Księżycu pierwszej rakiety z człowiekiem na pokładzie. Stał się on centralnym punktem mego życia wewnętrznego, osią, wokół której krystalizowały się liczne przemyślenia. To dlatego nie uciekłem [...], kiedy zorientowałem się, że tajniacy depczą mi po piętach. [...] Po odbyciu owych

rozmów na temat poczucia winy u młodych ludzi w Niemczech, które wywarły na mnie tak głębokie wrażenie, sądziłem, że nie mam już prawa zniknąć bez śladu. Dlatego też zaproponowałem, w formie oświadczenia na piśmie, na początku obecnego śledztwa [...], że się publicznie powieszę. Chciałem przyczynić się w ten sposób do zdjęcia brzemienia winy z młodzieży niemieckiej, bo ci młodzi ludzie są przecież niewinni i nie ponoszą odpowiedzialności za bieg wydarzeń ani za czyny swych ojców z lat ostatniej wojny" - którą, nawiasem mówiąc, określał jednak winnym kontekście jako "wojnę narzuconą Rzeszy Niemieckiej". Była to, ma się rozumieć, czcza gadanina. Cóż stało na przeszkodzie, żeby wrócił do Niemiec i dobrowolnie oddał się w ręce sprawiedliwości? Zadano mu to pytanie, na które odpowiedział, że jego zdaniem sądom niemieckim wciąż brakowało "obiektywizmu" niezbędnego w zajmowaniu się ludźmi takimi jak on. Gdyby jednak wolał stanąć przed sądem izraelskim - co poniekąd wynikało z jego wypowiedzi, a było po prostu niemożliwe - mógł był zaoszczędzić władzom izraelskim mnóstwa czasu i kłopotów. Wiedzieliśmy wcześniej, że przemawiając w ten sposób, Eichmann doznawał swoistego uczucia zachwyty, i istotnie zachował dzięki temu dobry nastrój przez cały czas swego pobytu w izraelskim więzieniu. Pozwoliło mu to nawet myśleć z dużym spokojem o własnej śmierci: "Wiem, że czeka mnie kara śmierci" oświadczył na początku śledztwa.

W owej czezej gadaninie tkwiło ziarno prawdy, która wyłoniła się całkiem wyraźnie, gdy stanęło przed nim zagadnienie wyboru własnego obrońcy. Rząd izraelski postanowił - z oczywistych przyczyn - dopuścić adwokata zagranicznego. 14 lipca 1960 roku, w sześć tygodni po rozpoczęciu śledztwa, za wyraźną zgodą Eichmanna poinformowano go, że

przygotowując się do obrony, może wybrać sobie adwokata spośród trzech osób: doktora Roberta Sewatiusa, którego poleciła mu własna rodzina (Serva-

313

312

tius zaoferował swoje usługi w zamiejscowej rozmowie telefonicznej z przyrodnim bratem Eichmanna z Linzu), innego adwokata niemieckiego przebywającego obecnie w Chile oraz przedstawiciela amerykańskiej firmy prawniczej z Nowego Jorku, która skontaktowała się z władzami sądowymi. (Do wiadomości publicznej podano tylko nazwisko doktora Servatiusa.) Istniały oczywiście również inne możliwości, nad którymi Eichmann miał prawo się zastanowić, powtarzano mu też wielokrotnie, żeby nie spieszył się z decyzją. Postąpił całkiem inaczej, oświadczając bez żadnego namysłu, że chciałby pozostać przy doktorze Servatiusie, ponieważ jest on chyba znajomym jego przyrodniego brata, a także występował jako obrońca innych zbrodniarzy wojennych - nalegał, że podpisze natychmiast niezbędne dokumenty. W pół godziny później przyszło mu do głowy, że proces może przybrać "rozmiary globalne", że może stać się "upiorny", że oskarżenie dysponuje kilkoma prokuratorami, a sam Servatius nie będzie w stanie "przetrawić całości materiału". Przypomniano mu, że Servatius, w liście zawierającym prośbę o przyznanie mu pełnomocnictw obrońcy, stwierdził, iż "przewodniczył wielokrotnie zespołowi adwokatów" (tak nigdy nie było), a oficer śledczy dodał: "Należy przypuszczać, że dr Servatius nie będzie działał sam. Byłoby to fizyczną niemożliwością". Okazało się jednak, że przez zdecydowaną większość czasu dr Servatius występował zwykle w pojedynkę. Skutek tego wszystkiego był taki, że Eichmann został głównym pomocnikiem własnego obrońcy i - zupełnie niezależnie od pisania książki "dla przyszłych pokoleń" - bardzo ciężko pracował w ciągu całego procesu.

29 czerwca 1961 roku, w dziesięć tygodni po otwarciu, w dniu 11 kwietnia, procesu, zakończyło się wstępne wystąpienie oskarżyciela i do prezentacji stanowiska obrony przystąpił dr Servatius; 14 sierpnia, po stu czternastu

posiedzeniach sądu, zasadniczy tok postępowania dobiegł końca. Sąd zarządził wówczas przerwę na okres czterech miesięcy i zebrał się ponownie 14 grudnia, by wydać orzeczenie. Przez dwa dni, podzielone na pięć posiedzeń, trzej sędziowie odczytywali orzeczenie złożone z 244 paragrafów. Uznali go winnym wszystkich 15 zarzuconych mu przestępstw, choć oczyścili go z kilku drobnych zarzutów. "Współdziałając z innymi osobami", popełnił on zbrodnie "przeciwko narodowi żydowskiemu", to znaczy zbrodnie przeciwko Żydom wzamiarze zagłady n a r o-d u, przez to, że: 1) "spowodował śmierć milionów Żydów", 2) umieścił "miliony Żydów w warunkach mogących doprowadzić do ich fizycznego unicestwienia", 3) "wyrządził im wielkie szkody cielesne i psychiczne" oraz 4) "wydał zakaz rodzenia dzieci i nakaz przerywania ciąży dotyczący kobiet żydowskich" w Terezynie. Sąd oczyścił go jednak z wszelkich zarzutów obejmujących okres do sierpnia 1941 roku, kiedy to został poinformowany o rozkazie fiihrera; podczas swej wcześniejszej działalności w Berlinie, Wiedniu i Pradze nie kierował się zamiarem "unicestwienia narodu żydowskiego". Tak brzmiały cztery pierwsze zarzuty zawarte w akcie oskarżenia. Zarzuty od piątego do dwunastego dotyczyły "zbrodni przeciwko ludzkości" - pojęcia osobliwie rozumianego przez prawo izraelskie, jako że obejmuje ono zarówno ludobójstwo, jakiego dopuszczono się na narodach nieżydowskich (na przykład na Cyganach bądź Polakach), jak i wszelkie inne zbrodnie, w tym mordy popełnione na Żydach bądź nie-Zydach, o ile zbrodni tych nie popełniono z zamiarem unicestwienia narodu w całości. Wszystko zatem, co zrobił Eichmann w okresie przed rozkazem fiihrera, a także wszystkie jego czyny wymierzone w nie-Zydów,

wrzucano do jednego worka jako zbrodnie przeciwko ludzkości, do których powtórnie dodano wszystkie jego późniejsze zbrodnie popełnione na Żydach, gdyż stanowiły one również przestępstwa pospolite. W rezultacie, zarzut nr 5

314

315

obciążał go odpowiedzialnością za te same zbrodnie, które wyliczono w zarzutach nr 1 i 2, a zarzut nr 6 oskarżał go o "prześladowanie Żydów z powodów rasowych, religijnych i politycznych"; zarzut nr 7 dotyczył "zagrabienia majątku [...] połączonego z zamordowaniem [...] jego żydowskich właścicieli", a zarzut nr 8 raz jeszcze określał wszystkie te czyny sumarycznym mianem "zbrodni wojennych", ponieważ przeważająca ich większość popełniona została podczas wojny. Zarzuty nr 9-12 dotyczyły zbrodni przeciwko nie-Zydom: zarzut nr 9 oskarżał go o "wypędzenie [...] setek tysięcy Polaków z ich stron rodzinnych", zarzut nr 10 o "wypędzenie 14 tysięcy Słoweńców" z Jugosławii, zarzut nr 11 o deportację "dziesiątków tysięcy Cyganów" do Oświęcimia. W orzeczeniu czytamy jednak, że "sądowi nie przedstawiono dowodów na to, iż oskarżony wiedział, że transporty Cyganów przeznaczone były do likwidacji" - oznaczało to, że z wyjątkiem "zbrodni przeciwko narodowi żydowskiemu" nie wysunięto przeciwko niemu zarzutu ludobójstwa. Trudno to zrozumieć, bo - niezależnie od faktu, że o eksterminacji Cyganów wiedziano powszechnie - sam Eichmann przyznał podczas śledztwa, że o niej wiedział: przypominał sobie mgliście, iż istniał w tej sprawie rozkaz Himmlera, choć w stosunku do Cyganów nie było żadnych "wytycznych", podobnych do tych, jakie istniały w odniesieniu do Żydów, a także, iż w związku z "problemem cygańskim" nie prowadzono żadnych "studiów" na temat ich "pochodzenia, zwyczajów, obyczajowości, organizacji, [...] folkloru, [...] ekonomiki". Wydziałowi Eichmanna wydano polecenie zorganizowania "ewakuacji" 30 tysięcy Cyganów przebywających na terytorium Rzeszy, ale szczegóły pamiętał słabo, bo znikąd nie było żadnych interwencji. Nie miał on jednak najmniejszych wątpliwości, że Cyganów - tak samo jak Żydów - posyłano na zagładę. Za ich eksterminację ponosił winę dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej winien był eksterminacji Żydów. Zarzut nr

12 dotyczył deportacji 93 dzieci z czeskiej wsi Lidice, której mieszkańców wymordowano po zamachu na Heydri-cha, ale Eichmanna słusznie uwolniono od odpowiedzialności za śmierć tych dzieci. Ostatnie trzy zarzuty dotyczyły członkostwa Eichmanna w trzech spośród czterech organizacji uznanych przez Trybunał Norymberski za "przestępcze": SS, Służbie Bezpieczeństwa (SD) i Tajnej Policji Państwowej, czyli Gestapo. (O czwartej organizacji - korpusie przywódców Partii Narodowosocjalistycznej - nie wspomniano, gdyż Eichmann z pewnością nie należał do przywódców partyjnych.) Jego członkostwo w tych organizacjach w okresie przed majem 1941 roku podlegało zasadzie przedawnienia (20 lat) drobniejszych przestępstw. (Ustawa z roku 1950, na podstawie której sądzony był Eichmann, stanowi, że nie ma przedawnienia dla przestępstw poważniejszych, jak też nie może tu obowiązywać zasada res judicata: dana osoba może być sądzona w Izraelu "nawet gdyby wcześniej została już osądzona poza jego granicami, przez trybunał międzynarodowy bądź trybunał obcego państwa, za to samo przestępstwo".) Za wszystkie zbrodnie wyliczone w zarzutach nr 1-12 groziła kara śmierci.

Należy pamiętać, że Eichmann utrzymywał z uporem, że ponosi winę jedynie za "współudział" w przygotowaniu zbrodni, o które go oskarżono, sam zaś nigdy nie dopuścił się żadnej z nich. Z wielką ulgą stwierdzamy, że w orzeczeniu przyznano, iż oskarżyciele nie zdołali mu dowieść, że w tej kwestii się mylił. Była to bowiem kwestia o zasadniczym

znaczeniu: dotykała ona samej istoty tej zbrodni, nie będącej bynajmniej pospolitą, oraz najgłębszej natury owego zbrodniarza, nie będącego bynajmniej zwykłym przestępcą. Przez implikację wynikało stąd także przyjęcie do wiadomości owego niesamowitego faktu, że w obozach śmierci "narzędzia zagłady" znajdowały się zwykle w rękach samych więźniów i ofiar. Dotyczące tej kwestii sformułowania, jakie odnajdujemy w orzecze-

316

317

niu, są więcej niż poprawne - zawierają prawdę: "Określając działalność oskarżonego w kategoriach XXIII Rozdziału naszego kodeksu karnego, należy stwierdzić, że wyczerpuje ona znamiona przestępstwa, jakiego dopuszcza się osoba namawiająca poprzez udzielanie innym rady lub wsparcia i stwarzająca innym możliwość lub udzielająca pomocy w popełnieniu czynu (przestępczego)". Jednakże "w wypadku przestępstwa na tak wielką skalę i o tak skomplikowanym charakterze, w którym uczestniczyło wielu ludzi, wykonujących różne i w różny sposób swoje funkcje -chodzi tu o osoby planujące, organizujące, a także popełniające owe czyny, stosownie do zajmowanego przez siebie szeregu - mija się właściwie z celem użycie zwykłych pojęć doradzania i namawiania do popełnienia przestępstwa. Albowiem te przestępstwa popełnione zostały w skali masowej, nie tylko jeśli chodzi o liczbę ofiar, lecz także jeśli chodzi o liczbę ich sprawców, tak że stopień, w jakim którykolwiek z licznych przestępców był lub nie był rzeczywistym zabójcą, nie ma żadnego znaczenia o tyle, o ile nie wpływa on na rozmiary ponoszonej odpowiedzialności. Przeciwnie, ogólnie biorąc, stopień odpowiedzialności wzrasta, w miarę jak oddalamy się od człowieka własnoręcznie wykorzystującego narzędzia zagłady" [moje podkreślenie - H. A.].

Czynności po odczytaniu orzeczenia miały przebieg rutynowy. Raz jeszcze powstał oskarżyciel, by wygłosić dość rozwlekłą mowę zawierającą żądanie kary śmierci, która - w braku okoliczności łagodzących - była obligatoryjna, natomiast dr Servatius wygłosił jeszcze krótszą niż zwykle replikę: oskarżony wykonywał "akty państwowe", a to, co przydarzyło się jemu, może się w przyszłości przydarzyć każdemu, cały cywilizowany świat stanął w obliczu tego problemu. Eichmann był "kozłem ofiarnym", którego obecny rząd niemiecki wydał na pastwę sądowi w Jerozolimie -w sprzeczności z prawem międzynarodowym

- aby uwolnić się od odpowiedzialności. Kompetencje sądu, których dr Sewatius nigdy nie uznał, można było interpretować tylko w takim sensie, że sądził on oskarżonego "zastępczo, reprezentując niejako prawomocny sąd niemiecki", i tak też pewien prokurator niemiecki sformułował faktyczne zadanie sądu jerozolimskiego. Dr Servatius dowodził wcześniej, że sąd powinien uniewinnić oskarżonego, gdyż zgodnie z obowiązującymi w Argentynie zasadami przedawnienia, termin sądowego ścigania go wygasł w dniu 5 maja 1960 roku, "tuż przed porwaniem", teraz zaś dr Servatius dowodził na tej samej zasadzie, że Eichmannowi nie można wymierzyć kary śmierci, bo została ona bezwarunkowo zniesiona w Niemczech.

Następnie ostatnie słowo wygłosił Eichmann: jego nadzieje na sprawiedliwe potraktowanie zostały zawiedzione; sąd nie dał mu wiary, mimo że zawsze starał się, najlepiej jak umiał, mówić prawdę. Sąd go nie zrozumiał: nigdy nie był żydożercą, nigdy też nie pragnął śmierci istot ludzkich. Jego wina brała się stąd, że był posłuszny, a posłuszeństwo cenił się przecież jako zaletę. Zalety, jakie posiadał, zostały nadużyte przez przywódców nazistowskich. Nie należał wszakże do kliki rządzącej, padł jej ofiarą, i to jedynie przywódcom należy się kara. (Nie posunął się tak daleko, jak uczyniło to wielu innych zbrodniarzy wojennych niskiego szeregu, którzy uważali się, iż mówiono im zawsze, by się

nie przejmowali "odpowiedzialnością", a teraz nie mogą zażądać od autorów tych słów wytłumaczenia się, bo "uciekli i ich porzucili", odbierając sobie w różny sposób życie.) "Nie jestem potworem, jakiego ze mnie uczyniono", powiedział Eichmann. "Padłem ofiarą oszustwa". Nie użył słów "koziół ofiarny", lecz potwierdził słowa Servatiusa: "był głęboko przekonany, że musi cierpieć za czyny popełnione przez innych". Po upływie dwóch kolejnych dni, w piątek 15 grudnia 1961 roku, o 9 rano sąd ogłosił wyrok śmierci.

319

318

W trzy miesiące później, 22 marca 1962 roku, przed sądem apelacyjnym - był nim izraelski Sąd Najwyższy - rozpoczęło się postępowanie rewizyjne. Pięciu sędziom wchodzącym w skład zespołu orzekającego przewodniczył Icchak Olshan. Oskarżenie reprezentował ponownie pan Hausner w asyście czterech pomocników, obronę - dr Sewatius, któremu nie towarzyszył nikt. obrońca powtórzył wszystkie dawne argumenty podważające kompetencje sądu izraelskiego, a ponieważ wszelkie wysiłki doktora Servatiusa, by nakłonić władze zachodniemieckie do wszczęcia procedury ekstradycyjnej, spелzły na niczym - zażądał teraz, by to Izrael wystąpił z propozycją ekstradycji. Przedstawił także nową listę świadków, nie znajdował się jednak na niej nikt, kto mógłby złożyć zeznania zawierające jakiegokolwiek "nowe dowody". Na liście tej znalazł się dr Hans Globke, którego Eichmann nie widział nigdy w życiu i o którym po raz pierwszy usłyszał przypuszczalnie dopiero w Jeruzolimie. Co dziwniejsze, lista zawierała także nazwisko Chaima Weizmana, nieżyjącego od dziesięciu już lat. Wniosek rewizyjny obrony roił się od błędów (w jednym wypadku obrona przedstawiła w charakterze nowego dowodu francuski przekład dokumentu dostarczonego uprzednio przez oskarżenie, w dwu innych dokonała po prostu błędnej interpretacji dokumentów itd.); panujący w nim bałagan kontrastował ostro z dość starannym wprowadzaniem sformułowań, które musiały być obraźliwe dla sądu: gazowanie stało się znowu "kwestią medyczną", sąd żydowski nie miał prawa wydawać wyroku w sprawie dzieci z Lidie, bo nie były to dzieci żydowskie. Izraelska procedura prawna różniła się od procedury obowiązującej w Europie - Eichmann zaś, z racji swojego pochodzenia, miał do niej prawo - tym, że wymagała od podsądnego, by dostarczył on obronie materiału dowodowego, tego zaś oskarżony nie był w stanie uczynić, ponieważ zarówno świadkowie, jak dokumenty obrony były w Izraelu nieosiągalne.

galne. Słowem, proces był sprzeczny z prawem, a wyrok niesprawiedliwy.

Postępowanie przed sądem apelacyjnym trwało tylko tydzień, po czym zarządono przerwę na okres dwóch miesięcy. 29 maja 1962 roku odczytano drugie orzeczenie, nieco mniej obszerne, ale i tak liczące 51 stron gęstego tekstu. Pozornie potwierdzało ono w całej rozciągłości orzeczenie Sądu Okręgowego, lecz po to, by dokonać takiego potwierdzenia, nie potrzeba było aż dwóch miesięcy i 51 stron tekstu. Orzeczenie sądu apelacyjnego było w istocie rewizją orzeczenia sądu niższej instancji, choć otwarcie o tym nie wspominało. W wyraźnym kontraście z orzeczeniem pierwotnym stwierdzono teraz, że "podsądny nie otrzymywał żadnych »rozkazów odgórnych«. Był swym własnym przełożonym i sam wydawał wszelkie rozkazy w sprawach dotyczących Żydów". Co więcej, "przyćmiewał pod względem znaczenia wszystkich swych przełożonych, włącznie z Miillerem". Odpowiadając zaś na oczywisty argument obrony, że los Żydów nie byłby wcale lepszy, gdyby Eichmann nie istniał, sędziowie stwierdzili, że "koncepcja Ostatecznego Rozwiązania nigdy nie przybrałaby piekielnej formy obdzierania żywcem ze skóry i torturowania milionów Żydów, gdyby nie fanatyczny zapał i nienasycona żądza krwi podsądnego i jego współników".

Izraelski Sąd Najwyższy nie tylko zaakceptował argumenty oskarżycieli, ale przyjął także ich język.

Tegoż dnia, 29 maja, prezydent Izraela, Icchak Ben Cwi, otrzymał wniesioną przez Eichmanna prośbę o ułaskawienie: cztery ręcznie pisane stronice, sporządzone "w oparciu o wskazówki adwokata", a także listy od jego żony i rodziny w Linzu. Do prezydenta napłynęły także setki listów i telegramów z całego świata, zawierające prośbę o ułaskawienie. Wśród nadawców znajdowała się Centralna Konferencja Rabinów Amerykańskich zrzeszająca przedstawicieli judaizmu reformowanego oraz grupa profesorów Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie,

320

321

pod przewodnictwem Martina Bubera, który od początku sprzeciwiał się procesowi, a teraz usiłował nakłonić Ben Guriona, by interweniował na rzecz ułaskawienia. Pan Ben Gwi odrzucił wszystkie prośby o łaskę 31 maja, w dwa dni po wydaniu orzeczenia Sądu Najwyższego, w kilka zaś godzin później tego samego dnia - w czwartek - tuż przed północą Eichmanna stracono przez powieszenie jego ciało zostało spalone, a prochy rozrzucono w Morzu Śródziemnym poza wodami terytorialnymi Izraela.

Szybkość, z jaką wykonano wyrok śmierci, była niesamowita, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że noc czwartkowa stanowiła ostatnią ewentualność przed nadchodzącym poniedziałkiem, ponieważ w piątek, sobotę i niedzielę przypadają święta religijne poszczególnych trzech grup wyznaniowych w Izraelu. Egzekucję wykonano w niecałe dwie godziny po powiadomieniu Eichmanna, że jego prośba o ułaskawienie została odrzucona; nie miał nawet czasu na ostatni posilek. Wyjaśnienia mogą dostarczyć dwie podjęte przez doktora Servatiusa w ostatniej chwili próby uratowania jego klienta: wystąpienie do sądu w Republice Federalnej Niemiec celem zmuszenia rządu do zażądania - pomimo wszystko - ekstradycji Eichmanna oraz groźba powołania się na Artykuł 25 Konwencji o Ochronie Praw Ludzkich i Swobód Podstawowych. Ten ostatni krok skazany był z góry na niepowodzenie, gdyż Izrael nie przystąpił do tej konwencji, ustanowionej w Rzymie w roku 1953 pod auspicjami Komisji Praw Człowieka przy Radzie Europejskiej. (Niemcy Zachodnie, a także wszystkie pozostałe kraje zachodnioeuropejskie - z wyjątkiem Francji - podpisały Konwencję Rzymską.) Doktora Servatiusa ani jego asystenta nie było w Izraelu w chwili odrzucenia prośby Eichmanna o ułaskawienie, a władze izraelskie pragnęły przypuszczalnie zamknąć całą sprawę, ciągnącą się od dwóch lat, zanim obrońca zdołałby złożyć podanie o wpuszczenie go do Izraela w dniu egzekucji.

Kary śmierci oczekiwano i nie było prawie nikogo, kto by ją kwestionował, sprawy przybrały jednak całkowicie odmienny obrót, gdy rozeszła się wiadomość o wykonaniu wyroku przez Izraelczyków. Protesty były krótkotrwałe, ale przybrały szeroki zasięg i wyrazili je ludzie cieszący się wpływami i prestiżem. Najczęstszym argumentem było to, że czyny Eichmanna przerastają możliwość wymierzenia kary przez ludzi i że nie ma sensu karać śmiercią za zbrodnie na tak dużą skalę. Było to oczywiście w pewnym sensie słuszne, z tym tylko, że nie można bynajmniej wyciągać z tego wniosku, iż morderca milionów ludzi winien uniknąć kary z tej akurat przyczyny. Na znacznie niższym szczeblu nazwano karę śmierci "pozbawioną wyobraźni", proponując jednocześnie nacechowane wielką wyobraźnią alternatywy: Eichmann "powinien był spędzić resztę życia na ciężkich robotach w pustynnych okolicach rzeki Negew, dopomagając swym znojem w odzyskaniu żydowskiej ojczyzny" - takiej kary nie przetrzymałby on przypuszczalnie dłużej niż dzień, nie mówiąc już o tym, że w

Izraelu pustyni na południu nie uważa się bynajmniej za kolonię karną. Propozycja utrzymana w stylu Madison Avenue polegała z kolei na tym, by Izrael wzniósł się na "wyżyny świętości", wykraczając poza "rozumiałość, prawne, polityczne, a nawet ludzkie względy" i "zgrupował wszystkich, którzy wzięli udział w ujęciu, procesie i wydaniu wyroku na publicznej ceremonii - w obecności Eichmanna w kajdanach, w asyście kamer telewizyjnych i mikrofonów radia - wręczenia tym osobom odznaczeń dla największych bohaterów naszego stulecia".

Martin Buber nazwał egzekucję "błędem o wymiarach historycznych", gdyż mogła "przyczynić się do wymazania winy odczuwanej przez wielu młodych ludzi w Niemczech". Argument ten dziwnie przypominał związane z tą sprawą pomysły samego Eichmanna, choć Buber prawie na pewno nie wiedział, że chciał się on publicznie powie-

322

323

sić, aby zdjąć brzemień winy z niemieckiej młodzieży. (Dziwne, że Buber - człowiek nie tylko wybitny, lecz także bardzo inteligentny, nie dostrzegł, jak nieautentyczne musi być owo poczucie winy, któremu nadaje się tak wielki rozgłos. To takie miłe - odczuwać winę, jeśli nie zrobiło się nic złego: jakież to szlachetne! Za to dość trudną i z pewnością przygnębiającą rzeczą jest wyznać winę i odpokutować. Młodzież niemiecka żyje wśród ludzi cieszących się autorytetem i pełniących funkcje publiczne, działających we wszystkich sferach życia społecznego, których wina jest istotnie wielka, a którzy nie odczuwają z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Moralną reakcją na taki stan rzeczy powinno być oburzenie, lecz oburzenie wiązałoby się ze sporym ryzykiem - nie w sensie fizycznego zagrożenia życia, ale na pewno w sensie przeszkody w zrobieniu kariery. Owi młodzi Niemcy i młode Niemki serwujący nam przy każdej okazji - w rodzaju wrzawy wywołanej przez Dziennik Anny Frank lub proces Eichmanna - histeryczne wybuchy uczuć winy, nie uginają się pod brzemieniem przeszłości i winy swych ojców, ale raczej usiłują uciec przed presją bardzo aktualnych i rzeczywistych problemów w tani sentymentalizm.) Profesor Buber posunął się do stwierdzenia, że Eichmann nie wywołuje w nim "wcale uczucia litości", litość bowiem "może on odczuwać jedynie wobec tych ludzi, których działanie zrozumie w swym sercu"; podkreślił przy tym to, co wiele lat wcześniej powiedział w Niemczech: że mianowicie "jedynie w formalnym sensie łączy go człowieczeństwo z tymi, którzy uczestniczyli" w działaniach Trzeciej Rzeszy. Zajęcie tak wyniosłej postawy było naturalnie luksusem, na który sędziowie Eichmanna nie mogli sobie pozwolić, jako że prawo zakłada właśnie istnienie wspólnej płaszczyzny człowieczeństwa łączącego nas z ludźmi, których oskarżamy, których sądzimy i na których wydajemy wyrok. O ile mi wiadomo, Buber jako jedyny z filozofów zabrał publicznie głos w sprawie egzekucji Eichmanna (na

krótko przed rozpoczęciem procesu radiu bazylejskiemu udzielił wywiadu na ten temat Karljaspers; wywiad ogłosiło później pismo "Der Monat". Jaspers opowiedział się za powołaniem trybunału międzynarodowego); sposób w jaki unikał on - na najwyższym możliwie poziomie - podjęcia problemu, jaki przedstawiał Eichmann i jego czyny, budził rozczarowanie.

Najsłabiej słychać było głos tych, którzy z zasady przeciwni byli karze śmierci, nie dopuszczając żadnych wyjątków. Ich argumenty musiałyby zachować swoją ważność, gdyż rzecznicy tego stanowiska nie potrzebowali wyliczać ich przy okazji tej konkretnej sprawy. Można było odnieść wrażenie - chyba słuszne - że uznali oni, iż w tym przypadku walka nie zapowiadała się zbyt obiecująco.

Adolf Eichmann szedł na szafot z wielką godnością. Poprosił o butelkę czerwonego wina i wypił połowę. Odmówił skorzystania z pomocy duchownego protestanckiego, wielbnego Williama Hulla, który zaproponował mu wspólną lekturę Biblii: miał przed sobą jeszcze tylko dwie godziny życia, nie chciał przeto "marnować czasu". Dystans 50 jardów dzielący jego celę od komory straceń przeszedł wyprostowany i spokojny, założywszy ręce do tyłu. Gdy strażnicy skrępowali mu przeguby i kolana, poprosił ich, by rozluźnili więzy, aby mógł stać prosto. "Nie trzeba" - oświadczył w chwili, gdy chciano mu założyć czarny kaptur na głowę. Zachowywał całkowite panowanie nad sobą, ba, więcej - był całkowicie sobą. Nic nie dowodzi tego lepiej niż groteskowa głupota ostatnich słów, jakie wypowiedział. Na początek oświadczył z emfazą, że jest Gottglubigerem, co w tradycyjnym żargonie nazistów miało oznaczać, iż nie jest chrześcijaninem i nie wierzy w życie pozagrobowe. A potem ciągnął dalej: "Niebawem, panowie, znów się spo t k a my. Taki już los wszystkich ludzi. Niech żyją Niemcy, niech żyje Argentyna, niech żyje Austria. Nigdy ich nie z apo m n ę". Stojąc w obliczu śmierci, sięgnął po frazesy z mów pogrzebowych.

325

324

Epilog

Na szafocie pamięć po raz ostatni spletała mu figła: wpadł w "zachwyt", zapominając, że to jego własny pogrzeb.

W ciągu owych ostatnich minut swego życia dokonał niejako podsumowania lekcji, jakiej udzieliła nam długa historia ludzkiej nikczemności - lekcji na temat zatrwającej i urągającej słowom i myślom banalności zła.

Proces jerozolimski cechowało tak wiele najrozmaitszych i bardzo skomplikowanych pod względem prawnym nieprawidłowości i odstępstw od normy, że usunęły one w cień - podobnie zresztą jak się to stało w zaskakująco szczupłej ilościowo literaturze poświęconej temu procesowi - centralne zagadnienia moralne, polityczne, a nawet prawne, jakie w związku z nim musiały powstać. Również samo państwo izraelskie, ustami premiera Ben Guriona wypowiadającego się jeszcze przed procesem, a także poprzez sposób, w jaki sformułował swoje zarzuty oskarżyciel - dodatkowo skomplikowało całą sprawę, wyliczając wiele celów, jakie proces miał osiągnąć, przewyższających znaczeniem prawo i procedurę sądową. Każdy proces ma na celu wymierzenie sprawiedliwości i nic więcej: nawet najwznioślejszy z wyższych celów - "wydanie świadectwa o systemie hitlerowskim, które sprostałoby próbie historii", w których to słowach ujął wyższe cele przyświecające procesom norymberskim oskarżyciel amerykański Robert G. Storey - może jedynie przeszkodzić w wypełnieniu zasadniczego zadania stojącego przed prawem, czyli w rozpatrzeniu zarzutów wysuniętych przeciwko oskarżonemu, wydaniu wyroku i wymierzeniu stosownej kary.

Orzeczenie, jakie wydano w sprawie Eichmanna, odpowiadało w swych dwóch pierwszych częściach wymogom owej koncepcji wyższego celu, czemu zresztą dano jasno wyraz zarówno na sali sądowej, jak i poza nią; nie mogło też być pod tym względem bardziej jednoznaczne i trafiające w sedno: wszelkim próbom poszerzenia ram pro-

327

cesu trzeba się było sprzeciwić, ponieważ sąd nie mógł "dopuszczać do tego, by ulec pokusie wkroczenia w obszary leżące poza sferą jego kompetencji. [...] Procedura sądowa rządzi się własnymi zasadami, sformułowanymi przez prawo i nie podlegającymi zmianom bez względu na przedmiot postępowania sądowego". Nadto, sąd nie mógł przekroczyć owych

granic, nie narażając się na ryzyko "poniesienia całkowitej klęski". Nie tylko bowiem nie posiada on "narzędzi niezbędnych w rozpatrywaniu kwestii o charakterze ogólnym", ale i jego autorytet nabiera wagi jedynie za sprawą owych ograniczeń. "Nikt nie dał nam prawa osądzania" spraw spoza dziedziny prawa i "nie należy przywiązywać do naszej opinii na ich temat większej wagi niż do opinii kogokolwiek, kto poświęcił się studiom i refleksji nad nimi". Odpowiedź zatem na najczęstsze pytanie zadawane w związku z procesem Eichmanna - „Jaki z tego będzie pożytek?” - może brzmieć wyłącznie: "Przyniesie on pożytek sprawiedliwości".

Zastrzeżenia wysuwane przeciwko procesowi były trojakiego rodzaju. Po pierwsze, wysunięto takie same zastrzeżenia, jak w wypadku procesów norymberskich: Eichmanna sądzono w oparciu o prawo działające wstecz i przed trybunałem strony zwycięskiej. Po drugie, pojawiły się zastrzeżenia dotyczące jedynie sądu jerozolimskiego, kwestionujące jego kompetencje bądź też czyniące mu zarzut z tego, iż nie wziął pod uwagę aktu porwania. Wreszcie zaś - co najistotniejsze - zakwestionowano sam zarzut wysunięty przeciwko Eichmannowi, zgodnie z którym popełnił on zbrodnię "przeciwko narodowi żydowskiemu", a nie "przeciwko ludzkości", a tym samym zakwestionowano zasadność ustawy, w oparciu o którą go sądzono. Obiekcja ta prowadziła do logicznego wniosku, że jedynym sądem właściwym do osądzenia zbrodni tego rodzaju jest trybunał międzynarodowy.

Odpowiedź sądu na obiekcje pierwszego rodzaju była prosta: procesy norymberskie potraktowano w jerozoli-

mie jako zachowujący ważność precedens, tym bardziej że działający w oparciu o ustawodawstwo lokalne sędziowie nie mogli przecież postąpić inaczej, bo Ustawa o karach dla nazistów i osób z nimi współpracujących z roku 1950 sama oparta jest na tym precedensie. "Owe regulacje prawne - wskazywali sędziowie - różnią się całkowicie od wszelkich innych regulacji, jakie spotykamy zwykle w kodeksach prawa karnego", powodem zaś owej różnicy jest charakter przestępstw, których regulacje te dotyczą. Fakt, że działają one wstecz - można by dodać - stanowi jedynie formalne, a nie substancjalne naruszenie zasady nullum crimen, nulla poena sine lege, ponieważ w sposób znaczący odnosi się ona jedynie do czynów znanych ustawodawcy; jeżeli pojawi się nagle zbrodnia przedtem nieznaną - na przykład ludobójstwo - wówczas sama sprawiedliwość domaga się, by ukarano ją na podstawie nowego prawa. W wypadku procesów norymberskich takim nowym prawem była tak zwana Karta (porozumienie londyńskie z roku 1945), w wypadku Izraela -ustawa z roku 1950. Problem nie polega na tym, czy prawa te działają wstecz - czego naturalnie nie dało się uniknąć - tylko na tym, czy są adekwatne, to znaczy - czy dotyczą jedynie przestępstw dotąd nie znanych. Owa wstępna zasada ustawodawstwa działającego wstecz doznała poważnego szwanku za sprawą Karty, w oparciu o którą powołano norymberski Międzynarodowy Trybunał Wojskowy, i może właśnie dlatego dyskusję na temat tych kwestii cechuje nadal pewien chaos myślowy.

Zgodnie z Kartą trybunał sprawował władzę sądową w odniesieniu do zbrodni trzech rodzajów: "przeciwko pokojowi", nazwanych "największą zbrodnią o charakterze międzynarodowym [...], ponieważ zawiera ona w sobie ogół nagromadzonego zła", "zbrodni wojennych" oraz "zbrodni przeciwko ludzkości". Tylko ten ostatni rodzaj zbrodni - zbrodnię przeciwko ludzkości - stanowił novum i nie miał precedensu. Wojny o charakterze zaczepnym

są równie stare, co utrwalona w przekazach historia, i choć wielokrotnie wcześniej nadawano im miano "zbrodniczych" - w sensie formalnym nigdy za takie nie zostały uznane. (Na niewiele zdadzą się tu wszelkie uzasadnienia jurysdykcji trybunału norymberskiego w tej kwestii. Prawdą jest, że Wilhelm II został postawiony przed trybunałem mocarstw sprzymierzonych po zakończeniu I wojny światowej, ale zbrodnią, o którą oskarżono byłego cesarza niemieckiego, nie była wojna, tylko pogwałcenie traktatów, a konkretnie pogwałcenie neutralności Belgii. Jest również prawdą, że pakt Brianda-Kellogga z sierpnia 1928 roku wykluczał wojnę jako narzędzie polityki państwowej, ale nie formułował on kryteriów agresji, ani nie wspominał o sankcjach - nie mówiąc już o tym, że system bezpieczeństwa, do którego stworzenia pakt ten miał doprowadzić, uległ załamaniu przed wybuchem wojny.) Nadto, przeciwko jednemu z krajów będących członkami trybunału - mianowicie Rosji radzieckiej - można było wysunąć argument tu quoque. Czyż Rosjanie nie zaatakowali Finlandii i nie dokonali podziału Polski w roku 1939, nie ponosząc za to najmniejszej kary? Z drugiej strony, o "zbrodniach wojennych" - z pewnością mających nie mniej precedensów niż "zbrodnie przeciwko pokojowi" - traktuje prawo międzynarodowe. Konwencje haska i genewska definiują je jako "pogwałcenie praw lub zwyczajów wojennych", polegające głównie na złym traktowaniu jeńców i prowadzeniu działań wojennych wymierzonych w ludność cywilną. Nie potrzeba tu było żadnych nowych praw działających wstecz, a główna trudność związana z procesami norymberskimi polegała na nie podlegającym dyskusji fakcie, że i w tym wypadku można było użyć argumentu tu quoque. Rosja, która nigdy nie podpisała konwencji haskiej (nawiasem mówiąc, nie ratyfikowały jej także Włochy), była bardzo poważnie podejrzana o złe obchodzenie się z jeńcami, natomiast na pytanie, kto zabił 15 000 polskich oficerów, których zwło-

ki znaleziono w lesie katyńskim (w okolicach Smoleńska) nie odpowiedziano nigdy w sposób zadowalający wszystkich.* Co gorsza, dywanowe bombardowanie otwartych miast, przede wszystkim zaś zrzućenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, stanowiło w rozumieniu konwencji haskiej ewidentne zbrodnie wojenne. O ile zaś bombardowanie miast niemieckich spowodowane zostało przez wroga - przez bombardowanie Londynu, Coventry i Rotterdamu - o tyle nie da się tego samego powiedzieć o użyciu całkowicie nowego i nieporównanie potężniejszego od innych rodzaju broni, której istnienie można było obwieścić i zademonstrować na wiele innych sposobów. Jednakże najbardziej oczywisty powód, dla którego nie usiłowano nawet rozpatrzyć w kategoriach prawnych pogwałceń konwencji haskiej, jakich dopuścili się Sprzymierzeni, stanowił fakt, że Międzynarodowy Trybunał Wojskowy był międzynarodowy jedynie z nazwy. W rzeczywistości był sądem zwycięzców, a autorytetu ferowanych przezeń wyroków - i tak wątpliwych - nie podniosło to, że owa koalicja, która wygrała wojnę, a następnie przeprowadziła to wspólne przedsięwzięcie, rozpadła się, nim - by zacytować Ottona Kirchheimera - "zdążył wyschnąć atrament na wyrokach norymberskich". Ale ów najbardziej oczywisty powód nie jest ani jedynym, ani też najistotniejszym, dla którego nie wszczęto żadnych dochodzeń w sprawie zbrodni wojennych (w rozumieniu konwencji haskiej) popełnionych przez Sprzymierzonych. Uczciwość zaś każe dodać, że trybunał norymberski starał się przynajmniej zachować wielką ostrożność w skazywaniu podsądnych w oparciu o zarzuty podane na argument tu quoque. W gruncie rzeczy prawda polegała na tym, że pod koniec II wojny światowej wiedziano powszechnie, że rozwój techniczny w dziedzinie narzędzi

' Hanna Arendt pisała to w 1962 r. Obecnie odpowiedzialność strony rosyjskiej za te zbrodnie została ostatecznie potwierdzona. [Przyp. red.]

przemocy prowadził nieuchronnie do "przestępczego" charakteru działań wojennych. Zatarciu uległa właśnie różnica między żołnierzem a osobą cywilną, między wojskiem a ludnością cywilną, między celem wojskowym a miastem otwartym, czyli ta różnica, na której oparta była zawarta w konwencji haskiej definicja zbrodni wojennych. Zaczęto przeto uważać, że w owej nowej sytuacji zbrodniami wojennymi są jedynie te, które wykraczają poza sferę wszelkich konieczności wojskowych, gdzie można wykazać istnienie celu umyślnie godzącego w zasady humanitaryzmu.

Ów czynnik niczym nie uzasadnionej brutalności stanowił wiążące kryterium w określeniu, co w danych okolicznościach uznać należy za zbrodnię wojenną. Nie mając owej wiążącej mocy, został on jednak niestety zastosowany w niezdatnych definicjach zbrodni całkowicie nowego rodzaju, a mianowicie "zbrodni przeciwko ludzkości", którą Karta (w artykule 6c) definiuje jako "czyn nieludzki" - tak jakby i ta zbrodnia wiązała się z przestępczymi nadużyciami, których dopuszczono się w trakcie wojny i po rozgromieniu wroga. A przecież to nie owo dobrze znane przestępstwo skłoniło Sprzymierzonych do złożenia deklaracji - by użyć słów Churchilla - że "ukaranie zbrodniarzy wojennych jest jednym z zasadniczych celów wojny", lecz - przeciwnie - doniesienia o niestychanych potwornościach, likwidacji całych narodów, "oczyszczaniu" rozległych obszarów z rdzennej ludności, to znaczy o zbrodniach nie tylko "nie dających się usprawiedliwić jakkolwiek koncepcją konieczności wojskowej", lecz właściwie nie pozostających także w żadnym związku z wojną i zapowiadających kontynuację polityki systematycznego mordowania również w czasie pokoju. Zbrodnia ta istotnie nie została uwzględniona w prawie międzynarodowym ani państwowym, nadto zaś - tylko w odniesieniu do niej nie znajdował zastosowania argument tu quo-que. Mimo to, to właśnie w konfrontacji z tą zbrodnią się-

dziowie norymberscy czuli się najmniej wygodnie, a sposób, w jaki ją potraktowali, nasuwał najbardziej dręczące wątpliwości. Jest świętą prawdą, że - by użyć słów francuskiego sędziego z Norymbergii, Donnedieu de Vabres'a, któremu zawdzięczamy jedną z najlepszych analiz procesu (Le Proces de Nuremberg, powielony tekst wykładów na Sorbonie w 1947 roku) - "kategoria zbrodni przeciwko ludzkości, wpuszczona przez Kartę bocznymi drzwiami, ulotniła się za sprawą wyroków trybunału". Sędziowie norymberscy byli jednakże równie mało konsekwentni jak sama Karta, choć bowiem woleli wydawać wyroki skazujące, jak to ujął Kirchheimer, "w oparciu o zarzut popełnienia zbrodni wojennych, obejmujących wszystkie tradycyjne przestępstwa pospolite, unikając przy tym - na ile to było możliwe - oskarżeń o zbrodnię przeciwko ludzkości" - w momencie ogłoszenia wyroku odstawiali swoje prawdziwe odczucia, wymierzając najsurowszą karę - karę śmierci -jedynie tym, których uznano winnymi dopuszczenia się owych zgoła wyjątkowych potworności, stanowiących w istocie "zbrodnię przeciwko ludzkości" bądź też - jak bardziej precyzyjnie ujął to prokurator francuski Francois de Menthon - "zbrodnię przeciwko kondycji ludzkiej". Wyobrażenie, zgodnie z którym "największą zbrodnią o charakterze międzynarodowym" jest agresja, zostało milcząco poniechane w momencie skazania na śmierć grupy ludzi, którym nie postawiono nigdy zarzutu "spiskowania" przeciwko pokojowi.

Uzasadniając proces Eichmanna, powtarzano często, że choć największą zbrodnią popełnioną w czasie ostatniej wojny była zbrodnia dokonana na Żydach, Żydzi występowali w Norymberdze jedynie w charakterze widzów, a orzeczenie sądu jerozolimskiego podkreślało, że dopiero przed jego obliczem tragedia narodu żydowskiego po raz pierwszy "zajęła centralne miejsce w toku postępowania sądowego i że ten właśnie fakt odróżnia ten proces od wszystkich, jakie go poprzedzały" - w Norymberdze

i gdzie indziej. W najlepszym wypadku jest to jednak tylko połowa prawdy. Nic innego bowiem, jak właśnie tragedia narodu żydowskiego, skłoniła Sprzymierzonych do ukucia pojęcia "zbrodni przeciwko ludzkości", gdyż -jak pisze w *Legal Controls of International Conflict* (1954) Julius Stone - "masowy mord Żydów, będących obywatelami samych Niemiec, można było uznać jedynie za przestępstwo wobec ludzkości". Na przeszkodzie, by trybunał norymberski potraktował tę zbrodnię tak, jak należało, stanęło nie to, że jej ofiarami byli Żydzi, ale sformułowany w Karcie wymóg, aby zbrodnię tę, mającą tak niewiele wspólnego z wojną, że w istocie przeszkadzała w prowadzeniu działań wojennych, będąc źródłem licznych konfliktów, ująć w powiązaniu z innymi przestępstwami wojennymi. Najlepszym chyba miernikiem stopnia, w jakim sędziowie norymberscy uświadamiali sobie haniebnosć czynów popełnionych przeciwko Żydom, może być fakt, że jedynym podsądnym skazanym na śmierć pod zarzutem zbrodni przeciwko ludzkości był Julius Streicher, którego specjalność stanowiły antysemickie obscena. W tym wypadku sędziowie pominęli wszelkie inne względy.

Różnica pomiędzy procesem w Jerozolimie a procesami wcześniejszymi nie polegała na tym, że centralne miejsce zajął w nim naród żydowski. Przeciwnie, pod tym względem proces ten podobny był do powojennych procesów w Polsce i na Węgrzech, w Jugosławii i Grecji, w ZSRR i we Francji - słowem we wszystkich okupowanych wcześniej przez nazistów krajach. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze powołany został, by sędzić zbrodniarzy wojennych, których przestępstw nie można było ściśle zlokalizować, wszystkich innych wydano krajom, na terenie których popełnili oni swe zbrodnie. Brak ograniczeń terytorialnych charakteryzował jedynie działalność "głównych zbrodniarzy wojennych", do których Eichmann z pewnością się nie zaliczał. (To właśnie, a nie -jak często utrzymywano - jego ulotnienie

się, stanowiło powód, dla którego nie objęto go w Norymberdze aktem oskarżenia. Martina Bormanna na przykład oskarżono, osądzono i skazano na śmierć in absentia.) Działalność Eichmanna objęła obszar całej okupowanej Europy nie dlatego, iż zajmował on tak ważną pozycję w hierarchii, że nie podlegał żadnym ograniczeniom terytorialnym, tylko dlatego, że charakter wykonywanego przezeń zadania - koncentracji i deportacji wszystkich Żydów - wymagał, by poruszał się on wraz ze swymi ludźmi po całym kontynencie. To właśnie terytorialne rozproszenie Żydów uczyniło popełnioną na nich zbrodnię przedmiotem "międzynarodowego" zainteresowania w ograniczonym, prawniczym rozumieniu Karty Norymberskiej. Skoro jednak Żydzi dysponowali własnym terytorium państwowym w Izraelu, mieli naturalnie takie samo prawo do sądenia zbrodni popełnionych na ich narodzie, jak Polacy do sądenia zbrodni popełnionych w Polsce. Wszelkie zastrzeżenia podniesione przeciwko procesowi jerozolimskiemu w oparciu o zasadę jurysdykcji terytorialnej, miały charakter skrajnie kazuistyczny i choć sąd poświęcił pewną liczbę posiedzeń rozpatrzeniu tych wszystkich wątpliwości, były one w istocie pozbawione większego znaczenia. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Żydów zabijano jako Żydów, bez względu na posiadane przez nich obywatelstwo, i choć prawdą jest, że naziści zamordowali wielu Żydów, którzy postanowili się wyrzec swego etnicznego pochodzenia i woleliby może zginąć jako Francuzi lub Niemcy, nawet w tym wypadku sprawiedliwości mogło stać się zadość jedynie przy uwzględnieniu zamiarów i celów sprawców owej zbrodni. Równie nieprzekonujący-jak sądzę - był jeszcze częściej przytaczany argument przeciwko bezstronności sędziów żydowskich: że mianowicie występują oni, zwłaszcza jako obywatele państwa żydowskiego, we własnej

sprawie. Trudno zrozumieć, na czym miałyby polegać pod tym względem różnica pomiędzy sędziami żydowskimi a ich

335

334

kolegami sędzącymi w którymkolwiek z procesów sukcesyjnych, kiedy to sędziowie polscy wymierzili kary za zbrodnie na narodzie polskim, a sędziowie czescy wydawali wyrok w sprawie wydarzeń w Pradze i Bratysławie. (Pan Hausner niechcąc dołączyć oliwy do ognia, napisawszy w ostatnim z serii artykułów w "Saturday Evening Post", że oskarżenie natychmiast zdało sobie sprawę, iż Eichmanna nie mógł bronić adwokat izraelski, gdyż oznaczałoby to konflikt "obowiązków zawodowych" z "uczuciami narodowymi". Otóż ten właśnie konflikt stanowi sedno wszelkich zastrzeżeń wobec sędziów żydowskich, a argument przytaczany przez pana Hausnera na ich korzyść - zgodnie z którym sędzia może odczuwać nienawiść do zbrodni, a mimo to traktować uczciwie jej sprawcę, odnosi się równie dobrze do obrony: adwokat broniący mordercę nie broni popełnionego przezeń morderstwa. W istocie sprawa przedstawia się tak, że naciski spoza sali sądowej sprawiły, iż byłoby - łagodnie mówiąc - mało rozsądne, żeby powierzyć obronę Eichmanna obywatelowi izraelskiemu.) Argument wreszcie, że w momencie popełnienia zbrodni nie istniało państwo żydowskie, ma z pewnością charakter tak bardzo formalny, tak bardzo odbiega od rzeczywistości i wszelkich wymogów, jakim powinno stać się zadość, że spokojnie można go pozostawić uczonym dysputom ekspertów. W interesie sprawiedliwości (który należy odróżnić od skupienia uwagi na pewnych procedurach prawnych, zachowujących samoistne znaczenie, nie mogących jednak pod żadnym pozorem przesłonić zasadniczego obiektu zainteresowania prawa, jakim jest wymierzenie sprawiedliwości) sąd - pragnąc dowieść swojej kompetencji - nie musiał powoływać się na zasadę biernej podmiotowości - ofiarami byli Żydzi i tylko Izrael miał prawo występować w ich imieniu - ani na zasadę jurysdykcji powszechnej, odnosząc do Eichmanna, jako że był on *hostis generis humani*, reguły mogące odnosić się do piractwa. Obie koncepcje, będące przedmio-

336

tem szczegółowych rozważań na sali sądu jerozolimskiego, a także poza nią, zaciemniły całą sprawę i oczywiste podobieństwo pomiędzy procesem w Jerozolimie a poprzedzającymi go procesami w innych krajach, gdzie tak samo wprowadzono specjalne ustawodawstwo pozwalające wymierzyć karę nazistom i osobom z nimi współpracującym.

Zasada biernej podmiotowości, opierająca się w Jerozolimie na fachowej opinii P. N. Drosta, zawartej w dziele *Crime of State* (1959), że w pewnych okolicznościach *pro-patria* *victimae* mogą być władne zasiadać w charakterze sędziów w określonej sprawie", prowadzi niestety do wniosku, że władze wszczynają postępowanie karne w imieniu ofiar, mających niejako prawo do pomsty. Takie w istocie stanowisko zajęło oskarżenie, a pan Hausner rozpoczął swe wystąpienie następującymi słowami: "Stając przed wami, sędziowie Izraela, w tym oto sądzie, aby oskarżyć Adolfa Eichmanna, nie staję tu sam jeden. Wraz ze mną staję tu w tej chwili 6 milionów oskarżycieli. Niestety, nie mogą oni podnieść oskarżającego palca w kierunku tej szklanej kabiny i wykrzyknąć *J'accuse* w stronę siedzącego w jej wnętrzu człowieka [...]. Ich krew woła do niebios, lecz ich głosu nie można usłyszeć. Tak więc mnie w udziale przypada rola ich rzecznika i to ja muszę przedstawić potworne zarzuty w ich imieniu". Posłużenie się przez oskarżyciela retoryką tego rodzaju przydało wagi głównemu argumentowi wysuwanemu przeciwko procesowi, mianowicie, że miał on na celu nie to, by zadośćuczynić wymogom sprawiedliwości, lecz to, by zaspokoić u

ofiary pragnienie, a może i prawo do odwetu. Postępowanie w sprawach o przestępstwo, jako że ma ono charakter obligatoryjny, a zatem wszczynane jest nawet wówczas, gdy ofiara wolałaby przebaczyć i zapomnieć, opiera się na przepisach prawa, których "istotą" - by zacytować Telforda Taylora, piszącego w "New York Times Magazine" - jest przekonanie, iż "przestępstwo nie zo-

337

stało popełnione jedynie na osobie ofiary, ale że wymierzone jest ono przede wszystkim w zbiorowość, gdyż naruszyło ustanowione przez nią prawo". Sprawcy przestępstwa oddaje się w ręce sprawiedliwości dlatego, że popełniony przezeń czyn zakłócił i poważnie zagroził całościowemu funkcjonowaniu zbiorowości, nie zaś dlatego, że -jak w wypadku spraw cywilnych - szkoda została wyrządzona jednostkom mającym prawo do wynagrodzenia straty. Wyrównanie strat ma w sprawach kryminalnych całkowicie odmienny charakter: w tym wypadku "naprawić" trzeba sam organizm zbiorowy, gdyż zakłóceniu uległ niejako powszechny ład publiczny, który musi zostać przywrócony. Innymi słowy, triumfować powinno prawo, a nie poszkodowany.

Jeszcze mniej niż usiłowania oskarżyciela, próbującego oprzeć swe wywody na zasadzie biernej podmiotowości, dało się uzasadnić dążenie sądu do uznania się za kompetentny w imię jurysdykcji powszechnej, gdyż pozostawało ono w jaskrawej sprzeczności zarówno z przebiegiem procesu, jak i z przepisami prawa, na podstawie których sądzono Eichmanna. Powiadano, że zasada jurysdykcji powszechnej da się w tym wypadku zastosować, ponieważ zbrodnie przeciwko ludzkości są podobne do dawnej zbrodni piractwa, ten zaś, kto je popełnia, staje się - tak jak stawał się nim w tradycyjnym prawie międzynarodowym pirat - *hostis humani generis*. Jednakże Eichmanna oskarżono głównie o zbrodnie przeciwko narodowi żydowskiemu, a jego pojmanie, które miała usprawiedliwić teoria jurysdykcji powszechnej, z pewnością nie miało związku ze zbrodniami, jakie popełnił on przeciwko ludzkości, a tylko z rolą, jaką odegrał w Ostatecznym Rozwiązaniu problemu żydowskiego.

Nawę t j ednak gdyby Izrael porwał Eichmanna wyłącznie dlatego, że był on *hostis humani generis*, a nie dlatego, że był *hostis Judaeorum*, i tak trudno byłoby uzasadnić legalność jego zatrzymania. W wypadku pirata uczyniono

odstępstwo od zasady terytorialnej - pozostającej z braku międzynarodowego kodeksu karnego jedyną wiążącą zasadą prawną - nie dlatego, że pirat jest wrogiem wszystkich, a przeto może być przez wszystkich sądzony, lecz dlatego, że dopuszcza się on swej zbrodni na otwartym morzu, a otwarte morze jest terenem niczym. Ponadto pirat, który "rzuca wyzwanie wszelkiemu prawu i nie chyli czoła przed jakąkolwiek flagą" (H. Zeisel, *Encyclopaedia Britannica Book of the Year*, 1962), dba z definicji wyłącznie o własne interesy; jest banitą, gdyż świadomie postawił się poza wszelkimi zorganizowanymi zbiorowościami i właśnie dlatego stał się "wrogiem wszystkich jednakowo". Z pewnością nie znajdzie się nikt, kto by utrzymywał, że Eichmann dbał wyłącznie o własny interes lub nie chylił czoła przed jakąkolwiek flagą. Pod tym względem koncepcja pirata pozwalała tylko uniknąć podjęcia jednego z fundamentalnych problemów, jakie stwarzają zbrodnie tego rodzaju, a mianowicie, że były one i mogą być popełnione wyłącznie na mocy zbrodniczego prawa i przez zbrodnicze państwo.

Analogia pomiędzy ludobójstwem a piractwem nie jest nowa, dlatego nie bez znaczenia będzie zauważyć, że konwencja o ludobójstwie, podjęta przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych 9 grudnia 1948 roku, odrzuca wyraźnie roszczenia do jurysdykcji powszechnej, stanowi natomiast, że "osoby oskarżone o ludobójstwo [...] będą sądzone przez kompetentny trybunał Państw, na których terytorium czyn został popełniony bądź przez taki międzynarodowy trybunał karny, który posiadałby kompetencje władzy sądowej". Zgodnie z

ową konwencją -Izrael jest jej sygnatariuszem - sąd powinien był albo podjąć starania w celu powołania trybunału międzynarodowego, albo przeformułować zasadę terytorialną w taki sposób, by stosowała się do Izraela. Obie alternatywy z pewnością leżały w sferze możliwości i kompetencji sądu. Możliwość powołania trybunału międzynarodowe-

338

339

go została szybko odrzucona przez sąd z przyczyn, które rozpatrzemy później. Powód, dla którego nie podjęto żadnej znaczącej próby ponownego zdefiniowania zasady terytorialnej -wobec czego sąd ostatecznie uznał się kompetentnym organem wymiaru sprawiedliwości w oparciu o trzy zasady: terytorialną, biernej podmiotowości, a także jurysdykcji powszechnej, tak jakby samo zsumowanie trzech całkowicie różnych zasad prawnych mogło nadać roszczeniu trwałą charakter - był z pewnością ściśle powiązany z występującą u wszystkich zainteresowanych krańcową niechęcią do przecierania nowych szlaków i działania pozbawionego precedensów. Izrael mógłby z łatwością przypisać sobie jurysdykcję terytorialną, gdyby tylko wyjaśnił, że "terytorium" - w sensie, jaki nadaje mu prawo - stanowi pojęcie polityczne i prawne, a nie wyłącznie geograficzne. Odnosi się ono nie tyle i nie przede wszystkim do kawałka ziemi, ile do przestrzeni rozciągającej się pomiędzy jednostkami będącymi członkami pewnej grupy, których zarazem dzieli od siebie i chroni przed sobą układ wszelkiego rodzaju relacji, wspartych na wspólnocie języka, religii, zwyczajów i praw. Relacje te nabierają charakteru przestrzennego o tyle, o ile same tworzą przestrzeń, w obrębie której rozmaici członkowie danej grupy wchodzi z sobą w relacje i nawiązują wzajemne stosunki. Nie powstałoby nigdy jakiegokolwiek państwo izraelskie, gdyby naród żydowski nie stworzył i nie podtrzymał swej specyficznie wspólnej przestrzeni przez długie wieki rozproszenia, to znaczy w czasie poprzedzającym odzyskanie swego dawnego terytorium. Jednakże sąd nigdy nie podjął wyzwania ze strony rzeczywistości nie mającej precedensu, nie uwzględniając nawet bezprecedensowego charakteru genezy państwa izrael, któryz pewnością najbliższy był sercom i umysłom sędziów. Na odwrót, sąd utopił tok postępowania w morzu precedensów - działo się to w ciągu pierwszego tygodnia procesu; odbył wóczas posiedzeniu odpowiadają pierwsze 53 roz-

działy orzeczenia - spośród których wleńabrało - przynajmniej w uchu laika - brzmienia wymyślnych scofizma-tów.

Proces Eichmanna był przeto w rzeczywistości miczym więcej - ale i niczym mniej - niż ostatnirr z licznych procesów sukcesyjnych, jakie nastąpiły po Noymberdlze. Akt oskarżenia całkiem słusznie zawierał anecs przedstawia-jący urzędową interpretację Ustawy z rku 1950), pióra Pinchasa Rosena, ówczesnego ministra sjrawiedlliwości. Interpretacja ta nie mogła być jaśniejz; i bardziej jednoznaczna: "O ile inne narody wydały stisowne uistawy, pozwalające ukarać nazistów i ich współpracowników wkrótce po zakończeniu wojny, niekiedy zóś jeszcze: w czasie jej trwania, naród żydowski [...] niebył polittycznie władny oddać zbrodniarzy nazistowskich! ich wsnoólpra-cowników w ręce sprawiedliwości aż do momentu powstania państwa Izrael". Proces Eichmanna nżniło zaltem od procesów sukcesyjnych tylko jedno: pods^dny nie: został należycie aresztowany! wydany władzom i;raelskirm, przeciwnie - po to, by wymierzyć mu sprawiedliwość, dlopusz-czono się jawnego pogwałcenia prawa mędzynarcodowe-go. Wspomnieliśmy wcześniej, że jedyniedzięki faaktycz-nej bezpieczeństwa Eichmanna Izraelem uszło na sucho jego porwanie i jest rzeczą zrozumiałą, że pcomimo przytoczenia wjerozolimie niezliczonyci precedensów mających uzasadnić ów akt porwania, ne wspomniano nigdy o jedynym liczącym się precedenie,

jakimi było pojmanie Bertholda Jakoba, lewicowego niemieckiego dziennikarza żydowskiego, dokonane przez agentów Gestapo na terenie Szwajcarii w roku 1935. (Wszystkie pozostałe precedensy nie miały zastosowania, gdyż odnosiły się bez wyjątku do osób uciekających przed sprawiedliwością, które sprowadzono z powrotem nie tylko do miejsc popełnionych przez nie zbrodni, lecz także przed oblicze sądu, który wydał lub mógł być wydany ważny nakaz aresztowania - tych warunków Izrael spełnić nie mógł.)

341

340

W tym wypadku Izrael istotnie naruszył zasadę terytorialności, której wielkie znaczenie polega na tym, że kulę ziemską zamieszkują liczne narody rządzące się wieloma różnymi prawami, toteż każdorazowe rozciąganie prawa obowiązującego na danym terytorium poza jego granice i zakres jego działania musi doprowadzić do natychmiastowego konfliktu z prawem obowiązującym na innym terytorium.

Na tym właśnie polegała niestety jedyna prawie zupełnie bezprecedensowa cecha całego procesu Eichmanna; z pewnością także nie było żadnych podstaw, by właśnie ona miała stać się precedensem o trwałym znaczeniu. (Cóż bowiem powiemy, jeśli jutro jakimś państwem afrykańskim przyjdzie ochota, żeby wysłać swoich agentów nad Missisipi z zadaniem porwania któregoś z przywódców działającego tam ruchu segregacjonistów? A cóż odpowiemy, jeśli jakiś sąd w Ghanie lub w Kongo powoła się na precedens w postaci sprawy Eichmanna?) Uzasadniając proces Eichmanna, powoływano się na bezprecedensowy charakter zbrodni oraz powstanie państwa żydowskiego. Istniały wszakże istotne okoliczności łagodzące, polegające na tym, że jeśli zapragnięto by wymierzyć Eichmannowi sprawiedliwość, właściwie nie istniała jakakolwiek realna alternatywa. Argentyna ma na koncie imponujące osiągnięcia w zakresie odrzucania wniosków o ekstradycję zbrodniarzy nazistowskich. Nawet gdyby istniał układ o ekstradycji pomiędzy Izraelem i Argentyną, wniosek ekstradycyjny prawie na pewno zostałby odrzucony. Na nic też nie zdałoby się przekazanie Eichmanna w ręce policji argentyńskiej w celu dokonania jego ekstradycji do Niemiec Zachodnich; rząd boński starał się bowiem wcześniej o ekstradycję z Argentyny dobrze znanych zbrodniarzy nazistowskich w rodzaju Karla Klingensussa i doktora Josefa Mengele (ten ostatni zamieszany był w najpotworniejsze eksperymenty medyczne w Oświęcimiu i kierował "selekcjami") bez najmniejszego-

powodzenia. W wypadku Eichmanna wniosek o ekstradycję byłby podwójnie pozbawiony szans, ponieważ zgodnie z prawem obowiązującym w Argentynie wszelkie przestępstwa związane z ostatnią wojną podlegały przedawnieniu w terminie piętnastu lat od zakończenia wojny, a zatem po 7 maja 1960 roku Eichmanna i tak nie można było ekstradować w sposób legalny. Słowem, w sferze legalności nie istniała żadna alternatywa porwania.

Ludzie przekonani o tym, że sprawiedliwość - i nic ponadto - jest celem prawa, będą skłonni przebaczyć porwanie, aczkolwiek nie ze względu na precedensy, lecz przeciwnie - dopatrując się w tym akcie pozbawionego precedensów i nie stwarzającego precedensu aktu desperacji, wymuszonego niedoskonałością istniejącego systemu prawa międzynarodowego. Z takiego punktu widzenia istniała tylko jedna realna alternatywa: zamiast porwać Eichmanna i przewieźć go samolotem do Izraela, agenci izraelscy mogli go zabić od razu na miejscu - na ulicach Buenos Aires. W dyskusjach na temat sprawy Eichmanna wspomniano często o możliwości takiego przebiegu akcji i -co nieco zaskakujące - działania takie najgorzej zalecali ludzie najgłębiej wstrząśnięci porwaniem. Stanowisku powyższemu trudno odmówić

pewnej słuszności -jako że meritum sprawy nie budziło żadnych wątpliwości - ci jednak, którzy je zajęli, zapomnieli, iż ktoś, kto bierze prawo w swoje ręce, może przysłużyć się sprawiedliwości jedynie wówczas, gdy pragnie przekształcić sytuację w taki sposób, by przywrócić prawu skuteczność funkcjonowania, swojemu czynowi zaś nadać przynajmniej pośmiertne uzasadnienie. Przychodzą na myśl dwa precedensy z nieodległej przeszłości. Sprawa Shaloma Schwartzbarda, który 25 maja 1926 roku zastrzelił w Paryżu hetmana Semena Petlurę, byłego dowódcę wojsk ukraińskich, odpowiedzialnego za pogromy podczas wojny domowej w Rosji, które pochłonęły w latach 1917-1920 około 100 tysięcy ofiar. A także sprawa

343

342

Ormianina Tehliriana, który w roku 1921 w samym centrum Berlina zastrzelił Talaata beja, wsławionego mordami popełnionymi podczas pogromów Ormian w roku 1915, w których dokonano masakry jednej trzeciej (600 tysięcy) zamieszkującej Turcję ludności ormiańskiej. Sedno polega na tym, że obaj zamachowcy nie poprzestali na zamordowaniu swych ofiar, ale natychmiast oddali się w ręce policji, domagając się postawienia przed sądem. Obaj też wykorzystali proces do zademonstrowania światu zbrodni popełnionych na ich narodach, zbrodni nie ukaranych. Zwłaszcza proces Schwartzbarda przypominał bardzo - pod względem użytych metod - proces Eichman-na. Ten sam nacisk położony został na obszerną dokumentację zbrodni, tym razem jednak przygotowaną na użytek obrony (przez Comite des Delegations Juives, którym kierował nieżyjący dziś dr Leo Motzkin; półtora roku poświęcił on gromadzeniu materiałów opublikowanych następnie w książce *Les pogromes en Ukraine sous les gouvernements ukrainiens 1917-1920*, 1927). Oskarżony i jego adwokat przemawiali także w imieniu ofiar, a nawet wspomnieli o Żydach, "którzy nigdy nie wystąpili we własnej obronie". (Porównaj mowę obrońcą Henri Torresa w jego książce *Le Proces des Pogromes*, 1928.) Obaj skrytobójcy zostali uniewinnieni, w obu zaś wypadkach odnosiło się wrażenie, że ich gest "oznaczał, iż nacje, których byli przedstawicielami, ostatecznie postanowiły się bronić, poniechały swej moralnej abdykacji i przewyciężyły rezygnację w obliczu doznawanych zniewag", jak o sprawie Shaloma Schwartzbarda pisał z podziwem Georges Su-

arez.

CL.

Korzyści płynące z takiego rozwiązania problemu prawnych aspektów procesu stojących na przeszkodzie wymierzeniu sprawiedliwości są oczywiste. Prawda, że proces staje się znowu procesem "pokazowym", czy wręcz widowiskowym, lecz jego "bohater", osoba zajmująca w nim centralne miejsce, w której utkwione jest spojrze-

nie wszystkich, staje się teraz bohaterem z prawdziwego zdarzenia, jednocześnie zaś zagwarantowany zostaje taki charakter toczącego się postępowania, który czyni zeń proces. Nie jest to bowiem "spektakl o ustalonych z góry rezultatach", tylko procedura zawierająca element "niemożliwego do uniknięcia ryzyka", który wedle Kirchhei-mera stanowi niezbywalny czynnik wszystkich procesów kryminalnych. Również owoj'accuse - tak bardzo potrzebne z punktu widzenia ofiary - brzmi naturalnie dużo bardziej przekonująco w ustach człowieka, który zmuszony jest wziąć prawo w swoje ręce, niż gdy wypowiada je wyznaczony przez władze urzędnik, który nie ryzykuje niczym. A jednak-niezależnie od czysto praktycznych okoliczności, takich na przykład, że Buenos Aires z lat sześćdziesiątych nie stwarza podsądnemu takich samych możliwości uzyskania rozgłosu ani nie daje

podobnych gwarancji, jak miało to miejsce w Paryżu lub Berlinie w latach dwudziestych -jest więcej niż wątpliwe, żeby takie rozwiązanie mogło znaleźć pełne uzasadnienie w wypadku Eichmanna, skoro wcieliliby je w życie urzędnicy państwowi. Na korzyść Schwartzbarda i Tehliriana przemawiało to, że byli członkami grupy etnicznej, która nie posiadała własnego państwa ani systemu prawnego oraz to, że nie istniał na świecie żaden trybunał, przed którego oblicze grupa ta mogła by powołać swoje ofiary. Schwartz-bard, zmarły w roku 1938, ponad dziesięć lat przed proklamacją państwa żydowskiego, nie był syjonistą, ani nacjonalistą jakiegokolwiek rodzaju; nie ma wszakże wątpliwości, że z entuzjazmem powitałby on Państwo Izrael, a to z tej właśnie przyczyny, że mogłoby ono powołać trybunał do osądzenia zbrodni, dotąd tylekroć nie ukaranych. Jego poczuciu sprawiedliwości stałoby się zadość. A kiedy czytamy list, jaki z paryskiego więzienia wysłał do swych braci i sióstr w Odessie - *Faites savoir dans les villes et dans les villages de Balta, Proskouro, Tzscherkass, Ouman, Jitomir [...], portez-y le message edificant: la colerejuwe a tire sa vengeance! Le*

345

344

l

Ł

r

sang de l'assassin Petlura, qui ajailli dans la mile mondiale, a Pa-ris, [...] rapellera le crimeferoce [...] commis envers le pauvre et abandonne peuple juif - rozpoznajemy natychmiast może nie język, jakim rzeczywiście przemawiał podczas procesu pan Hausner (język Shaloma Schwartzbarda cechowała nieporównywalnie większa dostojność i zdolność poruszania słuchaczy), ale z pewnością nastroje i stan umysłów Żydów całego świata, do których list ów był adresowany.

Zwróciłam uwagę na podobieństwa zachodzące między procesem Schwartzbarda toczącym się w Paryżu w roku 1927 a procesem Eichmanna odbyтым w roku 1961 w Jeruzolimie, ponieważ dowodzą one, w jak małym stopniu Izrael, podobnie jak ogół narodu żydowskiego, gotów był uznać zbrodnie, o które oskarżono Eichmanna, za bezprecedensowe, a dokładnie, jak trudne dla narodu żydowskiego musiało być ich uznanie za takie właśnie zbrodnie. W oczach Żydów, myślących wyłącznie w kategoriach własnej historii, tragedia, jaka spotkała ich pod rządami Hitlera, pociągając za sobą zagładę jednej trzeciej narodu, jawiła się niejako najnowszy rodzaj zbrodni - pozbawiona precedensów zbrodnia ludobójstwa, lecz przeciwnie: jako zbrodnia, którą znali i pamiętali od najdawniejszych czasów. To nieporozumienie, prawie niemożliwe do uniknięcia, jeśli wziąć pod uwagę nie tylko fakty z historii Żydów, lecz także - co ważniejsze - aktualny stan żydowskiej samowiedzy historycznej, legło w istocie u podstaw wszelkich niepowodzeń i niedostatków procesu jerozolimskiego. Żaden z jego uczestników nie osiągnął jasnego zrozumienia rzeczywistej potworności Oświęcimia, różniącej się charakterem od wszelkich okropieństw przeszłości, gdyż zarówno oskarżyciele, jak i sędziowie upatrywali w Oświęcimiu jedynie najpotworniejszy pogrom w dziejach Żydów. Uważali przeto, że istnieje bezpośredni związek łączący wczesny antysemityzm partii nazistowskiej z ustawami norymberskimi oraz z wy-

pędzeniem Żydów z Rzeszy, wreszcie zaś komorami gazowymi. Jednakże w sensie politycznym i prawnym "zbrodnie" te różniły się nie tylko pod względem powagi swego charakteru, lecz samą swą istotą.

Wydane w roku 1935 ustawy norymberskie legalizowały dyskryminację praktykowaną wcześniej przez większość niemiecką w stosunku do mniejszości żydowskiej. Zgodnie z

prawem międzynarodowym, siwienne państwo niemieckie dysponowało przywilejem pozwalającym mu uznać za mniejszość narodową dowlny odłám zamieszkującej je ludności, pod warunkiem, e wydane przez nie ustawy dotyczące mniejszości pozosftwałyby w zgodzie z prawami i gwarancjami ustalonyri w przyjętych przez społeczność międzynarodową traktttach i porozumieniach odnoszących się do mniejszość. Międzynarodowe organizacje żydowskie podjęły przeP bezzwłocznie próbę zapewnienia owej najnowszej mn?jszości takich samych praw i gwarancji, jakie przyznało w Genewie mniejszościom wschodniej i południowo-^schodniej Europy. I choć starania o uzyskanie ochroi y tego rodzaju zawiodły, ustawy norymberskie zostały ra ogół uznane przez inne kraje jako element niemieckiego systemu prawnego, skutkiem czego obywatel nieniecki nie mógł na przykład zawrzeć "mieszanego" związu małżeńskiego na terenie Holandii. Przestępczy chankter ustaw norymberskich miał zasięg wewnątrzkrajowy - ustawy norymberskie stanowiły pogwałcenie obowią:ujących w tym kraju i konstytucyjnie gwarantowanych Draw i swobód obywatelskich, nie byłyjednak przedmiotem zainteresowania wspólnoty międzynarodowej. Przecfniotem jej zainteresowania była jednak "przymusowa emigracja", czyli akcja wysiedleńcza, która po roku 1938 nibrała charakteru oficjalnej polityki państwowej, a to z ej prostej przyczyny, że wygnańcy pojawili się na granicach innych krajów, które zmuszone były przyjąć nieproszonych gości bądź też przemycić ich do innego kraju, w takifl samym stop-

347

346

niu nie mającego ochoty ich przyjmować. Innymi słowy, wypędzenie własnych obywateli stanowi zawsze przestępstwo przeciwko ludzkości, o ile pod słowem "ludzkość" rozumieli będziemy nie co innego, jak tylko wspólnotę narodów. Zarówno wewnątrzkrajowe przestępstwo zalegalizowanej dyskryminacji, podlegające ściganiu przez prawo, jak i międzynarodowe przestępstwo wypędzenia nie były pozbawione precedensów, nawet w czasach nowożytnych. Zalegalizowaną dyskryminację praktykowały wszystkie kraje bałkańskie, a wypędzenia na masową skalę towarzyszyły wielu rewolucjom. Ale w momencie, gdy reżim nazistowski wystąpił z twierdzeniem, że naród niemiecki nie tylko nie życzy sobie żadnych Żydów w Niemczech, lecz także pragnie doprowadzić do zniknięcia całego narodu żydowskiego z powierzchni ziemi, pojawiła się owa nowa zbrodnia, zbrodnia przeciwko ludzkości - w znaczeniu zbrodni "przeciwko statusowi osoby ludzkiej" lub przeciwko samej naturze rodzaju ludzkiego. Mimo że zarówno wypędzenie, jak i ludobójstwo stanowią pogwałcenie prawa międzynarodowego, trzeba je odróżnić od siebie; pierwsze jest przestępstwem wymierzonym w rodzinę narodów, drugie natomiast jest atakiem wymierzonym w różnorodność człowieka jako taką, to znaczy w ową cechę charakterystyczną "statusu osoby ludzkiej", bez której pojęcia takie jak "rodzaj ludzki" lub "ludzkość" byłyby znaczeniowo puste.

Gdyby sąd wjeropolimie dostrzegł, że pomiędzy dyskryminacją, wypędzeniem a ludobójstwem istnieją różnice, natychmiast stałoby się jasne, że najcięższy rodzaj zbrodni, w której obliczu stanął - fizyczna eksterminacja narodu żydowskiego - stanowił zbrodnię przeciwko ludzkości, popełnioną na tym właśnie narodzie; jasne stałoby się także, iż tylko wybór ofiar, a nie samą istotę owej zbrodni, da się wyprowadzić z długich dziejów nienawiści do Żydów i antysemityzmu. Ofiarami byli Żydzi i dlatego było poniekąd rzeczą słuszną i prawidłową, by wyrok w tej spra-

348

wie wydał sąd żydowski, ponieważ jednak owa zbrodnia wymierzona była w ludzkość, do wymierzenia sprawiedU-wości potrzebne było powołanie trybunału międzynarodowego. (To, że sąd nie zdołał przeprowadzić owego rozróżnienia, było rzeczą zaskakującą, gdyż dokonał go były izraelski minister sprawiedliwości, pan Rosen, który w roku 1950 nalegał na "odróżnienie Ustawy o zbrodniach przeciwko narodowi żydowskiemu od Ustawy o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa", rozważanej, lecz nie uchwalonej przez parlament izraelski. Widać wyraźnie, że sąd doszedł do wniosku, iż nie ma prawa wykraczać poza obręb prawa krajowego, a zatem ludobójstwo - nie uwzględnione przez ustawodawstwo Izraela - nie mogło właściwie stać się przedmiotem regulacji prawnych.) Wśród licznych głosów zgłaszających w sposób wielce kompetentny zastrzeżenia w stosunku do sądu w jerozolimie, a opowiadających się za powołaniem trybunału międzynarodowego, znalazł się tylko jeden - był nim głos Karla Jaspersa, który stwierdził jasno i wyraźnie - w wywiadzie radiowym udzielonym przed rozpoczęciem procesu i ogłoszonym później w "Der Monat" - że "zbrodnia przeciwko Żydom była również zbrodnią przeciwko ludzkości", a zatem "wyrok może wydać jedynie sąd reprezentujący całą ludzkość". Jaspers zaproponował, żeby sąd jerozolimski, wysłuchawszy wszystkich świadków, "zrzekł się" prawa do wydania wyroku, oświadczając, iż "nie jest władny" tego uczynić, gdyż z prawnego punktu widzenia charakter rozpatrywanej zbrodni był wciąż dyskusyjny, podobnie jak kwestia, kto byłby władny wydać wyrok w sprawie zbrodni popełnionej na polecenie czynników rządowych. Jaspers stwierdza dalej, że pewne jest jedno: "Ta zbrodnia jest zarazem czymś więcej i czymś mniej niż zwykłe morderstwo" i choć nie była ona również "zbrodnią wojenną", nie ma wątpliwości, iż "ludzkość z pewnością uległaby zagładzie, gdyby państwowo wolno było popełniać podobne zbrodnie".

349

Propozycjajaspersa, której w Izraelu nie spróbowano nawet przedyskutować, byłaby w takim kształcie przypuszczalnie mało praktyczna z czysto technicznego punktu widzenia. Zagadnienie kompetencji sądu musi zostać rozstrzygnięte przed rozpoczęciem procesu, skoro zaś sąd uznany zostanie za kompetentny, musi również ogłosić wyrok. Te często formalne zarzuty można byjednak z łatwością odeprzeć, gdybyjaspers zwrócił się ze swym apelem o zrzeczenie się prawa do wymierzenia kary już po ogłoszeniu wyroku, zważywszy na bezprecedensowy charakter ustaleń procesowych - nie do sądu, lecz do państwa izraelskiego. Izrael mógłby się wówczas odwołać do Narodów Zjednoczonych i zademonstrować - rozporządzając całym materiałem dowodowym - absolutną konieczność powołania trybunału międzynarodowego w związku z owymi nowego rodzaju zbrodniami wymierzonymi w ogół ludzkości. W mocy Izraela byłoby wówczas spowodowanie kłopotów, "wywołanie pozytywnego zaniepokojenia", a to przez ustawiczne ponawianie pytania, co ma począć z owym uwięzionym przez siebie człowiekiem; ciągłe powtarzanie tego pytania uświadomiłoby światowej opinii publicznej potrzebę istnienia stałego międzynarodowego sądu kryminalnego. Tylko dzięki doprowadzeniu w ten sposób do "powstania kłopotliwej sytuacji" budzącej zatroskanie przedstawicieli wszystkich krajów, można by uniknąć "uspokojenia duszy ludzkości" i zapobiec temu, by "masakra Żydów [...] stała się wzorem przyszłych zbrodni, drobnym i może wielce niedoskonałym przykładem ludobójstwa, do jakiego dojdzie w przyszłości". Sama monstrualność minionych wydarzeń ulega "pomniejszeniu" w obliczu trybunału reprezentującego tylko jeden naród.

Ów argument przemawiający za sądem międzynarodowym poplątano niestety z innymi propozycjami, opartymi na rozmaitych, znacznie mniej istotnych okolicznościach sprawy. Wielu przyjaciół Izraela, zarówno Żydów,

350

jak i nie-Żydów, obawiało się, że proces narazi na szwank prestiż Izraela i da powód do wystąpień przeciwko Żydom na całym świecie. Uważano, że Żydzi nie mają prawa występować jako sędziowie we własnej sprawie, mogą tylko wystąpić w roli oskarżycieli. Izrael! powinien przeto więzić Eichmanna dopóty, dopóki Narody Zjednoczone nie będą mogły powołać celem jego (osądzenia specjalnego trybunału. Pomijając całkowicie to, że wszcząwszy postępowanie przeciwko Eichmannowi Izrael uczynił dokładnie to samo, co dużo wcześniej uczyniły przed nim wszystkie kraje okupowane podczas wojny/ przez Niemców, a także to, że w grę wchodziła tu sprawiedliwość, a nie prestiż Izraela czy narodu żydowskiego - wszystkie te propozycje miały jedną wspólną wadę: Izrael zbyt łatwo mógł je odrzucić. Były one w istocie pozbawione realizmu, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych "dwukrotnie odrzuciło projekty zmierzające do rozpatrzenia sprawy powołania międzynarodowego sądu kryminalnego" (A.D.L. Bulletin). O innej wszakże, bardziej praktycznej propozycji nie wspomniano właśnie dlatego, że m o ż n a było ją wprowadzić w życie. Jej autorem był dr Nahum Goldmann, prezes Światowego Kongresu Żydów. Goldmann wezwał Ben Guriona do powołania w Jerozolimie sądu międzynarodowego, złożonego z sędziów pochodzących ze wszystkich krajów, które zaznały udręki okupacji nazistowskiej. Byłoby to i tak za mało, gdyż propozycja ta stanowiła jedynie przedłużenie procesów sukcesyjnych i nie mogła zaradzić podstawowemu uszczerbkowi zadaniem u zasadzie sprawiedliwości, polegającym na tym, że wymierzyli ją sąd zwycięzców. Byłoby to jednak praktyczny krok we właściwym kierunku.

Izrael, jak pamiętamy, zareagował na te wszystkie propozycje bardzo gwałtownie. O ile zaś prawdą jest -na co wskazał Yosal Rogat (w książce *The Eichmann Trial and the Rule of Law*, wydanej przez Ośrodek Badań nad Insty-

351

tucjami Demokratycznymi w Santa Barbara, w stanie Kalifornia, w roku 1962) - że Ben Gurion zawsze "sprawiał wrażenie osoby całkowicie niezdolnej do zrozumienia pytania »A czemu nie sądzić go przed trybunałem międzynarodowym?«, to prawdą jest także i to, że autorzy owego pytania nie rozumieli, iż dla Izraela jedyna nie mająca precedensu cecha procesu Eichmanna polegała na tym, że po raz pierwszy (od roku 70 naszej ery, kiedy to Jerozolima została zburzona przez Rzymian) Żydzi mogli zasiąść do osądzenia zbrodni popełnionych na ich własnym narodzie i że po raz pierwszy nie musieli oni zwracać się do innych z prośbą o zapewnienie ochrony i wymierzenie sprawiedliwości, ani odwoływać się do skompromitowanej frazeologii praw człowieka, czyli praw, na które - o czym wiedzieli lepiej niż ktokolwiek - powoływali się jedynie ludzie za słabi, żeby bronić swych "praw członków narodu angielskiego" i wymusić posłuszeństwo dla własnych ustaw. (Już w samym fakcie, że Izrael rozporządzał własnymi przepisami prawnymi, w oparciu o które można było przeprowadzić proces Eichmanna, dopatrywano się - na długo przed jego rozpoczęciem - przejawu "rewolucyjnej zmiany, jaka zaszła w sytuacji politycznej narodu żydowskiego" - uczynił to pan Rosen przy sposobności pierwszego czytania projektu Ustawy z roku 1950 na forum Knesetu.) Takie też było tło - stanowiły je niezwykle wyraziste doświadczenia i aspiracje - słów, jakie wypowiedział Ben Gurion: "Izrael nie potrzebuje ochrony jakiegoś trybunału międzynarodowego".

Ponadto argument, że zbrodnia przeciwko narodowi żydowskiemu jest przede wszystkim zbrodnią przeciwko ludzkości - na którym opierały się zasadne propozycje powołania trybunału międzynarodowego - stał w rażącej sprzeczności z przepisami prawnymi, na podstawie których sądzono Eichmanna. Ci zatem, którzy proponowali, by Izrael wydał pojmanego, powinni byli posunąć się o krok dalej i stwierdzić, że Ustawa o karach dla nazistów

352

i osób z nimi współpracujących z roku 1950 jest zła, stoi w sprzeczności z tym, co się naprawdę stało i nie odpowiada faktom. W rzeczy samej byłoby to stwierdzenie zupełnie prawdziwe. Podobnie bowiem jak ściga się mordercę za to, że pogwałcił on prawo rządzące daną zbiorowością, nie zaś za to, że pozbawił rodzinę Smithów męża, ojca i żywiciela, tak samo ścigać trzeba współczesnych, zatrudnionych przez państwo sprawców masowych mordów, dlatego, że pogwałcili oni ład świata ludzkiego, a nie dlatego, że zabili miliony ludzi. Nie ma nic bardziej zgubnego dla możliwości zrozumienia zbrodni nowego rodzaju, nic też nie szkodzi bardziej sprawie powstania międzynarodowego kodeksu karnego, który mógłby tymi zbrodniami się zająć, niż pospolite złudzenie, iż zbrodnia zabójstwa i zbrodnia ludobójstwa mają zasadniczo ten sam charakter. W wypadku tej ostatniej chodzi o to, że dokonuje ona wyłomu w całkowicie odmiennym porządku i czyni gwałt na całkiem odmiennym rodzaju wspólnoty. I właśnie dlatego, że Ben Gurion dobrze wiedział, iż cała tocząca się w tej sprawie dyskusja dotyczy w istocie zasadności izraelskich przepisów prawnych, zareagował on ostatecznie w tak odrażający, a nie tylko gwałtowny sposób na krytykę wymierzoną w izraelską procedurę karną: bez względu na to, co "tak zwani eksperci" mieli do powiedzenia, ich argumenty były zawsze "sofizmata-mi" inspirowanymi przez antysemityzm, bądź też - w wypadku Żydów - przez kompleks niższości. "Świat musi zrozumieć, że nie wydamy naszego więźnia".

Uczciwość nakazuje stwierdzić, że proces w Jerozolimie nie odbywał się bynajmniej w takim tonie. Przewiduję-i chyba słusznie - iż ów ostatni proces sukcesyjny posłuży w stopniu nie większym, a może mniejszym niż procesy wcześniejsze, jako trwały precedens w wypadku, jeśli w przyszłości dojdzie do procesów o zbrodnie tego samego rodzaju. Mogłoby to nie mieć większego znaczenia, zważywszy na fakt, że główny cel procesu - postawie-

353

nie w stan oskarżenia, stworzenie możliwości obrony, osądzenie i ukaranie Adolfa Eichmanna - został osiągnięty, gdyby nie to, że istnieje dość nieprzyjemna i trudna do odrzucenia możliwość, iż w przyszłości zostaną popełnione podobne zbrodnie. Ta złowieszcza możliwość ma swoje powody natury zarówno ogólnej, jak i szczegółowej. Do najgłębszej istoty rzeczywistości ludzkiej należy to, że wszelki czyn, jaki kiedykolwiek zaistniał i został utrwalony w dziejach ludzkości, tkwi w nich nadal w formie potencjalnej, mimo że zaktualizowany odszedł już do przeszłości. Nie istnieje kara, która miałaby dostateczną moc odstraszenia, by zapobiec powtarzaniu się zbrodni. Przeciwnie, bez względu na rodzaj kary, ponowne popełnienie określonej zbrodni jest - skoro już raz została ona kiedyś popełniona - bardziej prawdopodobne niż początkowa możliwość popełnienia jej po raz pierwszy. Szczegółowe powody, przemawiające za możliwością powtórzenia się zbrodni popełnionych przez nazistów, są jeszcze bardziej logiczne. By ogarnęły nas dreszcze, wystarczy wskazać na zatrważającą zbieżność współczesnej eksplozji demograficznej z dokonaniem wynalazków technicznych, czyniących - za sprawą automatyzacji - "zbędnymi" wielkie odłamy populacji, i to nawet w sensie przydatności do pracy, oraz stwarzających - dzięki energii jądrowej - możliwość posłużenia się tą dwojaką groźbą przy zastosowaniu urządzeń, przy których hitlerowskie instalacje do uśmiercania gazem przypominają prymitywne zabawki niegrzecznego dziecka,

Z tej właśnie zasadniczej przyczyny, że z chwilą pojawienia się czegoś, co nie miało dotąd precedensu, może powstać precedens na przyszłość - wszystkie procesy zajmujące się "zbrodniami przeciwko ludzkości" powinno oceniać się w oparciu o kryteria będące w chwili obecnej wciąż jeszcze "ideałem". Jeśli ludobójstwo jest realną możliwością kryjącą się w przyszłości, niepodobna, byja-kikolwiek naród na kuli ziemskiej - a już najmniej, rzecz

354

jasna, naród żydowski, w Izraelu czy gdziekolwiek indziej - mógł żywić sensowne przekonanie o trwałości swego istnienia, bez pomocy i ochrony prawa międzynarodowego. Sukces lub porażkę odniesioną w zetknięciu się z tym, co dotychczas nie miało precedensu, można mierzyć jedynie stopniem, w jakim rezultat owej konfrontacji przyczyni się do stworzenia trwałego precedensu na drodze ku międzynarodowemu prawu karnemu. Postulat ten, skierowany do sędziów zasiadających w procesach tego rodzaju, nie jest zbyt wygórowany i nie formułuje oczekiwań, jakich nie można by spełnić. Prawo międzynarodowe - powiedział w Norymberdze sędzia Jackson - "jest następstwem traktatów i porozumień między narodami oraz przyjętych zwyczajów. Każdy zwyczaj wywodzi się wszakże z jakiegoś pojedynczego czynu. [...] Nasza epoka ma prawo ustalać zwyczaje i zawierać porozumienia, które same staną się źródłem nowego i silniejszego prawa międzynarodowego". Sędzia Jackson zapomniał jednak dodać, że w wyniku niegotowego charakteru prawa międzynarodowego, zadanie sędziów zasiadających w zwykłych procesach polegać musi na wymierzeniu sprawiedliwości bez pomocy, a także poza ograniczeniami, jakie nakładają na nich prawa stanowione, postulowane. Dla sędziego może to być sytuacja bardzo kłopotliwa i absolutnie nie należy się dziwić, że będzie on zapewniał, iż ów "pojedynczy czyn" nie jemu powinien przypaść do spełnienia, lecz winien być sprawą prawodawcy.

I istotnie, nim sformułujemy jakiegokolwiek wnioski dotyczące sukcesu bądź porażki sądu jerozolimskiego, musimy podkreślić mocne przekonanie sędziów, że nie mieli oni prawa zamienić się w prawodawców, mieli natomiast obowiązek spełnić swe zadanie, nie wykraczając z jednej strony poza ramy izraelskiego systemu prawnego, z drugiej zaś poza przyjęte poglądy prawnicze. Nadto należy także dodać, że porażki, jakie przypadły w udziale sędziom z Jerozolimy, pod względem rodzaju oraz stop-

355

nią nie były wcale większe niż niepowodzenia, jakich doznały procesy norymberskie czy też procesy sukcesyjne w innych krajach Europy. Przeciwnie, porażka sądu jerozolimskiego wynikała po części z faktu, iż ilekroć to było możliwe, trzymał się on stanowczo zbyt uporczywie precedensu stworzonego w Norymberdze.

Podsumowując - porażka sądu jerozolimskiego polegała na tym, że nie zmierzył się on z trzema fundamentalnymi kwestiami, z których wszystkie były znane w stopniu wystarczającym i stały się przedmiotem szerokiej dyskusji od momentu utworzenia trybunału norymberskiego: z zagadnieniem wystawienia na szwank zasady sprawiedliwości w sądzie zwycięzców, z kwestią spójnej definicji "zbrodni przeciwko ludzkości" oraz z problemem wyraźnego określenia nowego rodzaju przestępcy dopuszczającego się owej zbrodni.

Co się tyczy pierwszej z owych kwestii, zasada sprawiedliwości doznała większego szwanku w Jerozolimie niż w Norymberdze, ponieważ sąd jerozolimski nie dopuścił świadków obrony. Z punktu widzenia tradycyjnych wymogów stawianych uczciwemu i poprawnemu procesowi karnemu, była to najpoważniejsza wada przeprowadzonego w Jerozolimie postępowania sądowego. Ponadto, o ile u kresu wojny nie dało się, być może, uniknąć ferowania wyroków przez sąd zwycięzców (przedstawiony w Norymberdze przez prokuratora Jacksona argument, że "jedno z dwojga: albo zwycięzcy osądzą zwyciężonych, albo pozwolą im osądzić się samym", trzeba uzupełnić zrozumiałym u Sprzymierzonych odczuciem, że "ci, którzy zaryzykowali wszystkim, nie mogą dopuścić sędziów neutralnych" [Yabres] - o tyle 16 lat później sytuacja wyglądała inaczej. Wówczas bowiem okoliczności odbierały już sens argumentowi przemawiającemu za niedopuszczeniem państw neutralnych.

Jeśli chodzi o drugą kwestię, ustalenia poczynione przez sąd jerozolimski były nieporównanie doskonalsze

od norymberskich. Wspomniałam wcześniej, że Karta norymberska definiowała "zbrodnie przeciwko ludzkości" jako "czyny nieludzkie", co zostało przetłumaczone na język niemiecki jako Verbrechen gegen die Menschlichkeit - tak jakby nazistom zbywało po prostu na ludzkiej dobroci: było to z pewnością największe niedomówienie XX wieku. Co prawda, gdyby przebieg procesu jerozolimskiego zależał całkowicie od oskarżycieli, mielibyśmy wówczas do czynienia z jeszcze większym niż w Norymberdze nieporozumieniem. Wydane orzeczenie uniknęło jednak niebezpieczeństwa zatarcia zasadniczego charakteru zbrodni przez zalew okropności, a także pułapki, jaką stanowiło zrównanie zbrodni ludobójstwa ze zwykłymi zbrodniami wojennymi. To, o czym w Norymberdze wspominało jedynie sporadycznie i niejako na marginesie - że mianowicie "zgromadzony materiał dowodowy wskazuje, [...] iż masowe morderstwa i okrutne czyny popełnione były nie tylko w celu zgniecenia opozycji", ale stanowiły "element planów zmierzających do likwidacji całych narodów" - zajęło centralne miejsce toczącego się w Jeruzolimie postępowania sądowego. Stało się tak z tej oczywistej przyczyny, że Eichmann został oskarżony o zbrodnie przeciwko narodowi żydowskiemu, nie dające się usprawiedliwić jakimikolwiek względami utylitarnymi. Żydów mordowano na obszarze całej Europy, nie tylko na Wschodzie, a ich unicestwienie nie było związane z jakimkolwiek dążeniem do zdobycia terytoriów "mogących być przydatnymi dla Niemców w celach kolonizacji". Wielką zasługą procesu, w którym centralne miejsce zajęła zbrodnia przeciwko narodowi żydowskiemu, było nie tylko to, że doprowadził on do ujawnienia różnicy pomiędzy takimi zbrodniami wojennymi jak rozstrzeliwanie partyzantów i zabijanie zakładników a "czynami nieludzkimi" w rodzaju "wysiedlania i unicestwiania" miejscowej ludności z myślą o stworzeniu dogodnych warunków dla akcji kolonizacyjnej najeźdźców. Różnica owa stała się na

357

tyle jasna, iż mogła być uwzględniona w przyszłym międzynarodowym kodeksie karnym. Zasługa procesu polegała także na tym, że sprecyzował on różnicę pomiędzy "nieludzkimi czynami" (popełnionymi w znanym, aczkolwiek zbrodniczym celu, jakim była na przykład kolonizacja drogą ekspansji) a "zbrodnią przeciwko ludzkości", której intencja i celnie miały precedensu. W żadnym jednak miejscu toczącego się postępowania sądowego w Jeruzolimie bądź wydanego orzeczenia nawet nie wspomniano o możliwości, że eksterminacja całych grup etnicznych - Żydów, Polaków czy Cyganów- stanowić mogła coś więcej niż zbrodnię przeciwko narodowi żydowskiemu, polskiemu czy cygańskiemu, skutkiem której ład międzynarodowy oraz rodzaj ludzki rozumiany jako pewna całość mógł zostać poważnie zagrożony i ponieść dotkliwy

uszczerbek.

Z niedomogiem tym ściśle wiązała się rzucająca się w oczy bezradność sędziów, jakiej doświadczyli w zetknięciu z zadaniem, przed którego podjęciem najtrudniej było im się uchylić: zadaniem zrozumienia przestępcy, którego mieli osądzić. Nie wystarczyło, rzecz jasna, że nie poszli oni w ślady oskarżycieli, którzy w sposób ewidentnie błędny przedstawili oskarżonego jako "perwersyjnego sadystę", nie wystarczyłoby także, gdyby posunęli się o krok dalej i wykazali sprzeczności tkwiące w argumentacji oskarżenia, którego przedstawiciel, pan Hausner, domagał się ukarania najbardziej nienormalnego potwora w dziejach świata, a zarazem ukarania w jego osobie "wielu podobnych do niego", a nawet "całego ruchu nazistowskiego i w ogóle antysemityzmu". Wiedzieli oni oczywiście, że istotnie byłoby rzeczą wielce wygodną uznać Eichmanna za potwora, choć przecież gdyby był nim rzeczywiście, wówczas argumenty wysunięte przeciwko niemu przez Izrael straciłyby

moc, a w każdym razie przestałyby budzić jakiegokolwiek zainteresowanie. Z pewnością bowiem trudno sobie wyobrazić, by komukolwiek udało

358

się zwrócić uwagę całego świata i zgromadzić korespondentów z czterech stron globu ziemskiego po to, by pokazać Sinobrodego na ławie oskarżonych. Kłopot z Eichmannem polegał na tym, że ludzi takich jak on było bardzo wielu, a nie byli oni sadystami ani osobnikami perwersyjnymi, byli natomiast - i wciąż są - okropnie i przerażająco normalni. Z punktu widzenia naszych instytucji prawnych oraz kryteriów oceny moralnej normalność owa była dużo bardziej przerażająca niż wszystkie potworności wzięte razem, gdyż oznaczała ona - o czym wielokrotnie mówili w Norymberdze podsądni i ich adwokaci - iż ów nowy rodzaj przestępcy, będący w istocie *hostis generis humani*, popełnia swoje zbrodnie w okolicznościach, które właściwie nieomal uniemożliwiają mu uświadomienie sobie lub poczucie, że czyni coś złego. Pod tym względem materiał dowodowy w sprawie Eichmanna był jeszcze bardziej przekonujący niż dowody przedstawione na procesie głównych zbrodniarzy wojennych, w wypadku których łatwiej można było odrzucić wysuwane przez nich twierdzenie o czystym sumieniu, gdyż argument posłuszeństwa wobec "rozkazów przełożonych" łączyli oni z rozmaitymi przechwałkami na temat sporadycznych aktów nieposłuszeństwa. Choć jednak niewiarygodność podsądnych była ewidentna, jedyną podstawą, na jakiej można było udowodnić, że ich sumienie obarcza winą, stanowił fakt, iż naziści - zwłaszcza zaś przestępcze organizacje, do których należał Eichmann - z tak wielką skwapliwością niszczyli w ciągu ostatnich miesięcy wojny dowody świadczące o ich zbrodniach. Podstawa ta okazała się dosyć chwiejna. Dowodziła ona tylko tego, że prawo dopuszczające masowe mordy nie zostało jeszcze - z racji swego bezprecedensowego charakteru - uznane przez inne narody, bądź -posługując się językiem nazistów -dowodziła tego, iż przegrali oni walkę o "wyzwolenie" ludzkości spod "władzy podludzi", a zwłaszcza spod dominacji Mędrców Syjonu, bądź też - mówiąc językiem normalnym - dowodzi-

359

ła jedynie świadomości klęski. Czy którykolwiek z podsądnych cierpiałby z powodu wyrzutów sumienia, gdyby wygrali?

Na czoło ważniejszych kwestii związanych z procesem Eichmanna wysunęło się przyjmowane we wszystkich współczesnych systemach prawnych założenie, że dla dokonania przestępstwa niezbędny jest zamiar wyrządzenia zła. Cywilizowany wymiar sprawiedliwości może niczym nie szczycić się bardziej niż uwzględnieniem owego czynnika subiektywnego. Jeśli czynnik ów nie występuje, jeżeli - bez względu na powody, choćby powodem była choroba zmysłu moralnego - osłabiona zostaje zdolność odróżniania dobra od zła, uznajemy, iż przestępstwo nie zostało popełnione. Odrzucamy - uznając je za barbarzyńskie - stanowisko, wedle którego "poważne przestępstwo zadaje gwałt naturze, do tego stopnia, że sama ziemia woła o pomstę; zło zakłóca naturalną harmonię, którą tylko kara może przywrócić, a na skrzywdzonej zbiorowości spoczywa względem ładu moralnego obowiązek wymierzenia kary przestępcy" (Yosal Rogat). Mimo to uważam, że nie da się zaprzeczyć, iż właśnie na gruncie owego dawno zapomnianego stanowiska postawiono przed sądem Eichmanna i że powyższe zapatrywania posłużyły w istocie za ostateczne uzasadnienie wymierzonej mu kary śmierci. Musiał zostać zlikwidowany, ponieważ brał udział i odegrał centralną rolę w przedsięwzięciu, którego jasnym celem była eliminacja z powierzchni ziemi niektórych "ras" ludzkich. Jeśli zaś prawdą jest, że "sprawiedliwości nie tylko musi się stać zadość, trzeba jeszcze, by dokonała się ona na oczach wszystkich" - to sprawiedliwość cechująca to, co stało się w Jerozolimie, ukazałaby się oczom wszystkich, gdyby sędziowie odważyli się przemówić do podsądnego mniej więcej tymi słowami:

"Oskarżony przyznał, że zbrodnia popełniona na narodzie żydowskim była największą wpisaną w dziejach,

przyznał się także do roli, jaką w niej odegrał. Powiedział jednak, że nigdy nie działał z pobudek niskich i nigdy nie przejawiał najmniejszej skłonności do zabijania kogokolwiek, nigdy nie żywił nienawiści do Żydów, a zresztą nie mógł postępować inaczej i nie czuje się winnym. Trudno nam w to uwierzyć, choć nie jest to niemożliwe; istnieją pewne - choć nieliczne - dowody przemawiające przeciwko oskarżonemu w owej kwestii pobudek i sumienia; dowody te nie nasuwają najmniejszych wątpliwości. Oskarżony stwierdził, że rola, jaką odegrał w Ostatecznym Rozwiązaniu miała charakter przypadkowy i prawie każdy mógłby zająć jego miejsce, wobec czego potencjalnie prawie wszyscy Niemcy są winni w równej mierze. Chciał przez to powiedzieć, że jeśli wszyscy lub prawie wszyscy są winni, to nikt nie jest winny. Zaiste, jest to wniosek zgoła powszechny, my jednak nie zamierzamy go podzielać. A jeśli oskarżony nie rozumie naszych zastrzeżeń, pragnęlibyśmy zwrócić jego uwagę na opowieść o Sodomie i Gomorze, dwóch sąsiadujących z sobą biblijnych miastach, które zniszczone zostały przez ogień zesłany z niebios, ponieważ wszyscy zamieszkujące je ludzie okazali się w równym stopniu winni. Dodajmy nawiasem, że nie ma to nic wspólnego z modnym ostatnio pojęciem »winy zbiorowej«, zgodnie z którym ludzie ponoszą rzekomo winę - bądź winę tę odczuwają - za czyny popełnione w ich imieniu, choć nie przez nich - czyny, w których nie uczestniczyli i z których nie czerpali żadnej korzyści. Innymi słowy, dla prawa wina i niewinność mają charakter obiektywny, i nawet gdyby 80 milionów Niemców postąpiło tak jak oskarżony, nie mogłoby to być dla oskarżonego usprawiedliwieniem.

Na szczęście nie musimy posuwać się aż tak daleko. Oskarżony sam stwierdził, że wina tych wszystkich, którzy żyli w państwie stawiającym sobie za główny cel polityczny usankcjonowanie niesłychanych zbrodni, ma charakter jedynie potencjalny, nie zaś rzeczywisty. Bez wzglę-

360

361

du zasną to, jakie zbiegi okoliczności natury obiektywnej bądź subiektywnej popchnęły oskarżonego na drogę czyniącą zeń zbrodniarza, zawsze istniała będzie przepaść pomiędzy rzeczywistym charakterem popełnionych przez niego czynów a potencjalnym charakterem czynów, jakie popełnić mogli inni. Zajmujemy się tutaj wyłącznie czynami popełnionymi przez oskarżonego, a nie jego pozbawionym być może charakteru przestępczego życiem wewnętrznym, oraz pobudkami, jakimi się kierował, a także potencjałem zbrodni tkwiącym w otaczających go ludziach. Oskarżony opowiedział o sobie językiem pechowca, my zaś - znając okoliczności sprawy - skłonni jesteśmy dać mu do pewnego stopnia wiarę, iż gdyby przyszło mu działać w dogodniejszej sytuacji, niewielkie byłoby prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek stanie przed obliczem naszym lub jakiegokolwiek innego sądu. Przypuśćmy - dla dobra rozważań - że to wyłącznie za sprawą pechowego losu oskarżony stał się chętnym narzędziem poczynań zmierzających do masowego mord; nie zmienia to w niczym faktu, że oskarżony wprowadzał w życie, a przeto czynnie popierał politykę masowej eksterminacji. Polityka bowiem to nie zakład opiekuńczy: w polityce posłuszeństwo i poparcie są jednym i tym samym. Podobnie zaś jak oskarżony popierał i wprowadzał w życie politykę wyrażającą niechęć do zamieszkiwania Ziemi wspólnie z narodem żydowskim i kilkoma innymi narodami - jak gdyby oskarżony i jego zwierzchnicy mieli jakiegokolwiek prawo decydować o tym, kto ma, a kto nie ma zamieszkiwać świata - tak samo i my doszliśmy do przekonania, że od nikogo, to znaczy od żadnego członka rodzaju ludzkiego, nie można oczekiwać, by pragnął

zamieszkiwać Ziemię wspólnie z oskarżonym. Z tej to - i tylko z tej - przyczyny oskarżonego należy powiesić".

Postscriptum

Książka ta zawiera sprawozdanie z procesu sądowego, a jej główne źródło stanowi zapis czynności procesowych udostępniony dziennikarzom w Jerozolimie. Z wyjątkiem mowy inauguracyjnej oskarżyciela oraz ogólnego wystąpienia obrońcy, stenogram procesu nie został opublikowany i jest trudno dostępny. Językiem używanym na sali sądowej był hebrajski; materiały udostępnione prasie określono jako "redakcyjnie nieopracowany i nieprzejrany zapis dokonywanego równoległe tłumaczenia", którego "nie należy uważać za stylistycznie doskonały bądź wolny od błędów językowych". Korzystałam wszędzie z wersji angielskiej, prócz tych wypadków, gdy czynności odbywały się w języku niemieckim, tam zaś, gdzie w zapisie niemieckim występowały sformułowania w tymże języku, pozwoliłam sobie przetłumaczyć je sama.

Pomijając wystąpienie oskarżyciela oraz werdykt końcowy, których przekład przygotowano poza salą sądową, niezależnie od tłumaczenia równoległego, na żadnym z tych zapisów nie można polegać całkowicie. Jediną wersją autorytatywną jest oficjalny zapis hebrajski, z którego nie korzystałam. Wszystkie te materiały zostały wszakże oficjalnie przekazane do użytku sprawozdawców, o ile zaś wiem, nie wykazano dotąd żadnych istotnych rozbieżności pomiędzy oficjalnym zapisem hebrajskim a jego przekładem. Równoległe tłumaczenie niemieckie było bardzo kiepskie, wolno jednak przypuszczać, że tłumaczenia na język angielski i francuski są godne zaufania.

Żadnych wątpliwości tego rodzaju, odnoszących się do wiarygodności źródeł, nie nasuwają następujące materiały

363

procesowe, udostępnione również - z jednym wyjątkiem - przez władze jerozolimskie przedstawicielom prasy:

1) Zapis prowadzonych przez policję po niemiecku przesłuchań Eichmanna, nagranych na taśmę, przepisanych i przedstawionych w formie maszynopisu Eichman-nowi, który dokonał własnoręcznych jego poprawek. Jest to - obok zapisu czynności procesowych - najważniejszy z dokumentów odnoszących się do procesu.

2) Dokumenty przedstawione przez oskarżenie oraz udostępnione przez nie "materiały o charakterze prawniczym".

3) Szesnaście zaprzysiężonych zeznań złożonych przez świadków powołanych pierwotnie przez obronę, choć częściowo wykorzystanych następnie przez oskarżenie. Świadcami tymi byli: Erich von dem Bach-Zelewski, Richard Baer, Kurt Becher, Horst Grell, dr Wilhelm Höttl, Walter Huppenkothen, Hans Jüttner, Herbert Kappler, Hermann Krumei, dr Max Merten, Franz Novak, Alfred Josef Slawik, profesor Alfred Six, dr Eberhard von Thadden, dr Edmund Yeesenmayer, Otto Winkelmann.

4) Dysponowałam także liczącym siedemdziesiąt stron maszynopisem sporządzonym przez samego Eichmanna. Przedstawiło go w charakterze materiału dowodowego oskarżenie, sąd zaś włączył go do akt sprawy, ale nie udostępnił prasie. Oto jego tytuł w tłumaczeniu z niemieckiego: "Dotyczy: moje uwagi na temat »kwestii żydowskiej oraz kroków podjętych przez Narodowosocjalistyczny Rząd Rzeszy Niemieckiej w związku z rozwiązaniem tego problemu w latach 1933-1945«". Maszynopis ten zawiera notatki sporządzone przez Eichmanna w Argentynie podczas przygotowań do rozmów z Sassenem (zob. Bibliografię).

Bibliografia obejmuje tylko te materiały, z których rzeczywiście korzystałam, pomija zaś niezliczoną ilość książek, artykułów i relacji prasowych, które przeczytałam i zgromadziłam w ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od

porwania Eichmanna do jego egzekucji. Niekompletności tej można żałować jedynie w odniesieniu do relacji sprawozdawców prasy niemieckiej, szwajcarskiej, francuskiej i amerykańskiej, ponieważ często przewyższały one znacznie poziomem dużo bardziej pretensjonalny sposób potraktowania tematu w książkach i czasopismach, wypełnienie jednak owej luki byłoby zadaniem o skali nieproporcjonalnie wielkiej. Poprzestałam przeto na dołączeniu do bibliografii zamieszczonej w niniejszym przejrzanym wydaniu mej książki wyboru książek i artykułów, jakie ukazały się po jej opublikowaniu, jeśli na ich treść składało się coś więcej niż przedstawienie w nowej szacie znanych tez oskarżenia. Na liście tej znajdują się dwie relacje z procesu prowadzące nierzadko do wniosków uderzająco podobnych do moich oraz studium dotyczące czołowych osobistości Trzeciej Rzeszy, które to prace włączam niniejszym do moich materiałów źródłowych. Są to Roberta Pendorfa *Mörder und Ermordete. Eichmann und die Judenpolitik des Dritten Reiches*, dotycząca również roli, jaką w Ostatecznym Rozwiązaniu odegrały rady żydowskie; Strafsache 40/61 sprawozdawcy holenderskiego Harry'ego Mulischa (korzystałam z przekładu niemieckiego), który jako niemal jedyny spośród autorów piszących na ten temat umieścił w centrum swej relacji osobę oskarżonego, a jego ocena Eichmanna zbiega się z moją w kilku istotnych punktach; wreszcie zaś znakomite portrety czołowych nazistów zawarte w niedawno wydanej książce J. C. Festa *Zte Gesicht des Dñtten Reiches*; Fest jest znawcą przedmiotu, a sformułowane przez niego sądy odznaczają się wysokim poziomem.

Problemy, w obliczu których staje autor sprawozdania, dają się najlepiej porównać z tymi, jakie towarzyszą pisaniu monografii historycznej. W obu wypadkach z charakteru podjętej pracy wynika konieczność dokonania wyraźnego rozróżnienia wykorzystanych materiałów na źródła podstawowe i drugorzędne. Ze źródeł podstawo-

364

365

wych można korzystać jedynie w odniesieniu do właściwego tematu - w tym wypadku do samego procesu - podczas gdy materiał o znaczeniu drugorzędnym czerpie się z wszelkich informacji składających się na tło historyczne. Tak więc nawet te dokumenty, które cytowałam, zostały z bardzo nielicznymi wyjątkami przedstawione na procesie w charakterze materiału dowodowego (w którym to wypadku stanowiły one źródła podstawowe) bądź też pochodzą z kompetentnych książek zajmujących się interesującym mnie okresem. Jak można się zorientować na podstawie tekstu, korzystałam z książki Geralda Reitlingera *The Final Solution*, a w jeszcze większym stopniu odwoływałam się do dzieła Raula Hilberga *The Destruction of the European Jews*, które ukazało się po procesie i stanowi najbardziej wyczerpującą i najlepiej udokumentowaną relację na temat polityki żydowskiej Trzeciej Rzeszy.

Książka ta jeszcze przed opublikowaniem stała się zarówno przedmiotem kontrowersji, jak i zorganizowanej kampanii. Jest rzeczą całkiem naturalną, że kampania owa - prowadzona w oparciu o dobrze znane metody kreowania wyobrażeń i manipulowania opinią publiczną

- skupiła na sobie dużo większą uwagę niż kontrowersja, skutek czego tę ostatnią wchłonął niejako i zagłuszył sztuczny zgiełk tej pierwszej. Szczególnej wyrazistości nabrało to wówczas, gdy osobliwy melanz kampanii i kontrowersji, posługującej się niemal identyczną frazeologią

-jak gdyby teksty wymierzone w tę książkę (a jeszcze częściej w jej autorkę) wysypały się "z powielacza" (Mary McCarthy) - przeniósł się z Ameryki do Anglii, następnie zaś do Europy kontynentalnej, gdzie książka nie była jeszcze dostępna. Było to możliwe dlatego, że wrzawa skupiła się wokół "wyobrażenia" o książce, której nigdy nie napisałam i dotknęła zagadnień, o których nie tylko nie wspomniałam, lecz nawet nigdy przedtem nie myślałam.

Dyskusja -jeśli można ją tak nazwać - nie była bynajmniej bezinteresowna. Manipulowanie opinią publiczną - w tej mierze, w jakiej inspirowane jest ono wyraźnie określonymi interesami - ma cele ograniczone, skutek jednak, jaki wywiera, jeśli dotknie akurat spraw budzących autentyczne zainteresowanie, wymyka się już spod kontroli manipulatorów i z łatwością wywołuje następstwa, których nigdy nie przewidywali, ani nie zamierzali. Okazało się oto, że okres rządów Hitlera - wraz z towarzyszącymi mu nie mającymi precedensu gigantycznymi zbrodniami - stanowi przeszłość, której nie zdołali "opanować" nie tylko Niemcy czy Żydzi na całym świecie, lecz także członkowie wszystkich pozostałych narodów, które nie zapomniały także tej wielkiej katastrofy w samym sercu Europy, ani nie zdołały się z nią pogodzić. Nadto - a tego spodziewano się być może w jeszcze mniejszym stopniu - ogólne zagadnienia moralne, ze wszystkimi swymi zawłościami i w całej swej typowej dla czasów nowożytnych złożoności (a nigdy bym nie przypuszczała, że zagadnienia te zaprzatają dziś ludzkie umysły i kładą się ciężkim brzemieniem na ludzkich sercach) wysunęły się nagle na pierwszy plan publicznej debaty.

Kontrowersję zapoczątkowało zwrócenie uwagi na zachowanie się narodu żydowskiego podczas Ostatecznego Rozwiązania; stanowiło to nawiązanie do pytania, postawionego po raz pierwszy przez izraelskiego oskarżyciela, czy Żydzi mogli lub powinni byli wystąpić we własnej obronie. Oddaliłam to pytanie jako głupie i okrutne, gdyż świadczyło o zupełnej nieznajomości ówczesnej sytuacji. Doczekało się ono obecnie wyczerpującego przedyskutowania; wyciągnięto przy tym najbardziej zdumiewające wnioski. W celu wytłumaczenia zachowań, które bynajmniej nie ograniczały się do narodu żydowskiego, toteż nie można ich wyjaśniać czynnikami specyficznymi żydowskimi - wywleczono dobrze znany konstrukt histo-ryczno-socjologiczny w postaci "mentalności getta" (któ-

367

366

ry w Izraelu trafił do podręczników historii, w Stanach Zjednoczonych znalazł czołowego orędownika w osobie psychologa Brunona Bettelheima, wywołując wściekły protest ze strony oficjalnego judaizmu amerykańskiego). Sugestie tego rodzaju mnożyły się aż do momentu, gdy ktoś najwyraźniej znudzony całą tą debatą wpadł na genialny pomysł odwołania się do teorii Freuda i przypisał narodowi żydowskiemu "pragnienie śmierci" - rzecz jasna, podświadome. Oto do jakiego nieoczekiwanego wniosku zechcieli dojść niektórzy recenzenci opierający się na "wyobrażeniu" wytworzonym przez pewne grupy interesu, a (dotyczącym mej książki, w której wysunęłam rzekomo twierdzenie, jakoby Żydzi wymordowali się sami. Czemu zaś dopuściłam się tak upiornie nieprawdopodobnego kłamstwa? Rzecz jasna - "z nienawiści do narodu żydowskiego").

Na procesie poruszona została sprawa roli, jaką odegrali przywódcy żydowscy, ponieważ zaś relacjonowałam i komentowałam proces, było rzeczą nieuniknioną, że należało się zastanowić i nad tym zagadnieniem. Jest to moimi zdaniem zagadnienie poważne, ale dyskusja niewiele wniosła do jego wyjaśnienia. Jak tego dowodzi odbyty niedawno w Izraelu proces niejakiego Hirscha Birn-blattai, byłego szefa policji żydowskiej w pewnym polskim miasteczku, obecnie zaś dyrygenta izraelskiej Opery Narodowej, skazanego

najpierw na pięć lat więzienia przez sąd okręgowy, a następnie uniewinnionego przez jerozolimski Sąd Najwyższy, którego jednomyślnie przyjęty werdykt pośrednio uwolnił od winy wszystkie rady żydowskie - establishment żydowski jest w tej sprawie mocno podzielony. Najdonośniejszym głosem odezwali się jednak w tej dyskusji ci jej uczestnicy, którzy albo utożsamiają naród żydowski z jego przywódcami - co pozostaje w rażącej sprzeczności z jasnym rozróżnieniem występującymi w niemal wszystkich relacjach osób ocalałych, które zwiędle można ująć słowami byłego więźnia Tereżina:

"Naród żydowski jako całość zachował się wspaniale. Zawiedli tylko jego przywódcy" - albo usprawiedliwiają funkcjonariuszy żydowskich, przytaczając wszelkie ich chwalebne zasługi, jakie oddali oni przed wojną, zwłaszcza zaś przed okresem Ostatecznego Rozwiązania, jakby nie było żadnej różnicy między pomaganiem Żydom chcącym emigrować a pomaganiem nazistom w deportacji Żydów.

O ile sprawy te istotnie wiązały się w pewnym stopniu z niniejszą książką, choć nadano im rozmiary zgoła nieproporcjonalne, o tyle pojawienie się innych kwestii nie miało z nią związku absolutnie żadnego. Odbyla się na przykład gorąca dyskusja na temat niemieckiego ruchu oporu od momentu objęcia władzy przez Hitlera, czym naturalnie się nie zajmowałam, bo zagadnienie sumienia Eichmanna oraz panującej wokół niego sytuacji odnosi się jedynie do czasów wojny i Ostatecznego Rozwiązania. Pojawiły się jednak rzeczy jeszcze bardziej niesamowite. Spora liczba dyskutantów zajęła się problemem, czy ofiary prześladowań nie bywają "wstrętniejsze" niż ich oprawcy i czy ktoś, kto był wówczas nieobecny, ma prawo "osądzać" przeszłość lub czy centralne miejsce na procesie zajmuje oskarżony czy ofiara. W związku z tą ostatnią kwestią niektórzy posunęli się do stwierdzenia, że nie tylko niesłusznie okazałam zainteresowanie osobowością Eichmanna, ale że w ogóle nie powinno się być pozwolić mu mówić - czyli że proces powinien się odbyć bez udziału jakichkolwiek obrońców.

Jak to często bywa z dyskusjami, którym towarzyszą objawy wielkiego rozemocjonowania, przyziemne interesy pewnych grup, których ekscytacja wiąże się wyłącznie z ustaleniem stanu faktycznego, wskutek czego usiłują one zniekształcić fakty - splotły się rychło i nierozdzielnie z nieskrępowanymi fantazjami intelektualistów, których - dokładnie na odwrót - fakty wcale nie interesują, gdyż są one dla nich jedynie pożywką służącą snuciu "idei". Ale nawet w tych pozornych utarczках można było nie-

368

369

rzadko natrafić na ślad powagi, na pewne przejawy autentycznego zatroskania i to nawet u tych ludzi, którzy chwalili się tym, że nie przeczytali mojej książki i przyrzekli, że nie uczynią tego nigdy.

W porównaniu z tematyką tych dyskusji, które tak bardzo oddaliły się od punktu wyjścia, sama książka zajmuje się tematem nader ograniczonym. Sprawozdanie z procesu może zawierać omówienie jedynie tych spraw, które poruszono podczas jego trwania bądź które należało poruszać w interesie sprawiedliwości. Jeśli zdarzy się tak, że ogólna sytuacja kraju, w którym odbywa się proces, ma istotne znaczenie dla jego przebiegu, wówczas i ją trzeba wziąć pod uwagę. Książka ta nie zajmuje się zatem historią największej katastrofy w dziejach narodu żydowskiego, nie jest rozprawą o totalitaryzmie ani historią narodu niemieckiego w okresie Trzeciej Rzeszy, nie jest też bynajmniej teoretycznym traktatem o naturze zła. Punkt ciężkości każdego procesu skupia się na osobie oskarżonego, który jest istotą z krwi i kości, posiadającą własne dzieje indywidualne i obdarzoną zawsze na swój sposób wyjątkowym

zespołem cech, specyficznych właściwości, sposobów zachowania i okoliczności. Wszystko co poza to wykracza - a więc dzieje narodu żydowskiego w diasporze, historia antysemityzmu lub zachowanie się narodu niemieckiego czy innych narodów, albo ówczesne ideologie i aparat administracyjny Trzeciej Rzeszy- ma wpływ na proces tylko w tej mierze, w jakiej współtworzy tło oraz warunki, w których oskarżony popełnił swe czyny. Wszystko to natomiast, z czym oskarżony się nie zetknął, ani co na niego nie oddziało, musi zostać pominięte podczas czynności procesowych, a zatem musi je także pominąć dotycząca procesu relacja.

Można wysunąć argument, że wszelkie pytania natury ogólnej, jakie nasuwają się nam mimowolnie w momencie, gdy zaczynamy zastanawiać się nad tymi sprawami -dlaczego musieli to być Niemcy? Dlaczego musiało to spo-

370

tkać Żydów? Jaka jest istota rządów totalitarnych? - są o wiele ważniejsze niż problem rodzaju zbrodni, za jaką sądzi się człowieka, czy zagadnienie osobistej natury pod-sądnego, któremu trzeba wymierzyć sprawiedliwość, a także ważniejsze niż kwestia stopnia sprawności, z jaką nasz obecny system wymiaru sprawiedliwości może sobie poradzić z owym szczególnym typem zbrodni i zbrodniarzy, z jakimi ma on do czynienia od chwili wybuchu II wojny światowej. Można utrzymywać, że nie chodzi już o poszczególnego człowieka, pojedynczą istotę ludzką na ławie oskarżonych, lecz raczej o naród niemiecki w ogólności lub o antysemityzm we wszystkich jego formach, o całą nowożytną historię, bądź o naturę człowieka i grzech pierworodny - aż w efekcie końcowym obok pod-sądnego miejsce na ławie oskarżonych zajmie w sposób niedostrzegalny dla oka cały rodzaj ludzki. Wszystkie te argumenty wysuwano często, a czynią to zwłaszcza ci, którzy nie spoczną, póki nie wykryją "Eichmanna w każdym z nas". Jeśli oskarżonego traktuje się jako symbol, proces zaś jako pretekst, by poruszyć sprawy pozornie ciekawsze niż kwestia winy czy niewinności jednego człowieka, to logika wymaga, byśmy skłonili czoła przed twierdzeniem wysuniętym przez Eichmanna i jego obrońcę -że mianowicie postawiono go przed sądem, bo potrzebny był kozioł ofiarny i to nie tylko ze względu na Republikę Federalną Niemiec, lecz także ze względu na wszystko co zaszło i co umożliwiło owe wydarzenia, to znaczy zarówno ze względu na antysemityzm i rządy totalitarne, jak i rodzaj ludzki i grzech pierworodny.

Zbyteczne dodawać, że nigdy nie byłabym się wybrała do Jerozolimy, gdybym podzielała te poglądy. Byłam i jestem zdania, że do tego procesu musiało dojść w interesie sprawiedliwości i niczym innym. Sądzę także, że słuszne było podkreślenie przez sędziów w wydanym przez nich orzeczeniu, że "Państwo Izrael zostało stworzone i uznane jako państwo Żydów", a zatem władne było osądzić

371

zbrodnię przeciwko narodowi żydowskiemu; w kontekście zaś konsternacji, jaka panuje obecnie w kołach prawniczych w związku ze znaczeniem i użytecznością orzeczonej kary, rada byłam, że w wyroku powołano się na Gro-tiusa, który ze swej strony zacytował dawniejszego autora, wyjaśniając, że kara jest niezbędna dla "obrony czci bądź powagi osoby, która w wyniku przestępstwa doznała szkody, ażeby w wypadku jego nieukarania nie doszło do poniżenia osoby poszkodowanej".

Nie ma oczywiście wątpliwości co do tego, że zarówno osoba oskarżonego i charakter jego czynów, jak i sam proces nasuwają problemy natury ogólnej wykraczające znacznie poza zakres spraw rozpatrywanych w jerozolimie. Spróbowałam rozważyć je głębiej w epilogu nie mającym już charakteru zwykłej relacji. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby sposób, w jaki ujęłam te problemy, został uznany za nieadekwatny i powitałabym z radością dyskusję dotyczącą ogólnego znaczenia całego zespołu faktów, dyskusję, która miałaby tym większy sens, im

bardziej bezpośrednio nawiązywałyby do konkretnych wydarzeń. Nietrudno mi również wyobrazić sobie autentyczną polemikę, jaką mógłby spowodować podtytuł książki, kiedy bowiem mówię o banalności zła, czynię to jedynie na poziomie ściśle faktograficznym, wskazując na zjawisko, w obliczu którego stanęliśmy na procesie. Eichmann nie był Jagonem ani Makbetem i nigdy nie powstało mu w głowie, by - w ślad za Ryszardem III - postanowić, że "okaze się łajdakiem". Pomijając to, że z niezwykłą pilnością zabiegał o postępy osobistej kariery, nie kierował się żadnymi pobudkami. W samej zaś jego pilności nie było niczego zbrodniczego, z pewnością nie zamordowałby swego przełożonego, by zająć jego stanowisko. Nazywając rzecz językiem potocznym -on po prostu nie wiedział, co robi. To właśnie dzięki owemu brakowi wyobraźni mógł siedzieć całymi miesiącami przed obliczem niemieckiego Żyda prowadzącego policyjne przesłuchanie, wywnę-

trzając się przed tym człowiekiem i tłumacząc mu w nieskończoność, jak to się stało, że doszedł w SS jedynie do rangi podpułkownika i że to nie z jego winy nie przyznawano mu awansu. Właściwie wiedział doskonale, o co w tym wszystkim chodziło, a w swym wystąpieniu przed sądem wspominał o "rewizji wartości zalecanych przez władze [nazistowskie]". Nie był głupcem. To czysta bezmyślność-której bynajmniej nie należy utożsamiać z głupotą - predysponowała go do odegrania roli jednego z największych zbrodniarzy tamtego okresu. Jeśli zaś jest to "banalne", czy wręcz śmieszne, jeśli nawet przy najlepszej woli nie sposób odkryć u Eichmanna żadnej diabelskiej czy demonicznej głębi, daleko tu jeszcze do nazwania tego czymś zwyczajnym. Nie ma bowiem niczego zwyczajnego w tym, że człowiekowi, któremu śmierć zagląda w oczy i który stoi już u stóp szubienicy, przychodzi na myśl jedynie to, czego nasłuchał się przez całe życie na pogrzebach i że owe "wzniosłe słowa" mogą mu do tego stopnia przesłonić rzeczywistość jego własnej śmierci. Na tym, że tak zupełne oderwanie od rzeczywistości i taka bezmyślność mogą spowodować większe spustoszenie niż wszystkie złe instynkty razem wzięte, a przyrodzone być może człowiekowi - na tym właśnie polegała w istocie lekcja, jaką można było odebrać w Jerozolimie. Ale lekcja -a nie wyjaśnienie zjawiska, ani wysnuta na jego temat teoria.

Pozornie bardziej skomplikowane, w rzeczywistości jednak dużo prostsze niż badanie dziwnej współzależności zła i bezmyślności, jest zagadnienie rodzaju zbrodni, o jaką tu chodzi, i to zbrodni, jak wszyscy zgodnie orzekają, bezprecedensowej. Albowiem pojęcie ludobójstwa - wprowadzone właśnie na oznaczenie nieznanego dotąd rodzaju zbrodni - choć do pewnego stopnia dające się zastosować, nie jest jednak w pełni adekwatne, gdyż masakry dokonywane na całych narodach nie są bezprecedensowe. Na porządku dziennym występowały one w sta-

373

372

rożytności, a stulecia kolonizacji i imperializmu dostarczają licznych przykładów podejmowania prób tego rodzaju uwieńczonych mniejszym lub większym powodzeniem. Wydaje się, że wyrażenie "masakry administracyjne" lepiej przystaje do rzeczywistości. Określenie to powstało w związku z imperializmem brytyjskim; Anglicy świadomie zaniechali stosowania tego rodzaju praktyk jako sposobu zachowania swego panowania w Indiach. Wyrażenie to ma tę zaletę, że rozwiewa złudzenia, iż równie potworne czyny mogą być wymierzone wyłącznie w obcy naród lub inną rasę. Dobrze znany jest fakt, że Hitler rozpoczął akcję masowych mordów od przyznania "śmierci z łaski" "nieuleczalnie chorym", ostatnim zaś etapem swych planów eksterminacyjnych zamierzał uczynić likwidację Niemców "z uszkodzeniami genetycznymi" (osoby cierpiące na choroby serca i płuc). Zresztą

poza wszystkim jest rzeczą oczywistą, że zabójstwami tego rodzaju można objąć jakąkolwiek grupę ludzi, co oznacza, że zasada doboru zależy wyłącznie od przygodnych okoliczności. Łatwo można sobie wyobrazić, że w zautomatyzowanej ekonomice nieodległej przyszłości ludzie mogą ulec pokusie zgładzenia wszystkich osób, których iloraz inteligencji plasuje się poniżej pewnego poziomu.

W Jerozolimie sprawę tę rozpatrzono w sposób niedostateczny, gdyż w istocie bardzo trudno ująć ją w kategoriach prawnych. Usłyszeliśmy tam sprzeciw obrony, twierdzącej, że Eichmann był przecież ostatecznie jedynie "trybikiem" w maszynie Ostatecznego Rozwiązania, a także sprzeciw oskarżenia, które uważało, iż był on w rzeczywistości jej siłą napędową. Osobiście nie przywiązywałam do obu tych tez większego znaczenia niż uczynił to sąd jerozolimski, ponieważ teoria trybika nie ma z prawnego punktu widzenia najmniejszego sensu, a zatem nie ma żadnego znaczenia, jakie rozmiary przypiszemy "trybowi" nazwiskiem Eichmann. Sąd przyznał oczywiście w swym orzeczeniu, że taką zbrodnię może

popęłnić jedynie gigantyczny aparat biurokratyczny korzystający ze wsparcia władz. W tej mierze jednak, w jakiej pozostaje ona zbrodnią - a na takiej przesłance opiera się naturalnie proces - wszystkie tryby maszyny, choćby najmniej istotne, ulegają przed sądem przestoczeniu w sprawców czynu, to znaczy w istoty ludzkie. Jeśli oskarżony tłumaczy się tym, że występował wyłącznie w roli funkcjonariusza, którego funkcje bez trudu mógł być spełnić ktokolwiek inny i że nie ma to związku z jego człowieczeństwem, to dzieje się tak, jakby przestępca odwoływał się do statystyk przestępczości - informujących, że w tym a tym miejscu popełnia się dziennie tyle a tyle przestępstw - oświadczając, że postąpił on zgodnie ze statystycznymi prognozami i tylko przypadek sprawił, że to on, a nie ktoś inny jest sprawcą czynu, który i tak musiał zostać przez kogoś popełniony.

Jest oczywiście rzeczą istotną dla nauk politycznych i społecznych, że istota rządów totalitarnych, a może także każdej biurokracji, polega na sprowadzeniu ludzi do roli funkcjonariuszy i samych tylko trybów maszyny administracyjnej, przez co ulegają oni odczłowieczeniu. Można też z korzyścią prowadzić długie debaty na temat rządów Nikogo, do których sprowadza się w istocie ów twór polityczny, jakim jest biurokracja. Trzeba wszakże zdać sobie jasno sprawę z tego, że wymiar sprawiedliwości może uwzględnić owe czynniki jedynie w tej mierze, w jakiej stanowią one okoliczności przestępstwa - jak choćby w przypadku kradzieży, kiedy to bierze się pod uwagę sytuację materialną złodzieja, nie usprawiedliwiając bynajmniej kradzieży, a tym bardziej nie puszczając jej w niepamięć. Prawda, że za sprawą nowoczesnej psychologii i socjologii, nie mówiąc o nowoczesnej biurokracji, przyzwyczajaliśmy się bardzo do uwalniania sprawcy od odpowiedzialności za popełniony przezeń czyn, interpretując go w kategoriach takiego czy innego determinizmu. Można się spierać o to, czy te pozornie głębsze wyjaśnienia

374

375

ludzkiego działania są słuszne czy nie. Nie podlega wszakże dyskusji, że na ich podstawie, nie dałoby się skonstruować jakiegokolwiek przewodu sądowego, a wymiar sprawiedliwości - z punktu widzenia takich teorii - jest instytucją szalenie nienowoczesną, by nie powiedzieć - przestarzałą. Słowa Hitlera, który stwierdził, że nadejdzie w Niemczech dzień, kiedy człowiek będzie się "wstydził", że jest prawnikiem, odpowiadały w pełni żywionemu przezeń marzeniu o biurokracji doskonałej.

Wydaje mi się, że prawoznawstwo rozporządza w odniesieniu do całego tego zespołu zagadnień jedynie dwiema kategoriami, z których obie są, jak sądzę, niezbyt przydatne w

rozpatrzeniu problemu. Mam na myśli pojęcia "aktów państwowych" oraz czynów popełnionych "na polecenie zwierzchników". W każdym razie właśnie w oparciu o te kategorie rozpatruje się podobne sprawy na procesach tego rodzaju, zwykle na wniosek oskarżonego. Teoria "aktów państwowych" opiera się na założeniu, że dane państwo nie może osądzać innego suwerennego państwa -par in parem non habet jurisdictionem. W praktyce argumentu tego poniechano już w Norymberdze, nie miał on od początku żadnych szans powodzenia, gdyby bowiem został przyjęty, nie można byłoby postawić przed sądem nawet Hitlera, jedyne go człowieka ponoszącego rzeczywistą odpowiedzialność w pełnym znaczeniu; taki stan rzeczy byłby pogwałceniem najbardziej elementarnego poczucia sprawiedliwości. Z tego jednak, że jakiś argument nie ma w praktyce żadnych widoków powodzenia, nie musi wynikać, że zostaje on obalony na płaszczyźnie teoretycznej. Typowe wybiegi-że Niemcy w okresie Trzeciej Rzeszy znalazły się pod władaniem bandy zbrodniarzy, których trudno uznać za suwerennych partnerów -były mało przydatne. Z jednej strony bowiem wiadomo powszechnie, że analogia z bandą zbrodniarzy znajduje tak ograniczone zastosowanie, że właściwie nie daje się jej w ogóle zastosować, z drugiej zaś strony, zbrodnie te

popełnione zostały niewątpliwie w ramach pewnego "prawnego" porządku. To stanowiło w istocie ich zasadniczą cechę charakterystyczną.

Może uda się nam zbliżyć nieco bardziej do sedna sprawy, jeśli uprzytomnimy sobie, że odwrotną stroną pojęcia "aktów państwowych" jest teoria racji stanu. Wedle niej działania podjęte przez państwo, które odpowiedzialne jest za stan kraju, a przeto również za istniejący w nim system prawny, nie podlegają tym samym regułom co czyni jego obywatele. Podobnie jak praworządność - choć jej celem jest likwidacja przemocy i wojny wszystkich ze wszystkimi-wymaga zawsze środków przemocy mających zagwarantować jej istnienie, tak samo i rząd może zostać zmuszony do podjęcia działań uważanych powszechnie za przestępcze w celu ocalenia siebie i praworządności. W ten sposób uzasadnia się wojny, ale przestępcze działania państwa mogą wystąpić nie tylko w dziedzinie stosunków międzynarodowych, a historia narodów cywilizowanych zna liczne ich przykłady: od zabójstwa księcia D'Enghien dokonanego na rozkaz Napolena po zamordowanie przywódcy włoskich socjalistów Matteottiego, za które osobistą odpowiedzialność ponosił najprawdopodobniej Mussolini.

Racja stanu odwołuje się - czasem słusznie, a czasem niesłusznie - do wyższej konieczności, a przestępstwa popełnione przez państwo w jej imię (wyczerpujące w pełni znamiona przestępczości w rozumieniu systemu prawnego obowiązującego w kraju, gdzie je popełniono) uważane są za środki nadzwyczajne, ustępstwa poczynione wobec surowych wymogów Realpolitik w celu zachowania władzy i zapewnienia tym samym trwania istniejącego porządku prawnego jako pewnej całości. W ramach normalnego systemu prawnopolitycznego zbrodnie takie mają charakter wyjątku od reguły i nie podlegają karze (niemiecka teoria prawa określa je mianem gerichtsjurei), gdyż w grę wchodzi istnienie samego państwa, za-

376

377

den zaś zewnętrzny twór polityczny nie może odmawiać państwu prawa do istnienia ani określać sposobu, w jaki ma się ono ratować. W wypadku jednak państwa opartego na zbrodniczych zasadach -jak mogliśmy się przekonać na podstawie polityki żydowskiej Trzeciej Rzeszy - sytuacja ta ulega odwróceniu. Akt pozbawiony cech przestępstwa (na

przykład wydany przez Himmlera późnym latem 1944 roku rozkaz wstrzymania deportacji Żydów) staje się wówczas ustępstwem wobec wymogów, jakie dyktuje rzeczywistość, w tym wypadku zbliżająca się klęska. Powstaje tu pytanie: na czym polega istota suwerenności tworu tego rodzaju? Czyż nie dopuścił się on pogwałcenia zasady równorzędności (par in parem non habet jurisdictionem) zagwarantowanej przez prawo międzynarodowe? Czy zasada par in parem nie wyraża suwerenności w sposób czysto zewnętrzny? Czy wynikają z niej także rzeczywista równość i podobieństwo? Czy wolno nam zastosować tę samą zasadę, jaka odnosi się do systemu rządów, w którym zbrodnia i przemoc stanowią wyjątek i występują jedynie w sytuacjach skrajnych, do porządku politycznego, w którym zbrodnia jest usankcjonowaną prawnie regułą?

Nieadekwatność pojęć prawniczych w zetknięciu z rzeczywistością zbrodniczych faktów będących przedmiotem wszystkich tego rodzaju procesów sądowych ujawnia się jeszcze dobitniej w wypadku czynów popełnionych na polecenie przełożonych. Sąd jerozolimski odrzucił ów argument wysunięty przez obronę, cytując obficie kodeksy prawne i wojskowe krajów cywilizowanych, zwłaszcza niemieckie, albowiem pod rządami Hitlera stosowne przepisy prawne nie zostały bynajmniej uchylone. Wszystkie zgadzają się co do jednego: rozkazów o charakterze jawnie przestępczym nie wolno wykonywać. Sąd powołał się ponadto na wypadek, jaki kilka lat temu miał miejsce w Izraelu: postawiono przed sądem żołnierzy, którzy na krótko przed rozpoczęciem kampanii synajskiej dopuści-

li się masakry cywilnych mieszkańców nadgranicznej osady arabskiej. Wieśniacy ci przebywali poza swymi domami w czasie godziny policyjnej, o której wprowadzeniu, jak się okazało, nic nie wiedzieli. Analogia owa przy bliższym zbadaniu okazuje się niestety z dwóch względów nietrafna. Przede wszystkim musimy ponownie uświadomić sobie, że związek pomiędzy zasadą i wyjątkiem, mający podstawowe znaczenie dla ustalania zbrodniczego charakteru rozkazu wykonanego przez podwładnego uległ w wypadku działań Eichmanna odwróceniu. Tak więc w oparciu o ten argument można by w istocie bronić niewykonania przez Eichmanna niektórych rozkazów Himmlera bądź opieszałości, z jaką je wykonał - stanowiły one oczywisty wyjątek od panującej reguły. W wyroku sąd uznał to za okoliczność szczególnie obciążającą oskarżonego, co z pewnością można było łatwo zrozumieć, trudno jednak dopatrzeć się w tym konsekwencji. Widać to wyraźnie w przytoczonych przez sędziów na poparcie ich stanowiska ustaleniach izraelskich sądów wojskowych. Brzmiały one następująco: rozkaz, którego nie wolno wykonać, musi być w "oczywisty sposób sprzeczny z prawem"; bezprawność owa "powinna łopotać nad nim jak czarna flaga lub znak ostrzegawczy z napisem »zabronione«". Innymi słowy, rozkaz ów - aby żołnierz mógł go uznać za "jawnie bezprawny" - musi przez swą niecodzienność naruszać kanony systemu prawnego, do jakiego jest on przyzwyczajony. Prawodawstwo izraelskie zbiega się w tej kwestii całkowicie z prawodawstwami innych krajów. Formułując stosowne artykuły, prawodawca miał niewątpliwie na uwadze sytuacje, w których oficer wpada nagle w obłęd i rozkazuje swym podkomendnym zabić innego oficera. Na każdym normalnym procesie rozpatrującym podobny przypadek od razu będzie jasne, że od żołnierza nie wymaga się wówczas, by wsłuchał się w głos własnego sumienia albo odwołał się do "poczucia praworządności tkwiącego głęboko w sumieniu każdego czło-

378

379

wieka, również i tych ludzi, którzy nie posiadają gruntownej znajomości prawa, [...] pod warunkiem, że nie są ślepi, a ich serce nie stwardniało na kamień i nie uległo zepsuciu". Od

żołnierza owego oczekuje się raczej, że potrafi odróżnić regułę i rażący od niej wyjątek. Niemiecki kodeks wojskowy stwierdza w każdym razie wyraźnie, że sumienie to za mało. Oto brzmienie paragrafu 48: "Karalności czynu lub powstrzymania się od działania nie wyklucza to, że obwiniony uważa swoje postępowanie za zgodne z nakazami sumienia lub wyznawanej przez siebie religii". Uderzająca cecha argumentacji sądu izraelskiego polega na tym, że pojęciu poczucia sprawiedliwości tkwiącego głęboko w każdym człowieku nadaje on wyłącznie charakter namiastki znajomości prawa. Można się nim posłużyć w oparciu o założenie, że prawo wyraża jedynie to, co i tak każdemu człowiekowi podpowiedziałyby głos sumienia.

Jeśli mamy całe to rozumowanie w sensowny sposób odnieść do przypadku Eichmanna, musimy wyciągnąć wniosek, że działalność Eichmanna mieściła się całkowicie w ramach, jakie wyznaczył mu wyrok sądu: działał zgodnie z przyjętą regułą, badał otrzymany przez siebie rozkaz pod kątem jego "jawnej" zgodności z prawem, czyli pod kątem typowości; nie musiał odwoływać się do swego "sumienia", nie należał bowiem do ludzi nie znających praw, które obowiązywały w jego kraju. Było akurat przeciwnie.

Drugi powód, dla którego ów argument przez analogię okazał się zawodny, dotyczy traktowania przez sądy "rozkazów zwierzchników" jako istotnej okoliczności łagodzącej, do której to praktyki wyrok sądu bezpośrednio się odwołuje. Przytacza się w nim wspomniane przeze mnie wcześniej zdarzenie - masakrę Arabów zamieszkujących Kfar Kassem - na dowód, że izraelski wymiar sprawiedliwości nie zwalnia podsądnego od odpowiedzialności za "rozkazy zwierzchników", jakie otrzymał. I jest to

prawda - izraelskich żołnierzy skazano za morderstwo, ale "rozkazy zwierzchników" stanowiły tak poważny argument na korzyść oskarżonych, że otrzymali oni stosunkowo niskie kary więzienia. Ściśle biorąc, przypadek ten dotyczył czynu pojedynczego, nie zaś -jak w wypadku Eichmanna - działalności trwającej latami, w której jedna zbrodnia następowała po drugiej. Mimo to nie można było zaprzeczyć, że działał on zawsze na "rozkaz zwierzchników" i jeśli zastosowano by do niego zwykłe przepisy prawa izraelskiego, zaiste trudno byłoby go skazać na najwyższy wymiar kary. W rzeczywistości bowiem prawo izraelskie - w teorii i w praktyce - podobnie jak prawodawstwa innych krajów nie może nie dostrzegać faktu, że "rozkazy zwierzchników", choćby ich bezprawność była "oczywista", mogą w poważny sposób zakłócić normalne funkcjonowanie ludzkiego sumienia.

Jest to tylko jeden spośród licznych przykładów dowodzących nieadekwatności panującego systemu prawnego i aktualnych pojęć prawniczych w zetknięciu z rzeczywistością masakr administracyjnie zarządzanych przez aparat państwowy. Jeśli bliżej przyjrzymy się sprawie, zauważymy bez większych trudności, że we wszystkich tego typu procesach podstawą wyroku wydanego przez sędziów były w istocie wyłącznie owe potworne zbrodnie. Innymi słowy, wydawali oni wyrok niejako niezależnie od kryteriów i precedensów prawnych, w oparciu o które starali się mniej lub bardziej przekonująco uzasadnić swe decyzje. Stało się to oczywiście już w Norymberdze, gdzie sędziowie orzekli z jednej strony, że "zbrodnia przeciwko pokojowi" była najcięższą ze wszystkich, jakimi musieli się zająć, gdyż obejmowała wszystkie inne, z drugiej jednak strony skazali na karę śmierci jedynie tych oskarżonych, którzy brali udział w zbrodni nowego typu, jaką była administracyjnie zarządzana masakra, czyli przestępstwo rzekomo mniej poważne niż spiskowanie przeciwko po-

kojowi. Rodzi się zaiste pokusa, by prześledzić wszystkie tego rodzaju niekonsekwencje w dziedzinie, w której wykazuje się taką obsesję na punkcie spoistości. Tego jednak, rzecz jasna, nie można w tym miejscu uczynić.

Powstaje wszakże pewien problem zasadniczej wagi, pośrednio obecny we wszystkich owych powojennych procesach, o którym trzeba tu wspomnieć, gdyż dotyka jednego z podstawowych zagadnień moralnych wszechczasów, mianowicie natury i funkcji ludzkiej władzy sądenia. Podczas owych procesów, na których oskarżono pod-sądných o zbrodnie popełnione w majestacie "prawa", domagaliśmy się, by istoty ludzkie zdolne były odróżnić dobro od zła, nawet wówczas gdy jedynym ich przewodnikiem była ich własna władza sądenia, prowadząca na dodatek do wniosków całkowicie sprzecznych z tym, co musieli oni uważać za zgodną opinię całego otoczenia. Zagadnienie nabiera jeszcze większej powagi, kiedy uprzy-tomnimy sobie, że bynajmniej nie da się postawić znaku równości pomiędzy tymi nielicznymi ludźmi, którzy okazali się na tyle "bezczelni", by zaufać wyłącznie swej własnej władzy sądenia a osobami obstającymi nadal przy dawnym systemie wartości lub kierującymi się przekonaniem religijnymi. Ponieważ ogół zasługującego na szacunek społeczeństwa ugiął się w ten czy w inny sposób przed Hitlerem, maksyimy moralne określające zachowania społeczne oraz przykazania religijne - "Nie zabijaj!" - którymi kieruje się sumienie, właściwie przestały działać. Owi nieliczni, którzy nadal zdolni byli odróżnić dobro od zła, kierowali się w istocie jedynie swym własnym rozeznanie, formułując swe sądy samodzielnie, jako że nie istniały reguły, pod które można byłoby podciągnąć poszczególne przypadki, z jakimi się zetknęli. Każdą sytuację musieli rozstrzygać osobno, ponieważ nie istniały zasady odnoszące się do tego, co pozbawione było precedensu.

Stopień, w jakim owo zagadnienie wyrokowania trapi ludzi naszej epoki (czy też, jak się często powiada, ludzi

ośmielających się "ferować wyroki"), ujawniła kontrowersja wokół niniejszej książki, jak również pod wieloma względami podobna do niej kontrowersja wokół Namiestnika Hochhutha. Wydobyła ona na światło dzienne nie cynizm ani nie nihilizm, jak można się było spodziewać, lecz zgoła niezwykły zamęt w dziedzinie podstawowych zagadnień moralnych, tak jakby jedyną oczywistością naszych czasów pozostało tylko istnienie jakiegoś instynktu w tych sprawach. Wydaje się, że szczególnie pouczające są pod tym względem liczne a osobliwe akcenty, jakie wystąpiły w trakcie owych polemik. I tak niektórzy amerykańscy intelektualiści dali wyraz naiwnemu przekonaniu, że pokusa i przymus to w istocie jedno i to samo, i że od nikogo nie można wymagać, by oparł się pokusie. (Jeśli ktoś przykłada nam rewolwer do serca i rozkazuje zastrzelić najlepszego przyjaciela, to po prostu musimy go zastrzelić. Albo, jak wywodzono - parę lat temu w związku ze skandalem na pewnym quizie, w którym nauczyciel akademicki nabrał publiczność - któż mógłby się oprzeć pokusie, gdy w grę wchodziły tak duże pieniądze?) Argument, że nie możemy wydawać oceny, jeśli nie byliśmy obecni i osobiście zaangażowani, wydaje się wszędzie wszystkich przekonywać, choć zdaje się, że jest rzeczą oczywistą, iż gdyby odpowiadał on prawdzie, niemożliwym byłoby wymierzanie sprawiedliwości ani pisanie dzieł historycznych. W odróżnieniu od tego rodzaju pomieszania pojęć, zarzut hipokryzji wysuwany przeciwko tym, którzy wydają osąd, występuje od dawien dawna, co bynajmniej nie czyni go bardziej zasadnym. Nawet sędzia, który skazał mordercę, może mimo to powiedzieć, udając się do domu: "Z łaską boską idę tam". Wszyscy Żydzi niemieccy potępiłi zgodnie harmonię, jaka zapanowała w narodzie niemieckim w roku 1933, sprowadzając z dnia na dzień Żydów do poziomu pariasa. Czyż można przypuścić, że nikt z nich nie zadał sobie pytania, ilu spośród członków jego własnej grupy uczyniłoby to samo, gdyby

tylko im to umożliwiono? Gzy jednak potępienie, jakiemu dają wyraz, jest z tego powodu choćby odrobinę mniej słuszne?

Namysł nad tym, że w identycznych okolicznościach sami moglibyśmy wyrządzić zło, może obudzić ducha przebaczenia, ci jednak, którzy odwołują się dziś do chrześcijańskiego miłosierdzia, również wydają się wykazywać objawy dziwnego pomieszania pojęć w tej sprawie. Tak więc w powojennej deklaracji niemieckiego Kościoła Ewangelickiego możemy przeczytać: "Oświadczamy przed Bogiem Miłosierdzia, że ponosimy część winy za gwałt, jakiego za sprawą zaniedbania i milczenia dopuścił się na Żydach nasz naród" (słowa pastora Aurela v. Jiichena przytoczone w antologii zawierającej recenzje sztuki Hochhutha, zatytułowanej *Summa iniuria*, Rowohlt Verlag). Wydaje mi się, że chrześcijanin ponosi winę przed Bogiem Miłosierdzia, jeśli odpłaca złem za zło, toteż Kościoły zgrzeszyłyby przeciwko miłosierdziu, gdyby miliony Żydów wymordowano w karze za jakieś zło przez nich popełnione. Jeśli jednak Kościoły współuczestniczą w winie za ów niczym nie skrywany gwałt - jak same wyznają - wówczas sądzić należy, że sprawa ta podlega kompetencji Boga Sprawiedliwości.

Owo domniemane przejęzyczenie nie jest przypadkowe. Sprawiedliwość - lecz nie miłosierdzie - to sprawa osądu, w niczym zaś opinia publiczna nie wydaje się bardziej zgodna, jak w tym, że nikt nie ma prawa osądzać kogoś innego. Tym, co pozwala nam ona osądzać, a nawet potępiać, są tendencje bądź ludzkie zbiorowości - im większe, tym lepiej - słowem coś tak ogólnego, że nie sposób już dokonywać jakichkolwiek rozróżnień ani wymienić nikogo po nazwisku. Zbyteczne dodawać, że tabu to stosuje się po dwakroć wówczas, gdy rozpatruje się czyny lub słowa sławnych osobistości lub ludzi na wysokich stanowiskach. Aktualnym wyrazem tego stanu rzeczy jest szeroko rozpowszechnione mniemanie, iż upieranie się

przy szczegółach i wymienianie pojedynczych nazwisk to przejaw "powierzchnowości", podczas gdy objawem subtelnej wyrafinowania jest operowanie ogólnikami, z których wynika, że wszyscy jesteśmy tacy sami i ponosimy jednakową winę. Toteż na zarzut wysunięty przez Hochhutha przeciwko jednemu papieżowi - łatwemu do identyfikacji, występującemu pod własnym imieniem - odpowiedziano natychmiast oskarżeniem całego chrześcijaństwa. Zarzutu wymierzonego w liczące dwa tysiące lat chrześcijaństwo dowieść nie sposób, a gdyby się to udało, byłoby to potworne. Wydaje się, że nikt się tym nie przejmuje dopóty, dopóki w grę nie wchodzi żadna osoba, nie jest też wielkim ryzykiem posunąć się jeszcze o krok dalej i stwierdzić: "Niewątpliwie istnieje powód do ciężkich oskarżeń, ale oskarżonym jest cała ludzkość" (słowa Roberta Weltscha, zaczerpnięte z cytowanej wyżej antologii *Summa iniuria*, podkreślenie moje - H. A.).

Innym sposobem ucieczki ze sfery możliwych do ustalenia faktów oraz osobistej odpowiedzialności są niezliczone teorie oparte na niekonkretnych, abstrakcyjnych, hipotetycznych założeniach - od "ducha czasu" po kompleks Edypa - które cechuje taki stopień ogólności, że tłumaczą one i usprawiedliwiają każde zdarzenie i każdy czyn: nie bierze się nawet pod uwagę możliwości innego przebiegu wydarzeń oraz tego, że dana osoba mogła postąpić inaczej niż faktycznie postąpiła. Wśród konstrukcji "objaśniających" wszystko przez zaciemnienie wszelkich szczegółów napotykamy takie pojęcia, jak "mentalność getta" występująca u Żydów europejskich, zbiorowa wina narodu niemieckiego, wydedukowana w oparciu o przeprowadzoną adhoc interpretację jego historii, bądź równie niedorzeczne twierdzenie o jakiejś zbiorowej niewinności narodu żydowskiego. Wspólną cechą wszystkich tych czczych formułek jest to, że czynią one osąd zbędnym, a

wypowiedzenie ich nie wiąże się z żadnym ryzykiem. I choć możemy zrozumieć niechęć narodów bezpo-

385

384

średnio dotkniętych katastrofą - Niemców i Żydów - do zanadto drobiazgowego badania zachowania tych grup i osób, które, jak się wydawało, nie poniosły lub nie powinny były ponieść uszczerbku wskutek całkowitego załamania się moralności - to znaczy zachowania Kościołów chrześcijańskich, przywódców żydowskich, uczestników antyhitlerowskiego spisku z 20 lipca 1944 roku - ów zrozumiały brak skłonności tego rodzaju nie tłumaczy dostatecznie przejawiającej się wszędzie niechęci do formułowania ocen w kategoriach odpowiedzialności moralnej jednostki.

Wielu ludzi zgodziłoby się dzisiaj, że nie istnieje nic takiego, jak zbiorowa wina, właściwie zbiorowa niewinność, gdyby zaś coś takiego istniało, nie mogłoby być nigdy nikogo winnego lub niewinnego. Nie chodzi tu rzecz jasna o to, by zaprzeczać, że istnieje coś takiego, jak odpowiedzialność polityczna, której istnienie jest wszakże całkiem niezależne od czynów poszczególnych członków danej grupy, nie można jej zatem oceniać w kategoriach moralnych, ani czynić przedmiotem postępowania sądowego. Każdy rząd przyjmuje odpowiedzialność za dobre i złe czyny swych poprzedników, a każdy naród -za dobre i złe czyny tworzące jego przeszłość. Kiedy Napoleon oświadczył, przejmując władzę we Francji porewolucyjnej, że przyjmuje odpowiedzialność za wszystko, co stało się we Francji od czasów św. Ludwika do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, potwierdził jedynie w sposób nieco patetyczny jeden z podstawowych faktów wszelkiego życia politycznego. Mówiąc ogólnie, oznacza to niewiele więcej niż to, że każde pokolenie - na mocy tego, że przyszło na świat, zajmując określone miejsce w ciągu dziejów - dźwiga na sobie brzemień grzechów swych ojców, tak samo jak chlubi się czynami swych przodków. Nie o takiej odpowiedzialności mówimy wszakże w tym miejscu: nie ma ona charakteru osobistego i tylko w metaforycznym sensie może ktoś powiedzieć, że c z u j e się

winnym za czyny swego ojca lub swego narodu, nie zaś za swoje własne. (Z moralnego punktu widzenia poczucie winy bez popełnienia konkretnego czynu nie jest wcale gorsze od poczucia całkowitej niewinności, jeśli w rzeczywistości ponosi się za coś winę.) Z łatwością można sobie wyobrazić, że niektóre obowiązki polityczne ciężące na poszczególnych krajach mogłyby się stać kiedyś przedmiotem obrad jakiegoś międzynarodowego sądu, nie sposób jednak wyobrazić sobie, że ów trybunał mógłby być sądem kryminalnym rozstrzygającym owinie lub niewinności jednostek.

Tym zaś, co się liczy w sądzie kryminalnym, jest wyłącznie zagadnienie jednostkowej winy lub niewinności, akt wymierzenia sprawiedliwości zarówno oskarżonemu, jaki ofierze. Proces Eichmanna nie był wyjątkiem, mimo że sąd stanął tu w obliczu zbrodni, jakiej nie wymieniają podręczniki prawa, i zbrodniarza, jaki nie stanął dotąd przed żadnym sądem, w każdym razie do czasu procesów norymberskich. Niniejsza relacja zajmuje się wyłącznie stopniem, w jakim sądowi w Jerozolimie udało się sprostać wymogom sprawiedliwości.

386

Dodatek

List Gershoma Scholema* do Hannah Arendt

Jerozolima, 23 czerwca 1963

Droga Hannah,

Minęło sześć tygodni, odkąd otrzymałem Twoją książkę o procesie Eichmanna i jeśli odpisuję z opóźnieniem, to dlatego, że dopiero teraz znalazłem czas, żeby ją należycie przestudiować. Pozwól, że nie będę się zajmował sprawą faktycznej i bezstronnej prawdziwości różnych poczynionych przez Ciebie stwierdzeń. Sądząc jednak po sposobie, w jaki ujęłaś te aspekty problemu, które są mi akurat znane, obawiam się, że Twoja książka nie jest wolna od błędów i zniekształceń. Nie mam mimo to wątpliwości, że zagadnienie faktograficznej prawdziwości Twojej książki zostanie podjęte przez innych krytyków-a będzie ich wielu -w krytyce zaś, jaką pragnę tu przedstawić, nie odgrywa ono w żadnym wypadku roli centralnej-

W swojej książce poruszasz się między dwoma biegunami: jeden z nich to Żydzi i ich zachowanie w dniach katastrofy, a drugi - odpowiedzialność Adolfa Eichmanna. Poświęciłem, jak wiesz, sporo czasu rozważeniu sprawy Żydów i przestudiowałem dość obszerny zasób materiałów dotyczących tego tematu. Tak jak wszyscy inni

* Gershom Scholem -wybitny znawca mistyki żydowskiej, autor fundamentalnych prac z tego zakresu, profesor Uniwersytetu Hebrajskiego wjerozohmie.

388

świadkowie wydarzeń, zdają sobie dobrze sprawę, jak złożony i poważny oraz jak trudny do pomniejszenia bądź mało przejrzysty jest cały ten problem. Zdają sobie sprawę, że istnieją takie aspekty historii żydowskiej (od ponad czterdziestu lat nie zajmuję się właściwie niczym innym), które wykraczają poza naszą zdolność pojmowania; z jednej strony oddanie rzeczom tego świata przyjmujące charakter niemal demoniczny, z drugiej zaś zasadnicza niepewność orientacji w tym świecie - niepewność, którą trzeba przeciwstawić owej pewności człowieka wierzącego, w odniesieniu do której Twoja książka ma, niestety, tak niewiele do zrelacjonowania. Jest też słabość, choć słabość tak spleciona z bohaterstwem, że niełatwo ją wydobyć na jaw; natrafia się także na nikczemność i żądzę władzy. Lecz te rzeczy istniały zawsze i byłoby doprawdy czymś nadzwyczajnym, gdyby w dniach katastrofy nie dały one ponownie znać o sobie. Tak się stało w roku 1931, u początku owego pokolenia katastrofy i tak było w naszych czasach. Dyskusja na ten temat jest, jak sądzę, zarówno uprawniona, jak i nieunikniona, choć nie sądzę, żeby nasze pokolenie było w stanie dokonać jakiegokolwiek oceny historycznej. Brak nam niezbędnego dystansu stwarzającego możliwość zajęcia jakiegoś obiektywnego stanowiska - inaczej być nie może.

Nie możemy wszakże pominąć kwestii tego rodzaju. Nowe pokolenia młodzieży izraelskiej pytają nas głośno: Czemu pozwolili prowadzić się na rzeź? Wydaje mi się, że jest to pytanie głęboko uzasadnione i nie mam na podporządku żadnej gotowej na nie odpowiedzi. Ale Twoja książka w każdym istotnym jej miejscu mówi jedynie o słabości żydowskiego stosunku do świata. Gotów jestem przyznać, że ta słabość istnieje, kładziesz na nią jednak tak silny nacisk, że moim zdaniem Twoja relacja zatracza obiektywizm i zaczyna w niej pobrzmiwać zgryźliwość. Przyznaję, że problem jest całkiem realny. Czemu więc Twoja książka pozostawia po lekturze tak silne uczu-

389

cię goryczy i wstydu odnoszące się nie do zebranego w niej materiału, lecz do autorki?Jak to się dzieje, że tak często odnosi się wrażenie, iż tym, co nas dzieli, jest przedstawiona przez Ciebie wersja wydarzeń - wydarzeń, na które jakże słusznie pragniesz zwrócić naszą uwagę? I jeśli mam odpowiedzieć na to pytanie, to właśnie dlatego, że żywię dla Ciebie głęboki szacunek, nie zduszę jej w sobie, a jest to odpowiedź sięgająca źródła niezgody między nami. Właśnie dla owego bezdusznego, częstokroć zaś graniczącego z

szyderstwem i zgryźliwością tonu, z jakim odnosisz się w swojej książce do spraw, które najżywiej nas w życiu obchodzą - czynię wyjątek.

W tradycji żydowskiej istnieje pojęcie - trudne do zdefiniowania, a przecież dostatecznie konkretne - Ahabath Izrael - "miłość do narodu żydowskiego". U Ciebie, droga Hannah, tak samo jak u tylu innych intelektualistów wywodzących się z niemieckiej lewicy, odnajduję znikome jej ślady. Dyskusja, jakiej próbę podjęłaś w swojej książce, wymaga, jak mi się wydaje, możliwie jak najbardziej -wybacz, że się tak wyrażę - staroświeckiego, ostrożnego i solidnego podejścia, właśnie z racji emocji, jakie budzi ta sprawa, sprawa zagłady trzeciej części naszego narodu - a traktuję Cię, rzecz jasna, jako córkę naszego narodu. Toteż nie wzbudza mojej szczególnej sympatii ów ton - który daje się dobrze określić przy pomocy angielskiego słowa [Flippancy] - tak często pobrzmiewający w Twojej książce. Jest on niesłychanie niestosowny w odniesieniu do sprawy, o której piszesz. Czyż w takich okolicznościach nie powinno się znaleźć miejsce dla czegoś, co mogę wyrazić jedynie przy pomocy owego skromnego wyrazu niemieckiego Herzenstakt? Możliwe, że się roześmiesz, słysząc to słowo, choć mam nadzieję, że tak się nie stanie, bo sięgam po nie z całą powagą. Spośród licznych przykładów, na jakie natrafiłem w Twojej książce - nie kryję,

1 Flippary (ang.) - nonszalancja (przyp. tłumacza).

390

że z niejakim bólem - żaden nie wyraża lepiej tego, o co mi chodzi, niż cytat (podamy przez Ciebie bez komentarza za źródłem nazistowskim!) dotyczący handlu opaskami z Gwiazdą Dawida na terenie warszawskiego getta albo zdanie odnoszące się do Leo Baecka, "który zarówno w oczach Żydów, jak nie-Żydów uchodził za »żydowski Fiihrera«"2... Użycie w takim kontekście określenia z języka nazistów mówi właściwie samo za siebie. Nie piszesz - powiedzmy - o "żydowskim przywódcy", co byłoby nie tylko trafne, ale i pozbawione straszliwych konotacji terminu niemieckiego - mówisz akurat coś, co jest największym fałszem i najcięższą obelgą. Nikt, o kim słyszałem bądź czytałem, nie uważał nigdy Leo Baecka - którego znaleźmy oboje - za "Fiihrera" w znaczeniu, jakie sugerujesz czytelnikowi. Ja też czytałem książkę Adle-ra o Terezynie. Można o niej powiedzieć wiele rozmaitych rzeczy. Nie odniosłem jednak wrażenia, ażeby autor - piszący o pewnych ludziach, o których słyszałem całkiem inne opinie, tonem dość surowym - pisał kiedykolwiek w ten sposób o Baecku, wprost lub pośrednio. Brzemień cierpienia naszego narodu powiększa oczywiście pewna liczba postaci o wątpliwej reputacji, które zasługują na ukaranie bądź zostały już ukarane, czyż jednak w wypadku tragedii o tak straszliwych rozmiarach mogło być inaczej? Mówić jednak o tym wszystkim tonem tak absolutnie niestosownym - ku pożytkowi tych Niemców, w których potępieniu Twoja książka osiąga wyższy pułap elokwencji niż w oplakiwaniu losu Twojego własnego narodu - nie jest to właściwym sposobem podejścia do sytuacji, wja-kiej rozegrała się owa tragedia.

W ujęciu, jakie nadajesz zagadnieniu, jak Żydzi zareagowali na ekstremalną sytuację - a żadne z nas w niej się nie znalazło - odkrywam nierzadko zamiast wyważonej ocenyjakiś rodzaj dążenia do demagogicznej przesa-

2 Zdanie usunięte z II wydania książki (przyp. tłumacza). 391

dy. Któż z nas może dziś powiedzieć, jakie decyzje powinna była w zaistniałych warunkach podjąć starszyzna żydowska, mniejsza zresztą o nazwę? Czytałem o tych sprawach nie mniej od Ciebie, a wciąż brak mi pewności; Twoja wszakże analiza nie przekonuje mnie wcale, że Twoja pewność opiera się na solidniejszych podstawach niż mój brak pewności. Tak więc istniały na przykład Judenrde, w niektórych byli łajdacy, w innych - święci. Czytałem mnóstwo o obu tych odmianach ludzi. Wśród członków rad było także wielu ludzi nie różniących się niczym od nas samych, a którzy zostali zmuszeni do

podejmowania strasznych decyzji w warunkach, jakich nie potrafilibyśmy w najmniejszym stopniu odtworzyć. Nie wiem, czy postąpili słusznie czy niesłusznie. Nie ośmielam się też wydawać oceny. Nie było mnie tam.

W Terezynie byli z pewnością ludzie - o czym może zaświadczyć każdy były więzień - których postępowanie zasługuje na najsurowsze osądzenie. Przekonujemy się jednak, że w każdym indywidualnym przypadku oceny różnią się od siebie. Czemu - na przykład - naziści zastrzelili Paula Epsteina, jedną z owych "postaci o wątpliwej reputacji"? Nie podajesz żadnego powodu. A przecież powód jest całkiem jasny: uczynił on właśnie to, na co wedle Ciebie mógł się zdobyć bez większego ryzyka - powiedział ludziom w Terezynie, co ich czeka w Oświęcimiu. A jednak dwadzieścia cztery godziny później został zastrzelony.

Niemniej Twoja teza, że machinacje nazistów przyczyniły się w jakiś sposób do zatarcia różnicy między oprawcą a ofiarą - teza służąca Ci do atakowania oskarżycieli na procesie Eichmanna - wydaje mi się całkowicie fałszywa i tendencyjna. W obozach istoty ludzkie podlegały systematycznemu upodleniu; jak sama piszesz, zmuszano je do uczestnictwa we własnej eksterminacji i do pomagania przy zagładzie współwięźniów. Czy wskutek tego różnica między oprawcą a ofiarą została zatar-

ta? Cóż za przewrotność! Wygląda na to, że mamy się przyznać, iż Żydzi także mieli swój "udział" w owych aktach ludobójstwa. Toż to typowe guaternio terminorum.

Czytałem niedawno o książce, napisanej w dniach katastrofy z pełną świadomością nadchodzących wydarzeń, przez rabina Mosze Chaima Laua z Piotrkowa. Podjął on próbę możliwie jak najdokładniejszego określenia obowiązków Żyda w tak skrajnej sytuacji. Wiele z tego, co wyczytałem na temat tej poruszającej i strasznej książki - nie jest ona wyjątkiem - pokrywa się z Twoją tezą ogólną, choć nie z Twoim tonem. W żadnym jednak miejscu swojej książki nie stwierdzasz jasno, ilu było Żydów, którzy postępowali z pełną świadomością tego, co ich czeka. Wspomniany rabin pojechał ze swą trzodą do Trebłinki, mimo że wcześniej wezwał ich do ucieczki, a jego trzoda namawiała go do tego samego. Heroizm Żydów nie zawsze był heroizmem wojownika, nie zawsze też odczuwaliśmy wstyd z tego powodu. Nie umiem odeprzeć twierdzenia tych, którzy mówią, że Żydzi zasłużyli na swój los, bo nie podjęli wcześniej działań we własnej obronie, bo byli tchórzliwi etc. Na ten argument natrafiłem niedawno w książce owego uczciwego antysemitę, jakim był Kurt Tucholsky. Nie potrafię, rzecz jasna, wyrażać się równie elokwentnie co on, nie mogę jednak zaprzeczyć, że miał rację: gdyby wszyscy Żydzi uciekli -przede wszystkim do Palestyny - większa liczba Żydów zostałaby przy życiu. Inna sprawa, czy biorąc pod uwagę szczególny charakter żydowskich dziejów i żydowskiego losu, byłoby to możliwe i czy wynika z tego częśćka historycznej winy za zbrodnię Hitlera.

Nie wypowiem się na temat drugiej centralnej kwestii poruszonej w Twojej książce: na temat winy lub stopnia winy Adolfa Eichmanna. Czytałem zarówno tekst orzeczenia końcowego wydanego przez sąd, jak i jego substytut w wersji zaproponowanej przez Ciebie. Wydaje mi się,

392

393

że wyrok sądu jest bardziej przekonujący. Odnoszę z kolei wrażenie, że Twój werdykt opiera się na kolosalnym non sequitur. Twoją argumentację można by tak samo zastosować do owych setek tysięcy, a może milionów istot ludzkich, do których odnosi się ostatnie zdanie Twojej książki. Ono właśnie zawiera powód, dla którego Eichmanna należało powiesić, bo w całym pozostałym tekście uzasadniasz szczegółowo swój pogląd - którego nie podzielam - że

oskarżycielom nie udało się dowieść tego, co udowodnić zamierzeli. Jeśli o to chodzi, mogę wspomnieć, że prócz złożenia mego podpisu pod listem do Prezydenta Izraela z prośbą o niewykonanie wyroku śmierci, napisałem po hebrajsku szkic tłumaczący, dlaczego uważam wykonanie wyroku - na który Eichmann w każdym sensie, w tym także w rozumieniu oskarżycieli, zasługiwał - za błąd historyczny, właśnie z uwagi na nasze historyczne związki z narodem niemieckim. Nie będę tu ponownie wyniszczał mych argumentów. Chcę tylko stwierdzić, że określenie przez Ciebie Eichmanna mianem "nawróconego na syjonizm" mogło przytrafić się tylko komuś, kto żywił głęboką niechęć do wszystkiego, co wiąże się z syjonizmem. Tych fragmentów Twojej książki doprawdy nie mogę traktować poważnie. Równają się one czynieniu z syjonizmu pośmiewiska i muszę stwierdzić, że taki w istocie przyświecał Ci zamiar. Nie rozwijajmy tej kwestii. j Po lekturze Twojej książki wciąż nie przekonuje mnie Twoja teza o "banalności zła", na której -jeśli wierzyć podtytułowi - opiera się cała Twoja argumentacja. Uderza mnie to, że ta nowa teza przypomina slogan - z pewnością trudno się mi w niej dopatrzeć wyniku dogłębnej analizy podobnej do tej, jaką w tak przekonujący sposób przeprowadziłaś dla celów całkowicie odmiennych, w istocie zaś sprzecznej z tą tezą w Twojej książce o totalitaryzmie³. Kiedy pisałaś tamtą książkę, nie dokonałaś jesz-

3 Aluzja do *The Origins of Totalitarianism* (New York, 1951) [przyp. tłumacza].

394

cze najwyraźniej odkrycia, że zło jest banalne. Z owego "radikalnego zła", którego istnieniu Twoja ówczesna analiza zaświadczała w tak pełen erudycji i elokwencji sposób, nie zostało nic prócz sloganu - by mogło być inaczej, trzeba by zbadać - na poważnym poziomie - przydatność tego terminu w dziedzinie filozofii moralnej bądź etyki politycznej. Żałuję - a sądzę, że przemawia przede mną szczerze, a nie wrogię nastawienie - że nie jestem w stanie potraktować tej tezy Twojej książki z większą powagą. Spodziewałem się - mając w pamięci Twoją wcześniejszą książkę - czegoś innego.

Gershom Scholem

Odpowiedź Hannah Arendt na list Gershoma Scholema

New York City, 24 lutego 1963

Drogi Gerhardzie,

Znalazłam Twój list tydzień temu po powrocie do domu. Wiesz, jak to jest, kiedy nie było się u siebie przez pięć miesięcy. Odpisuję w pierwszej chwili spokoju, jakiej zaznałam, toteż moja odpowiedź nie będzie tak dopracowana, jak może być powinna.

Twój list zawiera pewne stwierdzenia, o których nie sposób dyskutować, gdyż są po prostu fałszywe. Pozwól, że nimi zajmę się na początek, żebyśmy później mogli przejść do spraw zasługujących na dyskusję.

Nie należę do "intelektualistów wywodzących się z niemieckiej lewicy". Mogłeś o tym nie wiedzieć, bośmy się

395

nie znali w czasach naszej młodości. Fakt ten nie napawa mnie szczególną durną, niekiedy zaś ociążam się z jego podkreślaniami - zwłaszcza od epoki maccarthyizmu w tym kraju. Późno uświadomiłam sobie istotne znaczenie Marksa, bo w młodości nie interesowałam się historią ani polityką. Jeśli miałabym się "skądkolwiek wywodzić", to z tradycji filozofii niemieckiej.

Co się tyczy innego Twego twierdzenia, to niestety nie mogę powiedzieć, żebyś nie był w stanie zapoznać się z faktami. Zaskakuje mnie, że napisałaś, iż "traktujesz mnie, rzecz jasna, jako córkę naszego narodu". Prawda polega na tym, że nigdy nie podawałam się za nikogo innego, nie próbowałam też być nikim innym niż jestem, nie odczuwałam również nigdy tego

rodzaju pokusy. Równałoby się to stwierdzeniu, że jestem mężczyzną a nie kobietą, a to byłoby szaleństwem. Wiem - oczywiście - że nawet na tym poziomie istnieje "problem żydowski", ale nie był to nigdy mój problem - nawet wówczas, kiedy byłam dzieckiem. Traktowałam zawsze moją żydowskość jako jedną z oczywistych przesłanek mego życia, nigdy też nie kierowało mną pragnienie zmiany lub odrzucenia tego rodzaju stanu faktycznego. Istnieje coś takiego, jak pewna elementarna wdzięczność za to, że wszystko jest takie, jakie jest, za to, co zostało d a n e, nie było więc i nie mogło być wytworzone; za rzeczy które saphysej, a nie nomo. Ściśle biorąc, jest to postawa wyprzedzająca to co polityczne, w wyjątkowych jednak okolicznościach - a do takich należą okoliczności determinujące politykę żydowską - musi ona pociągać również za sobą konsekwencje polityczne, choć w sposób niejako negatywny. Postawa taka czyni niektóre rodzaje postępowania niemożliwymi, te mianowicie, któreś właśnie postanowił wyczytać z mych rozważań. (Żeby podać inny przykład: Ben Gurion, w swym nekrologu Kurta Blumenfelda, wyraża żal, że Blumenfeld nie uważał za stosowne zmienić nazwiska po osiedleniu się na stałe w Izraelu. Czyż nie jest rzeczą oczy-

wista, że Blumenfeld nie zrobił tego dokładnie z tego samego powodu, który zaprowadził go w młodości w szeregi syjonistów?) Mój stosunek do tych spraw był ci na pewno znany i nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz mi przylepić etykietę, która nie pasowała do mnie nigdy w przeszłości ani nie pasuje w chwili obecnej.

Przechodząc do rzeczy: pozwól, że zacznę, w oparciu o to, co przed chwilą napisałam, od tego, co nazywasz "miłością do narodu żydowskiego", Ahabath Israel. (Nawiasem mówiąc, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mógł mnie poinformować, odkąd pojęcie to odgrywa rolę w judaizmie, kiedy zastosowano je po raz pierwszy w języku hebrajskim i w hebrajskiej literaturze etc.) Masz zupełną rację - nie kieruje mną wcale "miłość" tego rodzaju, z dwóch powodów: nigdy w życiu nie darzyłam "miłością" żadnego narodu czy zbiorowości - ani narodu niemieckiego, ani francuskiego, ani amerykańskiego, ani klasy robotniczej, ani niczego w tym rodzaju. W istocie kocham "tylko" mych przyjaciół, a jedynym rodzajem miłości, jaki znam i w jaki wierzę, jest miłość do osób. Po drugie, owa "miłość do Żydów" wydawałaby mi się, ponieważ sama jestem Żydówką, czymś dość podejrzanym. Nie potrafię kochać samej siebie, ani niczego, co stanowi integralną część mej własnej osoby. Żeby to wyjaśnić, pozwól, że Ci opowiem o rozmowie, jaką odbyłam w Izraelu z czołową osobistością tamtejszego życia politycznego, broniącą - zgubnego moim zdaniem w skutkach - braku rozdziału religii i państwa w Izraelu. Słowa wypowiedziane przez tę osobistość - których nie pamiętam już z całą dokładnością - brzmiały mniej więcej tak: "Rozumie pani, że jako osoba o poglądach socjalistycznych, nie wierzę oczywiście w Boga, tylko w naród żydowski". Wypowiedź ta mną wstrząsnęła, a ponieważ szok był zbyt wielki, nie zareagowałam od razu. Mogłam jednak odpowiedzieć wtedy: wielkość narodu żydowskiego objawiała się w tym, że niegdyś wierzył on w Boga i to w ten sposób, że jego ufność i miłość

396

397

do Boga górowały nad jego strachem. A teraz ten naród wierzy tylko w siebie? Co dobrego może z tego wyniknąć? Otóż ja w tym sensie nie "kocham" Żydów, ani w nich nie "wierze", ja jedynie jestem członkiem tego narodu i traktuje to jako rzecz oczywistą i nie podlegającą dyskusji.

Moglibyśmy rozważyć tę samą sprawę w kategoriach politycznych, co doprowadziłoby nas do refleksji nad patriotyzmem. Niewątpliwie zgadzamy się co do tego, że nie może być

patriotyzmu bez zawsze obecnego elementu sprzeciwu i krytyki. Ale mogę przyznać Ci się do czegoś jeszcze, że mianowicie zło wyrządzone przez mój własny naród smuci mnie bardziej niż zło wyrządzone przez inne narody. Ze smutkiem tym nie należy się jednak - moim zdaniem - obnosić, nawet wówczas, gdy stanowi on najgłębszą przesłankę pewnych działań lub postaw. Ogólnie mówiąc, rola, jaką w polityce odgrywa "serce", wydaje mi się wielce wątpliwa. Wiesz równie dobrze jak ja, że bardzo często tych, którzy zdają jedynie sprawę z pewnych nieprzyjemnych faktów, oskarża się o brak duszy, brak serca lub brak tego, co nazywasz Herzenstakt. Innymi słowy, wiemy oboje, jak często wykorzystuje się te emocje do ukrycia rzeczywistej prawdy. Nie mogę rozpatrywać w tym liście tego, co dzieje się, gdy dochodzi do publicznego ujawnienia emocji, albo gdy stają się one czynnikiem w sprawach politycznych, ale jest to temat ważny i próbowałam ukazać katastrofalne tego rezultaty w mej książce O rewolucji, snując rozważania o roli współczucia w formowaniu się typu rewolucjonisty.

Szkoda, że nie przeczytałeś tej książki, nim rozpoczęła się obecna kampania przedstawiania jej w fałszywym świetle, zorganizowana przez żydowskie "sfery kierownicze" w Izraelu i Ameryce. Istnieje niestety bardzo niewielu ludzi zdolnych oprzeć się wpływowi kampanii tego rodzaju. Wydaje się mało prawdopodobne, byś mógł źle zrozumieć niektóre moje stwierdzenia, gdyby ów wpływ nie

oddziałał i na Ciebie. Opinia publiczna, zwłaszcza poddana umiejętnej manipulacji - jak ma to miejsce w tym wypadku - posiada potężną siłę oddziaływania. Tak więc nigdy nie zrobiłam z Eichmanna "syjonisty". Jeśli nie uchwyciłeś ironii zawartej w tym zdaniu - będącym przecież oczywistym przytoczeniem słów samego Eichmanna - naprawdę nie mogę na to nic poradzić. Mogę Cię jedynie zapewnić, że żaden z dziesiątków czytelników, którzy zapoznali się z książką przed jej opublikowaniem, nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości. Dalej - nie sformułowałam nigdy pytania, dlaczego Żydzi "pozwolili się mordować". Przeciwnie, oskarżyłam Hausnera o to, że pytanie takie stawiał kolejnym świadkom. Nie znalazł się w Europie żaden naród, ani żadna grupa, która poddana presji bezpośredniego terroru zareagowała inaczej. Kwestią, jaką się zająłam, była współpraca funkcjonariuszy żydowskich z wykonawcami "Ostatecznego Rozwiązania", a jest to sprawa tak bardzo niewygodna dlatego, że nie można twierdzić, że byli to zdrajcy. (Zdrajcy też się znaleźli, ale to nieistotne.) Innymi słowy, wszystko co funkcjonariusze żydowscy zrobili lub czego nie zrobili do roku 1939, a nawet 1941 - da się zrozumieć i usprawiedliwić. Dopiero później sprawa staje się wysoce problematyczna. Kwestia ta pojawiła się na procesie, a moim obowiązkiem było, rzecz jasna, o tym napisać. Stanowi ona element tak zwanej "wymykającej się nam przeszłości" i choć może masz słuszość, że za wcześnie na "wyważoną ocenę" (jakkolwiek ja w to wątpię), to jestem przekonana, że uporamy się z naszą przeszłością jedynie pod tym warunkiem, że zaczniemy ją osądzać i zdobędziemy się wobec niej na uczciwość.

Moje stanowisko przedstawiłam jasno, a jednak widzę wyraźnie, że go nie zrozumiałeś. Stwierdziłam, że nie było żadnej możliwości stawienia oporu, ale można było n i e robić niczego. Zęby zaś nie robić niczego, nie trzeba było być świętym, wystarczyło powiedzieć: „Jestem tyl-

398

399

ko zwyczajnym Żydem i nie chcę odegrać żadnej innej roli". To zaś, czy owi ludzie bądź niektórzy z nich -jak wskazujesz - zasłużyli na powieszenie, to całkiem inna kwestia. Trzeba

by się zastanowić, nie tyle nad ludźmi, ile nad argumentami, przy pomocy których usprawiedliwiali się oni wobec samych siebie lub wobec innych. W odniesieniu do tych argumentów mamy prawo wydawania ocen. Nie wolno nam ponadto zapominać, że mamy tu do czynienia z sytuacją dostatecznie potworną i beznadziejną, która jednak nie była sytuacją obozów koncentracyjnych. Decyzje te podejmowano w warunkach terroru, ale nie pod jego bezpośrednim ciśnieniem lub wpływem. Są to istotne różnice stopnia, których każdy badacz totalitaryzmu musi być świadom i które musi on uwzględnić. Ci ludzie jednak dysponowali pewną ograniczoną wolnością decydowania i działania. Podobnie zresztą również mordercy z SS dysponowali-jak dziś to wiemy-pewną ograniczoną możliwością wyboru. Mogli oni powiedzieć: "Chcę, żeby mnie zwolniono z moich obowiązków oprawcy" i nic się im za to nie działo. Ponieważ w praktyce zajmujemy się ludźmi, a nie bohaterami lub świętymi, ta właśnie możliwość "nieuczestniczenia" (Kirchheimer) ma decydujące znaczenie w momencie, gdy przystępujemy do formułowania ocen, nie systemu tylko jednostki, jej wyborów i argumentów.

A proces Eichmanna dotyczył jednostki. W mojej relacji wspomniałam tylko o tym, co wyszło na jaw podczas samego procesu. Właśnie dlatego nie mogłam napisać o "świętych", o których wspominasz. Musiałam natomiast ograniczyć się do bojowników ruchu oporu, których postępowanie -jak stwierdziłam - było tym bardziej godne podziwu, że znaleźli się oni w sytuacji, w której rzeczywiście nie istniała możliwość oporu. Wśród świadków oskarżenia nie było świętych, ale znalazła się między nimi jedna kryształowo uczciwa istota ludzka, mianowicie stary

Grynszpan, którego zeznania dość obszernie cytuję. Zresztą po stronie Niemców można by także przytoczyć nie tylko przypadek jednego sierżanta Schmidta. Ponieważ jednak tylko o tym jednym przypadku wspomniano na procesie, musiałam się do niego ograniczyć.

O tym, że podział na ofiary i prześladowców był w obozach koncentracyjnych zacierany - celowo i naumyślnie - dobrze wiadomo, i zarówno ja, jak i inni podkreślają ten aspekt metod totalitarnych. Chcę jednak powtórzyć: nie to mam na myśli, mówiąc o części winy ponoszonej przez Żydów lub całkowitym załamaniu się wszelkich wzorców. Był to element systemu, który nie miał nic wspólnego z Żydami.

Dlaczego sądzisz, że moja książka czyni "z syjonizmu pośmiewisko" - pozostawałoby dla mnie absolutną zagadką, gdybym nie wiedziała, że wielu ludzi w kręgach syjonistycznych utraciło zdolność wysłuchania opinii bądź argumentów odbiegających od utartej sztampy i nie współbrzmiących z ich ideologią. Istnieją wyjątki, a pewien mój przyjaciel-syjonista zauważył prostodusznie, że moja książka, zwłaszcza jej ostatni rozdział (uznanie kompetencji sądu, usprawiedliwienie porwania) jest bardzo pro-izraelska, co istotnie pokrywa się z prawdą. Twoją konsternację wzbudza to, że moje argumenty i moje podejście różnią się od tego, do czego przywykłeś; innymi słowy, kłopot polega na tym, że jestem niezależna. Rozumiem przez to z jednej strony to, że nie należę do żadnej organizacji i wypowiadam się zawsze wyłącznie we własnym imieniu, z drugiej zaś to, że pokładałam wielkie zaufanie w Lessingowskim *selbstdenken*, którego, jak sądzą, nie da się nigdy zastąpić żadną ideologią, żadną opinią publiczną i żadnymi "przekonaniami". Bez względu na to, jakie zastrzeżenia mogłyby budzić w Tobie tego rezultaty, nie zrozumiesz ich dopóty, dopóki nie uświadomisz sobie, że naprawdę doszłam do nich wyłącznie o własnych siłach.

Szkoda, że nie uzasadniłeś, dlaczego byłeś przeciwny wykonaniu kary śmierci. Uważam bowiem, że rozpatrzenie tej kwestii pozwoliłoby nam poczynić pewien postęp w ustaleniu, na czym polegają najbardziej zasadnicze różnice pomiędzy nami. Powiadasz, że był to "błąd historyczny", ja zaś czuję się bardzo nieswojo, widząc, jak w tym kontekście przywołujesz widmo Historii. Moim zdaniem, wykonanie wyroku było pod względem politycznym i prawnym (w gruncie rzeczy zaś liczy się tylko to drugie) nie tylko słuszne - niewykonanie wyroku byłoby także całkowicie niemożliwe. Można było tego uniknąć tylko w jeden sposób: przyjmując sugestię Karlajaspersa i przekazując Eichmanna Narodom Zjednoczonym. Nikt tego nie chciał i prawdopodobnie było to niewykonalne, nie została zatem żadna inna możliwość, jak tylko go powiesić. Ułaskawienie nie wchodziło w grę, nie z przyczyn prawnych - prawo łaski nie należy przecież do prerogatyw wymiaru sprawiedliwości - lecz dlatego, że ułaskawienie znajduje zastosowanie raczej w odniesieniu do osoby niż do czynu; akt łaski nie jest przebaczeniem zbrodniarzowi, lecz darowaniem mu dlatego, że jego wartość jako osoby może przewyższać wszystko, czego się dopuścił. W wypadku Eichmanna tak nie było. Zachować go przy życiu bez darowania mu winy było z przyczyn prawnych rzeczą niemożliwą.

W konkluzji niech mi wolno będzie przejść do jedynej sprawy, w której mnie źle nie zrozumiałeś i jestem naprawdę rada, że poruszyłeś tę kwestię. Masz całkowitą słuszność: zmieniłam zdanie i przestałam się posługiwać pojęciem "radykalnego zła". Dużo czasu minęło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, niewykluczone zaś, że porozmawialibyśmy dawniej na ten temat. (Nawiasem mówiąc, nie rozumiem, dlaczego nazywaś moje określenie "banalność zła" frazesem czy sloganem. O ile wiem, to ja pierwsza użyłam tego określenia, ale to nieistotne.) To prawda, że uważam obecnie, iż zło nigdy nie jest "rady-

kalne", a tylko skrajne i że nie posiada ono żadnej głębi ani jakiegokolwiek demonicznego wymiaru. Może ono wypełnić i spustoszyć cały świat, bo rozprzestrzenia się jak grzyb porastający powierzchnię. "Urąga myśli", jak napisałam, gdyż myśl próbuje dotrzeć na pewną głębokość, sięgnąć do korzeni, w momencie zaś, gdy zajmie się złem, jałowuje, bo dotyka nicości. Na tym polega "banalność zła". Jedyne dobro posiada głębię i może być radykalne. Nie tu jednak miejsce na poważne rozpatrzenie tych spraw; zamierzam szczegółowo je zanalizować w innym kontekście. Bardzo możliwe, że Eichmann pozostanie konkretnym modelem tego, co mam do powiedzenia.

Proponujesz opublikowanie swego listu i pytasz, czy zgłaszam jakieś zastrzeżenia. Radziłabym nie przereda-gowywać listu w trzeciej osobie. Wartość tego sporu polega na jego epistolarnym charakterze, czyli na tym, że pobudką do niego była osobista przyjaźń. Jeśli więc jesteś gotów ogłosić moją odpowiedź wraz ze swym listem, nie zgłaszam, rzecz jasna, żadnych zastrzeżeń.

Hannah Arendt

402

Bibliografia

Adler H. G., Theresienstadt 1941-1945, Tubingen 1955. -Die ver-heimlichte Wahrheit. Theresienstadter Dokumente, Tubingen 1958.

American Jewish Committee, The Eichmann Case in the American Press, New York, b. d. Anti-Defamation League, Bulletin, marzec 1961.

Baade Hans W., Some Legal Aspects of the Eichmann Trial, "Duke Law Journal", 1961.

Bamm Peter, Die unsichtbare Flagge, Miinchen 1952. Barkai Meyer, The Fighting Ghettos, New York 1962. Baumann Jiirgen, Gedanken z.um Eichmann-Urteil, „Juristenzeitung“ 1963, nr 4. Benton Wilbourn E., Grimm Georg, ads. Nuremberg: German Viewsofthe War Trials, Dallas 1955. Bertelsen Aage, October 43, New York 1954 (o Danii). Bondy Francois, Karljasperszum Eichmann-Proysss, "Der Monat", maj 1961.

Buchheim Hans,Die SS in der Verfassung desDritten Reichs, "Vier-teljarshefte fiir Zeitgeschichte", kwiecień 1955.

Centre de Documentation Juive Contemporaine, Le Dossier Eichmann, P ans 1960.

de Jong L.ouis,Jews andNon-Jews in Nazi-occupied Holland w: On the Trach ofTyranny, ed. M. Beloff, Wiener Library, London b. d.

Dacey Albert Venn, Introduction to the Study ofthe Law ofthe Constitution, 9. wyd., New York 1939. Drost Pięter N., The Crime of State, 2 vol., Leyden 1959.

Eichmann Tells His Own Damning Story, "Life", 28 listopada i 5 grudnia 1960.
404

Einstein Siegfried, Eichmann, Chejbuchhalterdes Todes, Frankfurt 1961.

Fest J. C., Das Gesicht des Dritten Reiches, Munchen 1963. Finch George A., The Nuremberg Trials and International Law, "American Journal for International Law", vol. XLI, 1947. Flender Hnrold,Rescue inDenmark, New York 1963. Frank Hans, Die Technik des Staates, Munchen 1942.

Globke Hans, Kommentare zur deutschen Rassegesetzgebung,

Munchen-Berlin 1936. Green L. C., The Eichmann Case, "Modern Law Review", vol. XXIII, London 1960.

Hausner Gideon, Eichmann and his Trial, "Saturday Evening Post", 3, 10 i 17 listopada 1962.

Heiber Helmut,Z)<?rFali Grunspan, "Yierteljahrshäfte fiir Zeitgeschichte", kwiecień 1957.

Henk Emil, Die Tragodie des 20.Juli 1944, 1946.

Hesse Fritz, Das Spiel urn Deutschland, Miinchen 1953.

HilbergRaul, TheDestructionoftheEuropeanJews, Chicago 1961.

Hoss Rudolf, Commandant ofAuschwitz, New York 1960.

Hofer Walther, Der Nationalsozialismus. Dokumente 1933-1945, Frankfurt 1957.

Holborn Louise, ed., War and Peace Aims ofthe United Nations, 2 vol., Boston 1943, 1948.

Jager Herbert, BetrachtungenzumEichmann-prozess, "Kriminologie und Strafrechtsreform", z. 3/4, 1962. Jaspers Karl, Beispielfur das Yerhdngnis des Yorrangs nationalpoliti-

schen Denkens, w: Lebensfragen der deutschen Politik, 1963.

Kaltenbrunner Ernst, Spiegelbild einer Yerschworung, Stuttgart 1961.

Kastner Rudolf, Der Kastner Bericht, Munchen 1961.

Kempner Robert M. W.,Eichmann undKomplizen, Ziirich 1961 (zawiera kompletny stenogram konferencji w Wannsee).

Kimche Jon i Dawid, The Secret Roads. The "Illegal" Migration of aPeople, 1938-48, London 1954.

Kirchheimer Otto,PoliticalJustice, Princeton 1961.

405

Kirchhoff Hains, What Saved the Danish Jews?, "Peace News",

- London, 8 listopada 1963. Klein Bernard, Thejudenrat, „Jewish Social Studies”, vol. 22, styczeń 1960.
- Knierim August von, The Nuremberg Trials, Chicago 1959. Krug Mark M., Young Israelis and Jews Abroad. A Study of Selected History Textbooks, "Comparative Education Review", październik 1963.
- Lamm Hans, Uber die Entwicklung des deutschenjudentums im Dritten Reich, mimeographed dissertation, Erlangen 1951
- Der Eichmannprozess in der deutschen öffentlichen Meinung, Frankfurt 1961 Lankin Doris, The Legal System, "Israel Today" nr 19, Jerusalem 1961.
- Lederer Zdenek, Ghetto Theresienstadt , London 1953. Lehnsdorff Hans Graf von, Ostpreussisches Tagebuch, München 1961. Levai Eugene, Black Book on the Martyrdom of Hungarian Jews , Zurich 1948. Lösener Bernhard, Die Nürnberg Gesetze, Sammlung Yahlen, vol. XXIII, Berlin 1936.
- Maschmann Melitta, Faz.it, Stuttgart 1963. Maunz Theodor, Gestalt und Recht der Polizei, Hamburg 1943. Monneray Henri, La persecution desjuifs en France, Paris 1947. Motzkin Leo, ed., Les pogromes en Ukraine sous les gouvernements ukrainiens 1917-1920, Comitee des Delegationsjuives, Paris 1927. Mulisch Harry, Strafsache 40/61, Köln 1963.
- i Conspiracy and Aggression , 1 1 vol., Washington 1946-1948.
- Oppenheim L., Lauterpacht Sir Hersch, International Law, wyd. VII, 1952.
- Paechter Henry, The Legend of the 20th of July, 1944, "Social Research", Spring 1962.
- Pearlman Moshe, The Capture of Adolf Eichmann, London 1961. Pendorf Robert, Mörder und Ermordete. Eichmann und die Judenpolitik des Dritten Reiches, Hamburg 1961 .
- Poliakov Leon, Auschwitz, Paris 1964.
- Poliakov Leon, Wulf Josef, Das Dritte Reich und die Juden, Berlin 1955.
- Reck-Malleczewen Friedrich P., Tagebuch eines Zweifelnden, Stuttgart 1947.
- Reitlinger Gerald, The Final Solution, New York 1953.
- Reynolds Quentin, Katz Ephraim, Aldouby Zwj, Minister of Death, New York 1960.
- Ritter Gerhard, The German Resistance: Carl Goerdelers Struggle against Tyranny, New York 1958.
- Robinson J&cob, Eichmann and the Question of Jurisdiction, "Commentary", lipiec 1960.
- Robinson Jacob, Friedman Philip, Guide to Jewish History under Nazi Impact, bibliografia wydana wspólnie przez YIVO Institute for Jewish Research i Yad Yashem, New York and Jerusalem 1960.
- Rogat Yosel, The Eichmann Trial and the Rule of Law, wydane przez Center For the Study of Democratic Institutions, Santa Barbara, California, 1961.
- Romoser George K., The Crisis of Political Direction in the German Resistance to Nazism, University of Chicago dissertation, 1958. - The Politics of Uncertainty: The German Resistance Movement, "Social Research", Spring 1964.
- Rothfels Hans, German Opposition to Hitler, Chicago 1948.
- Rotkirchen Livia, The Destruction of Slovak Jewry, Jerusalem 1961.
- Rousset David, Les jours de notre mort, Paris 1947.
- Schneider Hans, Gerichtsfreie Hoheitsakte, Tübingen 1950. Schramm Percy Ernst, Adolf Hitler-Anatomie eines Diktators, w:

Hitlers Tischgespräche, 1964. Servatius Robert, Verteidigung Adolf Eichmann, Pladoyer, Bad Kreuznach 1961. Silving Helen, In Re Eichmann: A Dilemma of Law and Morality, "American Journal of International Law", vol. LV, 1961. Stone Julius, Legal Controls of International Conflict, New York 1954. Strauss Walter, Das Reichsministerium des Innern und die Judengesetzgebung. Aufzeichnungen von Bernhard Lösener, "Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte", lipiec 1961. Strecker Reinhard, ed., Dr Hans Globke, Hamburg, b. d.

406

407

T

159,
Taylor Telford, Large Questions in the Eichmann Case, "New York Times Magazine", 22 stycznia 1961. Torres Henri, Le Procès des pogoimes, Paris 1928. The Trial of the Major War Criminals, 42 vol., Nuremberg 1947-1948. Trials of War Criminals before the Nuremberg Military Tribunals, 15 vol., Washington 1949-1953.
Yabres Donnedieu de, Le procès de Nuremberg, Paris 1947.
Wade E. C. S., Act of State in English Law, "British Year Book of International Law", 1934. Wechsler Herbert, The Issues of the Nuremberg Trials, "Principles, Politics, and Fundamental Law", New York 1961. Weisenborn Günther, Der lautlose Aufstand, Hamburg 1953. Wighton Charles, Eichmann, His Career and His Crimes, London 1961. Woetzel Robert K., The Nuremberg Trials in International Law, New York 1960.
Wucher Albert, Eichmann gab es Yiele, München-Zürich 1961. Wulf Josef, Lodź. Das letzte Ghetto auf Polnischen Boden, Schriftenreihe der Bundeszentrale für Heimatdienst, vol. LIX, Bonn 1962.
- Vom Leben, Kampf und Tod im Ghetto Warschau, op. cit. vol. XXXII, Bonn 1960.
Yad Vashem, Bw/tóin, Jerusalem, kwiecień 1961 i kwiecień-maj 1962.
Zaborowski Jan, Dr Hans Globke, the Good Clerk, Poznań 1962. Zeisel Hans, Eichmann Adolf, "Britannica Book of the Year", 1962.

Indeks nazwisk

Abromeit Franz 235, 252 'r
Adenauer Konrad 20, 21, 23, 24, 25, 26, 27, 147, 155, 216 '(
Adler Hans Gunter 155, 156, 174, 391
Antonescu Ion 227, 245, 246, 247, 248 - ; ,Lv
Bach-Zelewski Erich von dem 23, 120, 364 -
Badoglio Pietro 227, 236 , .
Baek Leo 154, 155, 391
Baer Richard 21, 364 , *••, .

Baky Laszlo 257
BammPeter299
Baron Salo Wittmayer 28, 126
Baror Ya'akov 156
BauerFritz25 :
BecherKurt 179, 183, 184, 185, 186, 191,255,256,364
Beck Ludwig 133
BeckerleAdolf241
Beckmann Heinz 77
BenCwiIcchak321,322
Ben Gurion Dawid 9, 10, 15, 16, 17, 19, 20, 21, 26, 28, 29*
270, 308, 310, 322, 327, 351, 352, 353, 396 Best Werner 222, 223, 225, 226 Bettelheim
Bruno 368 Birnblatt Hirsch 368 Blobel Paul 267
Blomberg Werner Eduard Fritz von 280 Blumenfeld Kurt 396, 397 Bohm Adolf 55, 269
Böhme Franz 33, 238 Bonnet Georges 101 Bormann Martin 204, 299, 335 Borys III Koburg,
car bułgarski 241 BrackYiktor 111, 141

409

f r w

Bradfish Otto 22, 165
Brand Joel 254, 255, 256
Brandt Karl 92
Brandt Willy 76
Brauchitsch Walter von 273
Brecht Bertold 5
Briand Aristide 330
Brunner Alois 228, 242, 252, 264
Buber Martin 322,323,324 ,;-
Biihler Josef 147, 278
'•-•'•'''•!..' '' ..'
Churchill Sir Winston Leonard Spencer 332
Ciano Galeazzo 230
CohnBenno53, 174 .
Cukierman (Lubetkin) Cywia 158, 159 '!•••'
Cukierman Icchak 159 ; , ..
Czerniaków Adam 155 ,
Daluge Kurt 90
Dannecker Theodor 212, 215, 240, 241, 252
Darquier de Pellepoix Louis 210
Dicey Albert Venn 120
Dinoor (KZ-etnik) 289
Donnedieu de Yabres Henri 333, 356
Dostojewski Fiodor 69
Dreyfus Alfred 17
Drost Pięter Nicolaas 337
Duckwitz Georg F. 223

DunandPaul 189
 Dymitrow Georgi 242, 242
 Ebner, szef wiedeńskiego gestapo 68
 Eichmann (Liebl) Yeronika (Vera), żona Adolfa 40, 305, 306, 312
 Eichmann (Schafferling) Maria, matka Adolfa 30
 Eichmann Dieter, syn Adolfa 262
 Eichmann Karl Adolf, ojciec Adolfa 10, 30
 Eichmann Ricardo Francisco Klement, syn Adolfa 306
 Einstein Albert 174
 Eisenhower Dwight David 302
 Endre Laszlo 37, 182, 257

 Enghien Louis Antoine Henri de Bourbon-Conde D' 377
 Epstein Paul 84, 156, 392
 Ezechiel, prorok 28
 Falkenhausen Aleksander von 214
 Farinacci Roberto 229
 Fellenz Martin 24
 Ferenczy, ppłk policji 257
 Fest Joachim C. 365
 Franciszek Józef I, cesarz austriacki 116
 Franco Bahamonde Francisco 202,227
 Frank Anna 324
 Frank Hans 15, 96, 99, 173, 177, 230, 265, 274, 278
 Frank Karl Hermann 105
 Frankel Wolfgang Immerwahr 23, 24
 Freud Sigmund 368
 Freudiger Philip von (Freudiger Pinchas) 161,162,253,254,255
 Fritsch Werner von 280
 Fryderyk II, król pruski 152
 Fiinten Ferdynand aus der 215, 216
 George Stefan 201
 Gilbert Gustave M. 271
 GillonPhilip 13
 Glickman 10
 Globke Hans 27, 95, 147, 166, 167, 320
 Globocnik Odilo 110, 113, 114, 117, 141,231
 Glucks Richard 114, 196,258
 Goebbelsjoseph 70, 131, 246
 Goerdeler Carl Friedrich 129, 131, 132, 133, 134, 135, 137
 Goldmann Nahum 351
 Góring Hermann 59, 86, 109, 131, 173, 242, 260
 Greiser Arthur 165, 265, 275
 Grell Horst 63, 364
 Grotius Hugo 372
 Griiber Heinrich 168, 169, 170, 172
 Grynszpan Herszci (Grunspan) 293, 294
 Grynszpan Zindel 293, 295, 297, 401
 GuntherRolf92, 140, 189, 223, 252
 Habsburg Otto von 250

410

411

Hagen Herbert 82
Halevi Benjamin 57, 91, 161, 185, 288, 298
Haman 28
HamsunKnut 199
Hannecken Hermann von 222, 223
Harsten Wilhelm 215, 216
Hausner Gideon 9, 10, 11, 12, 14, 26, 27, 28, 36, 76,127, 158, 159, 162, 269, 272, 287, 289, 291, 293, 297, 320,336,337, 346, 358, 399
HedinSven 174, 199
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 28
HelldorfWolfHeinrichvon 130
Heninger Otto, pseudonim Adolfa Eichmanna 305
Herzl Teodor 55, 75, 100, 269
Hesse Fritz 130
Heydrich Reinhardt 49, 59, 60, 63, 76, 86, 90, 91, 93, 95, 97, 98, 99, 102, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 124, 125, 138, 140, 146, 147, 148, 149, 173, 179, 199, 200, 201, 215, 222, 223, 230, 237, 262, 263, 267, 271, 273, 278, 280, 282, 317
Hilberg Raul 33, 94, 104, 139, 140, 153, 173, 181, 241, 246, 366
Himmler Heinrich 22, 35, 49, 67, 68, 70, 76, 90, 91, 93, 94, 97, 100, 109, 110, 113, 123, 124, 131, 137, 138, 140, 141, 142, 146, 151, 152, 168,173, 179, 181, 182, 184, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 195,196, 199, 203, 209, 212, 216, 217, 222, 249, 254, 255, 260, 271, 272, 274, 275, 277, 278, 279, 299, 302,303, 316, 378,379
Hitler Adolf 17, 20, 26, 27, 28,34,47,51,54,57,58, 70, 76, 77, 79, 83, 87, 92, 93, 95, 103, 109, 110, 122, 123, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 136, 138, 139, 140, 141, 142, 146, 147, 149, 163, 166,168, 173, 174,177, 179, 181, 187, 190, 191, 192, 193, 194, 195,198, 200, 201, 203, 206, 208, 214, 219, 226, 233, 235, 239, 245, 246, 248, 264, 271, 272, 278, 280, 281,346,367, 369,374, 376,378,382,393
HlinkaAndrej261
Hochhuth Rolf 383, 384, 385
Holzer Jerzy 88, 100,295
Horthy Miklos 180, 181, 190, 227, 250, 253, 256, 257, 258, 259
Hoss Rudolf 21, 67, 68, 94, 104, 113, 114, 117, 121,258,275
Hossbach Friedrich 280
Hoter-Yishai Aharon 291, 292
Hottl Wilhelm 236, 237, 364

HuberKurt 136
Hull William 325
Hunsche Otto 22, 252, 259, 303
Huppenkothen Walter 364
Husajni Hadž Amin al- 20
Jackson Robert Houghwout 355, 356
JacobE. 216
Jager Herbert 120
Jahrreiss Hermann 165

JakobBerthold341
 JansenJ.J. 25
 JaspersKarl 135, 325, 349, 350, 402 ,
 Jodl Alfred 193
 JongLouis de 162, 171,217 .
 Jtichen Aurel von 384
 Jiittner Hans 364
 Kadow Walter 121
 Kagan Raja 276 ',- • .
 Kaltenbrunner Ernst 43, 44, 45, 47, 50, 90, 93, 95, 173, 18
 189,190,196,207,217,302,304
 Kant Immanuel 176, 177, 178 • ;
 Kappler Herbert 364
 KastnerRudolf42,56,57, 152, 154,172,185,186,188,253,254,
 257
 Kellogg Frank Billings 330 Kersten Felix 76
 Killinger Manfred von 247, 248, 249 Kimche Dawid 80, 81 KimcheJonSO, 81
 Kirchheimer Otto 165, 331, 333, 345, 400 Klement Richard (Ricardo), pseudonim Adolfa
 Eichmanna 305,
 306
 Klingenfuss Karl 342 Kluge Giinther von 131, 135 Koppe Wilhelm 23 KoretzZvi243
 KownerAba297,298,299 , ' .
 Kruger Friedrich-Wilhelm 23
 Krumej Hermann 22, 236, 252, 254, 364
 Krupp Alfred 258

 412
 413

 Krynicki Ryszard 5 Kubę Wilhelm 126 KZ-etnik zob. Dinoor
 Lahousen-Vivremont Erwin von 278 ;
 Lamm Hans 54, 77
 Landau Moshe 8, 9, 11,65,71, 125, 190,269,291,293,297
 Lankin Doris 14
 Lau Mosze Chaim 393 •:,-, .
 Lauterpacht Sir Hersch 192 . i •
 LavalPierre210,212 ••-,,; ;:
 Lechthalerjoseph 22
 Lehnsdorff Hans Graf von 144 , • , ;•-.
 Less Avner 39, 40, 41, 66, 67, 107
 Leuschner Wilhelm 130
 Ley Robert 70
 Lichtenberg Bernard 169
 Liebl Yeronika zob. Eichmann (Liebl) Yeronika (Yera)
 Lósener Bernhard 166
 Lowenherzjosef 42, 62, 63, 83, 87, 290
 Lubbe Marinus van der 242
 Lubetkin Cywia zob. Cukierman (Lubetkin) Cywia
 Ludin Hans Elard 264

Ludwik IX Święty, król francuski 386
Luther Martin 33, 100, 195,219,220
Mach Śaóo 107, 261 ,... <•
Marks Karol 396 :
Matteotti Giacomo 377 r •• .
Maunz Theodor 34 ' .
McCarthy Mary 366
Mengelejosef342 '•-.-.
Menthon Fran^ois de 333
Merten Max 242,243,244,364 . : .
Meyer Franz 84,85 ;, , .
MilchErhard 173,230 ,
Mildenstein von, oficer SS 55
Mildner Rudolf 196, 197H .
Moltke HelmuthJames von 130 •" , ,••••'!
MombertAlfred201 . • \ ' :.
Mościcki Ignacy 294 :
414

Motzkin Leo 344 MulischHarry 126, 365
Miiller Heinrich 44, 76, 86, 88, 92, 93, 95, 114, 115, 116, 117, 148, 149, 179, 181, 186,
189, 196, 197, 207, 227, 231, 267, 277, 321 Murrelstein Benjamin 156 Musmanno Michael
Angelo 168, 271, 273 MussoliniBenitoSO, 226, 227, 228, 229,377 •...••••-.
Napoleon I, cesarz Francuzów 132,377,386 .•; •;, :•.../
NebeArthur 131
Novak Franz 21, 252, 254, 274,364 .. „-;,,,
Olshan Icchak 320 •: "•'•••<• ,,,,•-•
Oppenheim Lassa Francis Lawrence 192 • » M
Pavelić Ante 235 ,i ,...•-...-...
Pearlman Moshe 303,304 ; • ;•
Pendorf Robert 114,365 ,
PetainPhilippe200,210 •
Petlura Semen 343
PhilippsonAlfred 174 . ••...•
Pohl Oswald 91, 104, 114, 196 ••
PoliakovLeon 197,285
Poncjusz Piłat 146, 149, 175, 195
QuislingVidkun219, 220
Rademacher Franz 32, 33, 34
Raeder Erich 280
Rajakowitsch Erich 60, 98, 215, 216
Rath Ernst von 293, 294
Rauter Hans 215, 216 , , .
Ravehlchak 161, 176
Reck-Malleczewen Friedrich P. 133, 135, 144
Reitlinger Gerald 49, 109, 140, 197, 206, 228, 285,366
Reynolds Quentin 288 :.-. :'
RibbentropJoachim von 101, 137, 146, 195, 271); ,,
Richter Gustav 22, 247, 248, 249 -... :. : , .
Ritter Gerhard 129, 130, 131, 135 :i j -\.,;- ,.

Roatta Mario 228
RogatYosal351,360 . : ...,~,,,
415

r

Rohm Ernst 23, 54, 247
Rommel Erwin 131
Romoser George K. 130
Roosevelt Franklin Delano 258
RosenPinchas341,349,352 . ••
Rosenberg Alfred 236, 265 . . ••
Rothschildowie, rodzina 85
Rousset David 18
Rumkowski Chaim Mordechaj 154, 155 ,
Sabri Husajn fikar 28 •
Salzberger Charlotte 156
Sassen Willem S. 32, 64, 65, 72, 75, 163, 287, 307, 364
SauckelFritz 122
Schafer Emanuel 237, 238
Schafferling Maria zob. Eichmann (Schafferlin) Maria
Schellenberg Walter 240, 273 -
Schlageter Leo 121
Schmidt Anton 297, 298, 299, 300, 401
Schmitt Carl 188
Scholem Gershom 388, 395
SchollHans 136 •/,..*.
SchollSophie 136
Schiile Erwin 21 •
Schwarzbard Shalom 343, 344, 345, 346
Sebba42
Seidl Siegfried 252
Servatius Robert 8, 15, 28, 29, 30, 31, 32, 47, 74, 81, 91, 92, 118,
122,141,156,158, 170,188,212,268, 285,286,308,313,314,
318,319,320,322 Shimoni Yad 308
Silber Gershon 295 ; . . .
Six Alfred 364
Skladkowski Felicjan Sławoj 87 Skwarczyński Stanisław 87 Sławik Alfred Josef 364
Speer Albert 55
Stahlecker Franz 96, 97, 98, 99, 105 . . . ,
Stauffenberg Claus (właśc. Claus Schenk Graf von Stauffenberg)
130
Stefan, metropolita sofijski 241 -

Stern Samuel 253 :-.-•- v
Stone Julius 334
Storey Robert Gerald 327 ,
Storfer Bertold 67, 68, 83, 84
Strauss Franz Joseph 76

Streicher Julius 42, 52, 91, 105, 334
Stuckart Wilhelm 147, 167, 206 • , ;:
Suarez Georges 344 .!'•':!
Szalasi Ferenc 259
Sztójay Dome 227
Talaat Pasza (bej) (Talat Paa:a) 344
Taylor Telford 337
Tehirian Salomon 344, 345
Thadden Eberhard von 195, 364
Thierack Otto 203
Tiso Jozef 261, 264
Tohar Zvi 308
Torres Henri 344
Tucholsky Kurt 393
Tuka Yojtech 262
Turner Harald 33, 237, 238
Ubelhór Friedrich 123 Ulbricht Walter 20
Vallant Xavier 210
Yeesenmayer Edmund 181, 182, 190, 252, 257, 260, 264, 364
Wachter Otto 231
Wade Emlyn Capel Stewart 122
Wagner Gerhard 141
Watteau Antoine 253, 254
Wechtenbruch Dieter 188, 189
Weisenborn Günther 136
Weiss Manfred 184, 185
Weiss, prezes Vacuum Oil 41
Weizman Chaim 158, 162, 320
Wezsacker Ernst Freiherr von 220
Weltsch Robert 78, 385
Wilhelm I, cesarz niemiecki 132
Wilhelm II, cesarz niemiecki 330

416
417

Winkelmann Otto 181, 182, 364
Wirth Christian 114
Wisliceny Dieter 161, 186, 188, 189, 242, 243, 244, 252, 253, 254,
256, 262, 263, 264, 274, 305
Wolff Karl 22
Yahil Leni 231
York von Wartenburg Peter 131
Zeisel Hans 339 r: •
• Zöpf Willi 22, 215, 217
Opracował Artur Czesak

Spis treści

I. Dom Sprawiedliwości 7

II. Oskarżony	30
III. Ekspert w kwestii żydowskiej	49
IV Pierwsze rozwiązanie: wypędzenie	74
V Drugie rozwiązanie: koncentracja	90
VI. Rozwiązanie ostateczne: eksterminacja	109
VII. Konferencja w Wannsee, czyli Poncjusz Piłat .	146
VIII. Obowiązki szanującego prawo obywatela ...	175
IX. Deportacje z Rzeszy: Niemcy, Austria i Protektorat	195
X. Deportacje z Europy Zachodniej: Francja, Belgia, Holandia, Dania, Włochy	209
XI. Deportacje z Bałkanów: Jugosławia, Bułgaria, Grecja, Rumunia	233
XII. Deportacje z Europy Środkowej: Węgry i Słowacja	250
XIII. Ośrodki zagłady na Wschodzie	265
XIV Materiał dowodowy i świadkowie	284
XV Wyrok, apelacja i egzekucja	302
Epilog	327
Postscriptum	363
Dodatek	
List Gershoma Scholema do Hannah Arendt	388
Odpowiedź Hannah Arendt na list Gershoma Scholema . .	395
Bibliografia	404
Indeks nazwisk	409